

Detektyw Robinson

PUSTYNNY OGIEŃ



Od czasu "Na Zachodzie bez zmian"
nie czytałem tak pasjonującej książki.

Harold Coyle



Derek Robinson

PUSTYNNY OGIEN

przełożył:
Stanisław Głabiński

VARIA APD
Warszawa 1993

Projekt okładki:

Studio Kurczak;

ilustracja

Jerzy Kurczak

Redakcja:

Renata Duczyńska - Surmacz

Korekta:

Janina Słonimska

tytuł oryginału: "A Good Clean Fight"

Copyright © 1993 by Derek Robinson

Copyright © 1993 for the Polish edition by Varia - APD

Copyright © for the Polish translation by Stanisław Głabiński

Wydawnictwo:

VARIA-APD

Warszawa, ul. Hoża 63/67,

Tel/Fax: 625 - 62 - 54, Tel. 625 - 63 - 44

Skład:

Incorp S.C, Warszawa,

TeL/Fax: 20 - 82 - 45

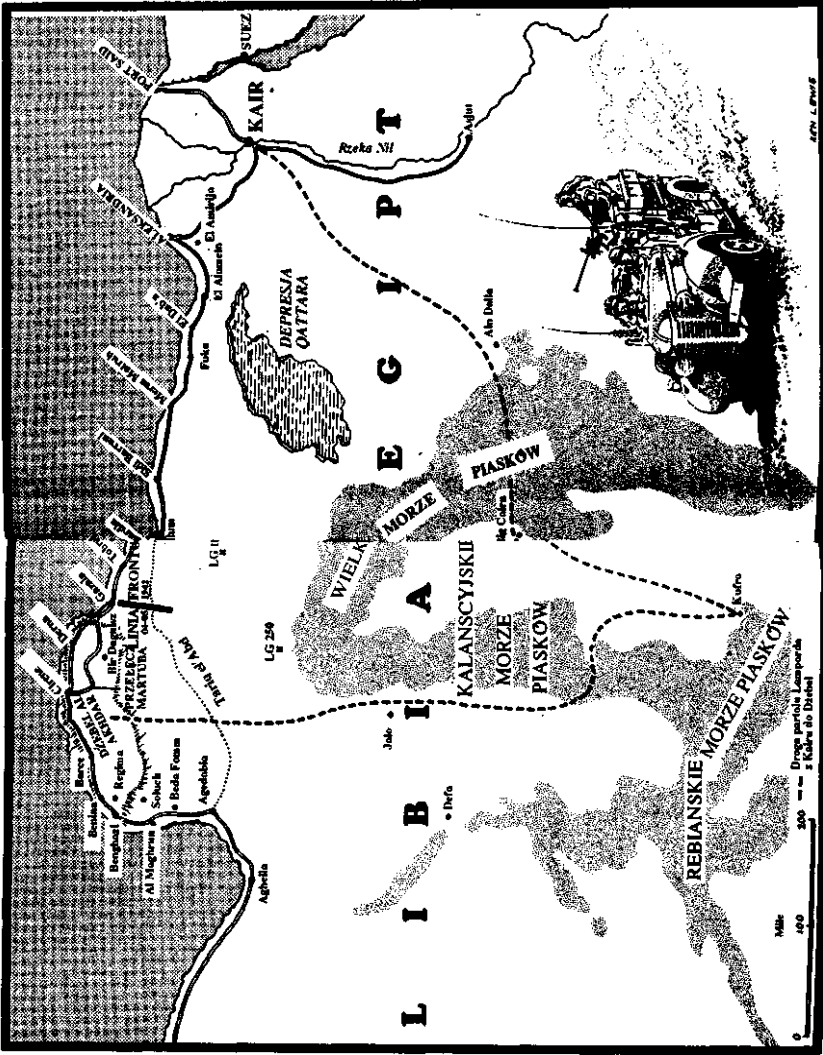
Druk i oprawa:

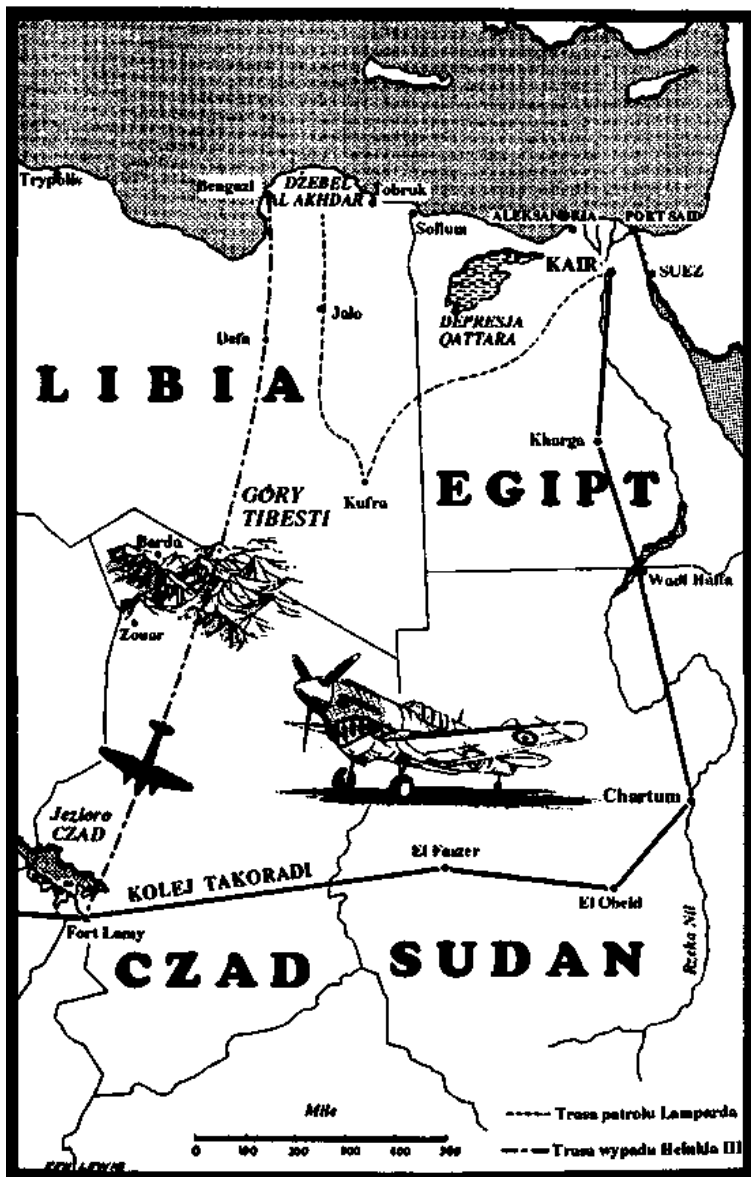
Wojskowa Drukarnia w Łodzi

90 - 520 Łódź,

ul Gdańska 130,

Tel. 36 - 82 - 32





Rozdział I

Zwiad

Jak dobrze było żyć, być młodym i tego pamiętnego kwietnia 1942 latać Messerschmittem 109 startującym z lotniska Barce.

Barce znajduje się w Libii, blisko luksusów, jakie oferuje Benghazi, a wystarczająco daleko od linii Gazala, która przebiega o kilkaset mil na wschód, od Tobruku. Za niewidoczną linią Gazala, gdyż istniejącą wyłącznie na mapie, a stanowiły ją pola minowe, znajdował się wróg: Anglicy, Australijczycy, Nowozelandczycy, Rodezyjczycy, faceci z Afryki Południowej i z Indii. Tak więc, jeśli stacjonowałeś w Barce, mogłeś czuć się bezpiecznie pod warunkiem, że byłeś pilotem Me 109, latałeś każdego dnia (treningi, ćwiczenia, pozorowane walki, próbne strzelanie) a więc robiłeś wszystko to, co trzymało cię w formie. Kiedy wylądowałeś, mogłeś kąpać się w morzu lub jechać do Benghazi na obiad. To było dobre życie. Każdy dzień zapowiadał się interesująco, każda noc pozwalała na odpoczynek. Oczywiście wszystko to niedługo mogło się skończyć. Jeszcze jedno uderzenie Afrika Korps i Rommel wkroczy do Aleksandrii. A gdzie wtedy będą Brytyjczycy? Zapewne w Indiach. To znaczy poza zasięgiem Me 109, nawet jeśli ma zapasowe, odrzucane baki.

Jedyny minus Barce (i kilkunastu innych lotnisk leżących wzdłuż wybrzeża, pomiędzy Benghazi a Tobrukiem), to ciągnący się zaraz na południu łańcuch górski o nazwie Dżebel el Akhdar. Co prawda są to raczej łagodne wzgórza, lecz przy gwałtownej zmianie pogody - a

w tej części Afryki potrafi łać jak z cebra - najmniejszy błąd w nawigacji powodował, że już szturmowało się wapienne zbocza Dżebel. Jeszcze nikomu nie udało się ich pokonać, ale liczne wraki maszyn świadczyły o tym, że wielu takie próby podejmowało.

* * *

Kapitan Lampard i sierżant Davis trafili na taki właśnie wrak leżący tuż pod szczytem skarpy, usiedli w cieniu tego, co pozostało ze skrzydła i patrzyli w dół, na Barce. Było południe i grzało niemiłosiernie. Lampard rozmyślnie wyszedł ze znajdującego się o osiem kilometrów obozu o takiej porze, by znaleźć się na szczycie pasma wzgórz w południe. Był przekonany, że o tej godzinie nikomu nie przyjdzie do głowy, by przyglądać się górcom. A nawet gdyby ktoś przypadkiem spojrział, to i tak zostanie oślepiiony przez afrykańskie słońce.

Siedzieli i przez lornetki przyglądali się uważnie lotnikowi, a krążąca wokół nich chmara much włąziła im w nosy, w uszy, wpychała się w usta.

- Widzisz te druty? - zapytał Lampard.

- Oczywiście, normalna. - Sierżant wypluł jakąś szczególnie naprzykrzającą się muchę. - Przetniemy bez kłopotów.

- Może w środku puścili drut od alarmu. Przetniesz i zacznie dzwonić.

- Wątpię - Davis wzruszył ramionami. - Popatrz jakie to ogrodzenie jest długie. Całe kilometry. Ile to musiało kosztować.

Lampard ocenił uważnie odległość, wreszcie mruknął:

- Może, zresztą wszystko jedno. Tam jest przerwa w

ogrodzeniu. Widzisz? Po prawej.

Davis spojrział we wskazane miejsce. Było tuż koło szosy ciągnącej się wzdłuż wybrzeża. Właśnie jakaś ciężarówka zjechała z drogi i przez otwór w ogrodzeniu wjeżdżała na teren lotniska.

- Cóż za kretynizm - ocenił pracę Niemców. - Po jaką cholereę ciągnąć kilometrami ogrodzenie z drutu, by pozostawić taką dziurę? Niewiarygodne.

- Może jest zamykane na noc? - zastanawiał się Lampard.

- Nie widzę zapasowych drutów, którymi mieliby to robić. Nie ma też straży. Fuszerka. Wcale nie pasuje do Niemców. - Davis był perfekcjonistą i wszelkie niedoróbki wyprowadzały go z równowagi, nawet jeśli robili to Niemcy.

Lampard przestał obserwować przerwę w ogrodzeniu, i przeniósł wzrok na środek lotniska, gdzie przed hangarami właśnie zatrzymywał się wielki wóz sztabowy, alfa romeo z opuszczonym dachem. Z wozu wygramoliło się trzech oficerów i wyskoczył pies. Był ogromny, prawie wielkości kuczka. Biegał dookoła wozu, wreszcie podskoczył do jednego z oficerów, wspiął się na niego przednimi łapami i polizał go w twarz. Ten cofnął się, a pies opadł na cztery łapy. Lampard widział, że pozostali oficerowie śmiali się, a jeden z nich nawet zaklaskał w ręce. Oczywiście nie słyszał żadnego dźwięku. Polizany po twarzy pogroził psu pięścią, a ponieważ pies się cofał, doskoczył do niego i wymierzył mu kopniaka w zadek.

- Widziałeś Davis? - zdumiał się Lampard. - Najechali na Polskę, a teraz, w Afryce, kopią psy. Takim trzeba dać ostrą nauczkę.

Wstali i obchodząc wrak samolotu ruszyli w kierunku szczytu wzgórza.

- Ile to teraz może kosztować? - zastanawiał się Davis wskazując głową na wrak maszyny.

- Z dziesięć tysięcy funtów. A jak doliczysz koszty transportu, co najmniej dwadzieścia.

- To tam, na dole musi stać towaru za prawie pół miliona. Mam nadzieję, że są ubezpieczeni. - Davis rzucił ostatnie spojrzenie w dół, na lotnisko. W chwilę potem maszerowali, bo Lampard nie uznawał kroku spacerowego. On albo leżał, albo się spieszył.

* * *

Wrócili w to samo miejsce o dziesiątej wieczorem, w towarzystwie porucznika Dunna i dwóch kaprali, Poccocka i Harrisa. Wszyscy w mundurach armii brytyjskiej, potwornie zakurzonych pustynnym piaskiem butach i czarnych, włóczkowych czapeczkach na głowach. Brodaci i opaleni na mahoń, co powodowało, że ich twarze rozmazywały się w ciemności. Każdy miał plecak, rewolwer i sześć granatów za pasem, jedynie Lampard - pistolet maszynowy. Noc była ciemna, bezksiężycowa. Widziane ze szczytów wzgórz lotnisko Barce przypominało płaski placek. Nie widać było prawie nic. Nawet droga nadbrzeżna niknęła w ciemnościach.

Lampard znalazł jakąś ścieżkę prowadzącą w dół i poprowadził nią swoją grupę. Po przejściu paru kroków ścieżka rozplynęła im się pod stopami i znaleźli się na stromym osypisku. Kamienie i żwir osuwały się spod nóg a oni zjeżdżali podpierając się rękami, lub po prostu leżąc na plecach. Zgubili drogę albo też nigdy nie było tu żadnej

drogi. Lampard postarał się ich powstrzymać, skupił wokół siebie i przeliczył w świetle gwiazd:

- Czy nikomu nic się nie stało?

Wszyscy byli podrapani, zakrwawieni, ale on miał na myśli poważną ranę, złamanie nogi lub zagubienie plecaka.

Odpowiedzią było milczenie.

Ruszyli z boczem na ukos i natrafili na miejsce przypominające wyglądem wyschnięte dno strumienia. W każdym razie był to żleb spadający w dół, do podnóża wzgórz. Lampart kopnął jakiś kamień, który potoczył się z turkotem w dół pociągając za sobą niewielką lawinę kamieni.

- Schodzimy pojedynczo - zdecydował. - W odpowiednich odstępach czasu, tak by jeden drugiemu nie zrzucał kamieni na łeb. Stromo tu, uważajcie.

Powoli zaczął się zsuwać. Zbocze było bardziej niż strome. Ślizgając się na plecach i hamując butami zjeżdżał w dół pociągając za sobą kamienie. Zatrzymał się raptownie na jakimś głazie.

Kolejno z ciemności wyłaniali się pozostali. Razem obeszlili głaz starając się ponownie odnaleźć żleb. Jeśli nawet kiedyś tędy spływała woda, to zapewne w tym miejscu już kryła się pod ziemią. Natrafili jednak na ścieżkę. Wiła się po zboczu, prowadząc w dół. W pięć minut potem byli na równinie. Szybkim marszem dotarli do szosy. Teraz zaczęli szukać przejścia w płocie. Odnaleźli je oraz tablice informacyjne z napisem: „*Achtung! Minen*”. Pod napisem widniały trupie czaszki i skrzyżowane piszczele.

- Lipa - cicho stwierdził Lampard.

Poprawili plecaki i czekali. Zrobiło się nieco jaśniej i

napisy stały się bardziej widoczne.

- Ty jesteś szefem - mruknął porucznik Dunn. Inni stali w milczeniu zbici w ciasną gromadkę.

- Zastanówmy się - poradził Davis.

- Lipa - powtórzył Lampard. - Dla zastraszenia Arabów.

- W południe ich tu nie widziałem - mówił Davis. - Z całą pewnością nie widziałem.

- Czy sądzisz, że mogli położyć tu miny po południu, Jack? - zastanawiał się głośno Dunn.

- Wykluczone. Niemcy używają dziury jako krótszej drogi dojazdowej do lotniska. Widzieliśmy.

Kapral Pocock ruszył kilka kroków do przodu, potem wrócił

- Tu są ślady opon i butów. Ani śladu min.

- A jakie ślady zostawiają miny? - zainteresował się Davis.

- Och, mam na myśli chociażby rozkopaną ziemię.

- Słuchajcie - wtrącił się ponownie Lampard. - Nie mogli tego zaminować, gdyż cały czas korzystają z tej trasy. Rozumiecie?

- Ty jesteś szefem - powtórzył Dunn. - Zakładam, że wiesz co mówisz. A jeśli zdecydowali, że już nie będą jeździć na skróty, to wtedy co?

- Wtedy pociągnęliby druty, co jest tańsze i szybsze. Nie sądzisz?

- A może zabrakło im drutu... - rozważał Davis.

- Przestańcie się wymądrzać! - zdenerwował się Lampard.

Kapral Harris rzucił kamieniem w przejście i powiedział:

- Gdybyśmy mieli jeńców, puścilibyśmy ich przodem by

sprawdzili.

- Dość tego - przeciął Lampard. - Idę pierwszy. - Oderwał się od gromadki i niemal natychmiast zniknął w ciemności. Pozostali skwapliwie pobiegli na skraj drogi i padli plackiem na ziemię.

- Co będzie, jeśli tam są naprawdę miny? - Pocock zapytał Dunna.

- Chyba jasne co, Pocock.

Lampard minął ogrodzenie idąc wyraźnym i głębokim śladem samochodu ciężarowego. Ze zdumieniem uświadomił sobie, że myśli o kobietach. Miał dwadzieścia cztery lata i brakowało mu ich bardzo, chociaż uważał, że wojna też jest pyszną zabawą. Posuwał się spięty i maksymalnie czujny. Nic nie wybuchało. Miał ochotę krzyczeć z radości. Wiedział, że teraz już nic nie może go zatrzymać.

„Achtung Minen!”. Cóż za bzdura. Zawrócił i szedł teraz nonszalancko, z rękami w kieszeni.

- Nie ma problemu. Bezpiecznie jak na Oxford Street.

- Moja ciotka na Oxford Street wpadła pod samochód - mruknął Harris.

Wszyscy jednak, idąc jeden za drugim, ruszyli za Lampardem.

- Mieliliśmy tym razem więcej szczęścia, niż moja ciotka - powiedział Harris, gdy ujrzeli zarys samolotu, ale Lampard zignorował uwagę.

Kapral Pocock jako pierwszy podszedł do pachnącego świeżą farbą, olejem i paliwem Me 109. W chwilę potem zobaczyli kabinę drugiej maszyny. Również Me 109. Lampard poszedł dalej wzdłuż linii maszyn i naliczył ich dziesięć. Tymi zajęli się Davis i Harris, a on z Dunnem i

Pocockiem podążyli w głąb lotniska.

Pocock znalazł drugą linię myśliwców. Uniosła się cienka mgła, ale gwiazdy błyszczały wystarczająco jasno, by mogli widzieć kabiny samolotów. Pocock zdjął plecak i ruszył by policzyć maszyny stojące w tym rzędzie. Dunn i Lampard przyglądali się jednej z nich.

- Całkiem nowe - stwierdził Lampard. - Świeża farba. Co tam robisz?

Dunn wspiął się na skrzydło i pchnął osłonę kabiny. Ta z cichym trzaskiem ustąpiła.

- Dlaczego nie mielibyśmy włożyć ładunków do kabiny? Zapali się zbiornik z paliwem. Jest pod siedzeniem. To będzie ładny widok. Fajerwerki.

- Jeśli baki pełne. Zresztą to potrwałoby dłużej.

- Może masz rację.

Pocock wrócił z rekonesansu i tryumfalnie zameldował:

- Dwanaście sztuk.

- Doskonale - Lampard zwrócił się do Dunny'ego. - Połowę ładunków do kabin, połowę pod skrzydła.

- Eksperymentujemy jak naukowcy. Doskonale - ucieszył się porucznik.

- Czekać tu na mnie - polecił Lampard i zniknął w ciemności. - Idąc zgięty rozważał: Czy nie idzie nam zbyt łatwo? Całkiem jak niewinny spacer. Nie wolno zmarnować ani jednego ładunku. Ujrzał przed sobą jakiś wielki kształt. Miał ochotę podskoczyć z radości. Był to Junkers 88, wielka, dwusilnikowa maszyna.

- Moje śliczności - szepnął. Postanowił, że bombę umieści między silnikami a kadłubem. Skrzydła jednak były za wysoko. Podszedł do ogona, wyjął dwie bomby z plecaka i wdrapał się na kadłub. Spróbował powoli

przesunąć się do przodu, kadłub jednak był wilgotny od rosy i śliski, ręce Lamparda nie znalazły oparcia i poczuł, że spada. W powietrzu wykonał kozła, by nie wylądować na głowie. Przez sekundę leżał na ziemi, lokalizując swoje położenie. Przygoda wydała mu się ogromnie śmieszna. Zasapał i pozbierał się na nogi.

- Czekaj, ty oślizgły skurwysynu - mruknął. - Ja cię załatwię.

Trzymane w rękach bomby włożył pod koszulę. Wdrapał się ponownie na kadłub tym razem od strony ogona. Usiadł wyprostowany i z nogami zwieszonymi po obu stronach przesunął się do przodu. Teraz się udało. Założył do bomb zapalniki, umieścił je przy skrzydłach i zeskoczył. Wszystko szło gładko.

Po chwili natknął się na trzysilnikowego transportowego Fokkera. Do kabiny przystawiona była drabinka. To zadecydowało o miejscu podłożenia bomby. Potem zauważył jakieś dwie niewielkie maszyny, zapewne samoloty patrolowe. Tu bomby podłożył pod skrzydła. Jako następne nawinęły się trzy masywne wozy-cysterny roztaczające zapach benzyny.

Usiadł na beczce z paliwem i sprawdził czas: pracowali tu, na lotnisku od dwudziestu trzech minut. Zapalniki pierwszych bomb nastawiono na odpalenie ładunku w godzinę po założeniu. Kolejne zapalniki miały już krótszy termin działania. Noc była chłodna, przyjemna. Dobra do przeprowadzania akcji. Lampard był zadowolony, a jednocześnie czuł się urażony. Przebył tak daleką drogę, by dołożyć wrogowi, którego teraz nie mógł zobaczyć.

Wstał by wrócić do Dunna i Poccocka.

- Załatwiliśmy te wszystkie myśliwce - zameldował

Dunn. - Natrafiliśmy na coś, co wygląda jak skład amunicji. Tam też podłożyliśmy ładunek. I jeszcze w jakieś paki, chyba z częściami zapasowymi.

- Doskonale - Lampard kopnął koło najbliższej stojącej maszyny - Możemy się już chyba wynosić.

Podeszli do pierwszego rzędu myśliwców. Davis i Harris siedzieli na ziemi i

jedli czekoladę, którą znaleźli w kabinie jednej z maszyn.

- Jak wam poszło? - zapytał Davis.

- Dwanaście samolotów - poinformował Dunn.

- Nie było warty? Harris widział wartownika - zdziwił się Davis.

- No to brykamy. Na kakao do mamusi - stwierdził Dunn.

- Pali się, czy co? - zaprotestował Lampard. - Mamy jeszcze kilka ładunków.

Tamci tymczasem przygotowywali się już do odejścia i zakładali plecaki.

- Szefie, myśmy swoje zrobili - mruknął Davis. - Nie przeciągajmy struny.

- Jestem najdalszy od tego, sierżancie - zapewnił Lampard, sprawdzając ile ma ładunków. - Dwa. Komu jeszcze coś zostało?

- Za dwadzieścia minut tu będzie piekło - zaproponował Dunn.

- Mam nadzieję. No więc jak?

- Ja mam jeden. - W głosie Poccocka odczuwało się wahanie.

- A ja dwa. Trzymałem, by podłożyć w dziurze, przy wyjściu - informował Davis.

- A więc mamy pięć. Rozejrzyjmy się, czy nie ma tu

jakiegoś hangaru.

- Jack, nie mamy na to czasu.

- Tym bardziej musimy się spieszyć. - Bez wahania odbiegł. Ruszyli za nim by nie stracić go w ciemności.

- To przekłety maniak - szepnął Davis, a Dunn jedynie chrząknął. Musieli się spieszyć, by dotrzymać kroku dowódcy.

Lampard biegł przez jakieś dwie minuty, potem zwolnił. Wreszcie stanął.

- Tam - szepnął. Przed nimi majaczyła smuga światła. A oznaczało to, że znajdowali się niedaleko ludzi.

- Są w środku - wymamrotał Lampard.

Stali przed wielkim, metalowym hangarem. Ze środka dobiegał szmer rozmów i odgłosy metalicznych uderzeń.

- Pracują - wyszeptał Lampard i poprowadził swoich wzdłuż ściany hangaru. Podeszli pod wielkie, rozsuwane drzwi. Przez szczelinę padał promień słabego światła. Lampard usiłował zerknąć do środka, ale ujrzał jedynie mnóstwo puszek

z farbą. Namacał opuszkami palców uchwyt niewielkiego wejścia w rozsuwanych wrotach. Pchnął i drzwi rozchyliły się. Stojący za nim Dunn klepnął go w ramię.

- Za piętnaście minut pierwszy wybuch.

Lampard skinął głową i zajrzał do wnętrza hangaru. Wciągnął powietrze i poczuł zapach pustynnych ziół zmieszany z zapachem farby i smarów. Wiedział, że tam, w środku, jest wróg, którego trzeba pokonać. A może to uczynić ktoś o nerwach ze stali, i to właśnie odpowiadało Lampardowi najbardziej.

Widok wnętrza hangaru przesłaniała czarna zasłona, jako że obowiązywało całkowite zaćmienie. Ostrożnie

odsunął kotarę. Pośrodku wielkiej hali stał naprawiany właśnie i oświetlony samolot. Pozostała część pomieszczenia ginęła w półmroku. Zrzucił z siebie plecak i wziął ładunki oraz piętnastominutowe zapalniki. Wsunął się do środka hangaru, ciche poruszanie ułatwiały gumowe zelówki. Przez chwilę przyglądał się mechanikom w białych kitlach, kręcących się przy Me 109. Jeden wmontowywał śmigło. Pracujący wyglądali na całkowicie pochłoniętych swoim zajęciem. Przemykając się pod ścianą dotarł do w pół rozmontowanej maszyny, opartej na drewnianych koźlach. Jeden z ładunków podłożył pod odsłonięty silnik. Zaraz za maszyną stał stos pak. Na każdej wypisane były litery MB i numery seryjne. MB było zapewne skrótem od nazwy Mercedes-Benz. Dwa ładunki włożył między skrzynie. Któryś z mechaników krzyknął. Powstrzymał oddech i przykucnął. A więc jednak czeka ich walka! Nic takiego jednak nie nastąpiło. Krzyk okazał się sygnałem do wspólnego śpiewu. Mocny głos zaintonował pieśń Torreadora z „Carmen”. Lampard założył więc jeszcze dwa ładunki, jeden pod przenośny generator, drugi pod traktor, po czym wycofał się w kierunku drzwi. Miał ochotę dołączyć do chóru, tyle, że nie znał słów.

Dunn oczekiwał na niego przy drzwiach.

- Jerry, mamy mało czasu.
- Już zwiewamy.
- Przez dziurę?
- A którą?
- Mamy tylko osiem minut.
- Wystarczy.
- Jak ładunki zaczną wybuchać, zobaczą nas.
- Wpadną w panikę.

- Jesteś dowódcą i wiesz lepiej.

Na widok nadchodzących oficerów pozostali zebrali się do marszu. Patrząc na świecącą strzałkę kompasu Lampard obrał kierunek. Po przejściu niespełna stu metrów wyszli na pas startowy.

- Doskonale, teraz pójdziemy szybciej - ucieszył się Lampard.

Szybki marsz po betonowym pasie sprawiał mu przyjemność. Nie oglądał się, choć dokładnie wiedział, że jego towarzysze idą za nim. A szli w szyku strzały. Dunn po prawej, Davis po lewej, a Pocock i Harris w szeregu za Lampardem. Przyszło mu do głowy, że już najwyższy czas, by Harris otrzymał awans na sierżanta. Spodziewał się, że jedna belka więcej i wyższa gaża zainteresowałyby go. Pochylił się by sprawdzić kierunek marszu na kompasie. I w tym momencie zatrzymało ich jaskrawe światło reflektorów. Lampard w całkowitej ciszy słyszał jedynie sapanie stojących za jego plecami. Starał się gwałtownie myśleć, kto i czym świecił. Wyglądało to na reflektory samochodowe.

- *Good evening gentleman.* - Rozległ się głos kogoś, kto mógł płynnie mówić po angielsku, choć z wyraźnie niemieckim akcentem - Rzućcie broń, dwa kroki do przodu i połóż się na ziemi. Szybko.

Nie poruszyli się. Lampard pochylił głowę. Z oddali dobiegały dźwięki muzyki. Orkiestra grała Mozarta. Melodia dobiegała z bardzo daleka, ale była wyraźnie słyszalna.

- Jesteście otoczeni. - Klik i dźwięki muzyki ucichły. - Jeden głupi ruch i jesteście trupami - kontynuował głos z ciemności.

Nadal nikt się nie poruszył. Już nie byli oślepieni, ale stali nieruchomo nie potrafiąc przebić wzrokiem otaczającej ich ciemności. Nie odwracając głowy w kierunku kolegów z patrolu Lampard wyszeptał:

- Idę. Jeśli zaczną strzelać, rozwalcie ten samochód. Rozumiecie? Bez oglądania się na mnie. - Miał dziwaczne uczucie, że stoi obok siebie i przysłuchuje się swoim rozkazom. Dał krok do przodu i uczucie zniknęło.

Teraz dokładnie widział samochód. Wielki kabriolet alfa romeo. Za kierownicą siedział major Luftwaffe. Poza nim w wozie nie było nikogo. Podeszedł do samochodu i rozejrzał się. Byli sami.

- Bezczelne kłamstwo. Gaś światło i wyskakuj.

Major zgasił światło i ponownie objęła ich ciemność.

- Czy mogę zabrać swoją łaskę? - zapytał Niemiec.

Lampard otworzył drzwi wozu. Oficer z pewną trudnością wysiadł. W tym czasie sierżant Davis i kapral Pocock zaszli go od tyłu. Harris obszukał Niemca sprawdzając, czy nie ma broni. Dunn szepnął:

- Mamy jeszcze tylko trzy minuty.

- Wystarczy, teraz zwiejemy samochodem.

- Nie możemy go tu tak zostawić - stwierdził Dunn.

- Zarznię go - ofiarował się Harris.

- Dlaczego nie. Zarznięty już nikomu nie zaszkodzi - zgodził się Lampard.

- Beze mnie nie uciekniecie - odezwał się Niemiec. Harris w tym czasie wyciągnął nóż gotując się do zadania ciosu. - Nie uciekniecie sami - powtórzył Niemiec - Przejście w ogrodzeniu zaminowane.

- Idiotyzm - oburzył się Dunn - Weszliśmy, to wyjdziemy.

- Wątpię. Kiedy wchodziliście, miny były *Ausgeschaltet*. - Chwilę milczał, szukając angielskiego wyrażenia - Powy... wyłączone. To są miny włączane elektrycznie. Sam włączałem.

- Co o tym myślisz? - Lampard zapytał szeptem Dunna.

- To całkiem możliwe.

Lampard starał się spojrzeć w twarz Niemca, ale nie widział jej wyraźnie. Słyszał tylko jego głos. Zapytał:

- Dlaczego nam pomagasz?

- Dwie minuty, pięć - rozległ się szept Dunna.

- W dwie minuty i tak wam nie wyjaśnię - wzruszył ramionami major.

- Okay, zapomnijmy o tym. - Lampard położył rękę na masce samochodu. - Powiedziałeś, że możesz nas stąd wywieźć. - Powiedziałem, że spróbuję.

- Spróbujesz? A niby dlaczego?

- Jezu, a kogo to obchodzi. - W głosie Harrisa wyczuwało się podniecenie.

- Mnie kapralu. Nie przywykłem korzystać z pomocy wroga.

- To zawsze lepsze niż śmierć - stwierdził spokojnie major. - Nawet niemiecki oficer nie ma zamiaru umierać.

- Zapalniki są cholernie punktualne - przypomniał Dunn.

- Co o tym myślisz? - zapytał go Lampard.

- Wsiadamy do wozu i wyjeżdżamy przez główną bramę. Ja prowadzę - oświadczył major. - Straż mnie nie zatrzymuje.

- Ja prowadzę, ty siedzisz obok mnie.

- To nie jest najlepszy pomysł - Davis i Pocock tymczasem wskakiwali na tylne siedzenie, ale major się nie ruszył. - Ja muszę prowadzić.

- To zawieziesz nas, gdzie będziesz chciał, prosto na odwach.

- Wtedy mnie zastrzelicie.

- Ja jeżdżę szybciej.

- Ja znam drogę.

- Niech was szlag - wściekł się Harris. - Ja odjeżdżam, a wy się tu kłóćcie.

- To mój wóz - tłumaczył major. - Jeśli któregoś z was straż zobaczy za kierownicą, natychmiast coś zwęszy.

Lampard otworzył drzwi i pomógł majorowi wsiąść do samochodu.

- Doskonale - mruknął Niemiec zapuszczając silnik.

Lampard wskoczył na przednie siedzenie koło Niemca wymierzając lufę pistoletu prosto w pierś kierowcy.

Wóz ruszył.

- Pospiesz się. - Cicho rozkazał Lampard. Niemiec wjechał na pas startowy i dodał gazu. - Jeden nieostrożny ruch i zastrzelę. Po prostu z nerwów.

- A on jest ogromnie nerwowy - dodał siedzący za Niemcem Dunn.

Major jedynie uśmiechnął się.

Niemiec prowadził szybko i pewnie, w niespełną minutę później dojeżdżali do pomalowanego na biało szlabanu znajdującego się przy wyjeździe. Stał tam strażnik, za którego plecami znajdowała się budka. Trzymał na ramieniu karabin; najwyraźniej poznał samochód, gdyż podszedł do szlabanu i podniósł jego ramię. Major zwolnił, minął strażnika przesyłając mu niedbałe pozdrowienie i ponownie nacisnął na gaz.

- To było zbyt łatwe. Nie można by powtórzyć? - Rozległ się szept Davisa.

Nie ujechali nawet dwóch kilometrów, gdy usłyszeli potężny huk i płomień wybuchu oświetlił okolicę. Siedzący z tyłu obejrzeni się, a Lampard obserwował majora. Ten jednak był całkowicie pochłonięty prowadzeniem. Kilometr dalej i po pięciu kolejnych wybuchach, Lampard powiedział:

- Wystarczy, zjeżdżaj z drogi i jedź w kierunku Dżebel.

Od strony lotniska padał blask pożaru. Major zwolnił.

- Czy poważnie mówicie, że chcecie się drapać piechotą po zboczach Dżebel?

Zauważyli na szosie dwa samochody ciężarowe gnające z włączonymi syrenami w kierunku lotniska. Rozległy się grzmoty wystrzałów z dział przeciwlotniczych. Major wrzucił niższy bieg.

- Znam drogę przejeżdżną dla samochodu.

Ponowny wybuch i silny błysk światła.

- Amunicja wyleciała w powietrze - powiedział Pocock wyraźnie zadowolony, a major nadal starał się ich przekonać.

- Jeździłem tą drogą w dzień. Jeśli jednak chcecie się wspinać na piechotę... - wzruszył ramionami.

- No dobrze - zgodził się nagle Lampard. - Spróbujemy bez światła. Nie życzę sobie by ci z Afrika Korps wiedzieli gdzie jesteśmy.

- Mamy zastępcze oświetlenie - mruknął major. Niebo nad Barce pulsowało czerwoną łuną, której natężenie ustawicznie wzrastało. Przejechali równinę u podnóża wzgórz i major odnalazł drogę. Była zbyt wąska i zbyt wyboista. Wozem rzucało na wszystkie strony, a major szarżował z boczka, jakby uznał ich zdobycie za sprawę honoru. Skakali po kamieniach. Karoseria trzeszczała,

sprężyny piszczały, zawieszenie tłuło o podłoże. Wydawało się, że wóz jeśli się nie wywróci, to rozleci w kawałki.

Wreszcie wyjechali na linię szczytów i odetchnęli z ulgą. Niemiec zatrzymał wóz, a Lampard wyciągnął rękę i wyłączył silnik. Kapral Pocock ocierał płynącą z nosa krew i kląć burczał:

- To było gorsze niż tam na lotnisku.
- Przestań się mazgać - uciszał go Dunn.
- Ściągaj buty - polecił majorowi Lampard.
- Boicie się, że ucieknę? - zdziwił się i dodał. - Nie ma zbytnej obawy, że mógłbym to zrobić.

Lampard odebrał od Niemca buty i zauważył, że jeden z obcasów był o kilka centymetrów wyższy od drugiego.

- Czy nie lepiej go puścić? - wtrącił się kapral Harris - Niech sobie w skarpetach wraca do domu.

- Przeszukaj go - polecił Lampard Davisowi. Sierżant odebrał od Niemca portfel, jakieś karteczki i drobiazgi. Wszystko to ułożył na ziemi.

- A teraz wracaj do wozu. - polecił Lampard. - Jesteś majorem Luftwaffe?

- Na razie jestem jeńcem brytyjskim.

- Schramm. P. D. Schramm. P jak...?

- Paul. - Major usiadł, oparł się o siedzenie i przymknął oczy. - A pan ma literę J. jak Jack.

Lampard zignorował jego zachowanie i z zainteresowaniem przeglądał znalezione papiery. Wreszcie podsuwając je pod nos Dunnowi, zapytał:

- Co to oznacza? - Palcem pokazał słowo Abt., przy którym figurowała cyfra 5.

- To chyba Abteilung 5. Wywiad Luftwaffe.

- A więc sama śmietanka. Musimy faceta odstawić do Kairu.

- A pan się nie przedstawi, kapitanie Lampard? - zapytał Schramm.

- Nie mogę się powstrzymać, by się nie pogapić - powiedział Lampard wrzucając do plecaka papiery jeńca, przyglądając się przy tym łunie nad lotniskiem. I ciebie zapraszamy na widowisko - zwrócił się do Niemca.

Przez jakiś czas wszyscy w milczeniu patrzyli na szalejący u stóp wzgórz pożar. Łuna musiała być widoczna na dziesiątki kilometrów, a palącą się oliwę czuć było nawet tu, na szczytach wzgórz.

- Jak myślisz, co powie na to wasz wywiad?

- Nie będzie się mógł powstrzymać, by się nie pogapić. - Brzmiała odpowiedź, która zdumiała cały patrol.

* * *

Szczyt wzgórz Dżebel stanowiła pofałdowana równina. Miejscami teren był bardzo poszarpany, poprzecinany głębokimi rowami. Zieleni nie było wiele, ale rosły tu karłowate drzewa i kępy krzaków. Arabowie wypasali tu stada kóz.

Wóz prowadził teraz sierżant Davis. Szybko dojechali do bazy położonej o osiem kilometrów na południe od Dżebel. Czekwały tam na nich trzy pojazdy: uzbrojony jeep, samochód z radiostacją i ciężarówka. Wozy były załadowane i gotowe do odjazdu.

Powracający patrol powitało radośnie sześciu ludzi. Każdemu z członków grupy wręczono blaszany kubek wypełniony słodką herbatą z dodatkiem rumu. Swoją porcję otrzymał również Schramm. Skosztował i zapytał,

czy mógłby dostać rum bez herbaty.

- Nie przejmuj się nim - powiedział Davis do żołnierza, który nalewał do kubków. - To cudzoziemiec i nie wie, co dobre.

- Powinien się pan do tego przyzwyczaić - tłumaczył Schrammowi Dunn.

Niemiec raz jeszcze spróbował i skrzywił się.

- Mam kuzyna. Mieszka w Lipsku - powiedział

- To co z tego?

Schramm ponownie łyknął i wzdrygnął się.

- Nawet w najbliższej rodzinie nie podano by takiego świństwa.

- Zuchwały skurwysyn - mruknął Pocock.

- Mówi pan o sobie? - zaripostował Schramm.

- Jak na jeńca wojennego wałęsającego się bez butów, jest pan nazbyt frywolny - upomniał go Lampard, choć nie było w jego głosie nagany. Niemiec uśmiechnął się, a Lampard pomyślał, że to chyba mity facet, choć chętnie ich wykończy, jeśli tylko będzie miał okazję do tego, by dać nogę.

* * *

Wczesnym rankiem ruszyli i przenieśli się o mniej więcej szesnaście kilometrów dalej na południe, gdzie zaparkowali w krętej dolinie pod stromymi, wapiennymi skałami. Na pojazdy zarzucono siatkę kamuflującą. Schramm obserwował działania z ciekawością. Zdawał sobie sprawę, że nawet nisko lecący samolot zwiadowczy nie ma najmniejszych szans, by ich wytropić.

Słońce, jak zawsze w tej części świata, wstawało szybko i w piętnaście minut po ukazaniu się zza horyzontu grzało z

całą mocą. Schramm czuł, jak nocna rosa zaczyna parować z jego marynarki. Siedział oparty o ścianę i przyglądał się sprawnej pracy patrolu. Nikt się nie spieszył, ale też nikt nie obijał, nie migał, nie czekał na rozkazy. Pracując żartowali. Lampard dał nura pod siatkę ochronną i wrócił z pojemnikiem na wodę. Ktoś radośnie zagwizdał

„Są o wiele kilometrów za swoimi liniami, a czują się tak, jakby byli u siebie w domu”, pomyślał Schramm. Nagle wyrósł przed nim kapral Pocock, położył mu rękę na ramieniu i powiedział:

- Śniadanie.

Major przez chwilę nie był w stanie pojąć, o czym mowa, i dopiero, gdy do niego dotarło, uśmiechnął się.

- Po gorącym posiłku poczuje się pan lepiej - zapewnił Pocock, i dodał: - Kapitan powiedział, że można panu oddać jeden z pańskich butów.

Był to but z podwyższonym obcasem. Schramm wciągnął go na nogę i podążył za Pocockiem.

Śniadanie było doskonałe: kiełbaski, bekon, stek, kartofle, fasola. Herbata według życzenia i morele z puszki. Schramm krytycznie ocenił ten zestaw:

- A nie ma *Sauerbraten mit knedels*? Albo *Rahmschnitzel mit Champignons*!

- Przykro mi, ale nie trafił pan na odpowiedni dzień - Lampard przybrał zmartwiony wyraz twarzy. - Jednak kiedy dojedziemy do Kairu, obiecuję mnóstwo pyszności.

- Jajka i frytki - Harris przymknął oczy z lubością. - Zabiłbym za talerz jajecznicy z odsmażanymi ziemniakami. - Ktoś parsknął śmiechem, pozostali przyjęli to wyznanie z obojętnością.

- Powiem ci coś - Lampard zwrócił się do Harrisa. -

Gdyby nasz jeniec chciał uciekać, a ty go zabijesz, masz u mnie przez cały tydzień w Kairze, każdego dnia, porcję jajek z frytkami.

Harris oceniał sylwetkę Schramma. Jego szare, wąskie oczy zwęziły się jeszcze bardziej, ale nie przestawał żuć kawałka steku. Połknął, wysłał resztki mięsa spomiędzy zębów i powiedział:

- Wygląda na wysportowanego. Daję mu na starcie kilometr forów i zakładam się, że dopadnę go w ciągu dwudziestu minut. - Nadział na widelec kiełbasę.

Schramm zjadał smażone kartofle, przypatrywał się sierżantowi, jakby odpowiadając wzrokiem na wyzwanie.

- Co, nie jest pan zainteresowany zakładem? - zapytał Harris. - Nie dziwię się.

- Ależ jestem zainteresowany. Ale nie współzawodnictwem sportowym, bo wojna nie ma dla mnie nic wspólnego ze sportem. Mnie interesuje stawka. Czy ma pan coś takiego, co warto byłoby wygrać?

Harris odpiął kieszeń i wyjął starą, brudną, wyleniąłą łapkę króliczą.

- Maskotka. Przynosi szczęście.

- Może panu, ale kiedy ja ją wygram, mnie nie musi. - Schramm robił wrażenie rozczarowanego.

- On panu nie da szans na wygranie - uprzedził Pocock.

- To się jeszcze okaże. - Niemiec nie wyglądał na przestraszonego.

W ścianach wąwozu były obszerne pieczary i tam zaniecono rzeczy. Schramm przypuszczał, że będzie musiał leżeć na ziemi. Okazało się jednak, że wyjęto tylne siedzenie z alfa romeo i odstąpiono mu jako miejsce do spania.

- Bardzo to miłe z panów strony - podziękował
- Zawsze do usług - Lampard z emfazą pełnił rolę gospodarza. - Proszę mi powiedzieć, czy pańskim zdaniem szukają nas?

- Z całą pewnością. - Schramm zdjął bluzę i wsadził ją sobie pod głowę. - Wysłali setki, tysiące ludzi na poszukiwanie.

- A gdzie mogą szukać?

- Oczywiście tu, w Dżebel.

- Dlaczego oczywiście? Mogą przypuszczać, że zabrała nas łódź podwodna. Mogliśmy się skryć w Benghazi.

Schramm ziewając zasłonił ręką usta.

- Bardzo przepraszam, ale nie możemy tej dyskusji odłożyć na później? Nie jestem tak młody jak pan i czuję się znużony.

- Bardzo przepraszam pana, majorze. Jestem gruboskórny. - Lampard zrobił ruch, jakby otrząpywał Niemca z kurzu - Oczywiście może się pan zdrzemnąć. Jeśli pan czegokolwiek potrzebuje... czegokolwiek. Przykro mi, jeśli czegoś nie będzie - uśmiechnął się przepraszająco i pomyślał: „Jeśli chcesz uprawiać tę grę, to bardzo proszę”.

Za plecami Lamparda, w wejściu do pieczary, stał kapral Harris. Jego sylwetka wydała się Schrammowi o wiele groźniejsza, od sylwetki oficera. Położył się, zamknął oczy i usiłował zignorować zastępy much, co mu się wkrótce udało.

* * *

Około południa kamienie były rozgrzane, jak patelnia na ogniu, a powietrze tak gorące i lepkie, że nie nadawało się do oddychania. Po południu upał nieco zelżał. Można było

swobodniej odetchnąć.

Schramm przespał niemal cały dzień. Późnym popołudniem wyszedł z pieczary, usiadł w cieniu pod głazami i przyglądał się życiu obozowemu, gotowaniu, czyszczeniu broni, tankowaniu wozów, sprawdzaniu ciśnienia w oponach, dokładnemu przeglądowi radiostacji i dziesiątkom innych czynności. Zauważył, że siatek z kamuflażem nie ruszono, a na szczycie jednej ze skał siedział obserwator.

Lampard przysiadł się do niego i zaczął czyścić swój pistolet maszynowy.

- Ogromnie mi przykro, że nie mamy dość wody, by mógł się pan ogolić - powiedział

- Drobnostka, panie Lampard. - Machnął lekceważąco ręką by pokazać, że nie jest obrażony.

- Niech pan zaspokoi moją ciekawość - Lampard nie przerywał czyszczenia broni - Czy wszyscy z Abteilung 5 mówią tak dobrze po angielsku?

- Przypuszczam - Schramm podrapał się po policzku. Właściwie był zadowolony, że nie musiał się golić. - Oczywiście wszyscy eksperci.

- Czyżby? A pan jest ekspertem od czego?

- Od centrum Londynu. Okolice Knightsbridge.

- Pan żartuje - Lampard był zaskoczony.

Schramm zdjął z prawej stopy skarpetkę. Była poprzecierana na palcach i na pięcie.

- Pan wychowywał się w Norfolk, czy tak?

- Poznaje to pan po akcencie? - zdumiał się Lampard.

- Och nie. Wyczytałem w pańskich aktach. Co jeszcze zapamiętałem? Drugie imię... chwileczkę... Roger? - Przypatrywał się swojej stopie i poruszał palcami u nogi.

- Richard.
- A właśnie, Richard. I przed dwoma laty pobił się pan z jakimś oficerem. Nazywał się Hooper. Kapitan Hooper.
- Wielki Boże. Coś jeszcze?
- Czy ja wiem... Kapitan Hooper przegrał.
- A pan gdzie się nauczył angielskiego? - Nie przerywał czyszczenia broni.
- No róż, to nie tajemnica. W 1917 wasz Royal Flying Corps zestrzelił mnie. Byłem jeńcem wojennym i okazało się to ogromnie nudne zajęcie. Praktycznie nie mieliśmy nic do roboty. A więc zabrałem się za angielski i czytałem. Setki książek. Dickensa, Kiplinga, Twaina, O. Henry'ego i innych, już zapomniałem nazwiska. Historie o Tarzanie. Wszystkie. Szalenie mi się podobały. Stanowiły symbol ucieczki i wolności. Pan lubi czytać?
- Tak naprawdę, to niczego nie lubię, poza walką... A co pan robił po wojnie?
- To i tamto, tu i tam. Czegoś się nauczyłem. Oprowadzałem Amerykanów, trochę dziennikarzyłem w Londynie. Byłem korespondentem Reutera w Berlinie - Niemiec przyglądał się, jak Lampard czyści lufę. - To dziwaczne. Dlaczego używa pan tej nieporęcznej broni gangsterów, kiedy mógłby pan posługiwać się stensem? O połowę mniejszy.
- Czuję się z nim pewniej. A co robił pan w samochodzie, tam na środku lotniska?
- Słuchałem „Radia Rzym”, przez... - Pokazał na swoje uszy.
- Słuchawki?
- Tak, przez słuchawki. Zdjąłem je kiedy was zobaczyłem. Nie zauważyliście niczego? Jesteście

ryzykantami.

- I pan też, drogi kolego. Jeden pański głupi ruch, a moi ludzie roznieśliby granatami pańskie alfa romeo.

- Zabiliby przy tym pana.

Lampard wcisnął magazynek i włożył pistolet w pokrowiec, którego nie zamykał.

- Przypuszcza pan, że to by ich powstrzymało?

Schramm usiłował podnieść kamyczek palcami nogi, ale mu się nie udawało. Kamyk był za duży.

- To ogromnie brutalny sposób prowadzenia wojny - zawyrokował.

- Brutalność, to wasza specjalność.

- I kaprała Harrisa.

- Ależ skądże. Kaprała Harrisa brutalna wojna śmiertelnie nudzi. Tak naprawdę, to bawi go jedynie zwykłe, okrutne morderstwo.

- Oraz jajka ze smażonymi ziemniaczkami.

Nad ich głowami załomotała o skały pusta puszką po konserwach.

- Samolot! Samolot! - zawołał Lampard.

Wszyscy bez pośpiechu porzucili zajęcia, jakie wykonywali i usiedli w cieniu, pod skałami. W chwilę potem usłyszeli jednostajne brzęczenie silnika, ale samolot przelatywał gdzieś w oddali i nie był widoczny z wąwozu.

- Harris rzeczywiście pasjami zajada jajka z frytkami - Lampard powrócił do tematu - Kiedyś on i Pocock zgubili się w czasie patrolu i wybrali się do domu na piechotę, a mieli do przejścia trzysta kilometrów. Skończyło im się żarcie, ale natrafili na jedną z tych waszych kantyn, jakie wybudowaliście wzdłuż wybrzeża. Nazywacie je Casa i coś tam.

- Casa Cantieri.

- No właśnie. Był już późny wieczór. Wrzucili do środka granaty i wszystkich pozabijali, z wyjątkiem kucharzy. Pocock chciał złapać cokolwiek do żarcia i wiać, ale Harris kazał kucharzom, by usmażyli mu jajka i frytki. Kucharze byli oczywiście

Włochami. Kantyna wyglądała jak rzeźnia. Wszędzie krew, trupy, śmiecie. Na dodatek ciągle przychodzili włoscy żołnierze. Harris stał przy drzwiach z tasakiem do mięsa i każdego wchodzącego mordował. Pocockowi cała ta zabawa się nie podobała, ale Harris czuł się jak ryba w wodzie. Kucharze byli tak przerażeni, że spieprzyli te jajka i Harris kazał im robić jeszcze raz. Tak więc oni smażyli, a on nadal mordował tych, co wchodzili. Wreszcie jajka i frytki były gotowe, ale Pocock stracił apetyt więc Harris zjadł jego porcję i swoją. A potem poszli. Może pan sobie wyobrazić to, co pozostawili po sobie.

- Nie mam w ogóle wyobraźni - zaprzeczył Schramm. - Skapitulowała wobec otaczającej nas rzeczywistości.

Rozległ się dwukrotny grzechot puszek ciskanej o skały.

- Alarm odwołany! - oświadczył Lampard. - Coś niespecjalnie się trudzą z poszukiwaniem pana.

- Zna pan przecież niemieckich żołnierzy - Schramm uśmiechnął się smutnie. - Ospali, leniwi, nieodpowiedzialni. Jak przypuszczam teraz są zajęci obiadem.

* * *

Stali kołem i jedli z puszek. Na stojąco łatwiej było odganiać muchy, które nie dawały za wygraną. Przez cały dzień czekały na ten moment. A było na co czekać. Na

obiad podano: łososia, szynkę, ozorki, kielbaski, bukiet z jarzyn, ostry sos, morele i ser. Wszystko z puszek. Jediną niepuszkowaną proteiną były muchy, jeśli się je nieopatrnie połykało.

Oficer łącznościowiec, młody, ale już łysiejący porucznik Ton Watermann zagadnął jeńca:

- Pan z jakich stron w Niemczech?

- Lipsk.

Pokiwał głową zastanawiając się nad czymś. Był niski, miał skłonności do tycia i dobrotliwy wyraz twarzy.

- Byłem w Hamburgu i w Hanowerze, ale tak się złożyło, że nie byłem w Lipsku.

- Wiem.

Waterman uśmiechnął się zgodnie, a stojący obok Gibbon zapytał:

- Co to znaczy, że pan wie? - Był nawigatorem patrolu. Miał czerwoną, pokrytą kurzem brodę i patrzył podejrzliwie na Schramma. Podobnie jak na wszystko i wszystkich. Być może to wina tego potwornego upału na pustyni.

- Major Schramm czytał papiery każdego z nas - wyjaśnił Lampard. - Ma teczki wszystkich członków SAS. Pan jeszcze nie zna kapitana Gibbona - Ręką, w której trzymał puszkę wykonał ruch wzajemnej prezentacji obu panów.

- Miło pana spotkać - odezwał się grzecznościowo Schramm.

- Wywiad niczego nie wie - zaprotestował Gibbon. - To pierwsze prawo wojny, którego nie uczą w szkołach oficerskich.

- Corky ma rację - powiedział Schramm, co zdumiało

wszystkich, z wyjątkiem Gibbona - I moje gratulacje z okazji otrzymania Krzyża Wojskowego.

- O czym on mówi? - Gibbon zapytał Dunna.

- Corky nie dostał krzyża - powiedział ten do Schramma..

- Wkrótce dostanie.

- Naprawdę? Za co? - zainteresował się Lampard.

Schramm zlizął sos, jaki został mu na górnej wardze.

- Przykro mi - powiedział. - Nie mogę panom wyjawić. -

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, nawet Gibbon.

Kapral Harris kopnął jakiś kamyczek w kierunku Schramma i zapytał:

- A co macie na mnie w swoich papierach?

- Och... - Schramm wyraźnie szukał czegoś w pamięci. - Jestem przekonany, że z akt wynika, że jest pan dżentelmenem i intelektualistą, który nigdy nie wytrze nosa w obrus, jeśli ma firanki w zasięgu ręki.

Było to tak nieoczekiwane, że wszyscy wybuchnęli śmiechem, z wyjątkiem Harrisa. Ten wypił łyk herbaty, wciągnął ponownie nieco herbaty w usta i wydmuchał przez zęby.

- On nie wygląda mi na Niemca - syknął. - Jest na to za mądry. To jeden z naszych, tyle, że się zaprzedał tamtym.

- *Es war sehr sehen. Ich danke I hnen, ich muss jetz gehen* - powiedział Schramm.

Lampard popatrzył na Dunna, który przetłumaczył:

- Wydaje mi się, że to znaczy: „Dziękuję za towarzystwo, ale już muszę iść”.

Ponownie rozległo się chrobotanie puszkii o kamienie.

- To zapewne mój autobus - stwierdził Schramm.

- Zatkaj się! - uciął Lampard.

Wszyscy przytulili się do skał, gdzie nadal otaczały ich roje much. Szum silnika samolotu wydawał się być coraz bliżej.

- Nie ma się czym przejmować, to Storch - powiedział Dunn.

Storch używany był przez Niemców do rekonesansów i wożenia generałów. Latał wolno, jak wrona i na ogół nie był uzbrojony. Lampard i Dunn usiedli po obu stronach jeńca i kończyli obiad.

- To druga wizyta samolotu w ciągu niespełna godziny - powiedział Schramm. - Być może... - szukał właściwego słowa - nakryli was.

- Niewykluczone, że coś dostrzegli - przytaknęła Lampard. - Z tym jednak, że zatarliśmy ślady na ostatnich kilkuset metrach. Nie mogą wiedzieć, w którym wąwozie jesteśmy.

- Samolot nie może też zejść bardzo nisko - dorzucił Dunn. - Prawdopodobnie domyślają się, że mamy ciężki karabin maszynowy i możemy z nich zrobić kaszkę na miękko. Morelek pan nie dokończy?

- Dokończę. Ale wasz karabin nie jest gotowy do użycia.

- On o tym nie wie.

- Nie może pan tego być pewny.

- Proszę niech się pan zatka i wsuwa morele. Jak nie, nie zawiozę pana do Kairu i nie zobaczy pan admirała Cunninghama - przestrzegł Lampard.

- On jest w Aleksandrii - odpowiedział Schramm - a dowódcą waszej Ósmej Armii został generał Auchinleck.

Lampard tak się wściekł, że machnął ręką i zgubił kartofla nadzianego na widelec.

- Na miłość boską, niech się pan przestanie popisywać.

- Przepraszam. Myślałem, że i wy chcielibyście się o tym dowiedzieć.

- Widzi pan, co pan narobił. - Lampard wymachiwał pustym widelcem. - Przewieźli ten kartofel przez Ocean, dookoła Afryki, przez Kanał, przez pustynię, bym miał siłę do walki, a teraz przez pana... - splunął ze złością.

- Jeśli jesteście tak dobrze o wszystkim poinformowani, to jak to się stało, że nie wiedzieliście wczoraj o naszym rajdzie - wtrącił Dunn.

Schramm nie odpowiedział zajęty konsumowaniem sera. Lampard natomiast w podzięcie uściśnął rękę Dunna.

- Znakomicie powiedziane - przytaknął. - Dlaczego nie wiedzieliście?

Przez chwilę wszyscy czekali na odpowiedź. Brzęczenie silnika samolotu stało się wyraźniejsze. Dunn wyłowił ze swojej herbaty kilka much. Po czym szybko wypił pozostały płyn, by nie zdążyły się następne. Lampard ziewnął, przeciągnął się tak, że aż zatrzeszczały kości i wrzasnął:

- Sierzancie Davis!

- Tak jest!

- Czy wartownik już jadł?

- Jeszcze nie...

- To poślijcie zastępstwo. Ten pieprzony samolot zaczyna być nudny. Za godzinę się ściemni, a wtedy zwiewamy.

Dunn drapiąc się po brodzie, oglądał z zainteresowaniem własne paznokcie.

- Czego pan słuchał tam, w samochodzie?

- Muzyki Mozarta. Daleko od budynków odbiór jest lepszy.

- Moja siostra gra na pianinie. Dostała jakąś nagrodę za *Księżycową Sonatę*. To Mozarta?

- Beethovena.

- Niewielka różnica.

- Anglicy nie są zbyt muzykalni - stwierdził Schramm.

- Ale - oburzył się Dunn. - Napisaliśmy wiele klawych melodii: „*Tak, nie mamy bananów*”, „*Toczą się beczki*”. Musi pan zobaczyć, jak nasi słuchają, kiedy Radio Belgrad nadaje Lili Marlene. Śmiertelna cisza.

- Nie mógłbyś się zatkać? - zapytał Lampard.

Szum silnika był jeszcze silniejszy i bliższy, wypełnił cały wąwóz. I nagle samolot ukazał się nad ich głowami. Leciał zdumiewająco wolno i nisko, jakieś trzydzieści metrów nad ziemią. Wyraźnie badał wąwóz, w którym się ukrywali. Nie powodowało to zaniepokojenia Lamparda. Wozy były doskonale zamaskowane siecią, a ludzie siedzieli pod skałami. Jak długo pozostawali nieruchomi, nie było mowy, by ich można było zobaczyć z samolotu.

- Wielki Boże, to samolot brytyjski! - krzyknął Schramm i kiedy Lampard i Dunn przysłaniając oczy usiłovali zobaczyć znaki na kadłubie maszyny, Niemiec zerwał się i biegiem ruszył przed siebie.

Pierwszy strzelił sierżant Davis. Strzelił w ogóle nie celując i chybił. Natychmiast po nim zrobił to Harris, ale i on przed chwilą obserwował samolot, więc nie miał czasu, by skoncentrować się na sylwetce uciekającego. Również i on nie trafił. Dunn strzelił najcelniej. Jego kula przeleciała między nogami biegnącego. Tymczasem Schramm był już dwadzieścia metrów od nich i nadal rwał przed siebie. Kamienie raniły go w bosą nogę, co powodowało, że utykał i zataczał się. Upadł, zerwał się i ponownie gnał do przodu.

Wypadł z cienia i biegnąc w pełnym słońcu wymachiwał rękami.

- Nie strzelać! Nie wychodzić z cienia! - wrzasnął Lampard. - Nie ruszajcie się! Niech zwiewa!

Schramm tego nie słyszał. Gnał wielkimi susami dnem wąwozu i starał się rękami zwrócić na siebie uwagę pilota Storcha. Samolot tymczasem jeszcze bardziej obniżył lot i zaczął zataczać kręgi.

- W jeepie mam karabin i z łatwością dostanę tego Niemca - warknął Davis.

- Nie, sierżancie. Słuchajcie. Jak długo mamy nad głowami ten samolot, nie wolno tknąć jeńca.

Schramm był już o sto metrów od nich i rwał w kierunku wyjścia z wąwozu.

- Wiesz, co robisz, Jack - mruknął Dunn. - Jeśli o mnie chodzi, to posłałbym skurwysynowi kulę. Samolot tu nie wyląduje, a nawet gdyby mógł, to by tego nie zrobił

- Pomyśl - tłumaczył mu Lampard. - Pilot widzi biegnącego. To nie jest Arab, a więc zapewne major, którego szukają. I nagle bang, ktoś go zastrzelił. Co to znaczy?

- Rozumiem już.

- Teraz ten ze Storcha nadaje do bazy: Mam tu coś śmiesznego. Odnalazłem waszego majora, ale nie uwierzycie, tu jest ktoś, kto go właśnie ustrzelił. Co ty byś w takiej sytuacji zrobił?

- No cóż... kazałbym sobie podać koordynaty i wysłałbym kilka Stukasów, by nad tym popracowały.

- Słusznie. A byłeś kiedyś pod ogniem Stukasów?

- Raz, i to mi całkiem wystarczy. - Dunn i Lampard patrzyli jak Schramm gna dnem wąwozu, a Storch krążył

nad jego głową. Po chwili biegnący zniknął im z oczu.

- Jediną sensowną rzeczą, jaką powinien zrobić ten Storch, to wrócić na lotnisko i zatankować - stwierdził Lampard, ale Storch krążył. - Spieprzaj wreszcie! - zdenerwował się, i tym razem tamten posłuchał. Samolot nabral wysokość i oddalił się na północ.

- Harris! - zawołał Lampard, a ten podskoczył do dowódcy. - Tamten ma tylko jeden but i musiał już sobie poranić nogę, a więc nie uciekł daleko. Leć za nim i zabij faceta. Jeśli wrócisz za dziesięć minut masz u mnie przez tydzień podwójną porcję jajek z frytkami.

Nie musiał powtarzać rozkazu. Harris już gnał w ślad za uciekinierem. Patrzyli, jak biegł pochylony do przodu.

- Gdybyśmy mieli milion takich żołnierzy jak Harris za tydzień byłoby po wojnie - zauważył nawigator Gibbon.

- Mylisz się - zaprzeczył Lampard. - Milion takich, jak Harris i wojna nigdy by się nie skończyła. Sierżancie Davis! - zawołał. - Myślę, że czas na zaparzenie herbaty.

* * *

Schramm kulał starając się jednocześnie oszczędzać prawą nogę. Zostawiał za sobą krwawe ślady na kamieniach.

Harris pędził dwukrotnie szybciej niż Schramm. Anglik był przekonany, że Niemiec nie mógł ujść daleko. Schramm był od niego dwa razy starszy, a poza tym był kaleką. Gdyby Harris potrafił współczuć, musiałby współczuć temu, którego ścigał. Ponieważ jednak nie był do tego zdolny, gnał pełen radości, że za chwilę rozprawi się ze swoją ofiarą, za co otrzyma pochwałę lub nagrodę.

Wąwóz skręcał w lewo, a zaraz potem w prawo. Siady krwi były wyraźne. Harrisa zaczynała dziwić trasa ucieczki. Przecież tu żaden samolot nie mógł wylądować, to oczywiste. Wąwóz był zasypany głazami tak wielkimi jak nagrobki. Ślady krwi stawały się coraz większe i częstsze. Coś leżało na ziemi. Chusteczka albo strzęp koszuli. Być może Schramm usiłował zabandażować sobie nogę. Harris jeszcze bardziej przyspieszył jakby chciał dogonić własny cień, który posuwał się przed nim. Był zbyt pewny siebie, a więc nieostrożny i to zadecydowało o szczęściu Schramma. Niemiec skulił się w przesmyku między głazami. Słyszał tętent kroków goniącego i w pewnym momencie zobaczył jego cień. Wtedy właśnie wykorzystał swoją szansę, rzucił się pod nogi biegnącego. Otrzymał kopa w samą twarz, ale Harris przewrócił się, uderzając głową o kamienie. Schramm zerwał się. W każdej ręce trzymał kamień. Rzucił pierwszy i chybił. Drugi trafił w głowę leżącego, ciężki kamień o ostrych kantach i uderzona nim czaszka pękła.

Patrzył, czy nikt więcej go nie ściga. Oczekiwał, że za chwilę usłyszy huk wystrzałów. Nic takiego się nie stało. Idioci - pomyślał. - Nie warci tego, by wygrać.

Lewy but okazał się za duży, ściągnął więc z nóg zabitego jego dwie skarpety. Teraz było lepiej. Zabrał jego rewolwer, granaty i nóż. Czuł, że ręce się mu trzęsą. Zaśmiał się głośno, ale ten śmiech mu się nie podobał. Wstał. But Anglika na nodze z dwoma skarpetkami leżał dobrze. Wziął broń i ruszył biegiem.

* * *

Minęło piętnaście minut i sierżant Davis z kapralem

Pocockiem poszli zobaczyć, co zatrzymało Harrisa. Davis przyniósł jego ciało przerzucając je sobie przez ramię. Zwisająca w dół głowa chwiała się rytmicznie, a ręce przy każdym kroku obijały o bok niosącego. Za nim szedł Pocock i niósł jeden but zabitego. Idąc oglądał się, czy Niemiec nie skrada się za nimi z granatami w rękę.

Lampard wyszedł im naprzeciw.

- To moja wina - powiedział, a Davis położył ciało na ziemi.

Zebrali się wokół zabitego i wpatrywali w zakrwawioną głowę oblepioną muchami. Nikt się nie odzywał. Przyniesiono koc i położono na nim ciało ściągając rój much. Przez ich natrętne i nerwowe bzyczenie przebił się dziwny dźwięk. Lampard płakał. Być może niektórzy byli zdumieni, ale nikt nic nie powiedział. Kapitan Lampard był dowódcą patrolu i jeśli chciał płakać, miał do tego prawo. Pozostawiono go więc przy zabitym.

- Co właściwie się stało, jak myślisz? - zapytał porucznik Dunn Davisa.

- Harris zapewne zdjął but by kopnąć Niemca, poczuł smród własnych nóg i upadł martwy. - Odpowiedział bez namysłu.

- Głupi dowcip, sierżancie.

- Oczywiście głupi, panie poruczniku, ale ja wiem, co mówię. Spaliliśmy razem z Harrisem w jednym namiocie.

Podszedł do nich kapitan Gibbon i pokazując na czerwono-żółtą tarczę słońca, powiedział:

- Mam nadzieję, że zarządzi wymarsz. Za dziesięć minut się ściemni. - Popatrzył na stojącego bez ruchu nad trupem Lamparda, i dodał: - Postawa zasadnicza do żałoby. Księga

Instrukcji, załącznik F dla służb zawodowych, obowiązuje w środy i w soboty.

Dunn tym razem również się nie uśmiechnął. Był oficerem zawodowym, podobnie jak Lampard i zachowanie dowódcy wydało mu się nazbyt pretensjonalne. Złościł go tani sentymentalizm.

Lampard uklęknął, poprawił koc przykrywający ciało i zawołał:

- Wszyscy tutaj!

Zebrali się wokół nieżywego Harrisa.

- Schramm uciekł - oznajmił kapitan odkrywco. - Pytanie, jak szybko się posuwa i jak daleko uszedł? Mike, co ty byś zrobił na jego miejscu?

- Zasuwałbym do domu - powiedział Dunn. - Miałbym nadzieję, że natrafię na grupę wysłaną na poszukiwanie.

- A może czekałbyś do rana?

- Ale skąd. Im szybciej doszedłbym do bazy, tym szybciej wysłanoby Stukasy, by dopadły nas na pustyni.

- No to może lepiej nie iść przez pustynię. - Lampard zamknął oczy i masował się po powiekach. - Sierzancie Davis, dlaczego macie taką zboląłą minę?

- On ma nóż i granaty Harrisa - odpowiedział tamten - Może okazać się na tyle głupi, że w nocy wróci tu, by się na nas odegrać.

- Zaczął wcale efektownie - skonstatował Gibbon.

- W nocy nas już tu nie będzie - oświadczył Lampard, co zostało przyjęte z pomrukiem uznania. Załóżmy, że wróg podejmie pościg, w jakim pójdzie kierunku? Na południe czy na wschód?

- Pomyślą, że idziemy na południe, do Kufry - przypuszczał Dunn.

- Tak? Dlaczego? Ponad tysiąc sto kilometrów do Kufry i tysiąc sześćset z Kufry do Kairu. Dlaczego mielibyśmy iść okreśną drogą?

- Ponieważ tą drogą przyszlismy - wtrącił się kapral Pockock.

- A wiedzieli o tym?

- Schramm zdawał się wiedzieć niemal o wszystkim co robimy. - skonstatował Dunn.

- A może założą, że pójdziemy na wschód, równolegle do wybrzeża - zastanawiał się Lampard. - To połowa drogi. Najbliżej i najprościej, z tankowaniem w Siwa. To oczywiste.

- Ta droga ma jeden minus - stwierdził Gibbon. - Zaatakują nas samoloty.

- Wątpliwe - sprzeciwił się Lampard. - Weź pod uwagę, że właśnie zniszczyliśmy połowę stanu posiadania Luftwaffe.

- Nie martwię się o Luftwaffe - wyjaśnił Gibbon - a o tych naszych głupich sukinsynów, którzy ćwiczyli na rodezyjskim patrolu.

- Pomyłka jest sprawą ludzką.

- Zabijanie też.

Wszyscy znali historię rodezyjskiego patrolu, który na całkowicie płaskiej, piaszczystej równinie został zaatakowany przez myśliwce RAF. Wystawiono sygnały rozpoznawcze, ale lotnicy nie przerwali ataku. Pomyłka była sprawą ludzką. I zabijanie też.

- Pochowamy tu Harrisa i zasuwamy na południe - zdecydował Lampard.

* * *

Paul Schramm szedł przez całą noc i nad ranem znalazł się na szczycie zbocza. Tu postanowił zaczekać do świtu, by odnaleźć właściwą drogę zejścia. Był wykończony, a stopy bolały go tak, jakby je obtłuczono drewnianym młotkiem. Położył się układając nogi na kamieniu. „Piechurzy odpoczywają w ten sposób”, pomyślał i całą siłę woli skupił na tym by nie zasnąć.

Po krótkim odpoczynku usiłował wstać. Był oficerem wywiadu w średnim wieku, nieco utykającym. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa, nie potrafiły unieść jego ciężaru uginając się w kolanach. Miał trudności z przekonaniem swoich stóp, że powinny systematycznie choć powoli nieść go w kierunku północnym do domu. Pokonał swoją słabość, choć kolana mu się trzęsły, a stopy spływały krwią.

Miał za sobą długi marsz, zapewne o wiele dłuższy, niż należało, ale w nocy tracił poczucie kierunku. Wydawało mu się, że krąży wkoło, a więc wdrapał się na jakiś pagórek usiłując ustalić kierunek na podstawie gwiazd. Pagórek okazał się być zrujnowanym grobowcem. Tu zdecydował się na to, by porzucić ciężkie granaty. Chciał zostawić je na grobowcu, ale siedząc i wpatrując się w gwiazdy przyszło mu na myśl, że jakiś ciekawski arabski chłopak, może znaleźć granaty i rozerwać się na strzepy. Podniósł więc je i wtedy po raz pierwszy pomyślał o Harrisie. Myśl ta sprawiła mu przyjemność. Schramm nie znosił przemocy. Był człowiekiem ugodowym. W tym, że trafił Harrisa kamieniem w głowę było coś symbolicznego. To głowa była najsłabszym punktem zabitego. Sprawne ciało ćwiczone przystosowując do zadań, jakie miało wykonywać. Rzadko używana głowa jednak nie była

przewidująca. Harris nie pomyślał, że uciekinier może ukryć się w zasadzce. Atak był jedyną szansą Schramma. Gdyby się nie udało Harris zarznąłby go w ciągu kilku sekund. A jednak mu się udało! Był zdumiony własnym zuchwalstwem. Podniósł się i ciężkim krokiem zszedł z grobowca. Ilu niemieckich oficerów, w średnim wieku i kulawych, rozwaliło łeb brytyjskim komandosom? Schramm czuł, że przepełnia go duma. Równocześnie jednak dotarło do niego, że myśli jak człowiek jaskiniowy. Radość z zabicia oznaczała, że zniża się do poziomu Harrisa.

Schrammowi sprawiało satysfakcję także i to, że wykiwał Lamparda. Przy okazji poznał go lepiej. Może kapitan był inteligentnym bystrzakiem. Wolał pozwolić mu uciec, niż ujawnić swoją pozycję przed pilotem Storcha. Jednak zbyt pewny

siebie, wręcz arogancki. Powinien był go trzymać z zakrytymi oczami, a nie pozwolić, by się przyglądał pracy patrolu. Wysłanie za nim w pościg tylko jednego człowieka też było błędem. Lampard był silnym facetem, ale zbyt szybko podejmował decyzje. Warto było o tym wiedzieć.

Wkrótce jednak zapomniał o Harrisie, Lamparcie i innych Brytyjczykach. Utrzymanie kierunku marszu na północ wymagało koncentracji. Miał jednak nieco szczęścia. Anglicy coś bombardowali, być może lotnisko w Benina lub w Berka, koło Bengahazi. Widział światła przeciwlotniczych reflektorów i łunę wybuchów, co było doskonałym drogowskazem. Nalot się jednak skończył. Zabłądził wtedy i natrafił na zapewne arabski obóz i pobudził psy, które czekały jak opętane. Wycofał się wielkim kołem omijając obóz, ale doszedł do drugiego

obozowiska i inne psy podniosły alarm. Uprzytomnił sobie, że nie ma nawet kija, by się obronić.

Potem ktoś do niego strzelał. Błysk wystrzału i huk zaskoczyły go. Padł na ziemię, rozciął sobie przy tym kolano. Był przestraszony i obolały. Wyciągnął pistolet Harrisa i oddał trzy strzały w ciemność nocy. Przez chwilę leżał i masował obolałe kolano. Zrobiło się jednak cicho, a psy, zapewne przestraszone strzelaniną, ucichły. Pokuśtykał dalej przeklinając pod nosem.

Dalsza droga zamazywała się w jego pamięci. Czasami nie zdawał sobie sprawy z tego, gdzie jest i dokąd idzie, czasami rozpoznawał miejsce, ale nie wiedział jak się tam znalazł. Ciało jego drżało z wysiłku i zmęczenia, a umysł chwilami odmawiał posłuszeństwa. Dojście do zbocza schodzącego na nadmorską równinę było dla niego zaskoczeniem. Ranek nadszedł z oszołamiającą szybkością. A może po prostu zasnął i zbudził się, kiedy było już jasno. W każdym razie nie było widać żadnej drogi, ani lotniska w Barce, czyli znajdował się o wiele kilometrów od miejsca, w którym chciał.

Słońce stało już dość wysoko, gdy odnalazł jakąś ścieżkę. Schodzenie okazało się trudniejsze, niż tego oczekiwał. Tłumacząc sobie, że lepiej schodzić, niż drapać się pod górę zszedł na równinę. Cały drżał i był mokry od potu. Czuł, że słońce świeci, ale go nie widział. Wydawało mu się, że całe niebo płonie.

Teraz trzeba było ruszyć przez równinę, której końca nie potrafił zobaczyć.

Nogi ponownie zaczynały się buntować. Wszystko wokół wydawało się falować od żaru. On sam czuł ogarniające go fale dreszczy. Rozdrażniony, uspokajał sam siebie:

„Spokój, jesteś oficerem, jesteś dowódcą, nie bądź idiotą”.

Pozbył się granatów. Odbezpieczał je i starał się rzucać jak najdalej. Wybuchały z donośnym hukiem, wyrzucając w górę słupy dymu. „Szkoda czasu i zachodu” - pomyślał, czując, że ogarnia go wściekłość.

Te wybuchy przyniosły mu jednak szczęście. Żołnierze z batalionu piechoty, którzy o jakieś dwa kilometry od niego, na poboczu drogi jedli śniadanie, usłyszeli huk i wysłali zwiadowców. Ci odnaleźli Schramma, jak dreptał w przeciwnym kierunku, niż należało. W godzinę później leżał już w szpitalu przy lotnisku w Barce i lekarz Luftwaffe wyciągał kamyki i kawałki skarpet z jego poranionych stóp.

- Jak daleko pan uszedł? - zapytał pacjenta.

Schramm otworzył oczy, po czym przymknął je ponownie.

- Przeszedłem pierwsze dwa metry, resztę już przepłynąłem - odpowiedział i jęknął, gdyż lekarz razem z odłamkiem kamienia zdarł kawałek skóry.

- To skutki opowiadania głupich dowcipów - zawyrokował doktor.

Wszedł dowódca jednostki stacjonującej na lotnisku, Oberstleutnant Bruno Hoffmann.

- Zrobiłem, co mogłem - informował. - Mówią, że nie ma wolnego samolotu w promieniu stu kilometrów. - Zrobił zdjęcia poranionym stopom majora.

- A to po co? - spytał Schramm.

- Dla kuchni. Chcę, by zrozumieli dokładnie, że to mięso nie nadaje się do konsumpcji. A nawet gdyby był samolot, to nie mają zamiaru nigdzie go posyłać. Uśmiech do kamery. - Wykonał jeszcze kilka zdjęć.

- Bardzo proszę - skrzywił się, gdyż lekarz oderwał mu kawałek skóry, ale potem leżał spokojnie. - Czemu nie chcą dać samolotu?

- Jest wiele powodów - wyjaśniał Hoffmann. - Twoi znajomi muszą być teraz o co najmniej sto pięćdziesiąt kilometrów stąd, gdzieś na Saharze, a Sahara jest wielkości Francji. Biorąc pod uwagę, że to tylko cztery wozy i kilkunastu ludzi, a w dodatku nie bardzo wiemy jakie mają plany, nie mamy dużych szans na ich odnalezienie. - Usiadł przy łóżku, wziął Schramma za rękę i starał się wymacać puls. - Zapomnij o nich Paul, a pomyśl o tym, by odzyskać siły.

- Wiem dokładnie, gdzie są - powiedział Schramm. - Wałą prosto na południe, jak tylko mogą najszybciej. Chcą się precyzyjnie znaleźć pomiędzy Oazą Dżalo a Morzem Piasków Calanscio. Potem wyjdą na otwartą pustynię, gdzie będą już bezpieczni.

Przekażcie przez radio informację do Dżalo - doradzał doktor, który miał na imię Max.

- Tam są Włosi - odpowiedział Hoffmann.

- Czy to nie nasz wspaniały sojusznik?

- Oni nie zawsze słuchają radia. A na pewno nie wtedy, gdy podaje się polecenie szukania dzikich i okrutnych brytyjskich komandosów.

- To nie komandosi, to SAS, Special Air Service - poprawił go Schramm.

- Zamknij się, ty już nie żyjesz. Nie wyczuwam w ogóle twojego pulsu. - Hoffmann spojrzął spode łba na lekarza, który przestał zajmować się stopami majora, a przesunął palec Hoffmanna we właściwie miejsce. - Aha, teraz mam!

- Oni przemkną koło Dżalo mniej więcej w południe -

stwierdził Schramm.

- Wiemy jedynie to, że ukrywają się gdzieś w Dżebel.

- Oni się wcale nie ukrywają w Dżebel - Schramm mówił głosem słabym, ale pewnym. - Nie mają już materiałów wybuchowych, a wkrótce zabraknie im żywności i paliwa. Chcą być jak najszybciej w domu.

- Mówili ci o tym?

- Mówili, że wiozą mnie do Egiptu. Ich ciężarówki były niemal puste. Stwierdziłem to po zawieszonych.

- Już właściwie skończyłem - oznajmił Max. - Jeszcze tylko nałożę maść i zabandażuję. Może nieco szczypać.

- O Chryste, już wiem, co to znaczy. Dajcie mi coś, bym się mógł trzymać. - Hoffmann zaoferował swoją rękę, a Schramm ścisnął ją z całej siły. - Mamy jeszcze tego Storcha, no nie? Tego, co mnie znalazł.

Hoffmann skinął głową. Czuł, że major prawie zgniótł mu rękę. Na twarzy Schramma pojawiły się kropelki potu.

- Daj mi tego Storcha - mówił. - Pokażę pilotowi, gdzie ma szukać. - Twarz ociekała mu potem.

- Już naprawdę kończę - uspokajał Max.

- Gdybym ich odnalazł - kontynuował Schramm - mógłbyś posłać wtedy jeden, czy dwa bombowce. Nie uważasz?

- To szantaż - mruknął Hoffmann, ale potwierdził skinieniem głowy.

- Zrobione - stwierdził Max, a uścisk ręki Schramma zelżał.

- On nie jest w stanie lecieć - oświadczył lekarz.

- Nie będzie pilotować - wyjaśnił Hoffman. - Będzie siedział obok pilota i patrzył. A oczy ma chyba zdrowe.

* * *

Byli w połowie drogi do Oazy Dżalo, gdy zaczęło świtać. Mieli kłopoty z wozami: złapali gumę, potem karburator się zatkał, a potem ponownie złapali gumę. Jechali ze zgaszonymi reflektorami, nie wiedząc, czy ktoś ich nie ściga. Noc była bezksiężycowa. Gdy wyjechali z Dżebel dostali się na pustynną nizinę. Żadnych wzgórz, jedynie równina od czasu do czasu porośnięta krzakami. Nudna i monotonna. Jednak nawet tu można się było nadziać na jakiś kamień i uszkodzić zawieszenie. No i trzeba było przekroczyć Tariq el Abd.

Tariq był starym szlakiem karawan wielbłądów. Dżebel stanowiło część wybrzuszenia wchodzącego w Morze Śródziemne, a Tariq był skrótem, którym się to wybrzuszenie omijało. Włoscy i niemieccy generałowie podejrzliwie patrzyli na mapy, na których zaznaczono szlak Tariq i doszli do wniosku, że nie można dopuścić do tego, by przeciwnik korzystał z tej drogi. Cały więc szlak naszpikowano tysiącami bomb i min.

Lampard zarządził postój o kilka kilometrów przed Tariq el Abel, do którego mieli jeszcze pół godziny jazdy. Rozpalili ognisko i nastawili wodę. Wkrótce też na patelniach zaskwierczał bekon.

Nie obawiali się, że mogą być widziani z samolotu. Ognisko na pustyni nie było czymś niespotykanym. W zasięgu wzroku zawsze były widoczne płomienie ognisk arabskich obozów. Jeśli czegoś należało się obawiać, to niemieckich samochodów pancernych. Po akcji w Barce wróg zapewne ich ścigał. Na ogromnej pustynnej przestrzeni łatwo było zniknąć, lecz jeszcze trudniej było się schować. Jedyнным ratunkiem mogła być ucieczka i łut szczęścia. Już w czasie swojego pierwszego patrolu

Lampard przekonał się, co to znaczy zwiewać. Przez godzinę ściagały ich jakieś pojazdy. Mogły to być niemieckie samochody pancerne, lub jakaś jednostka Ósmej Armii. Starał się ich zidentyfikować, ale zarazem nie miał ochoty dopuścić ich wystarczająco blisko, by to było możliwe. Uciekał więc tak szybko, jak potrafił modląc się, by nie złapać gumy i by tamci ugrzęźli w miękkim piasku. Udało im się i nigdy się nie dowiedzieli czy uciekali przed wrogiem, czy przed przyjacielem. Tak wyglądała sytuacja, kiedy się miało szczęście. W innym przypadku następowała zapewne krótka walka. Ostry ogień z dział i ciężkiej broni maszynowej, którego skutki łatwo można przewidzieć.

Lampard, Dunn i nawigator Gibbon wspięli się na niewielki pagórek. Cisza, która zapadła po wyłączeniu samochodowych silników wydawała się wręcz bolesna. Stali i nasłuchiwali.

- Jest kilka możliwości - stwierdził Lampard. - Niemcy nie wysłali patroli w pościg. Wysłali, ale w innym kierunku. Patrole są w pobliżu, ale czekają w jednym z wadi by się rozwidniło.

- Czy możemy podjąć jakieś przeciwdziałanie? - zapytał Gibbon.

- Nie.

- Tak mi się też wydawało.

Ruszyli w kierunku ogniska.

- Niemcy nie będą próbowali atakować przed świtem - rozważał Dunn. - Nie wiedzą, czym dysponujemy.

- Schramm im powie.

- Schramm na razie błąka się gdzieś po Dżebel, a oni nie mogą wiedzieć, że to my właśnie zaatakowaliśmy Barce.

Możemy być zupełnie innym patrolem uzbrojonym po zęby w broń przeciwpancerną.

- Bardzo bym chciał, by tak było.

- A ja nie - sprzeciwił się Lampard. - Jeśli ci tęskno do takiej broni, to zapisz się do pancerniaków. Ooo! Bekon!

- On tak zawsze mówi - poinformował Gibbon. - Każdego rana wykrzykuje „Ooo bekon!” A niby czego może oczekiwać? Bułeczek z dżemem?

- Jeśli jest coś, co lubię naprawdę, to bekon - bronił się Lampard.

- Któregoś dnia podadzą na śniadanie jajecznicę, a on też powie „Ooo bekon”! Zobaczysz. - Gibbon nie dawał za wygraną.

- A są jajka? - zainteresował się nagle Dunn.

- Tylko w proszku.

- Nie znoszę jajecznicy - mruknął Lampard. - Przypomina mi internat, w którym mieszkałem. Brat dyrektora miał farmę kurzą i ustawicznie karmiono nas jajkami.

- Nigdy nie posłałbym moich dzieciaków do internatu - powiedział ktoś. - To nienormalne.

Siedzieli wokół ogniska i choć noc była jeszcze ciemna, powietrze było tak ciepłe, jak w Anglii w letnie popołudnie.

- Ja jestem innego zdania - stwierdził Dunn. - Po dziesięciu latach w internacie reszta życia staje się miłą niespodzianką.

- Co dla jednego normalne, dla drugiego nienormalne - zawyrokował Davis.

- Joe Harris był nienormalny - stwierdził kapral Poccock i szybko wypił łyk herbaty, jakby chciał zmyć smak

wypowiedzianych słów.

Oficer łącznościowy Tony Waterman, który stał obok Poccocka, oburzył się:

- Nie wolno mówić źle o zmarłym koledze.

- Tak pan uważa? - sierżant Davis przestał jeść herbatnika i patrząc na Witermana, zapytał: - A niby dlaczego?

Pytanie zaskoczyło Witermana. Obliznął wargi i starał się wymyśleć jakąś odpowiedź, ale mu się nie udało.

- Jadł zbyt wiele jaj - Lampard mówił wpatrzony w ognisko. - I to się od niego czuło.

- Nie zauważyłem i nigdy nikt o tym nie mówił - zdziwił się Dunn.

- Oczywiście - potwierdził Poccock. - O Harrisie można mówić spokojnie dopiero teraz, kiedy już nie żyje.

- Sądziłem, że przyjaźniliście się, kapralu - zauważył z przekąsem Lampard.

- Harris nie miał przyjaciół. On nie lubił ludzi, chyba że tych, których miał zaciukać. A w tym był doskonały.

- Dobry, ale nie doskonały - sprostował Gibbon.

- Zabijanie wrogów jest czynkiem szlachetnym - wtrącił Lampard. - Ja też to bardzo lubię.

- Ilu zatłukliście tam, w Barce? - zainteresował się Waterman.

- Trudno powiedzieć, ale sądzę, że kiedy wybuchł ten skład z amunicją, kilku ich załatwiliśmy. Może kilkunastu?

Waterman skinął głową. On był od łączności i niewiele wiedział o tym, jak wygląda prawdziwa walka.

- Być może - zgodził się. - To wystarczy dla pomszczenia Harrisa.

Gibbon patrząc w niebo powiedział:

- Nie można wcześniej pomścić kogoś, kto został zaciukany potem.

Problem był skomplikowany i inni woleli go nie roztrząsać Zresztą czyż to nie wszystko jedno? Jedyne Gibbon kontynuował mówiąc:

- Chociaż zemsta z góry rozwiązuje wiele problemów. Zemsta jest rzeczą słodką, a więc po co czekać na powód. Trzeba się mścić wtedy, kiedy jest okazja, a powód się zawsze znajdzie.

- Pieprzenie - zawyrokował Waterman.

- Przedstawię Harrisa do odznaczenia - oświadczył Lampard.

- Nikomu tak nie śmierdziały nogi, jak jemu - dorzucił Davis.

- Trzeba będzie to jakoś uzasadnić - kontynuował Lampard, ale nikt nie zapytał, co miał na myśli.

Niebo poszarzało. Piaski zaczęły przybierać odcień różowawy i przez jakiś czas pustynia przypominała krainę z bajki, do momentu, w którym wszystko zaczęło się smażyć i gotować. Zaczęli przygotowywać się do odjazdu, tankowali baki,

pakowali manele, siusiali. Zamierzali dojechać do Tariq el Abd kiedy słońce będzie tuż nad horyzontem, a umieszczone na szlaku miny będą znaczyć swoje miejsca długim cieniem. Oczywiście, o ile będą w ogóle widoczne.

* * *

Otrzymanie Storcha okazało się zadaniem niełatwym. Maszyna poszła do generalnego przeglądu i stała w hangarze z opróżnionym bakiem i wymontowywanym silnikiem. Hoffmann kazał przywrócić maszynę do stanu

używalności.

Kiedy już samolot wyciągnięto z hangaru, z piskiem hamulców i wyciem syreny nadszedł wóz majora Jakowskiego. Jakowski był dowódcą ochrony lotniska i właśnie wrócił z odprawy w Benghazi, gdzie składał meldunek z zajęć, jakie wydarzyły się na lotnisku w Barce przed dwoma dniami. Zniszczonych dwadzieścia siedem samolotów, zginęło sześciu ludzi, dwunastu rannych, jeden zaginiony. Spalonych pięć ciężarówek, spłonęły znaczne zapasy paliw i amunicji, zniszczono budynki. Składając meldunek słuchał własnego głosu i miał świadomość, że brzmi fatalnie. Straty ponieśli takie, jak przy silnym nalocie, z tym, że nie zanotowano strat po stronie wroga. W dowództwie zadano mu kilka przykrych pytań, na większość których w ogóle nie znał odpowiedzi. Prowadzący odprawę generał nie pozostawił najmniejszych wątpliwości co do tego, że jeżeli jeszcze raz wydarzy się coś podobnego, to on, Jakowski, wyjedzie na front rosyjski.

Wracając na lotnisko rozważał na kim i jak mógłby się odegrać. Zmartwienie w tym, że właściwie nikogo nie zastał na miejscu, gdyż prawie wszyscy uczestniczyli w pościgu za brytyjskimi komandosami w Dżebel. Zajechał na lotnisko i pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, był Storch.

- Muszę mieć tę maszynę - powiedział do Hoffmanna.

Doszło do awantury. Jakowski chciał mieć samolot, by się wykazać aktywnością, polatać tu i tam nad głowami patroli. Twierdził, że samolot jest mu potrzebny w celu koordynowania poszukiwań i integracji całej operacji pościgu. A mógł to zrobić jedynie dysponując Storchem.

- Muszę mieć tę maszynę - upierał się Jakowski czując,

że się coraz bardziej poci.

- Pan chciałby szukać w złym miejscu - Schramm siedział w fotelu na kółkach. - Brytyjskiego komanda nie ma już na Dżebel. Byli tam, ale zwiali.

Pokazał się wreszcie pilot Storcha i zaczął od pytania:

- Chcecie z góry obejrzeć Dżebel?

- Właśnie - potwierdził Jakowski.

- To nie z tego pudła. Ta maszyna nie ma odpowiedniego pułapu. To grat. Potrzebuje nowego silnika. Popatrzcie - zaczął poruszać lotką przy skrzydłach - Miękkie gówno.

- Jak mam wykonywać moje zadania nie mając po temu odpowiednich środków? - uskarżał się Jakowski, czując wyraźnie, że przegrywa.

- Czy to pudło jednak polecą? - zapytał Hoffmann pilota, który wzruszył ramionami, ale nie powiedział „nie”. - Polec dzisiaj, a jutro zrobimy mu generalny przegląd - obiecał Hoffmann.

- Jest pan przekonany, że na Dżebel nie ma Anglików? - zapytał Jakowski Schramma.

- Tego nie powiedziałem. Mówiłem jedynie, że nie ma tych, co nas tu dwa dni temu odwiedzili. Mogą być inni.

Jakowski zdjął czapkę i zaczął nią odpędzać muchy.

- To nie jest prawdziwa wojna. Tego nas nie uczyli w Akademii - stwierdził nieco płaczliwie.

Czterech sanitariuszy podniosło fotel ze Schrammem i wstawiło do kabiny. Zabandażowane nogi obłożyli poduszkami. Pilot zaczął rozgrzewać silnik, a major pokazywał mu na mapie, dokąd chciałby lecieć.

- To nie mój interes - powiedział pilot - ale jeśli jest pan tego całkiem pewny, dokąd ci komandosi idą, czy nie jest

prawdopodobne, że oni wiedzą, że pan to wie, i dlatego właśnie nie pojadą w tym kierunku.

- Nie komandosi z SAS - Schramm rozparł się wygodnie i po raz pierwszy od momentu ucieczki poczuł się nieco lepiej. - Właśnie dlatego, że wiedzą, że ja wiem, jakie mają plany, nie zmieniają ich. Jestem tego całkowicie pewien.

- Dlaczego?

Przemęczony mózg Schramma z wysiłkiem szukał wyjaśnienia.

- Zrobienie czegoś innego byłoby nazbyt proste. Zbyt się narzucające - powiedziaławszy to major ziewnął.

- Pan wie lepiej. - Pilot wzruszył ramionami. - Jeśli jednak pan liczy na to, że uda się nam coś zobaczyć w południe na pustyni, to jest pan w błędzie. - Zaczął sprawdzać silnik zwiększając obroty tak, że maszyna drżała na hamulcach. - Mówiono mi, że ta maszyna to składak z tego, co pozostało z trzech wraków. Czasami wydaje mi się, że kilku części zapomniano jej wmontować. Pana jednak szczegóły techniczne nie interesują, prawda? No więc lepiej odlatujmy, zanim ktoś tu dostanie ataku serca.

Storch z trudem wdrapał się na pułap trzystu metrów i tańczył w termicznych zawirowaniach. Kiedy jednak skierowali się na Dżebel, gdzie powietrze było chłodniejsze, lot stał się spokojniejszy. Zasłonili szyber w suficie, by słońce ich nie oślepiało. Przez otwory wentylacyjne wpadało chłodne powietrze i w kabinie zrobiło się przyjemnie. Schramm oparł czoło o szybę bocznego okna i patrzył w dół, na panoramę kraju, który przed kilkoma godzinami z takim wysiłkiem przemierzał. Widział zielone zarośla i zakurzoną trawę, czerwone

pola i kamienie, setki, tysiące kamieni jakimi zasypane były kręte wąwozy. Całość sprawiała wrażenie starej derki z wielbłądziej sierści rzuconej niedbale i zapomnianej. Maszyna lekko drżała, ale Schrammowi sprawiała to przyjemność. Patrzył w dół i wypoczywał.

* * *

Przejście przez Tariq okazało się niewinnym spacerkiem.

Gibbon odnalazł ślady, jakie pozostawili jadąc na północ i jechali teraz dokładnie po nich. Dziecinnie łatwe. Po drugiej stronie szlaku natrafili na zabitego wielbłąda, który stanowił obecnie śniadanie dla kilkudziesięciu ptaków i miliona much. Zwierzę zapewne weszło na minę. Mike Dunn obejrzał dokładnie przez lornetkę okolicę i poinformował, że nie widać nigdzie właściciela wielbłąda.

- Zapewne już go zjadły ptaki - skonstatował Pocock. - Mięso wielbłąda jest cholernie twarde.

- Rany boskie, skąd się biorą te ptaszyska - zdumiał się Dunn.

- Stąd, skąd i muchy - odpowiedział Lampard. - Z każdego zakątka i z żadnego.

- Marzę, by się z tymi muchami potrafiło uporać - westchnął Pocock.

- Mój szwagier przed wojną sprzedawał lep na muchy - przypomniał sobie Blake, mechanik. - Tu zrobiłby majątek.

- Daj mi jego adres - przerwał mu Dunn. - Załatwię, by go tu sprowadzili samolotem.

- Za późno. W czasie zaciemnienia wpadł w jakiś dół i skreślił kark.

- Szkoda.

- Muchy są odmiennego zdania. To najmiłsza rzecz, jaka je mogła spotkać.

Do Oazy Dżalo z Dżebel było dwieście kilometrów, a oni do południa przejechali połowę z tego. Radowało to Lamparda. Im dalej odjeżdżali od Dżebel, tym większą stawała się powierzchnia, jaką nieprzyjaciel musiał przeszukiwać. Nadmierna szybkość nie była dla nich nazbyt bezpieczna. Pióropusz kurzu zdradzał ich. Nierówny grunt powodował, że podwozia i koła samochodów były narażone na uszkodzenie. Ludzie po całonocnej jeździe w kurzu, a obecnie w nieludzkim skwarze, byli wyczerpani. Lampard ryzykował posuwając się tak szybko, ale wiedział, że przejeżdżając obok Oazy Dżalo naprawdę będą jechali powoli. Tam będą musieli uważać by nie rozpylać kurzu i ściszyć wycie silników. Garnizon włoski stacjonujący w Oazie nie miał opinii nazbyt agresywnego, gdyby się jednak zorientowali, że mają do czynienia z małym patrolem, mogłoby im przyjść do głowy podjęcie pościgu, a włoskie kule są tak samo niemiłe, jak wszystkie inne.

Zaczęli się zbliżać do rejonu Oazy i Lampard zarządził postój. Krótki wypoczynek. Nierówny, pofałdowany teren ciągnący się na południe od Dżebel pozostawili za sobą. Wyjeżdżali na prawdziwą pustynię, płaską, bez żadnych punktów, na których można zatrzymać wzrok. Jedyne piasek i piasek, rozgrzany do białości od palącego słońca. Natychmiast otoczyły ich roje brzęczących much. Byli od tygodni pierwszymi białymi, których pot wyczuły. Najwyraźniej je to radośnie podnieciło. Lampard wziął szpadel, odszedł kilkadziesiąt metrów w bok, wykopał dołek i przykucnął nad nim. Towarzyszący mu rój much

wpadł dosłownie w szal. Ignorował je. Przebywał w Afryce wystarczająco długo by wiedzieć, że wygrać z nimi nie sposób. Można było wyłącznie nie zwracać na nie uwagi.

Z radością zauważył, że nawet z niewielkiej odległości samochody jakby zamazywały się, rozplywały w powietrzu. Powodowało to rozedrgane, gorące powietrze. A wiedział, że widoczność będzie się jeszcze bardziej pogarszać. Doskonale. Zrobił, co należało i zasypał dołek, w którym co najmniej pięćset much znalazło przedwcześnie grób.

Gdy wrócił, sierżant Davis podał mu kubek czarnej jak smoła herbaty. Dolał mleka z puszki i popijał. Smakowała cudownie.

- Używając słów poety można powiedzieć, że nic wspanialszego ziemia nie ma nam do zaoferowania.

- Ale! - wykrzyknął Davis. - Znam pewną dziewczynę z Rotherham. Cyce jak orzechy kokosowe.

- Brunatne i owłosione? - zdumiał się Blake. Pokręcił głową i dodał. - Niezbyt zachęcające.

- Orzechy są wspaniałe - zaoponował Davis.

- Kto i dlaczego tak powiedział? - dopytywał się Pocock.

- Poeta. Nazywał się Wordsworth - wyjaśnił Lampard.

- Ale ta dziewczyna z cycami - zainteresował się Blake.

- Nazywała się Prendergast. Maureen Prendergast - Davis uśmiechnął się do wspomnień.

- Niemcy raczej uprzedzili makaroniarzy z Dżalo, że grasujemy w okolicy. To chyba oczywiste - rozważał Dunn.

- Ale skąd ten Wordsworth o tym wiedział? - upierał się kapral Pocock.

- Może od Niemców... - odpowiedział Blake.

- Gdyby makaroniarze wyszli z Oazy by nas nakryć, zwiewamy. Po prostu, wiejemy - stwierdził Lampard.

- To wyłącznie jego prywatna opinia, nie sędzicie? - upewniał się Pocock. - Jedyne opinia Wordswortha. Nie można przecież wszystkiego wiedzieć. Skąd, do cholery, jakiś Wordsworth wie, co ziemia ma nam do zaoferowania? Prawdopodobnie nigdy w życiu nie wyjechał dalej, jak dwadzieścia mil od Londynu.

- Siedząc w Oazie Dżalo nie mogą nas w ogóle zobaczyć. Nie o tej porze dnia - oświadczył Dunn.

- Dałbym głowę, że taki Wordsworth nigdy w życiu nie widział Dżalo - Pocock nie dawał za wygraną.

- Skłamałem - wtrącił się ponownie Davis. - Nazywała się Pickering. Ta z Rotherham. Maureen Prendergast była z Barnsley. Wolałem Muriel Pickering. Cyce jak melony.

- Nie należy składać takich ogólnikowych, nie mówiących oświadczeń - uparcie trzymał się tematu Pocock. - W szczególności, jeśli się nie dysponuje dowodami.

- Powinniśmy być dla Wordswortha wyrozumiali - odezwał się Waterman. - On nie miał hamulców. Napisał: „a moje serce szczęśliwe przez chwilę ruszyło w tany z jesiennym żonkilem”.

- Tu coś takiego nie byłoby możliwe - konkludował Davis. - Tu za gorąco na to, by tańczyć.

- Znałem kiedyś pewną Pickering, ale wydaje mi się, że nie Muriel - poinformował mechanik Blake.

- Przypuszczam, że trzeba nie mieć wszystkich klepek, by tańczyć z żonkilem - odezwał się żołnierz nazwiskiem Smedley.

- Może mówisz o Doris, siostrze Muriel. Mieszkała w

Pontefract - przypomniał sobie Davis. - Cyc jak rzepa.

- Ruszamy - rozkazał Lampard. Zgasili ognisko i zaczęli wszystko ładować na wozy.

- Sierzancie - zapytał Gibbon. - Jedyne dla mojej informacji powiedzcie, co wolicie, cyc, owoce czy jarzyny?

- Sam sobie co wieczór zadaję to pytanie - odpowiedział Davis. - Cyc czy rzepa? Rzepa czy cyc? Mam ogromną ochotę na rzepę, ale z drugiej strony... - zamilkł, gdyż wszyscy nagle ucichli.

Samolot.

Słuchali. Brzęczenie zbyt ciche, by mógł to być bombowiec i zbyt wolno się przemieszczające, by mógł to być myśliwiec A więc jedynie Storch. Leciał na wysokości około stu metrów i szukał ich.

- Dobrze byłoby go zestrzelić - stwierdził Lampard - ale jeśli ktoś będzie strzelał, musi trafić. Jeśli nie, to lepiej dać mu spokój.

Rzucili się do wozów i zdjęli pokrowce z dwóch karabinów maszynowych marki Vickers.

Brzęczenie się nasilało i ponownie oddalało.

- Krąży po kwadratach - stwierdził Gibbon.

- Na to wygląda. I w tym momencie zobaczyli samolot, a właściwie jego zamazaną, drżącą w rozpalonym powietrzu sylwetkę.

- Leci za wysoko by nas dostrzec - zawyrokował Dunn. - Za wysoko, by zobaczyć cokolwiek w tej gotującej się zupie.

Brzęczenie silnika zaczęło się oddalać, a sylwetka samolotu rozplynęła w powietrzu.

- Bałwany - mruknął przez zęby Lampard. - Jedziemy. Dziesięć kilometrów na godzinę i całkowita cisza.

Patrol ruszył.

* * *

Pasażer Paul Schramm siedzący za pilotem pochylił się do przodu i pokazał palcem na wysokościomierz:

- Proszę obniżyć lot. Z tego pułapu niczego nie zobaczymy.

- Jak wejdziemy w ten bulion będzie pan widział jeszcze mniej - zauważył pilot.

- Niemniej proszę spróbować.

Pilot przechylił maszynę na prawą stronę wchodząc w ostrożny skręt, ale nie zniżył lotu.

- Są gdzieś tam w dole. Wiem to - powiedział Schramm.

- Dlaczego się pan boi?

- Nie wierzę temu pieprzonemu wysokościomierzowi. - odpowiedział pilot.

- Na miłość boską, przecież przelecieliśmy już nad wzgórzami Dżebel! Lecimy nad pustynią, tu na nic pan nie wpadnie.

- Być może, ale ten grat był w garażu rozmontowany, potem go na gwałt składali i z całą pewnością nie ustawili wysokościomierza.

- Wydaje mi się, że wskazuje prawidłowo.

- Pustynia to zawsze pustynia. Widziałem na Calanscio wydmy wysokie na sto metrów. - Miał na myśli Morze Piasków na wschód od Oazy Dżalo. Wyglądało rzeczywiście jak morze pokryte potężnymi falami.

- Nie jesteśmy nad Calanscio - powiedział Schramm. - Jesteśmy koło Oazy.

- Ten pieprzony kompas źle pokazuje - upierał się pilot.

- Coś z nim nie w porządku. - Zrobił zwrot maszyny i

patrzył jak zareaguje kompas. - Przekleści mechanicy - mrucał. - Zawsze coś spieprzą z tym kompasem.

Schramm stracił cierpliwość.

- Niżej! - przykazał. - Jeśli nie usłuchasz, oddam cię pod sąd.

Pilot westchnął i pochylił orczyk do przodu. Weszli w mgłę jakby lecieli przez rejon zanieczyszczony pyłem. Widzialność była tak zła, że nie było jasne gdzie znajduje się powierzchnia pustyni. Zamazana, brązowo-żółta linia horyzontu powodowała, że ziemia i niebo tworzyły wspólny pas.

- Teraz lecimy niżej. Mam nadzieję, że to panu odpowiada - warknął pilot.

Dłuższy czas lecieli w milczeniu. Wiedzieli, że minęli już Oazę Dżalo, a przed nimi otworzyła się pustynia Calanscio. Do Schramma zaczęło docierać to, jak jałowym był pomysł poszukiwań. Fakt, że domyślał się tego, gdzie jest wróg, wcale jeszcze nie zapewniał sukcesu.

- Pan chyba rozumie, że to pudło potrzebuje paliwa, by lecieć? - zapytał arogancko pilot.

- Jasne - i odruchowo spojrzął na wskaźnik paliwa.

- Tu może pan być pewien, że działa bezbłędnie. To zawsze sprawdzają w pierwszej kolejności.

- Doskonale, ponieważ musimy wracać zejdźmy jeszcze niżej i zobaczymy, może natrafimy na ślady wozów na piachu.

- Jezu, jeśli tego pan szuka, to pokażę panu setki śladów. Całkiem jak na autostradzie. Następnym zjazd pięćset kilometrów na południe stąd, w Kufrze. Nasz wspaniały włoski sojusznik miał tam swój garnizon. Wie pan o tym?

- Wiem.

- Byli tam jeszcze zanim pojawili się Brytyjczycy.
- O tym też wiem.
- A ci zaraz dali Włochom po dupie.
- Dość tego. Nich się pan zajmie pilotowaniem tej trumny - zniecierpliwiał się Schramm.

Lecieli na północ. Pilot miał rację. Pustynia poryta była dziesiątkami śladów opon. Niektóre wyraźnie stare, częściowo przysypane przez wiatr, inne - całkiem świeże. Schramm był sfrustrowany. I nagle pilot trącił go łokciem. Major spojrział w kierunku, w którym patrzył tam ten. Na lewo od nich majaczyły sylwetki pojazdów. Pięciu samochodów.

- Proszę podlecieć bliżej.

Pilot położył maszynę. Teraz widzieli dokładnie. Pojazdy powoli, bardzo powoli posuwały się do przodu.

- To może być włoski patrol. Nie rozróżniam z tej odległości - wątpił Schramm.

- Proszę się przyjrzeć sylwetkom. Angielskie wozy.

- To jeszcze o niczym nie świadczy. Zdobyliśmy setki takich wozów. Proszę bliżej.

- Jeśli się jeszcze bardziej zbliżymy, a to nie są Włosi, koniec z nami.

Schramm usiłował nastawić ostrość w lornetce, ale stale widział jedynie zamazane sylwetki.

- To muszą być oni - mrucał. - Nie wrócimy, póki się nie upewnimy, bo... - nie dokończył zdania. Poczł, że robi mu się słabo. Być może był to efekt zastrzyku, jaki mu zaaplikowali. Na dodatek zaczęły go boleć stopy. Całkiem, jakby trzymał je gdzieś nad płonąym ogniskiem. A może zrobiło mu się słabo z powodu tego lotu w upalnych oparach pustyni, w tym rozedrganym powietrzu. Przez

chwilę wydawało mu się, że zawisł nieruchomo, podczas gdy reszta świata obraca się wokół niego. Zamknął oczy.

- Pięćdziesiąt na pięćdziesiąt, że to Włosi szukają tych pańskich brytyjskich przyjaciół - dobiegł go głos pilota. - Pięćdziesiąt na pięćdziesiąt.

- Doskonale. - Nie czuł się na siłach by dyskutować. - Przekażemy meldunek do Barce i wracamy. Niech oni decydują.

- Czy stąd wysyłać informację?

- Tak, natychmiast - Schramm otworzył oczy.

- To musimy wznieść się na pięćset metrów. Nie mamy najlepszej radiostacji świata.

- To niech się pan wznosi.

Schramm poczuł, że przód maszyny unosi się w górę, a jego samego wciska w fotel. Po chwili lot się wyrównał i usłyszał mruknięcie pilota:

- Och, ty kurwo.

Miał wrażenie, że w mózgu zapala mu się światełko ostrzegawcze i zapytał:

- Coś nie w porządku?

Przód maszyny opuścił się. Pilot wykonywał jakieś manewry ze sterami i operował manetkami.

- Nie chce iść do góry - powiedział wreszcie. - Coś się zatkało. Nie ma mocy.

- Chce pan powiedzieć, że jakaś awaria? - Schramm usłyszał ton przestachu w swoim głosie i usiłował zapanować nad sobą. - Niech już pan nie wysyła tej depeszy. Lećmy do Agedabii. Tam możemy lądować.

Agedabia leżała jakieś sto kilometrów na południe od Benghazi. Teren pomiędzy Dżalo a Agedabia był na ogół płaski.

Pilot potrząsał głową wyraźnie zafrasowany stanem ich maszyny. Wreszcie mruknął:

- To pechowy samolot. Ludzie byli dla niego nieuprzejmi i teraz nie chce już latać.

* * *

Zatrzymali samochody i wyłączyli silniki. Nasłuchiwali. Starali się przebić wzrokiem mgłę, która właśnie zaczynała się podnosić. Wsłuchiwali się w ciszę pustyni, co było zajęciem bezsensownym, jako że pustynia od tysięcy lat milczała. Była w tym mistrzem. Oni - nowicjuszami.

Dunn zeskoczył z ciężarówki i podszedł do jeepa Lamparda, w którym ten tkwił nieruchomo i łowił nadlatujące dźwięki.

- To dziwne - powiedział wreszcie. - Zazwyczaj, kiedy taki odlatuje, słysząc go jeszcze przez minutę czy dwie. Szczególnie kiedy wspina się w górę.

- No a teraz? - zapytał Dunn.

- Jeśli nie słyszeliśmy, jak odlatuje, to znaczy, że nie odleciał - skonkludował Lampard.

- To logiczne - zgodził się Dunn.

- A jeśli nie odleciał, to wylądował i to gdzieś blisko.

- Niemożliwe - zdumiał się Dunn.

- Niby dlaczego niemożliwe? Jedziemy jakiś kilometr na zachód - rzucił Lampard do kierowcy. - Tam ucichł.

* * *

Zanim samolot zatrzymał się, pilot wyłączył silnik. Upał pustyni wdzierał się do kabiny i Schramm zaczął się natychmiast pocić. Zapewne częściowo ze strachu.

- A co będzie, jeśli nie uda się nam wystartować?

- Jeśli mam sprawdzić, co się dzieje, muszę wyłączyć. Nie mogę pracować w burzy piaskowej powodowanej śmigłem. - Otworzył drzwiczki i wysuwając nogę na zewnątrz, dodał: - Proszę tu niczego nie dotykać.

Schramm odsunął boczne okienko i żar pustyni wdarł się do środka. Nienawidził tego żaru i nienawidził pustyni. Była mordercą bez oblicza. Mordercą wszechobecnym. Wzrok nie mógł znaleźć punktu zaczepienia. Po prostu brudny, brunatny piasek, i nic więcej. Schramm zdał sobie nagle sprawę z tego, że drży mu głowa i zamknął oczy. Pod powiekami migotały mu czerwone koła, które drgały, kręciły się, znikaly i ponownie pojawiały. Wydało mu się nagle, że znajduje się gdzieś wysoko i z góry patrzy sam na siebie, na mały punkcik zagubiony na dzikiej, bezkresnej równinie. Po chwili z tego stanu półodrętwienia wyrwały go słowa pilota.

- Kłopoty ze sterem wysokościowym. Zaciął się i zablokował linkę. Nie wiem. Wiem tylko, że nie działa i nie możemy nabierać wysokości. A silnik nie ma pełnej mocy. Znalazłem nadpęknięty przewód paliwowy, co oznacza, że kurz dostaje się do środka i mamy zabrudzone paliwo. Mówiłem panu, że to wrak.

- Tak, bez wątpienia - potwierdził Schramm.

- Jeśli ci w Barce mają choć nieco rozumu, wyślą kogoś, kto nas będzie szukał.

- W Barce tylko ja mam rozum - mruknął Schramm, a pilot nieoczekiwanie potwierdził, po czym dodał:

- Muszę się chwilę przespać. - Wsiadł do kabiny, ale zamiast drzemać wystawił głowę i nadślułchiwał.

- Słyszysz pan?

Schramm wstrzymał oddech. Poprzez przyspieszone uderzenia własnego serca usłyszał daleki warkot silnika.

- Z tej strony niczego nie widzę - oświadczył pilot. Z jego głosu zginął wszelki ślad arogancji. Odwrócił się i wyglądał teraz z drugiej strony. W chwilę potem opadł na fotel.

- Te wozy, które widzieliśmy z góry, odnalazły nas - stwierdził i zaczął startować.

Rozgrzany silnik pomimo zanieczyszczonego paliwa zareagował natychmiast. Przez około trzydzieści metrów podskakiwali na ziemi by wreszcie poderwać się. Osiągnęli wysokość dziesięciu metrów i samolot odmówił dalszego posłuszeństwa.

- Czy tamci mogą nas dogonić? - zapytał pilot, a ponieważ Schramm zastanawiał się nad odpowiedzią, dodał: - Zresztą wszystko jedno. Za chwilę się przekonamy.

* * *

Lampard prowadził patrol z szybkością trzydziestu kilometrów na godzinę płytkim i kamienistym wąwozem. Gdy wydostali się ponownie na płaski grunt, kazał zatrzymać wozy i przyłożył lornetkę do oczu. Natychmiast zobaczył Storcha. Stał na prawo od nich w odległości około ośmiuset metrów.

- Za tym skurwysynem! - wrzasnął, ale rozkaz nie był w ogóle potrzebny. Kierowca też zauważył samolot i właśnie zapuszczał silnik. Jeep skoczył do przodu.

Reszta patrolu, z różnym stopniem entuzjazmu, włączyła się w pościg. Mike Dunn, siedzący obok kierowcy w wozie pancernym wiedział, że pościg za samolotem jest zajęciem absurdalnym. Nie mogli mieć szans. Dowódca

jednak dał rozkaz: naprzód, a więc on podążał za nim. Sierżant Davis w jeepie postąpił tak samo. Tony Waterman w wozie łącznościowym decyzję co do tego, czy jechać, pozostawił kierowcy. Jego zadaniem było wysyłanie i przyjmowanie depeesz, i nie mieszał się do działań operacyjnych. Kapitan Gibbon, nawigator, przejął alfę romeo, i nie miał ochoty na pościg. Nawierzchnia pustyni była nierówna, a alfa nie nadawała się do jazdy po tym terenie. Zresztą Gibbon był przekonany, że Lampardowi chodzi o to, by odstraszyć niemiecki samolot, do czego on nie był potrzebny.

Po przejechaniu około pół kilometra Gibbon stwierdził jednak, że sytuacja zaczyna być interesująca. Storch leciał, ale z wyraźną trudnością i bardzo nisko. W chwilę potem zobaczył świetlne pociski wylatujące z karabinu maszynowego zamontowanego na jeepie Lamparda. Nie sięgały Storcha, ale wcale tak wiele im nie brakowało. Schramm również usłyszał huk wystrzałów. Czuł się zdumiewająco beztrosko, nawet stopy przestały mu dokuczać.

- Czy był pan w Dżalo? - krzyknął pilot.

- Nie.

Pilot widział świetlne pociski przelatujące obok nich i usiłował przyspieszyć lot maszyny.

- Oaza przed nami! Palmy! Setki, tysiące palm!

- Czy leci pan do Dżalo? - zapytał Schramm „czy pan leci”, a nie „czy my lecimy”. Był teraz wyłącznie pasażerem, przewożonym bagażem.

- Nie wzniesiemy się nad palmy - mówił pilot - są dla nas za wysokie.

Schramm kątem oka zauważył przelatującą serię

pocisków.

- Wiem, że nie może się pan wznieść wyżej, ale czy nie może pan też lecieć szybciej?

- Nie, jak przyśpieszam, zwalniamy. - Przesunął manetkę i przód samolotu obniżył się. Zmniejszył obroty i maszyna wyrównała.

- Jeśli nie polecimy szybciej, dogonią nas.

- Jeśli będziemy usiłovali lecieć szybciej, dopadną nas zarytych w piach.

* * *

Lampard złożył się do kolejnej serii, ale nagły zwrot jeepa spowodował, że odrzuciło go, a seria poszła prosto w niebo.

- Na miłość boską, uważaj! - krzyknął do kierowcy. Obejrzał się, by sprawdzić na czym tak podskoczył. Była to biała plama odróżniająca się od brudnej, brązowej powierzchni piasku.

- Słone bagna?

Kierowca skinął głową zbyt zajęty prowadzeniem, by odpowiadać. Lampard pożegnał wzrokiem lecącego nadal Storcha, popatrzył do tyłu na podążający za nim patrol i wrzasnął:

- Stop! Nie możemy jechać dalej!

Kierowca zawrócił i objechał plamę słonego bagniska.

- Tędy nie przejedziemy - powiedział Lampard podjeżdżając. - Zanim znajdziemy objazd, będzie za późno.

- Szkoda - zmartwił się Dunn wychylając się z ciężarówki. - A już mogliśmy go dopaść.

- Faktycznie. Ile może być do tych palm?

- Do których palm? Tam są palmy, do cholery.

- Ponad trzy kilometry - odpowiedział sam sobie Lampard. - A gdzie jest włoski garnizon w Dżalo? Zapewnie po drugiej stronie Oazy.

- Nie mam pojęcia - wzruszył ramionami Dunn. - I nie ma to większego znaczenia.

- Oczywiście, i tak się do nich na obiad nie wybieramy - popatrzyli sobie w oczy i obaj wybuchnęli śmiechem. Nagle opadło towarzyszące im napięcie. Pościg się zakończył, a Niemiec i tym razem wygrał. Gdy podjechał jeep Davisa i wóz łącznościowy Watermana, jeszcze się śmiali. Siedzący na dachu ciężarówki kaprał Pocock, przerwał im.

- Kapitanie! Ten skurwysyn Storch znowu na ziemi!

Lampard błyskawicznie wdrapał się na dach ciężarówki. Rzeczywiście, spoza jakiegoś pagórka wystawał kawałek skrzydła. Samolot wylądował w miejscu, gdzie było zagłębienie gruntu, i dlatego nie widzieli go z ziemi. Natomiast

zobaczył to siedzący wyżej Pocock.

- Doskonale - zeskoczył na ziemię.

Nie miał czasu, by czekać na Gibbona.

- Spróbuję jeepem znaleźć objazd wokół tych słonych bagien. Mike, ty jedziesz za mną. Reszta czeka tutaj. Jakies pytania?

- Tam siedzą makaroniarze w tej oazie. Wiesz o tym?

- Tu, przed nami? Dlaczego tak sądzisz?

- Muchy. - Davis machnął ręką, by odgonić rój tych uprzykrzonych owadów. - Wyczuwają czosnek w ich oddechu. To je przyciąga. - Nie żartował.

- To dlaczego nikt z nich się nie pokazał, by pomóc tym idiotom z samolotu?

- Cholera ich wie.

Lampard zlustrował przez lornetkę brzeg oazy, ale wiedzieli, że to był jedynie pusty gest.

- To zajmie nam najwyżej trzy minuty - powiedział gdy Dunn wskakiwał do wozu. - Nigdy jeszcze nie spotkałem Włocha, który by w trzy minuty potrafił wciągnąć i zapiąć spodnie.

Nadjechał Gibbon w swojej alfa romeo.

- Co znowu? - zapytał, a gdy Waterman wyjaśnił mu, o co chodzi, Gibbon parsknął ze złości:

- Powinniśmy być już w drodze, a nie wdawać się w drobne bijatyki.

- To tylko trzy minuty, Corky.

- A jeśli potrwa dłużej?

- To mamy chwilę czasu na wytchnienie.

Gibbon usiadł w cieniu samochodu. Watermann usadowił się w wozie łącznościowym i przez lornetkę obserwował działanie Lamparda. Siedzący za nim żołnierz nazwiskiem Smedley, odezwał się:

- Gdyby zapytał pan mnie o zdanie, powiedziałbym, że to idiotyzm.

- Nie nam oceniać - mruknął Waterman.

- Najpierw mówi się, że mamy przemknąć niezauważeni obok Oazy, a teraz ten pościg za Storchem. O co tu chodzi?

- Znasz dowódcę. Jest jak buldog. Jak złapie zębami, nie puści.

- Mój kolega miał buldoga. Brzydki był jak noc. I pies też.

Schramm wychylił się usiłując dojrzeć, co pilot grzebie w silniku. Pytanie nie miało sensu, gdyż i tak nie otrzymałby odpowiedzi. Usłyszał jedynie szcęk narzędzi.

Sądząc po ruchach, pilot coś odkręcał lub przykręcał kluczem. Uderzył go silny zapach benzyny.

- Nie lepiej byłoby zawołać żołnierzy z garnizonu w Oazie? - krzyknął. - Mogliby nas popchać.

Nie uzyskał odpowiedzi. Był oficerem wywiadu i przywykł pracować głową, a nie mięśniami, a minione dwie doby upewniły go, że walka wymaga też zdrowego organizmu. Zamknął więc oczy i oparł głowę o fotel. Marzył o kufle dobrego, zimnego piwa i tak się w tych myślach pograżył, że wyobraził sobie, iż za chwilę łyknie tego cudownego płynu. Chciał nawet przełknąć ślinę, ale wysuszone usta i przełyk nie mogły sprostać temu pragnieniu. W tym momencie pilot z wyraźnie zadowoloną miną wlaźł do kabiny.

- Problem rozwiązany - powiedział. - Teraz będzie grało, jak organy.

- Ale czy będzie leciało jak ptak?

- Nie, jak organy. Nawet organy mogą latać, jeśli im tylko zamontować odpowiednio potężny silnik.

Silnik zaskoczył natychmiast, zakaszłał, nabrał obrotów i pracował równomiernie. Maszyna ruszyła podskakując na kamieniach, jakimi była zasypana pustynia. Pilot przylepił nos do przedniej szyby i usiłował wymijać kamienie, co mu się oczywiście nie mogło udać.

* * *

Kierowca Lamparda znalazł ścieżkę przez słone bagno. Może nie tyle wydeptaną dróżkę, co twardy grunt, po którym mogli jechać. Jadąc z szybkością trzydziestu kilometrów na godzinę jeep podskakiwał na kamieniach, jakby posuwali się dwa razy szybciej. Za nimi zapamiętałe

darł samochód pancerny, choć tumany kurzu spod kół jeepa ograniczały widoczność tamtemu kierowcy.

Waterman obserwował ich przez lornetkę. Zauważył, że jeep poruszał się dwa razy szybciej niż Storch. Odległość pomiędzy wozem a samolotem malała i można właściwie było wyznaczyć miejsce, w którym Lampard dogoni Schramma. Punktu

tego jednak nigdy nie osiągnięto. Kiedy samochody znalazły się w odległości około dwustu metrów od samolotu, rozpoczęły jego ostrzał.

Okazało się to sygnałem do czegoś równie nieoczekiwanego, jak i niepożądanego. Spośród palm wyłoniły się nagle cztery wozy pancerne i otworzyły ogień. Znajdowały się w odległości niespełna kilometra. Ich strzały, oddawane z ciężkiej broni, były początkowo za krótkie, a pociski wybuchały wznosząc fontanny pisaku. Brytyjski wóz pancerny zaczął natychmiast zawracać. Lampard puścił jeszcze jedną serię w kierunku toczącego się zygzakiem Storcha, po czym jego kierowca zawrócił i odjechał w ślad za wozem pancernym.

Storch jeszcze toczył się do przodu. Schramm słyszał kule przelatujące obok nich ze świstem i był pewien, że kilka pocisków trafiło samolot. Wiedział, że podjęcie przez niego jakichkolwiek działań jest bezcelowe. Jeżeli wychyli się z kabiny zostanie zabity, jeśli w niej pozostanie - również. Pilot głośno wyklinał samolot, pustynię, Anglików i przy każdym podskoku na kamieniach marszczył się pociesznie, co jednak nie rozśmieszało majora. Silnik wył na wysokich obrotach, a Schrammowi przypominało to ryczenie rannego byka. Zapiął pasy, głowę wcisnął między ramiona i wymyślał sobie od idiotów. Pilot

coś krzyknął, samolot zadrzał i wydawało się, że się za chwilę rozleci. Maszyna pochyliła się do przodu i nosem zaryła w piasek. Roztrzaskujące się śmigło odleciało z hukiem i samolot zadarł ogon do góry jak kura grzebiąca w piasku. Schramm zawisł na pasach głową w dół. Drzwi kabiny wyleciały z zawiasów, co otwierało przed nim drogę ewakuacji. Szarpnął zapięcie pasów i bezwładnie poleciał w dół lądując głową w piachu. Jęknął głucho. Czuł ból karku.

- Boże, jak boli - nikt mu nie odpowiedział. Wokół panowały cisza, gdyby nie setki, tysiące brzęczących much.

- Popatrz, one latają, a ty nie potrafisz - stęknął, choć nie widział pilota i nie miał pojęcia, gdzie się ten znajduje.

Lampard słyszał huk wystrzałów. To ich wóz pancerny strzelał ze swojego boforsa. Włosi nie pozostawiali dłużni i odpowiedzieli ogniem bredy. Lampard podjechał do wozu pancernego i przekrzykując kanonadę wrzasnął do Dunna:

- Widzę trzy, a były cztery? Gdzie się podział?

- Może się cofnął. Na Boga, zwiewajmy!

- Dlaczego miałbym się cofać? - Lampard lustrował panoramę przez lornetkę. - To nie miałyby sensu. Natomiast może usiłuje nas zejść z drugiej strony?

- Tam są słone bagna. Jak ma nas zejść?

Kanonada, jak nagle się zaczęła, tak nagle ustała. Obie strony obserwowały się nawzajem poprzez rozedrgane, zamglone powietrze pustyni.

- Wiejemy! Na co czekać? - wrzasnął Dunn.

- A na co oni czekają?

- Na Stukasy, czołgi, artylerię. Cholera wie na co.

Lampard raz jeszcze spojrział przez lornetkę zdając sobie

sprawę z tego, że każdy sekunda zwłoki pomnaża ryzyko i delektując tym się.

- No dobrze, ruszamy - powiedział wreszcie i jeszcze raz spojrzął na wrak Storcha. Samolot tkwił zaryty dziobem w piach i wysoko zadartym ogonem. Ktoś wyleciał u kabiny i uderzył o ziemię.

Żywy czy martwy? Chyba jednak żywy. Mało pocieszające. Szkoda, że to świństwo się nie zapaliło. Nie ma nic piękniejszego, nad widok takiego płonącego wraka. Lampard wskoczył na przednie siedzenie jeepa i ruszyli.

Dunn poczuł ulgę, gdy stwierdził, że trzy wozy pancerne Włochów nie usiłują ich gonić. Miał nadzieję, że to nieoczekiwana obecność działka ppanc bofors na jego samochodzie, tak zniechęciła makaroniarzy. Teraz jedynym problemem było następnych dziesięć kilometrów. Jeśli tamci w tym czasie nie naślą na nich bombowców, będą uratowani. Dalej rozciągała się równa jak stół pustynia o twardej nawierzchni. Tam będzie można rwać do domu, co sił w silnikach.

Jakiś wybuch wstrząsnął powietrzem. W pierwszej chwili Dunn sądził, że złapał gumę, ale wóz nadal jechał prosto, nie zataczał się. Kolejny wybuch i potem jeszcze jeden. Gdzieś przed nimi wykwił pióropusz dymu i kurzu.

- Jezus! - wrzasnęła, a kierowca pokazując palcem powiedział:

- Wóz łączności.

W niebo bił teraz czarny dym z płonących smarów.

Fałda wydmy przysłaniała im widok, ale Dunn wiedział, że kierowca miał rację. Tak płonąć mógł jedynie ich wóz łącznościowy. I teraz już wiedzieli, gdzie podział się czwarty samochód pancerny Włochów. Minęli wydmę i

roztoczył się przed nimi przerażający widok. Ich samochód płonął jak kupa suchego chrustu. Jeszcze jeden wybuch i płomień strzeliły jeszcze wyżej, wyrzucając pęki iskier.

Jeep Lamparda podjechał pierwszy. Zatrzymali się na dziesięć sekund i rozglądali za wrogiem. Potem z rozpędem objechali płonący wóz dookoła. Za wydumą przykucnęło dwóch ludzi. Byli to kapral Pocock i szeregowy Smedley.

- Gdzie alfa? Gdzie Davis? - zapytał ostrym głosem Lampard.

- Odjechali. Mieli szczęście - Pocock pokazał w kierunku wschodnim.

- Są ranni?

- Tam został Waterman - Pocock patrzył na płonącą ciężarówkę. Widać było jedynie jej zarys zniekształcony przez buchający ogień. I nagle płomień przygasł, a samochód przysiadł, całkiem jak zmęczone zwierzę, które chce się ułożyć na ziemi.

- Wskakujcie - rozkazał Lampard gdy nadjechał wóz Dunna. - Czas, by jechać do chałupy. - Wyskoczył z jepra i podszedł do Dunna. - Wygląda na to, że załatwili Tony'ego.

Dunn sprawiał wrażenie, jakby nie rozumiał, o czym kapitan mówi. Patrzył na bijący w górę dym:

- Sądzę, że mogłeś to być ty lub mnie.

- Raczej ty lub ja.

Dunn patrzył i nie potrafił zrozumieć.

- Co mówisz?

- Może być ty lub ja, albo spotkało ciebie lub mnie, tak jest poprawnie.

- Odjeżdżamy - wrzasnął Dunn. Mógł znieść śmierć kolegi, ale nie lekcję gramatyki.

* * *

Gdyby Schramm potrafił logicznie myśleć w cieniu skrzydła Storcha czekałby na ratunek. Wydawało mu się jednak, że szkoda na to czasu. Stał na obandażowanych nogach i usiłował iść do garnizonu w Dżalo, by przekazać przez radio odpowiedni meldunek do Barce. Chciał poinformować Hoffmanna o tym, gdzie może znaleźć i zniszczyć brytyjski patrol. Był jednak zbyt chory i słaby, by cokolwiek zdziałać. Popychany bohaterskim wysiłkiem posuwał się w całkiem niewłaściwym kierunku. Szedł z wysiłkiem od palmy do palmy obejmując kolejne pnie by choć na chwilę przystanąć. Zgubił czapkę. Usta miał szeroko otwarte, a język wyschnięty jak patyk.

Kiedy Włosi upewnili się, że Brytyjczycy odjechali, zbliżyli się do wraka Storcha. Wyciągnęli z kabiny ciało pilota, a któryś z nich zauważył krwawe ślady prowadzące w głąb Oazy. Szybko odnaleźli Schramma, który właśnie zamykał koło, po którego obwodzie się poruszał.

W szpitalu w Dżalo lekarz nawet nie usiłował zrozumieć bełkotu Schramma, któremu po wypiciu kilku łyków mleka wróciła zdolność mówienia. Nie na wiele się to przydało, gdyż jego włoski był niezrozumiały, a lekarz znał tylko kilka niemieckich słów. Major usiłował kilkakrotnie zwlec się z łóżka i dzwonić na lotnisko, ale lekarz dał mu zastrzyk, po którym zasnął.

* * *

Lampard i Dunn jadąc, jak się tylko dało najszybciej, spotkali alfa romeo i drugiego jeepa w miejscu, w którym rozpoczynali pościg za Storchem. Nie zatrzymywali się nawet. Lampard machnął ręką do Gibbona i pokazał na

południe. Tak rozpoczęli długi wyścig w kierunku Kufry. Ścigali się z czasem i z ewentualną pogonią.

Jechali przez szczególnie sprzyjający odcinek Sahary. Równa płaszczyna od horyzontu po horyzont. Właściwie można było nie trzymać kierownicy w rękach. Poza fatamorganą nie było to nic godnego zobaczenia. Pędzili więc z szybkością stu kilometrów na godzinę oddalając się coraz bardziej od wroga. Owiewał ich przyjemny wiatr i po raz pierwszy od wielu dni nie czuli morderczego upału.

Gdy krajobraz zaczynał się nieco zmieniać alfa zaczęła odmawiać posłuszeństwa. Silnik strzelał, parskał, wreszcie rozległ się metaliczny zgrzyt i spod samochodu wypłynęła oliwa. Jedna z ciężarówek wzięła alfę na hol, ale po kilku kilometrach samochód złapał gumę. Zmienili koło, ruszyli i zepsuł się jeden z jeepów. Silnik był w porządku, ale wysiadło sprzęgło. Lampard popatrzył na słońce. Do Kufry mieli jeszcze co najmniej sto sześćdziesiąt kilometrów kamienistego terenu i trudny do przebycia kawałek Morza Piasków. Lampard przyjrzał się uważnie kierowcy. Miał oczy jak skacowana jaszczurka. Łatwo się było domyśleć, jak się czuł.

- Robimy postój - zdecydował.

Nie rozmawiali ze sobą. Kucharze przygotowywali posiłek, a inni oczyścili broń. Sprawdzono czy nie wycieka woda z pojemników i czy nie psują się konserwy. Silniki były jeszcze zbyt rozgrzane, by mechanicy mogli je przejrzeć, sprawdzali więc koła i podwozia.

Rozdano jedzenie.

W porównania z tym, co dostawał zwykły żołnierz walczący na pustyni, członkowie SAS otrzymywali racje królewskie. Tak więc na kolację podano: sardynki, mielone

mięso, smażoną cebulkę, kartofle z puszki, pikle, jarzyny z puszki, brzoskwinie z puszki, ser i biskwity. Każdy otrzymał litr herbaty. Był też syrop i dżem, a na specjalne zezwolenie komendanta mógł być rum.

Lampard obserwował swoich ludzi. Nie myli się od dwóch tygodni. Ich brody, włosy i mundury pokryła gruba warstwa pustynnego kurzu, brudu. Smród z płam po oliwie używanej do czyszczenia broni i samochodowych smarów mieszał się z zapachem potu. Każdy brał swoją porcję i jadł w milczeniu. Nie patrzono na siebie, nie rozmawiano, nie podziwiano wspaniałego zachodu słońca i nieba zmieniającego kolor z niebieskiego, przez różowe na fiołkowe.

- Rum - zarządził Lampard, ale i to nie wywołało objawów radości i nie pobudziło do rozmów.

Po posiłku popijali leniwie herbatę z rumem. Lampard przysiadł obok sierżanta Davisa.

- Co się dzieje? - zapytał.

Davis czyścił swoją menażkę piaskiem. Robił to starannie, systematycznie, zaglądał do środka pomrukując „Boziu, Boziu” i ponownie brał się do czyszczenia. Potem odwracał denkiem do góry i uderzał w nie dłonią - by wytrząść każdą drobinę piachu. Wreszcie mruknął:

- Nie wiem od czego zacząć.

- Od początku - Lampard łyknął herbaty z rumem. - Co się dzieje?

- Nie do mnie należy ocena. Mogę powiedzieć tylko, co się wydarzyło. Jeden z wozów pancernych makaroniarzy obszedł te słone bagna i zaskoczył nas.

- Dlaczego go nie zauważyliście?

- Sam się nad tym zastanawiam. Są dwa powody. Jeden

to ten, że jak tylko tamci wyszli z Oazy i zaczęli strzelać, postanowiliśmy się wycofać. Nie przypatrywaliśmy się temu, co robią, tym bardziej, że mieliśmy kłopoty z zawróceniem wozu łączności. Drugi, to fakt, że tamten nie atakował wprost, a prześlizgnął się wąskim wadi z boku.

Lampard opuścił głowę i zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

- No i co dalej? - zapytał.

- Dalej... Makaroniarze strzelili i trafili w koła. Wiedziałem, że to koniec z wozem i postanowiliśmy zwiewać. Waterman nie chciał zostawić swoich szyfrów i rzucił się by je ratować. Tamci strzelili jeszcze kilka razy i musieli trafić w bak. Jakby tam wrzucił zapałkę. Bang! Wszystko wyleciało w powietrze.

Słońce niemal zaszło. Temperatura szybko spadała. Zaczynało być wręcz chłodno.

- To musiał być bardzo mały wadi - mruknął Lampard naciągając sweter.

- Dla tamtych wystarczająco szeroki.

- Mam na myśli to, że nie spodziewaliście się ataku z tej strony.

Sierżant Davis milczał, ale cała jego postawa wyrażała wrogość.

- Oczywiście, jeśli się nie ryzykuje, to się nie zwycięża - powiedział Lampard. - Załatwiliśmy tego Storcha.

- Tak, załatwiliśmy Storcha - zgodził się Davis.

Zazwyczaj w podobnych sytuacjach jeszcze przez jakiś czas rozmawiano, słuchano BBC. Nie tym razem. Po dwudziestu czterech godzinach jazdy byli wykończeni i jeśli czegoś chcieli, to snu. Jeszcze tylko mechanicy pracowali przez jakiś czas nad silnikami, ale o dziewiętej

wszyscy zawinięci w koce, spali. Pustynię wypełniał całkowity spokój, okryty bezkresem nieboskłonu. Patrol spał jak zabity.

Wkrótce po tym, jak się rozwidniło Gibbon podszedł do Dunna, który właśnie składał koc i zapytał:

- Może ty byś mi wyjaśnił, co się właściwie stało wczoraj?

Dunn popatrzył podejrzliwie i odpowiedział pytaniem, choć doskonale wiedział o co chodzi.

- O czym myślisz?

- Jestem tylko nawigatorem - odpowiedział Gibbon. - Nie znam się na sztuce wojennej. Wydaje mi się jednak, że byliśmy w niewłaściwym miejscu, o niewłaściwym czasie i ryzykowaliśmy życiem całego patrolu dla zniszczenia czegoś, na co nawet wysrać się nie warto. Oczywiście, mogę się mylić.

- Zniszczyliśmy samolot - przypomniał Dunn.

- Sam zarył nosem w piach.

- To nie takie proste.

Gibbon wciągnął powietrze i powiedział:

- Czuję wieprza. Smażą bekon.

- To miał być dowcip?

- Nigdy nie żartuję ze świń - odpowiedział Gibbon. - Być może masz rację.

Zbliżyli się do ogniska, gdzie pracował kucharz. Podszedł do nich Lampard i powiedział: - O bekon!

Gibbon odchrząknął:

- Właśnie myślałem o tej wczorajszej bitwie.

Lampard przeczesał zmierzwione włosy, ziewnął i czekał.

- Znakomita - skomentował Gibbon.
- Niewielka potyczka.
- Jestem przekonany, że Włosi zameldowali o wielkim zwycięstwie. Odparli brytyjski atak zadając nam ogromne straty.

- Niewątpliwie, ale to była mała potyczka.
- Bez ciężkich strat?

Lampard popatrzył na niego ostro.

- Znasz straty. Mieliśmy pecha.
- Ach, to pech, rozumiem.
- Na Boga, Corky, zamknij się - zdenerwował się Dunn.
- Po prostu chciałem sobie wyrobić zdanie, Mike.

Lampard chrząknął i spędził muchę z brody.

- Sądzę, że gdybyśmy w nocy wrócili do Oazy Dżalo potrafiłbym znaleźć skład paliw i amunicji. Co ty na to, Corky? Ty wytyczysz drogę, a ja zajmę się składami. Jedziesz z nami? - Ponownie odpędził atakujące go muchy.

Gibbon zastanawiał się, jakie miałyby powody, by odmówić, ale ich nie znajdował. Uratował go sierżant Davis.

- Opony nie wytrzymają - ocenił.
- Być może, to innym razem - zgodził się Lampard.

I Davis miał rację. W drodze do Kufry, na trasie stu sześćdziesięciu kilometrów, złapali jeszcze sześć gum.

W Kufrze była baza SAS. Lampard przez radio zameldował do Kairu o powrocie. Nadeszła szybko odpowiedź. Wzywano ich.

Rozdział II

Kairskie dyskusje

- Ping-pong nie jest sportem olimpijskim - powiedział Henry Lester - a to co wy uprawiacie tutaj na pustyni, to ping-pongowa wojna. To się nie sprzedaje. Tym nikt nie jest zainteresowany.

- Na miłość boską, Henry. Nałóż sobie nieco owoców i zjedz te lody.

Zjedli kolację w Gezira Sporting Club w Kairze, w mieszanym towarzystwie dziennikarzy i oficerów. Przez cały wieczór Lester usiłował przedstawić argumenty na rzecz męskiej walki prowadzącej do szybkiego zwycięstwa. Miał czterdzieści jeden lat, był niewysoki, krępy, ostrzyżony na jeża, i reprezentował pewien dziennik z Chicago, którego czytelnicy chcieli być informowani o tym, co dzieje się na świecie, krótko, dosadnie, bez ogródek i pustej gadaniny. Dlatego też Lester wygłaszał niemal na każdy temat opinie ostre, pryncypialne i lapidarnie sformułowane.

- Cóż można powiedzieć o Kairze - mówił. - Tu wyrabia się doskonałe lody i właściwie więcej niczego dobrego nie można już o tym mieście powiedzieć.

- Cieszę się, że panu te lody smakują - wtrącił generał Saxon. - Proszę jednak pamiętać, że nie jadłby pan ich, gdyby armia brytyjska nie zatrzymała w 1940 r. ataku Grazianiego.

- Ping - powiedział Lester. - Wavell kontratakuję i idzie tysiące kilometrów do przodu. Pong, pojawia się Rommel i Brytyjczycy przegrywają. Ping, Auchinleck atakuje i idzie tysiąc kilometrów do przodu. Pong, Rommel atakuje i odzyskuje połowę utraconego terenu. Ping, czy czegoś nie zapomniałem?

- Jedynie o kilku zabitych - stwierdził brygadier

Munroe. - Kilka setek tysięcy zabitych po obu stronach. Niestety ich tu nie ma i nie mogą z panem dyskutować.

Obok brygadiera siedział szpakowaty korespondent Reutera, Shapiro, który dodał:

- Tam na pustyni przedstawia się to jeszcze gorzej. Widząc wiele ciał myślisz: Po co ci ludzie polegli? Za te piaski? Czy było warto?

- Liczba ofiar nie ma większego znaczenia - wtrącił Saxon. - W każdym razie nie od czasów ostatniej wojny.

- Nie mówi pan tego poważnie - oburzył się Lester, a Saxon wzruszył ramionami.

- Strzałki na mapie - wtrącił się Shapiro. - Czytelnik otwiera gazetę, widzi strzałki na mapie i zauważa: „O cholera, to tak, jak przed rokiem, i jeszcze przed rokiem. Co tam się właściwie dzieje?”

- To bardzo trudna i skomplikowana wojna. Właśnie to się dzieje - skonkludował Munroe.

- ...którą wy jeszcze bardziej komplikujecie trzymając wszystko w tak choleonej tajemnicy - dorzucił ironicznie Lester. - Rozmawiałem z większą liczbą generałów i admirałów w Polsce i we Francji, niż ich tutaj mogłem zobaczyć.

- O ile sobie przypominam, Polska i Francja sypnęły się raczej dość szybko - zauważył Saxon.

- Tak, ale Henry trafił w dziesiątkę - dodał Shapiro. - Tutaj nigdy się nie wygra, jeśli nie otrzyma się wystarczających posiłków. Walczysz z Rommlerem, ale równocześnie z Londynem i z Waszyngtonem. Musisz zdobyć miejsce dla tej wojny na czołówkach gazet.

- Na pewno zwyciężymy - dodała pani Lester pragnąc jedynie, by panowie uznali temat za zakończony.

- Tak, z całą pewnością - powiedział Munroe. - Wygraliśmy już wiele bitew pancernych.

- Jeśli widziałeś jeden pałący się czołg, widziałeś je wszystkie - stwierdził Lester.

- Widziałem pięćdziesiąt pałących się czołgów. Były to czołgi wroga.

- I ja też - pochwalił się Shapiro. - Zrobiłem nawet zdjęcia, ale niezbyt dobre. Dym i czarne tło.

- Zgroza - oburzył się Saxon. - Nie niszczymy czołgów po to, by robić

atrakcyjne zdjęcia dla prasy. Gdy zajmowaliśmy Sidi Barani, to sceny, które się tam rozegrały... - zrobił chwilę przerwy. - Lepiej tego tematu nie kontynuować przy stole. Wystarczy, że powiem, że nigdy tego nie zapomnę.

- Wierzę - zgodził się Lester - Rzecz w tym, że Sidi Barani tyle razy było zdobywane i tracone, że to już zakrawa na dowcip. W Anglii opowiada się na ten temat kawały, a w Chicago... W Chicago ludzie sądzą, że Sidi Barani to piosenka z filmu „Pięść Pustyni”.

- To rzeczywiście kasowy film. Widziałam go co najmniej trzy razy.

- Doprawdy nie wiem, o co wam chodzi - oburzył się Munroe. - Nie podobają się wam bitwy pancerne, nie podoba się wam Sidi Barani. To co właściwie znajduje wasze uznanie?

- Rzeczywiście chce pan wiedzieć? Bardzo proszę - odpowiadał Shapiro. - Odważny atak, generalna ofensywa, przekonywujące zwycięstwo, a nie ten ping-pong.

- Na to trzeba będzie nieco czasu - odparł Saxon. - No i co jeszcze?

- Energicznie działanie - tym razem odezwał się Lester. -

Głośne, zdecydowane, spektakularne. Coś takiego, na czym w Hollywood zbija się forszę. Errol Flynn robi coś takiego co najmniej raz na tydzień. Dlaczego wy nie możecie?

- Ponieważ to nie jest całkiem to samo - mruknął Munroe.

- Nie, ale do czasu decydującego zwycięstwa coś takiego by wystarczyło - stwierdził Shapiro.

- W innym wypadku ludzie przestaną się tym interesować - poparł go Lester.

- Przecież walczą i w innych rejonach świata - oburzył się Saxon. - Wcale nie musicie tutaj siedzieć. Jedźcie do Rosji, na Pacyfik, do Chin.

- Byłem przez dwa lata w Chinach. Nuda. Czy wiecie, że Chińczycy znają dwadzieścia sześć sposobów rozprowadzania dezynтерии?

- Czy pani mąż jest zawsze takim malkontentem, pani Lester? - zainteresował się Saxon.

- Od urodzenia. Henry zaledwie wygrzebał się z brzucha matki na świat, już składał zażalenie w Biurze Konsumentów.

- Oczywiście, gdyż nie znoszę niekompetencji - Lester entuzjastycznie podjął temat. - Czy uwierzycie, że nie udało mi się nawet dodzwonić do mojego adwokata? Czwarta trzydzieści rano. Ja nagi, trzymany wbrew mojej woli w jakimś ohydny szpitaliku, a u adwokata nikt nie podnosi słuchawki!

- I od tamtego czasu nic mu nie wychodzi - kontynuowała pani Lester. - Nic, oczywiście z wyjątkiem małżeństwa.

Wszyscy poza panią Lester, parsknęli śmiechem. Dla niej to wcale nie było zabawne.

- Sydney, zatańcz ze mną - zwróciła się do Shapiro. -
Jeśli odmówisz, namówię mafię, by ci połamała nogi.

- No cóż, jeśli zaczniesz od podlizywania się, to proszę.
- Wstali i ruszyli w kierunku parkietu.

* * *

Patrol otrzymał czterodniowy urlop.

Większość czasu spędzali w wodzie. Przez cały czas przebywając na pustyni marzyli o tym. Śnili o rzekach, prysznicach, basenach, górskich jeziorach. Kiedy temperatura przekracza czterdzieści stopni w cieniu, i woda jest racjonowana, pragnie się o jej na wszelkie sposoby. I teraz, w Kairze spełniali swoje własne marzenia pławiąc się w wodzie.

Poza tym jedli i pili bez ograniczeń. Afrika Korps Rommła stacjonował wokół, ale Egipt formalnie był państwem neutralnym i nie racjonowano żywności. Wszyscy dosłownie zażerali się świeżymi melonami i granatami, brzoskwiniami i winogronami, pomarańczami i figami, czereśniami i śliwkami. Nie jedli daktyli. Mieli ich aż nadto na pustyni. Przede wszystkim jednak objadali się lodami. Znali w Kairze miejsca w których sprzedawano lody o tak znakomitych smakach i genialnej, jedwabistej konsystencji, że wspomnienie o nich nawet w oazie sprawiało, że człowiek się ślinił. Zjadali góry lodów. No i oczywiście niezliczone porcje jajek z frytkami. Należało zapomnieć o Harrisie i objadać się. Nie ma na świecie nic pyszniejszego, niż jajka i frytki.

Wieczorami pili. Oficerowie głównie dzin z tonikiem, pozostali piwo. Upijali się, ale z umiarem. Najgorszą rzeczą, jaka mogła spotkać

żołnierza SAS było wyrzucenie, nazywało się to w języku biurokratów wojskowych „odesłanie do jednostki”. Nikt nie miał ochoty na to ryzyko.

Seks, o którym na pustyni wobec wszelkich przeciwności losu szybko się zapominało, tu, w Kairze, ponownie stawał się problemem. Tylko nieliczni decydowali się na prostytutki, gdyż wpadka w sytuacji kompromitującej równała się odesłaniu do jednostki. Obawa przed tym nie miała nic wspólnego z moralnością. Ci, którzy nie potrafili zaspokoić swoich potrzeb w tej dziedzinie, najczęściej po prostu usiłowali o nich zapomnieć w basenie, przy jeszcze jednej porcji lodów, czy kolejnym talerzu jajecznic.

Kapitan Lampard, w przeciwieństwie do swoich kolegów, oficerów, nie wynajmował mieszkania w Kairze. Wolał mieszkać w namiocie, w obozie SAS na przedmieściach stolicy. Pierwszy ranek urlopu spędził na pisaniu raportu z wyprawy na Barce. Pozostawił raport w adiutanturze, by go przepisano na maszynie, wzięł prysznic, wbił się w nowy, tropikalny mundur, zamówił jeepa i pojechał do Dowództwa Armii Brytyjskiej, czyli do Departamentu SU. Zadaniem Departamentu było prowadzenie ewidencji poległych w akcjach. Kiedyś, z jednej z nich ktoś przywiózł z Benghazi włoski znak drogowy, z napisem „SENSO UNICO”, co oznacza jednokierunkową ulicę. Tablicę tę umieszczono przy wejściu do Departamentu. Napis potem gdzieś zniknął, ale nazwa się przyjęła i pozostała nazwa Departament SU.

* * *

- A już pan jest - ucieszył się nieszczerze wojskowy

cenzor. - Proszę, wykreśliłem tylko to, co musiałem.

Henry Lester odebrał podawany mu maszynopis i rzucił na niego okiem. Niemal natychmiast poczuł, że ma kamienie w żołądku. Znał to uczucie i nienawidził go. Nawet po dwóch latach pisywania o wojnie nie potrafił do tego przywyknąć. Zaczął się wachlować trzymanymi w ręce kartkami, bo miał wrażenie, że zrobi mu się słabo. Na maszynopisie niebieski ołówek wymazał całe akapity. Te sukinsyny

nie ocenzuowały jego materiału. Oni go okastrowali, pozbawili tego, co najlepsze, najcenniejsze, najciekawsze.

- Tego nie mogę wysłać - oświadczył słabym głosem.

- A, to już oczywiście zależy od pańskiej decyzji.

- W Chicago nikt nie będzie chciał tego przeczytać.

- Być może, nigdy nie byłem w Chicago. - Nawet cenzor zorientował się, że zabrzmiało to niezbyt grzecznie, gdyż już łagodniejszym głosem dodał: - Muszę powiedzieć, że z zainteresowaniem przeczytałem wzmiankę na temat Polaków.

- To dlaczego ją pan wyrzucił?

- Ach... polityka, drogi przyjacielu. Polityka.

Lester czuł niemiłe bicie serca. Ten fragment na temat Polaków zabrał mu dwa dni pracy.

- Chcę rozmawiać z pańskim szefem - powiedział.

- Z pułkownikiem Knibbsem? Spróbuję, ale... - podniósł słuchawkę telefoniczną.

Lester czekał na głównego cenzora godzinę i dziesięć minut. W tym czasie przeszła mu złość i uspokoił się. Wreszcie gabinet pułkownika opuściło dwóch oficerów z piersiami pełnymi medali i poproszono Lestera do środka. Cenzor Knibbs, wysoki i szczupły, z okularami

podniesionymi na czoło, stał przy oknie, pił tonik i wyglądał na ulicę, po której przewalał się tłum przechodniów.

- Gdyby pan zamknął oczy i wyrzucił przez to okno kilka cegłówek, to trafiłby pan co najmniej jednego szpiega. Raczej jednak dwóch.

- Czy mogę pana zacytować?

- Przykro mi, ale nie.

- Nie? - usiadł, ale siedzenie było nagrzane i musiał się przesunąć. - Odnoszę wrażenie, że w ogóle niczego nie wolno mi napisać. - W dwóch palcach trzymał zwrócony mu, ocenzonego materiał, jakby pokazywał zwłoki zabitego, i już nadpsutego zwierzątko.

- Z całą pewnością nie może pan tego wysłać - powiedział pułkownik. - W tym artykule wyjaśnia pan dlaczego utraciliśmy Bengahazi.

- Nic z tego nie jest tajemnicą dla Rommla.

Knibbs dopił tonik i wrzucił butelkę do kosza na śmiecie.

- Widział pan tych dwóch oficerów, którzy stąd przed chwilą wyszli? Zrobili mi awanturę właśnie o Bengahazi. Byli tam zanim miasto zajęły wojska Rommla. Zdobył miasto tak łatwo! Popelniliśmy wiele błędów taktycznych, o których pańscy koledzy pisywali w swoich doskonałych, ale fatalnych dla nas materiałach. Niemcy mieli lepszą broń, krótsze linie zaopatrzenia, niezawodniejsze środki łączności. O tym wszystkim opowiadał jakiś idiota w BBC w Londynie. Może pan sobie wyobrazić, jak wpłynęło to na morale naszych żołnierzy tam, na froncie.

- Tak, coś o tym słyszałem - potwierdził Lester.

- A ci przychodzą tu do mnie z pretensjami i mnie

oskarżają. Oczywiście, że jestem cenzorem. Ale co ja mam do tego? Nie kontroluję przecież BBC. No cóż, stało się. - Machnął zniecierpliwiony ręką. - W każdym razie dość tego rozpisywania się o Benghazi.

- A o Polakach? - Pokazał na wyrzucony z jego materiału fragment tekstu - Nie brali udziału w tych walkach. Dałem ich tu dla kontrastu. Polacy walczą jak diabły.

- Ale jak wpadną do niewoli Niemcy natychmiast ich rozstrzeliwają. Nie powinniśmy rozpowszechniać takich informacji, to może źle wpłynąć na ducha walki. W każdym razie teraz jeszcze nie możemy o tym pisać.

Lester zrezygnowany, nic nie załatwiwszy wrócił do domu i bez najmniejszych powodów zrobił żonie awanturę.

* * *

Lampard siedział w małym pokoiku dla klientów Departamentu SU, i uważnie wertował listę oficerów poległych ostatnio w akcjach na Zachodniej Pustyni. Szukał nazwisk młodszych oficerów z jednostek brytyjskich /nie szkockich/, i tylko z jednostek z okolic Londynu. Im bliżej Londynu, tym lepiej. Nie interesowali go przybysze z Nowej Zelandii, Australii, czy Indii.

Wybierał nazwisko, po czym sprawdzał najbliższą rodzinę. Były tu głównie adresy w Anglii, ale znalazł kilka z Kairu i z Aleksandrii. Ostatecznie Egipt był krajem neutralnym i jeśli ktoś zdobył pozwolenie na wyjazd i bilet, miał prawo do zamieszkania tutaj. Zresztą wiele żon oficerów najpierw przebywało w Indiach, a kiedy mężów przeniesiono do Egiptu, niektóre przyjechały za nimi. Zdarzało się, że faceci spotykali

angielskie dziewczęta w Egipcie, pracownice biur, sekretarki i żenili się z nimi.

Lampard sporządził krótką listę nazwisk poruczników i kapitanów, którzy mieli rodziny w Kairze. Przejrzał ją i dwa nazwiska wykreślił. Rodzina mieszkała w dzielnicach, które mu nie odpowiadały. Przeczytał ponownie pozostałe nazwiska: Benson, Challis, Fitzroy, d'Armitage, Tait, Spencer i Cox. Nie podobało mu się nazwisko Tait, choć sam nie wiedział dlaczego. Skreślił je. Z nazwiskiem Cox również coś było nie w porządku. Patrzył i zastanawiał się. O co chodzi? I nagle zrozumiał. W patrolu mieli już jednego Coxa. Zapewne nie byli krewnymi, ale Lampard był w takich sprawach przesądny i Cox również został skreślony.

Listy, jakie mu udostępniono, zwrócił sierżantowi, podziękował i wyszedł. Czas na herbatę.

* * *

Większość uważa, że lato w Kairze jest zbyt gorące, by grywać w tenisa. Dla Dunna i Gibbona po pustynnych upałach Kair wydawał się mile chłodny. Na kortach Gezira Sporting Club rozegrali dla rozgrzewki kilka setów i poszli na basen. Siedzieli teraz na marmurowym obramowaniu basenu z nogami spuszczoneymi do wody.

- Śmieszne, kiedy byliśmy na pustyni przez cały czas marzyłem, by znaleźć się tutaj. Teraz, kiedy jestem tutaj, marzę... - zaczął Dunn.

- Nie możesz się doczekać kolejnego patrolu.

Dunn machnął nogą i wzbił fontannę kropelek.

- No właśnie. To chyba głupie.

- Mike, na miłość boską, nie bądź tak sfrustrowany -

mruknął Gibbon - Zresztą masz rację. Twoja wypowiedź nie była nazbyt mądra, chociaż z drugiej strony nie masz się czego wstydić. Nie jesteś przecież nadmiernie inteligentny.

Dunn wstał, dał nura do wody i wypłynął

- Nie sędzę, bym był głupi.
- Masz prawo do własnego zdania.
- Maturę zdałem jako dziesiąty w klasie. Wielu facetów oblało. To o czymś świadczy, czy nie?
- Jesteś dobrym żołnierzem, a dobry żołnierz nigdy nie jest za mądry. Wręcz przeciwnie. Dobry żołnierz rzuca się na czyjś rozkaz w ogień. I wiesz, co jest tego rezultatem?
- Zdobyć i zwycięstwo na czyjś rozkaz.
- Nie. Przeważnie coś przeciwnego. Dobry żołnierz po prostu ginie, gdyż zazwyczaj taki los jest udziałem dobrych żołnierzy.

Gibbon z zainteresowaniem przyglądał się płynącej pod wodą młodej dziewczynie, z której otwartych ust wydobywały się srebrne bańki powietrza. I nieoczekiwanie, ni stąd, ni zowąd powiedział:

- Jeszcze nie dostałem Krzyża Wojskowego. To święństwo.
- Kogo za to winisz. Wywiad Luftwaffe czy naszą administrację?
- A teraz nie ruszaj się.

Gibbon stanął na ramionach Dunna, przez chwilę starał złapać równowagę, złożył się do skoku i zanurkował. Poddając się sile odrzutu Dunn również dał nura.

* * *

Dwa Curtissy P- 40 Tomahawk powracały na lotnisko,

gdy napotkały na sześć Macchi 202 lecących w przeciwnym kierunku. Włoskie maszyny należały do nowoczesnych myśliwców dysponujących możliwościami szybszego wznoszenia się. Tomahawk był prymitywniejszy, ale mocniejszy, lecz na niskim pułapie szybszy. Miał sześć karabinów maszynowych. Macchi dwa plus dwa działka. Obie formacje znajdowały się na wysokości nieco ponad dwóch tysięcy metrów. Na tym pułapie parametry obu typów myśliwców były mniej więcej wyrównane.

A więc o wyniku spotkania miały zdecydować umiejętności pilotów.

Parę Tomahawków prowadził porucznik Michael Melville. Był Kanadyjczykiem. W Pustynnych Siłach Powietrznych latał od roku i miał na swoim koncie pięć zestrzeleń. Jego skrzydłowym był sierżant James Blunt, ze Szkocji. Od sześciu miesięcy w jednostce, brak zestrzeleń. Zestrzeliwanie wroga nie należało jednak do jego zadań. Jego obowiązkiem było pilnowanie ogona samolotu Melville'a, tak by ten miał swobodę działania.

Włosi rozdzielili się. Trzech parło stromo w górę, a trzech skierowało się prosto na wroga.

Melville'a i Blunta na widok samolotów przeciwnika ogarnął strach. Melville poczuł gwałtowne bicie serca, a Blunt skurcz w żołądku. Znali to dławiące odczucie, opanowali je więc szybko. Blunt, kiedy rozpoczynał latanie w jednostce przejmował się swoimi atakami strachu, ale Melville zapewnił go, że każdy pilot przed walką czuje coś takiego. W miarę jak przeciwnik się zbliżał, koncentrowali uwagę.

Teraz zdarzenia zaczęły rozgrywać się błyskawicznie. Wzajemna szybkość samolotów wynosiła ponad 900 km/godz. Melville odbezpieczył umieszczony na drążku sterowym przycisk uruchamiający karabiny maszynowe, docisnął pasy i obniżył nieco fotel, by być lepiej chronionym przez płyty pancerne. Nie musiał instruować Blunta. Już od dawna latali razem.

Obserwowali samoloty wroga. Pomalowane były na oliwkowo zielony kolor. Trzy prące w górę myśliwce pokazywały błękitne podbrzusza. Blunt rozejrzał się uważnie po niebie. Puste. Tak więc stosunek sił pozostawał sześć do dwóch, ale włoscy piloci nie słynęli ze zbyt przedłużającej się walki. Uderzenie i odskok to była zazwyczaj ich metoda. Gdyby walka przybrała niekorzystny przebieg, Melville i Blunt mogli zanurkować, a Tomahawk był doskonały w locie nurkowym. Spadał jak ładunek cegieł.

Melville prowadził Blunta do czołowego ataku obliczonego na sprawdzenie wytrzymałości nerwowej i zawziętości Włochów. Niebo przecięły smugi pocisków świetlnych i lecące z przeciwnych stron samoloty minęły się. Melville położył maszynę w ostry wiraż, Blunt wykonał ten sam manewr. Wnętrznosci wydawały mu się wciskać w stos pacierzowy, a siła dośrodkowa wysysała krew z mózgu. Znał doskonale to uczucie. Lecący przed nim Melville miał również trudności z widzeniem, ale kontynuował wiraż, choć czuł kłucie w końcach palców, a maszyna znajdowała się na granicy wpadnięcia w ślizg. Kiedy ją wyprowadził, włoskie Macchi były o ponad tysiąc sześćset metrów przed nimi, ciągle jeszcze w wirażu.

Melville nie wpadł w poślizg, ale nie udało się to Bluntowi. Przez moment maszyna nie reagowała na stery, a skrzydła nie znajdowały oparcia. Kiedy już zapanował nad samolotem i ponownie widział wyraźnie, zauważył, że dowódca oddalił się od niego. Spojrzał na niebo nad głową. Pusto. To nie wróżyło niczego dobrego. Przeniósł wzrok na samolot dowódcy i zobaczył dwa Macchi, które wychodziły właśnie ze stromego lotu nurkowego, by od dołu zaatakować.

- Skręć w lewo - wrzasnął do mikrofonu, a sam skierowawszy nos maszyny w kierunku przeciwnika puścił długą salwę by go odstraszyć. Drżenie samolotu sprawiło, że obraz jaki miał przed sobą zmącił się. Zdjął palec z przycisku. Uspokoilo się, ale teraz dokładnie i z przerażeniem zobaczył, że Tomahawk dowódcy stoi w płomieniach. Co gorsze, miał go w samym środku celownika. To niemożliwe! Blunt nie wierzył własnym oczom. Szok trwał cztery, może pięć sekund. Wystarczająco jednak długo by włoski pilot zaleciał go od tyłu i wpakował dwa czy trzy pociski w nasadę skrzydła, tuż przy samym kadłubie. Skrzydło odpadło jak odcięte piłą. Maszyna wpadła w korkociąg, co wtłoczyło Blunta w fotel z taką siłą, że nie był w stanie ruszyć ręką.

Sześć Macchi ustawiło się w poprzednim szyku i przez chwilę jeszcze krążyło wokół słupa dymu. Dowódca odnotował do raportu czas i miejsce potyczki.

Adiutant odczekał dwa dni, a potem opróżnił namioty Melville'a i Blunta. Odczekał jeszcze dwa dni i odesłał ich rzeczy do kwatermistrzostwa w Kairze. Nie myślał o tym, co się z tymi rzeczami stanie i mało go to obchodziło. Chciał jedynie, by o całym wydarzeniu jak najszybciej

zapomniano. Jeśli chodzi o Blunta nie było to takie łatwe - inteligentny, lubiany u progu awansu. Adiutant jednak służył w RAF od 1917 r. i miał już znaczne doświadczenie w zapominaniu tych, co odeszli. Dywizjon w którym podjął służbę nosił nazwę „Dywizjonu Szerszeni” i nazwę tę zachował do teraz. Dowódcą Dywizjonu był Nowozelandczyk Fanny Barton. W dniu, w którym rzeczy obu pilotów zostały odesłane do Kairu, do Bartona zatelefonowano z Dowództwa Skrzydła. W godzinę później wchodził do „biura”

dowódcy, które mieściło się w zdobytym na Włochach, podziurawionym przez kule wozie sztabowym, jaki należał przedtem do jakiegoś włoskiego generała. Okna i drzwi wozu były szeroko pootwierane, w wyniku czego we wnętrzu od czasu do czasu zrywał się lekki wietrzyk zmieniający statyczny upał na upał przemierzający się. Poprzyciskane czym się tylko dało papiery szeleściły, a od czasu do czasu fruwały wywołując dodatkowe zamieszanie. Dowódca Skrzydła siedząc za swoim biurkiem, powitał go wstając:

- Mielśmy wczoraj odprawę, Fanny i gdyby miało dojść do głosowania, już by cię zdjęto.

Mineto kilka sekund, zanim do Bartona dotarło o czym mowa.

- Utraciłbym dywizjon?

- Uziemiliby cię za biurkiem w Kairze. Jest tu nadmiar facetów, którzy mają ochotę zająć twoje miejsce. Oczywiście mógłbyś wrócić do Nowej Zelandii, by bronić ją przed żółtym niebezpieczeństwem, choć nie sądzę, by akurat to było twoim marzeniem. Z twoich oczu wyczytuję, że jesteś ogromnie ciekaw, o co chodzi, nie mam racji?

- Jak cholera! O co?

- Od miesiąca nie mieliście ani jednego zestrzelenia. A poprzedni miesiąc też nie był wypełniony sukcesami. Nie kop biurka, Fanny, rozlejesz atrament - upomniał go dowódca z całym spokojem.

- Przepraszam pana, chciałem trafić w kosz na śmiecie.

- Tak, i to jest właśnie wasz problem. Nie trafiacie, o to chodzi.

- Jak mamy trafić w coś, czego nie ma.

- Inne dywizjony jakoś sobie z tym radzą.

- W ciągu minionych trzech tygodni moi chłopcy widzieli dokładnie cztery samoloty przeciwnika. Raz otworzyli ogień, poza tym nawet się nie zbliżyli do tamtych. Niemcy na nasz widok natychmiast dają nogę.

- To zupełnie tak - Dowódca Skrzydła szukał przez chwilę czegoś w papierach aż wyjął kopię jakiegoś meldunku. - Sądzę, że na Malville'u i Bluntcie możemy już położyć krzyżyk?

Barton skinął głową potakująco.

- A przed kilku tygodniami straciłeś... Kogo to?

- Shepherd a i... - masował sobie policzek usiłując pomóc własnej pamięci - Pelikana. Nie, nie Pelikana. Tak go nazywali chłopcy. Pelligrina. Był Francuzem. Zderzyli się przy starcie. Pech.

- Tak, niektórzy dowódcy dywizjonów są pechowi. Tak w każdym razie mówiono na wczorajszej odprawie, ale nie wyrażano chęci czekania, aż się ta karta odwróci. Odgaduję, że nie masz więcej czasu jak tydzień.

- Jezu Chryste - Barton miał wyraz twarzy człowieka, którego najbliższy przyjaciel kopnął w żebra - Robię, co tylko można. Jak inaczej działać?

- Mieć szczęście. - Dowódca odłożył kopię raportu. - Nikt cię o nic nie oskarża, ale zastanów się. Potrzebujemy rezultatów.

* * *

Barton zazwyczaj prowadził wóz szybko i ostro, z piskiem opon, hamulców i z wyciem silnika. Tym razem było inaczej. Jechał wolno i czuł się nie najlepiej. Gorycz odebrała mu siły.

W „Dywizjonie Szerszeni” służył od początku wojny. Dowództwo objął we Francji, kiedy poprzednik został zabity. Pełnił tę funkcję w miesiącach bitwy o Anglię i w 1941 niewiele brakowało, by zginął nad północną Francją. Oberwał od niemieckiego drania, z trudnością dociągnął do Dover i wylądował na jakiejś chłopskiej stodole. Potem cztery miesiące szpitala, dwa miesiące rekonwalescencji i dwa miesiące jako instruktor latania w dywizjonach zapasowych. Potem wynudził, wybłagał zezwolenie powrotu i dołączył do „Szerszeni”, którzy byli już w Afryce.

Początkowo rzeczywiście dużo się działo. Ostatnio było spokojnie. Nie jego wina. Ludzie ginęli. No to co? Czegóż te skurwysyny z dowództwa oczekiwały? Samych sukcesów, bez strat?

- W głowie zamiast mózgow mają jajecznicę - powiedział do swego adiutanta Kellowaya po przyjeździe do jednostki.

- Ach, a więc już słyszałeś. - Kelloway wysypywał piasek z buta. - Jak oni to sobie wyobrażają?

- Co miałem słyszeć? - zaniepokoił się Barton.

- Takoradi - odparł Kelloway, a widząc pustkę w oczach

dowódcy, wyjaśnił: - O tej klapie w Takoradi. Kair zawsze i wszystko załatwia idiotycznie głupio i okazało się, że mają w Takoradi więcej maszyn niż pilotów. Nie wiedział pan o tym? Sądziłem, że z tego powodu zawezwali pana do Dowódcy Skrzydła.

- Mnie? Nie. Dlaczego? O tym nie było mowy.

- Jeden z moich kumpli mówił mi, że chcą podobno problem rozwiązać wysyłając tam jeden dywizjon pilotów myśliwskich. Do Takoradi oczywiście.

- Dowódca nic na ten temat nie wspominał.

- Kumpel mówił mi, że właśnie my jesteśmy pierwsi na liście.

- Och, gówno! - Weszli razem do biura i Barton opadł na krzesło. - Jeśli chłopaków wyślą do Takoradi, koniec z dywizjonem. Już ich nie zobaczymy.

- Tak właśnie twierdzi też mój kumpel, a on zazwyczaj wie, co mówi.

Barton patrzył na miedziane guziki koszuli Kellawaya. Były tak zużyte i tyle razy czyszczone, że niemal zniknęła z nich sylwetka orła. Zapewne tamten odciął je od swojego starego munduru i przyszył do tropikalnej bluzy. Takie guziki stawały się bardziej wymowne, niż medale. Wysłużyły się i widziały niejedno, jeszcze w latach dwudziestych i trzydziestych. Kellaway miał wszędzie kumpli, trzymali się razem i pomagali sobie, jak umieli. Jeśli jeden z nich usłyszał, że chcą „Dywizjon Szerszeni” wysłać do Takoradi, to jasne, że powiedział o tym Kellawayowi.

- Czy ten twój kumpel mówił, jak bronić się przed zsyłką na Takoradi?

- Nie - Kellaway zgiął palec wskazujący, założył za

kciuk i prztyczkiem strącił z blatu biurka ogromną, włochatą stonogę. - Całkiem jak w zoo - mruknął bez złości. - Tak, u nas, jak w zoo. Fanny, na twoim miejscu wystarałbym się jak najszybciej o rozmowę z Bletchleyem.

Barton polecił oficerowi łączności Prescottowi, by ustalił miejsce pobytu komandora lotnictwa Bletchleya.

- Urzęduje w Aleksandrii, ale tam go nie będzie - dodał.

I miał rację. Ludzie Prescottta starali się zlokalizować komandora, błyskawicznie przenoszącego się z lotniska na lotnisko. Wreszcie udało im się ustalić, że właśnie wizytuje eskadrę Hurricanów na południe od Sidi Barrani.

Gdy w czterdzieści minut później Barton lądował na wskazanym lotnisku, powiedziano mu, że Bletchley właśnie odleciał, by wizytować Australijczyków pod Buqbuq. Barton udał się za komandorem i dopadł go na wskazanym lotnisku.

Siedzieli w cieniu namiotu i popijali herbatę przygotowaną na sposób w jaki podają ją Australijczycy - tak silną, że mogła zabić solitera, jeśli się go oczywiście miało.

- Zdumiewasz mnie Fanny - mówił Bletchley. - Przypuszczałem, że twoi chłopcy będą skakać z radości, że mają okazję zobaczenia jeszcze jednego regionu Afryki.

Było ponad 40 stopni w cieniu, ale nawet w tej temperaturze, w przepoconej koszulce komandor promieniował aurą doskonałego, zawodowego oficera.

- Z Kairu do Takoradi jest sześć i pół tysiąca kilometrów - powiedział Barton. - To znaczy, że w przeciwną stronę jest też sześć i pół tysiąca. To nie przejażdżka dla przyjemności.

- A ja zawsze byłem przekonany, że wy,

Nowozelandczycy ubóstwiacie podróżę. - Bletchley miał na twarzy nieco ironiczny, choć pełen uprzejmości i życzliwości uśmiech, powodujący, że Barton czuł się jak uczeń, który rozczarował swojego nauczyciela.

- Czy byłeś kiedyś w Takoradi, Fanny? Tam, na Złotym Wybrzeżu. Złote plaże, wspaniałe morze. Lecisz wzdłuż wybrzeża, do ujścia Nigru. Wspaniała rzeka! Skręcasz na wschód i lecisz nad przepiękną, zieloną, szmaragdową krainą zwaną Kano. Kano! A potem Czad i Fort Lamy. Kawałek Francji w samym sercu czarnego kontynentu. A potem Chartum, gdzie spotykają się oba Nile, i gdzie rodziła się wielka historia. I teraz lecisz już wzdłuż rzeki, mijasz Luxor i jesteś w Kairze. Czy zdajesz sobie sprawę, Fanny, że przed wojną Imperial Airways woziły tą trasą najbogatszych i najuboższych? A teraz wy macie okazję tam polecieć i przeżyć niezapomniane wrażenia. A jeszcze wam za to zapłacą. - Rozłożył ręce w zachwycie jak nad prospektem reklamowym.

- A co mielibyśmy przewozić? Hurricany? - pytał Barton.

- Tak, całkiem nowe, prosto z fabryki.

- Ze zwisającym pod maszyną, jak bycze jaja, zapasowymi zbiornikami. Pan zapomniał wymienić kilka odcinków, sir. Osiemset kilometrów nad dżunglą, do Kano, potem Maiduguri, potem Fort Lamy, Geneina, El Fasher i dopiero potem Chartum. Z Chartumu przez Atbara, Wadi Haifa i Luxor, a potem tysiąc sześćset kilometrów do Kairu.

- O Boziu, nauczyłeś się tego na pamięć - uradował się Bletchley.

- Spotkałem faceta, który pilotował samolot z Takoradi.

Zajął mu to tydzień.

- To wystarczy, by naprzyglądać się krajobrazom.

- Mówił, że każdy punkt tranzytowy, to zadupie. Nie wspominając, że to nie najlepsza trasa na kłopoty z silnikiem.

Bletchley dopił herbatę, wylał fusy na piach i zajął się obserwacją roślinności.

- Facet mówił mi, że co dziesiąty samolot w ogóle nie dolatuje do Kairu - dodał Barton. - Podobno łatwiej teraz trafić lecąc od wraka do wraka.

- Przesada - mruknął komandor.

- Ta praca, to świństwo, kurestwo.

- Oczywiście - zgodził się komandor nie zmieniając wyrazu twarzy - Nie mamy jednak innego sposobu, by mieć te myśliwce szybko w Kairze. Gdyby płynęły dookoła kontynentu, trwałyby to całe wieki. Szlak Takoradi, to najszybsza droga, Fanny. Oczywiście potrzebujemy więcej pilotów, by ją wykorzystać, a moim zadaniem jest tych pilotów odnaleźć.

- Ale dlaczego my! My jesteśmy pilotami na myśliwcach!

- Z tego, co słyszę, nie wszyscy są co do tego w pełni przekonani.

- To się zmieni, sir. Zobaczysz pan.

- O, niewątpliwie, a możesz mi wierzyć, że będę przyglądał się bardzo uważnie.

* * *

Lecąc z powrotem na swoje lotnisko Barton zastanawiał się nad całą sytuacją i zaraz po wylądowaniu wezwał oficera od spraw wywiadu. Nazywał się Schofield, miał lat

trzydzieści, i przed wojną pracował jako architekt. Był mądrym facetem i umiał słuchać. Barton nie wspomniał ani słowem o tym, że jego pozycja jest zagrożona, powiedział jedynie o sprawie Takoradi. Jeśli chce się uniknąć tego niebezpieczeństwa dywizjon musi natychmiast coś zrobić, ba musi okazać się niezastąpiony.

Schofield słuchał i ostrzył ołówki. Jego ołówki zawsze były starannie naostrzone.

- Ty wiesz, jak to jest, Fanny. Na razie mamy kolejną przerwę w walkach i wszyscy starają się złapać oddech. Nie bardzo mamy siłę i ochotę na atak. Rommel nie jest do ataku gotowy. Nie zechce właśnie teraz ryzykować swoich Messerschmittów, bo i po co? Będzie ich cholernie potrzebować w czasie kolejnej batalii. Na jego miejscu robiłbym absolutnie to samo.

- W Skrzydle twierdzą, że inne dywizjony zaliczają zestrzelenia.

- Czasami trafia im się jakiś bombowiec - Schofield wzruszył ramionami.

- Za każdego bombowca dałbym skrzynkę scotcha.

- Trudno zestrzelić coś, czego nie ma.

- A więc co? Kropa? Nie ma wyjścia? - Barton ze złości zaczął ssać własny palec.

- Jeśli nie ma się pomysłu na to by wyciągnąć przeciwnika z łożka, rzeczywiście jest się w kropce. No nie?

Barton machnął ręką i wyrzucił Schoefielda. Rozmyślał, kombinował i następnego dnia pojechał do dowódcy. Usiadł przed jego biurkiem i powiedział:

- Już wiem, jak mógłbym moim chłopakom dostarczyć kilku Me 109, ale muszę mieć pańską zgodę na to.

Dowódca uniósł w lekkim zdziwieniu brwi i czekał na ciąg dalszy.

- Trzeba nieco postrzelać i pobombardować - kontynuował Barton. - Coś w rodzaju tego, co zrobił Ray Collishaw. Był dowódcą lotnictwa na pustyni, gdy Włosi wkroczyli do wojny, prawda? Maj 1940?

- Czerwiec - poprawił dowódca Skrzydła.

- Rzeczywiście, sir, ale wydaje mi się, że włoskie lotnictwo było wielokrotnie silniejsze, prawda? Stosunek pięć do jednego? Sześć do jednego? W każdym razie coś w tym rodzaju. Collishaw to zignorował. RAF nigdy nie przestał atakować.

- Zazwyczaj mówił: „Przechytrzymy ich” - przypomniał dowódca Skrzydła. - Collishaw, tak, nazywaliśmy go zdrobniale Collie. To niebywały spryciarz. On przechytrył każdego wroga.

- I co, nie działało? Te biedaki z włoskiej piechoty nigdy nie wiedzieli, kiedy ich pieprzną z góry. I gdzie. Collie patrzył na mapę i mówił: „Tu i tu już atakowaliśmy, a więc oni sądzą, że teraz uderzymy tam i tam. A my nie, zrobimy odwrotnie. Uderzymy znowu tu i tu”. I uderzaliśmy, a tamci darli się o ochronę myśliwców w powietrzu.

- To czego chcesz? Podjęcia patroli nad liniami wroga? - spytał dowódca Skrzydła.

- Dokładnie właśnie tego. Od wieczora do rana. Zszarpiemy im nerwy i zezmacimy.

- Zezmacimy Włochów? To najlepiej robią Niemcy - dowódca wzruszył ramionami. - Nie wiem. Obawiam się, że jedynie zmusimy ich do tego, by powtaczali samoloty z płyt lotnisk do hangarów.

- Collie ich przechytrył, to i ja mogę - upierał się

Barton.

- Czym masz to zrobić? Tomahawk to nie bombowiec.

- Ale samolot szturmowy i możemy tych sukinsynów atakować z powietrza. Co dziesięć minut będziemy im dokładać. Od wieczora do rana możemy im kilkanaście razy dołożyć. Nie będzie im się to podobało. Będą chcieli ochrony Me 109.

Barton był tak pełen entuzjazmu, że dowódca zaczął się obawiać, by tamtemu nie poleciał dym z uszu. Na wszelki wypadek wołał go uspokoić.

- Przekażę pomysł na odprawie Grupy. Zobaczymy, na razie się uspokój.

* * *

Na odprawie Grupy pomysł nie znalazł wielu zwolenników.

- Barton się po prostu nudzi - sugerował pewien kapitan.

- Chce by go podziwiano.

Dowódca Grupy cierpiał na grzybiczny świąd skóry w kroczu i z największą trudnością powstrzymywał się od ustawicznego drapania.

- Co więc mam odpowiedzieć? - pytał dowódca Skrzydła.

- Są trzy słabe punkty tej propozycji - odpowiedział dowódca Grupy - Rok 1942, to nie rok 1940, Barton to nie Collishaw, a Luftwaffe to nie Regia Aeronautica.

- I jest jeszcze jeden szkopał, sir. Dywizjon Bartona stacjonuje na granicy zasięgu linii nieprzyjaciela.

- Żaden problem. Możemy go przesunąć do przodu. Daleko do przodu. - Dowódca Grupy oparł się o krawędź krzesła jak tylko mógł najmocniej, ale nie przyniosło mu to

ulgi. Pomimo tego przekłętego swędzenia, a może właśnie dlatego, trzeba było szybko coś postanowić.

- Tomahawk, jak mniemam, jest doskonały w ataku na cele naziemne. - Wyraził pogląd dowódca Skrzydła.

- Nie najgorszy. Przede wszystkim ma taki straszny wygląd z tymi kretyńskimi zębami rekina wymalowanymi na masce. Idiotyzm, ale na Włochów może być doskonale.

- Dowódca Grupy patrzył przez chwilę w okno, za którym rozciągała się piaszczysta pustynia, w tej chwili przez niego nie dostrzegana. - Rzecz sprowadza się do tego, czy jeśli damy Bartonowi wolną rękę, uda mu się wciągnąć do walki kilka przeklętych Me 109.

- Dokładnie o to chodzi, sir.

Dowódca Grupy, mimo swędzenia, postanowił wykazać cierpliwość i powiedział, że musi się namyśleć. Następnego dnia zatelefonował do komandora Bletchleya.

- Pan od dawna zna dowódcę dywizjonu Bartona, sir, co pan o nim myśli? - zapytał.

- Lubię tego chłopca. Typowy Nowozelandczyk. Łaknący krwi wroga skurczybyk, pozbawiony skrupułów. Doskonały w polu.

- A słyszał pan o tym jego planie?

- Tak, i powstają w związku z tym dwa pytania: Co może się wydarzyć najgorszego, a co najlepszego?

- Odpowiedź na drugie jest prosta: Możemy pozbawić Rommla kilku Me 109. Co najgorszego? Sądzę, że groźba, że dywizjonowi przewróci się we łbach.

- I o to mamy się martwić?

- Znajdą się tacy.

Chwila ciszy, po czym komandor powiedział:

- Nie rób się sentymentalny, starszku.

Bang, słuchawka została odwieszona.

Dowódca Grupy odłożył słuchawkę i zamknął drzwi na klucz, zdjął szorty i kremem, który mu przepisał lekarz, wysmarował sobie krocze. Nie wierzył w działanie tego lekarstwa, ale nie miał innego wyboru. Nie ubierając spodni podniósł słuchawkę i przekazał adiutantowi decyzję: Dywizjon Bartona LG 181 ma zostać natychmiast przeniesiony w pobliże strefy operacyjnej. W ten sam sposób poinformował dowódcę Skrzydła.

- Tak jest, sir - odpowiedział ten ostatni. - Być może ta decyzja rozwiąże wszelkie problemy Bartona.

- Tego oczekuję. Rozwiąże w jedną lub w drugą stronę.

Po rozmowie delikatnie naciągał szorty krzywiąc się czasami i siłą opanowując chęć podrapania. Wojna była do wytrzymania, to okropne swędzenie, nie.

* * *

Kabriolet majora Jakowskiego, mercedes w ochronnych, pustynnych barwach, przejechał przez plac apelowy i zatrzymał się przed głównym wejściem do koszar armii włoskiej w Benghazi. Na jego powitanie wyszedł kapitan di Marco, któremu towarzyszyło sześciu żołnierzy i sierżant. Kapitan dobiegał do sześćdziesiątki, był więc za stary na służbę frontową, znał jednak pustynię i władał niemieckim, co powodowało, że został oficerem łącznikowym. Był wysokim mężczyzną, o siwiejących włosach, poważnej twarzy, na której pojawiły się właśnie pierwsze zmarszczki.

Dwaj żołnierze podbiegli, by otworzyć drzwi mercedesa, podczas gdy dwaj inni podsunęli fotel na kółkach dla majora Schramma.

Kapitan di Marco zasalutował.

- Dzień dobry, majorze.

Jakowski dość niedbale odpowiedział na ukłon. Była dziesiąta rano, upał stawał się nieznośny, a on zaczął się właśnie pocić.

Szli koszarowym korytarzem. Mijani żołnierze przerywali wykonywane właśnie zajęcia i stawali na baczność oddając honory. Kapitan di Marco wprowadził gości do sali udekorowanej włoskimi flagami i herbami rodziny królewskiej. Na ścianach wisiały zdobyczne miecze arabskie, a pod jedną z nich stało popiersie Mussoliniego dwukrotnie większe rozmiarami od oryginału. Wokół szyi Wodza zawieszono wieniec laurowy. Podłużny stół z mahoniową wykładziną otaczały fotele wyściełane czerwoną skórą.

- Jesteśmy nieco przed czasem - powiedział di Marco - Może podać co zimnego?

- Wołałbym nieco krwi wroga - mruknął Jakowski i idąc wzdłuż ściany przyglądał się wiszącym tam fotografiom koni arabskich.

- Przed dwoma dniami napadli na nas ponownie - mówił tym czasem Schramm. - Nie w Barce. W Tmimi, koło Derna. Jedyne lądowisko. Spowodowali jednak cholerne zamieszanie. Czy mógłbym dostać herbaty z lodem?

Kapitan spojrzął na sierżanta, ten skinął na jednego z żołnierzy, który szybko wyszedł. Jakowski obejrzał fotografie i dołączył do pozostałych.

- Konie na pustyni są całkowicie bezużyteczne - stwierdził odkrywco.

Żołnierz przyniósł zimne napoje, a w chwilę potem weszło czterech oficerów. Di Marco przedstawił sobie wzajemnie Niemców i Włochów. Najstarszy rangą, włoski

brygadier poprosił wszystkich, by usiedli. Żołnierz podsunął do stołu fotel Schramma.

Spotkanie odbywało się na prośbę Jakowskiego. Major słyszał, że armia włoska ma swój plan przeciwstawiania się wypadom SAS i uznał, że sensowną rzeczą byłoby skoordynowanie wysiłków obu sojuszników. Nie zabierał jednak na razie głosu czekając na rozpoczęcie dyskusji.

Znajomość włoskiego majora Jakowskiego nie wykraczała poza umiejętność zrozumienia menu w kantynie. Brygadier znał niemiecki jeszcze słabiej. Po kilku pierwszych słowach wstępu di Marco delikatnie mu przerwał i poprowadził spotkanie.

- Wysokie Dowództwo Włoskie rozpatrzyło ewentualność wprowadzenia na Saharę jednostki szybkiego reagowania, której zadaniem byłoby przechwytywanie patroli przeciwnika i doszło do wniosku, że to nie jest najlepszy sposób wykorzystania naszych sił.

- Dlaczego nie? - zapytał Jakowski.

- Gdyż nasze siły są ograniczone, a pustynia ogromna.

- Jeżeli nie będą próbowali, to nigdy nie wygrają. Jak można...

- Uspokój się. Pozwól by skończył - przyhamował go Schramm.

- W miejsce tego planujemy połączoną operację sił morskich i lądowych. Samoloty zwiadowcze dalekiego zasięgu będą stale prowadziły rekonesanse nad pustynią. Kiedy zlokalizują patrol nieprzyjacielski na wskazanie miejsce wyśle się natychmiast jednostkę spadochronową.

- Będą martwi, zanim dotkną ziemi - stwierdził Jakowski. - Jeepy SAS są wyposażone w ciężkie karabiny maszynowe.

Di Marco przetłumaczył wypowiedź Niemca, a brygadier odpowiedział:

- Spadochroniarze zostaną zrzućeni poza zasięgiem broni maszynowej patrolu nieprzyjaciela. O kilka kilometrów od niego.

- To w takim razie nigdy go nie dogonią, bez względu na to, jak szybko będą zasuwać - powiedział Jakowski.

Tym razem brygadier nie czekał nawet na tłumaczenie. Otworzył teczkę i rzucił na blat stołu kilka zdjęć. Przedstawiały pojazd przypominający jeepa opadający na ziemię na trzech spadochronach. Zdjęcia wykonane zostały w różnych fazach zrzutu, a na ostatnim widać było, jak pojazd ląduje na czterech kołach.

- Do wykonania tej operacji potrzebny jest specjalny samolot - oświadczył Jakowski. - Ile ich już macie? A ile samolotów do odszukania zrzuconych samochodów?

Di Marco przetłumaczył odpowiedź, z której wynikało, że na razie Włosi dysponują jednym samolotem do poszukiwań. Obiecano kilka dalszych. Jeśli chodzi o maszyny transportujące samochody, to pośpiesznie adaptowano kilka odpowiednio dużych. Zostaną dostarczone w możliwie jak najkrótszym terminie.

- Każdy termin jest zbyt odległy - skomentował to Jakowski. - Zagrożenie wisi nad nami i działać musimy natychmiast.

Brygadierowi najwyraźniej nie podobał się ton wypowiedzi Jakowskiego, gdyż nie czekając na tłumaczenie zrobił kilka ostrych uwag, które di Marco przetłumaczył jako:

- Wy wierzycie w konfrontację z wrogiem, my w możliwość przechytrzenia go.

Zapanowała kwaśna atmosfera. Właściwie już nikt nie miał do powiedzenia i w kilka minut potem zakończono spotkanie. Gdy wychodzili Schramm powiedział:

- Wiem, że ci to nie przypadło do gustu, ale ich pomysł może okazać się w praktyce zupełnie rozsądny.

- Zbyt wiele potrzeba sprzętu. Zbyt wiele niewiadomych i zbyt wiele możliwości wpadki.

- Warto docenić znaczenie lotnictwa - zaprotestował di Marco.

- Widzi pan, nie ma łatwych sposobów wykonania zawilego zadania. Bitew nie rozgrywa się w zaciszu gabinetów. Tu trzeba wyjść na pustynię, wytropić wroga i rozwalić mu łeb gdzieś, w jakimś zakazanym pustkowiu. Zrzuty z samolotów wcale nie są drogą na skróty do sukcesów.

Przechodzili koło jeszcze jednego popiersia Mussoliniego przybranego w wieniec laurowy. Schramm zapytał z zainteresowaniem:

- Jak często zmieniacie te wieńce?

- Raz na tydzień - odpowiedział di Marco. - Regularnie co piątek, bez żadnych opóźnień, przywozi je samolot z Włoch.

- Tak, lotnictwo wnosi wkład w nasze zwycięstwo - skomentował to Schramm, a Jakowski uśmiechnął się blade.

* * *

Lampard starannie unikał pracy administracyjnej, której w SAS nie brakowało. Uznawał jej znaczenie. Ludziom trzeba było płacić, ktoś musiał załatwiać awanse, wymianę sprzętu, przydział samochodów, trzeba było prowadzić

ewidencję. Wszystko to było ważne, niezbędne, ale nudne i Lampard nie chciał mieć z tym do czynienia. Pragnął jak najszybciej wrócić na pustynię, by ponownie się zniszczenie i zamęt.

Nie znosił czynności tego typu, ale miał świadomość, że niektóre z nich musi wykonywać. I dlatego też drugiego dnia pobytu w Kairze wręczył kapitanowi Kerrowi raport z przebiegu wypadu na Barce. A jednym z głównych obowiązków kapitana Kerra było zbieranie informacji od dowódców patroli. Lampard raczej lubił Kerra. Stale uśmiechniętego Szkota. Przy spotkaniu z nim zawsze miał uczucie, że Kerr jest ogromnie zadowolony z tego, że go widzi.

Przeczytanie raportu Lamparda zajęło Kerrowi dwie minuty, a pięć przeczytanie po raz drugi. W tym czasie Lampard siedział przed biurkiem i opędał się od much.

- Dwadzieścia siedem zniszczonych maszyn - odezwał się wreszcie Kerr. - Genialnie.

- Cieszę się, że pana to cieszy.

- I jeszcze przyprowadziliście włoski samochód. Niech pan powie, jak to było?

- O czym mam mówić? Znaleźliśmy i wzięliśmy. Zawsze lepsze to niż marsz przez pustynię.

- Klucze były w stacyjce?

- Klucze? Ależ skąd. Kapral Harris spiął druty. To jedna z jego specjalności w cywilu.

- Rozumiem - Kerr pokiwał głową i również odgonił kilka natrętnych much, które siadały na leżący na biurku raport. - Szkoda tego Harrisa. Nic na to nie wskazywało?

- No cóż, być może wyglądał nieco nędznie, ale wszyscy mieliśmy podobny wygląd.

- Dziwne, że nic nikomu nie powiedział. Rana nożem w brzuch, a on milczał.

Lampard wzruszył ramionami.

- Zapewne nie chciał opóźnić marszu. Ten Harris to był dumny człowiek. Lwie serce.

- Taak. - Kerr zagłębił się w fotelu, a Lampard wstał i opierając się pośladkiem o blat biurka, powiedział:

- Przypuszczam, że wydarzyło się to, kiedy w nocy polował na niemieckich strażników.

- Rozumiem - ponownie powtórzył Kerr i coś sobie zanotował.

- Pan wie, jaki był Harris. Ten sport go pasjonował.

- Rzeczywiście. Ale w raporcie nie wspomina pan nic o strażach.

Lampard ziewnął grzecznie zakrywając usta.

- Przepraszam, tu w Kairze jestem ustawicznie śpiący... Nie wspominam o wartownikach, bo ich nie widziałem. Zapewne kapral Harris przed nami spotkał wartownika, za co możemy być mu jedynie wdzięczni.

- Aha - Kerr bazgrał coś na marginesie raportu - I nie ma pan najmniejszej wątpliwości, co do przyczyn zgonu?

- Potwierdził to Tony Waterman. - Lampard pocierał teraz szczękę i policzki. Fakt, że był gładko wygolony wydawał mu się dziwny. - Nie mieliśmy lekarza. Ten dupek zachorował w Kufrze na dzień przed naszym wyruszeniem. Tony znał się trochę na udzielaniu pierwszej pomocy, a więc prosiłem, by rzucił okiem.

- Gdzie była rana?

- Och... gdzieś w tym miejscu - Lampard pokazał na swój brzuch mniej więcej na prawo od klamry paska podtrzymującego spodnie. - Zresztą, co za różnica?

- No może być, może. Przecież występuje pan z wnioskiem o odznaczenie. Będą chcieli znać przyczynę zgonu.

Z zewnątrz, zza okna dobiegały hałas i wrzawa tłumów przewalających się ulicami Kairu. Gdzieś z daleka dochodziło uporczywe dzwonienie telefonu, którego nikt nie odbierał. Tuż za drzwiami ktoś przechodząc zakaszał.

- Szkoda tego Watermana - ze smutkiem w głosie i z równie smutnym uśmiechem powiedział Kerr.

- Przeklęte Stukasy - mruknął Lampard. - Jak cię raz dopadną, to ucieczka jest kwestią szczęścia. Tony'emu tego zabrakło.

- Jak to na wojnie - Kerr pokiwał głową, nie przestając się smutno uśmiechać. - Niech mi pan coś powie o tych Stukasach. Jak atakowały?

- Normalnie. Spadły na nas ze znacznej wysokości - Lampard znalazł na blacie biurka gumkę i naciągał ją, jakby to była proca - Lecąc w dół zrzucały bomby, a kiedy piloci wyprowadzili maszyny, ostrzelali nas strzelcy ogonowi. Zawsze tak robią. Jeszcze pan chyba pamięta?

- Tak, to były szczęśliwe dni. - Kerr był kiedyś dowódcą patrolu, ale rozchorował się na żółtaczkę i zapakowano go do szpitala. Przewertował raz jeszcze raport. - Trafili tylko samochód łączności, jasne. Mieliście jednak nieco szczęścia.

Lampard naciągnął gumkę tak, że pękła.

- Przepraszam, nie doceniałem własnych sił.

- Nie ma sprawy - Kerr sięgnął do szuflady i wyciągnął całą garść gumek, które położył na blacie - Ile było tych Stukasów?

- Och... kilka. Gdybym zaczął gonić pana z pałką w ręce

po pokoju czy policzyliby pan ile tu much? Mieliśmy co innego na głowie.

- Rozumiem, Niemcy uderzyli mocno, ale trafili jedynie w samochód łączności - powtórzył Kerr.

- Wszyscy inni zdołali się jakoś ukryć. Zaskoczyli nas na otwartym i wialiśmy jak diabli. Udało się nam dopaść jakieś małe wadi i wjechaliśmy pod ścianę z nawisem. Sądzę, że Tony okazał się zbyt powolny.

Kerr złożył raport i przybił pieczętkę u góry pierwszej strony.

- Dwadzieścia siedem samolotów. Doskonały rezultat.

Lampard położył na biurku dwie koperty.

- Listy do najbliższej rodziny. Wyśle je pan?

- Wyślę jeden. Do rodziny Harrisa w Londynie - powiedział Kerr. - Ten drugi może pan sam doręczyć. Pani Waterman mieszka tu, w centrum Kairu. - Napisał adres na kopercie i podał ją. Słyszałem, że to bardzo miła osoba.

Lampard przeczytał adres i smętnie skinął głową.

- Niezbyt przyjemna misja - odezwał się cicho.

* * *

Nawet w Afryce Północnej dzieci lubią się bawić w piasku i dlatego właśnie obok szkoły podstawowej na przedmieściach Derna znajdowała się piaskownica. Budynek utracił połowę dachu, a w ścianach wybite były dwie ogromne dziury, wystarczająco wielkie, by przejechał przez nie pojazd pancerny, czego dowodem był wrak brytyjskiego czołgu w jednej z sal lekcyjnych. To, co pozostało ze szkoły służyło teraz za pomieszczenie sztabu generała Schaefera. Eksmitowano stąd jakąś włoską jednostkę łącznościową, by urządzić biura sztabu.

Nad piaskownicą o rozmiarach pięć metrów na jeden rozpięto brezent, a na piasku sporządzono plastyczną mapę ponad tysiąca kilometrów wybrzeża. Derna znajdowała się mniej więcej w środkowej części.

Mapa była rzeczywiście dziełem sztuki. Na wschodzie widniała Aleksandria /wielka, czarna kropka/, a idąc wzrokiem na zachód mijało się wszystkie znane miejsca bitew: El Alamein, Mersa Matruh, Sidi Barrani, Solium, Bardia, Tobruk, Gazala. Na zachód od Gazali zaczynała się najgęściej zamieszkała część Libii, Dżebel el Akhdar, co oznacza Zielone Góry. Tu pozaznaczano bazy, lotniska i porty wojskowe: Bomba i Tmimi, Martuba i Derna, Slonta i Barce. Dalej wybrzeże skręcało na południe i biegło przez Beda Fomm i Antelat do Agendabii, do którego to miejsca doszli Brytyjczycy w wyniku ostatniej swojej ofensywy, i skąd Rommel popędził ich do tyłu, do Gazali.

Morze Śródziemne zaznaczono błękitnym piaskiem, Dżebel zielonym, całe wybrzeże upstrzone było niezliczonymi czerwonymi gwiazdkami, niebieskimi kwadracikami, i każdy znaczek opowiadał część historii bojów Afrika Korps. Była to fascynująca mapa.

Wokół niej zebrali się oficerowie odpowiedzialni za bezpieczeństwo sześciuset pięćdziesięciu kilometrów linii wybrzeża, wezwani na odprawę przez generała Schaefera. Było ich trzydziestu siedmiu i rozsiedli się na skrzynkach po amunicji, podczas gdy generał stanął nad mapą i wyjaśniał sytuację.

- Sprawa wygląda prosto, moi panowie. Przygotowujemy się do zwycięstwa na froncie, ale jednocześnie przegrywamy na tyłach.

Słuchali ze skupieniem. Schaefer był ostrym

człowiekiem. Nigdy się nie uśmiechał Pamiątką po salwie francuskiej artylerii w bitwie pod Verdun była srebrna płytką, jaką miał umieszczoną w czaszce. Pracował tak intensywnie, że jego sztab znajdował się ustawicznie na pograniczu zapaści. Opowiadano, że przerzucono go do Afryki z Rosji, gdyż wpadł w zatarg z Hitlerem. Pozwolił sobie na

jakąś dyskusję z führerem, z której wprawdzie wyszedł z honorem, lecz pokonany. I teraz, ten sam człowiek opowiadał, że przegrywali w Afryce! Major Jakowski obserwował go zafascynowany.

- Przegrywamy, co jeszcze nie oznacza, że przegramy - mówił Schaefer. - Oznacza jedynie to, że przeciwnikowi idzie znacznie lepiej, niż powinno. I tę jego dobrą passę należy przerwać. - Jeden z adiutantów podał mu trzcinkę. - Wiemy dokładnie, że wróg od dłuższego czasu przenika za nasze linie obrony. Ostatnio jednak te wypadki nasiliły się. - Inny adiutant podał generałowi jakieś papiery, ten rzucił okiem i oddał bez słowa. - Nie będę wam zwracał głowy cyframi zniszczonych samolotów, wysadzonych zbiorników z paliwem, spalonych pojazdów. Pomijam zabitych. Każda czerwona gwiazdka, to atak na lotnisko. Każdy niebieski kwadracik, to zniszczone składy paliwa. Każde srebrne kółeczko prezentuje wysadzone składy z amunicją. Oczywiście, i przeciwnik ponosi straty. Oni jednak tracą po kilka jeepów, a my - eskadry samolotów. Trzeba to zatrzymać. Zwołałem panów, byście pomogli mi znaleźć sposoby położenia kresu rajdom nieprzyjaciela.

Tak więc zapowiadała się długa odprawa.

Niektórzy oficerowie przyjechali z gotowymi już propozycjami i teraz przedkładali je razem z mapami,

wykresami i obliczeniami.

Pierwsza z propozycji zakładała wprowadzenie wzdłuż całego wybrzeża godziny policyjnej trwającej od zmierzchu do świtu. Krążące w tym czasie uzbrojone patrole miałyby prawo i obowiązek strzelania do wszystkiego, co porusza się po drogach. W pierwszej chwili pomysł wydawał się możliwy do przyjęcia. Lecz co zrobić jeśli coś czy kogoś trzeba będzie natychmiast dostarczyć na front? A co z włoskim sojusznikiem? Włosi znani byli z tego, że lubili prowadzić bujne nocne życie. Ile trzeba by patroli, by zabezpieczyć się skutecznie przed wypadami komandosów? I tak entuzjazm wobec pomysłu przygasł.

Inny pomysłodawca zaproponował iluminację lotnisk i magazynów. Ktoś zauważył, że to z radością zostanie przyjęte przez RAF. Pomysłodawca zapewnił, że już i o tym pomyślał. Na pierwsze ostrzeżenie radarowe iluminacje zostaną wygaszone.

- I będzie to działało do momentu, w którym komandosi SAS nie skoordynują swoich ataków z nalotami bombowców RAF - wtrącił generał.

- Nigdy nie twierdziłem, że to może być rozwiązanie idealne - usprawiedliwiał się pomysłodawca.

- I bardzo słusznie - powiedział Schaefer - dziękuję, następny proszę.

Następnym był oficer, który dopiero niedawno przybył do Afryki. Zaproponował, by zwerbować Arabów jako dobrze płatnych informatorów. Twierdził, że działalność co najmniej dwustu tysięcy dobrze płatnych donosicieli sparaliżuje Brytyjczyków, a koszty operacji będą minimalne. Kilka milionów wydrukowanych marek.

Oficer zapewne mówiłby dalej, ale Schaefer

powstrzymał go ruchem ręki.

- Ten rzeźnik Graziani dokonał rzezi Arabów. Od tego czasu nienawidzą oni Włochów, a teraz również i nas, ponieważ jeśli wygramy, Włosi tu pozostaną. Wezmą od nas pieniądze, owszem, ale nadal będą pomagać Brytyjczykom. I gdybym był Arabem, zrobiłbym dokładnie to samo. Następny.

Kolejny oficer proponował otoczenie baz drutami kolczastymi i wprowadzenie straży z psami. Posypały się jeszcze inne pomysły. Ktoś wysunął plan budowy polowych warowni, za których murami siedziałyby wojska sojuszników Osi. Inny mówił o stałych, nocnych i dziennych patrolach lotniczych. To prowadziło do pomysłu zaopatrzenia samolotów w potężne reflektory i wykorzystania wojsk spadochronowych. Aż wreszcie zapanowała cisza, i tylko słychać było brzęczenie uprzykrzonych much.

Jakowski nie słuchał tej całej gadaniny, tylko uważnie przyglądał się mapie.

Za generałem Schaeferem na ziemi stało kilka kubelków z piaskiem. Zostawili je tam twórcy mapy plastycznej. Jakowski był sangwinikiem, człowiekiem skłonny do wybuchów i z tego też powodu ciągle jeszcze pozostawał majorem, choć jego koledzy dawno awansowali. Jakowski wziął jedno z wiaderek i zapytał:

- Pozwoli pan?

Schaefer skinął przyzwalająco ręką. Jakowski podszedł do mapy i stanął nad nią od strony Morze Śródziemnego.

- Patrzymy nie w tym kierunku, w którym należy - zaczął. - Kłopoty nadchodzą stamtąd. - Machnął wiaderkiem i wysypał piasek, który ponad Dżebel el

Akhdar poleciał na pustynię, ale przeleciał ponad piaskownicą i obsypał buty siedzących w pierwszym rzędzie oficerów. - Jediną możliwością zatrzymania tych rajdów jest wyławianie ich tutaj, na pustyni, zanim dojdą do celu i spowodują zniszczenia. Proszę mi dać pięciuset żołnierzy i pięćdziesiąt pojazdów, panie generale, a gwarantuję za rezultaty.

Generał Schaefer był o krok od tego, by się uśmiechnąć.

- Jak wasze nazwisko, majorze? - zapytał.

W godzinę potem Jakowski wylądował w Barce. W kantynie natknął się na Schramma, który właśnie wypróbowywał nowo otrzymane kule. Jakowski opowiedział o przebiegu odprawy, a Schramm przerywając mu w pewnym momencie, dodał z przekazem:

- Niech pan nie opowiada, że dostał pan oddział składający się z pięciuset żołnierzy.

- Nie, to nie było możliwe - zgodził się Jakowski. - Dostałem stu pięćdziesięciu ludzi i trzydzieści pojazdów przystosowanych do pracy na pustyni. To na początek. A zaczynamy od jutra. Idziemy w pustynię.

- Czy dać panu kilka rad?

- Nie - impulsywnie powiedział Jakowski i nie mógł się już z tego wycofać.

- Tak też właśnie przypuszczałem - uśmiechnął się Schramm.

Jakowski splótł palce obu rąk za plecami i tak się przeciągnął, że rozległ się trzask kostek.

- Schaefer zapytał mnie, kto zajmie się bezpieczeństwem lotniska, kiedy ja będę na pustyni, a ja zaproponowałem pana.

- Co panu wpadło do głowy! - zdenerwował się

Schramm. - Znikaj pan!

* * *

Kapitan Kerr wyczuwał kłamstwo po zapachu. Dosłownie. Śmierdziało mu jak nadpsuta ryba. Nie miał pojęcia skąd się to bierze, ale ohydny zapach był dla niego wyraźnie wyczuwalny.

Jako człowiek inteligentny i rozsądny nie mógł się pogodzić z tym irracjonalnym zachowaniem jego własnych zmysłów i poprosił o konsultacje swojego domowego lekarza, który określił zjawisko to mianem „halucynacji węchowej”. Z całkowitą pewnością człowieka zaznajomionego z tematem dość powierzchownie, oświadczył:

- Jedni mają omamy wzrokowe, inni słuchowe, jeszcze inni smakowe. Pan ma omamy zapachowe. Całkowicie nieszkodliwe.

- Wielki Boże - jęknął Kerr słabym głosem.

- W pańskiej pracy może się to okazać niezwykle pomocne. Nie sądzi pan?

Kerr byłą adwokatem i wybronił wielu przestępców. W pracy kierował się określonymi zasadami. Kiedy przychodził do niego oskarżony i mówił: „Taką a taką wersję wydarzenia podajemy przed sądem” - Kerr z reguły odmawiał prowadzenia sprawy. Szybko też stało się wiadome, że decydował się na obronę tylko w sytuacji, gdy znał całą prawdę. Małych kłamstw nie dostrzegał i niewiele się nimi przejmował. Całkowite przeinaczanie faktów doprowadzało go do wściekłości. I prawie zawsze odróżniał kłamstwo od prawdy. Szybko też spostrzegł, że kiedy klient nie mówił prawdy, jego gabinet wypełniał odór

zgniłej ryby. I wierzył swemu powonieniu.

A potem przyszła wojna. W momencie, w którym włożył mundur halucynacje węchowe zaniknęły, i właściwie zapomniał jak cuchnie gnijąca ryba, gdy ponownie poczuł ten zapach słuchając opowieści Jacka Lamparda o śmierci kaprała Harrisa zasztyletowanego przez niemieckich wartowników i porucznika Watermana, zabitego w czasie nalotu Stukasów. Jego nos wyraźnie rejestrował smród. Prawdę mówiąc, sam był tym zaszokowany i sfrustrowany. Po wyjściu Lamparda zastanawiał się nad tym, co robić. Oczywiście mógł przepytąć sierżanta Davisa i kaprała Pockocka. Co jednak, jeśli ich zeznania potwierdzą oświadczenie dowódcy? A tym bardziej co, jeśli nie potwierdzą? Jeśli wykażą, że ich dowódca kłamał? Gdyby nie miał zamiaru potem podjąć żadnego działania, to po co się wysilać i trudzić. A jeśli podejmie, to podważone zostanie zaufanie patrolu do dowódcy. Faktem było jednak to, że tam na pustyni musiało się wydarzyć coś dziwnego, a także faktem było to, że patrol odniósł ogromny sukces. Zdjęcia lotnicze potwierdzały zniszczenia na lotnisku w Barce. A więc w tym punkcie Lampard mówił prawdę. Wrzucił raport do szuflady i postanowił o nim zapomnieć.

Jednak mu się to nie udawało. Coś go dręczyło i nie dawało spokoju. Znalazł na półce wysłużony egzemplarz książki pt. „*Siedem Filarów Mądrości*”. Wyszukał rozdział opisujący bitwę pod Tefila i relację T E. Lawrence'a o tym, w jaki sposób otrzymał wysokie odznaczenie wojskowe. Sporządził raport, w którym niezwykle wyolbrzymił swoje zasługi i męstwo. Najbardziej zastanowiły go następujące słowa: „*Musielibyśmy mieć szersze piersi gdyby każdy z*

nas mógł sam o swoim męstwie pisać raporty”.

Przeczytał to dwukrotnie, chrząknął, wyjął z szuflady raport i schował do teczki.

* * *

Droga od kapitana Kerra pod adres mieszkania pani Waterman zajęła Jackowi Lampard niespełna dziesięć minut. A każda z tych minut niosła z sobą same przykrości. Ustawicznie jakieś typy go zatrzymywały i usiłowały mu coś sprzedać: packi na muchy, gumę do żucie, okulary przeciwsłoneczne, papierosy, pornograficzne zdjęcia, dziesiątki jakichś innych niepotrzebnych drobiazgów.

Zabiegali go od tyłu, starali się zakrzyczeć, uśmiechali się pokazując jamy ustne z powyłamywanymi i czarnymi zębami, potracali się wzajemnie, odpychali, wrzeszczeli, a co najgorsze dotykali go brudnymi, spoconymi rękami, co doprowadzało go do szału. Usiłował uderzać w te brudne łapska, ale były szybsze od niego. Udało mu się trzasnąć tylko jednego, jakiegoś dryblasza z połową nosa wyżartą przez jakieś choróbsko, co spowodowało, że natręt wyciągnął się na bruku jak długi.

Arabowie byli uprzykrzeniem, ale jeszcze gorszy od nich był wszechobecny hałas, jaki wytwarzali. Czyli mieszanina wycia silników z zepsutymi tłumikami, terkotu motocykli, beczenia wielbłądów przesuających się wśród tłumy i sznurów pojazdów, wrzasku kupców i naganiaczy, z których każdy chciał każdego przekrzyczeć. Do tego wszystkiego dochodził ryk klaksonów samochodowych, gwizdy i dzwonienia, na co nakładały się dźwięki wydobywające się z tysięcy otwartych na cały głos głośników radiowych.

Lampard lubił ciszę, a Kair był rozwrzeszczany. Zaciskał zęby marząc o spokoju i bezwzględnej ciszy pustyni.

Dłuższy czas stał przed drzwiami mieszkania pani Waterman i naciskał dzwonek. Wreszcie otworzyła. Była bosa, a czarne włosy w nieładzie opadały jej na ramiona. Miała na sobie długą, bawełnianą podomkę, z przodu nie zapiętą.

- Bardzo panią przepraszam - powiedział dość oschle, ale wcale nie miał ochoty na tę wizytę. Stała w drzwiach i lewą stopą drapała się w prawą łydkę.

- Jest pan najbardziej przystojnym mężczyzną, jakiego mi się dziś udało zobaczyć - odezwała się - ale jest pan też jedynym, jakiego dziś widzę, a więc niech się pan nie podnieca. - Miała inteligentną twarz i nieco chrypliwy głos, co stwarzało wrażenie nieokreślonej siły i pewności siebie. Wyglądała na dwadzieścia trzy lata.

- Kapitan Lampard - przedstawił się. - Przychodzę...

- Nie musi pan mówić, po co pan przyszedł, a zresztą mało mnie to interesuje. - Szła korytarzem na czubkach palców szeroko rozstawiając ręce dla utrzymania równowagi. Idąc za nią zauważył, że nogi miała znakomite.

- Już miałam tu kapelana, kogoś z funduszu rodzinnego i jakiegoś ponurego typu, który mnie wypytywał, czy Tony nie prowadził pamiętnika. Były też jakieś dwie wdowy, które, jak zrozumiałam, chciały zawiązać klub wdów. Sam pan widzi, że zajmują się mną ponad wszelką miarę i granice cierpliwości. Czy i pan chce mnie przesłuchiwać?

Czuł się speszony i nie wiedział co powiedzieć. Zapytał więc bezmyślnie.

- Przesłuchiwać? Dlaczego?

- Nie wiem. Wszyscy mnie przesłuchują. - Usiadła na kanapie podwijając nogi pod siebie. - Tak, przesłuchanie. Co za idiotyczne słowo. Pan nie mógłby mnie przesłuchać. Prawda?

- Nie mógłbym?

- Oczywiście, nie. - Nieoczekiwanie zmieniła temat. - Od początków tej fali upałów nie noszę majtek. To ogromnie denerwowało Tony'ego. Jedna z wielurzeczy, które go denerwowały.

- Naprawdę? - Uwaga ta wydała mu się niezbyt stosowna i postanowił nadać rozmowie odpowiedni ton. - Pani mąż, pani Waterman, był dzielnym oficerem i będzie nam go brakowało.

- Mnie nie - odpowiedziała po prostu.

- Ach tak. - Był skonfundowany, ale dziewczyna mu się podobała. Miała szare oczy, jasną, delikatną skórę, nieco ostre, ale zdecydowanie ładne rysy twarzy. Z całą pewnością była seksowna. - Rozumiem, że to dla pani smutne i trudne chwile - dodał.

- Słuchaj, jeśli nie potrafisz mówić jak normalny człowiek, to spieprzaj. W ostatnich dniach wysłuchałam już tylu banałów, że można nimi wypchać całą kanapę. A to co?

Lampard tymczasem wstał i podał jej list.

- Przyniosłem to pani, proszę przeczytać. - Obszedł kanapę i zbliżył się do okna.

- Píše pan o nim, jakby był Lawrencem z Arabii, a jego stworzono raczej do grabi. Biedny, stary Flo - wstała z kanapy i oddała mu list, mówiąc:

- W nim było coś ze starej ciotki.

To rozłościło Lamparda.

- To był doskonały kolega, świetny żołnierz i świadomy obywatel.

- I kiepski mąż.

Lampard przedarł list na pół, a potem jeszcze raz na pół.

- Proszę mi oddać te kawałki.

- Idź do diabła - mruknął rozwścieczony.

Złapała go za rękę i usiłowała rozprostować zaciśnięte palce, a ponieważ się jej nie udawało nagle pochyliła się i z całej siły ugryzła go w nadgarstek.

- Ty suko! - wrzasnął jakimś dziwnym, wysokim falsetem, ale otworzył dłoń, z której wyrwała podarty na kawałki list.

- Szczęśliwego Nowego Roku! - zawołała i rzuciła papierki w górę. - Do zobaczenia Tony. Nie byliśmy razem nazbyt szczęśliwi, ale szczęśliwie nie byliśmy razem zbyt długo.

Ręka Lamparda krwawiła.

- Nie wygląda dobrze - powiedziała. - Ma pan szczęście, że jestem pielęgniarką. Proszę za mną.

Posłusznie podreptał za nią do łazienki, gdzie napuściła ciepłej wody do umywalki, dołąła do niej jakiegoś środka dezynfekującego i rozkazała:

- Włóż tu rękę i nie ruszaj nią.

Zrobił, jak kazała. Stali i w milczeniu patrzyli na swoje odbicia w lustrze nad umywalką.

- Nie rozumiem dlaczego się tak wściekałeś. Przecież to nie ja go zabiłam.

- Napisanie tego listu zabrało mi dwie godziny - odparł Lampard.

Przybliżyła swoją głowę do jego i nie spuszczać oczu z ich odbić w lustrze pocałowała go w usta. Potem wyjęła

jego rękę z wody i obejrzała ranę.

- Śmiertelna - zawyrokowała. - Wiesz zapewne, że pielęgniarki mają zatrute zęby.

- To w takim razie wolałbym umierać w łóżku.

Odniosła się ze zrozumieniem do jego życzenia i większą część dnia spędzili w łóżku. On zakrwawił nieco prześcieradło, ale niezbyt poważnie. Zanim wyszedł, zapytał:

- Po jaką cholere wychodziłaś za Tony'ego, jeśli go nie kochałaś?

- Ustawicznie prosił o to i już nie miałam sił na dalsze odmawianie.

* * *

W kwietniu 1942 roku Anglicy brali straszliwe cięgi, Amerykanie jeszcze nie wyszli z szoku po Pearl Harbour, a Rosjanie po prostu siedzieli w gnojówce. Były to najwspanialsze chwile Hitlera. Jego sojusznikom, Japończykom, również wiodło się nie najgorzej. Pobili już jedno imperium a granice ich posiadłości rozciągały się od Indii, po Australię. A wszystko to zdobyli w ciągu trzech miesięcy, prawie bez żadnych strat własnych. W grudniu zajęli Hong Kong, w styczniu Malaje, a w lutym Singapur. Upadek Singapuru był największą klęską w historii brytyjskiego imperium. Ponadto Japończycy zatopili pancernik „Prince of Wales”, krążownik „Repulse”, zniszczyli brytyjsko-holenderską flotę, a ich okręty wojenne zaczęły grasować na Oceanie Indyjskim. Prestiż białego człowieka wydawał się być mocno nadszarpnięty.

Podobnie i w Kairze prestiż ten otrzymał kilka

straszliwych ciosów. Przed trzema miesiącami, w styczniu 1942 r. mało znany, energiczny niemiecki generał nazwiskiem Rommel, zaskoczył Anglików nagłą ofensywą i odrzucił ich z Libii tak, że stracili dwie trzecie tego, co zajęli w trakcie swoich poprzednich walk. Rommel zatrzymał się na linii Gazy, choć nikt nie przypuszczał, by miał zamiar stać tu zbyt długo. Jego celem był Egipt. Egipt i Kanał Sueski. Oczywiście było, że Anglia będzie broniła zdobytych terytoriów, ale przebieg dotychczasowych starć nie napawał optymizmem.

W 1941 r. siłom brytyjskim nie udało się obronić Grecji, a wycofanie się z tego kraju było powtórzeniem tragedii w Dunkierce. Potem utracono Kretę. Royal Navy straciła panowanie nad Morzem Śródziemnym. Włoscy pławonurkowie zatopili dwa statki wojenne w porcie w Aleksandrii, a niemieckie U-booty zatopiły lotniskowiec „Ark Royal” i krążownik „Barham”. Malta była okrążona i każdego dnia bombardowana przez Luftwaffe.

Równocześnie w Rosji miała miejsce autentyczna jatka. Na początku 1942 roku generałowie rosyjscy podjęli szereg manewrów ofensywnych, ale Stalin nie znał pojęcia elastyczności strategicznej. Jego rozkazy brzmiały: Iść do przodu za każdą cenę. Kolejne ofensywy kończyły się straszliwymi klęskami. Armia niemiecka dominowała w całej pełni. Na północy okrążano Leningrad, w centrum zagrożano Moskwie, a na południu niemieckie kolumny dochodziły do Kaukazu i można się było spodziewać, że stamtąd podążą bardziej na południe - przez Persję od Iraku, by odciąć Anglików od pól naftowych. A to właściwie nie była żadna mrzonka. W Iraku, w lecie 1941 r. wybuchła rewolta przeciwko kontroli Brytyjczyków, i

trzeba było wysłać oddziały z Egiptu, by zdusiły płomień rewolucji.

Wszystkie te wydarzenia były z największą uwagą śledzone przez Egipcjan, w szczególności tych, którzy nie musieli harować od świtu do nocy. Egipt był krajem neutralnym. Brytyjczycy znajdowali się tu wyłącznie na podstawie wyraźnie określonych umów. Dzięki wojnie niektórzy Egipcjanie robili majątki, co wcale nie było równoznaczne z tym, że Anglicy byli w Egipcie popularni. Mnożyły się antybrytyjskie demonstracje, w czasie których zdarzało się, że skandowano nazwisko Rommla.

W tych trudnych czasach ambasada Wielkiej Brytanii niewiele mogła zrobić dla podtrzymania prestiżu swego kraju. Dyplomaci starali się jednak ponad miarę. Wydano więc przyjęcie, by pokazać, że wbrew pogłoskom wszystko jest w największym porządku. Na zaproszeniu podkreślono, że obowiązują stroje wieczorowe i odznaczenia.

Na liście zaproszonych gości znaleźli się także Lesterowie. Henry był w złym nastroju i nie miał ochoty iść. Ona miała. To zadecydowało, ale kiedy wkraczali w bramę ambasady okazało się, że Henry zapomniał zaproszenia.

- Ty pusta pało. - Pani Lester nie krępowała się tym, że inni słuchają.

Urzędnik witający gości był nieczuły na wszelkie tłumaczenia, a stojący za nim strażnik umacniał jego pozycję. Wejść można było jedynie za zaproszeniami. Żadnych wyjątków. Zasady bezpieczeństwa.

Stali przed budynkiem patrząc na tłum wpływających do środka osób, a Lester po raz nie wiadomo który grzebał w

kieszeniach, w których nic nie znajdował.

- Nie mogłaś zapytać o to zaproszenie, kiedyśmy wychodzili? - zrzędził.

- Nie, z tych samych powodów, dla których cię nie uczesałam i nie wysadzałam w łazience przed wyjściem.

- Przykro mi, przepraszam - poddał się.

- Czysty Freud. Nie chciałeś iść i nie wzięłeś podświadomie zaproszenia i tak wyszło na twoje.

- Zamknij się, niech pomyślę.

- Sensacja. Henry Lester myśli. Trzeba by dać informacje do prasy.

Bezszelestnie nadjechał biały bentley, kierowca wyskoczył, obszedł samochód

i otworzył tylne drzwi. Wysiadł szczupły, postawny mężczyzna, lat około czterdziestu, w białym, wieczorowym zakiecie. Miał pucołowatą twarz i nieco wytrzeszczone oczy. Na piersi widniała dyskretnie baretka z odznaczeniami. Lester podszedł do niego.

- Przepraszam, pan mnie nie zna. Jestem Henry Lester z „Chicago News”, chciałbym...

- O... witam, jak się pan ma. Cóż za przyjemność i zaszczyt spotkać jednego z naszych amerykańskich sojuszników. - Uścisnęli sobie ręce, a kierowca w tym czasie wsiadł do samochodu. - Ralph Malplacket - przedstawił się tamten - Od razu zapraszam na drinka. A to zapewne pańska żona. Prześliczna.

- Oczywiście, ale widzi pan... Zapomniałem tego przekłętego zaproszenia. Czy mógłby mi pan na dziesięć minut pożyczyć samochodu, bym...

W tym momencie bentley ruszył bezszelestnie i równie bezszmerowo odjechał.

Malplacket miał potężny, zakrzywiony nos przypominający dziób orła. Był to dominujący element jego twarzy. Przyjrzał się uważnie Lesterowi i zaproponował:

- Niech pan chwilę poczeka. - Podeszedł do urzędnika ambasady odbierającego zaproszenia i zapytał głośno nieco piskliwym głosem:

- Czy wpuszczał pan już pana Czubiczowa?

- Czubiczowa?

- Nie, nie, Czubiczofa. Przez f, nie w. Mógł występować pod nazwiskiem Bulstrode. Czy wie pan kogo mam na myśli?

Eee... - urzędnik spojrzał bezradnie na strażnika, który trzymał zaproszenia odebrane od wchodzących. - Nie jestem pewien.

- Mój Boże! Pan nie wie? - Malplacket zmarszczył swój imponujący nos - Mam nadzieję, że mnie pan zna. Jestem synem lorda Blanchtowera. Tak, Czubiczof. A więc wszedł, czy nie?

Pojawili się nowi goście i urzędnik znalazł się w niewygodnej sytuacji. Pokazał głową na strażnika i powiedział:

- Ten człowiek ma listę wszystkich gości, którzy już weszli... Dobry wieczór pani, dobry wieczór panu. - Witał wchodzących i oddających zaproszenia.

- Poproszę o listę zaproszonych - zwrócił się Malplacket do strażnika - Szybko, nie jestem w nastroju do żartów... Tak, dziękuję.

Przejrzał listę uważnie, oddał i zwrócił się ponownie do urzędnika:

- Doskonale. Proszę nie zapomnieć tego nazwiska.

- Tak... Czubiczow.

- Czubiczof. F na końcu. A teraz proszę by był pan tak łaskaw i wpuścił moich dobrych przyjaciół, pana i panią Stanhope ze Standard Oil Corporation... - Wyjął z kieszeni zaproszenie i dał znak ręką Lesterom, by przechodzili.

Brwi urzędnika podniosły się do góry.

- Sądziłem... - zaczął.

- Pomyłka, drogi chłopcze - Malplacket nie dał mu dokończyć. - Nie masz dzisiaj swojego dobrego dnia, prawda? Weź się w garść. Nic nie powiem ambasadorowi. A tamto nazwisko zapamiętaj.

Po ogrodach ambasady przelewał się tłum najlepszego towarzystwa Kairu powiększony o znaczną liczbę przedstawicieli tych, co się wkradali w jego łaski. Nie były to jednak czasy, kiedy można sobie było pozwolić na szczególną wybredność w doborze znajomych i przyjaciół. Najważniejsze było tworzenie pozorów, odgrywanie roli „ustosunkowanego człowieka z towarzystwa”. Wojskowa orkiestra grała najnowsze przeboje, w tym modny szlagier „Rommel? A to kto?”.

Malplacket przywołał kelnera roznoszącego szampana.

- Musimy panu serdecznie podziękować, panie Malplacket - zaczął Lester.

- Ależ za co, cała przyjemność po mojej stronie. Przyjaciele z obu stron Oceanu... przerwał mu z uśmiechem Malplacket.

Wypili za przyjaźń.

- Czy pozwoli pan, że o coś zapytam. Kim właściwie jest Czubiczow wymawiany przez f na końcu?

- Mój nauczyciel z Oxfordu.

- To ktoś niebezpieczny?

- Gdyby go pan dziś spotkał, byłby pan przerażony. Zmarł w 1935 r. Och! Widzę Evelyn Waugh. Jest mi potrzebny do zespołu cricketa. Wybaczcie.

Patrzyli za nim jak balansował między grupami gości i powiewał do kogoś swoją jedwabną chusteczką.

- Angielska arystokracja - powiedział Lester - Dziesięć wieków selekcji naturalnej. Nieskazitelne maniery i jajecznicą w mózgu.

- Co ty mówisz? Ty nie jesteś z arystokracji, a przed kilkoma minutami udowadniałeś, że też masz jajecznicę w mózgu.

- Okay, zbłądziłem. Ty nigdy nie błędzisz?

Rzuciła mu ostre, nieprzyjazne spojrzenie i odwróciła się do niego plecami. Pojął, że zadanie tego pytania było błędem. A w ogóle dzień był przygnębiający, długi, ociekający potem i pełen wpadek. Miał teraz ochotę komuś przyłożyć.

- Krykiet to męska gra - mówił do pleców żony - a Evelyn to imię żeńskie. I to we wszystkich językach świata. Czyż nie tak?

- W Anglii to imię noszą także mężczyźni. Evelyn Waugh to słynny angielski pisarz. Mógłbyś z nim zrobić wywiad.

- Oczywiście - odwrócił się w kierunku orkiestry - Mógłby mi wyjaśnić dlaczego Anglicy znaleźli się w takim szambie. To będzie fascynujące dla czytelników w Chicago. Zniewieściały angielski pisarz pouczający Amerykanów o wyższości gry w krykieta - odwrócił głowę i stwierdził, że mówi do jakiegoś angielskiego generała i jego żony. - Przepraszam, ale to był jej pomysł. - Wykonał nieokreślony ruch głową w kierunku, w którym spodziewał

się ujrzeć żonę.

- Czy możemy panu w czymś pomóc? - zapytała grzecznie żona generała.

- Moja żona uciekła właśnie z ambasadzkim kucharzem - oświadczył Lester. - Mały, karłowaty Arab, łysy i pryszczaty, powłóczy prawą nogą. Nie widzieli go państwo w okolicy?

- Kair jest pełen takich typów. - Generał wzruszył ramionami.

Lester nie udał się jednak na poszukiwanie żony. Wiedział, że znajduje się gdzieś w pobliżu i z paniami z ambasady rozmawia zapewne o ostatnich filmach z Hollywood. Wybrał się natomiast na poszukiwanie baru i odniósł sukces. Poza tym z radosnym zdumieniem odkrył, że mieli tu bourbon. Wreszcie mu się tego dnia coś udało. Rzecz była drobna, ale krzepiąca. Kazał sobie napęłnić największą szklanę, jaką udało mu się znaleźć. Usiadł w zaciszu listowia i postanowił się przynajmniej upić.

Po drugiej stronie ogrodu pułkownik Saxon spacerował z brygadierem Munroe. Znaleźli kilka krzeseł w cieniu drzew.

- Cóż za ohydny tłum - ocenił Munroe. - Połowa to oszuści i handlarze, a druga połowa to degeneraci z rodziny króla Farouka.

- I to głównie kobiety - dorzucił Saxon.

- Z trudnością znoszę takie imprezy. Wolałbym być na pustyni i spotykać wrogów, niż tu, tak zwanych przyjaciół.

Saxon kiwnął potakująco. Rozsiedli się w fotelach w sposób typowy dla oficerów i przyglądali tłumowi gości.

- Widzi pan tego faceta tam? Tego, co macha rękami. Ma nos jak papuga.

- Papugi nie mają nosów - sprostował Munroe.

- To ksiądz i spotkałem go w Dunkierce.

Saxon wstał i podszedł do Ralpa Malplacketa.

- Przepraszam ojca - powiedział. - Mój przyjaciel jest nieco przemęczony. Czy ojciec mógłby go pobłogosławić?

- Za pięćdziesiąt gwinei mogę go nawet wyświęcić - Malplacket popatrzył na Saxona. - Pan był na plażach, prawda? Dzielił się pan ze mną omletem.

- Dokładnie połówką omleta, który na dodatek był zimny i twardy.

- Ale smakował doskonale. Jak się pan przedostał do domu?

- Na niszczycielu. A pan?

- Ja się nie przedostałem... Aha, zapomniałem powiedzieć, że tak naprawdę, to ja tam nigdy nie byłem.

Saxon zaprezentował Ralpa brygadierowi Munroe.

- To nie jest ojciec Olivier - powiedział - i nie był w Dunkierce.

Wymienili uściski rąk i usiedli.

- Jestem Ralph Malplacket - przedstawił się - i tak naprawdę to pracuję w nafcie. Pochlebiam sobie, że ci, którzy o tym wiedzieli, umierali pod Dunkierką z pewną dozą satysfakcji, że oddają życie również za moje mętne interesy.

- Wiemy już z pewnością, że nie jest pan księdzem. A więc kim, pan jest? - pytał Munroe.

- Nie mogę powiedzieć. Przykro mi, ale to śmiertelna tajemnica.

- Ciekawe. - Pamięć Saxona sprawdziła błyskawicznie tysiące obrazów oraz informacji i podsunęła mu te, których poszukiwał. - Oczywiście jest pan synem Lorda

Blanchtowera - stwierdził z pewnością w głosie.

- Faktycznie, coś się na ten temat mówiło i o ile mi się wydaje, to ja dziedziczę. Jeśli mnie pierwszego nie zastrzelą.

- On jest członkiem rządu? Pański ojciec, myślę - powiedział Saxon.

- Blanchtower jest ministrem ds. entuzjazmu, choć jego pełny tytuł brzmi minister spraw publicznych. Jego zadaniem jest podtrzymywanie entuzjazmu Brytyjczyków. Służą do tego celu dobre, krzepiące informacje. Gabinet uważa, że zawsze i wszędzie można je znaleźć. Trzeba tylko usilnie szukać.

- Idiotyzm - mruknął Munroe, a Malplacket wzruszył ramionami.

W pewnym momencie wstał, podszedł do pobliskiej kępy krzaków i wyciągnął ukrytą tam pełną do połowy butelkę szampana.

- Wiedziałem, że drinki skończą się tu szybko i mam mały zapas. Żelazną rację.

- Wojna na pustyni nie jest podobna do innych rodzajów walk - mówił tymczasem Munroe. - Londyn nie ma o tym zielonego pojęcia. Dla nich pustynia, to złote piaski i błękitne niebo, a zapewniam pana, że to wyłącznie kurz, brud, upał i muchy.

- Przede wszystkim żar - dorzucił Saxon.

- Tak, kurz, pot, żar, muchy i trupy. - Twarz Munroe była bez wyrazu, kiedy to mówił.

- Zapomniał pan dodać wiatr - uzupełnił Saxon.

- Nigdy nie zapomnę tego przekłętego wiatru. To on wieje tym kurzem, muchami i piachem i...

- Panowie mają absolutnie rację. - Malplacket nie

pozwolił mu dokończyć. - Tego nikt w Londynie nie rozumie. Stamtąd widoczne są tylko dwie armie ganiające się po pustyni.

- Coś w rodzaju takiego militarnego jo-jo? - zapytał Saxon.

- Raczej taki ping-pong, nie sądzi pan? - sprecyzował Munroe.

- Powinien pan porozmawiać z Henrym Lesterem, panie Malplacket -

powiedział Saxon. - Henry jest entuzjastą wojny na pustyni.

- Lester? Odnoszę wrażenie, że go już dziś spotkałem.

- Taki zakuty jankes, ale się panu spodoba - dorzucił Munroe.

* * *

Porucznik pilot Patterson nigdy nie dowierzał komandorowi Bletchleyowi. I nigdy tego od niego nie wymagano. Po raz pierwszy spotkał komandora we Francji w 1939 roku. Patterson był wtedy pilotem, Bletchley odwiedzał ich eskadrę. Rzadko miał okazję by zamienić z nim kilka słów. W twarzy Bletchleya było coś łagodnego i słodkiego, co nie odpowiadało Pattersonowi. Pochodził z bogatej rodziny z Glasgow i miał spokojne, dostatnie dzieciństwo. Był Szkotem, a majątek rodzina zdobyła z kopalni węgla, a więc nie mógł ufać komuś, kto wyglądał słodko, miękko i nie potrafił po męsku uścisnąć dłoni. We Francji Patterson patrzył, jak Bletchley popijał sherry z dowódcą eskadry, i myślał: „taki sobie gładki skurczybyk”. Zresztą Patterson nigdy tak naprawdę nie dowierzał nikomu, w randze wyższej od kapitana. Podejrzewał, że

trzeba mieć miękki kark, by awansować tak wysoko.

Naprawdę jednak uścisk ręki Bletchleya był silny i szorstki. Patterson odkrył to, gdy został przez niego zaproszony na lunch do Hotelu „Shepherd” w Kairze. Zauważył również, że w okresie minionych dwóch lat Bletchley postarzał się o dziesięć. Jego gładka, opalona twarz była teraz poorana bruzdami, pod oczami uwidoczniły się worki, a blond włosy zrobiły szpakowate. Jedyne uśmiech pozostał taki sam.

Zamówili drinki. Stolik był nakryty na trzy osoby, ale ponieważ Bletchley nie tłumaczył dla kogo było trzecie nakrycie, Patterson nie pytał. Powiedział jedynie:

- To niezwykle miłe z pańskiej strony, sir.

- Ależ skąd. Należy dziękować naszemu miłościwie panującemu Jerzemu VI, który płaci rachunek. Ja jedynie dam napiwek. Czy wiesz Patterson, że zawsze miałem wątpliwości co do ciebie? W każdym razie od czasu, kiedy przegrałem

zakład z pewnym facetem nazwiskiem Roberts. To było w czasie Bitwy o Anglię. Braliście właśnie tęgie lanie, a Roberts robił jakieś głupie uwagi na temat tego, że najciemniej jest tuż przed świtem. To mnie wyprowadziło z równowagi. W ogóle byłem spięty, od wielu nocy normalnie nie spałem rzucając się tu i tam, by utrzymać zbombardowane lotniska w stanie nadającym się do użytku i wiedziałem, jak naprawdę jest kiepsko. Założyłem się z nim, że do pewnego, określonego terminu nie będzie w naszych dywizjonach już ani jednego pilota. Niezbyt ładne to z mojej strony. Do dziś się wstydzę, gdy to sobie przypominam.

- A co to był za termin? - zapytał Patterson. W tym

czasie podano drinki, a gdy kelner odszedł, komandor odpowiedział:

- 29 października.

- To był pan bardzo blisko wygrania zakładu.

Stuknęli się szklankami i upili nieco ich zawartości.

- Nigdy nie miałem szans, by wypłacić się z przegranej - mówił Bletchley - Pewnej nocy Roberts usiłował rzucić z dachu bombę zapalającą i sam z tego dachu zleciał. Typowa niekompetencja. Nie potrafię zrozumieć jak ktoś taki doszedł do stopnia kapitana. Trzeba było pozostawić tę bombę, by się nią zajęła straż pożarna. No ale on był postrzelony.

- Taka już jego natura.

- Właśnie, ale oto nadchodzi nasz gość, kapitan Hooper. Będziemy mogli zabrać się za konsumpcję.

Trzecią osobą okazał się być kapitan pilot sił powietrznych Stanów Zjednoczonych. To nie zaskoczyło Pattersona. W Egipcie było wielu amerykańskich lotników, szczególnie załóg bombowców. Hooper był niewysokim, szczupłym facetem, którego wieku nie można było odgadnąć, głównie z uwagi na czarne wąsy, jakie mu się jeżyły pod nosem. Patterson przyglądał się im z zazdrością. Sam dwukrotnie usiłował zapuścić wąsy, ale wyglądał nie tyle męsko, co głupio i musiał je zgolić. Hooperowi natomiast wąsy nadawały wyglądu adwokata. Miał przy tym bystre oczy i ostre spojrzenie i jak zauważył Patterson, prawie tymi oczami nie mrugał.

Komandor przedstawił sobie obu panów i powiedział:

- Kapitan Hooper będzie z wami latał.

- Tak? - wyraził zainteresowanie Patterson.

- Muszę nabrać doświadczenia w wojnie na pustyni -

wyjaśnił Hooper. - Pan je chyba ma.

- Nieco. - A ponieważ Hooper wyraźnie chciał usłyszeć coś więcej, Patterson dodał: - Cóż mogę jeszcze powiedzieć? Połowę nieba wypełnia jaskrawe słońce, z którego wypadają Hunowie.

- Rozumiem. - Odnosiło się wrażenie, że Hooper jest tą odpowiedzią usatysfakcjonowany.

W trakcie lunchu Bletchley opowiedział ostatnie wieści z frontu i nieoczekiwanie zwrócił się do Pattersona:

- Jestem zaskoczony, że po tych wszystkich trudach i wyczynach jest pan nadal porucznikiem.

- Być może dlatego, że zajmowałem się jedynie trudami.

- Ale po ostatniej turze operacyjnej należał się już panu awans?

- Ktoś dawał mi do zrozumienia, że dostanę jeszcze jedną gwiazdkę, jeśli polecę do Rodezji jako instruktor.

- Rodezja, cóż za wspaniały kraj - zachwycił się Bletchley. - Życiowa szansa.

- Szansa, by tam utknąć na wieki - skomentował Patterson - Pięć tysięcy kilometrów stąd. Wolę się już wyładowywać tutaj, w Szkole Myśliwców.

- Gdzie, jak mi mówiono, jesteś niezastąpiony - Bletchley nadal starał się być uprzejmy.

Patterson wziął palcami szczyptę soli z solniczki i posolił potrawę na talerzu.

- Już tu, w tej Szkole, swoje odsłużyłem, spłaciłem długi wobec społeczeństwa i jestem gotów do powrotu, sir.

- Z powrotem na linię? - dopytywał się Hooper.

Bletchley popatrzył na nich i uśmiechnął się:

- Nie rzucaj wyzwania własnemu szczęściu. Trzeba wiedzieć, kiedy walczyć i kiedy odejść.

Patterson siedział pochylony nad talerzem, jeszcze dosalał i strzepywał sól z palców. Hooper zajmował się swoim stekiem.

- Nie ma w tym żadnego wstydu, jeśli się wie, kiedy należy odejść - kontynuował Bletchley. - Śmierć nie jest niczym chwalebny. Niczym! Te opowiadki *dulce et decorum est pro patria mori*, to bzdety. Śmierć w akcji nie jest ani piękna, ani słodka, ani bohaterska, i Pan Bóg jedyny wie, ile się jej już napatrzyłem.

- I ja też - Patterson spojrzał w sufit.

- Oczywiście, żal mi każdego, którego tracimy - przyznał Bletchley - co wcale nie oznacza, że każdego mierzę równą miarą. Oczywiście, że nie. Niektórych trzeba szczególnie chronić, gdyż przedstawiają większą wartość. To chyba jasne.

- Czy pan nadal mówi o mnie, sir? - Patterson podniósł wysoko brwi.

- Tworzę taką wędrującą komisję - mówił Bletchley - Będzie wizytowała kolejne dywizjony by wypytywać o taktykę, sprzęt, wikt i dietę, Najlepsze doświadczenia i pomysły będą upowszechniane. Coś takiego powinniśmy byli zrobić w czasie Bitwy o Anglię. Wtedy nie mieliśmy przepływu informacji ani w kierunku pionowym, ani poziomym. Z tego powodu straciliśmy całkiem niepotrzebnie wielu doskonałych facetów. Tym razem tego błędu nie popełnimy. Szukam więc do tej komisji młodego, inteligentnego i doświadczonego pilota myśliwców.

- Ja proszę o przeniesienie na linię - uparcie powtórzył Patterson.

Bletchley tak go denerwował, że nie był w stanie na niego patrzeć.

- Szukam kogoś, kto ma doświadczenie w wojnie na pustyni i wie o co pytać. Facet jeszcze w tym roku dostanie dywizjon, a jeśli okaże się dobry, to może nawet zostać dowódcą skrzydła.

- Czy mogę na chwilę przeprosić, sir? - Patterson wstał i poszedł do ubikacji.

Przemył twarz, umył ręce, zaczesał włosy, odczekał, by puls mu się uspokoił i wrócił do stołu. Hooper zajął właśnie lody, a Bletchley przyglądał się, jak kelner obiera dla niego pomarańczę.

- Przemyślałeś to, co powiedziałem? - zapytał wracającego Pattersona.

- Niczego nie przemyślałem - odpowiedział dość niegrzecznie. - Chcę wrócić do dywizjonu na pustyni. Chcę wrócić na linię!

- Oczywiście, ale przed tym zjesz doskonałe lody. Proszę o podwójną porcję dla pana Pattersona! - zwrócił się Bletchley do kelnera. - Jedzie tam, gdzie wspomnienia o doskonałych kairskich lodach będą mu potrzebne.

Wyszli na taras by wypić kawę.

- Powinieneś wiedzieć, że gdybyś wykazał chociaż najmniejsze zainteresowanie moją ofertą - Bletchley zwrócił się do Pattersona - jeszcze dziś po południu zatrzymałbym twój przydział w błękity. - Odwrócił się w stronę Hoopera z wyjaśnieniem: - W błękity znaczy na pustynię.

- Bardzo mi to pochlebia, sir - odpowiedział Patterson.

- Niech ci nic nie pochlebia. Tak naprawdę, to za skarby nie chciałbym ciebie w moim sztabie. Jesteś prawdziwym pilotem i nie bardzo nadajesz się do czegokolwiek innego.

- To dlaczego mi pan proponował tę pracę? - Patterson

był zdumiony.

- Chciałem mieć absolutną pewność. No, ale teraz zapewne domyślasz się, gdzie będziesz jutro.

- Nie mam pojęcia, sir.

- W Rodezji. Wspaniały kraj, tobie jednak nie przypadnie do gustu. - Dwoma haustami dopił kawę. - Tak się składa, że lecę tam jutro i chętnie cię podrzucę. Lotnisko Kair Zachód. Szósta rano. Nie wstawajcie, proszę.

Patrzyli jak wstał, lekko się uklonił i ruszył ku wyjściu wyprostowany, tchnący pewnością, bezbłędny przykład doskonałego oficera RAF.

- Skurwysyn - syknął Patterson. - Widział pan jak grał ze mną?

- Przejrzałem go pierwszy. Pana jednak zaskoczył?

Patterson spode łba patrzył na puste krzesło Bletchleya.

- Sądzi pan, że w samym środku wojny taki facet nie powinien mieć ważniejszych spraw na głowie, niż tanie zagrywki z pilotami? - zapytał.

- No cóż... - Hooper patrzył na lewą rękę Pattersona, który ustawicznie kciukiem wodził po opuszkach reszty palców i zapytał: - Ile kolejek pan wylatał?

- Dwie - odpowiedział ten patrząc Amerykaninowi w oczy. - Jedynie dwie. Z tego, co ten stary skurwysyn mówił wyciągnął pan wniosek, że więcej, i że już zjeżdżam z górki?

- Nie ma się pan co denerwować. Jestem jedynie jankesem, którego tu przysłano, by nabył nieco doświadczenia.

- Idę na pływalnię - warknął Patterson. - Wybierze się pan ze mną?

Hooper był nieco zaskoczony. Końce wąsów mu się

podniosły.

- Czytałem kiedyś książkę o tym, jak zdobywać przyjaciół - powiedział - i muszę panu powiedzieć, że nie postępuje pan w tej dziedzinie najlepiej.

- Wcale nie zamierzam zdobywać przyjaciół - odburknął Patterson. - Miałem ich wielu, i wszyscy okazali się idiotami. - Popatrzył na Hoopera wręcz wyzywająco.

- Wie pan co - powiedział tamten - mam doskonały pomysł. Chodźmy na basen.

Wstali i ruszyli do wyjścia.

- Ma pan jakieś plany na wieczór? - zapytał Hooper.

- Przypuszczam, że zamorduję żonę - brzmiała odpowiedź.

- Można i tak, ale nie wiem w czym miałyby to panu pomóc.

Rozdział III

Kilka zmartwień na pustyni

Samoloty wylądowały na PS 181 późnym popołudniem, kiedy powietrze było już spokojne, a padające od zachodniej strony nieba promienie słoneczne wydłużały cienie podchodzących do pasa samolotów, które dotykając kołami ziemi wznosiły chmury kurzu zakrywającego wszystko wokół.

PS, to skrót od pas startowy, a takim pokryta była prawie cała Zachodnia Pustynia. Wystarczyło jedynie usunąć kamienie. W Anglii lotniskom nadawano jakieś mile brzmiące nazwy, tu na pustyni po prostu jedynie numery.

Dywizjon startował z PS 158 i do PS 181 przebył około pięćdziesięciu kilometrów. Nie oznaczało to, że po drodze minął dwadzieścia kilka lotnisk. Wojna nie była aż tak doskonale uporządkowanym interesem. Przetaczała się przez pustynię raz w jedną, raz w drugą stronę. Atakowano i partę do przodu, by potem wycofywać się taktycznie, który to manewr przeradzał się zazwyczaj w paniczną ucieczkę. W miarę, jak posuwała się armia, lotnictwo albo opuszczało, albo zajmowało opuszczone lotniska, najczęściej dobrze już mu znane. Jeśli na lotnisku robiło się za ciasno, to zawsze znalazło się pod dostatkiem miejsca na nowe PS, które otrzymywały nowe numery. W Afryce Północnej nie brakowało ani piasku, ani numerów.

Załoga naziemna przybyła samochodami na PS 181 przed południem i piloci zastali lotnisko mniej więcej gotowe do podjęcia operacji. Na obramowaniach stały namioty, wokół kilkadziesiąt pojazdów, zbiorniki paliwa, składy amunicji, cztery przeciwlotnicze działka bofors, wozy kuchenne, wozy łączności, latryny i miliony much. Na wypadek ataku nieprzyjacielskiego lotnictwa wszyscy mieli rozkaz gwałtownie wiać.

Jako pierwszy lądował Barton. Zrzucił spadochron, cisnął go na skrzydło i długim krokiem ruszył do wozu łączności, gdzie w cieniu siedzieli Prescott i Schofield.

- Chryste, jak ty nędznie wyglądasz - powitał Barton Schofielda.

- On źle się czuje - usprawiedliwiająco powiedział Prescott.

- Ciebie nie pytałem - zdenerwował się Barton.

- Wiem, ale jak na razie wszelka informacja leci przeze mnie... - odpowiedział Prescott. - To chcesz wiedzieć, co z

nim?

Barton kucnął i przyglądał się twarzy Schofielda. Skóra choć opalona, była szara, zwiotczała, a pod oczami utworzyły mu się ogromne worki. Schofield oblizywał spierzchnięte wargi, ciężko oddychał przez usta, a właściwie dyszał. Poza tym siedział całkowicie nieruchomo.

- Co mu właściwie jest? - zapytał Barton.

- Komplikacje brzuszne. Lekarz poszedł właśnie po jakieś lekarstwo.

Barton dotknął policzka oficera ds. wywiadu.

- On marznie - powiedział. - Przynieś mu koc.

- Przed pięcioma minutami był złany potem.

- Nie gadaj, tylko przynieś koc.

Prescott odszedł, a Barton wstał i z góry patrzył na Schofielda. Pojawił się lekarz niosąc w ręce butelkę z wodą.

- Dyżentaria - powiedział i uklęknął przy chorym. Włożył mu w usta tabletkę i przytknął do jego warg butelkę, by popił lekarstwo. - Doskonale, a teraz, na miłość boską, staraj się jej nie wyrzucić zbyt szybko.

Dopiero teraz Barton poczuł smród.

- Nie możemy czekać na samolot sanitarny - mówił doktor. - Tankują samochód, więc pojedę z nimi.

Barton wziął butelkę z rąk doktora i wypił łyk.

- A co ja mam robić bez oficera wywiadu?

- W każdym razie ten nie może pełnić służby. Wyrzuca z siebie na dwa końce. Jeśli się odwodni, to w tym klimacie wykituje w dwadzieścia cztery godziny. Nadjechał ambulans wznosząc chmury dymu. W chwilę potem, kiedy Schofielda wsadzano do środka pojawił się Prescott z

kocem, który narzucił mu na ramiona i głowę.

- Nie stój i nie gap się. Nadaj do Skrzydła i poinformuj...

- Już poinformowałem, szefie - odparł Prescott. Będzie na nich czekać samolot sanitarny. Jeszcze dziś, najpóźniej jutro odstawią go z lekarzem do Kairu.

- Tak, ale...

- Skrzydło szuka nam pośpiesznie nowego oficera wywiadu.

- Dobrze.

- Jak widzisz, nie czekamy z założonymi do tyłu rękami. Tam na górze być może siedzą bęcwały, ale na dole praca wre.

- Oczywiście - Barton kopnął nogą piasek, by przykryć nim plamy, jakie pozostały na miejscu, w którym siedział Schofield. - Co zrobiłeś z widokiem?

- Z widokiem? - rozejrzał się wkoło, lecz nie zauważył niczego, poza pustynną równiną. - Z jakim widokiem?

- No właśnie. Jest doskonały i nic tu nie zmieniaj.

Barton podreptał do swojej przyczepy. Jako dowódca dywizjonu był uprzywilejowany, i miał prawo do mieszkania w przyczepie. Wszyscy inni spali po dwóch w namiotach, z wyjątkiem dowódców eskadr, lekarza, adiutanta i oficera wywiadu, którzy mieli prawo do oddzielnego namiotu.

Tymczasem wylądował cały dywizjon i piloci wprowadzali się do namiotów. Zajęło im to jedynie kilka minut. Tyle bowiem wymagało włożenie do namiotu materaca, rzucenie w kąt worka z drobiazgami, na które składały się ubrania, przybory toaletowe, czasami kilka książek, lub pamiątki, jak szable włoskich oficerów, czy niemieckie lornetki. Jeden z pilotów miał żółwia. W

większości namiotów porozwieszano lub porozkładano maskotki: łapki królicze, kości do gry, celuloidowe zabawki, szaliki lub apaszki dziewczyn, najczęściej już podarte i wyblakłe, niemniej cenne i troskliwie przechowywane.

Najmłodszym pilotem w dywizjonie był Kit Carson. Miał dwadzieścia lat, choć wyglądał na osiemnaście. Na chrzcie otrzymał imiona Tarquin Borrowdale Delahaye, ale już od czasów szkolnych wszyscy wołali na niego po prostu Kit.

Ponieważ jego wuj był biskupem, a on sam nosił na szyi złoty krzyżyk, uznawał, że nie jest przesądny. Chodził teraz od namiotu do namiotu, zadawał pytania a odpowiedzi zapisywał w notatniku, jaki zwędził z biurka ordynansa.

Zajrzał do namiotu Lusha, ale ten go skłął, a więc szybko się wycofał. Billy'ego Stewarta zastał siedzącego nieruchomo przed wejściem do namiotu z rękami wyciągniętymi przed siebie. Trzymał je tak, jakby pokazywał komuś jak długa była ryba, jaką niegdyś złowił. Czasami z całej siły klaskał i przeważnie zabijał wtedy jedną muchę.

- Masz chwilę czasu? - zagadnął Carson. - Usiłuję ustalić czy ludzie są przesądni. Czy wozisz ze sobą maskotkę?

Stewart nawet nie spojrzał na mówiącego, tylko mruknął:

- Te małe kurwy wiedzą, że tu jestem. Kiedy zabiję jedną, pozostałe wpadają w panikę. Na dwadzieścia sekund. Nigdy jednak nie uciekają. Mądrale, co? Ale nie za bardzo. Ty masz też mózg muchy, Kit. Jak myślisz, co one sądzą na mój temat?

- Nie mam pojęcia. Czy zabijanie much to przesąd?

Stewart przez dłuższą chwilę nie odpowiadał, wreszcie wydusił:

- Jestem tylko w jednym przesądny. Nigdy nie mówię o moich przesądach. W tym punkcie jestem ogromnie przesądny. Zapisz to.

I Kit Carson zapisał, a Stewart właśnie klasnął i zabił muchę.

- Wszystkich ich nigdy nie wytępisz, Billy.

- Ale one o tym nie wiedzą. Już wykazują pewne objawy paniki.

Z sąsiedniego namiotu tej scenie przyglądał się Pinky Dalgleish. Niedawno został dowódcą eskadry B i miał nie zrównoważony charakter. Był agresywnym pilotem i nie znośił wracać z niewystrzelaną amunicją. Bywał również okresami ogromnie nerwowy, co powodowało, że Kit Carson czuł przed nim respekt, choć nie latał w grupie B. Ponieważ teraz zauważył, że Pinky ich obserwuje, zdecydował się podejść do niego.

- Słyszałem - powiedział nie pytany. - Uprawiam dwanaście rodzajów przesądu. Zawsze latam z moim szczęśliwym żołędziem wetkniętym w pepek. Przy starcie pogwizduję jedną melodię. Przed startem zawsze odlewam się na lewą oponę koła samolotu, pluję na śmigło, wpuszczam kopa adiutantowi. Ile już wymienilem?

- Wydaje mi się, że pięć.

- Siedmiu następnych nie wymienię. Są obrzydliwe. Wyrzygałbyś się na dywan, gdybym powiedział. A zresztą po co ci to wiedzieć?

- Zbieram materiał do książki. W każdym razie serdecznie dziękuję - kończył notowanie.

- Gdybyś cokolwiek napisał, wszystkiemu zaprzeczę. To wszystko było kłamstwem. Jeśli opublikujesz, zaskarżę cię do sądu.

- O rety, doskonale - Carson notował pośpiesznie. - Co jeszcze?

- Kit, ty zasrane dupsko!

Ołówek Carsona zatrzymał się.

- Przykro mi, ale tego nie mogę wykorzystać.

* * *

Samolot Bletchleya Avro Anson wylądował na godzinę przed zachodem słońca. Był to osobisty samolot komandora, maszyna bardzo szczególna, zmontowana z dwóch innych, które uległy wypadkowi. Bletchley ochrzcił ją nazwą „Brutal”. Skrzydła miała wygięte w przeciwnym kierunku, niż należało, kolumna sterownicza była skrzywiona, a oba silniki stare i zdezelowane.

Kucharz widząc trzy osoby wysiadające z maszyny kazał do przygotowywanego na kolację gulaszu dorzucić jeszcze trzy puszki wołowiny.

Fanny Barton pośpiesznie porwał nową czapkę, tą niezaplamiłą, krzyknął na adiutanta, porucznika Kellowaya, wskoczył w zdobyczny, terenowego volkswagena i ruszył na PS.

Podjechał do gości i wyskakując stwierdził:

- Cóż za nieoczekiwana przyjemność, sir. - Zasalutował.

- No cóż, byłem w sąsiedztwie i pomyślałem, że przy okazji mogę ci podrzucić nowego dowódcę eskadry - mówił Bletchley. - Przywiozłem też kapitana Hoopera z Sił Powietrznych USA.

Obaj wymienieni zasalutowali, Barton odpowiedział

takim samym gestem i wykrzyknął:

- Wielki Boże, to Pit.

- Przyznaję się do tego - odpowiedział Patterson.

- Wydaje mi się, że mówiłem panu o tej nominacji, sir - powiedział Kellaway, a to sir wypowiedziane zostało z uwagi na Bletchleya. - Jestem pewny, że mówiłem.

- Mówiłeś o jakimś Pattersonie, ale jest przecież dziesiątki Pattersonów... Cieszę się, że wracasz do nas Pit.

- To miło być z powrotem. - Patterson czuł się w rzeczywistości głupio. Przypuszczał, że Barton wyciągnie do niego prawicę, ale tamten nie wykonał żadnego gestu. Stał więc i rozglądał się dookoła. Niewiele tu jednak było do zobaczenia, przeniósł więc z powrotem wzrok na Bartona i dopiero teraz stwierdził jak bardzo tamten się zmienił od czasów, kiedy w dniach bitwy o Anglię Pit opuścił dywizjon. Barton wyglądał teraz na człowieka radującego się z faktu posiadania władzy, a także z faktu, możliwości zabijania i niszczenia. W jego uśmiechu było coś z grymasu tygrysa. Wydawało mu się, że Barton ocenia jego kwalifikacje dowódcy, którego zadaniem będzie sianie śmierci i zniszczeń, i to ogromnie go peszyło.

- No cóż, lepiej będzie was zainstalować w namiotach zanim zapadnie zmrok - zatroszczył się o gości Kellaway.

- Ja śpię w „Brutalu” - wyjaśnił Bletchley.

- Witamy na froncie, kapitanie - Barton wyciągnął rękę do Amerykanina. - Za chwilę z panem pomówię, a zwracając się ponownie do komandora, zapytał: - Przywiózł pan ten specjalny olej do silników, sir?

- Chodź, sam zobaczysz.

Patterson i Hooper wrzucili swoje worki do samochodu, a Bletchley i Barton weszli po drabince na pokład

„Brutala”. Komandor przywiózł karton puszek z piwem. Otworzył od razu dwie, które syczały i ociekały pianą. Wręczył jedną dowódcy dywizjonu i podnosząc swoją do góry powiedział: - Na zdrowie. - Stuknęli się i popijali.

- Rozumiem, że zdjęto nas z haka i na razie nie zagraża nam Takoradi - stwierdził Barton.

- Być może. Nie wykluczam, że uda się nam zaangażować Polaków do tej pracy. Będą pełni entuzjazmu, gdyż oznacza to dla nich szmuglowanie złota i diamentów z Afryki Zachodniej. Znasz przecież Polaków, to niepoprawni hazardziści.

Mnie to odpowiada. To dla nich nieodparta zachęta by przyprowadzić te Hurricany do Kairu, a to najważniejsze. Operacja Takoradi to nasz as atutowy.

- Oczywiście. To doskonała wiadomość, sir. Doskonała.

- Jesteś zbirem i hipokrytą, mój kochany Fanny. Tak naprawdę to operacja Takoradi nic cię nie obchodzi, prawda?

Barton zdmuchnął pianę wydobywającą się z jego puszek.

- Wolę być na froncie, sir.

Komandor wzruszył ramionami i podnosząc puszkę z piwem powiedział:

- Orzeźwiający, oczywiście, pod warunkiem, że to się lubi.

* * *

Kapitan Hooper przyleciał z bazy w Delcie, gdzie korzystał z prysznica z wodą zimną i gorącą, basenu, pralni, zakładu fryzjerskiego i obsługi arabskich boyów gotowych przez dwadzieścia cztery godziny do wykonania

każdego polecenia. Był przygotowany na to, że życie na pustyni będzie nieco inne, ale rzeczywistość zaskoczyła go. Nie spodziewał się aż takiego brudu i smrodu.

Kellaway przydzielił mu namiot razem z Tinym Lushem. Lush miał metr dziewięćdziesiąt, nosił arabskie sandały, brudne szorty i równie brudną koszulę. Nie golił się od miesiąca. Miał zwichrzoną brodę i rude, długie wąsy. Długie, faliste, nieczesane włosy spadały mu na ramiona. Wydawało się, że niektóre fragmenty jego ciała są bardziej opalone, od innych, ale Hooper szybko zorientował się, że to nie opalenizna, a plamy po oliwie. Lush roztaczał wkoło silną woń przypominającą zapach farmerskiego konia pod koniec dnia ciężkiej pracy

- Tu życie jest bardzo proste - informował Tiny nowo przybyłego. - Wstajemy razem ze słońcem, zjadamy śniadanie, na które zawsze jest kaszka, dżem i herbata i zaczynają się patrole. Ci co lecą na patrol przeważnie nikogo nie spotykają. Niebo jest dokładnie, idealnie puste. O dwunastej, lunch. Zawsze suchary, parówki z puszki i herbata. Po południu inni lecą na patrole i spotykają to, co ci z przedpołudnia, a więc nic. O szóstej obiad, zawsze gulasz wołowy. O siódmej zachodzi słońce, a my maszerujemy do łóżeczek. Jak widzisz ogromnie proste.

- Nie golicie się? - zdumiał się Hooper. - Wydawało mi się, że RAF nie toleruje brudu.

- Woda jest racjonowana - wyjaśnił Lush. - Pół litra na głowę, nie licząc tego, co zużywa kuchnia. Możesz się golić, jeśli chcesz. Jeśli się uprzesz możesz sobie prać skarpetki. Większość z nas jednak nie przeszkadza naturze, by sama kształtowała co do niej należy. Czy jeszcze czegoś chciałbyś się dowiedzieć?

Hooper zastanowił się i zapytał:

- A co z facetem, który spał na tym łóżku przede mną?

- Nie zdajesz sobie sprawy, ale wolałbyś nie wiedzieć.

Stracisz apetyt tuż przed kolacją. Idziemy do klubu?

Klub oficerski znajdował się pod brezentowym dachem rozciągniętym nad kilkoma stolami, przy których stały odrapane, stare krzesła i ławki. Za stołami siedziało już kilkunastu pilotów, a dalsi zbliżali się od strony namiotów. Hooper w swoim roboczym, drelichowym mundurze, wymiętym w drodze, czuł się jak ubrany w mundur wyjściowy na paradę. Piloci prezentowali pstrokaty tłum brudnych obdartusów. W porozpinanych koszulach, dziurawych swetrach, postrzępionych szortach, od dawna nie pranych i nigdy nie prasowanych. Jedni byli w sandałach, inni w wysokich butach z ochraniaczami przed komarami, niektórzy w zwykłych półbutach, tyle, że nie czyszczonych od początku wojny. Niemal nikt nie miał czapek RAF-u. Natomiast noszono nakrycia Luftwaffe, australijskie słomkowe kapelusze i arabskie fezy. Całe odzienie było wybrudzone i poplamione. Hooper wypatrzył dwóch ogolonych, pozostali mieli zarost wielotygodniowy. Co najmniej połowa miała po prostu niepielegnowane, okazałe brody i także wąsy.

Dowódca dywizjonu i komandor również przyszli na obiad. Jak przewidział Lush podano wołowy gulasz. Hoopera przedstawiono wszystkim, a ten natychmiast zapomniał nazwiska tych których poznał, co nie miało najmniejszego znaczenia, jako że nic tutaj wydawało się nie mieć znaczenia. Atmosfera była niekrepująca, relaksowa. Całkiem odmienna od tej, jaką pamiętał ze swojej jedynej zresztą wizyty w pewnej bazie RAF w

Anglii, gdzie panowały dyscyplina, nienaganna czystość i dobre obyczaje. Tamta baza leżała jednak o miliony kilometrów od PS 181.

Zanim ukończyli posiłek Hooper zarobił przezwisko. Ktoś, całkiem bez złej myśli powiedział, że ma kuzyna w Nowym Jorku, na co Hooper, zaskakując wszystkich, przyznał się, że on nigdy w Nowym Jorku nie był.

- Byłem na Manhattanie - mówił. - Na Manhattanie, w stanie Kansas. To ogromny kraj, a ja jestem taki takim chłopkiem z prowincji.

Wszystkim spodobało się to stwierdzenie i od tej chwili został dla nich Chłopkiem Hooperem.

Słońce zaszło około szóstej trzydzieści, jak zawsze z ogromną szybkością. O siódmej było ciemno jak w tyłku u Murzyna i Lush zabrał Hoopera do namiotu. Drogę powrotną odnaleźli idąc wzdłuż Tomahawków, od maszyny do maszyny odliczając, aż doszli do czwartej z literą P jak Pies. Stąd do namiotu mieli pięćdziesiąt kroków. Gdy podchodzili Hooper potknął się o linki.

- Jeśli będziesz wychodził w nocy, nie idź zbyt daleko - pouczał Lush. - Byli tacy, którzy odchodzili, i już nie potrafili znaleźć drogi powrotnej.

- Dziękuję. Będę się trzymał bliźniutko - zapewnił Amerykanin.

Kiedy się położyli i zgasili świecę Hooper stwierdził, że nie jest w stanie zasnąć w smrodzie Lusha i jego brudnych szmat. Usiłował początkowo zignorować ten zapach, ale po piętnastu minutach załamał się.

- Słuchaj, nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli będę spał przed namiotem? - zapytał.

- Ależ skąd! - brzmiała odpowiedź. - To bardzo miłe.

Trochę śmierdzisz. Jak wykwinтна mydlarnia. Nie martw się, Chłopku. Za kilka dni to minie i będziesz wydzieliał całkiem normalny zapach.

* * *

Kolejny dzień rozpoczął się o szóstej.

Pustynia przez kilka minut robiła wrażenie jakby eksplodowała tu fabryka z farbami. Niebo i ziemia zmieniały barwy. Pastelowe, bladoczerwone, różowe, niebieskie. Tiny Lush wylazł z namiotu i zobaczył, że Hooper przygląda się temu widowisku.

- Jak spałeś? - zapytał grzecznie.

- Dobrze i wydawało mi się nad ranem, że słyszę koguta.

- A, to Geraldo. Pewien facet nazwiskiem Moffatt kupił go od Arabów, ale nie miał serca, zabić. Potem Moffatta zestrzelili nad Tobrukiem, a Geraldo został maskotką dywizjonu. - Lush drapał się i ziewał. - Dzięki Bogu, jedzie herbata.

I rzeczywiście, podjechał zdobyczny włoski wóz terenowy, którym rozwożono wodę i herbatę. Kierowca wydzielił każdemu po kubku wody i kubku herbaty.

- Cholerna pogoda - stwierdził Lush, na co kierowca odpowiedział grzecznie:

- Tak, będziemy dziś mieli nieco słońca - i odjechał.

- Od trzech miesięcy każdego ranka wymieniamy te uwagi - poinformował Lush. - Bardzo nas to podnosi na duchu.

- Zauważyłem, że nie mówił do ciebie „sir”.

Lush z lubością pociągnął łyk herbaty.

- To „sir” zachowujemy na szczególne okazje. Koronacje, państwowe pogrzeby, dostawy piwa.

- Nie miałem pojęcia, że jesteście takimi demokratami.

- Demokratami? - Lush ponownie łyknął herbaty, ale znalazł w niej nieco piasku, którego grudki wypluł. - Nie jesteśmy demokratami. Chłopku, tu mamy królestwo, a Fanny jest królem.

- To mam do niego mówić per „sir”.

- Jak się go spotyka rano, to każdy zaczyna od tego „sir”, a potem wieczorem tym samym kończysz dzień. A w międzyczasie... - wzruszył ramionami. - Jak ci wypadnie i jak ci się wydaje. Zależy od jego humoru.

- On jest Australijczykiem?

- Nowozelandczykiem. Przejechał pół świata dookoła, by walczyć. Bardzo na to napalony. Mamy tu całą Wieżę Babel. Greka i Polaka, Irlandczyka, facetów z Kenii i z Ugandy i z Krainy Czarów. Pozostali to już mniej więcej normalni ludzie.

Wypili herbatę, a Hooper popatrzył na kubek wody.

- Czy to naprawdę na cały dzień?

- Wystarczy na umycie zębów. Czego chcesz więcej?

O jakieś sto metrów od nich zaczęto zapuszczać silnik jednego z samolotów.

Sierżant mechanik krzyczał coś do żołnierza siedzącego w kabinie. Silnik zakaszłał i umilkł. Potem ponownie zakaszłał, już nieco głębszym tonem, z rury wydechowej wyleciał czarny dym i silnik zaskoczył. W chwilę potem ryczał na pełnych obrotach. Mechanik wsłuchiwał się w ten ryk, od którego trzęsła się cała maszyna.

Potem zakaszłał kolejny silnik, i jeszcze jeden. Uruchomiono wszystkie maszyny. Za nimi ukazała się chmura wznoszonego przez śmigła pyłu.

Szli do klubu, gdy Tiny powiedział:

- Jeśli naprawdę jesteś zdesperowany i chcesz się wykapać, to zawsze możesz sobie składać swoje przydziały wody.

- Jak długo trzeba by składać?

- Nie wiem, ale co najmniej sześć miesięcy, a do tego czasu będzie już padać.

- To tu pada?

- W zimie leje. Budzisz się w wodzie i od razu pływasz.

Na śniadanie dostali: kaszkę, suchary, margarynę, dżem śliwkowy i herbatę. Suchary były wielkie, twarde i grube. Wśród stołów kręcił się kogut Geraldo i wyjadał okruszki.

Przy jednym ze stołów siedział już Pit Patterson, który przywitał Hoopera. Nikt inny nie zwrócił na niego uwagi. Był już przecież drugi dzień w dywizjonie i nie musiano się nim interesować. Ludzie przywykli do tego, że ustawicznie jedni pojawiali się, a inni znikali. Zarzucano się informacjami, pytaniami, jakimiś dowcipami.

- Ile lat ma Schofield? - pytał Fido Doggart. - Coś wiemy o nim?

Nie było odpowiedzi. Wąsy Doggarta były koloru gulaszu wołowego, i jak na kogoś, kto miał dwadzieścia dwa lata jego twarz wydawała się zmaltretowana i niechlujna. Oczy jednak płonęły energią.

- Znowu te cholerne suchary - skarżył się Lush. - Cholerne, ohydne suchary.

- Dajcie coś do posmarowania. - Ktoś prosił i popchnięta puszka z margaryną posunęła wzdłuż stołu.

- Uważaj, wujaszku - powiedział Doggart do adiutanta. Ten podniósł oczy znad bloku, na którym miał wypisane kolumny cyfr i dodawał pogłosem:

- Dziewięć dalej... dziewięć dalej - przerwał i zapytał: - O co chodzi?

- O chleb - włączył się nieoczekiwanie Lush. - Kiedy otrzymamy chleb? - Zaczął walić sucharem o blat stołu tak, że podskakiwały najbliższe stojące naczynia.

- Wypchaj się ze swoim chlebem - warknął Doggart. - Co z Schofieldem? Co mu właściwie jest i gdzie to złapał? Muszę wiedzieć.

- Jak masz wypychać chleb? - zainteresował się Kit Carson. - Chleba nie można wypychać.

Kellaway zamknął oczy i mruzczał:

- Dziewięć dalej.

- Jestem przekonany, że ci ze Skrzydła dostają chleb - wtrącił Pinky Dalglish.

- Jeśli się wypycha chleb, to czym? - zastanawiał się głośno Carson.

- Wypycha, wypycha - Kellaway otworzył oczy. Wyglądał na zmarnowanego. - Co to znaczy wypycha? - Carson jednak nie odpowiedział, bo miał usta pełne suchara.

- Schofield jest mi winien mnóstwo forsy - informował Doggart. - Założył się ze mną pięć do jednego, że Geraldo nie umie latać. Idiota.

Kit przełknął z trudem, popił i gestykulując wyjaśniał:

- Kiedy mówiłem o wypychaniu, Wujku, to miałem na myśli ptaki. - Usiłował wytłumaczyć Kellawayowi, którego wzrok był jednak całkowicie pusty, jakby nic do niego nie docierało. - Takie ptaki, jak Geraldo.

- Nikt nie wypcha Geraldo - powiedział Grek, pilot, zwany Georgem, który właśnie usiadł za stołem. - Geraldo to mój przyjaciel. Gdybyście chcieli wypchać jego, musicie

naprzód wypchać mnie.

- Już ustawia się do tego cała kolejka - stwierdził Doggart.

- Schofield jest w szpitalu i to by było na tyle - powiedział wyraźnie poirytowany Kellaway. - Ma komplikacje z brzuchem. Nie ma się czym podniecać.

- To nie tak jak z chlebem - przerwał mu Dalgleish. - Już jestem zmęczony, a najbardziej tym, że nie dostajemy chleba.

- Geraldo nie jest twoim przyjacielem. - zaprotestował Kit Carson. - Wczoraj cię podziobał.

- Wybaczyłem mu! - odparł George. - My Grecy wybaczymy i kochamy wszystkich.

- Kochacie też Niemców? - zainteresował się Tiny Lush.

- Ogromnie kochamy. Oczywiście zabitych.

- Och, wypierdki, teraz zapomniałem cyfrę, jaką miałem przenieść - warczał Kellaway.

- Siedem - powiedział stanowczo Doggart.

Kellaway zmarszczył się i popatrzył na niego podejrzliwie.

- Nie, chyba dwanaście - poprawił sam siebie Doggart.

- Fido, jesteś żłób - Kellaway był wyraźnie zniechęcony. Zeszłego wieczoru wypił zbyt wiele whisky, którą stawiał Baggy Bletchley. Mówiąc prawdę nie lubił whisky, ale kiedy komandor stawia, adiutant nie ma prawa odmówić. Musi pić, to należy do jego obowiązków. Fanny dla odmiany lubił whisky, czasami nawet nazbyt lubił, ale dywizjonowi nie wychodziło to na dobre. Gdzieś za namiotem zaczął szumieć generator. Kellaway miał szum w głowie, ale na innej częstotliwości, niż ten generator, co go denerwowało. Wypita whisky powodowała, że czuł

pragnienie, które starał się ugasić herbatą. Ciepłą i słodką. Tak naprawdę jednak to marzył o mleku, zimnym, białym, przecudnym mleku, które przeczyszczyłoby mu wnętrzności i ugasiło jego pragnienie... Potrząsnął głową, by pozbyć się obrazu szklanicy ze śnieżnobiałym płynem. Poczul, że pot zalewa mu oczy, które zaczynają go szczypać.

Tiny Lush przechylił się przez stół i pokazał Hooperowi suchar.

- Widzisz te dziury? Wiesz po co są?

- Nie mam zielonego pojęcia.

- By mogły przez nie uciekać wołki zbożowe. Macie wołki w Ameryce?

- Oczywiście. Najlepsze na świecie - Hooper przyjrzał się uważnie sucharowi, jaki trzymał w rękę. - Czy tu też są te wołki?

- Nie. Te małe skurczybyki rejterują, kiedy się dowiadują, że suchar ma być wysłany na pustynię.

- Tak, małe to, ale swój rozum posiada, i to je właśnie odróżnia od Kita Carsona - wtrącił się Dalglish.

- Który to jest Kit, zapomniałem? - zapytał Hooper.

- Ten, z dżemem na policzku.

- Piszę książkę - poinformował Kit Hoopera. - Ona zrobi was wszystkich sławnymi. Zobaczycie.

- Znam kogoś, kto wykitował na takie dolegliwości brzucha - dorzucił Grek George. - Leciał do latryny, potknął się i złamał kark.

- Pilot?

- Strzelec pokładowy.

- Niewielka strata. I tak w takim stanie w nic by nie trafił.

Tiny wstał i przeciągnął się.

- Cóż za zadupie - powiedział. - Nic tylko piach i piach. Za jakie winy nas tu przysłano. Niech to będzie dla ciebie nauzką - powiedział do Hoopera.

- Ja przyleciałem by nauczyć się walki powietrznej - powiedział Amerykanin. - A jak na razie mówi się tu o wszystkim, z wyjątkiem właśnie tego.

- A o czym tu mówić? - zdumiał się Lush - Można by przecież umrzeć z nudów.

- Nic się nie dzieje?

- Oczywiście, że dzieje. Kit przed tygodniem zmoczył się w łóżku. Ale było śmiechu! - wrzucił Doggart.

* * *

Barton poprzedniego wieczoru zrobił odprawę dla dowódców eskadr i kluczy. Zebrał ich w swojej przyczepie i pokazał mapę sektora, który znajdował się w zasięgu dywizjonu stacjonującego na PS 181.

- Jutro zaczynamy zabawę. - powiedział. - Ataki na cele naziemne! Nic innego, tylko ataki. Pychota, co? - Był uśmiechnięty jak chłopak, któremu na imieniny obiecano wiatrówkę. - Nie będzie już tego beznadziejnego kręcenia się za własnym ogonem. Zaczyna się czas działania i akcji!

Rozłożył na stole mapę, na której nakreślono sześć krzyżyków.

- Wybierajcie sobie cele. Z wyjątkiem tego. - Pokazał na krzyżyk najbardziej wysunięty na północ. - To mój cel. Piękny, tłusty batalion niemieckiej piechoty. Mniam, mniam.

- A pozostałe? - zapytał Dalglish.

- Obozy, magazyny, zbiorniki z paliwem, parki samochodowe. To, co wybiera nasz wywiad. Do każdego

macie opis.

Studiowali opisy w milczeniu.

- Start o 8.00? - zapytał Patterson. - Tak to trochę nagle wyskoczyło. Jeszcze się nie spotkałem z moją eskadrą.

- Spotkasz się po śniadaniu, kiedy zrobisz odprawę. To wszystko stare wygi i doskonale wiedzą, co mają robić. O maszyny się nie martw. Będą gotowe. - Dowódca dywizjonu był radośnie podniecony. - Uwielbiam te ataki na cele naziemne. Ci przestraszeni faceci zmykający jak króliki i chowający się po norach. - Walnął pięścią w blat stołu. - Fantastyczny sport! Fantastyczny!

- Dlaczego o ósmej? - zapytał Dalgleish. - Przypuszczam, że świt byłby najodpowiedniejszą porą.

- O świcie leżą jeszcze w łóżkach. Chcę by byli na nogach ze śniadaniem w brzuchu.

- Ze śniadaniem - powtórzył jakby w zamyśleniu Patterson.

- Właśnie, kiedy są już w pełnym ruchu, kiedy będą doskonale wiedzieli, co się dzieje, narobią wrzasku, podniosą panikę. O to chodzi w tym interesie. Czy nie?

- Nie - powiedział całkiem niewinnie Patterson.

- No cóż Pit, zawsze brakowało ci wyobraźni. Jak to ciebie nazywał Moggy Cattermole?

- Rany Chryste... - Patterson aż się otrząsnął. - Ten przekłety Moggy, a on ci tu do czego?

- Już wiem, patetyczny szkocki karzeł.

- Wspaniale - ucieszył się Dalgleish.

- Tak ciebie właśnie nazywał - potwierdził Barton.

- Jakby pies naszczał na dywan - skomentował to Patterson. - Moggy był dywizjonowym gówniarzem.

- Tak, ale miał charakter - upierał się Barton.

- Gówniarz i tak się też zachowywał - powiedział Patterson do Dalgleisha. - Aw końcu zestrzelił go Spitfire. Kiedy to było? - zwrócił się wyraźnie do Bartona, który jedynie wzruszył ramionami.

- Chyba we wrześniu 40. W każdym razie w czasie bitwy o Anglię.

Barton zwinął mapę i dał ją Dalgleishowi.

- A może to nie był Spitfire? - Opowiadano, że Moggy wrzeszczał coś na ten temat przez radio, a ludzie z obserwacji widzieli Spitfire'a, jak atakował Hurricane'a.

- Zdarza się - powiedział zgryźliwie Barton. - Ja coś wiem na ten temat. Sam zestrzeliłem Blenheima.

Dalgleish rozwinął mapę i dokładnie przyglądał się celom.

- Wolałbym to robić wczesnym rankiem - zawyrokował.

- Słońce mielibyśmy dokładnie za plecami. Oślepiąłoby ich, nie sądzicie?

- Ale musiałyś nachodzić na cel z bardzo niewielkiej wysokości - sprzeciwił się Barton. - Zła widoczność. W kilka godzin później znacznie lepiej. Słońce jeszcze będzie im świecić w oczy, ale już znacznie jaśniejsze. Ty nadlatujesz na wysokości stu pięćdziesięciu metrów, widzisz wszystko dokładnie, schodzisz niżej, strzelasz, pierdniesz i do domu. No chłopcy, nie ma się co mądrzyć, do roboty.

Gdy Barton wyszedł, Dalgleish zapytał:

- Czy on rzeczywiście zestrzelił Blenheima?

- To było pierwsze zestrzelenie dywizjonu w czasie wojny - powiedział Patterson. - Błędna identyfikacja. Wszyscy byliśmy przekonani, że to Ju 88. Okropna tragedia, Fanny jeździł przepraszać.

To zdumiało Dalgleisha.

- Dziś nie doczekałbyś się przeprosin od Fanny'ego – powiedział. - Szybciej dostałbyś kopniaka w dupę, niż usłyszał od niego słowo „przepraszam”.

Patterson zagłębił się w liście celów.

- To są informacje od naszego wywiadu, a więc muszą pochodzić co najmniej sprzed trzech dni. Jednego dnia robili zdjęcia, następnego analizowali i trzeciego dnia leciały do nas.

- No to co? Cóż za różnica w co trafimy, jeśli tylko trafimy - Dalgleish zamknął dyskusję.

- Nie masz zamiaru popastwić się nad celem?

- Im mniej, tym lepiej - powiedział Dalgleish. - Cała rzecz w tym, by jak najszybciej uciec od tego świństwa i wrócić w możliwie dobrej formie.

* * *

Informacje Bartona nie były ściśle. Celem, jaki sam sobie wybrał, nie był batalion niemieckiej piechoty dekujący się pod namiotami, lecz dwa bataliony odbywające właśnie paradę.

Sprawił to czysty przypadek. Jeden batalion był właśnie luzowany przez drugi, gdy poinformowano o tym pewnego generała przeprowadzającego w pobliżu inspekcję. Od razu zdecydował się zrobić przegląd obydwu batalionów. Wykapani, odprasowani, wyczyszczeni, ogoleni i ustawieni w czwórki żołnierze oczekiwali generała, ze złością marzący jedynie o tym, by ta komedia jak najszybciej dobiegła końca. Niestety, generał spóźnił się już o czterdzieści minut.

Jedynym żołnierzem nieobecnym na paradzie był kapral,

który skrzył nogę w kostce. Skierowano go więc na punkt obserwacyjny na pustyni położony o 8 kilometrów na wschód od obozu. Armia brytyjska stacjonowała daleko, ale nigdy nie można było mieć pewności czy nie napatoczy się jakiś samochód pancerny, którego załoga szuka guza, powodów do sławy lub nie poluje na jeńców. Zawsze też mógł nadlecieć jakiś samolot.

Kapral pełnił swój dyżur już przez całą noc, był więc zmęczony i śmiertelnie znudzony. Od wielu godzin nie zaobserwował w polu widzenia niczego interesującego. W książce meldunkowej wpisywał: 0500 - nic 0600, nic, 0700 - nic. Już miał zamiar to samo wpisać pod 0.800, gdy usłyszał szum silnika samolotu. Podniósł głowę, ale słońce go natychmiast oślepiło. Zmrużył oczy, lecz w tym czasie samolot przeleciał stosunkowo blisko i oddalał się. Podniósł do oczu lornetkę i minęło ponownie kilka sekund, zanim dostrzegł sylwetkę maszyny. Oczywiście było niemożliwe, by mógł rozpoznać znaki. Z sylwetki przypominała maszynę włoską. Nowy Macchi 202. Tak, niewątpliwie Macchi. Może Macchi, sam siebie poprawił.

Wiedział o wizycie generała i przez kolejnych pięć sekund zastanawiał się, czy dzwonić i ewentualnie zepsuć całą defiladę. I to zapewne fałszywym alarmem. Podniósł jednak słuchawkę. Zanim siedzący z drugiej strony sierżant odpowiedział minęło kolejnych osiem sekund.

- Czy jesteś pewny? - pytał sierżant.

- Nie - odpowiedział kapral - Może to nasz, a może ich. Na pewno leciał nisko i szybko.

Minęło dwanaście sekund, zanim sierżant odnalazł dyżurnego majora i osiem, zanim zreferował sprawę.

- Nie jest pewien? - pytał major. Był zdenerwowany,

tym bardziej, że właśnie zobaczył nadjeżdżający wóz generała w asyście motocyklistów.

- Nie, nie jest pewien, panie majorze.

Major podjął niebywale odważną decyzję. Tak głośno, jak tylko potrafił zaczął krzyczeć:

- Alarm lotniczy! Alarm lotniczy! Kryć się!

Spóźnił się dokładnie o dziesięć sekund. Barton, z lecącym za nim Stewartem był już nad obozem i dosłownie runęli na kolumnę gotową do defilady. Otworzyli ogień i kule orały szeregi niczego nie spodziewających się żołnierzy. Ludzie umierali zanim cień Tomahawków prześlizgnął się nad nimi.

Barton był wniebowzięty. Jakiż tłum! Ileż trupów! Stewart wstrząśnięty nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje. To była rzeczywiście masakra jakby wyreżyserowana na makabrycznym, wojennym filmie.

W ślad za samolotami wystrzelono kilka świetlistych pocisków, które nie wyrządziły im najmniejszej szkody. Barton przez chwilę leciał wężykiem, by utrudnić artylerzystom celowanie, ale w chwilę potem byli już poza zasięgiem strzału. Szli teraz ostro w górę i skierowali się na wschód, do domu. Stewart leciał na ogonie dowódcy ubezpieczając go od tyłu. Atak był błyskawiczny i trwał tak krótko, że wydawał się wręcz nierealny. Stewart był doświadczonym pilotem myśliwców. Znane było mu uczucie podniecenia i triumfu, kiedy samolot wroga eksplodował w powietrzu i spadając korkociągiem rozbijał się o ziemię. Tym razem jednak było to coś całkiem innego. To nie był pojedynek. W pamięci powtarzał sobie słowa, jakie ustawicznie wbijano im do głowy: „To oni zaczęli. Gdyby tylko mogli, zabiliby ciebie

natychmiast. Dobry Niemiec, to martwy Niemiec”.

Nie był jednak przekonany. Poczł smak krwi i przestał przygryzać wargi. Sam siebie przekonywał: „Zapomnij. Już po wszystkim.”

Dalgleish na drugiego dobrał sobie Hoopera.

Ich celem był park samochodowy. Dobrą stroną tego zadania było to, że samochody, a szczególnie ciężarowe, są maszynami delikatnymi i płoną jak zapalki. Z reguły jednak są dobrze bronione przez artylerię, co zwiększało ryzyko przedsięwzięcia i było jego ujemną stroną. Gdy znaleźli się w odległości trzech kilometrów od celu, zorientowali się, że park jest pusty. Natomiast baterie przeciwlotnicze znajdowały się na swoim miejscu. Otworzyły ogień i obie maszyny leciały wśród czarnych chmur wybuchających pocisków.

- Skręć w lewo! - wrzasnął Dalgleish. Wykonali skręt i uciekli.

Hooper po raz pierwszy znalazł się w ogniu i był pod wrażeniem tego przeżycia. Odłamki waliły po kadłubie jego maszyny i gdy udało im się uciec, poczuł radość.

Wdrapali się teraz na pułap trzystu metrów i lecąc na południe zobaczyli coś, co wyglądało jak niemiecki oddział łącznościowy. Rzucili się na tę ofiarę. Żołnierze na widok nurkujących Tomahawków zaczęli uciekać, ale nie mogli być wystarczająco szybcy. Nikt do atakujących nie otwierał ognia. Ostrzelali ludzi i samochody, zatoczyli koło, i poprawili. Gdy odlatywali, wozy Niemców płonęły.

Tiny Lush i Grek George zgodnie z kalkulacją przelecieli dwieście dwadzieścia km i odnaleźli cel dokładnie tam, gdzie miał się znajdować. Był to włoski obóz - równe rzędy namiotów oczekujących na łatwe

zniszczenie. Szkopuł tkwił jedynie w tym, że na połowie namiotów wymalowane były czerwone krzyże.

Krażyli przez chwilę wokół celu prowadząc ożywioną dyskusję. Grek George nie wierzył, by to mógł być szpital, czy nawet po części szpital.

- Zapomnij o tym, George - odpowiedział Lush. - Jeśli uderzymy na ich szpital, oni natychmiast uderzą na nasze.

- To zejdźmy niżej i przelećmy nad samym obozem - proponował George.

- Idiotyzm. Po co?

- Jeśli odezwie się artyleria, to znaczy to nie szpital.

- A kto mi to zapewni? Będę miał to na piśmie?

Jeszcze przez chwilę się spierali, wreszcie Lush stracił cierpliwość. Miał kuzyna w Korpusie medycznym i za żadne skarby nie zbombardowałby szpitala. Odlecieli więc. Znajdowali się nad szaro-brązową pustynią, gdy w pewnym momencie dostrzegli jaskrawoczerwony punkcik, który wznosił się w górę i zniknął. Lush pochylił skrzydło, by lepiej widzieć, i w tym momencie zielony punkcik oderwał się od ziemi.

- George, znalazłem coś lepszego!

Punkciki były to rakiety sygnalizujące rozpoczęcie ćwiczeń batalionu piechoty wspieranego przez broń przeciwlotniczą i moździerz. Oba Tomahawki nadleciały niemal na zerowej wysokości i całkowicie pomieszały Niemcom ich ćwiczenia. Z drugiej jednak strony żołnierze batalionu mogli przeciwżyć komendę: „Kryj się” i strzelanie z broni osobistej do samolotów. Szczególnie maszyna George'a cieszyła się zainteresowaniem Niemców. Pilot tańczył, zwijał się, ale utracił koniec lewego skrzydła. Maszynę Lusha coś trzepnęło po ogonie, i

to dość mocno. Obaj jednak przeżyli i lecieli do domu, podczas gdy niemieccy sanitariusze opatrywali rannych, a zabitych ładowali na wozy ciężarowe. Dowodzący nieudanymi ćwiczeniami pułkownik otrzepywał się z piasku i czyścił chusteczką pełne piasku uszy.

Kit Carson leciał jako para za ogonem Pita Pattersona. Ich celem był magazyn paliw, ale go nie odnaleźli. Natknęli się natomiast na kolumnę czołgów i artylerii. Niestety żołnierze musieli być uprzedzeni, gdyż byli przygotowani do odparcia ataku. Powitał ich tak gęsty ogień, że Patterson wykonał gwałtowny zwrot, zbyt gwałtowny, bo krew odpłynęła mu z głowy i przez chwilę niczego nie wiedział. Gdy powrócił do siebie, zaczął się rozglądać za Kitem i stwierdził, że ten leci, jak należało, tuż za jego ogonem.

Oblecieli kolumnę dalekim kołem szczęśliwi, że wyszli z opresji cało i po chwili zobaczyli na pustyni kilka czołgów. Z bliższej odległości okazało się, że to wraki. Wreszcie natrafili na konwój ciężarówek, jeśli trzy wozy można uznać za konwój. Kierowcy zatrzymali wozy i uciekli. Patterson i Carson ostrzelali ciężarówki i gdy odlatywali, tamte płonęły. Była to jednak wojna ogromnie kosztowna, biorąc pod uwagę koszt przelotu przez dwa myśliwce czterystu pięćdziesięciu kilometrów, w celu zniszczenia trzech ciężarówek.

Dwie ostatnie pary stanowili O'Hara z Doggartem i Ostanickowski z Baileyem. O'Hara był Irlandczykiem z Republiki Irlandzkiej, Doggart Anglikiem, Ostanickowski Polakiem, a jego nazwisko nie nadawało się do wymówienia, więc nazywano go Katarkiem; wreszcie Bailey był Kanadyjczykiem i nazywano go Rzeźnikiem.

Cel wyznaczony O'Harze i Doggartowi określany był mianem „koncentracja wojska”. Nad cel nalecieli na wysokości tysiąca pięciuset metrów i natychmiast dostali się pod ogień artylerii. Zanurkowali i z wysokości trzystu metrów odpowiedzieli ogniem. Wokół nich wybuchały pociski dymne i świetlne, a maszynami rzucało jak diabli. Wyrównali, gdy zobaczyli cienie swoich maszyn na ziemi i natychmiast pognali w kierunku domu ile mocy w silnikach.

Gdy już zapanował spokój, O'Hara zapytał:

- Widziałeś jakąś koncentrację?

- Widziałem kupę gówna - brzmiała odpowiedź Doggarta.

- Chryste, to nie myśmy ich przetrzepali, a oni nas.

- Co tam mogło być, wojsko? - zainteresował się jednak Doggart.

- Latryny.

Przez kilka kilometrów lecieli w milczeniu rozmyślając nad tym, co się właściwie wydarzyło. Ogień zaporowy był rzeczywiście silny i mieli szczęście, że udało im się wyjść z tego bez szwanku.

- Tam były zbiorniki paliwa - oświadczył z pewnością w głosie Doggart. - Oni zawsze obstawiają zbiorniki działami.

- Wolę już o tym nie myśleć - odparł O'Hara.

Katarek i Rzeźnik lecieli nisko, na pułapie trzydziestu metrów, co już w połowie drogi omal nie skończyło się tragicznie.

Katarek prowadził, a Rzeźnik leciał tuż za nim po zewnętrznej stronie strumienia zaśmigłowego. Po jakichś dziesięciu minutach lotu Katarek usiłował zwiększyć prędkość, ale okazało się, że dźwignia przepustnicy się

zacięła. Kazał Baileyowi by wysunął się do przodu, a sam lecąc na drugiej pozycji walczył z przepustnicą.

Zajęty, jednym okiem spoglądał na dźwignię, drugim zerkał na pustynię. Okazało się jednak, że potrzebuje jeszcze jednego oka. Nagle bowiem spostrzegł, że jego śmigło za chwilę walnie w ogon samolotu kolegi. Oddał orczyk steru wysokości i znalazł się tuż pod samolotem tamtego. Równocześnie leciał tuż, tuż nad pustynią, tak nisko, że gorący oddech Sahary wdzierał się do kabiny. Skulił się w sobie przekonany, że zaraz skapotuje. Nic takiego jednak nie nastąpiło, a więc nieco zboczył z kursu i wyrwał kilkadziesiąt metrów do góry. Był zbyt przerażony, by się złościć. Okazało się bowiem, że Bailey leciał z wypuszczonymi kołami. W miarę, jak Katarek się uspokajał, narastała w nim wściekłość. A jak był wściekły, nabierał coraz wyraźniejszego polskiego akcentu. Ryczał do mikrofonu:

- Ty przeklęty idioto, jak się chcesz zabijać, to twoja sprawa, ale dlaczego mnie w to mieszasz?!

- Nic nie zrobiłem, Katarek - usprawiedliwiał się Bailey.

- To samo z siebie.

A było tak. Poczul w pewnym momencie jakieś drzenie, dobiegło go kilka głuchych odgłosów i nagle Tomahawk zwolnił lot o jakieś pięćdziesiąt km/godz. Usiłował zwiększyć prędkość, ale się spóźnił. Katarek nieomal zarył w tył jego maszyny, zanurkował i znalazł się tuż pod nim. Rzeźnik zamknął oczy i czekał na moment kolizji, która jednak nie nastąpiła. Otworzył oczy i zaczął się wzbijać.

- Schowaj to zasrane podwozie - polecił Katarek.

- Próbuję, nie idzie.

Katarek przynurkował, obejrzał samolot kolegi od dołu.

Podwozie wyglądało na zablokowane.

- Potrząśnij.

Bailey podleciał kilkadziesiąt metrów wyżej i zaczął potrząsać maszyną. Nie wykonywał jednak bardziej skomplikowanych figur, jako że Tomahawk nie był przystosowany do akrobacji z wypuszczonym podwoziem. Potrząsanie maszyną nie dało jednak pożądaných rezultatów.

- Płyn hydrauliczny musiał się zabrudzić - myślał na głos Rzeźnik. - I co robimy?

- *Na litość boską* - wrzasnął Katarek po polsku, co z kolei rozwścieczyło Baileya.

- Nie waż się tak mówić do mnie - warknął

- Tak nie możesz atakować celów - złościł się Katarek, już ponownie po angielsku - Trzeba coś wypatrzeć na co bez kłopotów sobie postrzelamy i spieprzamy do chałupy.

Lecieli dość długo wypatrując, wreszcie Katarek dostrzegł warkocz pyłu, co mogło oznaczać wyłącznie jedno, jakaś kolumna posuwała się po pustyni. A była to nieprzyjacielska jednostka naprawy czołgów składająca się z kilku wielkich ciągników służących do przewożenia uszkodzonych maszyn.

Kolumna dostrzegła ich jednak w porę, zrobiła zręczny zwrot o 180 stopni i skryła się w chmurze pyłu, którą sama spowodowała. Zaatakowali i posłali w tą chmurę kilka serii. Niczego nie widzieli. Chmura jednak zareagowała wysyłając w ich kierunku serię z ciężkiego karabinu maszynowego i Katarek poczuł jak jego samolot zadrżał. Okazało się potem, że oberwał w pokrywę silnika.

Obsługa lotniska jak tylko zobaczyła powracającego z wyciągniętym podwoziem Baileya, natychmiast domyśliła

się, że coś jest nie w porządku. Ten wylądował ostrożnie i podkołował do stanowiska mechaników, którzy natychmiast wzięli się do roboty. Zanim zdążył wygramolić się z kabiny sierżant-mechanik już wiedział w czym rzecz i powiedział do pilota:

- Popatrz, jakiś skurwysyn trafił cię w przewody hydrauliczne.

Bailey wlaź pod maszynę i przyglądał się.

- Rzeczywiście. Jakiś Arab albo jakiś Niemiec z ręcznikiem na głowie.

- Może, w każdym razie nieładnie z jego strony.

- Katarek był tego samego zdania. No, już przysłali po mnie taksówkę.

I rzeczywiście zajechał terenowy wóz z Bartonem za kierownicą. Ten wyskoczył i zapytał sierżanta.

- Ile wam to zajmie?

- Jakaś godzinkę.

- Doskonale. Rzeźnik wskakuj, już spóźniłeś się na odprawę.

- Jaką odprawę? Jeszcze nie złożyłem meldunku.

- Teraz nie ma czasu. Jedziemy!

Wgramolili się do samochodu i Barton ruszył gwałtownie żyłując silnik, ile się tylko dało.

- Miły dzień! - ryczał Barton, choć Bailey nie mógł w tym dniu dostrzec czegokolwiek miłego. Jak zawsze upał, piach i muchy. Jeśli dla Bartona to było miłe, to niech mu będzie.

Wylądowali już wszyscy. Zebrali się w klubie, porozsiadali, popijali herbatę, lub ziewali. Jedyne Pit Patterson był zainteresowany w przebiegu akcji. Zebrał swoją eskadrę i wypytywał.

- My trafiliśmy w cholerną kupę - informował Doggart.
- W kupę czego? - Nie potrafił zrozumieć.
- W kupę gówna. Niemieckiego - wyjaśnił O'Hara i ziewnął.

- Tu gówno jest wszędzie - dorzucił Doggart. - Kolosalna eksplozja niemieckiego gówna.

Patterson zrezygnował z dalszego wypytywania tej dwójki i zwrócił się do Polaka.

- Nam poszło dobrze - odpowiedział Katarek. - Ostrzelaliśmy chmurę pyłu, w której coś się kryło. Chyba transport czołgów. Nie wiem.

Patterson zerknął w listę celów.

- Tu nic takiego nie ma.

Katarek wziął od niego spis, przeczytał i oddając skomentował:

- To dla idiotów.

Pit wziął listę, złożył i schował do kieszeni.

Pojawił się Barton, który wjechał do klubu nie wysiadając z samochodu, co zdumiało jedynie Hoopera. Wszyscy pozostali byli do tego przyzwyczajeni.

- Czy wszyscy są? - zapytał Barton i nie czekając na odpowiedź zaczął z entuzjazmem. - Dobrze, wspaniale, znakomicie. A teraz powiedzcie w kilku słowach, jak się wam podobało. Pinky?

Dalgleish wyliczając słowa na kolejno podnoszonych palcach, mówił:

- Flak, flak, flak, flak, flak.

- U mnie to samo, tylko więcej - powiedział Lush.

- Nie mogę zrozumieć, jak to całe, gówno nas nie trafiło - stwierdził O'Hara.

Nikt się nie uśmiechnął.

- Lataliśmy w górę i w dół - raportował Katarek. - Rzeźnik miał kłopoty z podwoziem, a potem zrobiliśmy kilka dziur w chmurze pyłu.

Na końcu pozostał Patterson, który powiedział:

- Stoczyliśmy walkę z jakąś kolumną pancerną i nie wygrałem.

- Na Boga, nie bądź zawsze taki. Nie musisz stale wygrywać - przerwał mu Barton. - Chcemy, by przeciwnik krwawił, latał po pustyni i wydierał się z przerażenia i złości. Dosoliliśmy dziś rano kilku niemieckim dowódcom, i o to chodzi. Mam poczucie doskonale spełnionego obowiązku. Czuję w sobie miłe, przytulne ciepłko.

- Intuicja mi mówi, że ty trafiłeś w swój cel - stwierdził Dalgleish.

- Ooczywiście. Te sukinsyny przygotowywały się właśnie do defilady. Co najmniej pięciuset. - Barton usiłował zrobić skromną minę. - Po prostu nie można było nie trafić. Strzelaliśmy głównie w brzuchy.

- No to tamci chłopcy mieli szczególnie miły, ciepły poranek.

- Ja nie odnalazłem celu. Błędne informacje wywiadu - powiedział Dalgleish.

- Nie martw się, to jak w sporcie. Będzie jeszcze wiele okazji - Barton podał mu nową mapę. - Tu macie sześć doskonałych celów. Wszystko mi jedno kto trafi w co i jak, byleście wszyscy wrócili na lunch.

Zapanowała całkowita cisza, którą jako pierwszy przerwał Patterson pytając:

- A więc jeszcze jedno uderzenie przed lunchem?

- To właśnie miałem na myśli - odpowiedział Barton. - I jeśli wszystko pójdzie dobrze, jeszcze dwa po południu.

Patrzyli z uwagą w jego oczy starając się wywnioskować, czy mówi poważnie. Zapanowała cisza, w której słychać było jedynie łopot brezentowego daszku. Barton radował się tym, że ich zaskoczył, a jego uśmiech nie wyjaśniał im niczego.

* * *

Gdy Hoffmann i Jakowski weszli do pokoju, Schramm rozmawiał właśnie przez telefon. U sufitu zawieszono modele samolotów przeciwnika. Hoffmann dmuchnął, co spowodowało, że zaczęły się poruszać. Jakowski przysunął sobie krzesło i usadowił w nim możliwie najwygodniej.

Schramm skończył rozmowę i odłożył słuchawkę.

- Jakież wieści? - zapytał - Sprawdziłem u każdego znanego mi oficera wywiadu wzdłuż całego wybrzeża, i nic.

- Nie wierzę - zauważył Jakowski. - W ogóle nie ma patroli? Niewiarygodne.

- Żaden patrol nie posuwa się w naszym kierunku. Trzy wracają do domu.

- Tych już nie złapiesz - stwierdził Hoffmann. - Po wykonaniu zadania wracają jak najszybciej do Kairu.

Jakowski oparł się rękami o blat biurka i zmarszczył czoło.

- Pracuję bez wytchnienia by zmontować ten nowy oddział. Moi ludzie są przekonani, że wkrótce wyruszamy w pościg za nieprzyjacielem. Gdybym powiedział, że tego nieprzyjaciela nie ma, ich morale załamałoby się.

- Zrób im tygodniowe, ostre ćwiczenia na Saharze. - doradzał Hoffmann.

- Oni nie potrzebują żadnych ćwiczeń. To doświadczeni

żołnierze.

- No cóż, mogę powiedzieć jedynie to, co wiem. Trzy patrole SAS posuwają się w kierunku domu. Wracają do siebie. Nie mam natomiast pojęcia, ile patroli może się kryć gdzieś na Dżebel.

- Może? Dlaczego tak się wyrażasz...

- Ponieważ wywiad wojskowy, to nie ścisła nauka. Zeszłego miesiąca zniknęło nam kilka patroli z pola widzenia. Może im wysiadły samochody. Może pomarli. Może przyłączyli się do innych patroli. Kto może wiedzieć?

- Nie wierzę, by nieprzyjaciel zrezygnował z wypadów - głośno rozważał Jakowski. - Nie po sukcesach, jakie odnieśli. Dlaczego mieliby rezygnować?

- Może ich patrole potrzebują wypoczynku? - odezwał się Hoffmann. - Ma przecież i inne sposoby, by zająć nam za skórę.

- Niby jakie?

Schramm wziął z biurka kawałek papieru zdartego z dalekopisu.

- Na południowym odcinku frontu podjęto ataki z powietrza na stanowiska naszych jednostek. Atakują obozy, magazyny, parki maszyn i to ze wzrastającą częstotliwością. Generałowie są wściekli. Chcą by 109 podjęły stałe patrole nad naszymi pozycjami.

- Idiotyzm - zawyrokował Hoffmann. - Stałe patrole to jedynie marnotrawstwo paliwa i silników.

- A co nas atakuje? - zainteresował się Jakowski.

- Jakiś agresywny dywizjon Tomahawków - wyjaśniał Schramm.

- Gdzie stacjonuje? To musi być jakieś wysunięte

lotnisko.

- Nie wiem. Szukamy.

- Może to dywersja - zastanawiał się Jakowski. - Te Tomahawki wałą w drzwi frontowe, a przez tylne w tym czasie wślizgują się patroli SAS.

- No cóż - Hoffmann wzruszył ramionami. Nie był przekonany, ale nie chciał wszczynać dyskusji. Dodał jedynie: - Trzymajcie się z daleka od tych Tomahawków.

- Trzymać się z daleka? - Jakowski zerwał się na równe nogi. - Dlaczego? Można przecież im dołożyć, jeśli się zlokalizuje lotnisko.

- Wielki Boże, to całkiem niegłupi pomysł! - uradował się Hoffmann, do którego nagle dotarła prostota pomysłu. Zrobimy im to samo, co oni nam. Zlokalizujcie, a ja dam im łupnia. - Spacerował zadowolony wielkimi krokami po pokoju.

- Jaki napalony - mruknął Schramm.

- Tak, to ostry facet - zgodził się Hoffmann. - I dobrze, że się właśnie tym zajął.

* * *

Przed lunchem zaatakowali raz jeszcze, ale po lunchu wykonali jedynie część przewidzianych operacji. Połowa Tomahawków wymagała napraw. Karabiny maszynowe zacięły się, silniki nie dawały się uruchomić, w kadłubach świeciły dziury - widomy znak u danych trafień nieprzyjaciela. Po każdym nawrocie liczba tych uszkodzeń rosła. Z ostatniej, czwartej w tym dniu operacji trzeba było zrezygnować.

- Wielka szkoda - powiedział Barton do adiutanta. - Chłopcy właśnie weszli w rytm uderzenia.

- Sądzę, że nie jest im łatwo - powiedział Kellaway. Siedzieli w cieniu adiutantury, a więc w cieniu namiotu Kellawaya.

- To twardzi chłopcy. Nie takie mięczaki, jak wtedy, kiedy przyszli do nas. Nie sądzisz? Ale im szybciej dojrzewają, tym lepsze mamy wyniki, a im lepsze wyniki, tym lepszy dostaniemy sprzęt.

- Czy Bletchley coś ci obiecywał? - zapytał Kellaway.

- Coś tam wspominał. A ty co słyszałeś?

- Jedynie pogłoski, Fanny. Nie można się na tym opierać. Mówi się, że nadchodzą nowe Hurricany. Ostatni typ, IIC.

- Hurricany IIC byłyby znakomite. Spitfirery jeszcze lepsze.

Zerwał się zachodni wiatr i wypiął ściany namiotu.

- Pocieszne z tym wielbłądzim garbem.

Pojawił się Prescott. Szedł pochylony pod wiatr i niósł wielką, wypchaną kopertę. Usiadł obok Bartona zadowolony, że znalazł schronienie przed wiatrem.

- Jeśli przeszkadzam, to już się zmywam - zerknął na nich wyczekująco.

- Wujaszek plótł coś właśnie o wielbłądach - mówiąc to Barton miał półprzymknięte oczy.

- Właśnie przechodziłem koło Billy'ego Stewarta - powiedział Prescott. - Znowu bije te muchy.

- Jeśli mu to sprawia przyjemność, to wszystko w porządku.

- Materiały ze Zgrupowania - Prescott podał dowódcy dywizjonu kopertę. - Cele na jutro.

- Kretyński nawyk, a przy tym on nigdy nie myje rąk - stwierdził adiutant.

- Schofield jest przekonany, że Billy to wariat - dodał Prescott. - Schofield uważa też, że wy wszyscy jesteście stuknięci. I nie ma się tym co przejmować. Schofield też nie jest normalny. Kto sam ze sobą grywa w szachy i potrafi przegrać pokazuje, że jest tego... - popukał się wymownie w czoło.

- Mieliśmy takiego faceta jak Billy, gdy mój dywizjon stacjonował we Francji - przypomniał sobie adiutant. - Tyle, że tamten ganiał za motylami. Po całym lotnisku.

Był wyznawcą hinduizmu. Biały, który się nawrócił w Indiach. Zgodnie z hinduizmem, jak wykitujesz wracasz na ziemię w innej postaci. Facet zaś był przekonany, że jego zmarły szwagier, którego nienawidził, powrócił jako motyl, a więc ganiał te motyle w nadziei, że natrafi na właściwego.

Zamilkli, wyciągnęli się możliwie najwygodniej i rozkoszując cieniem pozwolili, płynąć niekontrolowanym myślom. Prescott rozmyślał o swojej przyjaciółce Susan, która pozostała w Anglii i zastanawiał się czy dba o jego wóz, o morrisa, którego tuż przed wyjazdem wygrał w pokera. Susan miała fenomenalne ciało i mało używany mózg, zachowywany zapewne na lata starości. Powiedział jej dokładnie, co należało robić. Wóz postawił w garażu ojca, na pieńkach, by nie niszczyć opon, a Susan przykazał, by raz na miesiąc zapuszczała silnik. Nie miał nigdy przedtem samochodu, więc myśl o tym, że na pewno zapomniała, o co ją prosił, bardzo go złościła. Ale przecież to nie jej wina, samochody w ogóle jej nie interesowały. Przypomniał sobie jej wspaniałe ciało i przebaczył zapominalstwo. Lecz natrętna wyobraźnia podsunęła mu wizję zniszczonego auta i poczuł rosnącą niechęć do Susan.

Ohydny babsztyl.

Adiutant rozważał równocześnie problem latryny, siostry i swojej ostatniej woli. Siostra, ku jego zaskoczeniu, wyszła ostatnio za męża. Była od niego o pięć lat starsza i już mu się wydawało, że zrezygnowała z poszukiwania męża. Zdumiewające, jednak znalazła amatora na posiadanie jej jako żony. Nie musiał się już o nią martwić, czego w żaden sposób nie mógł powiedzieć o latrynie. Czuł jej smród nawet w tym momencie. Kellaway miał wyczulony nos, szczególnie w przedmiocie latryn. Prawie zawsze nie wykopywano dostatecznie głębokich dołów. A więc już nie będzie potrzebowała jego pieniędzy. Może zmienić testament. Utworzyć fundację na rzecz jego starej szkoły? Stypendium imienia Kellawaya. Brzmi ładnie. Rzeczywiście. Ależ smród!

Fanny Barton nie należał do marzycieli. Teraz wspominał szeregi defilujących, niemieckich żołnierzy, rozpierzchających się w panice na widok jego maszyny. Ponownie odczuł radość, z jaką uruchomił karabiny maszynowe. Czuł drżenie samolotu, wspominał iskry pocisków, sznur tych iskier doganiających spanikowanych Niemców. Tak, to była radość i warto ją było powspominać. Sprawilo mu to taką przyjemność, że ukołysało do drzemki, z której wyrwało go pytanie Prescottta:

- Nie otworzysz? - Odnosiło się to, oczywiście, do koperty.

- Może, może - mruknął i nagle poczuł, że jakaś myśl nie daje mu spokoju.

- Ten wariat, który łapał motyle - odezwał się zaintrygowany. - Nie mogę go sobie przypomnieć

Wujaszku, a byłem w dywizjonie we Francji niemal od samego początku.

- To nie w czasie tej wojny, a poprzedniej - wyjaśnił adiutant.

- Aha - rzecz natychmiast przestała Fanny'ego interesować. Wujaszek służył w lotnictwie jeszcze w czasach, kiedy samoloty miały zbyt wiele skrzydeł i latały z szybkością rozpędzonego samochodu.

- A co z tymi motylami? - zainteresował się Prescott. - Czy to musiały być motyle? Nie mogły być mewy?

- Wysoce wątpliwe. Zresztą jak facet miał łapać mewy na lotnisku? - Wzruszył ramionami i powrócił w myślach do problemu latryn. Trzeba będzie coś z tym zrobić zanim złapie dyzenterię, a jego siostra odziedziczy wszystko, nim zdąży zmienić ostatnią wolę.

* * *

Henry Lester i Ralph Malplacket umówili się na lunch by wymienić informacje na temat ostatnich wydarzeń na frontach. Wybrali chińską restaurację w hotelu „Prince Albert”, co było pomysłem Lestera. Nie spotykało się tu dziennikarzy, a chciał mieć Malplacketa wyłącznie dla siebie.

- Jak myślę, potrafi się pan poruszać po tym mieście - mówił Lester. - W naszym biznesie to co pan wie zależy od tego, kogo pan zna. Nie mam racji?

- Jestem tu dopiero od tygodnia - odparł Malplacket i nalał herbaty do kubków.

- Nie na darmo przecież ma pan Bentleya z kierowcą - Lester uśmiechnął się z uznaniem.

- Niestety należy do żony ambasadora. Ja go jedynie

pożyczyłem i już musiałem oddać.

- To ogromna szkoda - stwierdził Lester.

Podano dania: Kaczkę po kantońsku, krewetki z grzybami, kurę w bambusie, kluseczki, kielki fasoli i ryż.

- Nie tak znowu ogromna. Nie potrzebuję bentleya by dotrzeć do tych, z którymi chcę porozmawiać. Widzi pan, przed wyjazdem z Londynu ojciec dał mi listę nazwisk osób, które mogą okazać się cennym kontaktem, facetów na wysokich stanowiskach, którzy wiedzą co w trawie piszczy. Blanchtower był politycznym doradcą gubernatora. Nawet napisał książkę na temat Egiptu. - Malplacket wyjął kartkę papieru, rozłożył ją i dał Lesterowi. Gdy ten skończył czytać, Malplacket mruknął: - Mam nadzieję, że zna ich pan.

- Słyszałem o nich. W każdym razie o niektórych. Kiedy pański ojciec tu był?

- W 1932.

- To wyjaśnia wiele. Wszyscy z tej listy, z wyjątkiem dwóch, umarli lub wyjechali. A z tych dwóch jeden jest stale pijany, a drugi to całkowity samotnik.

- Ciekawe - Malplacket zjadł jedną krewetkę. - Blanchtower ma czasami szczególne poczucie humoru.

Przez chwilę jedli w milczeniu.

- Widzisz stary - podjął Malplacket. - To moje pierwsze doświadczenie w pełnieniu publicznych obowiązków. Nie dziwisz się, że jestem nieco spięty.

- Rozumiem. A na czym te obowiązki polegają?

- Niestety nie mogę powiedzieć. Złożyłem ślubowanie dochowania tajemnicy. Zresztą to nudne i nie miałbyś czego wykorzystać. Naprawdę nie miałbym nic przeciwko, by ci powiedzieć, ale byłbyś rozczarowany. Nic, co by

mogło się nadawać na czołówki.

Lester nałożył sobie jeszcze nieco kluseczek, a Malplacket kontynuował:

- Czuję się zagubiony, jeśli chodzi o wyszukiwanie informacji. Jeśli potrzebuję funta kawy wchodzę do sklepu kolonialnego. Teraz potrzebuję nieco informacji o wojnie, instynkt podpowiada mi, że trzeba w takich sprawach zwrócić się do instytucji wojskowych. Mówisz jednak, że tych całkowicie замуrowało?

- Tak, pod tym względem to zupełnie niemoty.

- A armia nie zatrudnia oficerów prasowych, czy kogoś podobnego?

Lester zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią, wreszcie mruknął:

- Dlaczego nie wybierzesz się ze mną? Zobaczysz.

- Doskonały pomysł. Dla mnie to całkiem niezrozumiałe, by prowadzić wojnę i nie chwalić się. Wydajemy całą fortunę na armię. Absolutnie fortunę. Blanchtower pokazywał mi przed odjazdem cyfry. Mają cały czas tendencję rosnącą i aż trudno uwierzyć, że takie pieniądze nie przynoszą nam jakichś zdecydowanych efektów.

* * *

Nie było czasu na rekrutowanie ochotników. Z upoważnienia generała Schaefera major Jakowski otrzymał stu pięćdziesięciu żołnierzy z batalionu rezerwowego piechoty i w konwoju czterdziestu pojazdów poprowadził ich na pustynię. Maszyn tych było więcej niż obiecał generał, ale Jakowski uznał, że musi się lepiej zabezpieczyć. Pustynia była ogromna, a Jakowski

zaplanował wyprawę na dwa do trzech tygodni.

Przed wyjazdem Jakowski zebrał ludzi i przedstawił swoje wymagania. Stał na odkrytej ciężarówce, na głowie miał miękką czapkę z goglami, całkiem jak Rommel. A mówił tak:

- Porządek i dyscyplina. Tak, porządek i dyscyplina mogą pokonać wszystko i każdego, a więc również Saharę i wypady brytyjskich komandosów z SAS - mówił cicho, ale pewnie. - Razem, wy i ja zabezpieczymy nasze flanki z tą samą skutecznością i determinacją, z jakimi Niemcy podporządkowały sobie niemal całą Europę i pół Rosji. Kierownictwo i dyscyplina zawsze pokonają piratów, kowbojów i zbirów wyjętych spod prawa. Od dziś, od tej chwili pustynia jest nasza, a wróg staje się naszym jeńcem.

Przemówienie było doskonałe, tyle że wygłoszone w nieodpowiednim czasie. Słuchający byli już doświadczonymi żołnierzami. Rozchodząc się do swoich samochodów, komentowali entuzjazm Jakowskiego:

- Mówił tak, jakbyśmy zwyciężyli jeszcze przed wyruszeniem.

- A więc w ogóle nie warto jechać? - wtórował mu sąsiad. - Czy ty mu to powiesz, czy ja mam to zrobić?

Po trudach ćwiczeń, harówce służby wartowniczej i nerwach wywołanych inspekcjami, ta wyprawa zapowiadała się jako wielka przygoda. I to ze zwiększonymi przydziałami żywności.

Kolumna posuwała się szybko dobrą szosą biegnącą skrajem Dżebel el Akhdar. Większość pojazdów stanowiły kryte brezentowymi budami ciężarówki fiat i mercedes z dodatkiem kilku fordów. Niemal na każdym samochodzie, na obrotowym stojaku zamontowany był ciężki karabin

maszynowy. Jakowski, szafując na lewo i prawo nazwiskiem generała Schaefera wytargował z parku maszynowego w Benghazi wielką ciężarówkę z dźwigiem, samochód-cysterne, trzy ciężarówki przystosowane do przewożenia prowiantu, samochód łącznościowy, ambulans, pojazd sztabowy, w którym można było zwoływać odprawy i niewielką piekarnię na kołach. Co do tego ostatniego pojazdu sam miał pewne wątpliwości, ale sobie wytłumaczył, że taka gromada musi być odpowiednio żywiona, a już sam widok piekarni ucieszy żołnierzy, jako że świeży chleb na pustyni był rzeczywiście luksusem.

Około ósmej kolumna objechała Dżebel el Akhdar, a szosa przeszła w trakt. Po obu stronach wyznaczały go wraki spalonych czołgów.

- Przypominają mi pionki leżące obok szachownicy w czasie rozgrywanej partii szachów - zauważył major Jakowski. Kierowca potwierdził skinieniem głowy. Dla niego był to jeszcze jeden dowód, na to że nie należało odbywać służby w jednostce pancerniej, ale przecież nie mógł powiedzieć czegoś takiego oficerowi. Co chwila ocierał dłonie o spodnie. Palce pociły się od zetknięcia z kierownicą. Już było gorąco i mógł sobie wyobrazić, co będzie w południe.

- Tu skręcamy - rozkazał Jakowski.

Kolumna wjechała w wąwóz ciągnący się w kierunku południowo-wschodnim, który powinien był ich wyprowadzić na pustynię. Jakowski miał nadzieję na odnalezienie śladów obecności oddziałków brytyjskich komandosów. A nawet, gdyby im się to nie udało, jego ludzie nabędą tak potrzebnego im doświadczenia w przeszukiwaniu pustyni. W najlepszym wypadku natkną

się na jakiś oddział komandosów i zetrą go na pył.

Wąwóz wił się raz w lewo, raz w prawo i stawał się coraz głębszy. Ciągłe jeszcze byli u podnóża pasma wzgórz. Pomimo wyboistej drogi usianej kamieniami posuwali się, ku zadowoleniu Jakowskiego, względnie szybko i gładko, gdy nagle coś grzmotnęło w maskę samochodu tak, że major podskoczył. Na masce, pokrytej zieloną farbą, pokazała się linia błyszczącego metalu. Ktoś do nich strzelał.

- Stop! - wrzasnął major.

Pierwsze pojazdy zatrzymały się, a za nimi cała kolumna. Nim to nastąpiło kierowca Jakowskiego był już za karabinem maszynowym, z którego ostrzelał prawą ścianę wąwozu. Rozległo się głośne echo, które spowodowało wtórne echo. Chmura kurzu wznoszona przez konwój przesłoniła całą widoczność. Byli osłonięci tumanem pyłu. Kierowca strzelał więc na pamięć, w kierunku, w którym powinien był znajdować się szczyt ściany. Inne wozy natychmiast przyłączyły się do strzelaniny. Przypuszczano, że kolumna została zaatakowana od przodu i z boku, a złudzenie to umacniało się, jako że już z wszystkich wozów strzelano.

Tymczasem Jakowski doszedł do wniosku, że kula mogła nadlecieć równie dobrze z lewej strony i kazał kierowcy by i w tamtym kierunku posłał serię. Ten odwrócił lufę i posłał z pięćdziesiąt pocisków w gęstą chmurę pyłu, po czym spojrzął na dowódcę w oczekiwaniu na dalsze rozkazy.

- Przerwać ogień - powiedział ten ponuro, poszedł do stojącego za nimi samochodu i krzyknął, by przestali strzelać.

- Idź wzdłuż kolumny i przekaz tym idiotom, że mają przestać strzelać.

Żołnierz zlął na ziemię i wcale się nie spiesząc, zachowując natomiast maksimum ostrożności i krzycząc możliwie najgłośniej przekazywał rozkaz dowódcy. Pył opadł i gdy można było już normalnie patrzeć nie zauważono śladu przeciwnika. Kierowcy zaczęli uruchamiać silniki, które musieli zgasić. W tym klimacie silnik można było z łatwością przegrzać.

Jakowski odnalazł któregoś z poruczników i polecił mu sprawdzić, czy nie było ofiar. Sam wdrapał się na zbocze wąwozu, by się rozejrzeć. Ten rekonesans nie dał jednak niczego. Wkoło widoczna była pustka. Jedyne pofałdowana pustynia, poprzecinana wąwozami, usiana głazami, w niektórych miejscach porośnięta kępami krzaków lub brązową od upału trawą.

Zszedł na dno wąwozu, gdzie czekał już porucznik.

- W brezencie jednej z ciężarówek znaleźliśmy dziurę od kuli - meldował. - Kierowca przysięga, że jej nie było, ale nie jestem przekonany. Innych strat czy ofiar nie odnotowano.

- To wszystko?

- Tak jest, panie majorze - odpowiedział porucznik, a w duchu pomyślał: „Ten skurwysyn lachę położy, bo nie ma zabitych, i jeszcze nas opieprzy”.

- Wystrzelaliśmy nie mniej jak pięć tysięcy sztuk amunicji - zrzędził Jakowski - I to na jednego, głupiego snajpera. Już go z całą pewnością nie było, kiedy otworzyliśmy ogień.

Porucznik milczał. Co miałby mówić?

- Na Boga, dlaczego nie ruszamy? - Jakowski nie przestawał być poirytowany.

- Jedna z ciężarówek złapała gumę - wyjaśnił pośpiesznie porucznik. - Naprawiają.

- Zwołaj wszystkich oficerów. Tu, do mojego wozu.

Porucznik pobiegł i wkrótce wrócił z dwoma kapitanami i dwoma porucznikami. Jakowski zaprowadził ich do swojego wozu, by móc mówić bez obawy, że usłyszą go żołnierze.

Jego kierowca tymczasem zbliżył się do sąsiedniego wozu.

- Co się dzieje? - zapytał ciekawy sąsiad.

- Opieprzanie na samej górze. Zdrowo ich obsika.

- Nie miałbym nic przeciwko, by mnie w tym upale obsikał. Może mnie oblewać co godzinę, jeśli tylko ma czym.

Jakowski tymczasem tak mówił do oficerów:

- Porządek i dyscyplina. Pamiętacie? Jeden śmierdzący Arab strzela do nas, a wszystkim mózg staje w poprzek. Wystrzelaliśmy z dziesięć tysięcy sztuk amunicji w te przeklęte skały.

- Naprawdę myślałem, że nas zaatakowano, panie majorze - tłumaczył się kapitan Rinkart. - W każdym razie tak to wyglądało.

- To były nasze własne strzały, ty idioto - pieklił się major.

- Tego nie można było wiedzieć - poparł kolegę kapitan Lessing. - W tym strasliwym kurzu... - Jakowski spojrział na niego ostro, a jeden z poruczników mruknął:

- Mgły wojny.

Jakowski przeniósł zły wzrok na niego, a ten szybko

dodał:

- To takie powiedzonko.

- Od tej chwili - szczechnął major - nikomu nie wolno otworzyć ognia bez mojego rozkazu.

- A jak mamy ten rozkaz usłyszeć - zapytał jeden z oficerów. - Warkot silników zagłusza wszystko.

- Sygnał czerwoną rakieta - powiedział Jakowski, a zebrani popatrzyli po sobie. - Przypuszczam, że wzięliśmy ze sobą rakiety - zaniepokoił się Jakowski i zaczął węszyć nosem, jak to zwykły robić króliki w poszukiwaniu czegoś.

- Wydaje mi się, że widziałem, jak ładowali skrzynkę z raketami, ale Pan Bóg wie do którego z wozów - odparł kapitan Rinkart.

- Poszukajcie - polecił Jakowski jednemu z poruczników. - Na razie będę dawał sygnał klaksonem mojego wozu. Długi, ciągły sygnał, otwieracie ogień. Krótki, wstrzymujecie. Mam nadzieję, że usłyszycie.

- A jeśli do nas złączą strzelać, a pan nie usłyszy. Wtedy co? - zadał pytanie kapitan Lessing.

- Działajcie według własnej inicjatywy.

Kierowcy ponownie uruchomili silniki. Wszyscy, z wyjątkiem kierowcy cysterny z wodą. Silnik jego wozu zakichał, zakaszłał, zaprychał, ale nie zaskoczył Jakowski polecił wziąć cysternę na hol. Ruszyli i po ujechaniu kilometra za cysterną z wodą pojawił się ślad wycieku. Nikt jednak tego nie zauważył wśród tumanów pustynnego kurzu.

* * *

Za pierwszą ofiarę można było obwinić jedynie Pana Boga.

Major Jakowski wiedział wszystko o szlaku Tariq el Abd. Na jego mapie naznaczone były pola minowe na Tariq, a mapa była niemiecka, czyli powinna być dokładna. Trzymał się więc na północ od szlaku, aż do drogi karawan, która go przecinała. Była to droga szeroka, doskonale widoczna ze śladami wielu pojazdów. Tu skręcili w prawo. Wyjechali już z pomiędzy pagórków i znajdowali się w okolicy przypominającej prawdziwą pustynię. Upał powodował pojawianie się miraży. Widzieli w oddali obraz palm i jakieś ogromne skały, ale Jakowski nie dał się zwieść.

Jechali szlakiem Tariq. Walały się na nim szczątki szkieletów wielbłądzich. Jakowski zbadał okolicę przez lornetkę i polecił kierowcy:

- Jedź wolniej.

Szlak wędrówki wielbłądów i ślady samochodów schodziły się.

- Tu musi być przejazd na drugą stronę - powiedział do kierowcy. - Jedź po starych śladach. Dokładnie po śladach.

Ostatnim pojazdem w kolumnie była ciężarówka z prowiantami i trzema żołnierzami. Dwaj z nich byli weteranami Afrika Korps, Oskar, lat dwadzieścia dwa i Bruno, lat dwadzieścia trzy. Trzeci, imieniem Caius, miał lat dwadzieścia i w Afryce był nowicjuszem. Oskar i Bruno pouczali niedoświadczonego kumpla.

- Nie martw się o tych brytyjskich komandosów - tłumaczył Bruno. - Wcale nie są tacy źli.

- Oczywiście - przytaknął Oskar między jednym kęsem, a drugim.

Właśnie zażerali się konserwami z rozbitej przy ładowaniu skrzynki.

- No cóż - Oskar wypluł kilka ziarenek piasku, który wciskał się absolutnie wszędzie. - To wszystko zależy. Niektórzy rzeczywiście nie są tacy źli. Ja osobiście nie wierzę w opowieść sierżanta Nockena.

Bruno przestał jeść i zapytał:

- Myślisz o tej historii jak komandosi ucięli pewnemu szturmowcowi rękę i tą ręką zatłukli go na śmierć?

- Nie, nie mówię o tym. To, to on widział na własne oczy. Mówię o tym, jak komandosi złapali pewnego porucznika i jeden stał mu na nogach, a drugi po prostu odkręcał mu głowę i tak długo nią kręcił, aż mu ją... no tego, wiecie.

- Cóż, to całkiem możliwe - gorliwie zaopiniował jego opowieść Bruno. - Nie sądzisz chłopcze?

- Nie mam pojęcia - odpowiedział Caius patrząc gdzieś w bok. Rzeczywiście nie wiedział, i nie chciał w ogóle o tym myśleć.

- Sądzę, że to całkiem tak, jak wyciąganie korka z butelki - rozważał Oskar i rzucił w kierunku szoferki: - No, dalej, do przodu.

- W każdym razie Arabowie są o wiele groźniejsi od komandosów - wtrącił Bruno. - Uważaj na Arabów, chłopcze.

Trzy pierwsze pojazdy przekroczyły Tariq bez problemów. Jednak kierowca kolejnej ciężarówki popełnił błąd, zapatrzył się na kierującego ruchem, wrzucił zły bieg i zgasł mu silnik. Natychmiast go uruchomił, ale zdenerwowany dodał zbyt wiele gazu i koła utraciwszy przyczepność zaczęły buksować wykopując pod ciężarówką dół. Kierujący ruchem wrzasnął i kierowca wrzucił na luz.

- Dobrze, teraz dawaj ostrożnie do tyłu - polecił żołnierz.

Kierowca wrzucił wsteczny i usiłował cofnąć. Koła buksowały nadal powiększając dół. Prowadzący pojazd szarpał drążek skrzyni biegów dając kolejno jedynkę, dwójkę i wsteczny. Powtarzał ten manewr tyle razy, aż wreszcie udało mu się wyrwać ciężarówkę z dołu. Żołnierze zasypali piaskiem dziurę, co nie na wiele się zdało. Kolejny kierowca, w obawie przed ugrzęźnięciem, jechał za szybko i zarył się powiększając raz zrobiony dół. Im bardziej usiłował wyrwać samochód z pułapki, tym głębsze stawały się koleiny pod kołami,. I to samo spotykało już wszystkie kolejne wozy.

Major Jakowski starał się ukryć zniecierpliwienie. Zatrzymał pojazdy po południowej stronie Tariq i kazał czekać na ciężarówki, które się wygrzebywały z piasku. Kolumna czekających na kolegów wydłużała się, a Jakowski walczył o zachowanie spokoju. Nie chciał zaprezentować się swoim ludziom jako dowódca ustawicznie dokuczający, zrządzający i pieniący się. Podszedł do dwóch kapitanów, którzy stali obok jednego z wozów i patrzyli w niebo.

- Nie będzie chyba লাło - usiłował zażartować.

- Zastanawiamy się, czy nie należałoby wozów rozproszyć po pustyni - odpowiedział poważnie Rinkart. Krępy, o śniadej karnacji. Jakowski odnosił wrażenie, że całe ciało kapitana pokryte było gęstym, twardym zarostem.

Rinkart był mądrym facetem i doskonałym żołnierzem., co zresztą wynikało również z jego akt, których Jakowski nie omieszkiał przestudiować.

- Kimkolwiek by nie był, musiał nas widzieć - powiedział Rinkart. - Krąży nad nami od pięciu minut.

- Gdzie? - Jakowski niczego nie dojrzał.

Rinkart pokazał mu mikroskopijną kropeczkę na nieskalanym błękitcie. Jakowski wyteżył wzrok i kropeczka zniknęła mu z pola widzenia. Nie mógł jej ponownie odnaleźć, ale nie chciał się do tego przyznać. Powiedział natomiast:

- Jeśli to Luftwaffe, to i tak wiedzą, że tu jesteśmy, a RAF nie wysłałaby tak daleko swojego samolotu.

- Mogli wysłać Beauforta - domyślał się Lessing. Ten nie wyglądał na żołnierza. Był za wysoki, za chudy i zachowywał się jak aktor, przy czym miał zwyczaj zakładania rąk na biodra. Z papierów jednak wynikało, że był doskonałym żołnierzem.

- Jeśli to rozpoznawczy Beaufort w Kairze będą wiedzieli o nas za kilka godzin - kontynuował czarnowidztwo.

- Za kilka godzin już nas tu nie będzie - odpowiedział Jakowski. - A nieco na południe zaczyna się płaszczyna szeroka jak autostrada i długa na trzysta kilometrów.

Kolejna ciężarówka wyjąc na pełnych obrotach silnika pokonała przeszkodę.

- Nie ma powodów, by się rozpraszać - stwierdził major, a właśnie ostatni z wozów próbował przedrzeć się przez piaszczysty podjazd.

- Ty masz szczęście - mówił Bruno. - Arabowie ci nic nie zrobią. W każdym razie nie tobie.

- Dlaczego? - zdziwił się Caius.

- Ponieważ spodobasz się ich kobietom.

- Jesteś blondynem - tłumaczył Oskar. - To Arabki cenią

niezmiernie wysoko.

- Mam szczęście - mruknął Caius, ale w duchu marzył, by dali mu już spokój.

- Tak, masz szczęście, jeśli potrafisz odbyć każdego dnia dwanaście stosunków - poinformował go Oskar.

- Siedem razy w tygodniu - dodał ponuro Bruno.

- Tego będą od ciebie wymagały - włączył się ponownie Oskar. - Przez cały czas. Od rana do wieczora i od wieczora do rana. Gdybyś nie potrafił, mogliby się stać nieprzyjemni. Ich bracia i ojcowie.

- Uznaliby, że ich obrażasz - dorzucił Bruno - Wtedy łapią za nóż i możesz się pożegnać z kutasem.

Ciężarówka wyraźnie przyspieszyła. Zaczęła podskakiwać tak, że cały ładunek zatrzęsł się i zakotywał niebezpiecznie.

- Jezus! - wrzasnął Oskar.

Rozległo się głośne plaśnięcie i Caius poleciał do przodu tak, że jego głowa znalazła się na kolanach Brunona, a nogą wierzgnął w Oskara. Ten zaczął wyklinać, ale zamilkł, gdy zobaczył ręce Caiusa. Konwulsyjnie drgały, zaciskając się i ponownie otwierając, jakby chciały złapać niewidzialnego wroga. W kilka sekund potem drgawki ustały i ręce znieruchomiały.

Oględziny lekarskie były krótkie, jak i diagnoza.

- Po pierwsze, nie żyje - mówił lekarz. - Po drugie znajduję jedynie maleńką dziurkę z tyłu czaszki. Nie ma otworu wylotowego, a więc to nie kula.

- Wykopać grób - polecił Jakowski kapitanowi Lessingowi, co zostało szybko wykonane, gdyż kopanie rozpoczęto jeszcze przed wydaniem polecenia.

- Wielu ludzi słyszało wybuch, a jeden widział błysk tuż

przy ciężarówce. A więc wygląda to na jedną z tych małych min, jakie tu rozkładali Anglicy - kapitan Rinkart starał się podzielić swoimi spostrzeżeniami z dowódcą.

- To świństwo nie jest groźne, jak długo się nie zacznie przy nim manipulować - stwierdził Jakowski.

- To jedynie teoria - zaprotestował Lessing.

- Jeśli leżała na przejeździe, to właśnie przy niej zmanipulowano - dorzucił Rinkart.

Jakowski popatrzył na bladą, spokojną twarz zabitego.

- Ten to się nie nawojował - zauważył

To czaszka ludzka. Cienka. Nie zatrzyma żadnego odłamka.

- Woła Boga - zawyrokował Jakowski.

Jeden z poruczników poprowadził obrządek pogrzebowy. Z książeczki instrukcji polowych odczytał kilka zdań przeznaczonych na taką okoliczność, przy czym przekreślił nazwisko Caiusa. Bruno i Oskar spojrzeli na siebie bez słowa. Typowe. Pochowali nie tego, którego chować należało.

- Przysypać grób kamieniami - polecił Lessing. - By go zbyt szybko nie zżarły zwierzęta.

W dziesięć minut potem kolumna znajdowała się już w drodze na południe. Oskar zauważył jakies daktyle rozsypane na podłodze ciężarówki i wyrzucił je na pustynię. Na pożarcie robakom.

* * *

- Kleopatra miała całkowitą rację - powiedziała Elizabeth Challis swoim jasnym, dźwięcznym głosem. - W życiu ma się tylko jedną prawdziwą miłość i kiedy ona umiera, znika cel tego życia.

Zanurzyła palce w wodach Nilu. W drugiej ręce trzymała kieliszek. Siedzący naprzeciwko Jack Lampard nalał jej wina. Była kolejnym punktem jego listy, którą pieczołowicie sporządził pewnego ranka zaraz po dotarciu do Kairu. Młodych atrakcyjnych wdów poznał już kilka i wytrwale starał się by nie myślały źle o ojczyźnie, dla której zginęli ich mężowie. Skoro nie mógł walczyć wprost z wrogiem, poświęcał dla Kairu pozostałą część swych męskich sił.

- To tragedia dla nas, dla mężczyzn. Bez piękna, jakie wy reprezentujecie, a my ubóstwiamy, moglibyśmy wynieść się z powrotem na pustynię i nawzajem pozabijać.

Odbywali wieczorną przejażdżkę łodzią zwaną feluka. Minęli Wyspę Zamalek oświetloną feerią świateł padających z nocnych lokali. Orkiestra grała modnego fokstrota, a wiatr unosił słodkie tony w gorącą noc.

- Przepraszam - powiedział Lampard. - Nie powinienem być tego mówić. Beznadziejna głupota z mojej strony.

- *Tais toi* - zaprotestowała Elizabeth. - Nie jestem laleczką z porcelany. Chyba wiesz o tym.

- Gerald był niezwykle dzielnym facetem do samego końca. - Lampard zjadł kilka truskawek i popił winem. - Oczywiście nie byłem przy nim, lecz walczyłem niedaleko. Opowiadali mi, że w ostatnich chwilach mówił o tobie.

Odwróciła w jego kierunku swoją śliczną główkę na zgrabnej szyjce i słuchała. Wyglądała jak wycięta z okładki żurnala mód.

- Powtarzali mi jego ostatnie słowa. Mówił, że nie chce, byś chodziła po nim w żałobie. - Usiłował zajrzeć w jej oczy, ale jedna jedyna lampka na pokładzie nie dawała dość światła. Ich twarze ginęły w półmroku.

- Kochany Gerald.
- Zawsze ustępował pierwszeństwa innym.
- Tak, był gotów do najdalej idących poświęceń - upiła wina i cmoknęła z lubością. - Cóż za fantastyczne chablis.

Lampard podniósł kieliszek:

- Za nieobecnych przyjaciół.
- Tak - westchnęła i powtórzyła. - Tak. Czyż to nie okropne? Czasami nie potrafię odtworzyć w pamięci jego twarzy. Widzę jedynie płamę.

- Całkiem normalne.

- Gerald popijał brandy z sodą. Szkoda byłoby mu dawać takiego wina. Byłoby zmarnowane.

- Czy musimy czekać by się zagrzało? - Lampard ponownie napełnił szklanki.

Gdy wysiadali, dosłownie zniósł ją na ład, a właścicielowi łodzi dał suty napiwek. Wsiedli do ciągniętego przez konia wózka nazywanego tu gharri i ruszyli w kierunku jej domu w Garden City. Lubił przejażdżki gharri i stukot metalowych kół o bruk. Gdy stawali woźnica batem odpędzał żebraków i natrętów. Lampard dał mu wysoki napiwek, co nie uszło uwagi Elizabeth.

- Rozpuszczasz ich.

- Ty rozpuszczasz mnie.

Dała mu klucz. Otwieranie drzwi było męskim zajęciem, a Elizabeth potrzebowała dzisiejszej nocy męskiej opieki. Od dawna czuła się samotna, a noce były tak upalne. Tańczyli przy muzyce z płyt. Przytuliła się do niego i zapytała:

- Co w twoim mundurze tak trzeszczy?

- Pewnie krochmal, a może wyładowania elektryczne.

- Zaczekaj zanim zaiskrzysz - szepnęła i wysunęła mu się z objęć.

Wyszła z pokoju by powrócić po krótkiej chwili z piżamą w ręce.

- Ta była za wielka dla Geralda, ale na ciebie będzie w sam raz.

* * *

Następnego dnia kontynuowali ataki.

Mechanicy pracowali przez całą noc i rano. „Dywizjon Szerszeń” był ponownie gotowy do podjęcia operacji. Barton kazał obudzić pilotów o czwartej trzydzieści. Odprawa odbyła się o piątej, a zaraz potem start. O czwartej trzydzieści panuje jeszcze głęboka noc. Ciemna i zimna. Chłopak Hooper zwlekł się z łóżka i natychmiast zaczął się trząść. Wciągnął mundur na piżamę, by uchronić się przed chłodem. Wybiegł z namiotu i potknął się o linę namiotu. Cały namiot zakołysał się, a Amerykanin zaklął:

- O święty Mojżeszu.

- Nie bluźnij - oburzył się Tiny Lush, który siedział na łóżku i drapał się po piersiach.

- Moja wina, przepraszam - mruknął Hooper.

- Nie ma za co. Nie należy tłamsić swoich uczuć. Lepiej wszystko wyrzucić z siebie. To naukowo dowiedzione. - Lush naciągnął sweter i wełnianą czapkę, która zakrywała mu uszy i ruszyli do klubu. Niebo było pełne gwiazd.

O czwartej dwadzieścia do wozu Bartona weszli dwaj dowódcy eskadr.

- Dołożymy Niemcom, zanim Rommel będzie miał czas włożyć sztuczne szczęki - zarechotał dowódca dywizjonu. -

Jeszcze będzie szukał pasa na przepuklinę. - Zatarł ręce, nie z chłodu, ale z nadmiaru energii i emocji.

- Jesteś cholernie ożywiony - zauważył chłodno Patterson.

- I czas by takim być - przytaknął Barton. - Pomyśl o tym robactwie, które śpi pod kocami i czeka, byśmy mu dopieprzyli. - Cmoknął z lubością.

- Wczoraj mówił pan, że najlepiej uderzać w okresie śniadania, sir - przypomniał Dalglish.

- Nie, nie. Rano. Raaano - Przeciągnął słowo powarkując przy tym. - To najtrudniejszy okres dnia. Wszyscy czują się fatalnie. Z gęby śmierdzi nam, jak spod pachy Araba. A tu, zanim się człowiek ostatecznie przebudzi, przylatują piekielni Anglicy i urywają ci pół łba.

- Barton zrobił figlarną minę jak sztubak, który usiłuje wykpić nauczyciela. Uniósł w górę brwi i opuścił kąciki ust. - Przyznaj uczciwie, nie lubiłyś tego.

- Rano. - Dalglish spojrział na zegarek. - No więc uderzajmy.

- Przyłóżcie im nisko. Poniżej pasa - doradzał Barton.

- Nie będę leciał dwieście kilometrów po ciemku nisko nad ziemią - zaprotestował Patterson. - Mam dość takiego latania nad Kanałem La Manche.

- Leć jak chcesz. - Barton wzruszył ramionami i rozdał im listę celów. - Macie dolecieć i wpieprzyć im, to wasze zadanie, a jak wykonacie, wasza sprawa.

Przed wyjściem Patterson przeczytał listę.

- To nie jest w porządku, Fanny - powiedział. - To te same cele, co wczoraj.

- Jesteś zaskoczony? - Barton był wyraźnie zadowolony - Doskonale, to oznacza, że i oni będą zaskoczeni.

Klub zapełniali rozziwani piloci. Pit wziął swój kubek herbaty i usiadł koło Dalgleisha.

- Cholerny hazard - mruknął.
- Masz problem? - wykazał zainteresowanie Pinky.
- Być może. Powiem ci w czasie śniadania.
- Mogę nie wrócić na śniadanie.
- A więc pierwszy poznasz odpowiedź. Nie sądzisz?
- Uspokoileś mnie - parsknął Pit i łyknął herbaty. - O, gównu - zaklął. - W tej herbacie jest piasek.
- Masz szczęście. Zazwyczaj dają piasek, w którym jest herbata.

Na wschodzie ukazała się różowa luna i wystartowała pierwsza para. Gdy wracali był już jasny dzień. Lądowali strzelając silnikami i wznosząc tumany pyłu. Wrócili wszyscy, dwanaście Tomahawków. Tylko Barton i Stewart natrafili na obronę zdecydowanie mocniejszą niż w dniu poprzednim.

Ustawili się w ogonku po bekon i pomidory z puszki. Pinky Dalgleish przypomniał Pattersonowi:

- Chciałeś mi coś powiedzieć, tylko nie pamiętam, o co chodziło.

- A ja nie pamiętam, kto zżarł babkę Czerwonego Kapturka? - Patterson miał genialne samopoczucie. Razem z Kitem Carsonem natrafili na kolumnę ciężarówek, którą efektownie podpalili, wprowadzając w panikę spory oddział piechoty. Pit zgłodniał, a zapach smażonego bekonu powodował, że ślina napłynęła mu do ust.

- Już przypominam sobie - powiedział Pinky. - Coś na temat cholernego hazardu.

- Tak, wszystko jest hazardem - zgodził się Pit. - Po co się martwić?

- Wcale się nie martwię, Pit. Gdybyś przypadkiem nie pokazał się po południu, mogę jutro zafasować twoją porcję bekonu?

- Głupi kawał.

- A kto mówi, że to kawał.

Domysły Bartona co do reakcji przeciwnika okazały się słuszne, co zapewniło dywizjonowi doskonały dzień. Poranny atak Tomahawków wylatujących z dopiero co wylaniającej się tarczy słonecznej, zaskoczył wroga. Jedyne Barton natrafił na ostry opór. Dowódca dywizjonu składając po powrocie raport Kellawayowi, który zastępował oficera wywiadu, powiedział:

- Flak gęsty jak świńskie gówno. Billy miał ochotę wysiąść i pospacerować, ale nie lubi sobie brudzić butów.

Stewart śmiał się i potakiwał. Obstrzał był faktycznie gęsty, ale tym razem wszystko się udało. Billy Stewart ślepo wierzył dowódcy. Gdzie leciał Fanny, Billy pchał się za nim. Ich maszyny nosiły ślady ostrzału. No to co? Tomahawk jest twardą, wytrzymałą maszyną. Nie było wątpliwości co do tego, że dywizjon miał szczęśliwą rękę.

Ponownie wystartowali około południa i polecili w kierunku wyznaczonych im celów. I kolejny raz jeszcze przed zachodem, kiedy wiszące nisko nad horyzontem słońce oślepiło niemieckich artylerzystów.

Ciemność zapadła o szóstej trzydzięci. Na kolację były suchary i gulasz wołowy. Popijano herbatą.

- Jak ci się tu podoba? - grzecznie zapytał Fido Doggart Amerykanina.

- Doskonałe miejsce na prowadzenie wojny - odpowiedział Hooper. - Nic, tylko piaski i muchy. W dodatku muchy lubią nasze towarzystwo.

- To bardzo dziwne - wtrącił się Mick O'Hara. - Znam tu każdą muchę z nazwiska i z pyska i jeszcze nigdy nie widziałem, by któraś z nich usiadła na Rzeźniku. Czy to nie zdumiewające?

- Nawet dla much istnieje pewna granica, której przekraczać nie można - stwierdził Fanny.

- Muchy mają do mnie szacunek. Wyczuwają normandzką krew - wyjaśnił Rzeźnik.

Kit Carson zamierzał właśnie skosztować swój gulasz. Wstrzymał się jednak i wymierzył łyżką w Rzeźnika.

- Chcesz nam powiedzieć, że twoi przodkowie przyszli z Williamem Zwycięzcą?

- Nie celuj we mnie. To może wypalić - obruszył się Rzeźnik.

- Powinniście byli widzieć muchy we Francji w czterdziestym - wtrącił adiutant. - Wielkości wróbli.

- Ten gulasz jest sprzed tygodnia - stwierdził Kit, nie przerywając jedzenia.

- Polskie lotnictwo było niezwykle arystokratyczne - rozpoczął opowieść Katarek. - Dowódcą mojego dywizjonu był prawdziwy polski książę. Dzielny jak lew. Pewnego dnia jeden z pilotów lądując zapomniał wypuścić koła i rozwalił maszynę. Dowódca wziął go za hangar i zastrzelił. Z pistoletu.

- To nie było ładne - zawyrokował Pinky Dalglish.

- Czy postawili go przed sądem wojennym? - interesował się Pit Patterson.

Katarek był zdumiony.

- Jak mogli postawić? Już nie żył. Miał kulę we łbie. Zresztą nie było na to czasu. Nadchodzili Niemcy.

- To też sposób na prowadzenie wojny - zawyrokował Barton.

- Arystokracja nie ma czasu dla chłopstwa - oświadczył Katarek. - Pilot, który zachowuje się jak kmiotek, nie jest wart tego, by być pilotem.

- Zakonotujcie to sobie na przyszłość - powiedział do obecnych Fanny Barton.

- Nie możesz zastrzelić mnie za hangarem, nawet gdybym źle wylądował. Nie mamy hangaru - ucieszył się Fido Doggart.

- Wujaszku, zamów hangar - polecił Barton. - Mały, przenośny hangar.

- Tak naprawdę to potrzebujemy przenośnego gramofonu - stwierdził Kellaway.

Podjechał jakiś samochód, z którego wygramolił się lekarz.

- Cebula - wyjaśnił. Wyglądał na bardzo zmęczonego, a głos miał smutny. - Mam nadzieję, że zostało coś do zjedzenia. - Znalazł wolne miejsce, usiadł i oczami poszukał Fanny Bartona.

- Schofield umarł. Umarł i został pochowany - odezwał się.

- Przykro mi - powiedział Barton, a adiutant kiwnął głową i bąknął coś na temat tego, że i jemu przykro. Wszyscy inni milczeli. Zaskoczyło to Hoopera. W amerykańskim dywizjonie reakcja byłaby całkiem inna. Informacja doktora wzbudziłaby powszechne zainteresowanie. W RAF jednak było całkiem inaczej.

- Przywiozłem nowego oficera wywiadu - mówił dalej doktor, a kucharz postawił przed nim talerz z gulaszem. - Wasz stary kolega. Skull Skelton.

Barton był zdumiony.

- Taki wysoki facet? Zawsze na każdy temat miał swoje zdanie - doktor zjadając gulasz potwierdził skinieniem głowy - a niech mnie... - zaklął dowódca.

- Baggy Bletchley musiał mu to załatwić - domyślał się adiutant.

- Skull był naszym od wywiadu, kiedy dywizjon był we Francji - wyjaśnił Barton. - A potem walczyliśmy jeszcze razem w czasie bitwy o Anglię. W końcu wpadł w kolizję z wicemarszałkiem i przeniesiono go do północnej Szkocji.

- O co poszło? - zainteresował się Kit Carson. Dla niego wszelki spór z wicemarszałkiem był sprawą niepojętą.

- Chodziło im chyba o dodatkowe baki podczepiane do Spitfirerów, tak by mogły latać na dalekie dystanse. Rzecz w tym, że z takim bakiem samolot zachowywał się, jakby miał ciężkie zaparcie. Pamiętasz Pit?

Patterson pokiwał głową.

- Kiedy cię zaskoczył Focke-Wulf 190 nie było czasu, by pieprzyć się z bakiem.

- Tak, wicemarszałek nie miał racji, ale Skull musiał jechać na północ, a wielu dobrych pilotów do nieba.

W kilka minut potem pojawił się Skull. Niósł patefon i kilka płyt. Stał i wciągnął nosem powietrze.

- Pachnie wytwornym przyjęciem - stwierdził - Czyżbym wyczuwał woń camemberta?

- Nie, to nasze nogi - wyprowadził go z błędu Tīny Lush.

Skull postawił patefon i płyty na stole.

- Opowiadali mi, że nie dostarczają wam tutaj „Timesa” - przywitał Bartona. - Powiadają, że to najgorsze miejsce w całej Afryce.

- Takoradi gorsze - odparował Barton. - Każdy, komu się tu nie podoba, może jechać do Takoradi.

- Mówili mi, że nawet muchy nie lubią Takoradi - wtrącił Pit Patterson.

- Co tam przywoziłeś, Skull? - interesował się Kellaway pokazując na płyty. - Założę się, że jakiś pieprzony Beethoven.

- Nie obawiaj się. Płyty z Alem Bowlie, tym brytyjskim odpowiednikiem Binga Crosby'ego.

Zapanowało wyraźne ożywienie.

* * *

Henry Lester wziął Ralpa Malplacketa na spotkanie z zaprzyjaźnionym oficerem prasowym Dowództwa Sił Bliskiego Wschodu.

- Przykro mi, ale nie mam dla was nic nowego - powiedział major.

- Mój naczelny jest przekonany, że zgłupiałem - odrzekł Lester. - Trzyma dla mnie miejsce na czołówce, a ja nie mam ciekawego materiału.

- Na wojnie wydarzenia nie toczą się ustawicznie. Są przerwy, i teraz właśnie mamy taką przerwę.

- Ale gazety ukazują się codziennie.

- No cóż, jeśli chcecie coś, co mrozi krew w żyłach i wyciska łyzy, skierujcie was do któregoś z wojskowych szpitali. A może na któryś z cmentarzy.

Lester wzruszył ramionami i podszedł do okna.

- Oczywiście to wszystko problem skali - mówił Malplacket. - Rozumiemy, że nie można oczekiwać teraz jakiejś generalnej bitwy. - Obracał na palcu kapelusz. -

Jeśli o mnie chodzi, to każda informacja będzie dobra, byle podnosiła na duchu robotników w angielskich fabrykach, szczególnie tych pracujących dla wojska. Nie muszą to być informacje o wielkich zwycięstwach, ale o jakichkolwiek sukcesach. Coś, co raduje serce. - Tak mocno zakręcił kapeluszem, że ten pofrunął. Lester złapał go w locie.

- Słyszałem, że brytyjscy komandosi używają pistoletów maszynowych produkowanych w Chicago. Czy to prawda? Można by na ten temat napisać coś ciekawego.

- Bardzo by to podniosło morale naszego amerykańskiego kuzyna - wtrącił Malplacket.

Major odbył krótką rozmowę telefoniczną.

- Mogę was skierować na manewry czołgów - zaproponował - Ludzie lubią czytać o czołgach, pustyni, i kanonadzie z ostrej amunicji.

- Będą strzelać z pistoletów maszynowych? - zapytał Lester.

- Być może. Razem z czołgami w ćwiczeniach bierze udział piechota. Oni mają różne pistolety. Zależy od waszego szczęścia jakie i ile. - Major musiał być pedantem, bo poprawił to, co leżało na jego biurku, papiery, ołówki, kałamarz.

- Bardzo miłe, że znalazł pan dla nas nieco czasu - Malplacket odebrał swój kapelusz od Lestera. - Gdyby przypadkiem zbliżał się jakiś patrol komandosów, to proszę o nas pamiętać.

Major był bliski tego, by wybuchnąć śmiechem.

- Komandosi nie informują mnie, co zamierzają. Jeśli chcecie się dowiedzieć czegoś interesującego, radzę iść do Klubu „Czarny Kot”.

- Zszedł na psy - stwierdził Lester. - Tam już nikogo nie

można spotkać.

- To nie mam pojęcia, co mógłbym panom poradzić - zmartwił się major.

Wyszli i wsiedli w wielkiego buicka. Lester pożyczył wóz od Shapiro, który w poszukiwaniu czegoś ciekawszego wybrał się do Syrii.

- Czuję się paskudnie, jak nie mam informacji - mówił Lester. - Informacje to znaczy życie i radość.

- Zależy od punktu widzenia - mruknął Malplacket.

- To, co dzieje się teraz prowadzi do depresji. W 1937 byłem w Hiszpanii i ludzie z obu stron wyłazili ze skóry, by dostarczyć jakich informacji. Większość z nich, to były śmiecie, ale w każdym razie starali się. W Chinach, mój Boże, kiedy obiecało im się dziesięć dolarów zorganizowali dla ciebie całą bitwę. Nawet w Berlinie, jeśli się wiedziało, gdzie uderzyć, zawsze się coś znalazło. A tutaj... - machnął zrezygnowany ręką.

- To ciekawe - powiedział Malplacket. - Wczoraj wpadłem na faceta nazwiskiem Craven. Sticky Craven. Nie widziałem go od czasów Eton. Tam był osłem, a tu jest wicemarszałkiem lotnictwa. Major nosi za nim teczkę.

- Czy przekazał ci jakieś tajemnice wojskowe?

- Nie i nie pytałem o nie. Zapomniałem. Rozmawialiśmy głównie o krykicie.

- Mówisz Eton? - zastanawiał się Lester. - Nie sądzisz, że mógłbyś spotkać jeszcze kilku kolegów szkolnych na wysokich stanowiskach? Trzeba by tylko poszukać, rozejrzeć się.

- Co najmniej kilkunastu.

Lester uruchomił silnik. Poczuł przypływ optymizmu.

- Chwalić pana, że stworzył arystokrację. Być może

obejdzie się bez kosztów, a spotkamy kilku facetów z wyższych sfer.

* * *

Około południa Jakowski zatrzymał kolumnę, by dać kucharzom czas na przygotowanie posiłku, a mechanikom na dokonanie przeglądu silników. Obu tych zadań nie dało się jednak wykonać. Rozpalonych silników nie można było dotknąć, a nieznośny żar powodował, że rozpalenie ognia dla podgrzania wody zakrawało na idiotyzm. Kolumna stała w samym środku pustyni i smażyła się w słońcu. Ludzie usiłowali się zdrzemnąć. Leżących oblegały tłumy much rzucających się na każdą kroplę potu ukazującą się na czole, rękach czy nogach wypoczywających.

Wczesnym popołudniem Jakowski doszedł do wniosku, że upał nieco zelżał, co oznaczało, że można ruszać. Zadysonował by wydać ludziom po jednej trzeciej litra wody. I w tym właśnie momencie wykryto przeciek w cysternie. Jeden ze zbiorników był w połowie pusty.

Wiadomość o tym była dla majora szokiem. Poczul nagły ból w piersi i wydawało mu się, że zapomniał, jak się oddycha. Ten atak słabości jeszcze bardziej go przeraził. Nie chciał, by informujący go o nieszczęściu sierżant cokolwiek zauważył, odwrócił się więc i wpatrywał bezmyślnie w przestrzeń pustyni. Jego ojciec przed rokiem zmarł na atak serca. Być może była to jakaś rodzinna skłonność. Zmusił swoje płuca, by wciągały powietrze i poczul, że serce pracuje. Być może za szybko i za mocno, ale pracuje.

Zawołał kapitana Rinkarta i prowadzeni przez sierżanta

poszli obejrzeć awarię. W dolnej części zbiornika była dziura. Niewielki otwór, w którym tkwił kawałek metalu.

- Kula - zawyrokował sierżant. - Wydaje mi się, że rykoszet.

- Teraz nie cieknie - powiedział Jakowski przesuwając ręką po ścianie zbiornika.

- Cieknie w czasie ruchu. Jak jedziemy to kapie.

Jakowski wyprostował się, spojrzął na Rinkarta.

- To sabotaż i konspiracja. - Próbował zażartować, ale nikt się nie uśmiechnął

- Woda jest ciężka - powiedział Rinkart. - Wóz podskoczy na wybojach, ugrzęźnie, zbiornik się odkształci, kula wypadnie i stracimy resztę wody.

- Jak to się stało, że tego nikt nie zauważył? - zastanawiał się dowódca.

- Kurz - lakonicznie wyjaśnił sierżant.

- Naprawić - polecił Jakowski i odszedł. Idąc mówił do kapitana - Jeden nabój wystrzelony przez jakiegoś wszawego Araba. Można się wyrzygać.

- Mamy jeszcze dwie cysterny z wodą, majorze - odpowiedział tamten.

Jakowski wzruszył ramionami i zaczął, by dołączyli do nich pozostali oficerowie, kapitan Lessing i obaj porucznicy. Zakomunikował im, co się wydarzyło i zwrócił się do Lessinga:

- Załóżmy, że wszedłem na minę. Co wtedy by pan zrobił?

- Zależy od tego, jakie rozkazy by pan pozostawił. Jaki byłby cel naszej operacji. Gdybym go znał...

- Tak, rozumiem. Naszym bezpośrednim celem jest wyjście na pustynię, gdzie mamy największy szans

przechwycenia brytyjskich komandosów.

- W takiej sytuacji odesłałbym cysternę na tyły, by ją naprawiono i napełniono.

- Jak długo to potrwa?

- Dzień do półtora.

Jakowski chrząknął. Odpowiedź była prawidłowa, ale nie bardzo przypadła mu do gustu.

- Taak. A w tym czasie oddział czeka, pożywia się i gra w karty.

- Niekoniecznie - sprzeciwił się jeden z poruczników. - Oddział może posuwać się na południe i spotkać się z cysterną w miejscu wyznaczonym na mapie.

- Tak też zrobimy - zdecydował major. - Czy odnaleźliście te lotnicze kompasy? Dobrze. Muszą być w każdym wozie. A teraz ruszamy. Tu po prostu jest nudno.

Major ruszył w kierunku czoła kolumny, a żołnierze wskakiwali do wozów. Zapuszczano silniki. Powstał ruch, co odpowiadało Jakowskiemu. Czuł się o wiele lepiej kiedy coś się działo. Na postojach natychmiast zaczynały się nieszczęścia. Ktoś umierał. Utracono część wody. Trzeba było być w ustawicznym ruchu.

* * *

Paul Schramm wyglądał na człowieka o bezgranicznej cierpliwości, co jedynie połowicznie odpowiadało prawdzie. Spędzał całe dni na studiowaniu raportów wywiadu i nigdy mu nie było dość wszelkiego rodzaju szczegółów. Patrol SAS prowadzony przez Lamparda wcale nie był jedynym operującym na pustyni, a Schramm miał meldunki o każdym. Lampardem jednak interesował się w sposób szczególny. W dwadzieścia cztery

godziny po przybyciu Lamparda i jego ludzi do Kairu Schramm miał już meldunki na ich temat. Wiedział o wizycie Lamparda u pani Waterman i o jego spotkaniu z Elizabeth Challis. Wiedział nawet to, że Lampard najprawdopodobniej nie używał prezerwatywy.

- Interesujące, a nawet ważne - mówił do pułkownika Hoffmanna.

Znajdowali się w biurze szefa oddziału stacjonującego na lotnisku w Barce.

- Nie pojmuję dlaczego - Hoffmann wzruszył ramionami - Mnie interesuje kaliber jego pistoletu, ale nie długość jego kutasa.

- A mnie interesuje jego charakter. A być może brak charakteru.

- Sądzi pan, że on tu się ponownie pojawi?

- Ja wiem, że on się tu pojawi.

- Są przecież i inne lotniska. Mersa, Brega, Antelat, Slonta, Derna, Martuba. Kilkanaście.

- Zechce się zemścić. Pragnie rewanżu. Zrobiłem z niego idiotę. Wróci, bo nie może sobie tego darować. To nie w jego charakterze.

Hoffman podszedł do okna i patrzył na startującą parę Me 109. Myśliwce rozpędziły się, uniosły ogony i jednocześnie wzbily w powietrze ciągnąc za sobą chmurę kurzu. Ryk silników przeszedł szybko w oddalający się pomruk. Hoffman głosem pełnym zawiści powiedział:

- Dałbym roczną pensję za to, by polatać jednym z nich. Raz w miesiącu latam Storchem, ponieważ dostaję dodatek pilota. Raz na rok jakiś pilot Heinkla pozwoli mi potrzymać stery, ale to nie to samo.

Schramm słyszał te żale już kilkakrotnie.

- Mówią, że Me 109 jest zbyt drogi, by powierzać go w ręce takich dziadów jak ja. Trzymają je na kolejną ofensywę.

- Wiem. Już ci o tym mówiłem.

- Tak, rzeczywiście... - Hoffmann odwrócił się od okna.

- Co jeszcze ci donoszą ci twoi szpiedzy?

- Twierdzą, że na Takoradi ruch jak na podmiejskiej autostradzie.

- I zapewne mają rację - zgodził się Hoffmann - ale po co ci te wszystkie informacje i szpiedzy, skoro z ich materiałów nie możesz zrobić użytku.

- To rzeczywiście denerwujące i frustrujące - przyznał Schramm. - O, gdybyśmy mogli podkładać bomby w ich Hurricany, jak oni w nasze Me 109.

- Musiałbyś mieć do tego rzeczywiście długie ręce.

Schramm zatopił się ponownie w meldunkach szpiegowskich. Czytał je po raz drugi, czy trzeci, ale nie znajdował tam już niczego nowego. Potem siedział i patrzył na telefon w nadziei, że ktoś do niego zatelefonuje. I to była właśnie ta druga połówka Schramma. Nie mając nic do roboty, tracił cierpliwość i nudził się. Poirytowany wziął swoje kule i pokuśtykał korytarzem do gabinetu lekarskiego.

- Sądziłem, że chciałbyś opatrzyć rany, jakie wyniosłem z pustyni - powiedział do lekarza.

- Opatrywałem je dziś rano - stwierdził lekarz. - Boli?

- Nie - Schramm odstawił kule i rozejrzał się po gabinecie.

- Już wiem, Paul - powiedział lekarz. - Chcesz bym ponownie postawił diagnozę.

- Nie, nic mi nie jest. Wszystko w porządku.

- Ale ze mną nie. Mam już dość tej twojej udęczonej twarzy. Kiedyś ciebie zbadam i będziesz zaskoczony tym, czego się doszukam. A na razie wynoś się.

* * *

Lester starał się jak tylko mógł.

„Chicago News” otrzymał kilka z werwą napisanych materiałów o nalotach amerykańskich bombowców na cele leżące głęboko w Libii. Reportaże pełne były fascynujących szczegółów, chociażby takich jak opis ataków niemieckich myśliwców. Lester harował ciężko, ale informacje o pierwszym nalocie na Tokio zepchnęły jego materiał na piątą kolumnę.

Utrzymywał kontakty ze swoimi źródłami i spędzał wiele czasu w towarzystwie

Ralphu Malplacketa, częściowo dlatego, że go rzeczywiście polubił, a częściowo, gdyż uważał to za korzystne. Syn prawdziwego angielskiego lorda, doradcy Churchilla. Taki człowiek ma wszędzie otwarte drzwi.

Zazwyczaj spotykali się w „Groppe's”, najczystszej, najchłodniejszej herbaciarni w Kairze, a być może na całym Bliskim Wschodzie. Było to miejsce, gdzie umawiali się najchętniej na lodach i cocktailach powracający z pustyni oficerowie. Czasami Malplacket rozpoznawał wśród nich przyjaciół lub synów przyjaciół, i rozpoczynała się rozmowa. Nigdy nie przynosiła rezultatów, jakich oczekiwali. Lester polował na opisy, życia na pustyni, a oni mówili o wyścigach konnych i łowieniu pstrągów w Szkocji. Gdy już się wygadali Lester prosił:

- Opowiedzcie o wojnie. Musieliście przeżywać wiele emocji?

Tamci patrzyli i nie rozumieli o czym mowa.

- Jakich emocji? - zdumiewał się jeden z nich, a inny dodawał:

- Ta wojna nie jest emocjonująca. Jest nudna i brudna.

- Tak, pustynia jest pusta i nie ma tam nic podniecającego - włączał się pierwszy.

- *Sod-all* - mówił drugi. - To takie arabskie powiedzonko, które oznacza, że mój wielbłąd pierdnął.

- Pierdnięcie wielbłąda, to wydarzenie na pustyni, o którym mówi się przez cały dzień, bo nie ma o czym innym rozmawiać - przejął głos pierwszy oficer.

- *Bugger-all* - kontynuował drugi oficer. - To zwrot arabski, który oznacza dwóch zabitych Włochów i pół miliona much.

Lester i Malplacket jadali lunch w „Union International Hotel” - gdzie spotykało się oficerów wyższej rangi. Dziś zamówili zimną zupę ogórkową, krewetki z sałatą i butelkę Bordeaux. Potem deser.

- Powiedz - zapytał Malplacket - czy zawsze byłeś korespondentem wojennym?

- Oczywiście. Relacjonowałem mecze baseballa, piłki nożnej i hokeja. To wszystko wojna. Relacjonowałem konwencje republikanów i demokratów. A to zawsze wojna na śmierć i na życie. Obecna wojna, to kaszka z mleczkiem.

- No, może niezupełnie - zaproponował Malplacket. - Umówiłem kilka obiecujących spotkań.

Jechali przez Kair wielkim buickiem kabrioletem do pewnego wiktoriańskiego domu na przedmieściach. Przed wjazdem do ogrodu stała warta i sprawdzała papiery.

- Pułkownik czeka na mnie - powiedział Malplacket.

Żołnierz zaprowadził ich do gabinetu pułkownika. Biurko zarzucone było mapami i fotografiami. Gospodarz był wysoki, rozlany i miał taki uścisk ręki, że Lesterowi łzy stanęły w oczach.

- Miło pana spotkać - powiedział. - Jestem specjalnym przedstawicielem gubernatora Arizony, który jest z kolei prawą ręką prezydenta Roosevelta.

- Cieszę się - odpowiedział pułkownik.

- Philip i ja jesteśmy kuzynami - wyjaśniał Malplacket Lesterowi. - On kieruje komandosami i zapewne może nas wysłać na któryś z patroli na pustynię.

- Dalekimi kuzynami - poprawił pułkownik mówiący z wyraźnym szkockim akcentem. - Wcale nie dowodzę komandosami, a nawet gdybym dowodził, to i tak nie wysłałbym was na patrol po pustyni, bo to mógłby być bardzo łatwo cios wymierzony w stan Arizona.

- Oczywiście - zgodził się Lester i lekko zmienił temat rozmowy. Zachwycali się południowymi kobietami, omówili szczegóły gry w krykieta i niezmienny kairski upał.

- Czy nie mógłbyś jednak ujawnić okrucich informacji na temat wspaniałych sukcesów waszych komandosów? - zagadnął ponownie Malplacket.

- Jakich wspaniałych sukcesów? - zapytał pułkownik.

- Gdybym wiedział, nie musiałbym pytać - odparł. - Nie bądź nudziarzem. Jest za gorąco.

Pułkownik podniósł oczy i przez chwilę patrzył na powoli kręcący się wiatrak, wreszcie powiedział:

- Mieliliśmy kaprała, który uratował Araba przed utonięciem w Kanale. - Poszukał na biurku okularów, włożył je na nos i patrząc sponad nich na Malplacketa

powiedział: - Ale to był mały Arab, a więc nie wiem, czy was ta informacja zadowoli.

Gdy byli już z powrotem w buicku, Lester stwierdził:

- On by nam nie powiedział nawet, które godzina.

- Philip był zawsze samolubnym chłopcem. Nigdy nie dzielił się zabawkami. Czy ty rzeczywiście znasz gubernatora Arizony?

- Nigdy w życiu go nie widziałem i nie spotkałem takich, co go widywali. - Masował sobie dłoń. - Faceci, którzy usiłują mi zmiażdżyć rękę doprowadzają mnie do szału. - Zatrąbił klaksonem na grupę osłów blokujących przejazd.

Z kolei zatrzymali się przed blokami wojskowymi przy ulicy Ramzesa na Nowym Mieście.

- Jestem senatorem Mackenzie z Illinois - powiadomił Lester wartownika przy wejściu. - Mamy umówione spotkanie z... Z kim się tu spotykamy, Ralph?

- Z admirałem Blackettem.

- Racja, z Blackettem. - Lester dał wartownikowi kluczyki od wozu. - Uważajcie, by go ktoś nie porysował.

Gdy weszli do budynku Malplacket powiedział cicho:

- Bardzo proszę byś przestał z tymi wygłupami na swój temat. To całkowicie zbędne.

- Wystraszyłeś się?

- Nie.

- To uśmiechnij się i oddychaj głęboko.

- Wiesz co, ja tu poczekam, a pan, panie senatorze, zrobi z nim wywiad.

- Oh nie, nie! Admirał czeka na nas - zaprotestował Lester, popychając kolegę w kierunku windy. - Nie możesz zrezygnować z herbaty. Royal Navy jest słynna z

doskonałej herbaty.

Nikt im jednak herbaty nie oferował, a cywilna sekretarka musiała wyciągać admirała z jakiejś konferencji. Był to wysoki facet, o pulchnej, wesołej twarzy. Wcale się nie przejął wizytą senatora i powiadomił, że ma dla nich jedynie trzy minuty.

- I my nie mamy wiele czasu - stwierdził Malplacket. - A przy okazji, jak się miewa mój chrześniak?

- James? Doskonale. Już minęło dwadzieścia sekund. Ralph, do rzeczy, czego chcesz, u diabła?

- Blanchtower uważa, że nie oddajemy należnej czci bohaterskim czynom naszej Navy - wyjaśnił Malplacket.

Blackett miał minę człowieka zdumionego.

- Niby jakie bohaterskie czyny masz na myśli?

- Weźmy na przykład, waszą Sekcję Małych Stateczków. Wszystko, co robią osłania mgłą tajemnicy.

- Nigdy o tym nie słyszałem.

Malplacket był zaskoczony.

- Wiem, że używają małych okręcików by przedostać się na tył linii wroga...

- Okrętów czy statków?

- A to jest jakaś różnica?

- Dla marynarki ogromna. Okręt to nie statek. Okręt to wielka jednostka napędzana silnikami i przystosowana do operacji na otwartych morzach. Statek nie jest okrętem. Statek to mała jednostka nie przystosowana do operacji na otwartym morzu. - Blackett był wyraźnie rozbawiony własnym wykładem. - Być może zapamiętanie różnicy ułatwi wam informacja, że okręt może unieść statek, ale statek nie uniesie okrętu. To właśnie różnica pomiędzy statkiem a okrętem, choć nie jestem pewien, czy właśnie w

tej sprawie przyszlście do mnie.

- Nie, nie w tej.

Blackett jednak nie zakończył wykładu, gdyż zwrócił się teraz do Amerykanina:

- Zapewne tak samo jest w marynarce USA?

- Dokładnie tak samo. Słowo w słowo, okręt w okręt - przyznał Lester.

- No a teraz wracając do celu naszej wizyty - zaczął Malplacket. - Co właściwie macie, Sekcję Małych Statków, czy Okrętów?

- Ani jednej, ani drugiej. W każdym razie nie w Royal Navy. No i właśnie minęły trzy minuty. Żegnam panów.

Uścisnęli sobie ręce a sekretarka odprowadziła ich do schodów. Lester odebrał kluczyki od wartownika i gdy podchodzili do samochodu, powiedział:

- Sam widzisz, co się dzieje. Im złe rozum poodbierało.

- Kłamał - stwierdził obcesowo Malplacket. - Zawsze uważałem mojego chrześniaka za brutalnego bęcwała. Odziedziczył to po rodzicach. Gdy studiował w Oxfordzie, pisywał wiersze i kulał, by się upodobnić do Byrona.

- Ponieważ i tak do niczego nie możemy dojść, to może byś wreszcie łaskawie ruszył

Malplacket ruszył, ale pieklił się dalej:

- A to nicpoń. Zadepeszuję do Blanchtowera, by załatwił temu draniowi mało interesujące zajęcie.

Denerwując się nie zauważył znaku „stop” i przewrócił jakiś wózek, który wpadł na stoisko sprzedawcy owoców.

- Genialnie, właśnie spowodowałeś wypadek - ucieszył się Lester.

- To całe miasto to jeden wielki wypadek. Teraz będzie jedynie nieco bardziej interesujące.

Jechali obok Ogrodów Ezbekiy'a i Lester zapytał:

- Czy to cynie? Moja żona od dawna usiłuje hodować cynie.

- To chryzantemy.

- A gówno - warknął zawiedziony Lester. - Znam chryzantemy. Pisywałem o nich. Chicago jest pełne chryzantem. Mogę ci zaraz w kapelusz wrzucić cały artykuł o chryzantemach.

Malplacket zdjął kapelusz i wyciągając w kierunku Amerykanina powiedział:

- Proszę, wrzucaj.

Lester odsunął kapelusz kolegi.

- Pisuję jedynie za pieniądze.

Jechali mostem Kasr Al- Nil na Wyspę Zamalek i skręcili na północ wjeżdżając w ekskluzywną dzielnicę miasta, miasta. Niewielkie budynki kryły się w tropikalnych pnączach i eukaliptusach. Balkony tonęły w różnobarwnych kwiatach.

- James ci się spodoba - powiedział Malplacket. - Jest w RAFie kapitanem wywiadu. Niezbyt mądry. W szkole pomagałem mu w grece.

Lester rozparł się wygodnie na siedzeniu, kapelusz naciągnął na oczy i mruknął:

- Idź sam. Ja poczekam i nieco wypocznę.

Gdy Malplacket podchodził do drzwi wejściowych, te otworzyły się i na jego spotkanie wyszedł mężczyzna w mundurze kapitana.

- O, jak mile, że na mnie czekasz. Zawsze byłeś człowiekiem pełnym kurtuazji.

Kapitan nie wyciągnął ręki na powitanie. Był wysokim mężczyzną, którego sylwetka w pełni zasłaniała otwór

drzwi.

- Philip właśnie dzwonił - przywitał go oschle. - Twierdzi, że węszyć za wojskowymi tajemnicami. Ty i jakiś ponury jankes.

- Siedzi w wozie i rozszyfrowuje depeşe, jakie właśnie otrzymał z Waszyngtonu. Faktem jest, James, że Blanchtower chce, bym coś napisał o Special Air Service, a więc przyszedłem prosto do ciebie.

- Nie wiem dlaczego. Nie mam nic wspólnego z RAF.

Malplacket usiłował się uśmiechnąć.

- Jeśli coś się nazywa Special Air Service, to oczywiście musi to mieć coś wspólnego z RAF.

- Nie, nie z nami. Żegnaj. - Kapitan cofnął się i zatrzasnął drzwi za sobą.

- A więc ponownie niewypał - powiedział Lester, gdy Malplacket wsiadał do samochodu.

- To bardzo delikatna sprawa i tajna. - Malplacket wycofywał samochód z parkingu. - Powiedział, że zrobi wszystko, co będzie tylko w jego mocy.

- A więc nie ruszy palcem.

Jechali na południe przemierzając ponownie most. Malplacket był zmiażdżony. Tłok na jezdni prawie uniemożliwiał jazdę. Podążali za jakimś tramwajem stając, kiedy tamten zatrzymywał się na przystankach.

- Żona mnie dziś opuściła - odezwał się nieoczekiwanie Lester.

- Co znaczy opuściła? Na zawsze?

- Na to wygląda. Popłynęła statkiem do Afryki Południowej. A może to był okręt. Nie wiem. Chyba okręt.

- Bardzo mi przykro - mruknął Malplacket.

- Długo byliśmy razem, a więc i ja jestem nieco

zdziwiony.

- To zawsze szok.
- To doskonały dzień, by się upić - oświadczył Lester.
- I mnie się tak wydaje.
- Co myślisz, gdybyśmy zaczęli u Shepharda, a potem „Cecil Hotel”, potem „Metropolitan”, potem „Excelsior” i „Pastroudi”.
- A co powiesz na „Black Cat Bar”? - zasugerował Malplacket.
- Genialnie.
- Rzeczywiście, dobre miejsca by zaczynać.
- Znakomite. Tam nawet karaluchy chadzają parami.

* * *

Trzeciego dnia nalotów Fanny Barton wprowadził pewne zmiany. Poranny nalot cały dywizjon miał odbyć jako jedna nowa jednostka. W nocy pomalowano dolną część wszystkich samolotów czerwoną farbą. Zniknęły rekinie zęby wymalowane poprzednio na przodzie.

- Doskonałe, co? - Barton czekał na słowa uznania.
 - Przypomina Me 109 z żółtymi nosami, jakie spotykaliśmy we Francji. - Przypomniał sobie Patterson. - Bardzo dokuczliwe.
 - Ale utkwily ci w pamięci, Prawda Pit? I o to właśnie chodzi. Niech ci z Afriki Korps pomyślą, że to całkiem nowy dywizjon czerwonych Tomahawków. Będą się mieli czym martwić.
 - Brakuje mi tych zębów.
 - Będziesz je miał z powrotem, jak tylko wrócimy.
- Zaczynało się robić szaro. Barton jednak czekał, aż skrawek słońca pokaże się zza horyzontu. Wtedy wsiedli

do maszyn. Ponieważ nie było wystarczająco wiele miejsca, by dwanaście samolotów startowało w jednej linii, eskadra Pita Pattersona ustawiła się w drugim szeregu. Pit jeszcze nigdy nie startował w takich warunkach. Było ciasno, a wiadomo, że pierwszy rząd startujących maszyn wzniesie tumany pyłu. Tomahawk Pita miał środkowe miejsce, i Patterson zastanawiał się, jak uda mu się wystartować w sytuacji, w której nie będzie widział nawet końców własnych skrzydeł? Po lewej stał Fido Doggart. A co będzie, jeśli ten zdryfuje w prawo? Obie maszyny były natankowane i wypełnione amunicją, a taki karambol mógł się skończyć jedynie nieszczęściem. Nawet zębów nie znajdą, by ich pogrzebać.

- Trochę to przerażające, nie sądzisz? - zapytał Fido. - Jak mamy coś zobaczyć, kiedy niczego nie będzie widać? - Czuł ucisk w dołku i zaczął się pocić.

- Ja startuję na kompas.

I wystartowali. Całkiem tak, jak startuje się w nocy. Chmura pyłu otoczyła Pita. Patrzył na kompas i korygował drążkiem najmniejsze odchylenia. Wreszcie ogon uniósł się do góry i przestało rzucać. I nagle tuman kurzu zniknął i znaleźli się w czystym powietrzu. Jego eskadra leciała dokładnie w wyznaczonym szyku. Zobaczył, że Fido pomachał do niego radośnie. Odpowiedział tym samym gestem. Pomyślał, że ich Tomahawki pomalowane na czerwono wyglądają jak papugi. Wcale nie jak maszyny wojenne.

Barton prowadził całą formację. Eskadra Pita lecąca z tyłu zwiększyła nieco odległość, by uniknąć zawirowań powietrza powodowanych przez maszyny lecące przed nimi.

Barton lubił loty na wysokości trzydziestu metrów, co wymagało bardzo precyzyjnego pilotażu. Przez pół godziny prowadził ich na południowy zachód, po czym skręcił na północny zachód. Byli już głęboko nad terytorium nieprzyjaciela i wszystkie głowy obracały się na lewo i na prawo w poszukiwaniu jakichś małych punkcików, które w mgnieniu oka mogłyby się przemienić w atakujące Me 109.

Dywizjon skręcił na północ, a potem na północny wschód. Hooper czuł ból w karku, ale nadal omiatał wzrokiem niebo, które było całkiem puste. Już zaczynał marzyć, by móc na czymś oprzeć wzrok, na jednej chmurze, lub ptaku, na czymkolwiek.

W eterze panowało całkowite milczenie, a pustynia pod nimi uciekała do tyłu.

Barton dał skrzydłami znak. Patterson nieco zwolnił i jego eskadra pozostała jeszcze bardziej w tyle. Byli na minutę przed celem. Maszyny pierwszej eskadry stały się dla nich wąskimi kreseczkami na niebie. Patterson przyspieszył. W kabinie panował chłód, ale on czuł że pot spływa mu po plecach. Maszyna skoczyła do przodu. Zszedł na piętnaście metrów. Daleko przed sobą zobaczył iskierki wybuchów.

Celem był wielki obóz pod namiotami. Jego obrona przeciwlotnicza została ostatnio wzmocniona kilkoma dodatkowymi działkami i ciężkimi karabinami maszynowymi. Tomahawki leciały jednak tak nisko, że artylerzyści obawiali się strzelać, by swoim własnym towarzyszom nie pourywać głów. Pierwsza eskadra przemknęła nad obozem siejąc chaos i śmierć. Artyleria otworzyła ogień za odlatującymi i została zaskoczona przez

eskadrę Pattersona. Żołnierze nurkowali do rowów i za ochrony z worków wypełnionych piaskiem. Zanim się pozbierali i dopadli dział, Tomahawki drugiej eskadry były już daleko, a warkot ich silników zaczął zamierać. Cały atak nie trwał dłużej niż dwanaście sekund.

Obie eskadry połączyły się i Barton wyprowadził je na pułap tysiąca pięciuset metrów. Teraz mógł już złamać ciszę radiową.

- Tu dowódca Hamlet do zgrupowania Hamlet... doskonały pokaz... doskonały, zgrupowanie Hamlet. - po chwili dodał: - Wypieprzyliśmy Afrika Korps, no nie? Zepsuliśmy im nieco śniadanko, a teraz wracamy na nasze, dobrze zarobione.

Skull czekał już na nich z piórem w jednej i blokiem w drugiej ręce. Wiedział, że strzelali, gdyż pokrywy z wylotów zostały odstrzelone.

Barton wylądował jako pierwszy.

- No, jak poszło? - zapytał Skull.

- Genialnie. Nie oczekiwali, że pojawimy się od zachodu i przygotowani byli na obronę z przeciwnej strony. Przetrzepaliśmy ich zdrowo.

- Piechota?

- Kiedyś była piechota. Teraz połowa, to trupasy - Barton promieniał od dumy i zadowolenia.

Nadszedł Pinky Dalgleish zdejmując hełm lotniczy.

- Co to za historia z tym Hamletem, szefie? - zapytał.

- Sygnał wywoławczy nowego dywizjonu - wyjaśnił Barton. - Pasuje do czerwonych nosów naszych maszyn. Wywiad Luftwaffe ma nowy orzech do zgryzienia.

- Dlaczego Hamlet? Powinno być Falstaff - zaprotestował Skull. - Na Boga, Hamlet nie był

alkoholikiem. Facet z czerwonym nosem to Falstaff.

- Aha... - Barton wzruszył ramionami. - Tak mówisz? Jedyne, jakiego z Szekspira zapamiętałem, to Hamlet. Z Szekspira, prawda?

- Wszystko jedno, Fanny - Dalgleish machnął ręką. - Przypuszczam, że Hamlet popijał piwo, jak wszyscy.

- Nic w tekście na to nie wskazuje - mruknął Skull. - Nic jednak też nie wskazuje, by miało być przeciwnie. - I zabrał się do przepytywania pilotów. W godzinę potem z notatkami w ręce poszedł do dowódcy dywizjonu i powiedział: - Nie przypuszczam, by ci się to podobało, ale z raportów, jakie zebrałem wynika, że wasz nalot nie wyrządził takich strat, jak przypuszczałeś.

- Bzdety gadasz. To był nalot prima sort. Zmaglowaliśmy ich. Kto powiedział, że było inaczej? Chcę znać nazwisko tego skurwysyna.

- To nie sprawa tego, co ludzie mówili. Ważniejsze, czego nie mówili. Nikt nie przypomina sobie taboru samochodowego. Piloci zauważyli tylko kilka samochodów. Przy tak wielkim obozie powinno być co najmniej ze sto ciężarówek. Nikt nie zauważył masztu radiostacji. Wielka jednostka piechoty musiałaby mieć swój wydział łączności. Nikt nie widział dymu z kuchni.

- Wszyscy patrzyli na dym wybuchów, a tego nie brakowało.

Skull zdjął okulary i przeczyścił szkła, choć oczywiste było, że za pięć minut będą ponownie tak samo zakurzone. Barton zastanawiał się w tym czasie dlaczego każdy oficer wywiadu ma słaby wzrok. Może Ministerstwo Lotnictwa wydało w tej sprawie jakąś instrukcję? Skull nałożył okulary i stwierdził, że Barton jest naburmuszony.

Zaobserwował, że każdy dowódca dywizjonu jest tak bardzo uczulony na tego rodzaju informacje. Zapewne to wynikało z przerostu ambicji.

- W każdym razie wydaje się, że większość namiotów była pusta.

- Pieprzenie - burknął Barton. - Skąd możesz wiedzieć? Zaglądałeś do środka?

Skull policzył w duchu do pięciu i odpowiedział pytaniem na pytanie:

- A ty zaglądałeś?

- Widziałem kilkaset ciał.

- Połowa, to byli bez wątpienia żywi, którzy po prostu rzucili się na wasz widok na ziemię. To całkiem naturalne.

- Połowa? - W głosie Bartona wyczuwało się wyraźnie zniecierpliwienie. - Jesteś niesłychanie precyzyjny, zważywszy szczególnie, że w tym czasie jeszcze spokojnie wygrzewałeś się w łóżku.

- Mówię połowa, bo was lubię, ale bliższą prawdy byłaby jedna czwarta zabitych. Fanny, ja w tym pracuję od lat i doskonale wiem, że wszyscy piloci przesadzają. Są podekscytowani. I któż by nie był. To zrozumiałe i nieuniknione. Wy mnożycie, a ja dzielę i tak w końcu dochodzimy gdzieś w okolice prawdy.

- Nic mnie nie obchodzi, jaka jest ta twoja prawda. - Barton jakby się opanował. - Nie chodzi nam o twoje raporty, ale o to by wyciągnąć z hangarów kilka Me 109, które moglibyśmy zestrzelić. Nic innego się nie liczy. - Wyjął Skullowi z rąk jego notatki i przedarł je na pół.

- Jeśli się nie liczą, to dlaczego je zniszczyłeś? - zapytał Skull.

Nie czekał na odpowiedź. W kilka minut później po

obozie rozeszły się tony orkiestry Roya Foxa i słowa refrenu śpiewanego przez Ala Bowliego:

*Ty się niczym nie przejmujesz
a ja jestem zagubiony na piaskach pustyni
w dzikim pustkowiu
gdzie tylko ty możesz mi pomóc.*

Barton przez chwilę słuchał płyty nastawionej przez Skulla i mruknął pod nosem: „Sarkastyczny bęcwał”.

* * *

Stopy Paula Schramma zaczynały się goić. Mógł już prowadzić samochód, szczególnie jeśli nie naciskał zbyt gwałtownie na pedały. Pojechał więc do Benghazi do szpitala na wizytę, którą zamówił mu miejscowy lekarz. Schramm wcale nie miał ochoty na tę wizytę, ale chciał w oficerskim kasynie pójść do fryzjera i liczył na świeżą prasę.

Ordynans zaprowadził go do gabinetu doktora Grandinetti, który okazał się być kobietą. No cóż, niech i tak będzie. Wyglądała na czterdzieści lat. Twarz miała owalną, szczupłą i bez makijażu. Czarne, kręcone włosy były krótko przycięte, oczy nieco błyszczące i przenikliwe, jedna brew jakby w zdziwieniu uniesiona nieco wyżej niż druga. Nie spodobała mu się i postanowił wizytę skrócić do minimum.

- To jedynie kilka zadrapań na pustyni - powiedział.

- Max mówił mi całkiem coś innego. On był pańskim stanem poważnie zmartwiony.

- Max, to stara baba. - Zrobił niezbyt przyzwoity ruch.

Patrzyła na niego wystarczająco długo, by się poczuł

speszony, więc mruknął:

- Przepraszam.

- Jak pan sypia?

Zastanowił się.

- Jeśli mi Brytyjczycy pozwalają na to, to całkiem, całkiem. - A ponieważ nie spuszczała z niego wzroku, dodał: - Nie potrzebuję zbyt wiele snu.

- Ma pan szczęście - Przechyliła nieco głowę, a Schramm odniósł wrażenie, że jest zdziwiona. Cholerna baba.

- No i to by było na tyle. Wychodzę. Dziękuję za poświęcony mi czas.

- A co by pan powiedział majorze, gdybym pana poprosiła o zdjęcie ubrania?

- Poprosiłbym panią o to samo - odparł. Poczul, jak krew uderza mu do głowy i pomyślał, że chyba zwariował. „Prowokuje mnie, a ja jej pomagam”.

- Wydaje mi się, że to jednak wymaga pewnego zastanowienia. - Otworzyła butelkę wody mineralnej i napełniła dwie szklanki. - Przyszedł pan do lekarza. W czasie ostatnich trzech lat widziałam dziesięć razy więcej nagich mężczyzn, niż pan kobiet. Każdego dnia przed śniadaniem widzę kilkudziesięciu. Oczywiście, nie wszyscy żyją. - Wzięła jedną szklankę, a drugą podsunęła w jego stronę. - O co się więc denerwować?

- Wcale się nie denerwuję, na Boga! Po prostu... - wzruszył ramionami. - To strata czasu, pani i mojego.

- Moim czasem niech się pan nie przejmuje - powiedziała ostro. - A mówiąc prawdę to niewiele pana obchodzi. Nieprawda?

Czuł, że złapała go w pułapkę. Jeśli jej przyzna rację,

będzie punkt dla niej, jeśli zaprzeczy, dwa punkty. Przeklęty babsztyl.

- Racja - mruknął. - Pani niezbyt ładnie pachnie.

Uwaga była tak infantylna, że sam był nią zdumiony. Czuł jednak jednocześnie jakieś zadowolenie.

- Proszę się nie obrażać - dodał. - Mam wrażenie, że cały przeklęty świat śmierdzi.

- No więc trudno się dziwić, że jest pan w depresji - stwierdziła.

- A kto powiedział, że jestem. - Poczul się nagle ogromnie zmęczony. Pochylił się i bezmyślnie zapatrzył na blat jej biurka. Poczul ciężar powiek i zaczął mrugać, by nie zamknąć oczu. Boże, trzeba już iść do tego fryzjera... Wstrętny babsztyl. Cóż z nią jest?

- Być może miałem niewielki udar słoneczny - wykrztusił wreszcie. - Nic poważnego. - Podniósł oczy i patrzył na nią. Dlaczego jest taka zimna i spokojna? Dlaczego nic nie mówi? Czemu nie powie, co mu dolega?

- Udar słoneczny? Był pan lekkomyślny.

- Złapali mnie Brytyjczycy. Więcej nic nie mogę powiedzieć, a i tego nie powinienem być mówić.

- Ale pan uciekł. - Prawą rękę zwinęła w pięść i podparła nią brodę. - To żadna tajemnica. Mogłam się tego domyśleć.

- Uciekłem. - Schramm wolał o tym w tej chwili nie myśleć. - Uciekłem i nie ma o czym gadać. Dobrze się skończyło. - Wstał i zaczął zdejmować bluzę. Czuł, że twarz ma spoconą. Otarł ją rękami, a ręce wytarł o spodnie.

- Ale cały świat śmierdzi - powiedziała bez wyrazu.

- I pani też to zauważyła? To znakomicie. - Przerzucił sobie bluzę przez ramię. - Pani wcale nie ma zamiaru

ogłądać moich zadrapań, a ja nie mam zamiaru ogłądać pani.

- Proszę przyjść jutro o tej samej porze - pożegnała go.

* * *

David Stirling utworzył Special Air Service w 1941 r. W tamtym czasie pustynię uznawano za przeszkodę nie do przebycia. Stirling jednak widział w pustyni okazję, wyjątkową, niezwykłą okazję. Wojnę toczono na wąziutkim pasemku

wzdłuż wybrzeża, gdzie wiła się szosa i ciągnęła linia kolejowa. Dlatego też front był długi na tysiące kilometrów, ale szeroki na osiemdziesiąt. O pustyni nikt nie myślał.

Na długo przed wydarzeniami wiosny 1942 roku Stirling dostrzegł, że linie zaopatrzenia wroga można atakować od strony pustyni. By tego dokonać należało wziąć pod uwagę dwie przeszkody: Saharę i przyzwyczajenia dowództwa brytyjskiej armii. Z tych obu, ta druga okazywała się zwykle o wiele trudniejsza do pokonania.

Brak wyobraźni Stirlinga przejawiał się w tym, że proponował operację wysoce niekonwencjonalną, a siebie na jej wykonawcę. A był w tym czasie jedynie porucznikiem. Sztab Sił Bliskiego Wschodu w Kairze składał się z tradycjonalistów. Uważano, że oficerowie zostali wyszkoleni do prowadzenia wojny konwencjonalnej. Walka sprowadzała się do bitew i prowokacji wroga. Nie znoszono młodych oficerów, bez żadnego doświadczenia, którzy wyskakiwali z pomysłami rozbijającymi uświęcone kanony wojny. Oczywiście, że kowbojskie wyprawy za linię frontu mogły być wyczynem

spektakularnym, ale nie wiodły do zwycięstwa. Gdyby zezwolono na jedną taką operację, natychmiast znalazłoby się mnóstwo chętnych na podobne wyczyny. Pewien generał powiedział: „To ten sukinsyn Lawrence winien wszystkiemu. On zaczął te dziwactwa nie mieszczące się w regulaminie. Kim jest ten Stirling?”

Stirling jednak wygrał. Dostał się prawie na szczyt hierarchii wojskowej. Pomimo tego, że poruszał się na szczudłach, ponieważ uległ wypadkowi przy skoku ze spadochronem i miał czasowo sparaliżowane nogi, zmylił czujność żandarmów, dopchał się do generała Ritchie, zastępcy głównego dowódcy generała Auchinlecka. Przedstawił mu swoją propozycję, którą generał uznał za interesującą. W efekcie otrzymał zezwolenie na sformowanie oddziałku składającego się z sześćdziesięciu ludzi i nadał mu nazwę Special Air Service Brigade.

Pierwszej operacji brygada SAS dokonała w nocy skacząc ze spadochronami, a operacja zakończyła się totalnym nieszczęściem. Samoloty wpadły w ostry wiatr i deszcz, a spadochroniarze skakali w czasie burzy piaskowej. Niektórzy się zabili, inni poranili, a kilku zaginęło. Spośród sześćdziesięciu zrzuconych, przeżyło dwudziestu dwóch. Przeciwnik nie poniósł najmniejszych strat. Tych co przeżyli, odnalazły i przywoziły Patrole Pustynne Dalekiego Działania, zwane w skrócie PPDD.

A więc spadochron okazał się mało przydatny w operacjach SAS. Stirling zrozumiał jednak, że jeśli PPDD mogły ich przywieść do domu, mogły ich również zawieźć na określone miejsce.

Zadaniem PPDD było wysyłanie patroli głęboko poza

linie wroga i zbieranie informacji. Patrole mogły przemierzyć swoimi wozami 800 kilometrów pustyni i pojawić się dokładnie w miejscu wyznaczonym na mapie.

W grudniu 1941 roku PPDD podwiozło trzy małe oddziały SAS w rejon Benghazi, gdzie znajdowało się kilka niemieckich lotnisk. Na niektórych lotniskach nie było samolotów, inne jednak były wypełnione. Komandosi zniszczyli dwadzieścia cztery maszyny w Tamit i trzydzieści siedem w Agedabii. Następnej nocy Stirling powrócił do Tamit, gdzie zdążono uzupełnić straty i zniszczył nowe maszyny. Oddziały uszły w pustynię, spotkały się w umówionym miejscu z PPDD i powróciły do Kairu.

Stirling znalazł sposób na sukces: małe patrole składające się z doskonale przygotowanych ludzi, całkowicie samowystarczalne, przygotowane do pojawiania się znikąd, siania zniszczenia i natychmiastowego znikania. SAS podejmowało operację za operacją i zaczęło się gwałtownie rozrastać. Wyszkolono własnych nawigatorów i uniezależniono się od PPDD. SAS stało się czymś więcej niż kolcem w ciele Afrika Korps, stało się dziesiątkiem kolców. Oczywiście nie tylko i nie zawsze upuszczano krew przeciwnikowi. Niektóre patrole ponosiły dotkliwe straty, ale to była cena, jaką się płaci za zuchwalstwo. Wypadek Lamparda na Barce był tego doskonałym przykładem. Stracono dwóch ludzi, a zniszczono dywizjon samolotów wroga. Tym razem wynik był dla atakujących ogromnie korzystny.

* * *

Lampard znalazł nowego oficera łączności nazwiskiem

Sandiman i nowego sierżanta nazwiskiem Peck. Zajęli oni miejsce Watermana i Harrisa. Nigdy nie brakowało ochotników do służby w SAS, a obaj nowi mieli już znaczne

doświadczenie w walkach na pustyni. Lampard jednak chciał się upewnić, czy obaj mają dość sił fizycznych i psychicznych by sprostać wyzwaniom, jakie stawiały zadania wykonywane w czasie patroli.

Lampard zebrał więc oddział i rozpoczął trening. Zaczął od marszów po pustyni wykonywanych z pełnym obciążeniem. Pokonywano odległość dwudziestu kilometrów, odbywano ćwiczenia w ostrym strzelaniu, po czym marsz przez kolejnych dziesięć kilometrów. Z kolei pozorowany atak na lotnisko przeciwnika, znowu dziesięć kilometrów marszu i powrót samochodami do bazy, gdzie oczekiwał na nich prysznic, kolacja i łóżka. W następnych dniach Lampard zwiększał dystans marszu i zmniejszał racje wody. Peck i Sandiman dotrzymywali kroku innym.

- No, co o nich sądzisz? - zapytał Lampard porucznika Dunna.

Siedzieli przed namiotem Lamparda. Był to dzień wypoczynku i Dunn z ogromną ulgą dawał wytchnienie swoim obolałym nogom.

- Nie załamali się, nie nawalali, nie chorowali. Czegóż jeszcze można oczekiwać?

- Muszą być zdolni do picia własnej krwi.

- A nie mogliby pić twojej? - zainteresował się Dunn.

- Oczywiście, pod warunkiem, że poproszą o zezwolenie. Bardzo żałuję, że nie postrzeliłem tego Niemca... tego Schramma. Trzeba go było postrzelić tak, by nie mógł uciekać.

Dunn przywykł do tego, że ich dowódca przeskakiwał nieoczekiwanie z tematu na temat.

- Trzeba go było postrzelić, nie zastrzelić. Przedstawiał zbyt wielką wartość - kontynuował Lampard. - Najlepiej postrzelić w nogę, by nie mógł uciekać.

- Było, minęło, Jack. Nie znał żadnych naszych tajemnic Niczego od nas nie usłyszał.

- Powinniśmy wrócić i zgarnąć faceta.

- Dziś wieczorem?

Lampard popatrzył na niego ostro.

- Nie, nie dzisiaj.

- Doskonale - Dunn wyciągnął się z lubością. - I nie jutro, jeśli pozwolisz.

Idę z moją dupeczką do kina. - Przymknął oczy. - Na „Śnieżkę”. W najbardziej frapujących momentach łapie mnie za rękę.

Gdy Lampard wstał, by pójść zatelefonować, tamten drzemał. Kiedy wrócił, Dunn już się obudził i rozmawiał z Gibbonem, nawigatorem.

- Corky dostał już cynk - poinformował wracającego dowódcę Dunn. - Dostaje Krzyż Wojskowy... Za co Corky dostajesz?

- Zwykle gówno - Gibbon wzruszył ramionami. - Za to, że się nie dałem złapać.

Wiedzieli, że był zadowolony, gdyż robił wrażenie jeszcze bardziej ponurego niż zwykle.

- Może major Schramm wstawił się za tobą - wtrącił Lampard.

- Ten pieprzony Schramm? On jedynie zgadywał - oburzył się Dunn. - O piątej robimy małe przyjęcie. Cały patrol. Przyjdziesz?

- Mam jakąś konferencję. - Nabazgrał na karteczce numer telefonu i podał Dunnowi. - Zadzwoń do mnie. Dołączę do was około dziewiątej.

W godzinę potem wprowadzano go do apartamentu pani Joan d'Armitage. Spotykali się po raz trzeci, a za każdym razem był zdumiony jej filigranową figurą. Poprzednie spotkania miały miejsce u Groppy'ego, gdzie przesiadywali przy stoliku i nie miał możliwości pełnego podziwiania jej postaci. Teraz, w tym wielkim pokoju wyglądała jak laleczka. Bardzo ładna laleczka. W tym niewielkim, filigranowym ciałku czaiło się ogromnie wiele kobiecości. Miała na sobie czarną, prostą sukienkę. Lampard ostrożnie, by nie zgnieść, uściśnął podaną mu dłoń. Dotyk jej miękkiej, jedwabistej skóry spowodował, że poczuł ucisk w gardle.

Wyszli na balkon, gdzie podano cocktaile. Spróbował

- Co to jest?

- Brandy, cytryna, jakieś dodatki. Do picia.

Popatrzył w dół, na kairską ulicę, na której, jak zawsze, panował nieludzki tłok.

- Czyż ten Kair nie jest okropny?

Potwierdziła skinieniem głowy i popatrzyła na niebo, na pierwsze gwiazdy.

- Ze im się nie znudzi tak krzyczeć jeden na drugiego. To widocznie leży już w charakterze Arabów.

Chrząknęła i dołała jeszcze cocktailu, wreszcie się odezwała.

- Czy musimy zajmować się tymi grzecznościowymi głupstwami? - Zabrzmiało to jednak nie jak pytanie, a jak stwierdzenie faktu.

Lampard zmieszał się, a ona ponownie dołała płynu

ruchem wskazującym na zniecierpliwienie.

- Kiedyśmy się spotkali po raz pierwszy byłeś tak miły i opowiedziałeś mi o tym, jak zabito Desmonda. Był dzielnym żołnierzem, ratował kolegę i takie tam opowieści.

- Prawdziwe.

- Kiedy spotkaliśmy się po raz drugi, rozmawialiśmy nieco o Desmondzie, potem nieco więcej o Londynie, wreszcie bardzo dużo o Kairze. Sądzę, że to mamy już za sobą.

Lampard przytulił zimne szkło szklanki do policzka.

Wczoraj przed południem jego patrol przemaszerował czterdzieści kilometrów po pustyni dysponując jedną butelką wody, która to ilość uznawana była przez armię brytyjską za niewystarczającą. Wszyscy jednak przeżyli. Języki im powysychały, ale nikomu nic się nie stało. A teraz mógł dowolnie popijać ten doskonały płyn czując w sobie jakieś szczególne podniecenie i radość, całkiem jak wtedy, gdy wykradał się z hangaru w Barce. Tam żywsze krążenie krwi powodowało zwycięstwo, tu pani Joan d'Armitage, która patrzyła na niego z tym swoim nieodgadzionym uśmiechem. Pod jej spojrzeniem ogarniała go nieśmiałość zupełnie jakby był sztubakiem. Mała laleczka i on - speszony.

- Przepraszam - mruknął.

- Och, przestań być tak cholernie angielski. Ja jestem wdową, a ty za tydzień możesz już nie żyć. Nie ma za co przepraszać. To marnotrawstwo energii. - Odwróciła się i weszła do pokoju.

Lampard odliczył w duchu do dziesięciu, i wszedł za nią. Stała w mroku pokoju i wybierała płytę.

- Nie jesteś przecież zmartwiony i niczego nie żałujesz -

powiedziała ostro. - Więc po co kłamać? Nie znoszę tej melodii. - Rozbiła o blat stołu trzymaną w rękach płytę. - To była ulubiona melodia Desmonda. Niech odejdzie razem z nim.

- Nie można mieć pretensji do Desmonda - powiedział Lampard. - To nie jego wina, że nie żyje.

- Mogę mieć pretensje do każdego, do kogo mi się podoba - odparła zimno. Położyła resztki potrzaskanej płyty na stole, podeszła do niego i wzięła za ręce, a potem położyła je na swoich ramionach. Potem lekkim ruchem zsunęła ramiączka sukienki, a ta bezszelestnie osunęła się na dywan. Pod spodem nie miała niczego.

- W takim klimacie to najwygodniejsze - szepnął. - Masz wieszak?

- Mam - odpowiedziała z tym swoim uśmiechem - ale bardziej będzie nam potrzebny ten, którym teraz mnie uwierasz.

Może był zaskoczony, może uradowany.

* * *

Kolumna dotarła późnym popołudniem na miejsce spotkania, leżące dokładnie o sto kilometrów na południe od Dżalo Gap. Nie zastano tam jednak nikogo. Wokół rozpościerała się całkowita pustynia, równa *serir*, co jest wyrażeniem arabskim oznaczającym niczym nie zamacaną równinę. Cysterna z wodą i jej obstawa nie przybyły w umówionym czasie.

Major Jakowski zarządził ćwiczenia. Zwołał oficerów, gdy jedli południowy posiłek.

- Załóżmy, że spotykamy siły nieprzyjaciela. Co robimy?

- To zależy od tego, jakie siły, panie majorze - zauważył kapitan Rinkart.

- Dziesięć ciężarówek, bez wozów pancernych.

- A więc na pewno nas nie zaatakują. Zbliżyłbym się, by się przekonać, czy nie dysponują większą siłą ognia od nas.

Jakowski był rozczarowany. Zabrzmiało to ogromnie ostrożnie.

- Przecież ty dysponujesz siłami wystarczającymi, by ich otoczyć i uderzyć ze wszystkich stron. Zanim się namyślisz, stracisz okazję, a tamci uciekną - zwrócił się do kapitana Lessinga. - Nie mam racji?

- Tak, chyba tak. Gdybyśmy jednak zmusili ich do walki mogłoby się okazać, że dysponują haubicami. Sześć strzałów na minutę, zasięg pięć, sześć kilometrów. Mogą nas trafić.

- Zakładam, że nie mają.

- Lecz zawsze mogą mieć ciężkie karabiny maszynowe - powiedział Rinkart. - Podobno mają zamontowane na ciężarówkach vickersy dużego kalibru. To pozwoliłoby im zniszczyć nasze wozy z odległości trzech tysięcy metrów, nawet z czterech, a może z pięciu.

- Z tego, co mówicie, płynie jeden wniosek - powiedział złym głosem Jakowski. - Zawracamy i szybko do domu.

- Po co, panie majorze - zaprotestował Lessing. - Wzywamy Stukasy.

Major pokręcił głową.

- Ciska radiowa. Mówiłem o tym wyraźnie przed wyjazdem. Nigdy nie znajdziemy wroga, jeśli będziemy ujawniać gdzie jesteśmy.

„Przecież jeśli natknęliśmy się na przeciwnika, to on i tak wie gdzie jesteśmy, ty idioto” - pomyślał Lessing.

- Nie ma wątpliwości, że decyzje są podejmowane pod wpływem aktualnej sytuacji - mówił Jakowski. - Na razie Rinkart bierz trzy wozy, jedź w pustynię. Dokonasz pozorowanego ataku na kolumnę. Lessing, wystaw czujki na wozach. Ludzie śpią. Uważają, że pustynia jest bezpieczna. Tymczasem w każdej chwili może podejść nas wróg.

Rinkart wykonał rozkaz. Wziął sześć wozów, podzielił je na trzy grupy i zaatakował kolumnę z trzech stron. Tak minęło im popołudnie, a major Jakowski był z przebiegu ćwiczeń ogromnie zadowolony. Informacja, że wciąż nie ma cysterny z wodą nie wytrąciła go z równowagi.

- Być może złapali gumę, panie majorze - domyślał się łącznościowiec. Jakowski kazał ustawić jedną z ciężarówek światłami w kierunku Dżalo, by kierowca cysterny mógł ich łatwiej odnaleźć. Akumulatory jednak szybko się wyczerpały, a nikt nie nadjeżdżał. Jakowski zaczął się niecierpliwic i denerwować.

- Nie możemy dłużej czekać - warczał

Pozostawił w umówionym miejscu sierżanta z kilkoma ludźmi i dwa wozy. Mieli czekać na cysternę, a następnie ruszyć za kolumną. Racje wody zmniejszono o jedną trzecią.

* * *

Przed wojną Skull był młodszym pracownikiem naukowym w Cambridge i uczył historii protestantyzmu w Anglii okresu Tudorów. Często kwestionował oficjalną wersję wydarzeń. W wykładach podkreślał ustawicznie, że prawda jest całkiem niezależna od tego, co ludziom się podoba i co chcieliby usłyszeć.

Gdy nadeszła wojna Skull został powołany do RAF-u jako oficer wywiadu i wniósł do swojej nowej pracy bezwzględne zainteresowanie prawdą. To czasami zrażało do niego ludzi. Przecież nawet w RAF-ie byli ludzie na wysokich stanowiskach, którzy oburzali się, kiedy zagraniczni dziennikarze poddawali w wątpliwość cyfry zestrzelonych samolotów. Skull był obecny przy tym, kiedy pewien marszałek usiłował odpierać argumenty sceptycznie nastawionej grupy korespondentów wojennych:

- Jeśli tak traktujecie nasze informacje, to dlaczego nie pojedziecie do Berlina i nie sprawdzicie ich informacji. Luftwaffe podaje przecież cyfry absolutnie absurdalne.

- Z całym szacunkiem, sir - wtrącił się Skull. - Informacje Luftwaffe nie mają tu nic do rzeczy. To, że oni kłamią wcale nie jest dowodem naszej prawdy.

- Poczekaj Skelton w drugim pokoju - powiedział zimno marszałek, a po zakończeniu konferencji i wyjściu dziennikarzy wezwał Skulla i opieprzył go za głupie uwagi. Skull wcale się tym nie przejął i odparł ze stoickim spokojem:

- Bardzo przepraszam, że postawiłem pana w przykrej sytuacji - powiedział. - Jeśli jednak będziemy wierzyli we własne kłamstwa, osłabimy się i działamy tym samym na korzyść wroga. To oczywiste.

- Nie pouczajcie mnie i nie prawcie mi kazań, poruczniku.

Skull pokręcił nosem, aż podskoczyły mu okulary.

- Kazanie zakłada istnienie moralnej alternatywy, sir, a wojna nie daje nam komfortu takich wyborów. Nie możemy nagradzać pilotów za wyczyny, których dokonali jedynie w swoim własnym mniemaniu. Tylko prawda...

- Wynosić się! - wrzasnął marszałek. - I nigdy więcej nie pokazywać mi się na oczy.

Było to jakoś wkrótce po Dunkierce. Skull zraził do siebie jeszcze i innych. Wtedy dostał przydział poza lotnictwem myśliwskim. Znalazł się w lotnictwie bombowym, gdzie nadal robił sobie wrogów. Wreszcie otrzymał przydział do Egiptu. Kiedy jego wuj Stanley dowiedział się, dokąd go przeniesiono, dał mu swój stary wioślarski sweter.

- Doskonały na pustynię. Ja go już nie będę potrzebować. Ty to masz szczęście - powiedział wtedy.

I wyglądało na to, że wuj miał rację. Sweter był na niego za duży, a jego czerwono-niebieskie pasy wyblakły, ale znakomicie nadawał na się na zimne pustynne noce i Skull ubierał go do sztruksowych portek, które kupił w Kairze. Do tego nosił jeszcze parasol, jaki nabył na pchlim targu.

W takim właśnie stroju robił obchód lotniska przyglądając się uważnie każdej kolejnej maszynie. Towarzyszył mu starszy sierżant.

Obchód ten widział adiutant, kiedy tylko podnosił oczy znad swego biurka w namiocie adiutantury. Nie mógł się też tej inspekcji nadziwić. Oficerowie wywiadu, szczególnie w taki upał, nie oglądają podwozi samolotów. Wreszcie nie wytrzymał, wziął czapkę i wyszedł z namiotu.

- Ten wygląda, jakby go przeciągnięto przez zapórę z drutów kolczastych - mówił Skull do sierżanta, przesuwając palcami po dolnej części kadłuba jednej z maszyn. - Przez kilka zapór - dodał. - Czyja to maszyna?

- Dowódca, sir - odpowiedział sierżant pokazując na litery E B, wymalowane na kadłubie. Jednym z przywilejów dowódców dywizjonów było to, że mogli

umieszczać swoje inicjały na maszynach, którymi latali.

- Rozumiem - Skull dostrzegł ślad po kuli na osłonie silnika. - Jak mi nie mam, dowódca wybiera sobie najlepszą maszynę.

- Oczywiście. Silnik w idealnym stanie. Nie mógł, rzecz jasna, uchronić się przed ogniem z ziemi. Zdrowo do nich strzelano.

- Halo, Wujaszku - Skull powitał adiutanta. - Dziękuję sierżancie. Ekipa mechaników dokonała tu cudów.

- Oczywiście. - Kellaway przyjrzał się samolotom, ale nie zauważył niebezpiecznego. Zwyczajne Tomahawki, poplamione oliwą z licznymi otarciami na skrzydłach i rurach wydechowych oraz śladami po obstrzale. Po co te uwagi na temat ekipy mechaników, jak zawsze doskonalej. - Co oznacza „promienny”? - zapytał.

- Taki co jasno świeci. Dlaczego pytasz?

Adiutant wydawał się być rozczarowany.

- Staram się zredagować list do krewnych biednego Schofielda. Coś, co Fanny powinien podpisać. On sam jest w tym beznadziejny i pisze zazwyczaj tak: „Rzucił się do ataku nie zwracając uwagi na własne bezpieczeństwo”. Nie sądzę, by do tych listów ktokolwiek przywiązywał jakąkolwiek uwagę, ale coś tam przecież trzeba napisać, nie sądzisz? - Wlaż pod samolot, usiadł na ziemi i oparł się o koło.

- Nie wydaje mi się, by właśnie Schofield był promienny.

- Wcale nie twierdzę, że był. Na mnie robił wrażenie nudnego, ale tego nie mogę przecież napisać do rodziny.

- Chyba nie.

- Wydaje mi się, że jego ojciec zmarł z przepicia.

Skull zamknął parasol i usiadł pod drugim kołem.

- No cóż, nie był to całkiem nieudany facet - mówił Kellaway. - Trzeba by coś ładnego wymyśleć. - Odwrócił głowę i wciągał nosem powietrze. - Czujesz coś?

- Benzyne.

- Ach tak - Kellaway wydawał się być uspokojony. - A co myślisz, gdybym napisał, że jego praca była spektakularna? To brzmi całkiem ładnie.

- Spektakularnie, to bardzo ładne słowo - zgodził się Skull.

- Tak, spotkałem je w jakiejś krzyżówce. - Kellaway cisnął garścią piasku w rój much, które to zignorowały. Te o piasku wiedziały wszystko. - To podkreśli jego zasługi.

- Bez wątpienia - Skull miał poczucie, że za gorąco na rozwijanie tego rodzaju dyskusji. - Możesz też napisać, że był przykładem dla całego dywizjonu. Nie musisz rozwijać, o jaki przykład chodzi.

Adiutant był wyraźnie śpiący, gdyż mruczał pod nosem:

- Przykład dla wszystkich. To bardzo ładne.

- Chodź - Skull wstał i otworzył parasol. - Idę by wygłosić przemówienie do Fanny'ego i potrzebuję świadka.

Gdy byli w połowie drogi do wozu Bartona Kellaway przystanął i ponownie wciągał powietrze nosem.

- Czuję wyraźnie. Przekleństwo. Czyż Pan Bóg nie mógłby spuścić na nas trwałego zaparcia?

Barton rozwalony na swoim łóżku studiował mapę Libii. W jednej ręce trzymał czerwony ołówek.

- Nowe cele przysłane ze Zgrupowania? - zapytał.

Skull pokręcił głową.

- Wpadłem, by zapytać, kiedy mogę dostać urlop.

- Urlop? Przecież dopiero co przyjechałeś.

- Tak, ale nie chcę być tu zbyt długo, jeśli ty nadal będziesz prowadził swoją operację ataków celów na ziemi.

- Ach, tak. - Barton był bosy, podkurczył nogi i zaczął się ołówkiem drapać pomiędzy palcami. - A co ci się w tej kampanii nie podoba?

- Każda z maszyn otrzymała co najmniej cztery trafienia z ziemi. Niektóre to muśnięcia, inne wcale poważne.

- Ale wszystkie wróciły - Barton nadal usilnie świdrował ołówkiem między palcami. - Same korzyści, żadnych strat własnych.

- To jedynie kwestia szczęścia.

- Tak, to doskonałe maszyny - powiedział ni w pięć ni w dziesięć adiutant, który kombinował właśnie w jakim miejscu należałoby wykopać nową latrynę.

- Szczęście nie jest wieczne - stwierdził filozoficznie Skull. - Trzy naloty dziennie, dzień po dniu. Wcześniej czy później kogoś trafią. Przy tej szybkości i na tej wysokości, to koniec. Trumna.

- Nie mamy trumien - wtrącił Kellaway. - Nie ma drzewa na pustyni.

Barton odnalazł swoją czapkę i nasadził na głowę. Nasunął ją tak głęboko na oczy, że musiał przechylać głowę do tyłu, by spod daszka widzieć oficera wywiadu.

- Zrobiłeś się ponurakiem, Skull - powiedział. - Dawniej nigdy taki nie byłeś. Lubieś żartować i rozweselałeś cały dywizjon. Nie tak było, Wujku?

- Słuchaj, Fanny. - Skull zachowywał całkowity spokój. - Widywałem różne

dywizjony. Znałem taki, który niemal całkowicie zniknął w ciągu tygodnia. W niedzielę jeszcze wszystko było w porządku, a w czwartek zostało jedynie pięć maszyn i

sześciu pilotów, z czego dwóch, to chodzące truposze. W sobotę wszyscy odeszli z linii, w tym dowódca. Pozostał tylko numer dywizjonu. Trwało to niespełna tydzień.

- W lotnictwie bombowym - powiedział Fanny wzruszając ramionami.

- Oni mają po cztery silniki, wy po jednym. Obejrzałem sobie maszyny i wyliczyłem, że sześćdziesiąt siedem procent maszyn miało po dziewięćdziesiąt cztery procent szans na poważne trafienie w czterdziestu jeden procentach wykonywanych przez nie nalotów.

- O raju - zdumiał się Kellaway.

- Sam to wyliczyłeś? - zapytał Fanny.

- Oczywiście. Popatrz sobie na którąkolwiek z maszyn i sam zobaczysz, że nie trafiono w silnik, w przewody hydrauliczne, w bak czy w stery jedynie przez czysty przypadek. A tak zawsze być nie może.

- Baki same się hermetyzują.

- A przeciwnik ściąga coraz więcej artylerii. Ty ich do tego prowokujesz. Pocisk flaku robi zbyt wielki otwór, by bak sam się uszczelnił.

- Przechytzę ich. Uderzymy tam, gdzie nie ma flaku.

Skull do tej pory stał. Teraz znalazł sobie jakiś stołek, na którym usiadł i patrzył bez zmrużenia oka, ostro w twarz Bartona. W tę zdrową, młodą twarz nowozelandzkiego farmera, który przebył połowę świata, by tu walczyć za Anglię. Takie twarze umieszcza się na afiszach propagandowych. Nie są nazbyt mądre, ale silne, rezolutne, otwarte. Widok tej twarzy wpędzał Skulla w depresję. Takie oblicza spotykał wielokrotnie o okresie minionych dwóch lat i większość z nich spoczywała już w grobie. Niektóre zaginęły. Właściciele niektórych zwariowali.

- To błędne wykorzystywanie samolotów - powiedział Skull. - Tomahawk nie został przystosowany do atakowania celów na ziemi. Wiesz o tym.

- Czy wiem? - Barton ponownie wkręcił ołówek między palce u nogi. - To wielka szkoda.

Kellaway zabierał się najwyraźniej do wyjścia, ale powiedział jeszcze.

- Tak, to cholernie niebezpieczna zabawa. Od początku mówiłem.

- Wojna to rzeczywiście niebezpieczna zabawa - dodał Barton. - To wszystko wyjaśnia.

- Jasne - skomentował to Skull. - Trzeba więc robić wszystko co możliwe, by była jeszcze bardziej niebezpieczna?

- Nie rozumiem, po co robić ją jeszcze bardziej niebezpieczną - odparł adiutant. Wyczuł, że to zabrzmiało złowrogo, bo weselszym nieco głosem dodał. - Niemniej zwyciężamy.

- Bardzo mile było z tobą porozmawiać, Skull - Barton rzucił ołówek na stół. - Jak za dawnych czasów.

- Czy pozwolisz zapytać - adiutant wskazał głową na pustynię. - Jeśli taka jest nagroda za zwycięstwa, to jaką mamy dla niej alternatywę?

- Takoradi - brzmiała odpowiedź Bartona.

- Nie ma jak dawne czasy - stwierdził Skull. - Francja, to była bzdura, Anglia, prawdziwa walka, a tu, to zabawa. Twoja zabawa.

- Hej, hej, uważaj co mówisz, człowieku - ostrzegł Kellaway.

- Dlaczego? Czas, by sobie powiedzieć prawdę, Wujku. Wszyscy wiemy, że te naloty, to wymysł Fanny'ego.

Wszyscy wiemy, że to cholernie niebezpieczne. I kogo mamy oskarżać, kiedy nasi chłopcy zaczną się nadziewać na flak? Boga? Rommla? Nobla za to, że wynalazł dynamit? Powiedz. Chciałbym znać odpowiedź. Z góry chciałbym znać wytłumaczenie.

- Wynoś się - krzyknął Barton. - Wynoś, wynoś!

Wyszli, a on za nimi. Trzech mężczyzn kroczyło w milczeniu kierując się donikąd, bo na tej równinie każdy kierunek prowadził donikąd. Barton stanął i oni też stanęli. Uformowali dziwaczny trójkąt pośrodku nieskończonej równiny.

- Gdyby jakiś inny oficer wywiadu tak się do mnie odezwał, to kopnąłbym go w jaja tak, że dzwięczałyby jak dzwony kościelne. Wyczerpałeś pokłady mojej cierpliwości. Siedź w swoich papierkach. Ja się o ciebie nie prosiłem i nie chcę ciebie oglądać. Jak mi wleziesz w drogę, to dam ci taki wycisk, że popamiętasz. - Odwrócił się i odszedł.

Kellaway podążył za Skullem. Nie szli w żadnym określonym kierunku. Byle dalej od dowódcy. Po chwili milczenia Skull odezwał się pierwszy.

- Marne przedstawienie.

- Sam się o to prosiłeś.

- Myślę o krajobrazie. Panu Bogu w tym dniu tworzenia zabrakło już farby. Nie sądzisz? Masz jednak rację. Sam się prosiłem. I co najdziwniejsze nie chciałem powiedzieć nic z tego, co powiedziałem.

- Rzeczywiście? - Adiutant całe dorosłe życie spędził w RAF-ie. To, co działo się w dywizjonie, wypełniało jego dni. - Ze swoją rangą mógłbyś być dowódcą dywizjonu, ale

tu wodzem jest Fanny. Kiedy on mówi na białe, że czarne, to znaczy, że to czarne.

- Absurd.

Tuż obok nich upadła czerwona piłeczka od golfa, a w chwilę potem druga.

- To ty opowiadasz bzdury. Uważaj!

Obok nich przemknęli Mick O'Hara i Tiny Lish, a tuż za nimi Grek George. O'Hara miał w ręce samouczek gry w golfa. Stanęli nad piłeczkami, a Mick powiedział:

- Doskonałe uderzenie, Tiny. Trafiłeś tuż koło dołka.

- Zwykle szczęście - odpowiedział skromnie tamten.

- Kto wygrywa? - zapytał Grek George, ale nikt nie zwracał na niego uwagi.

- Oni grają tak na niby - powiedział cicho adiutant.

- Oni są poważni jedynie wtedy, kiedy gra się na niby - odpowiedział Skull.

- Nigdy nie byłeś pilotem myśliwskim, Skull. Nie rozumiesz tego.

To wszystko miało miejsce wczesnym przedpołudniem. W południe Barton poprowadził dywizjon do kolejnego ataku. Gdy wylądowali brakowało dwóch maszyn: Rzeźnika Baileya oraz Greka George'a. Nikt nie zauważył, co się z nimi stało. Widzialność była nie najlepsza. Zwykły o tej porze upał i porywisty wiatr wznoszący w niebo słupy pyłu ograniczały pole widzenia. Dywizjon do ataku uformował się w cztery grupy. Gdy po ataku powrócono do szyku zwartego, dwóch brakowało. Po prostu brakowało.

- No cóż, wygadałeś - zwrócił się adiutant do Skulla. Piloci złożyli raporty i rozeszli się do swoich namiotów. Lotnisko było puste i ciche. Słysząc było jedynie szmer piasku niesionego przez wiatr.

- Powiedziałem jedynie to, o czym doskonale sam wiedziałeś. - odpowiedział Skull zimno.

- Miałeś rację. Cholernie wiele racji. Nic, tylko rację.

- Co to ma być? Kawał? - Kellaway nie odpowiadał, więc Skull położył mu rękę na ramieniu i ponowił prośbę.

- Wytłumacz Wujaszku. Nie złapałem dowcipu.

Ale Kellaway odwrócił się i odszedł. Wiatr powodował, że nogawki jego portek trzepotały komicznie. Przypominał Skullowi Charlie Chaplina. Dopiero teraz uświadomił sobie, że adiutant jest niziutki i zapewne na pustyni schudł. Trochę mu współczuł. Tkwił tutaj na pustyni i przewracał jakieś papierki, podczas gdy piloci przychodzili i odchodzili. Równocześnie jednak go nienawdził. Wygadałeś - to był marny dowcip. Skull poszedł do swojego namiotu i nastawił patefon.

* * *

Jack Lampard jedną ręką sięgnął po szklanekę, drugą po słuchawkę telefoniczną. Jeszcze przed pół godziną był tak zaabsorbowany seksem, że o niczym innym nie byłby w stanie myśleć. Teraz Joan d'Armitage wstała, a jej jedwabna bluzka piżamowa rozchyliła się, ukazując mu piersi i nabrzmiałe jeszcze sutki. Nie miał wątpliwości, że to był rozmyślny akt prowokacji. Poprzednio Mussolini w Abisynii, potem Hitler w Polsce, a teraz Joan d'Armitage w Egipcie. Nie wolno było puścić tego płazem. Miała na sobie jedynie bluzkę piżamową. Patrzył, jak koniec tej bluzki się podwija prezentując mu piękny, kształtny i ponętny tyłeczek. „Dokładnie wiem o co ci chodzi - pomyślał - Czyż ty kobieto nigdy nie masz dosyć?” Poczul równocześnie, że i on jest gotów do dzieła. W tym jednak

momencie uzyskał połączenie.

- Halo - powiedział.

- To ty Jack? Tu Mike. Mówiłeś, by zadzwonić pod ten numer. Przepraszam, że tak późno. - Dźwięk tłuczonego szkła. - Chryste! Niewiele brakowało... - Głos Dunna dobiegał teraz jakby z oddali. - Radzę ci usiądź, zanim się wywrócisz - odezwał się do kogoś. - Przykro mi, ale nie mówię po polsku. - I znowu coś, jakby odgłos łamanych mebli. - No i widzisz, coś sobie zrobił. - Jakieś zakłócenia na linii i już wyraźny głos Mike'a. - Przepraszam Jack. Ci przekłęci Polacy nigdy się niczego nie nauczą. Nie sądzisz?

- Jesteście w kłopotach?

- Nie, to tamci zaczęli.

- Gdzie jesteście?

- Siedzimy pod bufetem w barze „Dziura w Ścianie”. Zdaje się, że zabrakło już piwa. Zaraz się wynosimy. Polacy przestali się nami interesować. - Jakiś huk tak głośny, że nawet Joan d'Armitage usłyszała. - Syfon z wodą sodową. Właściwie nawet dwa syfony. - wyjaśnił Dunn.

- Macie straty? - zapytał Lampard.

- O ile wiem, nie mamy. Byliśmy w „Pyramid Club”. Pełny był śmierdzących marynarzy, a więc kilku wsadziliśmy do Nilu uważając, że to najbardziej odpowiednie dla nich miejsce. Zabrakło piwa i przenieśliśmy się do „Pat Bar”. Tam zgasło światło. Panika. Nie widzieliśmy, co pijemy. Poszliśmy do „Drum”, a tam pełno pijanych facetów z RAF-u. Zbyt pijanych, by się napażać. Zabrakło piwa i znaleźliśmy się tutaj. - Brzęk tłuczonej szyby.

- To niedobrze - Lampard wzruszył ramionami patrząc na Joan d'Armitage. Nie lubił knajp, ale to był jego patrol i

czuł się za nich odpowiedzialny. Z drugiej jednak strony pani d'Armitage była gotowa do kolejnej akcji. Prawie goła. Czy poczeka? Wskoczy na chwilę, wypije kilka drinków i wróci galopem.

- Jakie macie plany? - zapytał Dunna.

- Klub „Czarny Kot”. Tańce brzucha. Wprawdzie najgorsze w całym Kairze, ale zawsze...

- Będę tam za dziesięć minut. - Odłożył słuchawkę. - Służba wzywa - powiedział naciągając gatkę. - Niewielki kryzys. Ty wiesz, jak to jest.

- Ohydna wojna. Wszędzie wokół ruiny - zapięła piżamę, co tak go poderwało, że nieomal nie zrezygnował z wyjścia. - Cholera, cholera, cholera. Nie znoszę pić sama, a jestem pewna, że nie zasnę.

- To nie potrwa drugo. Najwyżej godzinę. Wytrzymasz przecież godzinę? Oczywiście, że wytrzymasz. - Pocałował ją w czoło i wyszedł uśmiechając się.

* * *

Prowadzenie nocnego klubu w Kairze w latach wojny było interesem ryzykownym. Miasto roiło się od facetów pragnących przed powrotem na pustynię wydać nieruszone od tygodni pobory, a stanowili oni dziwną mieszankę narodów, służb i broni. Byli zazwyczaj nastawieni wobec siebie podejrzliwie, zazdrośnie lub niechętnie. Wielu nawykłych do walki żołnierzy nie mogło się tego przyzwyczajenia wyzbyć. Właściciel nocnego lokalu mógł szybko zrobić forszę i jeszcze szybciej ją stracić, kiedy publika traciła cierpliwość i łamała umeblowanie.

„Czarnego Kota” zdemolowano już dwukrotnie. Nowi właściciele uczyli się na błędach poprzedników. Przenieśli

lokal do niewielkiego, dwupiętrowego budynku po magazynach. W suficie sali na parterze wybito wielki otwór, dzięki czemu goście siedzący na piętrze mogli przyglądać się temu, co dzieje się na dole. Pojemność klubu stała się większa, a tym samym i dochody. Zwiększało się jednak niebezpieczeństwo rozrób, a także podnosiła temperatura panująca w lokalu. Zdjęto więc część dachu, co czyniło lokal łatwiejszym do wietrzenia.

Na parterze utworzono niewielką scenę dla tancerek wykonujących taniec brzucha i podniesienie dla orkiestry. Kiedy występy się nie podobały, goście obrzucali orkiestrę tym, co mieli pod ręką. Dlatego też otoczono orkiestrę siatką drucianą, i wyglądało to, jakby muzycy siedzieli w klatce. Kiedy goście na piętrze zaczynali się nudzić, z reguły zrzucali coś na gości siedzących pod nimi. Dlatego też pomiędzy oboma poziomami lokalu również przeciągnięto drucianą siatkę. Na każdym z poziomów był wielki bar ciągnący się pod trzema ścianami. Polityka właścicieli polegała bowiem na tym, by nikt nigdy nie musiał czekać na zamówionego drinka. Ściany pomalowano na złoty kolor. Zatrudniano tu pięćdziesiąt młodych dziewcząt, których zadaniem było nakłanianie gości do picia. Zaangażowano

też kilkunastu murzyńskich wykidajłów, z którymi można było wdać się w bójkę, ale których nie można było pokonać. „Czarny Kot” przynosił więc doskonały dochód. Tancerki nie należały tu do najlepszych, ale czarni wikidajlowie byli zdecydowaną atrakcją.

Lampard spotkał członków patrolu przed lokalem. Czuł się nieco dziwnie. Miał jakąś taką lekką głowę i wszystkie kończyny.

- No chłopcy, ja płacę - powiedział. - I nikt bez mojego zezwolenia nie rozpoczyna żadnej draki. To rozkaz.

Lokal był pełny, a większość gości umundurowana. Rozmowy łączyły się w nieustającą kakofonię głosów, która wypełniała zadymione, upalne powietrze. Lampard wszedł i rozejrzał się.

- Nie lubię pić na stojaka - oznajmił.

- Może ktoś wyjdzie - sugerował Dunn.

Nikt jednak nie przejawiał takiego zamiaru. Minęła ich kelnerka, niezbyt młoda i niezbyt ładna. Uśmiechnęła się, a Lampard odpowiedział na uśmiech. Siedzący przy jednym z pobliskich stolików pijany oficer lotnictwa zrobił uwagę:

- Założę się, że ma nogi jak dziadek do orzechów. Wsadzisz jej, a jak ściśnie, to wypłynie z ciebie mleczko kokosowe. - Niektórzy z siedzących przy stoliku wybuchnęli śmiechem.

Lampard kopnął krzesło, na którym facet siedział.

- Wstawaj - rozkazał.

Oficer odwrócił się zdziwiony.

- Ty kopnąłeś moje krzesło? - zapytał. Był to wielki, młody chłopak.

Inni członkowie patrolu stali za plecami dowódcy i patrzyli.

- Ty śmierdzący kangurze. Masz same buty i ani krzty mózgu - powiedział oficer lotnictwa, co uradowało jego towarzyszy.

- Wstawaj - powtórzył Lampard już ostrzej.

Lotnik zrobił ironicznie smutną minę.

- O Boziu. Ten kangur chce iść w tango. - Faceci przy stoliku wybuchnęli śmiechem.

- Wstań i przeproś tą panią - mówił tonem spokojnym,

choć zimnym.

Oficer lotnictwa zamrugał.

- Jaką panią? - zapytał, a kelnerka rzeczywiście już dawno zniknęła.

- Panią, wobec której zrobiłeś te głupie i obraźliwe uwagi.

Lotnik udawał, że się zastanawia.

- Ach, o tą chodzi. O tą z nogami jak dziadek do orzechów. To nie pani, to kurwa.

Lampard wziął go za ucho i po prostu podniósł. Lotnik zaczął wierzgać nogami, przewrócił krzesło, a w chwilę potem stół ze stojącymi na nim drinkami. Lampard puścił go i wymierzył mu trzy ciosy w pysk, tak szybkie, że zadźwięczały jak jedno uderzenie. Gdy pojawił się wykidajło Lampard trzymał faceta za kołnierz. Twarz lotnika była pokrwawiona i cała czerwona. Nie był chyba w pełni przytomny.

- Temu oficerowi zrobiło się niedobrze. Koledzy odprowadzą go do domu.

I rzeczywiście, towarzystwo wyniosło się pozostawiając wolny stół. Arabska orkiestra zaczęła grać popularny amerykański szlagier myląc fatalnie rytm.

- Trochę za daleko poszedłeś, Jack - powiedział Corky Gibbon. - To był jeszcze chłopak, Ma zapewne trudności z chodzeniem, nie mówiąc o tym, że nie mógłby walczyć.

- Nosi mundur - sprzeciwił się Lampard. - Powinien się zachowywać jak gentleman. Dałem mu okazję do tego, by przeprosił. Dlatego prowadzimy tą wojnę, by wszyscy zachowywali się szarmancko wobec dam.

- Muszę to sobie zapamiętać - powiedział sierżant Davis.
- Na drugi raz wydmucham mózg takiemu facetowi.

- Oczywiście, że powinieneś to zrobić - przyznał Lampard z całą powagą.

- A na razie to zabiłbym za jajka z frytkami - powiedział kapral Pocock.

Wszyscy, z wyjątkiem Sandimana i Pecka wybuchnęli śmiechem.

Zamówili egipski szampan, który podała niezbyt ładna i niezbyt młoda kelnerka.

- Dobry wieczór pani - powitał ją Lampard. - Bardzo panią przepraszam za brutalne zachowanie się mojego kolegi, oficera. Zapewniam panią, że obecnie bardzo tego żałuje. My, brytyjscy żołnierze mamy ogromnie wiele czci i szacunku do kobiet.

Kelnerka spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami i wreszcie mruknęła:

- Nie pieprz.

Orkiestra skończyła grać amerykański szlagier i zaczęła drugi, również w złym rytmie.

- Mają to od Amerykanów - żołądkował się Mike Dunn.

- Ci Jankesi wszędzie muszą się wepchać.

- Sądziłem, że należy mi się nieco wdzięczności - burknął Lampard.

- Zaraz podam jeszcze jeden szampan - odpowiedziała kelnerka.

Orkiestra nagle, w pół taktu przerwała. Światła przygasły. Rozległy się dźwięki werbla, które powoli cichły, nad scenką zapaliły się reflektory, a muzyka przeszła z wyraźną ulgą na melodie arabskie. Na scenie pojawiła się tancerka i rozpoczęła taniec brzucha, mający za zadanie zaspokojenie pożądań mężczyzn, którzy wkrótce znajdą się na pustyni i przez całe tygodnie będą

karmieni wyłącznie wołowiną i erotycznymi wspomnieniami.

Przez trzy minuty w lokalu panowała względna cisza, po czym ponownie zapanował szum rozmów. Lampard znudzony ziewnął i odchylił głowę, a wtedy zobaczył przy barze faceta z białym beretem zatkniętym za patki bluzy. Stał i rozmawiał właśnie z Henrym Lesterem. Notował to, co tam ten mówił. Amerykanin był zbyt pijany, by trzymać się prosto, ale nie na ryle pijany, by nie móc stenografować.

- OK - powiedział. - Rozumiem, że wysadziliście te Stukasy w powietrze. A co potem? Ralph, co ty o tym myślisz?

- Doskonale, doskonale - odpowiedział Malplacket, nie odwracając głowy. Prowadził swoją własną rozmowę, również z facetem z białym beretem pod patką i z odznakami SAS na kołnierzu. Chłopak ten opowiadał mu historię o tym, jak ich oddział pozostał na pustyni bez żadnych zapasów i jak dołączyli do pewnej włoskiej brygady, która właśnie ustawiła się w kolejce po obiad. Dostali makaron, świeży chleb, pomarańcze i z tym zwiali w pustynię.

- A po tych Stukasach zaatakowały nas Messerschmitty 109 - mówił pierwszy z facetów. - Zorientowaliśmy się, skąd startowały, wróciliśmy następnego nocy, wślizgnęliśmy się na lotnisko i wysadziliśmy je w powietrze. A to jeszcze nie wszystko, proszę mi wierzyć.

- Barman, jeszcze raz to samo - zamówił Lester. - No i co dalej?

- Opowiedz mu o Kufrze - wtrącił się Lampard.

Żołnierz zaskoczony spojrzał w jego kierunku, a był to

kapral z Korpusu Saperów. Gdy zobaczył majora, wyraźnie się speszył, być może popuścił w spodnie i mruknął w kierunku kolegi:

- Tom, czas na powrót do obozu.

- Przecież byliście w Kufrze - naciskał Lampard. - Każdy patrol SAS idzie przez Kufre.

- Sir - kapral usiłował stanąć na baczność, ale nogi się pod nim ugięły.

- Pamiętasz jezioro w Kufrze? Jaki zdumiewający kolor.

- Lampard położył mu dłoń na ramię. - Co, pamiętasz?

- Tak, sir.

- A ta woda, słodka jak mleko. Jestem pewien, że zawsze napelnialiście nią swoje manierki.

- Tak, sir.

- Taak? Jezioro w Kufrze jest jak niebieski szafir, a woda gorzka jak cholera. - Wydawało się, że Lampard pchnął go lekko, ale kapral poleciał do tyłu, wpadł na najbliższy stolik i przewrócił go.

Lester był rozwścieczony.

- Co robisz! - wrzasnął. - To mój kontakt!

Sytuacja zirytowała Malplacketa, który dołączył do Lestera.

- Tak nie traktuje się towarzyszy broni! - wykrzyknął.

Drugi z żołnierzy, ośmielony wsparciem, warknął ostrzegawczo.

- Na pańskim miejscu nie zrobiłbym czegoś podobnego.

- Przeciwnie - zareplikował Lampard. - Nie powiedziałbym czegoś takiego, gdybym to ja był na twoim miejscu. - Złapał go za kłapy i odepchnął, w wyniku czego kolejny stolik się załamał.

- Zwariowałeś? - ryknął Lester.

- To logiczny efekt głupoty tych durniów - poinformował go z całym spokojem Lampard.

I słusznie - stwierdził pojednawczo Malplacket. Były to ostatnie łagodne słowa wypowiedziane tego wieczora w „Czarnym Kocie”. Ci, którzy przed chwilą siedzieli przy połamanych obecnie stolikach złapali za krzesła i szturmowali na Lamparda. Pozostali członkowie patrolu pośpieszyli dowódcy w sukurs i tak wywiązała się cała bitwa. Malplacket i Lester pośpiesznie skryli się za barem, skąd obserwowali, jak Lampard złapał pierwszego z rzekomych żołnierzy SAS, podniósł i zrzucił na parter. Tamten upadł na siatkę, która wytrzymała jego ciężar. Jego kolega usiłował uciekać, ale Lampard dopadł go i rzucił w ślad za pierwszym podszywającym się pod SAS. Mike Dunn i kapral Pocock zatrzymywali atak innych, przy czym jednego z marynarzy posłali w ślady obu fałszywych komandosów. Tego nie wytrzymała już siatka ochronna i pękła. Trzy ciała spadły na tłum i zastawione stoliki. Jeden z wykidajłów biegł w kierunku walczących na pięterku, ale usłyszawszy wrzawę na parterze, zawrócił. Manager spędził z podium tancerki, a orkiestra zagrała amerykański szlagier.

- Zwijamy się - wrzasnął Lampard do swoich.

Komandosi wyszli nie zaczepiani przez nikogo, a tkwiący nadal za bufetem Malplacket zaproponował:

- Co tu się właściwie dzieje? Trzeba by z tymi facetami pogadać. - Skierowane to było do Lestera, ale odpowiedź nie nadeszła. Lester zniknął.

* * *

Drzwi od buduaru były otwarte, a w środku nic się nie

zmieniło. Joan d'Armitage nadal popijała swój cocktail i nadal była w piżamie. Na ziemi wałało się jeszcze kilka rozbitych płyt.

- Oh, Jack - powiedziała na jego widok. - Czy już się uporałeś z tą twoją idiotyczną wojną?

- Żadna wojna, małe towarzyskie nieporozumienie. Zatelefonowałem do Rommla i szybko się dogadaliśmy.

- Naprawdę? - Poszła do łazienki, a kawałki płyt chrzęściły pod jej bosymi nogami.

- Nie, nie, naprawdę. Wszystko kłamstwo. Nie dostałem połączenia z Rommlem. Telefon był zajęty. Jutro spróbuję jeszcze raz i...

- Mnie jest wszystko jedno. Naprawdę. Przejmowałam się wojną, jak długo żył Desmond. Teraz wszystko mi jedno, kto wygra. To był miły facet. Niezbyt wytrwały w łóżku i absolutnie wyprany z poczucia humoru, ale dobry, bardzo, bardzo dobry człowiek. Mężczyźni rzadko rozumieją kobiety.

- Naprawdę? - uśmiechnął się, ale zaczynał być zniecierpliwiony. Nie miał ochoty na prowadzenie dyskusji na temat Desmonda d'Armitage. I w ogóle nie miał ochoty na dyskusję. Wrócił, by o tym wszystkim zapomnieć, i to jak najszybciej. - Ja się jednak staram - powiedział.

- Mam nadzieję. - Zaczęła odpinąć jego koszulę. - Zresztą, cóż za różnica. - Poklepała go po brzuchu wyczuwając napięte, twarde mięśnie. - Na pierwszym miejscu stoi seks. Na piątym, na drugim, na dziewięćdziesiątym dziewiątym..

On zrzucił ubranie, ona zgasła światło.

Seks był dla Lamparda sprawą prostą. Jeśli tylko była po temu okazja, jego ciało automatycznie wykonywało

wszelkie czynności, a świadomość spokojnie napawała się radością, jakiej czynności te dostarczały. Czasami prowadziło to do stanu, w którym przestawał nad sobą panować, co zawsze go rozdrażniało. Uważał, że nigdy nie wolno mu tracić tej kontroli, choć z drugiej strony uważał, że dobry seks wymaga pewnego zatracenia się. Jego świadomość płatała mu przy takich okazjach różne figle. Wydawało mu się, że jedzie Centralną Linią londyńskiego metra. Kiedy miał piętnaście lat i mieszkał u ciotki w Holland Park jeździł tą linią do pewnej ślicznej dziewczyny, która pozwoliła mu się kilka razy pocałować, a potem z nim zerwała. I właśnie teraz, gdy smukłe, małe, ale silne ręce Joan d'Armitage kontrolowały jego tempo wciskając się w jego pośladki, w podświadomości wyskakiwały kolejne nazwy stacji: Holland Park, Lancaster Gate, Bond Street, Oxford Circus... A potem nazwy innych stacji na innym kontynencie: Kair, Khashab, Bawiti, Kufra... Był coraz bliżej celu...

Nagle światło rozbłysło, a jakiś rozwścieczony męski głos zawołał:

- Fantastyczne! Fantastyczne pieprzonko!

- O Boże, a niech to wszyscy diabli - szepnęła mdlejącym głosem pani d'Armitage.

Lampard odwrócił głowę i przez ramię zobaczył stojącego na środku pokoju australijskiego majora. Był krępy, niemal kwadratowy i wyglądał na tęgiego zabijakę.

- Zabieraj swoje śmierdzące dupsko i spieprzaj! - darł się. Kopnął leżące na podłodze rzeczy Lamparda tak, że poleciały w kąt pokoju.

- Czy znasz tego faceta? - zapytał z całym spokojem.

D'Armitage wysliznęła się z łóżka i powiedziała takim

tonem, jakby się zwracała do niezdarnej służącej:

- Jak mogłeś Freddy i po co się tak drzesz. Nie jesteś u siebie na manewrach. - Z tymi słowami poszła do łazienki. Usłyszeli trzask zasuwki.

- Bierz dupę w troki i znikaj. - Już ciszej rozkazał major.

- Gentleman tak się nie zachowuje - powiedział Lampard nadal siedząc na łóżku. - Jak można tak obcesowo wpadać do pokoju damy i używać takiego okropnego języka.

- Słuchaj, ty złamany, żółty kutasie, wróciłem po dwóch miesiącach spędzonych na pustyni i nie mam cierpliwości na dyskusję z tobą. Jeśli sam natychmiast nie znikniesz, wykopię cię przez te drzwi i to z przyjemnością. - W głosie majora brzmiała narastająca wściekłość, a żyły na szyi zrobiły się czerwono - fioletowe i grube jak postronki.

- Nie sądzę, by to nastąpiło. - Lampard wstał z łóżka. - Pozwalam ci natomiast cicho, spokojnie wyjść. To jasne, że pani d'Armitage nie chce mieć z tobą nic wspólnego, Freddy.

Fakt, że Lampard użył jego imienia doprowadził Australijczyka do furii. Zaatakował pięniąc się i ciskając przekleństwami. Lampard postąpił tak, jak go uczono. Gdy tamten był tuż obok niego wymierzył możliwie najsilniejszy cios w możliwie najsłabsze miejsce napastnika. Kant jego prawej ręki przeciął z sykiem powietrze i wylądował na krtani, tuż pod jabłkiem Adama atakującego. Cios złamał całą krtani.

I niczego więcej nie było trzeba. Złamane, zniszczone chrząstki zablokowały dopływ powietrza do płuc. Major upadł, a uczucie piekielnego bólu przesłało nerwami sygnał do mózgu. Było jednak za późno na cokolwiek. Ostatnie

uczucie, jakie doznał, było to uczucie duszenia się. Brak powietrza w płucach oznacza brak tlenu we krwi, a to z kolei oznacza śmierć mózgu, co nastąpiło w kilkanaście sekund po uderzeniu.

Lampard stał przez jakiś czas nad ciałem. Był nagi i nie miał się ochoty ubierać. Nagle uświadomił sobie, że w mieszkaniu panuje całkowita cisza. Pani d'Armitage zachowywała się w łazience bardzo cichutko i ta cisza zaczęła mu nagle ciążyć. Całkiem podświadomie zaśpiewał pierwszą zwrotkę szlagieru, jaki grała orkiestra w „Czarnym Kocie”.

I nieoczekiwanie jakiś męski głos w przyległym pokoju zaśpiewał drugą zwrotkę. Podniósł oczy. W drzwiach stał Henry Lester. Oczywiście Lampard nie znał jego nazwiska. Wciągnął spodnie.

- Niech pan niczego nie tłumaczy. I tak wszystko widziałem.

- A co miałbym tłumaczyć? - Lampard robił wrażenie całkowicie spokojnego.

- Jestem dziennikarzem, a to co się tu zdarzyło to chyba materiał do interesującej informacji.

- Przepraszam - Lampard obszedł mieszkanie. Stwierdził, że drzwi wejściowe były otwarte, więc je zamknął. Gdy wrócił do sypialni Lester lusterkiem, które znalazł na toaletce pani d'Armitage sprawdzał, czy major jeszcze oddycha.

- Nie ma pary - powiedział. - Już całkiem sztywny.

Lampard nałożył koszulę, i stwierdził:

- Pan był w „Czarnym Kocie”.

- Tak i szedłem za panem. Pan jest z SAS, prawda? A ci faceci z białymi beretami, bujali. Nie mam racji?

- Już od pewnego czasu nie nosimy białych беретów. Nazbyt rzucały się w oczy. - Lampard znalazł swoje buty i skarpety. - Wśród wojska w Kairze rozeszło się, że jak się ma biały берет i odznaki SAS można dostać darmowe drinki. Pojawiło się wielu takich, co się pod nas podszywają. Nie pochwalamy tego. - Wyprostował się. - Widział pan, że nie miałem innego wyjścia.

- A ta Kufra - pytał Lester - to taka oaza, prawda? Domyślałem się, że musicie z niej korzystać.

- Nie mam na ten temat nic do powiedzenia.

- Rozumiem. Już wszystko, co można było, powiedział pan tam, w klubie. Czyż nie tak? - Spojrzał na drzwi od łazienki. - Co z nią, w porządku?

- Zapewne się kąpie. Proszę jej nie przeszkadzać. Muszę to stąd usunąć. - Stali nad ciałem. Amerykanin przy głowie, Anglik w nogach - Co by pan radził?

- A co wy zazwyczaj w takich wypadkach robicie?

- Kopiemy dziurę w piachu.

- U nas w Chicago wrzucają do jeziora.

Sprawiali wrażenie dwóch robotników firmy transportowej, którzy się zastanawiają jak przesunąć wielką kanapę przez wąskie drzwi.

- Mam nadzieję, że nikt go nie widział, jak tu włąził - powiedział Lampard.

- Tylko ja. - Popatrzyli na siebie - Oczywiście i mnie może pan zabić, ale wtedy jedynie będzie miał pan dwa problemy, w miejsce jednego. A co by pan powiedział, gdyby faceta odtransportować drogą powietrzną?

- Powietrzną?

Lester wziął trupa za rękę.

- Niech pan łapie za nogi - mruknął

Wynieśli majora na balkon wychodzący na tył domu. Sześć pięter pod nimi rozciągał się ogród.

- No i teraz - komenderował Lester. - Liczę do trzech.

Ciało zniknęło w ciemnościach nocy, a po chwili usłyszeli głucho uderzenie.

- Poleciał na róże i trawnik - informował Lester. - Należy przypuszczać, że skręcił sobie kark.

Na stoliku stała karafka z resztkami cocktailu. Lampard rozlał po równo do dwóch szklaneczek i wypili.

- Wręcz nie do wiary, że był tu przed chwilą. - Zdumiał się Lampard.

- Był pijany, wychylił się i poleciał.

- Dlaczego pan szedł za mną?

- Interesuje mnie Kufra. Sądzę, że ma pan wiele ekscytujących wspomnień, które się dziennikarzowi bardzo przydadzą.

Lampard zastanawiał się chwilę.

- Przykro mi - powiedział wreszcie - bo pan mi bardzo pomógł. Żałuję, kolego, ale tak musi być. No, a teraz idź i poszukaj sobie taksówki.

- A nie możemy pojechać jedną?

- Muszę tu jeszcze przez chwilę pozostać. Nie mogę przerywać roboty w polowie, to chyba jasne.

- Całkiem jasne - zgodził się Lester.

Gdy Amerykanin wyszedł Lampard zapukał w drzwi łazienki.

- Wracamy do łóżka.

Pani d'Armitage wyszła. Miała na sobie jedwabną, czerwoną piżamę. Spojrzała na Lamparda i szepnęła:

- Mój Boże, znowu jesteś ubrany.

* * *

Kolumna dowodzona przez majora Jakowskiego utrzymywała całkowitą ciszę radiową, ale jej radiotelegrafści o określonych godzinach nasłuchiwali, czy nie ma dla nich depesz. Jakowski miał nadzieję, że Luftwaffe zlokalizuje lotnisko, z którego startowały Tomahawki atakujące ich pozycje naziemne. Takie lotnisko byłoby idealnym celem. Szybkie uderzenie, wysadzenie maszyn, słupy czarnego dymu i wycofanie się w pustynię, skąd można by dokonać ponownej operacji.

Konieczne było podjęcie jakiegoś działania. To przemierzanie pustej równiny stawało się zabójczo monotonne. Potrzebna im była jakaś akcja. Jakaś krew, która uzasadniałaby wylany pot.

I wczesnym popołudniem, gdy stanęli by wypocząć i zatankować pojazdy, nadleciały sygnały radiowe nadane z Benghazi. Była to informacja, jakiej nie oczekiwali. Donoszono, że nasłuch wywiadu Luftwaffe przechwycił sygnały, z których wynikało, że na pustyni znajdował się nieprzyjacielski patrol. Tu podawano współrzędne. A więc należało na razie zapomnieć o Tomahawkach. Mogą poczekać. Celem stał się nieprzyjacielski patrol.

Jakowski wezwał oficerów i zapytał porucznika Schneebergera.

- Gdzie my jesteśmy, a gdzie są tamci?

Schneeberger był nawigatorem kolumny. Wyszkolono go na nawigatora samolotów, ale uraz ucha środkowego uniemożliwiał mu latanie. Przeniesiono go więc do armii. Od momentu, w którym podjęto całą wyprawę Schneeberger, przy pomocy pewnego sierżanta, usiłował wyliczać drogę, jaką przebywali. Teraz rozwinął mapę i ostrzem ołówka pokazał na koniec wyrysowanej na niej

linii.

- Jak obliczam, jesteśmy w tym miejscu. - Zajrzał w radiogram i pochylił się ponownie nad mapą. - A przeciwnik, jak obliczam, jest tu. - Wskazał jakiś punkt.

Panowało całkowite milczenie, jedynie kapitan Lessing cicho chrząknął. Porucznik wskazywał na środek Morza Piasków Calanscio, więc dodał tonem usprawiedliwienia:

- Tak wynika z informacji na podstawie przechwyconych sygnałów.

- Dziwaczne - zaopiniował Lessing.

- Anglicy mogą być wariatami, ale nie są samobójcami - dodał kapitan Rinkart.

- Wielki Boże, nie możecie wypowiadać się bardziej konkretnie, moi panowie?

- Wydmy na Morzu Piasków są wysokie i strome, a jest ich dziesiątki tysięcy - wyjaśnił Rinkart.

- Przez Calanscio nie da się przejechać samochodem - wtrącił Lessing. - Nawet Arabowie nie lubią tam wchodzić.

- Żadnych źródeł wody, a gorąco jak w piecu - kontynuował Rinkart.

- Panowie tam oczywiście byli - stwierdził Jakowski.

Obaj oficerowie milczeli przez chwilę. Każdy czekał na to, co odpowie drugi, wreszcie Rinkart odpowiedział:

- Widziałem fotografie. Gdybym tam był, nie byłoby mnie teraz tutaj.

- A jednak Anglicy dają sobie jakoś z tym radę.

- Te zamiary mogą być błędne. - Włączył się ponownie Lessing. - Benghazi podaje, że przechwycono sygnały. Oznacza to jedynie, że niektóre z naszych stacji podsłuchowych namierzyły szerokość geograficzną źródła transmisji przeciwnika,

a linia północ-południe pomiędzy tym źródłem a stacjami nasłuchu przekracza Calanscio. Audycja mogła trwać krótko i nie zdołano dokładniej namierzyć. Można się było pomylić o kilka stopni, co radykalnie zmienia pozycję źródła transmisji, o dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt kilometrów. - Lessing zdjął czapkę i wytrząsnął z niej nieco piachu.

- Upał też powoduje zakłócenia w sygnałach radiowych - dorzucił porucznik Schneeberger.

- A kiedy dokonano nasłuchu? - pytał Rinkart.

- Benghazi nie powiadamia. Mogli dokonać w nocy, mogli wczoraj. Przeciwnik może być już w całkiem innym miejscu.

Jakowski splótł ręce na plecach i wyprostował się.

- No a teraz od strony pozytywów?

Porucznik Fleischmann, który do tej pory milczał, zauważył:

- Jeśli przeciwnik jest na Morzu Piasków, a uda się nam go zlokalizować, nie będzie w stanie uciec.

- I zawsze będziemy mogli wezwać Stukasy - dodał Schneeberger, a widząc, że Jakowski zmarszczył czoło, szybko dodał. - Oczywiście to ostateczność.

- A więc jedziemy. - zdecydował Jakowski.

- To może być pułapka - ostrzegł Rinkart. - Wysłali kilku ludzi z radiostacją do Calanscio, by odwrócić naszą uwagę od rzeczywistych patroli.

- Biorę to pod uwagę. Podzielimy kolumnę na Oddział A i Oddział B. Rinkart i Schneeberger pojedą ze mną w Oddziale A na Morze Piasków. Zabieramy dwadzieścia pojazdów i pięćdziesięciu ludzi. Idź i wybierz najlepszych - polecił Rinkartowi - Teraz zwrócił się do Schneebergera -

Pozostawisz swojego sierżanta, nawigatora z Fleischmannem. - Wydawał dalsze rozkazy. - Ty, Lessing dowodzisz Oddziałem B i nadal kontynuujesz poszukiwanie patroli. Spotykamy się tutaj dokładnie za czterdzieści osiem godzin. No, a teraz do roboty. Działamy! - powiedział z naciskiem.

W dwadzieścia minut później Oddział A odłączył się od głównej kolumny i ruszył na wschód. Wkrótce pojazdy wydawały się być kropeczkami na pustyni, a i te znikły za horyzontem, pozostawiając za sobą widoczną przez jakiś czas, chmurę pyłu.

- Wiec jesteśmy na własnym - powiedział kapitan Lessing, a stojący obok porucznik Fleischmann i sierżant-nawigator Voss oczekiwali na rozkazy. Było zbyt gorąco na to, by się pocić, jako że kropelki potu natychmiast wysychały.

- Sierżancie, czy możecie zagwarantować, że przyprowadzicie nas z powrotem na to miejsce? - zapytał kapitan.

- Zrobię, co będę mógł. - W cywilu Voss był ewangelickim pastorem w Saksonii i nie potrafił kłamać. Dodał więc. - Z tego jednak nie wynika, że trafimy dokładnie na miejsce spotkania.

- Dlaczego nie?

- To trudno wytłumaczyć. Widzi pan, porucznik Schneeberger i ja jechaliśmy w różnych samochodach, prowadziliśmy każdy odrębne wyliczenia i nanosiliśmy każdy na swoją mapę. Chodziło o to, by się wzajemnie sprawdzać.

- Doskonały pomysł.

- Zapewne. Tyle, że nam się nie udawało. Pod koniec

każdego dnia porównywaliśmy i moja droga wykreślona na mapie nie pokrywała się z wykreśloną przez niego.

- Błędy w kompasach - zasugerował Fleischmann.

- Dwukrotnie wymienialiśmy kompasy i nadal to samo.

Nadal się nie zgadzało.

- Duża była różnica? - zatroskał się Lessing.

- Ostatnio siedemdziesiąt trzy kilometry - Voss rozłożył swoją mapę. - Pan Schneeberger twierdził, że jesteśmy tutaj, ja, że tutaj.

- Mogło być gorzej - zauważył Fleischmann.

- Nie bądź idiotą, co znaczy gorzej? - Zdenerwował się Lessing.

- Obaj mogli się mylić. Być może nie znajdowaliśmy się ani tutaj, ani tam, gdzie wskazywał Schneeberger.

Lessing patrzył na niego i rozumiał, że Fleischmann może mieć rację. Zawsze mogło być o wiele gorzej i nagle dotarła do niego myśl, która go zaszokowała. - A może cysterna z wodą była punktualnie w umówionym miejscu, tyle, że w innym.

Voss skinął głową i zauważył:

- Z moich obliczeń wynika, że zatrzymaliśmy się o dwadzieścia pięć kilometrów na wschód od miejsca wyznaczonego na spotkanie.

- Czyżby wszystkie kompasy podawały błędne wskazania? - mruknął Lessing.

Trzej mężczyźni stali przez jakiś czas w milczeniu wyraźnie zmartwieni. Wszystko wokół wydawało się nieruchome, jedynie wiatr pustynny niósł nad samą ziemią smugi piasku.

* * *

Kapitan Kerr lubił zaczynać pracę o szóstej rano, kiedy telefony jeszcze milczały i można się było skoncentrować na nocnych meldunkach, jakie nadchodziły od patroli. Był też zdumiony, gdy zobaczył czekającego przed drzwiami jego biura Lamparda, który wydał mu się zmęczony i nieco zaniepokojony.

- Niech pan włązi, rozgości się i zrzuci z pleców ciężar, jakikolwiek by nie był.

- Chciałbym wyruszyć na pustynię zaraz, jeszcze dzisiaj - powiedział Lampard.

- Nie planowało się waszego wyruszenia na patrol, aż do...

- Wiem, wiem, ale wszystko jest gotowe, ludzie, pojazdy i za godzinę możemy być już w drodze. Chcemy ruszać.

Kerr stracił na bibułę martwą muchę.

- Giną od uderzenia wiatraka. - Otworzył okno i wyrzucił muchę na zewnątrz. - Są tak głupie, że nie potrafią się nauczyć. Lekcja dla nas wszystkich, że należy trzymać się z daleka od wszelkich kłopotów.

- Wiem, że pułkownik na pustyni, ale pan nie musi czekać na jego zezwolenie - mówił Lampard. - Może pan działać na własną rękę.

- Czyżby któryś z waszego patrolu nie uważał i zamieszał się w jakieś kłopoty? - zapytał Kerr.

- Ależ skąd. Chciałbym jedynie byśmy mieli kilka dni czasu na pustyni na przeprowadzenie ćwiczeń w bardziej realistycznych warunkach.

- Rozumiem - Kerr usiadł za biurkiem i podciągnął rękawy. Dość długo nad czymś się zastanawiał. Lampard patrzył na niego, nawet ziewnął, ale po chwili jego twarz ponownie przybrała wyraz zmęczonej i zaniepokojonej.

Kerr zaczął szukać czegoś w papierach, znalazł, czego szukał, przeczytał i odłożył.

- A więc nie macie kłopotów.

- Tu w Kairze wszystkie ściany mają uszy. Tajemnica, to fikcja. Nigdy nie czuję się tu bezpieczny i im szybciej będę na pustyni, tym lepiej.

- Widzisz, jeśli ktoś z waszych wpadł w kłopoty, to i tak sprawa wylezie na wierzch. Was tu nie będzie, ale temat pozostaje i wylądaje tu, na tym biurku. - Wziął do ręki kawałek kredy i narysował na środku biurka niewielki krzyżyk. - O właśnie tu - dodał.

Patrząc na krzyżyk na blacie stołu Lampard zmarszczył czoło.

- Nie jest pan wcale pierwszym dowódcą patrolu, który przychodzi tu z podobną prośbą - powiedział Kerr. - I innych też już spierała nagła tęsknota za upałem, piachem, muchami i wszelkimi innymi urokami pustyni - zachichotał.

- Nie mam kłopotów - odezwał się po chwili milczenia Lampard. - Po prostu głupi zbieg okoliczności. Chodzi o wdowę po pewnym oficerze, który poległ w akcji, o panią d'Armitage. Wpadłem do niej wieczorem, by przekazać kondolencje. Jej mąż był moim kolegą szkolnym.

- Nie widzę w tym nic złego.

- Ona mieszka w bloku na szóstym piętrze. Kiedy u niej byłem jakiś australijski major wyleciał z balkonu i skrzyknął sobie kark.

- Z jej balkonu?

- Na Boga, nie. Z balkonu na drugim końcu budynku.

- To bardzo lekkomyślne.

- Był pijany. To znaczy tak przypuszczam. Pan wie jacy

są ci Australijczycy. Znalazłem ciało wychodząc. Leżało na grządce róż. Gdyby zaczęli śledztwo będą pytali mnie, a potem panią d'Armitage, a ona nie jest w kondycji by znieść takie przesłuchanie.

- To pan znalazł tego niefortunnego australijskiego majora na grządce? - zapytał Kerr. - Skąd pan wiedział, że zleciał z balkonu?

- To było oczywiste.

- Wcale nie takie oczywiste.

Lampard wzruszył ramionami i patrzył w okno.

- No dobrze, zostawmy to na chwilę - powiedział Kerr. - Zajmijmy się natomiast inną śmiercią, Tony Watermana.

Lampard wyglądał na człowieka, który nagle stał się czujny.

- Może mi pan przypomnieć, jak to było.

- Wszystko napisałem w raporcie. Dopadły go Stukasy.

- Jasne, może pan opisać jak to było?

- Oh, niech pan nie będzie niemądry. Co tu jest do opisywania. - Lampard zorientował się, że nie należy tracić spokoju i ściszył głos. - Przyłapali nas na pustyni. Jak zawsze rozjechaliśmy się w różne strony i zwijaliśmy, jak króliki. Większość bomb nie trafiła, ale jedna tak.

- Trafienie bezpośrednie?

- Chyba tak. Wóz rozleciał się na kawałki.

- Malutkie?

- Nie mierzyłem - Lampard z trudem opanowywał swoje nerwy. - Oczywiście malutkie.

- Łącznie z Watermanem? Już nie można było odnaleźć ciała?

- On nie żył, a Stukasy były bardzo ożywione. Gdyby ktokolwiek z moich zaczął grzebać we wraku, postawiłbym

go przed sądem wojennym.

- Oczywiście. Rozumiem. Ale następnego dnia.

Lampard wzruszył ramionami.

- Nie warto było. Tym, co mogło pozostać, zajęły się robaki.

- Jasne. - Kerr wydawał się być wreszcie usatysfakcjonowany. Odsunął się nieco od biurka, otworzył szufladę i wyjął z niej dwa małe krążki, które położył na blacie biurka.

- Znaczkę identyfikacyjną Tony Watermana - powiedział. - Wydaje mi się, że Amerykanie nazywają to psimi numerkami.

Lampard przyjrzał się im dokładnie. Jeden ze znaczków był nadpalony i pogięty, drugi w ogóle nietknięty. Ten nie zniszczony wziął między kciuk i palec wskazujący i trzymał przed oczami jak rzadki okaz numizmatyczny.

- Ktoś to znalazł na pustyni? Zdumiewające.

- Nie. Ktoś to odnalazł w spalonym wozie na brzegu Oazy Dżalo - wyjaśnił Kerr. - Co jest jeszcze bardziej zdumiewające. Wręcz wstrząsające.

- Nie wierzę. Kto to znalazł?

- Włoski oficer z garnizonu w Dżalo. Wysłał je do Benghazi, gdzie jeden z naszych agentów zorganizował kradzież i przesłał je tu przez jeden z patroli, do czego dołączył zamówienie na herbatę. Czy wiedziałeś, że za herbatę Arabowie są gotowi na wszystko?

Lampard ostrożnie odłożył znaczek na blat biurka.

- Nie mieliście rozkazów atakowania Dżalo - powiedział Kerr. - Jeśli Tony Waterman poległ na skraju Oazy, to ty musisz odpowiedzieć na kilka ważnych pytań. Takich jak: Coście tam robili? Dlaczego doszło do jakiejś walki?

Dlaczego wymyślił pan tę opowieść ze Stukasami i umiejscowił ją w odległości dziewięćdziesięciu kilometrów od tamtego miejsca? W porównaniu z tym śmierć pijanego australijskiego majora sprawia wrażenie starej, prymitywnej powieści kryminalnej, którą nikt się nie interesuje.

Lampard nie odpowiadał. Siedział ponury, wpatrując się w jakieś nieokreślony punkt w przestrzeni. Kerr widywał już takie twarze, twarze ludzi przyłapanych na gorącym uczynku.

- Nie rozumiem - ciągnął Kerr. - Po co robić takie głupstwa? Nie mam na myśli ataku na Dżalo, a to kłamstwo. Wszyscy popełniamy błędy taktyczne. Wszyscy tracimy ludzi i nikt nie ma o to pretensji. To wojna. Ale dowódca patrolu, który po powrocie składa kłamliwy raport i udaje, że straty nie powstały z jego winy... - Kerr pokiwał głową. - W brytyjskiej armii to poważne wykroczenie. Tego po prostu nie można zignorować. I musi pan mieć tego świadomość.

- Zrobię, co tylko będę mógł - wymamrotał Lampard niezbyt wyraźnie.

Kerr odnosił wrażenie, że major mu się za chwilę rozplacze.

- Niech mi pan zaoszczędzi tego samoumartwiania - westchnął. - To nie przystoi oficerowi, dowódcy patrolu. Jeśli pan nie ma dość sił, to proszę złożyć rezygnację i przejść pod komendę lepszych.

- Przepraszam - Lampard najwyraźniej opanował się.

Kerr wstał, podszedł do szafy pancерnej, wyjął opieczętowaną kopertę i rzucił ją Lampardowi na kolana.

- To wasze rozkazy. Otworzycie ją w Kufrze -

powiedział. - Życzę wam udanego patrolu. Odnoszę wrażenie, że panu sukces może być bardzo, a bardzo potrzebny.

Lampard wyszedł.

Kerr schował znaczki identyfikacyjne, posprzątał blat biurka, starł narysowany kredą krzyżyk, wyjął kartkę papieru i pisał:

Oficer ten ma wszelkie dane na to, by być doskonałym dowódcą patrolu. Prowadził już patrole, w wyniku których zadano nieprzyjacielowi znaczne straty. Jego raport o zniszczeniach w Barce został potwierdzony z innych źródeł. Odnosi sukcesy, gdyż jest zręczny, a zarazem w ataku prostolinijny. Jednocześnie nie zastanawia się nad stratami własnymi, nie troszczy się i o swoich ludzi, i o siebie samego. Jego słabością jest to, że tak bardzo chce odnieść sukces, że nie toleruje jakiegokolwiek krytyki. Po jego powrocie z kolejnego patrolu pułkownik powinien z nim pomówić. Promocja i odznaczenia możliwie, choć na razie nicelowe.

Kerr odnalazł teczkę Lamparda, włożył do środka zapisaną kartkę, a całość złożył do drewnianego korytka stojącego na biurku. Na bloczku leżącym przed nim zanotował: Przesłuchać panią d'Armitage.

W godzinę i w dziesięć minut później patrol Lamparda wyjeżdżał z Kairu. Przejechali pod piramidami, minęli niewielki pagórek o nazwie Gebel el Khashab i wyjechali na pustynię. Lampard zaczął śpiewać. Prowadzący jeepa kapral Pocock myślał w pierwszej chwili, że coś z radiem nie w porządku. Lampard śpiewał przeokropnie.

Rozdział IV

Zła Forma

Fanny Barton polecił członkom dywizjonu by wyznaczony cel zaatakowali tylko raz, potem wykonywali skręt w lewo i na możliwie niskim pułapie możliwie szybko oddalali się.

Grek George skręcił w prawo. Na ziemi nastąpił jakiś potężny wybuch, który rzucił jego Tomahawka w prawo. Pilot był oszołomiony i przez sekundę czy dwie świat widział bez kolorów, jedynie jako biało-czarny. Potem horyzont stanął na głowie, a jego ręce automatycznie wydały polecenie jedyne go logicznego w tych warunkach manewru i samolot wykonał beczkę. Powróciła mu zdolność widzenia kolorów i po prawej stronie, tuż obok końca skrzydeł zobaczył kolorowe ślady pocisków świetlnych. Uświadomił sobie, że wstrzymał oddech, co było niedobrym przyzwyczajeniem w trakcie walki i zmusił płuca do tego, by się napełniły powietrzem. Od razu poczuł się lepiej. Dlaczego więc tak dygotał?

Podciągnął maszynę kilkadziesiąt metrów do góry i zrozumiał, że to nie on dygocze, a samolot. Wydawało mu się, że zna przyczynę tego zjawiska. Zapewne odstrzelono mu jedno ramię śmigła. Spojrzał na zegary. Wszystkie wskaźniki były w normie, a więc śmigło. „Pieprzone śmigło” - powiedział po grecku. I zrobił błąd. Pilot nigdy nie powinien obrażać maszyny przed wylądowaniem. W niespełna pół minuty potem usłyszał od przodu jakieś głucho uderzenie, i natychmiast wzmogło się dygotanie maszyny. Usiłował odczytać kompas, ale konwulsyjne dreszcze Tomahawka uniemożliwiały to, gdyż wskazówka urządzenia kręciła się jak oszalała.

Tak więc zgubił się. Tkwiące pośrodku nieba południowe słońce nie dawało najmniejszego cienia, nie miał więc pojęcia czy leci na południe, czy na północ, na wschód, czy na zachód. Tomahawk trząsł się coraz mocniej. Odnosił wrażenie, że wlatuje coraz głębiej w terytorium wroga. Maszyna nie chciała iść w górę, a więc nie mógłby wyskoczyć. Radio milczało. Niewielkie były szanse, by mogli go odnaleźć. Drgania stawały się nie do wytrzymania, wyłączył więc silnik. Drżenia ustały. Odsunął osłonę kabiny i mocniej zapiął pasy. Słyszał jedynie świst przecinanego powietrza. Tomahawk za kilka sekund mógł dotknąć ziemi.

Pustynia zbliżała się z nieprzyjemną prędkością. Gwałtowny wstrząs. Samolot dwu - czy trzykrotnie podskoczył, zaczepił o coś końcami skrzydeł i fiknął kozła lądując na grzbiecie brzuchem uniesiony ku niebu. Wpółprzytomny George zdał sobie sprawę z tego, że wisi na pasach głową w dół i że otaczają go opary wyciekającej benzyny. Jeszcze miał na tyle świadomości, by rozpiąć pasy i poleciał głową w dół. Ogarnęła go ciemność.

Rzeźnik Bailey również nie skręcił w lewo. Ostrzelał z broni pokładowej kolumnę samochodów ciężarowych i gdy nad nią przelatywał odczuł gwałtowny wstrząs, tak gwałtowny, że zdrętwiały mu ręce i nogi. Nie wiedział o tym, że w stalową płytę ochronną za jego fotelem trafiły dwa pociski z armatki przeciwlotniczej. Płyta wytrzymała, ale plecy przejęły wstrząs i w wyniku tego przez kilka sekund nie miał władzy w rękach i w nogach. W tym czasie Tomahawk leciał sam, niekontrolowany. Kiedy poczuł ból i powróciła mu zdolność ruchu kończynami, dywizjon zniknął. Pozostał całkiem sam.

Ręce bolały go, stały się ciężkie i nieporadne, ale mógł choć z trudnością, poruszać sterami. Podniósł maszynę nieco do góry i wykonał zwrot w lewo. Wydawało mu się, że znajduje się na kursie prowadzącym do domu. Przez kilka minut rozglądał się uważnie dookoła badając teren. W chwilę potem zauważył cień swojej maszyny przesuwający się po pustyni. Za nim pozostawał jakiś ślad. Natychmiast domyślił się co to mogło być. Tracił płyn chłodzący. W dużych ilościach i szybko.

Spojrzał na wskaźnik temperatury. Igła dochodziła do czerwonego pola. Wypuścił podwozie by wylądować, zanim silnik się zatrze. Szczęśliwie pustynia była całkowicie płaska i miejsca do lądowania nie brakowało, W momencie, w którym poczuł, że koła dotykają ziemi, wyłączył silnik. Natychmiast usiłował wywołać przez radio lotnisko, ale słyszał jedynie brzęczenie w uszach. Radio milczało.

Tomahawk przez dłuższy czas toczył się po pustyni, wreszcie opuścił ogon istanął. Bailey odpiął pasy i odsunął osłonę. Czuł niemiły ból w plecach i nie mógł poruszać głową. Rozglądając się musiał się cały obracać, a wykonując to widział wokół jedynie pustynię. Nagą, martwą pustynię, poprzez którą biegły jedynie ślady jego samolotu. Słyszał syczenie i trzaski rozgrzanego silnika. Czuł znany mu doskonale zapach kabiny. Poza tym wkoło rozpościerała się obca, martwa, bezkresna równina.

Otarł pot z czoła. Głośno przeklinał, aż dźwięk własnego głosu doprowadził go do depresji. Zlął z pewną trudnością na ziemię i usiadł w cieniu skrzydła.

* * *

Skull odebrał meldunki od pilotów. Nikt nie widział, co stało się z Grekiem Georgem i z Rzeźnikiem Baileym.

- W czasie ataku człowiek nie ma czasu na rozglądanie. Wiesz, jak to jest - tłumaczył Tiny Lush.

Skull czyścił swoje okulary i wzruszył ramionami.

- Nie.

Amerykanin Hooper udał się do namiotowej kantyny na herbatę z piaskiem, gdy do namiotu wszedł Pinky Dalglish.

- Twoja maszyna na chodzie? - zapytał

- Oczywiście. Coś ją tam zadrapało, ale to wszystko.

- Doskonale. Jeśli jesteś głodny, łap coś w łapę i już nas nie ma. Lecimy szukać tamtych dwóch.

- Dobrze.

- Nie wiem, czy tak dobrze. - Dalglish przetarł oczy i zamrugał: - Nie wiem, Chłopku, szanse jak jedenaście do trzech, a i to w najlepszym wypadku. Mogli ich zestrzelić nad celem, mogli nie zestrzelić. Jeśli ich zestrzelili, to są już w workach. Jeśli nie, mamy do przeszukania dziewięć tysięcy kilometrów kwadratowych pustyni. Niemniej musimy próbować.

- A co, jeśli ich znajdziemy?

- Jeśli będziesz mógł, ląduj. Bierz faceta na kolana i startuj. On niech rusza orczykiem, ty pedałami. Wszystko jedno który operuje gazem i podwoziem. Ogromnieniewygodnie, ale już to robiono.

- A jeśli nie będzie można lądować?

Dalglish westchnął.

- Zaznacz na mapie, gdzie to jest i wołaj Fanny'ego. Płacą mu więcej niż nam i powinien wiedzieć, co robić. Teraz ruszaj się. Szybciej polecimy, szybciej wrócimy.

Fanny Barton siedział w cieniu markizy przymocowanej do swojego wozu i patrzył, na zbliżającego się oficera wywiadu. Markiza była z drelichu, tak wyblakła i przepalona słońcem, że najbliższa burza piaskowa potarga ją niewątpliwie na strzępy. Barton miał nadzieję, że taki sam los spotka wielki, przeciwsłoneczny parasol Skulla. Nie znosił tego parasola. Jeśli Skull był tak uczulony na słońce, to po cholere tu właśnie siedział?

- Zebrałem meldunki - informował Skull. - Moje notatki chcesz podrzeć teraz, czy potem?

- Po prostu powiedz, co tam masz - odpowiedział spokojnie.

- W porządku. Jak zawsze w wywiadzie najważniejsze jest to, co nie nastąpiło. A więc nie było pożarów. Wszyscy meldowali, że trafili w ciężarówki, ale nikt nie widział pożaru.

- To co z tego?

- No cóż, celem był niemiecki park samochodowy. Zazwyczaj niemieckie samochody są zatankowane do pełna. Trafione, musiałyby się zapalić. A tak się nie stało - zaczął kręcić swoim parasolem.

- Płacą ci za to byś był taki mądry. Mów dalej, to mnie zdumiewa. - Czuł jednak narastające znużenie.

- Przypuszczam, że to były makiety. A właściwie nie tyle makiety, co wozy uszkodzone, głównie brytyjskie, pozostawione w czasie odwrotu. Musiano ich pozostawić tysiące. Domyślam się, że Niemcy zebrali kilkaset, poustawiali w długich szeregach, pomalowali te, które znalazły się na zewnątrz, wokół ukryli artylerię i czekali.

Barton przypomniał sobie zdjęcie celu wykonane przez

samolot rekonesansowy. Na zdjęciu nie było śladu artylerii. Wiedział, że jednak musiała tam być, tyle, że ją dobrze ukryli. Ostatecznie samolot rekonesansowy leciał na wysokości trzech tysięcy metrów. Takiego silnego ognia jednak nie oczekiwał. Zostali zaskoczeni, prawie znokautowani.

- Pech - powiedział.

- Nie sądzę - nie zgadzał się Skull. - Mówiłeś, że przechytrzysz wroga. W tym wypadku on ciebie przechytrył. - Barton słuchał w milczeniu, a Skull kontynuował. - Takie wnioski wcale nie sprawiają mi przyjemności. Rzeźnik Bailey i Grek George już się zapewne nie odnajdą. Jeśli lecieli, to już dawno wyczerpało im się paliwo.

- To niepowodzenie, ale nie klęska - mruknął Barton.

* * *

Dalgleish i Hooper powrócili po dziewięćdziesięciu minutach. Skull podszedł do nich. Dalgleish potrząsnął przecząco głową. Skull odwrócił się i odszedł.

Poszli do kantyny na zimny gulasz. Spotkali tam Tiny Lusha, który okruchami sucharów karmił Geraldo.

- Usiłuję nauczyć go, by śpiewał „Lili Marlene” - powiedział Tiny - ale on zna jedynie grecki.

Hooper przyglądał się rojom much. Był zmęczony i czuł się parszywie. Był nieogolony, drelichy miał poplamione i już nie przeszkadzał mu smród ciała Lusha. Niby czuł się doskonale i zaadoptował do otoczenia, naprawdę jednak był wewnątrz niezadowolony.

- Musieliśmy ich nie zauważyć - powiedział.

- No cóż - Dalgleish pokręcił głową. - Tu cały dywizjon

mógłby szukać przez tydzień i nie znaleźć.

Hooper zgadzał się z tym.

- Idź i poczytaj sobie jakąś klawą książkę - doradzał mu Tiny. - Fido Doggart ma połowę *Kochanka Lady Chatterley*. Pieprzenie tam do dupy, ale pogoda fascynująca. Cały czas leje.

Hooper wstał i wyszedł, a Geraldo podreptał za nim. Poszli do adiutantury, ale nie zastali tam nikogo. Adiutant stał o sto metrów dalej i przyglądał się, jak dwóch żołnierzy kopie dół. Geraldo zainteresował się tą sceną, zbliżył się i zaczął dziobać wyrzucany przez łopaty piasek.

- Co z Georgem i z Rzeźnikiem, Wujaszku? Co teraz? - zapytał podchodząc Hooper.

- A co ma być? Będziemy dalej pracować.

Łopata trafiła na kamień i zazgrzytała. Żołnierz zaklął cicho, a Kellaway głośno.

- No cóż, robimy, co możemy - zwracając się do Amerykanina, dodał: - Cholerna skała. Wszędzie skała. Nie możemy wykopać porządnego dołu. Pomów najlepiej z Fannym, on ci odpowie, co dalej.

- Ci faceci mogą jeszcze żyć.

- Mogą, ale nie muszą. Nawet jeśli odnajdziemy maszynę, to jeszcze nie znaczy, że uratujemy pilota. Szwaby mogły go dopaść przed nami i już jest w worku. - Głos Kellawaya był miękki, uspokajający. Miał już wprawę i praktykę w łagodzeniu niespokojnych uczuć. - Wiesz, co mam na myśli?

- Słyszę. - Hooper zaczął się obiema rękami drapać po biodrach. - Słyszę, ale z tym niełatwo się pogodzić.

- Stary, na wojnie nie ma w ogóle rzeczy łatwych. Pomyśl, w całej Libii nie jesteśmy w stanie znaleźć

odpowiedniego miejsca na wykopanie latryny. Poważnie, już nie mam pojęcia, gdzie mielibyśmy kopać.

Amerykanina zaszokowała bezduszność wszystkich wokół niego. Był przygotowany na to, że na pustyni spotka się ze śmiercią, ale zakładał, że będzie to śmierć czemuś służąca, śmierć, którą zawsze można pomścić. Wróg zabije jednego z twoich, ale ty pięciu, czy dziesięciu wrogów. Tak właśnie prowadzi się i wygrywa wojny. Tu jednak chyba nikt tak nie myślał. Nie wróciło dwóch doskonałych pilotów, a cały dywizjon zachowuje się tak, jakby tamci po prostu spóźnili się na pociąg.

- Twarde jak pieprzony beton, sir - powiedział jeden z żołnierzy. I rzeczywiście dokopali się do litej skały, a dół nie był głębszy niż pół metra.

- Teraz widzisz przed jakim stoję problemem - zwrócił się Kellaway do Hoopera.

Geraldo starannie przeszukiwał piasek wyrzucony z dołu, potem posadził niewielką kupkę.

- I ty też nam nie pomagasz, przyjacielu - skomentował to jeden z żołnierzy.

- No róż, spróbujemy w innym miejscu - zawyrokował adiutant.

Hooper pozostawił ich przy pracy. Idąc do namiotu usłyszał, że Skull nastawia swój patefon. Włączył jakiś westernowy, amerykański szlagier. Zaczynał rozumieć, że Siły Powietrzne Pustyni nie składały się w gruncie rzeczy z w pełni normalnych ludzi. Być może jeszcze nie powariowali, ale nie byli też zupełnie normalni. Wkoło trwała wojna, której oczywiście nikt nie był w stanie wygrać. Wszystko więc zależało od tego, czy potrafiło się przegrywać z klasą. Tak jak Skull.

Paul Schramm powrócił do Benghazi by pójść na wizytę do doktor Grandinetti, jako że rany mu się nie goiły, a nie zawierał personelowi medycznemu lotniska w Barce. Goś było nie w porządku z jego nerkami i wątrobą. Miał też jakieś trudności krążeniowe. Nie miał apetytu. Budził się czasami zlany potem, z trudnościami w oddychaniu i z bijącym sercem. Nogi go piekły i swędziały. Coś niepokojącego działo się z jego organizmem. Wszystko to opowiedział jej posługując się krótkimi zdaniami, będącymi wyrazem jego ponurego nastroju.

- Proszę się rozebrać.

Stał pośrodku pokoju, podczas gdy ona osłuchiwała go, ostukała i wygniotła swoimi silnymi palcami. Nie spieszyła się. Początkowo się niecierpliwił, ale potem pogodził z sytuacją i uznał, że ona jest tu bossem. Kontakt ze świeżym powietrzem i jej dotyk spowodowały, że przez chwilę czuł podniecenie erotyczne, szybko jednak stracił tego rodzaju zainteresowanie. Uznawał jednak, że była kobietą ładną i atrakcyjną.

- Proszę się ubrać - powiedziała wreszcie. - Ile ma pan lat?

- Czterdzieści cztery.

- Ma pan pewien problem - zaczęła myć ręce. - Jedna noga dłuższa.

- Myli się pani. Jedna jest krótsza.

Miał kłopoty z pozapinaniem guzików bluzy.

- Jestem chirurgiem. Mogłabym zoperować.

- Dziękuję, nie.

- Nie chce pan być zrównoważonym, pełnosprawnym obywatelem?

- Chciałbym jedynie normalnie móc jeść i spać, by

wypełniać swoje obowiązki.

Wycierała ręce i przyglądała mu się, jak ubierał buty.

- Proszę ze mną, pokażę panu szpital.

- Dziękuję, widziałem już szpitale. Tam śmierdzi.

- Tak, ale mam właśnie obchód i być może będzie musiał mi pan pomóc z tłumaczeniem. Mój niemiecki jest słabiutki. Proszę ze mną. - I wzięła go pod rękę.

Po godzinie byli z powrotem w jej gabinecie, gdzie on przemył sobie twarz zimną wodą.

- Pani patrzy chyba na ludzi, jak na mięso armatnie - podzielił się z nią swoim spostrzeżeniem.

Usiadła na parapecie i patrzyła jak wycierał twarz.

- Mogą wykitować. Kogo to obchodzi? W każdym razie nie panią. To jedynie nawóz. Nawóz, na którym rozwija się wojna. Panią to niewiele interesuje.

- Pan to mówi? To przecież wasza wojna.

Odłożył ręcznik i mruknął.

- Już sobie lepiej pójdę, zanim coś rozbiję.

- Proszę się pokazać jutro. Oczywiście, jeśli ma pan na to ochotę.

Malplacket był u Grroppiego i leczył kaca, gdy wszedł Lester ze swoim ziomkiem, Amerykaninem. Przedstawił go.

- Porucznik Oscar Flynn. Jeden z tych, co zakochali się w RAFie i nie chcą go opuścić.

Podali sobie ręce. Flynn był szczupłym, łysiejącym dwudziestopięciolatkiem ubranym z wyjątkową starannością.

- Co to za cocktail? - zapytał.

- Ach, to taka mieszanka portera i szampana. Leczy kaca lepiej niż egipski gin. - Malplacket zamówił to samo dla

wszystkich.

- Oscar latał na wszystkich typach, jakie alianci mają tu, na Bliskim Wschodzie, z wyjątkiem Halifaxów. - informował Lester.

- I na nie przyjdzie kolej - zauważył Flynn.

- Godne szacunku ambicje - mruknął Malplacket. Nie mógł mówić głośniej, gdyż wykład na temat cocktailu pochłonął resztkę jego sił.

- I był tu już wszędzie - dodał Lester. - W Abisynii, Palestynie, w Adenie... Wszędzie. - Wydawał się być z tego ogromnie dumny.

- Transportuję maszyny - wyjaśniał Flynn - Transportuję towary, ludzi. Doskonały sposób na odbywanie podróży.

- Opowiedz Ralphowi o Persji.

W godzinę potem Flynn wyszedł. Lester odprowadził go do drzwi, uściśnął mu rękę, poklepał po plecach i powrócił do stolika.

- Fantastyczny facet - powiedział.

- Jestem przekonany, że dowództwo transportów jest z niego dumne - bąknął Malplacket - ale nie jest to typ bohaterski. - Zmieniając temat zapytał: - Lecisz do Persji?

- Być może, niewykluczone - zaczął przegryzać orzeszkami.

- No to leć - powiedział zrezygnowanym głosem Malplacket. - Ja wracam do domu, kładę się do łóżka i napawam się spokojem, jeśli w ogóle jest jakiegokolwiek spokojne miejsce w tym mieście. W tym przeklętym mieście - dodał z pasją.

* * *

Morze Piasków Calanscio było niewątpliwie najbardziej

interesującym regionem Afryki, jaki zobaczył kapitan Rinkart. Okolica okazała się równie wspaniała, co i przerażająca. Do swojej żony w Dusseldorfie napisał:

Wyobraź sobie fotografię powierzchni oceanu wykonaną w czasie silnego sztormu. Tak właśnie wygląda Morze Piasków, z tą różnicą, że fale są dwa razy wyższe i całkowicie gładkie. Wdrapujesz się na szczyt takiej fali i widzisz ten sam widok aż po horyzont. Wszystko nieruchome. Mógłbym napisać, że wydmy te zamrzły, choć oczywiście są rozgrzane jak w piekle.

Rinkart nie napisał, że Morze Piasków przerażało go. Wjechali tam na godzinę przed zachodem słońca. Ujechali kilkaset metrów, stanęli, a Rinkart z Jakowskim wdrapali się na najwyższą z pobliskich wydym. Widok ze szczytu był taki, że Rinkartowi zrobiło się słabo. Zachodzące słońce pomalowało Morze Piasków na najrozmaitsze kolory. Po cóż Pan Bóg marnował całe oceany złota, zieleni, czerwieni i błękitu na takie wymarłe pustkowie? Ze wszystkich stron otaczały ich wydmy. Posuwając się do przodu musieliby podążać płataniną wąskich, krętych wąwozów. Rinkart poczuł, że należy zebrać siły na oczekującą od jutra konfrontację z tymi przeciwnościami. Tymczasem Jakowski odezwał się:

- SAS musi tu być. Czuję to nosem... - Oczy mu błyszczały, nozdrza się rozszerzyły i przypominał pewnego siebie, dziarskiego wyżła.

Zeszli, a właściwie ześlizgnęli się w dół i powrócili do kolumny, która właśnie rozbijała obóz na noc. Jakowski, nadal pewny siebie, powiedział do porucznika Schneebergera:

- Nie będzie to łatwe, ale jeśli potrafią to Anglicy, my

potrafimy jeszcze lepiej.

- Tak, ale martwię się o mój kompas - powiedział Schneeberger.

- No to weź inny. Mamy ich pod dostatkiem.

- Tak jest.

- Uszy do góry. To zwykły, pieprzony kompas. - Jakowski pociągnął nosem i poczuł zapach gulaszu, kapusty i świeżego chleba. Przed kolacją dokonał jednak inspekcji broni. Wypadła doskonale. Zasiadając do kolacji wygłosił złotą myśl:

- Piękną stroną pustyni jest to, że nie ma tu kogo zabijać, z wyjątkiem wroga. No to bierzemy się do jedzenia.

* * *

Gdy zerwała się burza piaskowa Rzeźnik Bailey spał pod skrzydłem samolotu. Zbudził się w panice, na wpół oślepiony, pokryty piaskiem. Przez dłuższą chwilę nie mógł zrozumieć, gdzie i dlaczego się znalazł. Wiedział tylko, że jest sam, pośrodku burzy piaskowej, obsypany pyłem, który wdzierał się w każdy otwór ciała. Zerwał się, by uciekać i wyrznął głową w skrzydło samolotu. Uświadomił sobie, że nie ma dokąd uciekać. Po omacku dotarł do samolotu i wdrapał się do kabiny.

Obiema rękami mocował się przez jakiś czas z pokrywą, zanim udało mu się ją zasunąć. Oparł się na fotelu. Był mokry od potu i cały oblepiony pyłem pustyni.

Nie widział dalej, jak do śmigła. Wiedział czym jest burza piaskowa. Kiedyś w czasie takiej burzy przez trzy dni nie mógł wyjść z namiotu, w którym siedział owinąwszy głowę ręcznikiem. Wolał nawet nie myśleć o tym, jak to teraz będzie.

Greki George nie przejął się burzą. Leżał głęboko w jakiejś pieczarze, a wiejący na zewnątrz wicher wydawał dźwięk przypominający basowy saksofon. Wsłuchiwanie się w ten odgłos sprawiało mu przyjemność. I była to jedyna przyjemność, jaką odczuwał, gdyż poza tym wszystko go bolało.

Nie mógł niczego przełknąć. Ktoś chciał go napić, a on nie mógł pić, choć czuł straszliwe pragnienie. Kim był ten ktoś, nie miał najmniejszego pojęcia. Wyglądało na to, że w tej pieczarze mieszkają jacyś ludzie, ale kto? Usiłował ruszyć głową, ale poczuł piekący ból w karku. Miał kłopoty z oddychaniem i na razie jedynie na tym się koncentrował. Starał się nie kaszleć, gdyż kaszel powodował tak ostre bóle, jakby mu rozrywano piersi. Nogi i ręce nie bolały tak okropnie. Ten ból był do wytrzymania. Leżał nieruchomo i wsłuchiwał się w przyjemny gwizd wiatru. Układał się w jakąś melodię... Chyba ją znał, tylko nie potrafił sobie przypomnieć skąd.

* * *

Dywizjon „Szerszeń” był w połowie drogi do celu, gdy zobaczyli burzę piaskową i Barton kazał zawracać. Pył wznosił się na kilkadziesiąt metrów nad ziemię i sięgał aż po horyzont. Nie było mowy o ataku. W drodze powrotnej zarządził ćwiczenia strzeleckie.

Strzelanie do cienia, ale bez żadnej łatwizny. Niemcy wam niczego nie ułatwią. Rozumiecie?

Strzelanie do cienia było wymysłem kogoś w dowództwie Sił Powietrznych Pustyni, a chodziło o to, by cel poruszał się - wyglądał jak samolot w locie. Pomysłodawca doszedł więc do wniosku, że najbardziej

realistycznym celem będzie przesuwający się po wydmach cień samolotu. Nie trzeba było do takich ćwiczeń szczególnych przygotowań, kosztów i dodatkowej pracy. Dywizjon rozdzielił się więc na dwójki, a Hooper poleciał z Dagleishem.

- Ja jestem Niemcem, a ty atakujesz - powiedział Dagleish. Obniżył lot i lecąc z jednostajną szybkością na pułapie stu metrów stworzył dogodny warunki do bocznego atakowania cienia. Tak też ustawił maszynę, by cień był możliwie największy. Hooper zatoczył łuk, zaatakował i ostrzelał wroga przesuwającego się po wydmach. Cień jednak był szybki i trzepotliwy jak motyl.

- Chybiłeś - stwierdził Dagleish. Oczekał, by Hooper wykonał koło i gdy przybliżył się, mówił: - Cholernie paskudnie. Za szybko strzelałeś i zanim te twoje cholerne pociski doleciały, mój cholerny cień był już w cholernie innym miejscu.

- Tak, to nie było dobre - zgodził się Amerykanin. - Teraz podejść bliżej, Niebieski Jeden.

- Tak właśnie zrób, Niebieski Dwa. Wyobraź sobie, że jestem Me 110 i trzeba mi przypieprzyć.

Drugi boczny atak był tak samo nieudany. Hooper strzelał przed lecącym cieniem, a gdy wybuchy się zbliżały, cień zniknął. Wyprowadził maszynę w górę, zbliżył się do dowódcy i usłyszał:

- Niemiec ponownie się uratował. Powtarzamy.

- Tak, Niebieski Jeden.

- Atakuj z sercem.

Tam razem Hooper atakował uważniej. Ściągał cień z większą cierpliwością i podszedł jeszcze bliżej. Widział wybuchy w samym środku cienia i amunicja mu się

skończyła.

Skierowali się ku lotnisku. Właśnie lądowali i inni, na lotnisku panował ścisk.

- Nauczyłeś się czegoś? - zapytał Dalglish.

- Te ataki z boku, to bardzo trudny manewr - wyznał Hooper.

- Te ataki, to sama zaraza. Wydaje ci się, że wszystko zrobiłeś jak należy, a tamten pierdzielec nadal sobie leci. W 1940 jeden facet z naszych obliczył, że jeśli strzelasz z ośmiu karabinów Spitfire'a do przeciwnika, który leci pięćset kilometrów na godzinę i otworzyłeś ogień z dwustu metrów masz szansę, by trafić go siedmioma pociskami.

- Siedem trafień? - zdumiał się Hooper. - Osiem karabinów maszynowych i tylko siedem trafień?

- Siedem, to jest maksimum. Osiem karabinów, każdy strzela dwadzieścia razy na sekundę, razem sto sześćdziesiąt pocisków na sekundę i niemal wszystkie w powietrze. Nawet tych siedem trafnych jest w znacznej odległości jeden od drugiego. Czy na kursie w Ameryce nie mówili wam o morderczym zagęszczeniu?

- Słyszałem ten zwrot.

- W 1940 wyliczyliśmy, że trzeba szesnaście trafień na metr kwadratowy by strącić Me 109.

- Mielicie amunicję kaliber 303, a teraz mamy 50.

- Ale i Me 109 są mocniejsze. Wcale nie mówię, że nie można strącić i jednym strzałem. Są faceci, którzy tego dokonali. Atakowali, strzelali i rozrywali tamtego na strzępy. To się jednak nie każdemu udaje. Ty Hick włazisz mu na ogon tak, by leciał w strumieniu twoich pocisków, i teraz możesz go spokojnie strącić. - Zbliżali się do kantyny
- Czy widziałeś któregoś z nich w czasie lotu?

- Hmm... Nie wydaje mi się.

- Nigdy ci się nie może wydawać. Oczywiście trzeba mieć zawsze otwarte. Wojna nie zatrzymuje się na czas ćwiczeń w strzelaniu.

- Oczywiście.

- Kiedy praktykowałem w trakcie lotu ćwiczebnego zaskoczył mnie Me 109. Miałem szczęście, był marnym strzelcem. Inny zestrzeliłby mnie i miałby rację. W wojnie nie ma przerw na ćwiczenia.

- Zapamiętam to sobie. - Hooper pomyślał jednak, że podobne rady dawał mu już Mick O'Hara i też o nich zapomniał. W czasie tych ostatnich ćwiczeń był przekonany, że Dalgleish go ubezpiecza. Ani razu nie popatrzył na niebo.

W namiotowej kantine piloci rozmawiali o drinkach. W południe był to zawsze główny temat rozmów.

- Jak tylko znajdę się w Kairze - mówił Bill Stewart - kupię chromowany kubek i będą trzymał w nim gin z tonikiem, zawsze w pogotowiu.

- Dwa kubki - wtrącił Fido Doggart. - Z jednego się pije, a w drugim trzyma zapas.

- Nie znoszę ginu - wpadł im w słowo Tiny Lush. - Gin to dla kurew i marynarzy.

- Moja mama pijała gin - informował Fido.

- A co, była bosmanem? - zainteresował się Tiny.

Siedzieli leniwie rozparci na ławkach i skrzynkach, niektórzy mieli przymknięte oczy, senne głosy. Nikt się nie ruszał, najwyżej po to, by się podrapać. Zachowywali się jak stado krów na pastwisku w upalne południe.

- Pieprzyć gin - stwierdził Tiny - wódka. Wódka z lodem. Rzeki wódki z lodem. Pływałbym w takiej rzece.

Pływał i popijał...

- Rzymianie mieli doskonały pomysł - włączył się Doggart. - Fontanny z winem. - Oblizwał się, ale wargi miał słone od potu i zgarnął językiem kilka grudek piasku. Wypluł je.

- Nie marnuj śliny, Fido - oburzył się Lush. - Już jak musisz pluć, to pluj na mnie.

Do namiotu wpadł Fanny Barton i wszyscy się ożywili.

- Niestety burza piaskowa trwa i wszelkie operacje zawieszono do wieczora. Dobre wieści natomiast na jutro. Nie atakujemy. Lecimy jako eskorta bombowców. Czy nie miła wieść?

- Jaki pułap? - interesował się Pit Patterson.

- Oh... jak zwykle. Chłopcy z bombowców nie będą lecieli niżej jak trzy tysiące, a więc my jakieś cztery. Miło, chłodno, czysto. Weźcie swetry.

- O której? - wypytywał Dalglish.

- Start o 15.00. Wrócimy na herbatę. Jutro specjalna kolacja, jajka i tosty. Oczywiście jeśli dostaniemy jajka i dostaniemy tosty.

- Cele? - dążył Tiny Lush.

- Te co zwykle. Linie frontowe niemieckiej piechoty - Barton wyszedł pogwizdując.

- To chyba łatwa robota - zastanawiał się na głos Hooper.

- Pułap cztery - Dalglish zwrócił się do Pattersona. - I trzecia po południu. - W jego głosie nie słychać było entuzjazmu.

Hooper spojrzawszy pytającym wzrokiem na O'Hare, który wyjaśnił:

- Pułap cztery, to zła wiadomość. Powyżej trzech tysięcy

metrów Tomahawk

lata jak cegła, powyżej czterech, jak dwie cegły. Jeśli startujesz o trzeciej, słońce jest już na zachodzie, a my lecimy na zachód i Me 109 kryją się w słońcu. Cały cyrk.

Gdy w dziesięć minut potem adiutant wszedł do namiotu, panowała tu cisza. Zapytał o co chodzi i Dalglish poinformował go.

- Ci z Grupy muszą mieć swoje powody - powiedział to ze smutną twarzą.

- Oczywiście, ci bohaterzy z Grupy. - Fido Doggart wpadł mu w słowo. - Mój Boże, tam sami bohaterzy...

- Nie masz co oskarżać Grupy - powiedział ostro adiutant. - To konieczność operacyjna. Ostatecznie nie po raz pierwszy dywizjon leci jako eskorta bombowców. To samo robiliśmy w Maastricht w 1940. Moment wielkiej chwały w historii dywizjonu.

Patterson popatrzył pytająco na Skulla.

- Czy to ma być tak, jak w Maastricht? Powiedz, że nie.

- A co było w Maastricht? - Nie zrozumiał Hooper.

- Wujek mówił, to był moment chwały naszego dywizjonu. Pod wieczór tamtego dnia puchliśmy z dumy, gdyż pozostało nas już tylko kilku i trzeba było nadrabiać za tych, którzy nie wrócili - odpowiedział Skull.

Kellaway nie dodał do tego ani słowa. Żuł swoje jedzenie i usiłował sobie przypomnieć nazwę pewnego baru w Kent, ale sprawiało mu to znaczną trudność.

- Skull, jak nazywał się ten bar koło Bodkin Hazel, gdzieśmy się tak upijali? Mieli doskonałe piwo. - Podrapał się po policzku – „Czerwony Smok”? Tak się nazywał.

- Nie - Skull pokręcił głową z powątpiewaniem. - Nie, to był „Orzeł”.

Adiutant wiedział, że tamten ma rację. Cholernie inteligentny, cholernie sprytny oficer wywiadu. Cholerny upał. Odsunął talerz. Niech muchy dokończą.

- W każdym razie udało mi się rozwiązać problem latryny - oznajmił. - Skombinowałem nieco dynamitu i wywalę tyle dziur w pustyni, że możecie srać spokojnie do końca wojny.

Przez całe popołudnie obóz trząśł się od wybuchów. Kamienie gwizdały w powietrzu. O wypoczynku nie mogło być mowy, a Skull nastawił swój patefon i puszczał płytę z westernowymi piosenkami. Przy jednym z wybuchów coś się

zepsuło i melodia ugrzęzła na jednej zwrotce, która powtarzała się w nieskończoność. Przed wieczorem dowódca poinformował, że nie będzie eskortowania bombowców. Nalot odwołany. Natychmiast nastroje poszły w górę. Życie stało się miłsze, przyjemniejsze, lepsze.

- Wracamy do normalki - oznajmił Barton. - Atakujemy jutro, jak poprzednio.

Skull przysłuchiwał się temu i ze zdziwieniem stwierdził, że wszyscy byli zadowoleni. Potem podzielił się wątpliwościami z Kellawayem.

- Zastanawiam się, czy rzeczywiście planowano nalot.

Adiutantowi zapodziała się gdzieś jedna pałeczka dynamitu, a więc myślni był gdzie indziej.

- Oczywiście, że miał być - odpowiedział - Co suponujesz? Fanny to sobie wymyślił?

- W każdym razie nastroje wyraźnie się poprawiły.

- U nas nastroje i morale zawsze były na najwyższym poziomie.

- Nie. Zbyt wiele tych ataków. Chłopcy zaczęli być

przemęczeniu.

- Nie tak jak Niemcy.
- No to gdzie te ich powietrzne patrole?
- Mnie pytasz? To ty powinienesz wiedzieć.

Był to zwykły unik, i obaj po tym wiedzieli, choć Kellaway mało się tym przejmował. Miał przed sobą trudniejszy problem. Ten zaginiony dynamit i dziury. Czy będą odpowiednie?

* * *

Najdziwniejsze w tym było to, że Paul Schramm zdawał sobie sprawę z tego, że to jedynie sen. A ponieważ to był sen, nie należało tego traktować poważnie. Z drugiej jednak strony było to interesujące, gdyż chodziło o muzykę Schumanna, o *Trzecią Symfonię, Reńską*, a on był pierwszym perkusistą. Tak naprawdę to jedynie on odpowiadał za bębny i cymbały, a była to odpowiedzialność ogromna. Schramm wiedział, że spotkał go ogromny zaszczyt, tym większy, że jedną nogę miał krótszą. Sam sobie powtarzał: Uważnie, ostrożnie, należy się skoncentrować.

Trzymał w ręce pałeczki, a cała orkiestra siedziała niżej i pracowicie brnęła do końcówki Symfonii. Łatwo było poznać, że to końcówka, gdyż Schumann wstawił tam solówkę bębna. Trzy, może cztery uderzenia. Może pięć, a może i siedem. Paul nie przejmował się tym. To przecież jedynie sen.

Dyrygent podniósł głowę. To był Charlie Chaplin. I wszystko w porządku. I on miał prawo do snów. Wyciągnął swoją batutę i zasygnalizował perkusiście, że jego kolej. Gdy Schramm opuszczał prawą rękę z pałeczką, ta nagle

przemieniła się w granat, jakim posługuje się niemiecka piechota. Uderzył nim w głowę siedzącego najbliżej muzyka i wywołał imponujący wybuch. Dokładnie w takt symfonii uderzył drugą ręką, trzymającą drugi granat w inną głowę wywołując kolejny wybuch. I tak - zgodnie z partyturą, walił po głowach granatami. Cóż za radocha! Być może Schumannowi by to nie przypadło do gustu, jak nie musiało tym, co siedzieli w zasięgu ręki Schramma. No, ale Schumann nie żył, a ci siedzący blisko właśnie szli w jego ślady. Fantastyczne wykonanie! Ktoś potrząsał jego ręką. Być może Chaplin usiłuje odebrać mu granaty. Idiota! Czyż nie rozumiał, że to jedynie sen?

- Lepiej się obudź, jeśli nie chcesz się zamęczyć na śmierć - mówił jakiś głos, a nie był to głos Chaplina. Ten ktoś miał tylko jedną rękę i nie miał wąsików. Natomiast uśmiechał się miło. Wyszedł na chwilę i wrócił z kubkiem kawy.

Schramm spuścił nogi na ziemię.

- Śniłem - powiedział i wziął podawany mu kubek. - W powietrzu wisiał kwaśny zapach betonowych bunkrów. Schramm napił się łyk kawy i wstąpiło w niego nowe życie. Nawet przypomniał sobie nazwisko kapitana z jedną ręką. Brzmiało Mix. Karl Mix. Śmieszne nazwisko, Mix. W Hollywood był kowboj zwany Mix, ale on miał dwie ręce...

- Coś się dzieje? - zapytał.

- Nic. Anglicy, jak zawsze, bombardowali Bengahazi.

Bunkier znajdował się w rogu lotniska pod Soluch, jakieś pięćdziesiąt kilometrów na południe od Bengahazi. Wywiad Luftwaffe dowiedział się od jednego z arabskich informatorów, że tej nocy lotnisko będzie celem ataku

patrolu SAS. Jako przynętę ustawiono kilka odmalowanych wraków.

Ludzie Mixa dostali nowe lornetki, które podobno pozwalały na widzenie w ciemnościach. Karabiny maszynowe gotowe były do strzału. Dochodziła trzecia, a załogi musiały być diabelnie śpiące.

- Brakuje panu tej ręki? - zapytał Schramm i natychmiast pojał cały nietakt. - Przepraszam. Idiotyczne pytanie.

- Brakuje go mojej żonie. W łóżku. - odpowiedział Mix.

- Och...

- Są czynności, których nie wykona się lewą ręką. A w każdym razie nie tak dokładnie. Pan żonaty?

- W zasadzie tak. - Schramm przyglądał się Mixowi. Był szczupły, wyglądał dobrze w mundurze, szare oczy patrzyły zza gęstych rzęs, a kasztanowe włosy były gęste i błyszczące. Gdyby miał obie ręce mógłby być aktorem albo modelem. Odnosiło się zresztą wrażenie, że miał obie ręce, tylko jedną ukrył, by nastraszyć dzieci. - Musi pan mieć problemy z wiązaniem butów - mruknął.

- Ze spinkami, z krawatem, z zapinaniem rozporoka, z wyciąganiem korka z butelek i z kondomami.

- Pański ordynans zapewne pomaga.

- Nie przy kondomach. Jest katolikiem.

Schramm parsknął śmiechem i napił się kawy. - I ja też kiedyś byłem. - dorzucił.

- I co, Pan Bóg zawiódł?

- Zawsze byłem posłuszny, wierny, czysty... no, nieomal czysty, modliłem się i spowiadałem, jak przykazano. Byłem pokorny i pełen skruchy, a tu z nieba wyleciał jakiś taki, postrzelał i oberwałem. Kalectwo na całe życie.

- Tak, to nie nagroda, na jaką ma się nadzieję - skonstatował Mix. - I to zapewne kule jakiegoś protestanta.

- A co z panem. Wierzący?

- Ja wierzę w szczęście. Rękę straciłem w Rosji. No, może nie straciłem. Oderwało ją i zawisła na drzewie. Nadejdzie wietrzny dzień i przy odrobinie szczęścia spadnie na głowę jakiemuś oficerowi naszego wywiadu. Przepraszam. I pan z wywiadu? A więc, gdyby posłali pana do Rosji proszę nie stawać pod żadnym drzewem. Kiedy wieje lecą tam zamarzłe ręce. A to jeszcze nic. Proszę sobie wyobrazić nogi naszych dzielnych grenadierów. Zamarznięte.

- Dzwoni pański telefon - zauważył Schramm.

Na aparacie telefonicznym mrugało czerwone światełko. Mix podniósł słuchawkę i przyjął wiadomość.

- Mamy gości - poinformował Schramma.

Bunkier z najbliższym stanowiskiem karabinów maszynowych łączyły okopy. Noc była ciemna i cicha. Schramm niczego nie widział i bał się, że na coś nadeptnie i narobi hałasu.

- Właśnie przekroczyli obwód.

Schramm wciągnął powietrze nosem i poczuł oliwę, którą smarowano broń. Był to zapach słodki i ostry. Przypominał mu zapach maszyny do szycia jego matki. Było to nazbyt cywilne wspomnienie i odpędził je. Mix wziął go pod ramię i przyciągnął do otworu strzelniczego. Schramm zrozumiał, że musi teraz patrzeć w głąb lotniska, czuł się jednak tak, jakby mu założono kubek na głowę. Ciemność była rzeczywiście nieprzenikniona. Niczego nie widział, a przecież nawet komandosi z SAS nie mogli się

poruszać bez światła. Może to było stado dzikich kóz, a więc zwierząt nocnych? Może lisy?

- Już są na lotnisku - usłyszał szept Mixa. - Pociągnij za spust.

Schramm położył prawą rękę na spuście karabinu maszynowego. Czuł gładką, drewnianą obudowę i miał świadomość, że gdzieś tam, w ciemności, u wylotu jego lufy stoją jacyś ludzie. Miał świadomość, że to, co zamierza zrobić jest zabronione, a przyjemne, jest grzechem i najwyższą rozkoszą. Z takimi właśnie myślami pociągnął za spust. Noc, jej ciszę i ciemność, rozdarły nagle błyski i huki. Wszystko wokół ożyło. Powietrze przesywały salwy, pioruny świetlnych pocisków, iskry rykoszetów. Dopiero po chwili do Schramma dotarło, że strzela nie tylko on, że pociski lecą z różnych stron i w różnych kierunkach.

W chwilę potem kanonada ucichła. Gdzieś wysoko, na czarnym niebie, zapłonęła flara spadając na ziemię na malutkim spadochronie.

- Proszę poczekać - powiedział Mix.

Schramm patrzył w rozświetloną obecnie noc, ale nie widział niczego. Przed oczami miał jeszcze błyski salw, żółte i zielone. Odszedł od karabinu i usiadł na skrzynce od amunicji. Po raz pierwszy usiłował zabić kogoś, kto nie zagrażał jego życiu. Wyciągnął przed siebie rękę i patrzył. Nawet nie zadrżała. Nerwy ze stali. Inne organa nawalały, ale nie nerwy.

Mix wrócił z zadowoloną miną.

- Mamy ich - powiedział - Czterech. Chce pan zobaczyć?

Flara już zgasła, ale ciężarówka, która przywiozła ciała

zapaliła reflektory. Leżeli na ziemi. Dziwacznie, nienaturalnie powykręceni, jakby mieli połamane kości.

- W kinie czegoś takiego nie pokazują - mruknął Schramm. - Aktor nie mógłby tak wyglądać.

Mix nie skomentował tej uwagi.

Schramm podszedł do jednego z ciał. Chciał się upewnić, czy nie ma wśród nich Lamparda. Ci jednak byli za niscy. Teraz za krótcy. Jednemu brakowało pół twarzy. Jeszcze jedna wojenna scenka, której nie pokazano by w kinie. Schramm zaczął się uważniej przyglądać kurtkom i odznakom zabitych.

- Niemieckie mundury - stwierdził. - To cholernie nieostrożnie. Już za to można by ich rozstrzelać.

Schramm przeszedł do następnego ciała. Leżało na plecach twarzą do góry. Szeroko otwarte oczy i usta. Twarz jakby dziesięcioletniego chłopaka przerażonego, że ujrzał pierwszy raz w życiu gołą babkę.

- Ten nie jest z SAS - stwierdził Schramm. - Za mały i za młody. W każdym razie na to wygląda.

- A moim zdaniem żaden z nich nie jest Anglikiem. Myślę, że to dezzerterzy. Dwaj Niemcy i dwaj Włosi. Schowali się gdzieś w Dżebel i w nocy zeszli, by zobaczyć, czy by się czegoś nie dało ukraść.

Schramm nie miał wątpliwości, że tak właśnie było.

- Tak, to nazbyt łatwe. O wiele za łatwe. - powiedział

- Zabijanie ludzi jest zawsze łatwe - uzupełnił go Mix - To potrafi każdy głupek. W Rosji robiłem to stale.

Schramm wrócił do Barce i spał do dziesiątej. Potem wziął prysznic, ogolił się, poszedł do biura i przejrzał meldunki, jakie nadeszły z Tunisu i z Benghazi. Od tygodni na froncie panowała w zasadzie cisza. Oczywiście jednak

było, że przeciwnik przygotowywał się do kolejnej bitwy. Do Egiptu przylatywały całe dywizjony nowych typów samolotów. Luftwaffe utrzymywała jednak swoją przewagę. Przeciwnik nie dysponował myśliwcem, który dorównywałby Me 109G. Również Macchi 200 i 202 były szybsze od Hurricanów i Tomahawków, ale Włosi mieli ich niewiele, a ich służby techniczne diabła warte.

Jak zawsze czekała na niego wiązka meldunków o działalności i ruchach SAS. Wywiad Luftwaffe miał wielu informatorów w Kairze i na pustyni. Problem leżał jedynie w tym, czemu można wierzyć. Schramm odnosił się sceptycznie do wszystkich materiałów, choć długo - z uwagą czytał raport o tym, że patrol kapitana Lamparda opuścił Kair. To mogło być prawdą. A jeśli tak, to ten patrol powinien być w Dżebel al Akhdar za dwa, czy za trzy dni. Z meldunków wynikało jednak, że na pustyni znajduje się wiele patroli. Więcej niż to było możliwe. A więc raporty mogły być fałszywe, podstawione, mogły być pułapką. Nie należało więc ogłaszać stanów alarmowych by oczekiwać na ataki, które mogły nigdy nie nastąpić. Było to szkodliwe dla morale armii, a SAS i tak już wystarczająco zszarpała niemieckie nerwy.

Nadchodziła pora obiadowa, a Schramm nie jadł jeszcze nawet śniadania. Między Bogiem a prawdą nie jadł nic od wczoraj. Jedynie popijał kawę. Czuł się pusty, ale nie był głodny.

Wszedł, wszedł do wozu i pojechał do Benghazi.

Droga była wolna i mozolna. Żandarmeria polowa, nie zważając na rangę, krzyczała i zmuszała do jakichś objazdów wyboistymi, zakurzonymi drogami. Co krok sprawdzano dokumenty, wałęsały się oddziały piechoty i

kurz, kurz, kurz. Wreszcie zaparkował, ale kawał drogi od szpitala, jako że przy samym szpitalu parkowały jedynie sanitarki. Gdy doszedł wreszcie do drzwi gabinetu doktor Grandinetti, znalazł je zamknięte, a przed nimi siedział łysawy ordynans, który czytał pomiętą i zabrudzoną krwią gazetę.

- Proszę przyjść jutro - powiedział, zanim Schramm otworzył usta.

- Mam wyznaczoną wizytę.

- Ciszej. Wizyty odwołane.

- Dlaczego? Co się stało? - Poczul nagle strach, co go podnieciło. Ordynans usiłował go uciszyć. Schramm wyrwał tamtemu z rąk gazetę i wrzasnął:

- Jeśli ona nie żyje, zabiję cię! Puszczaj! - Puls walił mu jak młot i miał wrażenie, że zaraz zemdleje. Wiedział, że jest o wiele za słaby, by zabić kogokolwiek, nawet siebie.

Ordynans widział w nim jedynie rozwścieczonego brutala i chwycił za krzesło, by się bronić. Schramm złapał za nogi krzesła i zaczęli się szarpać. Nadbiegli jacyś ludzie i wtedy otworzyły się drzwi i stanęła w nich doktor Grandinetti. Była w szlafroku.

- Przestańcie! - krzyknęła. - Jedna wojna wystarczy.

- Dzięki Bogu. A już myślałem... - powiedział.

- Nic pan nie myślał. Mężczyźni nigdy nie myślą. - Pocałowała ordynansa w czoło, wzięła Schramma za koniec krawata i wciągnęła do gabinetu. Zatrzęsnęła drzwi i wykonała gest ręką.

- Proszę siadać.

Zmierzyła jego puls, zajrzała mu w oczy i wzięła stetoskop. Gdy pochyliła się nad nim stwierdził, że lekko wyciągając głowę może dojrzeć jej piersi.

Gdy osłuchała go, wyprostowała się i zapytała miękko:

- Podobały się panu? - Był tak zaskoczony, że potrafił jedynie chrząknąć.

- Miał pan ochotę ich dotknąć? - Nie zmieniała tonu.

- Wcale nie - powiedział i natychmiast tego pożałował.

Dodał więc: - Może innym razem.

- A więc jeszcze pan nie umarł. Proszę przemyć twarz.

Gdy wycierał się jej ręcznikiem zauważył, że łóżko było rozścielone, a koc odrzucony.

- Pani spała? Przepraszam. Przykro mi, że panią obudziłem.

- Nie ma sprawy. I tak musiałam wstać, by otworzyć drzwi. - Usiadła na swoim ulubionym miejscu, na parapecie okna. - Wygląda pan okropnie. Stało się coś złego?

- Wojna. Nie wystarczy? - odpalił bez namysłu. - Mam już tego dość. Już dłużej nie mogę. - Usiadł na ziemi i plecami oparł się o ścianę. Czuł, że musi być od tej lekarki możliwie daleko. - Nie mogę jeść, spać. Nienawidzę tego wszystkiego.

- A ja widzę dziesięć razy więcej śmierci i bólu niż pan, a sypiam jak dziecko i jem jak koń.

- To całkiem coś innego. Pani ratuje przed śmiercią, a ja mam ją zadawać.

- Ale jej pan nie zadaje.

- Raz.

- Dlaczego?

- Bo chciał mnie zabić. A był dwa razy ode mnie młodszy i silniejszy. On uzbrojony, ja bez broni. - Ścisnęła swoje ręce do bólu. - Chciałbym pani wszystko opowiedzieć.

- Bardzo proszę, słucham.

Nie opowiedział jednak wszystkiego. Mówił o samej ucieczce. O tym, jak uciekł, jak piekielnie bolały go nogi, jak się ukrył, potem rzucił pod nogi goniącego, a wreszcie roztrzaskał mu głowę kamieniem. Opowiedział wszystko możliwie dokładnie i pod koniec poczuł, że jest roztrzęsiony i ma łzy w oczach.

- A więc tamten nie żyje, a pan tak. - Siedziała na parapecie i przypominała mu tygrysięcę wypoczywającą na gałęzi. - No i co dalej?

- Zabrałem jego broń - Schramm wytarł nos. - Jego skarpetki - jeden but. Potem zapadła noc, a ja szedłem przez Dżebel.

Poczuł ogromną ulgę, że jej o tym wszystkim powiedział. Uszło z niego całe napięcie i czuł jedynie przyjemne zmęczenie.

- Sypia pan źle, słaby apetyt - patrzyła na coś, co działo się na ulicy. - A teraz...?

- Teraz... czuję depresję i zmęczenie.

- Jak pan sądzi, dlaczego?

Nie chciał się nad tym zastanawiać. Spracował się i chciał teraz wypocząć. Dlaczego nie okazywała mu współczucia? Chrząknął lekko, co ona zignorowała.

- Nie mogę zapomnieć tego chrzęstu kości roztrzaskiwanych przez głaz -

powiedział. - To ohydny odgłos... Zabiłem go i zabiłbym, gdyby się to miało powtórzyć... Nie ma końca temu zabijaniu. Nienawidzę tego. Nie jestem żołnierzem. Jestem inteligentem, cywilem, a tu okazuje się, że jestem prahistorycznym człowiekiem. Trzeba dać mi kamień, a rozbijam głowy. To mnie przeraża. Uważałem siebie za myślącego człowieka, a jestem prymitywnym brutalem.

Sam sobą gardzę. Z kimś takim jak ja nie chcę mieć nic wspólnego.

Wreszcie odwróciła głowę w jego kierunku i odezwała się całkiem spokojnie, ale stanowczo:

- Pan kłamie. Panu się to spodobało. Zabijanie sprawiło panu przyjemność. Ogromną przyjemność. I dlatego nie może pan spać i nie ma pan apetytu. Pan sam siebie okłamuje, ale mnie panu się nie uda.

Zerwał się na nogi. Wiedział, że twarz wykrzywia mu gniew.

- Żegnam panią! - wykrzyknął.

- Proszę wpaść jutro.

- Po co miałbym wpadać?

- Ponieważ lubię pana, a pan mnie potrzebuje.

Jazda powrotna była tak samo męcząca i trudna, jak poprzednio.

Na lotnisku natknął się na dowódcę stacji, który rozmawiał właśnie z jakimś włoskim oficerem. Hoffmann przedstawił go Schrammowi.

- Kapitan di Marco. Opowiada mi właśnie, że coś dziwnego dzieje się na pustyni z oddziałem Jakowskiego. Rozdzielił się - wygląda na to, jakby kręcił się w kółko.

- Zdjęcia dokonane przez samoloty rekonesansowe pokazują, że się rozdzielili i maszerują każdy w całkiem innym kierunku - wyjaśnił Włoch.

- Może gonią patrole brytyjskie? - domyślał się Schramm, a w duchu pomyślał, że niech Jakowski robi sobie na co ma tylko ochotę. Jest za gorąco, a on jest zbyt zmęczony na to, by snuć domysły. - Dlaczego go nie zapytacie co robi? - zdziwił się.

- Nie przerwie ciszy radiowej - zawyrokował Hoffmann.

- To zależy wyłącznie od niego, czyż nie?
- Na pustyni ma się tylko jedną szansę - sentencjonalnie zawyrokował di Marco.

- Co pan ma na myśli? - Zapytał, choć w głębi ducha było mu absolutnie wszystko jedno. Nie obchodził go Jakowski ze swoim oddziałem.

- Czy major Jakowski prowadził kiedyś jakieś operacje na pustyni? - zapytał di Marco. - Czy są przy nim ludzie doświadczeni w odbywaniu długich podróży po pustyni?

- Nie mam pojęcia, ale chyba nie. On uważa, że jeśli Anglicy potrafią, potrafią i Niemcy.

- Porządek i wytrwałość - wtrącił się Hoffmann. - Odwaga i dyscyplina. To wszystko, w co wierzy Jakowski.

- I czterdzieści pojazdów, w tym kuchnia i piekarnia - dodał Schramm.

- To wygląda jak generalny szturm na pustynię - ironicznie stwierdził di Marco.

- Tak właśnie działa Jakowski - zgodził się Hoffmann.

- Jest sam sobą bardzo przejęty i wierzy we własne siły. Na pewno nie ufa Włochom - powiedział Schramm.

- A di Marco wie o pustyni sto razy więcej niż my wszyscy razem z Jakowskim. Już przed wojną odbył szereg ekspedycji na Saharę. Na wielbłądach, samochodem, samolotem. Ma licencję pilota.

- Och! - dopiero teraz zrozumiał Schramm. - To pan jest tym di Marco. Wielki Boże. Znany odkrywca podróżnik. Dlaczego nie pojechał pan z Jakowskim?

- A dlaczego Jakowski o to nie prosił?

Schramm zastanowił się chwilę nad odpowiedzią.

- Ponieważ Jakowski chciał, by wszystkie zasługi zapisane zostały na jego konto. On wie wszystko najlepiej,

a jeśli czegoś nie wie, to się dowie bez niczyjej pomocy...

- I to właśnie robi - zgodził się Hoffmann. - Jedźcie teraz jednocześnie w kilku kierunkach... Słyszałem, że zeszłej nocy był pan w wirze walki.

- I byłem bardzo dzielny - potwierdził Schramm. - Hitler byłby ze mnie ogromnie dumny.

* * *

Gdzieś tak w środku nocy saksofon basowy zamilkł, a jego miejsce zajęła para fletów. Wygrywały jakieś dwie smętne melodie, które goniliy jedna drugą i nigdy nie mogły się zetknąć.

W jaskini było dziewięć osób: dwie kobiety, stary mężczyzna i sześcioro dzieci. Grek George policzył ich w rzadkich momentach przerw między atakami bólu. Kiedy ból powracał nie był w stanie liczyć nawet swoich własnych palców. Wszyscy Arabowie byli niscy, ciemni, biednie ubrani i bardzo poważni. Uśmiechali się, kiedy się do nich uśmiechał, ale uśmiech ten szybko znikał.

W momencie przerwy w bólach zastanawiał się, czy wiedzą, którą z walczących stron on reprezentuje. Może go brali za Niemca. Gdzieś w bluzie miał wszyte pięć złotych suwerenów. Oczywiście musieli znać brytyjskie suwereny. Wyciągnął rękę, ale poczuł straszliwy ból popękanych żeber. Leżał więc nieruchomo i starał sobie wyobrazić, że to, co mu dolega, zdarza się jakiejś innej osobie. I pomogło. Odnosił wrażenie, że słyszy jęki i szlochania kogoś innego.

Przed bólem, po bólu, lub pomiędzy jednym a drugim Arabowie dali mu coś do picia. Jakiś pieniący się płyn o kwaśnym zapachu. A więc jeszcze nie utracił zmysłu powonienia, uradował się. Smakowało jak stary ser

rozbełtany w siuśkach. Jedna z dziewczyn pomagała mu w podsuwaniu kubka do ust. Domyślał się, że pije wielbłądzie mleko. Pomyślał, że należy podziękować i wyszeptał:

- Eff - hah - rees - toh.

Tamta uśmiechnęła się, a George pomyślał, że miał wyjątkowe szczęście. Uratowali go Arabowie znający grecki. Wszystko przecież było możliwe.

Dla Rzeźnika Bailey'a tylko jedna rzecz była niemożliwa - wyciągnięcie nóg.

Siedział w kabinie od dwudziestu czterech godzin i tylko raz wylazł na zewnątrz, by ulżyć pęcherzowi i by wyjąć nieco prowiantu z żelaznej racji ukrytej w pojemniku w tylnej części kadłuba. W tym momencie wywrócił go wiatr. Dopęłznął

z powrotem do samolotu. Wdrapał się do kabiny, która była zasypana pyłem i z największym trudem zasunął czaszę pokrywy.

A potem nie miał już nic do roboty, jak tylko czekać i powstrzymywać się przed zjedzeniem całych zapasów. Usiłował zająć najwygodniejszą pozycję. Miał długie nogi, a kabina Tomahawka nie została zaprojektowana z myślą o tym, by w niej zamieszkać. Co chwila łapał go skurcz mięśni i nie mógł znaleźć sobie wygodnego miejsca. Burza piaskowa trwała i zaciekle atakowała samolot.

Zrobiło się chłodno, a temperatura spadła o dziesięć, albo i więcej stopni...

* * *

Niebo nad Morzem Piasków Calanscio było czyste. Poranny błękit przemienił się powoli w biel bolesną dla oczu. W wąwozach pomiędzy wydmami stało rozpalone

powietrze, tak że można się było w nim ugotować. Ożywczego wiatru z Sahary nie wyczuwało się, gdyż wiał z zachodu na wschód, a wąwóz, którym posuwał się oddział Jakowskiego, prowadził z północy na południe. Patrząc w górę, na krawędzie wąwozu widziało się zwiewany piasek, ale powiew nie docierał w niższe rejony. Tu jedyny ruch powietrza, jaki czuli był wynikiem ruchu pojazdów. Grupa A posuwała się dość szybko do przodu. Niestety nie we właściwym kierunku.

* * *

Z depezy wynikało, że przeciwnik znajdował się w głębi Morza Calanscio, na wschód od nich. Zresztą w nocy odebrali jedynie fragmenty zniekształconej depezy i telegrafista nie był pewien informacji, jakie podawano. Ważna część depezy była w ogóle nieczytelna.

Z depezy wynikało jednak, że przeciwnik przemieszcza się w kierunku północnym, a więc równolegle do linii poruszania się Grupy A. Porucznik Schneeberger szukał przerwy w wydmach, przez którą mogliby się przedostać do następnego wąwozu, a z niego do jeszcze następnego na wschodzie. Gdyby nie znaleziono

takiego przejścia, nie pozostawało im nic innego, jak drapanie się na zbocza wydmy i zjazd po przeciwnej stronie, który to manewr wydawał się jednak mało realny. Stoki wydm były strome i wznosiły się na ponad sto metrów. Kto byłby w stanie wjechać na taką górę piachu?

Schneeberger znalazł przełęcz w ścianie wąwozu, ale była to jedynie ślepa dolinka. Musiał więc zawrócić do głównego wąwozu, którym się posuwali. O kilka mil dalej trafili na kolejną przełęcz. Schneeberger wjechał w odnogę,

a kolumna stała i czekała wypoczywając. Po dwudziestu minutach Schneeberger wyjechał daleko przed nimi. Odnoga wychodziła z powrotem do tego samego wąwozu.

Czekano na powrót porucznika, a kiedy się pojawił Bruno powiedział:

- Schneeberger jest z powrotem.

- Zapewne coś zapomniał, może teczkę - domyślał się Oskar.

Jakowski odbył krótką konferencję z kapitanem Rinkartem i porucznikiem Schneebergerem.

- Już mam tego dość - powiedział major - Pójdziemy na nieprzyjaciela najbliższą drogą. - Popatrzył na wschód - On tam się kryje i tam pójdziemy. Do góry i w dół.

- Nigdy nie widziałem, by samochód pokonał tak strome zbocze - Rinkart był pełen wątpliwości. - Nawet jeśli ma biegi terenowe.

- Może gdyby ciężarówki rozładować... - sugerował Schneeberger.

- A co potem? - zaperzył się Jakowski. - Wnosić będziemy ładunek na plecach? Pomyśl, zanim coś powiesz.

Rinkart przez lornetkę przyjrzał się zboczom, wreszcie skonstatował:

- Drapiąc się pod takie zbocze idzie się zazwyczaj zakosami.

- I tak właśnie spróbujemy - ucieszył się major.

Najlepszym kierowcą był sierżant Nocken. Wsiadł do niewielkiej ciężarówki z potężnym silnikiem i doskonałym ogumieniem i zaczął forsować zbocze. Początek był prosty. Do pierwszego zakrętu jechał szybko i pewnie. Pierwszy zakręt brał powoli i ostrożnie i maszyna zaryła się nieco. Przy następnym miał już więcej pewności siebie. Maszyna

ryczała na pełnych obrotach, a głos silnika wypełniał cały wąwóz.

- Dobrze, doskonale! - podniecał się Jakowski, a Nocken dojeżdżał do połowy zbrocza.

- Nic z tego nie wyjdzie - prorokował Rinkart - tam robi się coraz bardziej stromo i nie ma prawa wziąć kolejnego zakrętu.

- Zamknij się! - wściekł się Jakowski.

- Niech pan się nie piekli na mnie, majorze. Pan się piekli na pustynię - zripostował okrzyczany.

Sierżant Nocken miał poczucie tego, że stok staje się coraz trudniejszy do pokonania. Ciężarówka pochyliła się w kierunku spadu, co spowodowało, że koła od szczytu tylko lekko dotykały gruntu i nie dostarczały odpowiedniego napędu. Przy następnym wirażu pomimo wysiłków kierowcy i wycia silnika na pełnych obrotach wóz zaczął się obsuwać coraz szybciej, aż razem z ławicą piachu osunął się całkiem na dno wąwozu.

- Gdyby nam się udało wprowadzić na górę wóz z wyciągiem, z jego pomocą wjechałyby wszystkie wozy - marzył Jakowski.

- Tak, ale wóz warsztatowy z wyciągiem został z grupą kapitana Lessinga - meldował Schneeberger.

- Wiem, idioto. Oszczędź nam swoich genialnych analiz. Nie potrzebujemy analiz, a wyjścia z sytuacji.

- Być może dalej zbrocza wydm będą niższe lub nie takie strome - zastanawiał się Rinkart.

- Nie będę szedł tam, gdzie zmusza mnie pustynia, a tam, gdzie chcę iść. - Major położył nacisk na słowo „chcę”.

Sierżant Nocken wygrzebał się z piachu i podjechał do

oficerów.

- Proszę o pozwolenie na kolejną próbę - zameldował.

Jakowskiemu spodobało się to. Cenił upór i dziarską postawę.

- Macie moje zezwolenie.

Tym razem Nocken zastosował całkiem odmienną taktykę. Zrezygnował z zakosów. Rozpędził samochód i jechał ukosem w górę zbocza tak szybko, jak to tylko było możliwe. Minął miejsce, do którego dojechał uprzednio i podjechał wyżej, ale się zarył. I to tak, że wóz po prostu osiadł na własnym podwoziu.

- Można by domontować skrzydła, wtedy by poleciał - zauważył przytomnie Oskar.

- Poradz to majorowi - odparł Bruno. - On właśnie czeka na takie rady.

- Ja mam radzić? A niech sam sobie radzi - oburzył się Oskar.

Jakowski wziął mapę od Schneebergera i udawał, że czegoś na niej szuka. W rzeczywistości chciał ukryć wściekłość. Ten przeklęty Rinkart miał pieprzoną rację. Tu przeklętym wrogiem była pustynia. A tu stali żołnierze i czekali na jego rozkazy. A jakie miał dać rozkazy? Zrezygnować? Wycofać się? Przyznać do porażki. Poczuł, że drapie go coś w gardle i splunął z wściekłością.

- Pan patrzy - dotarły do niego słowa Schneebergera.

Sierżant Nocken wycofał wóz, podjechał pod przeciwległą ścianę wąwozu, rozpędził się jeszcze bardziej i zaatakował zbocze z silnikiem wyjącem na wysokich obrotach. Ciężarówka terenowa parła pod górę jak łania i bez zatrzymania dojechała do szczytu zbocza, gdzie sierżant stanął i triumfalnie nacisnął klakson. Zapanował

entuzjazm. Nocken tymczasem zaczął się rozglądać dokoła. Patrząc na wschód nie widział niczego, jedynie Morze Piasków. Kolosalne fale piasków ciągnące się po sam horyzont. Miał dość wyobraźni, by zrozumieć, co to mogło oznaczać i poczuł się zmiażdżony.

Jeżdżenie po wydmach wymagało specjalnej techniki. Szczególnie ważne było rozpędzenie maszyny na początku. Potem nie wolno było tracić nerwów i hamować, w miarę jak zbocze stawało się coraz bardziej strome i groziło wywróceniem się samochodu. Przy płynnej zmianie biegów, braku hamowania, niebezpieczeństwo ugrzęźnięcia nie było wielkie, gdyż nawierzchnia była z reguły twarda i równa. I gdy raz Nocken udowodnił, że pokonanie zbocza jest możliwe, sztuki tej dokonali kolejno i następni kierowcy. Wszyscy powtarzali wyczyn sierżanta wzorując się na jego technice.

Tylko jednego samochodu nie udało się wprowadzić na zbocze, a była to cysterna z wodą. Napełniono wodą wszystkie manierki i pojemniki, a cysternę pozostawiono w wąwozie z myślą o tym, że zabierze się ją w drodze powrotnej.

Do wieczora, posuwając się na wschód, przekroczyli dwadzieścia siedem podobnych zboczy. Jakowski był zadowolony, nawet bardzo zadowolony.

- Zajmujemy pozycje do uderzenia - mówił. - Jutro będzie bardzo interesujący dzień. - I kazał wydać ludziom po porcji rumu, a sierżantowi Nockenowi podwójną porcję.

* * *

Rzeźnik Bailey chował butelkę z wodą pod spadochron, by go nie kusiła. Co cztery godziny wydzieliał sobie

jednego łyka. Jego organizm gwałtownie buntował się przeciwko tej decyzji. Chciał wypić wszystko naraz, a mózg protestował malując przed nim wizje wspaniałych fontann bluzgających wodą. Burza piaskowa wciąż trwała i trwała pokrywając samolot warstwami brudnego, brunatnego kurzu. Po upływie półtora dnia zaczęła tracić na impecie - Bailey zdecydował się wyjść z kabiny. Zdjął rzeczy i zaczął z nich wytrząsać piach, nie potrafił jednak wyczyścić swoich uszu, nosa i oczu. Koniec burzy uczcił łykiem wody i zjedzeniem kawałka roztopionej czekolady. Głód i pragnienie zrobiły swoje, był osłabiony i niezbyt przytomny.

Wlaził na obudowę silnika i rozejrzał się. Wokół rozciągała się pustynia. Pustka i piaski. Poczul strach i desperację tak silną, że zatkało mu na moment oddech w piersi. O przemierzeniu tej płaszczyzny na piechotę, i to z tą ilością wody, jaką posiadał, nie mogło być nawet mowy. Ile mógłby ująć. Pięćdziesiąt, może sto kilometrów? A ile by jeszcze pozostawała do przejścia?

- A więc tak wygląda końcówka życia - powiedział głośno - ku własnemu zdumieniu poczul, że ma łzy w oczach. To nie szkodzi - pomyślał - przynajmniej mu przemyją oczy. Zlaził z pokrycia silnika.

* * *

Minęły trzy dni od przymusowego lądowania i Rzeźnik Bailey leżał pod Tomahawkim dumając nad swoim losem i marząc o lodach od Groppy'ego. W tym właśnie momencie usłyszał brzęczenie silnika. Warkot się nasilał i z drgającego od upału powietrza nad pustynią wyłonił się motocykl z przyczepką. Trwało dość długo zanim zbliżył

się na tyle, że Bailey mógł zobaczyć wymalowany na przyczepie znak Afrika Korps - palmę i pioruny układające się w swastykę. Z przyczepy wysiadł jeden z mężczyzn i oświadczył: - Jest pan naszym jeńcem. Proszę oddać broń.

- Nie mam broni - Bailey sam zdumiał się tym, jak cieniutko - ochryple brzmiał jego głos. - Oczywiście mam karabiny maszynowe, ale nie wiem, jak miałbym je oddać.

Tamci go obszukali i dali mu manierkę z wodą. Wypił połowę drobnymi łydkami i poczuł się o wiele lepiej.

- A to niespodzianka - ucieszył się.

Mężczyzna z przyczepki przedstawił się jako Hauptmann Winkler. Kierowcą był kapral, który nie znał angielskiego.

- Widzieliśmy pański samolot już z daleka - powiedział Winkler. - Odbywamy tu ćwiczenia. Przyszła jednak burza i zgubiliśmy się.

- A to pech - Bailey wylał troszeczkę wody na dłoń i przemył oczy. Teraz widział o wiele lepiej.

- Ma pan kompas? - zapytał Winkler. - Doskonale, a więc pan... Jak się to mówi?

- Poprowadzi.

- Dziękuję. Pan poprowadzi do najbliższej niemieckiej jednostki.

- To oczywiście drobiazg - zapewnił Bailey.

* * *

Teraz, kiedy poczuł się lepiej, Grek George zauważył muchy. W jakimś momencie zanieczyścił spodnie, co muchy uznały za najwspanialszy wynalazek, od czasu wynalezienia wielbłądziejego łajna. George nie zdawał sobie

sprawy z tego, kiedy mu się to wydarzyło, ale nie był tym zdziwiony. Kraksa wydarzyła się już dość dawno, a nikt przecież nie może bez końca panować nad swoim systemem trawiennym.

Muchy mogły obrzydzić życie. Kiedy im się sprzykrzyły śmierzące spodnie maszerowały mu po rękach, po twarzy, po szyi i brzęczały triumfalnie.

Zdaje się, że burza ustała, gdyż do pieczary wpadło dzienne światło. George na migi dał swoim gospodarzom do zrozumienia, że chciałby zdjąć spodnie. Jeden z Arabów podniósł go z ogromną ostrożnością. George stał by pokazać, że wraca do sił. Nogi się jednak pod nim rozjechały i Arabowie złapali go, gdy upadał na ziemię.

Niemniej mógł wyczyścić swoje spodnie, do czego użył czystego piasku, przyniesionego przez jedno z dzieci, które pomogło mu też w tym praniu na sucho. Muchom się to ogromnie nie podobało i wszystkie, z wyjątkiem kilkuset, opuściły go.

Od czasu do czasu słyszał szum silnika. Czasami były to nisko lecące samoloty, czasami jakieś pojazdy. Nikt z Arabów nie znał angielskiego, ale jeden z nich narysował na piasku swastykę i palcem dał znak, że należy zachować ciszę.

Po południu mała, poważna dziewczynka przyniosła mu zsiadłe mleko i kawałek chleba. Potem położono go na nosze. Na prawdziwe, wojskowe nosze z tym jedynie, że nieco zdezelowane, co powodowało, że nogi mu zwisały. Zapadła noc, kiedy wyniesiono go przed pieczarę. Nie było tu much. Libijskie muchy nie mają kwalifikacji by latać po nocy, co George uznał za dowód Łaski Boskiej.

* * *

Kapral prowadził motocykl i niczym innym się nie interesował. Hauptmann Winkler siedział w przyczepie i pilnował Bailey'a, który siedząc na tylnym siodełku pilnował kompasu z Tomahawka. Winkler trzymał w ręku pistolet na wypadek, gdyby Bailey chciał zaatakować kierowcę. Przez dwie godziny jechali prosto na wschód. I dobrze im się jechało. Kiedy kierowca zjeżdżał nieco z kursu Bailey naprowadzał go z powrotem. Nie było żadnego cienia. Słońce prażyło niemiłosiernie, ale jazda powodowała, że chłodził ich lekki wiaterek.

Stanęli jedynie po to, by dolać benzyny do baku.

- Tu się jedzie, jedzie, jakby się stało w miejscu - uskarżał się Winkler i miał rację. Podał Baileyowi manierkę z wodą i zapytał.

- Ile jeszcze?

- Z godzinę.

- Każda jednostka dobra. Niemiecka, włoska, nawet Luftwaffe.

- Rozumiem.

Kapral zerknął do baku i powiedział:

- *Drei liter, Herr Hauptmann.*

- Wystarczy - odpowiedział Bailey.

W godzinę potem Winkler coś krzyknął i motocyklista stanął. Słońce się obniżyło i rzucało już cienie. Winkler wylazł z przyczepy, przyjrzał się śladom, jakie ciągnęły się za nimi, sprawdził swój własny cień i powiedział płaczliwie jak dziecko:

- To wszystko niedobrze. Jedziemy na wschód, a mamy jechać na północ.

Bailey oparł ręce na plecach kaprala i westchnął: - Już za późno.

- Pan nas okłamał - kwilił Winkler. - Jest pan oficerem, a okłamał nas pan.

- Bardzo mi przykro, sir - Bailey westchnął ponownie. - A i to jest również kłamstwem.

* * *

Wojna na pustyni sprzyjała Benghazi. Był to w zasadzie arabski port, ale w 1942 r. Włosi okupowali miasto już od dwudziestu lat i Benghazi stało się małym Neapolem Afryki. W latach wojny miasto przechodziło ustawicznie z rąk do rąk, czasami i dwa razy w roku. Oznaczało to, że nigdy nie brakowało spragnionych, którzy przebywszy pustynię z zachodu na wschód lub ze wschodu na zachód pragnęli korzystać z komfortu cywilizacji i rozkoszy wielkiego miasta. A Benghazi służyło każdemu. Spaghetti z sosem było dobre tak samo dla Niemca, jak i Australijczyka. Oczywiście miasto ucierpiało nieco w czasie bombardowań, ale celem był zazwyczaj port i doki. Jeśli bombardier się pomylił, czy omsknął mu się palec, bomby mogły wylądować na innych celach, na małych restauracyjkach, czy na małym burdeliku, ale to było akceptowalne ryzyko. Jak Londyńczycy w 1940, tak Włosi w Benghazi za punkt honoru wzięli sobie obsługę klienteli. Wojna była ohydna, ale nie mogłaby być usprawiedliwieniem dla niedogotowanego spaghetti.

Maria Grandinetti dała do zrozumienia Schrammowi, że powinien zaprosić ją na kolację.- Już byłby czas byś zaczął płacić za leczenie - dodała.

- Doskonale - myślał przez kilka chwil i zaproponował. - Czasami przejeżdżam koło restauracji o nazwie „Sorrento”...

- Bardzo słusznie.
- A może wezmę cię do klubu oficerskiego?
- Nie, nie weźmiesz. - Podniosła słuchawkę telefoniczną i wykręciła jakiś numer. - Tam same mundury, a tego mam dość... *Ach Pietro, coma sta?... Benissimo, grazie. Perquesta sera...* - jej włoski był zbyt szybki, by mógł za nim podążać. Usiadł w kącie - patrzył na nią. Lubił przyglądać się jej, a nie chciał, by to zauważyła.

Odwiesiła słuchawkę i powiedziała:

- *Tutto va bene.* Kolacja zaaranżowana. Bardzo droga, ale podbiliście całą Europę i stać was na to. A teraz idziemy na obchód po oddziale. Chodź.

- Nie cierpię tego twojego oddziału.

- Co świadczy, że nie jesteś człowiekiem honoru. - Wzięła go pod rękę i wyprowadziła z pokoju.

Szła od łóżka do łóżka rozmawiając z pielęgniarkami, lekarzami, przyglądając się ranom, zadając pytania, podczas gdy Schramm starał się trzymać z tyłu. Nie chciał patrzeć na twarze cierpiących. Wystarczyło, że oddychał szpitalnym powietrzem i słyszał jęki. W pewnym momencie zwróciła się do niego.

- Paul. - Pokazała na coś leżącego na łóżku, czemu wolałby się nie przyglądać. - Wydaje mi się, że to jeden z twoich ludzi.

Wziął do ręki tabliczkę z danymi pacjenta. Debratz Kurt, Gefreiter z Luftwaffe. Ranny w dniu, w którym SAS najechało Barce. Poparzony, połamane kości, wewnętrzne obrażenia. Być może stał przy którejś z maszyn w momencie wybuchu. Podany do odznaczenia. Powody tej decyzji nieznane.

Odwiesił tabliczkę.

- Tak, to jeden z naszych - potwierdził.

- Może już nie jeden. Zapewne jakieś siedemdziesiąt procent tego jednego - odpowiedziała Maria.

Teraz musiał spojrzeć na leżącego w łóżku. Głowa i pierś były zabandażowane. Nie miał jednej nogi i jednej ręki.

- No, ten to już nie zażyje rozkoszy - mruknął ponuro.

- Nie ma problemów. Jego rozkosz zniknęła razem z jego nogą - powiedziała to z całym spokojem i rzeczowo.

- Czy mam tu coś do zrobienia? - Usiłował dostosować się do jej tonu, ale zdawał sobie sprawę, że zabrzmiało to ostro, niemal zaczepnie.

- Nic. Możesz się jedynie cieszyć, że to nie ty. - Jedna z pielęgniarek popatrzyła zdumiona, ale natychmiast powróciła do swojej pracy. Schramm miał chęć skulić się i poczuł się nagle winny. Doktor Grandinetti ruszyła jednak w dalszy obchód.

Popołudnie chyliło się ku wieczorowi tracąc na upale, energii, jasności. Zawiózł ją do jej mieszkania, gdyż, jak mówiła, chce umyć głowę. Miał świadomość, że może wejść z nią, ale skłamał i powiedział, że musi wpaść do klubu oficerskiego by sprawdzić, czy nie ma dla niego jakichś poleceń wymagających natychmiastowego działania. Ona pokiwała jedynie głową i zaśmiała się:

- Nie dasz tej wojnie wypocząć.

Wzruszył ramionami, odwrócił się i odszedł starając się nie iść zbyt szybko, na co miał ogromną ochotę.

Chociaż nakłamał, starał się być konsekwentny i rzeczywiście pojechał do Kasyna Oficerskiego. Wziął prysznic, ogolił się, oddał mundur do wyprasowania, a buty do wyczyszczenia, co wobec kurzu zalegającego Benghazi

było oczywistą stratą czasu. Wreszcie ostrzygł się i wrócił ze znacznie lepszym samopoczuciem.

Ona była już gotowa. Miała na sobie sukienkę z zielonego jedwabiu, pod szyją czerwony szalik. Była bez kapelusza, a na prawą rękę włożyła złotą bransoletkę. Czuł lekki zapach perfum, a być może była to woń jakichś wieczornych kwiatów.

- Wyglądasz doskonale - powiedział lekko schrypniętym głosem.

Koniuszki ust uniosły się jej w dyskretnym, a nieco złośliwym uśmiechu.

- Założę się, że trenowałeś to przez cały wieczór - powiedziała.

Gdy wsiedli do wozu, poinstruowała go: - Hotel „Garibaldi”. Jedź ulicą Benina, to w prawo.

Ujechał jeszcze kilka metrów i stanął.

- Tam nie możemy jechać. To kwatera główna generała Schaefera.

- Spróbujmy - uśmiechnęła się filuternie.

Hotel „Garibaldi” krył się w lasku cyprysowym. Papiery Schramma wystarczyły do tego, że przepuszczono ich przez punkt kontroli przy bramie wjazdowej. Jechali podjazdem wysypanym białym żwirem, który trzeszczał pod kołami wozu. Stanęli przed hotelem stylizowanym na budowlę mauretańską. Pojawił się żołnierz, który otworzył drzwi i pomógł wysiąść Marii.

- Co mam powiedzieć? - mamrotał pod nosem Schramm.

- Że nie boję się Schaefera - powiedziała głośno. - Oglądałam jego zdjęcia rentgenowskie i nie zamieniłabym się z nim nerkami.

Wnętrze oświetlone było dyskretnym, przyćmionym światłem. Takim, w którym goście czują się właśnie najlepiej. Niezbyt jaskrawym, ale i nie za ciemnym. Na ich spotkanie wyszedł wysoki, chudy mężczyzna ubrany jak ambasador przy brytyjskim dworze. Maria powiedziała coś, co spowodowało, że się uśmiechnął i przez chwilę przerzucali się zdaniami włoskimi całkowicie dla Schramma niezrozumiałymi. Potem pseudoambasador zaprowadził ich do jadalni, z całą pewnością nie przeznaczoną dla generała Schaefera i jego nieszczęsnych nerek. Otrzymali cichy stolik pod ścianą.

Podano wino i przystawki. Oliwki, wędzona szynka tak cienko pokrojona, że rozpływała się w ustach, pomidory, grzanki, masło uformowane w krążki w kształcie niemieckiej marki, co było niewątpliwie ukłonem hotelu pod adresem licznych niemieckich gości.

- Jak to wszystko wytłumaczysz? - zapytał ostro.

- Tylko nie takim tonem - zaprotestowała. Wzięła łyżkę i trzasnęła go w palec.

- Ty sadystko - syknął, a ponieważ ona spokojnie potaknęła, syczał dalej. - Zrób to jeszcze raz, a uduszę cię tym ohydny, czerwonym szalem. - Zaczął chuchać w uderzony palec.

- Zaczynasz zdrowieć. - I ponownie podniosła łyżkę.

Wyciągnął rękę, by złapać ją za szyję, ale w momencie, gdy jego palce dotknęły jej jedwabistej skóry, złagodniał. Ona nawet się nie poruszyła. Siedziała i patrzyła mu w oczy, a jego palce ześlizgnęły się po jej szyi na obojczyk i wyszukały puls.

- Normalny - skonstatował.

- Widzę po twoich oczach, że sprawia ci to ogromną

przyjemność.

- Mógłbym to samo powiedzieć o tobie.

- Oczywiście. Kocham życie, a to przecież jego ważna część.

- A ból, krew, śmierć? To też.

- Też. To też część życia.

- Nie - cofnął rękę. - Śmierć to świństwo. Nikt nie może kochać śmierci.

Podszedł kelner, napełnił kieliszki i odszedł.

- Za nieobecnych przyjaciół. - Podniósł swój kieliszek. - A gdzie gospodarz?

- Generał Schaefer w Rzymie. Razem ze swoim sztabem poleciał na jakąś konferencję. Potem leci do Trypolis. Nie będzie go tu przez cały tydzień.

Podano kotlety z młodego cielaka.

- Kto więc tu rządzi? Ten umundurowany facet, który cię tak serdecznie powitał?

- To Pietro, właściciel hotelu. Schaefer zatrzymał go jako zarządzającego. Kiedy generał wyjeżdża Pietro uruchamia biznes. Dlaczego miałby marnować tak doskonały hotel?

- Nie wątpię, że nie ma kłopotu z zaopatrzeniem. Występując w imieniu Schaefera...

Wzruszyła ramionami.

- Jest zarządcą, a więc zarządza.

- Jak ty dostałaś stolik? Szantażem?

- Ma pewne zobowiązania. Piętro miał przepuklinę i ja operowałam. Ty miałaś kiedyś przepuklinę? Chyba nie. Mięśnie brzucha masz wspaniale wyrobione. Ze szczególną przyjemnością badałam twoje podbrzusze. Twarde, płaskie, aż przyjemnie dotknąć.

- Ochraniam je dla pań, które na to zasługują.

- Naprawdę? Nie czekaj zbyt długo. Dostrzegłam kilka siwych włosów na twoim podbrzuszu.

Właśnie zaczął nawijać spaghetti na widelec, ale powstrzymał się i spojrzał na nią.

- Przepraszam, to nie było ładne. Nie powinnam była tego mówić - przyznała.

Potem już niewiele mówili. Jedzenie było pierwszorzędne. Podszedł Pietro i zapytał, jak smakowało. Maria chwaliła szczególnie rybę.

- Ach, sola. Zawdzięczacie ją angielskim lotnikom.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Kiedy bombardują port kilka bomb zawsze wpadnie do morza i następnego dnia rano pańska kolacja pływa po powierzchni. Tylko zebrać.

- I w ten sposób zaprzęga pan wojnę do swego interesu - stwierdził Schramm.

- To wojna wciąga mnie. Przed sześcioma miesiącami przy tym stoliku jadali Australijczycy.

- A przed rokiem?

- Ktoś ze sztabu Rommla.

- A jeszcze sześć miesięcy wcześniej?

- Zapewne Anglicy, albo Nowozelandczycy. Musiałbym sprawdzić w księdze rezerwacji. A przed dwoma laty Włosi, biskup Benghazi i szef carabinieri, i tacy tam faceci. A teraz się pan zapyta, kogo najbardziej cenilem, a ja się zapytam, jakie alkohole podać państwu do kawy?

Gdy jechali do mej do domu Schramm zaczął rozmowę.

- Czy sądzisz, że generał Schaefer ma procent od dochodu?

- Oczywiście.

- Nie potrafiłbym sobie wyobrazić, by generałowie Auchinleck lub Montgomery wchodzili w czasie wojny do spółki z restauratorem.

- Jesteś purytaninem. - Przycisnęła nogą jego nogę leżącą na pedale gazu i wóz zwiększył szybkość. - Komu to może szkodzić.

- To oszustwo.

- Naucz się brać najlepsze z życia, Paul.

Zaparkował i weszli do jej mieszkania. Podała greckiej brandy i powiedziała z całą stanowczością:

- Nie oddam ci się.

- Nie miałem takiej nadziei - mruknął. - Mogłoby ci być dobrze i nigdy nie wybaczyłybyś tego sobie.

Świeże blizny zaczęły go ponownie swędzieć i najchętniej posmarowałyby je jakąś maścią.

- Jesteś hipokrytką - powiedział. - Udajesz lekarza zatroskanego o zdrowie pacjentów, a w rzeczywistości nic się nimi nie interesujesz. Dlatego właśnie żartowałaś dziś po południu z tego biedaka... Kurta, i jak mu tam.

- Ty przecież zaczęłaś - odparowała z całym spokojem.

- Zresztą, wszystko jedno. - Zakołysał kieliszkiem tak, że wylał nieco brandy.

- Widzisz, nawet nie potrafisz się cieszyć z tego, co dobre.

- Cieszyć, cieszyć, cieszyć! A co sądzisz, że wojna to karnawał?

Kiwnęła głową uśmiechając się. Popatrzył na nią groźnie.

- To nie powinnaś być tutaj. - Przeniósł się z fotela na fotel. - Nie wolno iść na wojnę, jeśli się jej nie traktuje poważnie. - Wydawało mu się, że w jego głosie

pobrzmiewa ton głosu ojca. - Dlaczego nie pozostałaś we Włoszech i nie wycinasz migdałków? - Słowo „migdałki” świsnęło twardo, jak nóż. Był sam z siebie zadowolony, że tak efektownie to powiedział.

- Nie pozostałam we Włoszech, bo... - zamilkła, pokręciła nosem i powiedziała - Nie, już nudzi mnie opowiadanie o tym. Zapytaj Maxa.

- Maxa? Lekarza wojskowego?

- Tak, on wie.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu i patrzyli na siebie. Tuż przy jej fotelu, na trzciniowym stoliku stał przenośny patefon. Nie odwracając głowy wyciągnęła rękę i uruchomiła go. Z głośnika popłynęła jakaś powolna melodia, ale igła natrafiła skazę na płycie i stale zaczął się powtarzać jeden fragment melodii.

- Czemu jesteś taki rozwścieczony? - zapytała. - Czy dlatego, że zapłaciłeś za kolację?

- Na rany Chrystusa! - oburzył się. - W ogóle nie jestem wściekły.

- Jesteś rozsierzdzony.

- Nieprawda.

- Jesteś. Rozpiera cię złość.

- Nie jestem zły! - wrzasnął. - I na Boga zgaś ten patefon.

Wyłączyła patefon i zapytała:

- A gdybyś był zły, to co by cię rozwścieczało?

- Wywiad - powiedział szybciej, niż pomyślał. - To wszystko jedno wielkie kłamstwo. Ja jestem oficerem wywiadu. Moim atutem ma być mój mózg. Mam prowadzić wojnę mózgow. Mój Boże, gdyby człowiek miał mózg, nie byłoby w ogóle wojny i od tego należałoby

zaczynać. Wojna i mózg, to w ogóle nie idzie w parze. Wojna zajmuje miejsce mózgu. Nie ma czegoś takiego jak wojowniczy mózg. Wojna zabija mózgi, zabija inteligencję, a ja mam być inteligentny. I to jest w wojnie ohydne. - Nagle przygarbił się, twarz mu się skurczyła, a ręce ścisnęły coś, czego nie było. - Gwałt rodzi jedynie gwałt. Tacy ludzie jak ja są tu w ogóle niepotrzebni. Generalowie tolerują nas jedynie dlatego, by samych siebie oszukiwać twierdzeniem, że wojna to sztuka. Chcesz wiedzieć, czym jest wojna? Wojna to pogoń za jakimś biednym skurczybykiem i miażdżenie jego czaszki kamieniem tak, by wypłynęły mu resztki mózgu. To jedynie mózg, który się w wojnie do czegoś przydaje. I to mnie wścieka. Wścieka tak, że chce mi się rzygać.

Odczekała chwilę zanim zaczęła mówić:

- No cóż, teraz jesteś wściekły, ale nie sądzę byś był wściekły wtedy, kiedy mu tym kamieniem przyłożyłeś. Wtedy to było ekscytujące, czyż nie? Ekscytujące i przyjemne. Byłeś zdumiony tym, że sprawia ci to tyle przyjemności.

Schramm pochylił się jeszcze bardziej do przodu, łokcie oparł na kolanach, a dłońmi zakrył sobie usta.

- Skąd o tym wiesz? - Nagle poczuł ogromne zmęczenie.

- To proste. Twoje słowa opisują przerażenie, ale ton wyraża radość. Mówisz to w ten sposób, że nie ma się wątpliwości, iż sprawiło ci to przyjemność. Nie chcesz się do tego przyznać sam przed sobą, gdyż to był uczynek niegodny, a ty jesteś pełen ludzkiej godności.

Pocierał własny nos, jakby chciał go przemodelować.-

A co ty o tym myślisz? - zapytał wreszcie.

- Myślę, że miałbyś ochotę na dalsze zabijanie.

- To niemożliwe - szepnął. - Mam czterdzieści cztery lata, jestem oficerem wywiadu, do tego kulawym, a ty opowiadasz mi, że mam ochotę zabijać. Czyż to możliwe?

- A dlaczego nie? Postrzelono cię w nogę i miałeś dwadzieścia lat czasu by to przemyśleć. Chciałbyś teraz odpłacić pięknym za nadobne.

- Niewiarygodne - powiedział i przetarł oczy. - Jak mogłem przez tyle współżyć z takim maniakałnym zabójcą?

- Powtarzałam ci tyle razy. Musisz się cieszyć z życia.

* * *

Odcinek Kair - oaza Kufra, był najlepszym z całej tysiąckilometrowej drogi, jaką przebywało SAS. Lubiano ten odcinek, gdyż po wyjeździe z Kairu i po minięciu piramid trasa wiodła na południowy zachód, a wtedy znikало się z oczu wszystkich. Przez trzy, czasami przez cztery następne dni jechało się przez pustynię, nie spotykając żywej duszy. Czasami pierwszego dnia można było w oddali zobaczyć jakiegoś Araba, a potem kilku nad źródłem Ain Dalla, gdzie patrole tankowały krynicznie czystą, wspianiałą wodę. Ain Dalla leżało na wschodnim brzegu wielkiego Morza Piasków, którego falista powierzchnia ciągnęła się przez następnych pięćset kilometrów. Szczyty tych fal wznosiły się na sto, nawet sto trzydzieści metrów w górę.

Można było objechać Morze Piasków od południa, ale oznaczało to konieczność pokonania ogromnego półkola i patrole SAS brały kurs prosto na Kufre, w poprzek tego suchego Morza. W 1940 r. patrol szperaczy wojsk pustynnych oznakował tę drogę kamieniami i pustymi

kanistrami. Odcinek liczył sto osiemdziesiąt kilometrów i był cholernie trudny do pokonania. Żar i pustka powodowały, że człowiek gubił się na tej zakazanej ziemi. Nie wiedział, czy jedzie w dół, czy w górę, na południe, czy na północ. I gdyby nie oznakowanie patroli nie mogłyby

jechać tym skrótem. Czasami grzęzły w łachach sypkich piasków. W najlepszym razie wykopywały się dosyć szybko, w najgorszym trzeba było wypakować to, co znajdowało się na wozie i tak wyjechać na twardszy grunt.

Koniec skrótu oznaczony został Wielkim Kopcem, który wznosił się na pięć metrów i od horyzontu po horyzont był najwyższym wzniesieniem. Teraz Sahara przechodziła w drugą skrajność. Stawała się płaszczyzną ciągnącą się przez ponad siedemdziesiąt kilometrów. I ta płaszczyzna kończyła się dopiero na drugiej odnodze Morza Piasków, zwanej Calanscio. Od Wielkiego Kopca patroli SAS skręcały niemal prosto na południe i przekraczały niewidzialną linię granicy między Egiptem a Libią. Przebywano jeszcze dwieście kilometrów i wjeżdżano do Kufry.

Patrol Lamparda nie spieszył się. Lubili tę część drogi. Rozkazy otwarte zostaną dopiero po opuszczeniu Kufry, a więc na razie nic ich nie poganiało i o nic nie trzeba się było martwić.

Najprzyjemniej było wieczorami. Palono ognisko, śpiewano, jedzono, opowiadano kawały. Jeśli nie mieli ochoty na rozmowy, mogli patrzeć na gwiazdy, a takich gwiazd nie wymyślono nigdzie na świecie.

* * *

Major Jakowski obudził się na godzinę przed wschodem słońca rześki i pełen wiary w siebie. Był pewien, że są we właściwym miejscu o właściwym czasie, prowadzeni niezawodną wolą Opatrzności. Miał świadomość, że od siebie i od ludzi wymaga wiele, ale nagroda za te trudy będzie wspaniała. Zastanawiał się, czy przypadkiem nie ryzykuje, ale nie uświadamiał sobie jakichś elementów ryzyka.

W czasie śniadania, jakie konsumował z Rinkartem i Schneebergerem dał im opis taktycznej sytuacji.

- Będziemy się posuwali na wschód, aż przetniemy drogę brytyjskiemu patrolowi, a ten posuwa się wawozami z południa na północ

- A może z północy na południe - zasugerował Rinkart. - Z meldunków nadesłanych z Benghazi, to w ogóle nie wynika.

- Jazda na południe nie ma sensu. Na północy nie zanotowano ostatnio aktywności wroga. O wiele bardziej prawdopodobne jest, że posuwa się z południa z myślą o zaatakowaniu nas nad wybrzeżem.

- To dlaczego idą przez Calanscio? - zdumiewał się Schneeberger. - Dlaczego sami sobie utrudniają życie?

- Bo na otwartej pustyni nie czują się bezpiecznie. Może już słyszeli o nas. Nie wiem i nie mam zamiaru się tym przejmować. Ważne jest to, że oni ciągną na północ, a my na wschód i musimy przeciąć im drogę. Wtedy rzucimy się za nimi, dogonimy i zniszczymy w bitwie. Nie ma dla nich ucieczki. Nie wyglądasz na przekonanego, Rinkart.

- A jeśli wroga nie ma tam, gdzie my zakładamy? A może zaczął się gdzieś za wydmami i czeka na nas?

- Rozważyłem i tę możliwość. Z naszych informacji

wynika, że patrol brytyjski jest trzydzieści kilometrów stąd - dlatego przez najbliższą godzinę będziemy się posuwali na wschód, a potem wyślemy jeden pojazd na zwiady.

Jeszcze panował półmrok, kiedy kierowcy zaczęli zapuszczać silniki. Jakowski lubił ten dźwięk. Był to mocny, żołnierski, krzepiący głos rozpraszający ciszę tego przeklętego miejsca.

- Jeśli będziemy robili piętnaście kilometrów w godzinę, to około południa siądziemy nieprzyjacielowi na ogonie. - oznajmił radośnie major.

- Jeśli Benghazi się nie myli i jeśli Schneeberger się nie myli, i jeśli gwiazdy się nie mylą, to być może tak - odpowiedział Rinkart.

- Powinieneś być zostać motorniczym w tramwajach. - Jakowski szturchnął go w pierś. - Chciałbyś wiedzieć, dokąd dojedziesz, jeszcze zanim ruszyłeś. Na wojnie tak nie bywa.

- Tramwaje mają swoją dobrą stronę, panie majorze. Mogą jechać w obu kierunkach. Do przodu i do tyłu.

Jakowski patrzył przez chwilę na szczyt zbocza różowy od pierwszych promieni niewidocznego jeszcze w wąwozie słońca.

- Zastanawiasz się, jak by się stąd wydostać - powiedział

- Możemy w walce stracić nasze środki transportu - przyznał Rinkart.

- To by znaczyło, że przegraliśmy i musimy ponieść tego konsekwencje. Nie mam jednak zamiaru przegrywać... A tam, co się stało?

Te ostatnie słowa skierowane były do sierżanta Nockena, który biegł w ich kierunku krzycząc, że jeden z samochodów złapał gumę.

- Czego się drzesz, przecież słyszę. Naprawcie natychmiast! - Darł się jeszcze głośniejszym głosem Jakowski.

Zmieniono koło, ale nastąpiły awarie w trzech innych wozach. W jednym instalacji elektrycznej, w drugim zatkał się gaźnik, w trzecim pękł przewód paliwowy.

- Jak to dobrze, że się to stało zanim ruszyliśmy - skomentował sierżant Nocken. Major Jakowski popatrzył na niego jak na wiejskiego idiotę. Stojący o pięćdziesiąt metrów od nich Bruno czuł, jak po plecach zaczyna mu ściekać pot.

- Tam, skąd pochodzę, jest wodospad. Wielki wodospad - powiedział.

- O rany, już o tym mówiłeś! - zdenerwował się Oskar - Oszczędź.

- Można było pod nim siadać i moczyć się.

- Przestań!

- A woda leciała na ciebie i leciała. To wydaje się teraz niepojęte.

Rinkart zaczął szukać Schneebergera i znalazł go w wozie, jak ponury wykreślał przebytą przez nich trasę na mapie.

- Posuwamy się do przodu? - zapytał.

- Chyba tak, tylko nie jestem pewien w jakim kierunku. W zależności od tego, który z kompasów używam, dostaję inne wyniki. Popatrz. - Wyjął jeden z kompasów z pudła, w którym było ich kilkanaście i poczekał, by igła ustabilizowała się.

- Magnetyczna północ - powiedział, czy na pewno? - Wyszedł z wozu i przeszedł dziesięć kroków. Igła odchyliła się o piętnaście stopni. - A może to jest magnetyczna północ?

Rinkart wyjął mu z rąk kompas, chuchnął na szkło i wyczyścił brzegiem koszuli.

- Sądzę, że oba wskazania nie odpowiadają prawdzie. To szmelc.

Schneeberger wyjął kompas z rąk Rinkarta i cisnął go w kierunku najbliższej wydmy.

- Czy one wszystkie takie? - pytał kapitan.

- Właściwie każdy pokazuje inaczej.

- Wygląda na to, że jakiś gruby kwatermistrz z Luftwaffe wcisnął nam szmelc.

Wrócili do samochodu i usiedli na otwartej pace bagażnika.

- A nie możesz nas prowadzić według wskazania gwiazd? Namierzyć naszą pozycję sekstansem czy czymś podobnym?

- Tak pracują żeglarze. W lotnictwie używa się astrolabiów. Nie mam ani jednego, ani drugiego, a gdybym miał to i tak nie wiedziałbym, jak się nimi posługiwać. Na kursie z nawigacji gwiazdnej byłem tak słaby, że chcieli mnie wyrzucić.

- A więc dochodzimy do sedna sprawy. Jesteś złym nawigatorem i w efekcie zgubiliśmy się.

- Nigdy się tu nie prosiłem - mruknął obojętnie Schneeberger. - Dlaczego ty się za to nie weźmiesz. Wiesz o tym dokładnie tyle, co i ja.

- Czy mówiłeś o tym Jakowskiemu?

- A co by to zmieniło?

- Zapewne nic. Dla niego liczy się jedynie to, że pchamy się w poprzek tych przeklętych wydym na wschód.

Naprawa wozów zajęła godzinę.

- Musimy nadrobić tę godzinę - powiedział Jakowski

swoim oficerom. - Wszyscy jadą za mną i nikt się nie zatrzymuje. Żadnego siąkania nosem, objadania się i podziwiania widoków ze szczytów wydm. Są pytania?

- A jeśli będziemy mieli awarię którejś z maszyn? - spytał Rinkart.

- Wóz zostawiamy i zabieramy w drodze powrotnej. - Jakowski spojrzał na Schneebergera, ale ten był zajęty ostrzeżeniem ołówka - I trzymać się jeden blisko drugiego. To kolumna bojowa, a nie wycieczka. Razem wjeżdżamy na zbocza i razem zjeżdżamy. Porządek i dyscyplina. To recepta na zwycięstwo. Jedziemy!

Wszyscy byli zadowoleni z tego, że ruszono. Zbocza forsowano techniką

Nockena. Rozpędzano wozy i ostro wjeżdżano pod górę. Na szczytach wydm nie stawano, ale natychmiast zjeżdżano. Do głosu doszedł instykt stadny. Razem ruszono, razem rozpędzano się i tłumnie wspinano na zbocza.

Jakowski jechał w najlepszej maszynie, w małym, terenowym wozie prowadzonym przez sierżanta Nockena. Major na dodatek popędzał kierowcę, krzycząc:

- Gazu, Nocken. Czego się boisz?

I Nocken usłuchał. Samochód jak rakieta wdzierał się na szczyt wydm, a kiedy zaczęli zjeżdżać prawie leciał w powietrzu. Jakowski obracał się i patrzył jak zza wydm wyłaniają się jeden za drugim samochody jego kolumny i jak narciarze zaczynają natychmiast zjazd w dół. Wspaniały widok. Doskonała szarża do przodu. I Jakowski pomrukiwał w uniesieniu:

- Świetnie, świetnie!

Jadący w środku kolumny Rinkart przestał się

zamartwiać. Jakowski realizował swój plan i nic nie mogło już tego zmienić. Siedząc obok kierowcy w ostatnim wozie Schneeberger patrzył w kompas i ustawicznie usiłował wyliczyć ich pozycję. Zadanie wydawało się być niewykonalne, ale to przecież było jego obowiązkiem.

Tymczasem Nocken odkrył coś niezwykle interesującego. Każdy wydma była inna. Po jednych jeździło się lepiej, po drugich gorzej. Wyższe i bardziej strome wcale nie były trudniejsze do pokonania. Nocken zauważył, że niższe i nie tak strome wydmy są najtrudniejsze. Różnica polegała na nawierzchni. Z jakichś powodów niższe wydmy pokryte były miękkim piaskiem, w którym zapadały się koła, podczas gdy te wyższe miały twardą nawierzchnię, doskonałą do jazdy wozami. Oczywiście zdarzały się wydmy za strome i trzeba było szukać lepszego fragmentu zbocza. Nocken nauczył się oceniać powierzchnię wydm i wiedział z jaką szybkością i pod jakim kątem należy je atakować. Był uradowany własnym okryciem i postanowił, że na następnym postoju podzieli się nim z majorem. W tym jednak czasie Nocken dokonał jeszcze jednego, ważnego odkrycia na temat kształtu wydm na Morzu Calanscio.

Forsowali kolejne zbocze i, jak poprzednio, Jakowski popędzał go, by jechał szybciej. Osiągnęli linię szczytu i nie zatrzymując się runęli w dół. I w tym właśnie momencie Nocken miał ułamek sekundy by się przekonać, że ściana wydmy opada właściwie pionowo w dół. Ich wóz znalazł się nagle w powietrzu. Silnik zawył, gdyż koła nie znajdowały oporu, i to był ostatni dźwięk, jaki Nocken słyszał w swoim życiu. Wóz przeleciał trzydzieści metrów i zarył u podnóża

pionowej ściany. Kierowca, ze zmiażdżoną przez kierownicę piersią wyleciał jak z katapulty. Jakowski poleciał za nim i z potrzaskanym kręgosłupem wpadł między kamienie.

W ich ślady poszły następne wozy. Porządek i dyscyplina. Ciężarówki jedna po drugiej wdzierały się na szczyt, zaczynały zjazd i natychmiast spadały w przepaść. Pod ścianą zaczęła rosnać kupa rozbitych wraków. Los ten spotkał dwanaście ciężarówek, potem ambulans, wóz łączności i wóz z zapasami paliwa. Rinkart nie żył. Bruno nie żył. Oskar usiłował łapać powietrze w zmiażdżone płuca. Wóz z paliwem eksplodował.

Kierowca kolejnego samochodu usłyszał wybuch, ale nie zdążył już zahamować. W niebo wzniósł się słup czarnego dymu. Następny samochód zatrzymał się o niespełna dwa metry od brzegu przepaści. Kierowca wyskoczył i spojrzał w dół. Nie wierzył własnym oczom. Kupa wraków, która zaczynała właśnie płonąć. Wybuchła załadowana na wozy amunicja. Wokół leżały pokręcone ciała, z wyjątkiem jednego, które toczyło się po zboczu aż na dno wąwozu.

Porucznik Schneeberger stał się z konieczności dowódcą tego, co pozostało z Oddziału A. Trzy wozy i pięciu ludzi. Tym na dole nie można było już nic pomóc, zanim nie wygasł pożar i nie przestała wybuchać amunicja. Schneeberger kazał wydać żołnierzom rum, co uznał za najmądrzejszą decyzję, jaką kiedykolwiek podjął. Potem pozbierali rannych i pochowali zabitych. Kraknę przeżyło jedynie pięciu, a wieczorem żyło już tylko dwóch.

* * *

Kontynuowano ataki, lecz ani Luftwaffe, ani włoskie lotnictwo nie podejmowały patroli. Na niebie nie pojawił się ani jeden myśliwiec przeciwnika. Natomiast wzmocniono obronę przeciwlotniczą i coraz częściej Tomahawki powracały z dziurami, które trzeba było łątać. Atakowano z coraz niższego pułapu i w dywizjonie krążył dowcip, że niektóre z dziur zadane zostały niemieckimi bagnietami. Wszystko to razem jednak nie było zabawne. Samoloty zużywały się, silniki zaczynały wysiadać, broń pokładowa zaciniała się.

Tymczasem Fanny martwił się tylko tym, że nie udawało się sprowokować Luftwaffe. Zwołał odprawę pilotów i zapytał:

- Macie jakieś pomysły?

- A co powiedzielibyście na latanie nocą? - spytał Patterson. - Nie damy im spać, co ich rozwścieczy.

- Myślisz by do tego, co już robimy, dodać jeszcze nocne loty?

- Tak. Luftwaffe robiła to nam we Francji. Bombardowali noc po nocy. Ani chwili wypoczynku. Szybciej czy później musisz się usrać, bez względu na to jak jesteś silny.

- Nie mogę sobie tego przypomnieć - powiedział Barton i patrzył, jak zbliża się adiutant z jakimiś papierami do podpisania. - Wujku, ty byłeś w Pont St. Pierre, kiedy tam trwał ten cyrk. Czy nas tak ochrzcili, że dostawaliśmy drgawek?

- Oczywiście, że nie - zaprzeczył Kellaway. - Chłopcy byli w znakomitej formie, a cały dywizjon przeszedł przez to z podniesionym czołem - podał Bartonowi papiery i pióro do podpisania.

- Bzdura - zaperzył się Patterson. - Niektórzy faceci nie mogli utrzymać kubka z kawą, by nie rozlać połowy.

- Przesada - Kellaway był oburzony. - Wredne plotki Francuzów.

Barton z aprobatą pokiwał głową.

- Nie przypominam sobie, by mi coś przeszkadzało się wysypiać, Pit. Byłem zresztą zbyt zmęczony, by przejmować się takimi głupstwami, jak spadające bomby.

Patrząc jak Barton podpisuje podsunięte mu pisma Patterson miał wielką ochotę powiedzieć: Ty też należałeś do tych, co nie mogli utrzymać kubka z herbatą w ręce, Fanny, a to było jeszcze przed zachodem słońca, a Bóg jeden wie co było, kiedy zaszło słońce... Pomyślał sobie, że jednak lepiej przemilczeć i jedynie wzruszył ramionami.

- I tak nie możemy uderzać w nocy - włączył się Pinky Dalgleish. - Musimy widzieć cele.

- Nie myślałem o uderzaniu - prostował Patterson. - Mówiłem o tym, by polatać nad celem i zmusić flak do strzelania. Chodzi o to, by nie dać skurwysynompospać. - Miał żal sam do siebie za to, że wysunął taki pomysł. I tak nikt nie zwracał na niego uwagi.

- Wierni! - Niemal wykrzyknął Kellaway, a kiedy wszystkie głowy zwróciły się do niego, przemówił: - Wierni, tak określam postawę dywizjonu we Francji. Cholernie, niezłomnie wierni i nieprzejednani wobec Niemców. Taki był cały dywizjon.

- Połowa dywizjonu - poprawił go Skull. - Połowa dywizjonu zachowała wierność, drugą połowę strącono. - Zauważył w tym momencie grymas dezaprobaty na twarzy Kellaway, a więc dodał: - Prawda nie znika po prostu dlatego, że się jej nie chce dostrzegać. A Francja... to było

jedno wielkie gówno. Byliśmy...

Kellaway wpadł mu w słowo.

- Byliśmy dumni z naszego dywizjonu. W każdym razie ja byłem dumny i jestem do dziś. Ludzie ginęli, ale nie bez celu.

- Nie? Lepiej by zrobili, gdyby sobie popodrzynali gardła. Byłoby i tańsze i mniej bolesne.

- To co mówisz jest ohydne.

- Wojna jest ohydna.

- Zamknijcie się! - nakazał Barton. - Gówno mnie obchodzi rok 1940. Chciałbym wiedzieć, co mamy robić teraz.

- Wiecie, co by się przydało do naszych ataków? - Wrócił do tematu Dalglish. - Kilka bombek. Kilka gustownych stukilówek, które narobiłyby zdrowego huk.

- Wiesz przecież, że nasze maszyny nie są przystosowane do przenoszenia bomb - powiedział Barton.

- Powstaje jednak pytanie, czy nie można ich dostosować. Zajmę się tym. To nie jest głupi pomysł.

- Czasami myślę sobie, że najboleśniej trafilibyśmy Niemców, gdybyśmy uderzyli w ich zaopatrzenie - zaproponował Patterson. - Szczególnie w żywność i w wodę. Pomyślcie, co my byśmy czuli, gdyby ich Me 109 ustawicznie niszczyły nasze cysterny z wodą?

- Chciałoby się nam pić - uśmiechnął się Barton - ale sama myśl niegłupia. Ich cysterny z wodą są wielkie, wolne, zapewne nie mają eskorty. Tak zrobimy. Trzeba uderzać w najczulsze miejsca. - Dostarczę wam mapy z naniesionymi na nie studniami i punktami rozdziału wody - włączył się Skull. - Nie ma tego tak wiele i powinno być łatwe do wychwycenia.

- To śmieszne, ale mieliśmy dokładnie taki sam problem z Niemcami w czasie przerw w walkach w 1917 r. - powiedział adiutant. - Po prostu nie pokazywali się i wreszcie jeden z naszych poleciał nad lotnisko, gdzie, jak wiedzieliśmy, stał Richthofen i zrzucił wezwanie. Czekam na ciebie tu i tu jutro o takiej a takiej godzinie. Facet nazywał się Somerset. Tommy Somerset. A w ogóle był kuglarzem. Potrafił takie sztuczki, że rzeczy znikają. Ja tego nigdy nie potrafiłem... - Kellaway uśmiechnął się do własnych wspomnień.

- I co, pokazał się? - zapytał Barton.

- Richthofen? Nie, całkowita klapa.

- Rozumiem - Barton powiedział stanowczym głosem. - Dziękuję wszystkim. Zobaczymy się potem.

- A jeśli chodzi o Tommy'ego, to wpadł pod autobus na Piccadilly - oznajmił Kellaway. - A może to było na Regent Street. Podawano raz tak, a raz tak.

- Bywa - skomentował filozoficznie Skull.

Piloci odeszli, a pozostał Skull. Adiutant spojrzał na niego, potem przeniósł wzrok na dowódcę i postanowił też jeszcze chwilę pozostać.

- Książę Wellington... - zaczął Skull.

- Książę Wellington nie był pilotem myśliwskim, a więc nie interesuje nas, co mówił.

Nie speszony Skull ciągnął, patrząc na Kellawaya:

- Książę Wellington mówił, że wojna polega na tym, by dowiedzieć się to, czego ty nie wiesz, analizując to, co wiesz.

- To dla mnie za mądre, stary.

- Trzeba zgadywać co jest po drugiej stronie wzgórza. Tak to nazywał książę.

- Nie muszę niczego zgadywać - denerwował się Barton.
- Latam po drugiej stronie wzgórza dwa razy dziennie i dokładnie widzę, co Niemcy robią.

- Czy możesz też zobaczyć, co myślą?

- A ty możesz? - wtrącił się Kellaway.

- Mogę próbować - odparł Skull. - Zacznijmy od tego, co wiemy. Wiemy, że Niemcy nie są durniami. Kiedy zacząłeś ich atakować, a ataki te nie stały się częścią generalnej ofensywy, musieli zadać sobie pytanie, dlaczego to robimy. Wiemy, że Afrika Korps to doświadczone i twarde wojsko. Atakowane było wiele razy. Nie załamie się dlatego, że atakuje je dywizjon podstarzałych Tomahawków. Wiemy też, że efekty naszych ataków są coraz bardziej mizerne.

- Nieprawda, zmykają, jak króliki - odszczeknął się Barton.

- Z raportów wyłania mi się odmienny obraz. Co najmniej jeden na trzy, a może i na dwa cele, to makiet. Niemcy kapują o co ci chodzi, Fanny. Wystawili obserwatorów w pustyni wystarczająco daleko, by ostrzegali swoich i kiedy wy uderzacie, tamci są już w okopach. A wy wlatujecie w ogień flaku.

- A skąd ty o tym wszystkim wiesz? - warczał Barton.

- Zastanawiam się nad tym, co my byśmy robili, gdyby nas atakowano każdego dnia.

Barton naburmuszył się.

- To jedynie dowód na to, jak im boleśnie dokładamy - powiedział - I nie wierzę tym wszystkim bzdurom na temat makiet. A gówno! Co to ma być, wojna, czy polowanie na kaczki?

Zapanowała cisza, która przeciągała się tak długo, że

Kellaway zaczął się niepokoić. Wreszcie bąknął:

- Moglibyśmy zapytać w Grupie o opinię, co myślicie?

- Nigdy! - Barton walnął otwartą dłonią w stół tak mocno, że ziarenka piasku wyskoczyły ze szpar i szczelin. - To byłby idiotyzm. Mamy być samodzielni. Jak zaczniemy pytać, natychmiast obsadzą mną wakat dowódcy stacji meteo na Grenlandii. Nie! - Ponownie walnął ręką w stół, na którym ponownie podskoczył piasek.

- Tak sobie tylko pomyślałem - usprawiedliwiał się adiutant.

- Zresztą, to nie ma najmniejszego znaczenia, co myśli Grupa, albo ja, albo wy. Liczy się, co myśli przeciwnik - powiedział Skull. - A popatrz, Fanny, nie wysyłają patroli myśliwców i zapewne nie wyślą.

- Za szybko rezygnujesz. Zabawa jeszcze się nie skończyła.

- Już się skończyła, Fanny. Ukłuleś, a tamci nawet nie podskoczyli.

- Bo ukłułem nie dość silnie. Jak ukłuję teraz, to podskoczą. Zobaczysz.

- Oni ciebie mogą ukłuć. Są gotowi i czekają. Chyba rozumiesz. I rozumiesz, ile mieliście do tej pory szczęścia.

- Szczęście to poziom dywizjonu - odpowiedział Barton. Adiutant znał doskonale ten zimny, ostry ton. Oznaczał, że dowódca zbliża się do granicy swojej cierpliwości. Usiłował to jakoś zasygnalizować oficerowi wywiadu.

- Nie można manipulować przeciwnikiem - mówił tymczasem Skull. - Już czas by się zastanowić, Fanny.

- A gówno. Zastanawiam się cały czas i nie wątpię, że jeszcze jedno dobre uderzenie, a niebo zaroi się od Me 109.

- No cóż, jeśli tak uważasz - Skull przetarł oczy.

- Nie gniewaj się, ale tak właśnie uważam.

- Jasne. - W głosie Skulla po raz pierwszy odezwał się ton zniecierpliwienia. - W tym zmiennym i niepewnym świecie, to twoje przekonanie to jedyna pewna rzecz. Rób, co uważasz.

- Ach, wynoś się. - Nakazał Barton. - Jesteś jak wrzód na dupie, Skull. Nie latasz i byłeś jedynie tak wysoko, jak możesz podskoczyć, a pouczasz mnie, co mam robić. Wynoś się, mam tego dość.

- Rozumiem, zepsułem ci nieco krwi.

- Odprawa skończona - oznajmił stanowczo adiutant i wziął Skulla pod rękę. - Chodź, potrzebuję ekspertyzy w sprawie moich nowych latryn. - Pociągnął go za sobą.

- Zróbcie to sumiennie. Może wam zająć i cały dzień. A potem napiszcie mi obszerny raport - zawołał za nimi Barton.

Nie odwracając głowy Kellaway machnięciem ręki dał znak, że rozkaz został przyjęty. Równocześnie mruknął:

- Niech ma swoje ostatnie słowo, ostatecznie to jego dywizjon.

I rzeczywiście pomaszzerowali do najbliższej latryny. Jeszcze po wybuchach unosił się tu zapach prochu.

- Wygląda na to, że uparłeś się, by ponownie dać się wysadzić z siodła - powiedział Kellaway.

Skull zastanowił się nad tym, co usłyszał, kopnął jakiś kamyczek do dołu i odpowiedział:

- Nie mam twoich talentów dyplomatycznych, Wujku.

- Pieprzona dyplomacja. Pozwól, że ci coś powiem. Gdyby nie Fanny, tego dywizjonu już by nie było. Chłopców odwołano by do Kairu, dostaliby kilka lekcji rozpoznawania samolotów i już przewoziliby Hurricany

Szlakiem Takoradi. Niezbyt piękny koniec dywizjonu o tak pięknych tradycjach.

- Takoradi, mówisz. Takoradi... - kolejny kamień kopnął do dołu. - Takie miały być decyzje?

- Taka była decyzja. A chyba nie przypuszczasz, że chłopcy woleliby przeprowadzać Hurricany, być może ze zamontowanymi odwrotnie skrzydłami, na odległość sześciu tysięcy kilometrów ponad najdzikszy rejon Afryki, gdzie nawet krajowcy nie chcą mieszkać, a jak ci maszyna wysiadzie, a ty przeżyjesz lądowanie, możesz godzinami czekać na kolejny autobus numer dziewięćdziesiąt dziewięć.

- Który i tak będzie zapewne przepelniony - dodał Skull.

- Zapomniałem o czym mówiłem - i rzeczywiście adiutant poczuł z przerażeniem, że ma w głowie całkowitą pustkę. - Co my tu właściwie robimy?

Skull błędnie zrozumiał pytanie.

- Jak na mój gust, to za głęboki. - Kopnął w dół jeszcze kolejny kamień. - Mówiłeś o tym, co woleliby chłopcy.

- Ach, tak. Z całą pewnością nie Takoradi. Zapytaj sam. Nie wstąpili do sił pustyni RAF, by stać się teraz szoferami dalekobieżnych autobusów.

- Tak. - Kolejny kamień wleciał do dołu. - Fanny uratował dywizjon przed Takoradi, w zamian za co mają się tu wykrwawić na śmierć. Czy nie tak?

- Nie i uwierz, że robi to w interesie całego dywizjonu. Na miłość boską przestań wrzucać kamienie do mojej latryny! - Adiutant wpadł dosłownie w furję. Wskoczył do dołu, porwał wrzucone tam kamienie i zaczął nimi ciskać w Skulla. - Na Boga, jeśli nie potrafisz niczego porządnie zrobić, ty pieprzony inteligencie, to przynajmniej nie psuj!

Skull zwiął. Nigdy jeszcze nie widział, by Kellaway stracił nad sobą panowanie. Był zaszokowany i zastanawiał się nad tym, co takiego zrobił, że tamten tak się zdenerwował. Adiutant był zawsze spokojny i opanowany, i musiało coś być rzeczywiście nie w porządku, jeśli się aż tak wściekł.

* * *

Spędzili dwa kolejne dni w innej jaskini, po czym przenieśli się na pustynię do namiotów. Grek George mógł już chodzić, choć prawe kolano miał nadal spuchnięte i sztywne. Nadal bolały go żebra, szczególnie ostro, kiedy kichał.

Siedział w cieniu namiotu i grał w kości z malutką, zawsze poważną dziewczynką. Była nim zafascynowana i z uwagą śledziła każdy jego ruch.

Można teraz było gotować i jedzenie stało się lepsze. Dostał gotowane jajka, małe, ale smaczne i mięsiste, czarne oliwki. Od czasu do czasu zabijano kozę czy owcę i świętowano objadając się gotowanym mięsem. George poczuł się lepiej. Nauczył się kilku arabskich słów. Kwaśne mleko, to *leben*. Jakiś rodzaj kaszy osmażanej w maśle, to *esh*. Przewodnik to *khabir*, a wróg *nasrani*. Informator to *kebir*, a skała *gilf*. W miarę upływu czasu poznawał coraz więcej słów.

* * *

Skull przyjrzał się informacji na temat źródeł, studni i zasobów wody u nieprzyjaciela i odesłał ją do dowódcy. Sam nałożył nową płytę na patefon i po chwili popłynęły

dźwięki jakiegoś szlagieru.

O 11.00 Barton wezwał go na odprawę pilotów.

- Startujemy za pół godziny - mówił dowódca. - Ja prowadzę eskadrę B, a Sneezy jest moim partnerem. Gdy wchodzimy nad cel rozbijamy się na dwójki i szukamy konwojów wody i cystern. Pinky, ty bierzesz resztę eskadry A i uderzasz na zbiorniki z paliwem. O tutaj - pokazał na mapie. - Mechanicy wymienili wam amunicję. Dostaliście pociski zapalające i przeciwpancerne. Zróbcie skurwysynom taki fajerwerk, by go nie mogli ugasić przez tydzień.

- A co, jeśli eskadra nie znajdzie zbiorników z wodą? Mamy cele zastępcze? - pytał Patterson.

- Nie ma. Szukajcie. Musicie znaleźć! - powiedział z naciskiem Barton.

- Czy mamy absolutną pewność, że są tam te zbiorniki, sir? - zapytał Dalgleish, a to „sir” zdumiało Skulla i Pattersona.

- Oczywiście, że jestem pewien. Coś jeszcze?

Dalgleish zaczął składać mapę. Wszyscy zauważyli, że się w tym dniu ogolił, co było czymś niezwykłym. Przypatrując się mu z profilu Skull ocenił, że miał najwyżej dwadzieścia cztery lata. Jak na dowódcę eskadry, to było sporo. W tym wieku, albo się już nie żyto, albo się awansowało. Zauważył też, że tamten patrzy gdzieś w przestrzeń niewidzącymi oczami, co robiło dziwaczne wrażenie.

- Byliśmy już przedtem nad Sidi Zamzam - powiedział tymczasem Dalgleish głosem bez wyrazu. - Byliśmy tam już... ile razy?

- Trzy razy w zeszłym tygodniu - odpowiedział Barton.

- A więc już tam na nas czekają - mruknął Dalglish.
- Nie - zaprzeczył stanowczo Barton. - Są przekonani, że tu się już nie pokażemy. Nie wierzą, byśmy się odważyli, a my ich wykiwamy. Przechytrzymy ich, zobaczysz.
- Ich flak zgotuje tam nam piekło... - Dalglish wyprostował się.
- Nie, zabrali stamtąd flak. Jest teraz tu, tu i tu - pokazał jakieś bliżej nieokreślone punkty na mapie.
- Czwarte uderzenie w ciągu sześciu dni. Nie ujdzie nam to na sucho.
- To fantastyczna okazja, Pinky. Jeden dobry kopniak w dupę i zaraz się popłaczą.
- Tam flak jak cholera - upierał się Dalglish nadal monotonnym głosem. - Tak, to nam nie ujdzie.
- Jeśli nie czujesz się na siłach, powiedz, ale nie pieprz. Nie czujesz się dobrze? - zapytał Barton.
- Nie wiem - podniósł głowę i patrzył Bartonowi prosto w oczy. - Przypuszczam, że za chwilę się dowiem. - Twarz ociekała mu potem, a Skull przez chwilę zastanawiał się nad tym, czy to nie łyż. Dalglish nagle wstał i wyszedł.
- Na dziesięć minut przed startem wszedł do namiotu adiutanta i wręczył mu owinięty w papier gruby zeszyt.
- To mój pamiętnik - powiedział. - Lepiej, abyś go spalił.
- Pamiętnik? - Kellaway znał już to puste spojrzenie Dalgleisha. Widywał takie oczy i u innych pilotów. - Mam go spalić? Jak sobie życzysz drogi, Pinky.
- I trzy podpisane, niewypełnione czeki. Mam jakieś długi w Kairze i trzeba uregulować mój dług w kantynie.
- Wszystko załatwię.

- Trzy listy do Anglii. Trzeba nakleić znaczki. Tu kilka zdjęć. Mogą się przydać kiedyś do historii dywizjonu.

- Rzeczywiście.

- Wszystkie rzeczy zapakowane. A to, Wujku, dla ciebie. - Podał mu mały scyzoryk w srebrnej oprawce.

- Dziękuję ci bardzo, ale... - nie dokończył jednak, gdyż Dalglish odwrócił się i wyszedł z namiotu.

A potem z hukiem startowali i odlecieli na zachód.

Kellaway i Skull obserwowali to, każdy ze swojego namiotu. Kiedy szum silników rozpląnął się w pustce pustyni adiutant wyszedł i podreptał do namiotu Dalgleisha by się przekonać, że rzeczy osobiste chłopca były rzeczywiście popakowane, poukładane, a łóżko zrolowane i ustawione w kącie. Wnętrze namiotu było puste i adiutant pomyślał: „Skąd on miał tę pewność”. Nie po raz pierwszy jednak spotykał się z tym, że pilot przed odlotem porządkował swoje rzeczy i swoje sprawy. Wiedział, że nie należało tego ani lekceważyć, ani robić z tego dowcipów. Prawem pilota było przewidywanie własnego losu.

Pomyślał, że powinien pójść do Skulla i zapytać go o cele tego ataku, ale usłyszał dźwięki szlagieru z Dzikiego Zachodu i zrezygnował.

* * *

Chociaż raz nawigacja nie stwarzała porucznikowi Schneebergerowi problemów. Kierował się położeniem słońca. Z mapy wynikało, że Morze Piasków Calanscio ciągnęło się z północy na południe. Posuwali się więc na zachód, a kiedy wyjdą z Calanscio, skręcają na północ i dojadą do domu. Proste i jasne.

Problemem Schneebergera było natomiast przekonanie

kierowców, by szybko i odważnie podjeżdżali pod zbocza wydm. Trzeba było mieć silne nerwy, by nie zdejmować nogi z gazu, kiedy wóz dojeżdżał na samą linię szczytu. Wszyscy mieli przecież przed oczami ten straszliwy obraz katastrofy, jaka zdziesiątkowała ich oddział. Schneeberger tłumaczył, że jechali po własnych śladach, a więc nic im nie mogło zagrażać. Kierowcy potakiwali, a kiedy podjeżdżali do linii szczytu, hamowali, wozy grzęzły, trzeba się było wycofywać i ponownie rozpętać.

Tracili czas i marnowali paliwo. Niektórzy zjeżdżali ze śladów i usiłovali podjeżdżać, pod niższe wydmy, gdzie droga wydawała się łatwiejsza. Szybko jednak doświadczyli tego, o czym uprzednio przekonał się sierżant Nocken, a więc grzęzli w sypkim piasku. Koła obracały się w miejscu i wóz trzeba było wyciągać. Znowu marnotrawstwo paliwa i czasu.

Tę jazdę w górę i w dół, jak w górskiej kolejce w lunaparku, źle znosili obaj ranni. Obaj też zmarli, w odstępach dziesięciu minut jeden po drugim i pochowano ich we wspólnym grobie. Schneeberger odczytał krótką modlitwę ze służbowej książeczki i pojechali dalej.

Pech nie może człowieka prześladować wiecznie i wszyscy poczuli ulgę, gdy natrafili na cysternę z wodą, którą pozostawiono jadąc na wschód. Pozostało ich już niewielu, nie mieli potrzeby oszczędzania wody. Odbyli więc orgię picia wody. Niektórzy nawet oblewali się, a Schneeberger nie interweniował.

Wyruszyli w dużo lepszych nastrojach. Chcieli wziąć z sobą cysternę, ale zakopała się pod ciężarem wody. Kierowca próbował ruszyć do przodu, ale kiedy się mocował z wozem i usiłował wyrwać z tej pułapki

piasków, rozległ się trzask i cysterna przychyliła się na jedną stronę. Pękła półośka, co było nie do zreperowania. Schneeberger wydał więc przed odjazdem rozkaz:

- Napełnić wszystko, co się da, łącznie z żołądkami.

* * *

Było za gorąco na jakąkolwiek pracę. Rozgrzane powietrze stało nieruchome, ciężkie. Kellaway usiłował przeczytać listę członków obsługi naziemnej, przedstawionych do awansów, ale kartki papieru przylepiały mu się do spoconych dłoni. Muzyka dolatująca z namiotu Skulla, umilkła i w obozie zapanowała cisza. Kellaway na chwilę oparł czoło na spoconych rękach i zdrzemnął się. Kiedy się ocknął, nie miał pojęcia, jak długo spał. Dwie minuty? Dwadzieścia? Jego zegarek stanął.

Tak nie może być. Chłop musi wiedzieć, która godzina. Adiutant otarł kilka kropelek potu z czoła i wyszedł z namiotu, by popatrzeć na słońce. Ono nie może stanąć. Na nim można polegać. Patrzył, patrzył i nie potrafił ocenić, która godzina. W pobliżu nie było nikogo, kogo można by zapytać.

W czasie operacji wokół lotniska 181 wystawiano obserwatorów. Żołnierze siedzieli na piramidach starych beczek po paliwie i mieli podnosić alarm, gdyby się cokolwiek zbliżało, w szczególności, gdyby to był Tomahawk ciągnący za sobą smugę dymu. Kellaway mozolnie podreptał do jednego z takich punktów obserwacyjnych, a gdy dotarł do celu zapomniał, o co chciał zapytać.

- Niezbyt wiele widać? - zaczął.

- Niezbyt, sir - zgodził się żołnierz.

Z pewnym zdziwieniem przyglądał się adiutantowi, który łąził dookoła posterunku, a potem stanął i wpatrywał się w równą linię horyzontu.

- Lornetka w porządku? - zainteresował się Kellaway.

- Całkowicie w porządku. - Wzruszył ramionami. - Zresztą i tak nic przez nią nie widać, tylko grających za magazynem. - Przyłożył lornetkę do oczu i przypatrywał się przez chwilę, po czym stwierdził: - Kapral Barber dostał trzy króle. Ma szczęście sukinsyn.

- Co? - dopytywał się Kellaway. - Gdzie? - Wziął lornetkę od żołnierza i skierował ją na namiot, w którym mieścił się magazyn. Zobaczył grającą grupę. W cieniu namiotu sześciu mężczyzn siedziało wokół rozłożonego na ziemi koca.

Pośrodku leżała kupka pieniędzy. Z twarzy można było odczytać, że są przejęci grą i zadowoleni.

Adiutant ruszył w ich kierunku. Żołnierz zawołał za nim prosząc, by mu oddał lornetkę, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Maszerując w kierunku magazynu adiutant mruczał do siebie:

- Wszystko w porządku... Wszystko absolutnie... ale kto za to wszystko odpowiada? Biedny, cholerny adiutant i nikt inny... - przestał pomrukiwać, kiedy podszedł do grających. Ci na jego widok wstali.

- Łamiecie regulamin, rozumiecie! - wrzasnął w kierunku kaprała.

- Co, proszę? - zaskoczony kapral Barber nie potrafił pojąć o czym mowa.

- Gracie? Nie zaprzeczajcie, widziałem. - Zamachał rękami. - Na lotniskach RAF nie dopuszcza się uprawianie jakichkolwiek gier hazardowych. Złamaliście paragraf 252.

Wszyscy.

- Tak jest, sir - odpowiedział Barber. Nikt inny się nie odezwał. Byli zaskoczeni i zdumieni, że właśnie adiutant ich straszył i oskarżał. Było to do niego całkiem niepodobne. Regulaminy RAF-u tu, na pustyni, zostały całkowicie zapomniane. Wszyscy wiedzieli, że obsługa naziemna w chwilach wolnych od pracy grywała w karty, tak samo, jak piloci grywali w pokera i nikt się tym nie interesował. Niektórzy z żołnierzy kiwali głowami, by odpędzić muchy, co wyraźnie rozłościło Kellaway, gdyż nieoczekiwanie wrzasnął :

- Baczość!

Żołnierze znieruchomieli, a on zaczął ich okrzykiem:

- Jesteś niestosownie ubrany! - ryknął na mechanika, który miał na sobie poplamione szorty i buty z cholewami. Stanął przed nim i zaczął go lustrować od stóp do głowy.

- Tak, niestosownie - powtórzył i dodał: - A oczy są za blisko jedno, drugiego. Trzeba je wymienić. - Zignorował chichot pozostałych i zajął się ich butami.

- Brudne, zakurzone, obdarte. Nędza. Tak wyglądają buty żołnierza? Macie być zawsze przygotowani, jak na paradę! Jesteście zbyt wielkimi łajzami, by stawiać was pod sąd. Kapralu, przynieść mi karabin, mam zamiar ich rozstrzelać.

- Tak jest, sir - w głosie Barbera słychać było niepewność i wahanie,

- Sześć karabinów i łopaty.

- Tak jest - i Barber zniknął z pola widzenia.

Po chwili Kellaway zauważył, że tamci ciągle jeszcze stali na baczość.

- Spocznij - wydał komendę. - Tu nie będziemy się

bawili w takie gówna, jak dyscyplina. Zresztą i tak jestem jedynie starym adiutantem i to wszystko. Szukam teraz porucznika Dalgleisha. Gdzie on może być?

- Leci, sir - powiedział jeden z nich. - Wszyscy są w powietrzu.

- Aha - ta informacja jakby zaskoczyła Kellawaya. - No cóż, to cholernie niewygodnie. Jak mam mu oddać jego listy, jeśli on wozi teraz swoją dupę pod niebem?

- Czerwona rakietą, sir - przerwał mu jeden z ludzi i wskazał na zachód.

Daleko, nad pustynią czerwony punkcik opadał powolnym łukiem. Był to sygnał, że któryś z obserwatorów dostrzegł jakiś niezidentyfikowany pojazd, zapewne wrogi.

- Niczego nie słyszę - zdumiał się adiutant.

- A ja słyszę, ale bardzo odległy i słaby szum silnika.

- Taak? To lepiej przygotujmy się na najgorsze.

Oczywiście obrona lotniska, nawet przed niewielkim oddziałem wroga, nie była możliwa, a instrukcje na taką okoliczność przewidywały wysadzenie w powietrze zapasów paliwa i amunicji oraz jak najszybszą ucieczkę. Zapuszczono więc natychmiast silniki samochodów, a grupka graczy rozbiegła się.

Kapral Barber pognął do Skulla, poinformował go o jakimś obcym pojeździe i dodał, że adiutant znajduje się w stanie, w którym nie mógłby wydawać rozkazów. I w ten sposób Skull stał się dowódcą jednostki. Rzut oka na pustynię z dachu pojazdu Bartona przekonał go, że pustynia jest pusta i nic się na niej nie dzieje, z jednym wyjątkiem. W oddali widać było powoli przemieszczający się niewielki

tuman kurzu. Skull wysłał Barbera by ten powstrzymał

grupę sapereską od minowania i wysadzania czegokolwiek.

W kilka minut później przed adiutantem zatrzymał się niemiecki motocykl z przyczepką i rozległ się głos Rzeźnika Bailey'a:

- Halo, Wujku. Popatrz, wziąłem do niewoli całą niemiecką armię. W każdym razie dwóch pierwszych. To dobry początek, nie sądzisz? To Hauptmann Winkler.

- O, jak się masz? - ucieszył się Kellaway. - Czy byłbyś tak łaskawy i powiedział mi, która godzina?

Odpowiedzi nie było, a jedynie Winkler pokiwał głową ze zdumieniem i z dezaprobatą. Wszyscy zaczęli się już zbiegać, by przyjrzeć się tej niecodziennej scenie. Na lotnisku 181 było mało rozrywki, a tu nieoczekiwane taki cyrk!

- Czy mógłbym, Wujaszku, dostać nieco herbaty? - dopominał się Bailey. - Nawet dużo herbaty.

- Oczywiście, ale tak ubrany, nie możesz iść do kantyny, człowieku. Gdzie jest twój kapelusz?

- Mój kapelusz? - Bailey był zaskoczony. - Mój hełm pilota? Zgubiłem, Wujku. Jakieś trzysta pięćdziesiąt kilometrów stąd. Na pustyni.

- To lepiej szybko wracaj i przynieś. - Adiutant wpadł nagle w straszliwy gniew. Zobaczył żołnierza z karabinem i wyrwał mu go z ręki. - Znasz karę, jakiej podlega żołnierz nie ubrany właściwie w obliczu wroga! - krzyczał i zaczął się mocować z zamkiem karabinu.

- Ostrożnie, sir, naładowany - ostrzegał sierżant.

I w tym właśnie momencie pojawił się Skull z lekarzem.

- Hej Wujku, czyżby nas zaatakowano? - zapytał.

- Sam popatrz, co się dzieje - Kellaway karabinem wskazał na Bailey'a i Niemców.

- Tak, ale nie powinieneś do nich strzelać. Żadnego z nich. Muszę najpierw zebrać od nich meldunki. Tego wymaga regulamin. Wiesz przecież.

- No tak - adiutant wyglądał na zdecydowanie rozczarowanego. - To zastrzeżę jego. - Wymierzył w stronę doktora.

- Mam dużo lepszy pomysł - zaproponował skwapliwie lekarz. - Jeśli chcesz wyrządzić rzeczywistą szkodę wrogowi, to dlaczego nie rozwalić tego świństwa? - Pokazał na motor z przyczepą.

Kellaway oddał pięć strzałów do motocykla. Wszystkie chybiły. Echo wystrzałów rozległo się po pustyni.

- Tak, to ich nauczy. Doskonale, Wujku - powiedział lekarz i objął go ramieniem.

- Nie widziałeś Pinky'ego? Obawiam się, że jego zegarek stanął - mówił adiutant do lekarza, który zaczął prowadzić go w kierunku swego namiotu, a po drodze odebrał mu karabin. Idąc oddał go pierwszemu napotkanemu żołnierzowi.

Skull z Baileyem i jeńcami poszedł do oficerskiego namiotu. Niemcy przyjęli kubki z herbatą, ale Winkler odmówił odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania.

- On jest bardzo przygnębiony - wyjaśniał Bailey. - Zgubili się i byli przekonani, że ja zaprowadzę ich do domu. Teraz się dąsa i zapewne będzie naburmuszony już do śmierci.

- Wielka szkoda - żałował Niemca Skull. - Wygląda na miłego faceta.

- Nie, to oficer wywiadu. I tak niczego nie wie i nie rozumie. Gdzie wszyscy?

- Dywizjon w pracy. Zaginął Grek George. Nie powrócił

z tej samej operacji, co i ty.

- To być może pojawi się jutro.

Powrócił uśmiechnięty lekarz.

- Jak się czujesz, Rzeźnik? - zapytał.

- Doskonale, świetnie. O wiele lepiej niż jeszcze wczoraj, kiedy siedziałem pod moją maszyną i czekałem, by zjawił się ktoś i mi ją zreperował.

- Dziesięć minut temu ja czekałem właściwie na to samo - powiedział lekarz.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, z wyjątkiem Niemców.

- A co z Wujem? - zainteresował się Skull.

- W moim namiocie. Wpompowałem w niego szklanę rumu i zgasł, jak lampka. Jeszcze pił, a już zasypiał. Nie jest chory, jedynie przemęczony.

- Choroba pustynna. Za długo siedzi na Saharze - domyślał się Bailey,

- *Wustenkrankheit* - zauważył nieoczekiwanie Winkler.

- A więc tak. Los go dopadł - stwierdził Skull.

- Rzeźnik, dlaczego nie pójdziesz się przespać? - zapytał lekarz.

- Chciałbym zobaczyć, jak łąduje dywizjon.

- No to już niedługo zobaczysz - Skull podniósł kubek z herbatą i w tym momencie dobiegł ich daleki warkot silnika. - No, już ich masz. A nie mówiłem. - Wstał, i obaj jeńcy również zerwali się na nogi. Podniósł się również Bailey wyraźnie ożywiony.

- Chodźcie ze mną - rozkazał.

Kapral posłusznie ruszył w jego ślady, a za nimi Skull i lekarz. Winkler natomiast nie ruszył się z miejsca.

- Chodź, znajdę ci potem jakiś namiot - zachęcał go Skull.

- Ktoś musi nieść moją torbę - Winkler miał ze sobą niewielki worek zamykany na zamek błyskawiczny. - Jestem oficerem i jeńcem wojennym. Konwencja Genewska zapewnia mi tego rodzaju traktowanie.

- A kto to przyniósł? - zapytał Skull i sam sobie odpowiedział. - Kapral. Jak przyniósł, może nosić dalej. - Patrzyli na siebie przez chwilę, wreszcie Skull burknął: - Proszę mu powiedzieć, pan włada niemieckim lepiej, niż ja.

- Nie mam prawa mu rozkazywać. Jest waszym jeńcem.

- Pan chce, abym ja kazał mu nieść pański bagaż?

- Jemu lub komukolwiek innemu. To leży w pańskiej gestii.

- Proszę zostawić tu ten głupi worek. Zajmiemy się nim potem. - Musiał teraz podnieść głos, by przekrzyczeć warkot silników.

Winkler potrząsnął głową.

- Zgodnie z Konwencją Genewską mam prawo...

Zamilkł, gdyż ryk silników i gwizd stawały się ogłuszające. Podniósł głowę i nadśluchiwał przez chwilę, potem wrzasnął:

- Messerschmitt! - I dał nura pod stół

Skull odwrócił się i zobaczył, że ludzie zaczęli tak szybko uciekać, że spod ich butów unosiły się fontanny kurzu. Odezwała się niewidoczna artyleria przeciwlotnicza, ale jej wybuchy natychmiast przytłumił grzmot silników Me 109 atakujących

z wysokości kilku zaledwie metrów. Skull nigdy jeszcze z tak małej odległości nie widział nieprzyjacielskich myśliwców. Migały czerwone błyski wystrzałów z karabinów umieszczonych w skrzydłach, dym ciągnął się za samolotami, widział twarze pilotów. Wszystko to trwało

ułamki sekund i samoloty tak nagle, jak się pojawiły, tak równie nagle zniknęły. Widowisko wspaniałe, a jednocześnie pełne grozy. Ten ochrypli, morderczy, wierzący w uszach ryk!

Skull odwrócił się, by powiedzieć coś do Winklera, ale namiot był pusty.

- O Boże! - wyrwało mu się i nagle coś się ruszyło pod stołem. Schylił się. Niemiec leżał rozplaszczony na podłodze. Skull poczuł ulgę. Utrata jeńca byłaby kompromitacją.

- Już odlecieli - powiedział. Winkler wysunął głowę spod stołu, wskazał na coś i dał ponownie nura. Skull odwrócił głowę i zobaczył cienkie sylwetki czterech Me 109 lecących prosto na niego. Nie leciały w jednej linii. Każdy pilot prowadził maszynę na nieco innej wysokości, przy czym samoloty poruszały się nieznacznie w dół lub w górę, jakby tasowały się. Natomiast ogień otworzyły jednocześnie. Dwadzieścia karabinów ostrzeliwało lotnisko rozciągające się przed Skullem i oficer wywiadu ze zdumieniem zobaczył czyjeś ciało toczące się po piasku i wyraźnie popychane pociskami. Zapaliła się jedna z ciężarówek. Słysząc było trzask pękających beczek po paliwie. Jeden z rzędów namiotów zawalił się, jak ścięty kosą. Skull stał jak sparaliżowany i nie był w stanie wykonać najmniejszego ruchu, choć jeden z Me 109 wydawał się celować prosto w niego. W tym momencie Winkler podciął mu nogi i Skull jak pień runął na ziemię. Gdy już leżał, usłyszał krzyk Niemca:

- Chcesz popełnić samobójstwo?

Z przeciwnego kierunku nadleciała inna eskadra Me 109. Słysząc było wyraźnie wystrzały ich armatek i coś

nagle gruchnęło. Skull miał wrażenie, że usiłuje głową wkręcić się w piasek. Usta miał pełne ziemi, jakby chciał wygrzeć dziurę w podłodze oficerskiego namiotu.

Kolejny atak nie trwał dłużej, niż czterdzieści sekund. Ich armatki przeciwlotnicze przestały strzelać. Kilka było zniszczonych. Niemieckie myśliwce rozdzieliły się teraz i atakowały parami. Ostrzeliwały lotnisko i znikwały, zanim artyleria była w stanie wycelować. Kiedy jedna para odlatywała, pojawiała się druga z innego kierunku, kiedy ta znikwała, z nieba spadała kolejna, by w kilkanaście sekund potem rozpląnąć się w błękanie. Wspaniały pokaz sztuki lotniczej, precyzji, taktyki, odwagi i mistrzowskiego pilotażu. Kiedy Me 109 uformowały się ponownie w eskadry i odleciały, pozostawiły za sobą lotnisko 181 w chaosie i gruzach.

W dziesięć minut potem pokazał się pierwszy z Tomahawków. Była to para Pit Patterson i Kit Carson. Natychmiast zatankowano ich baki, załadowano im amunicję i wystartowali na patrol w rejonie lotniska. Me 109 mogły się ponownie pokazać, a dywizjon bezpośrednio po wylądowaniu był właściwie całkowicie bezbronny. Do końca dnia utrzymano patrole nad lotniskiem.

Na pasach pozostawały jedynie trzy maszyny.

Z eskadry B nie powrócił Mick O'Hara. Z eskadry A zaginęli Pinky Dalglish, Tiny Lush i Billy Steward. Właściwie nie zaginęli. Hick Hooper wiedział dokładnie co z nimi. Nie żyli.

Tak jak nie żył Rzeźnik Bailey. To jego ciało widział Skull, kiedy pod ogniem karabinów maszynowych toczyło się po lotnisku. Po zakończeniu ataku Skull podszedł do ciała i rozpoznał je. Muchy już zdążyły się nim zająć. Skull

zdjął swoją bluzę i nakrył nią ciało kolegi.

* * *

Kapitan Lessing wcale nie był zdziwiony, kiedy Oddział A Jakowskiego nie stawiał się w umówionym czasie na umówione miejsce. Wiedział, że jest we właściwym miejscu, gdyż zanim udał się w pościg za brytyjskimi patrolami pozostawił tu jeden samochód ciężarowy. Pościg nie był owocny, gdyż nie natrafili na ślady patroli przeciwnika, a sierżant Voss przez pół dnia walczył z kompasami i mapami, by doprowadzić ich na miejsce zbiórki. Dwa razy nie trafili, a i nie trafiliby i za trzecim razem, gdyby któryś z żołnierzy nie zauważył ciężarówki na horyzoncie. I mieli szczęście, gdyż Voss był już tak roztrzęsiony, że nie mógł wykreślić prostej linii na mapie.

Kucharz wydał każdemu po pół kubka soku cytrynowego, co było przeciętnym przydziałem w Afryka Korps. Lessing odebrał swój kubek i odszedł na bok z porucznikiem Fleischmannem tak, by mogli porozmawiać bez świadków.

- Stawiam tysiąc do jednego, że Schneeberger maszeruje obecnie jednokierunkową ulicą Starego Chartumu idąc pod prąd.

Ten dowcip wydał się Lessingowi tak śmieszny, że położył się za ziemię i rechotał bez pamięci. A był to bez wątpienia objaw stresu. Fleischmann dumny sam z siebie usiadł obok i uśmiechał się. Wreszcie Lessing otarł oczy.

- Mój Boże - powiedział. - Znowu to samo. Musimy na nich czekać.

- Jak długo? Wody mamy na sześć dni i trzy dni drogi do Bengahzi.

- Wiem, wiem.

- Pozostaje nam radio - przypomniał Fleischmann. - Jeśli zaczniemy nadawać sygnały, operator Jakowskiego wyliczy, gdzie jesteśmy i może ich do nas doprowadzić.

Lessing wstał i przeciągnął się. Na wojnie prowadzonej na pustyni miało się tak cholernie mało ruchu. Trzeba było stale siedzieć w wozie i zamartwiać się.

- To ostateczność - zdecydował - Co jeszcze moglibyśmy zrobić?

Zdecydowali wreszcie, że w nocy jedna z ciężarówek ustawiona w kierunku Calanscio będzie paliła reflektory, a w dzień tlić się będzie pojemnik z ropą wypuszczając wąską smugę czarnego dymu. Oczywiście ludzie Schneebergera nie zauważyli żadnego z tych sygnałów. Byli w całkiem innym miejscu i podążali w całkiem innym kierunku.

* * *

Palące się samochody wypchano na pustynię i tam je pozostawiono. Podoficerowie sprawdzali stany swoich pododdziałów. Odnaleziono i rozbrojono niewypały. Ponownie ustawiono namioty. Doktor miał ręce po łokcie we krwi, gdy na progu szpitalnego namiotu stanął Barton.

- Za dziesięć minut - powiedział lekarz nie patrząc w jego stronę.

- Nie spiesz się. Już nie ma po co.

I rzeczywiście w dziesięć minut potem wchodził do wozu dowódcy wycierając ręce ręcznikiem, roztaczającym zapach środków dezynfekcyjnych.

- Trzech zabitych, siedmiu ciężko rannych. Dwóch nie dożyje wieczora. Poza tym szereg zadrapań i drobnych

kontuzji.

- Gdzie Wuj?

- W swoim namiocie, zamroczony. Dałem mu rumu. - Doktor zastanawiał się, co powiedzieć i zdecydował, że lepiej z tym poczekać. - Lepiej pozostawić go w spokoju - dodał.

- Jeśli tak mówisz. A więc jedynie pięciu zabitych.

- Nie mów „jedynie”, każdy z nich był czymś synem.

Barton chrząknął i kontynuował:

- Nie najlepiej to świadczy o strzeleckich umiejętnościach facetów z Luftwaffe, nie sądzisz? Sfora Me 109 nie napotyka najmniejszego oporu i nie wystrzela nawet dwucyfrowej liczby.

Doktor był zaskoczony, pokręcił głową i zapytał:

- Czy to właśnie zamierzasz powiedzieć nad grobem w czasie pogrzebu? To lepsze niż ten utarty zwrot o prochu, co zamienia się w proch.

- Nic nie zamierzam powiedzieć. Zrobi to Wujek.

- Nie jest w formie.

- Do jutra wróci do formy, nie sądzisz?

- Może. Trupy jednak nie wrócą. Radzę pogrzebać je jak najszybciej, bo zaczną śmierdzieć. Ty wiesz, co dzieje się z mięsem na pustyni.

W dziesięć minut później jeden z rannych żołnierzy przestał oddychać. Drugi beznadziejnie i bez sensu czepiał się życia. Mieli więc cztery ciała do pochówku. Każde z nich owinięto w brezent wycięty ze zniszczonych namiotów i położono na wyjęte z samochodów tylne pokrywy. Każdego niosło czterech żołnierzy. Nie na ramionach, a w rękach, jak niesie się nosze. Sierżant wydał ściszym głosem rozkaz i pochód ruszył w kierunku dołu.

Dzień dobiegał końca. Dwa ostatnie Tomahawki wylądowały właśnie i umilkł warkot ich silników. Nad lotniskiem, nad miejscem, w którym odbywał się pogrzeb, nad pustynią zapadła martwa cisza.

Zebrali się wszyscy, obsługa naziemna i ochrona lotniska, kucharze, łączność, personel medyczny. Oficerowie stali w zwartej grupie. Patrzone w milczeniu jak żołnierze przynieśli i złożyli na ziemi ciała zawinięte w brezent. Niektóre z pakunków przesiąknęły krwią. Niosący ciała wycierali teraz ręce w piasek. Potem dołączyli do grupy oczekujących.

Fanny Barton wystąpił i odczytywał z kartki:

- Porucznik pilot Martin Bailey, kapral James Carter, mechanik Victor Pettiman oraz sierżant John Smith - opuścił rękę z kartką. - To byli nasi koledzy i przyjaciele, teraz nie żyją. Polegli w akcji w służbie dla kraju. - mówił wolno rozciągając słowa, gdyż nie miał wiele do powiedzenia. - Nie muszę nawet wspominać, jak bardzo byli oddani swoim obowiązkom, jak byli dzielni. Oddali to, co oddamy wszyscy. W tym nasza siła. - Usiłował gwałtownie coś jeszcze wymyśleć, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Powtórzył więc - Byli naszymi kolegami i przyjaciółmi. - Za jego plecami zrobiło się jakieś zamieszanie, ale starał się nie zwracać na nie uwagi, i mówił - A teraz musimy odprowadzać ich na wieczny spoczynek.

- Nie! - usłyszał głos adiutanta, który stał teraz tuż za nim.

Czapkę miał przekrzywioną, bluzę zapiętą krzywo i trzął się ze zdenerwowania. - Nie w moim dole na latrynę,

jeśli nie ma pan nic przeciwko, sir.

Całkowicie zaskoczony Barton powiedział:

- Na miłość boską, Wuju.

- W niebiesiech niech sami rozwiązują swoje problemy sanitarne, sir. A te tutaj, są moje.

- Każcie się ludziom rozejść! - polecił Barton starszemu sierżantowi.

- Chodź ze mną, Wujaszku - powiedział doktor do adiutanta. - Zrobimy sobie drinka.

Kellaway nie dał się jednak odciągnąć, natomiast zaczął się z uwagą przyglądać ciałom, po czym oświadczył: - Ja znam tych ludzi.

- Czas na kolację, Wujku. Idziemy? - usiłował odwrócić jego uwagę Skull.

- Czy zebrałeś od nich meldunki? - chciał się dowiedzieć Kellaway.

- Nie martw się, Wujaszku. Zapewniam, że wszystko odbyło się zgodnie z regulaminem.

- A, to ogromna różnica. - Tu adiutant zwrócił się z wyraźną pretensją do Bartona. - Pan tego nie powiedział, sir. - I ponownie mówił do Skulla. - On o tym nie mówił. Ty jesteś dobrym facetem, Skull. - Podał mu rękę. - Jak wykituję, możesz iść do mojej szkoły. Będzie ci się podobało, zobaczysz. Mnóstwo książek, obrazków... - i odeszli razem prowadząc ożywioną rozmowę.

Barton poczekał, by Kellaway znalazł się wystarczająco daleko i wtedy rozkazał.

- Szybko zasypywać, zanim ten wariat nie zmieni zdania.

Z zapalem machano łopatom, a piasek wkrótce przysypał ciała.

Na kolację był wołowy gulasz, a potem kompot morelowy z puszek. Barton zjadł szybko i wstając powiedział:

- Pit i Skull.

Poszli w trójkę do wozu dowódcy, gdzie ten napełnił trzy szklaneczki rumem. Wypili.

- Wojna zniszczyła mi smak albo rum się pogorszył - skomentował Skull.

- Rzeczywiście ohydny - potwierdził Barton, nalał im ponownie i ponownie wypili.

- No, więc udało się - mówił Barton powtarzając czynność nalewania. - Mówiłem wam, że poskutkuje. Jeszcze jeden dobry kopniak w dupę i wybuchnęli płaczem. Mówiłem wam.

- Nie mówiłeś nam, a Pinky'emu - poprawił Pit.

- A ten się nie zgadzał - dodał Skull. - Twierdził, że nic z tego nie wyjdzie. To świństwo staje się coraz gorsze. - Podniósł szklaneczkę z rumem.

- No i miał rację - powiedział Pit.

- A gówno! Zmusiliśmy Luftwaffe do podjęcia lotów. Od miesiący nie widzieliśmy Me 109. Zagrało! - Barton był wyraźnie uradowany i dziecinnie podniecony.

- I faktem jest, że ty ich nadal nie widziałeś. Widzieliśmy my wszyscy, którzy byliśmy na lotnisku. Nie wy.

- I Bogu dzięki - mruknął Pit. - Gdyby przylecieli o dziesięć minut później lub gdybyśmy wrócili o dziesięć minut szybciej... - wypił jednym haustem swój rum. - Byłem już bez amunicji i kończyło mi się paliwo. Wolę nie myśleć, co by było...

- Ach, aleśmy ich przechytrzyli, czyż nie? Przelecieli

taki kawał drogi, by nam dołożyć, a tu fiasko! - Barton był najwyraźniej rozradowany. - Przebyli szmat drogi, jak na Me 109. Potraktowali Dywizjon „Szerszeń” z należytą powagą. - Wyszczrzył zęby jak komiksowy tygrys.

- Żal mi Pinky'ego Dalgleisha - mruknął Pit. - Nie znałem go zbyt długo... ale to był swój chłop. - Określenie kogoś pojęciem „swój chłop” było w Siłach Pustyni najwyższą pochwałą.

- Oczekuję, że jutro powróci - powiedział Barton. - A może pojutrze. Tak jak Rzeźnik.

- Nie powinieneś być tego mówić, Fanny - zauważył Skull. - Obejrzałem sobie Rzeźnika. Brak mu połowy głowy.

- Nie bądź sentymentalny - zdenerwował się Barton.

- Nie będę, jeśli ty nie będziesz. Pinky nigdy nie wróci. I Tiny Lush nie wróci i Billy Stewart też nie. Nie żyją. Hick widział to bardzo wyraźnie. Widział, jak trzy Tomahawki dosłownie rozleciały się w powietrzu, a trwało to wszystko nie dłużej, jak dziesięć sekund. Zdał mi z tego dokładną, drobiazgową relację i wierzę w każde jego słowo. Mógłbyś więc zaoszczędzić nam tej sentymentalnej gadki o trupach maszerujących przez pustynię. - Skull dolał sobie rumu. - Ohydny, ale przeczyszcza genialnie - skomentował.

- Jestem zdecydowany zamordować swoją żonę - oświadczył Patterson. Pochylił się nad stołem i mówił z całą powagą, nie żartując. - Jak tylko znajdę się w Kairze, zabiję krowę.

- Nie krępuj się - powiedział do niego Barton. - Kiedy już będziesz to załatwiał, to zabij i moją.

- A to ty jesteś żonaty? - zdumiał się Skull.

- Skutek alkoholizmu. Ciągali mnie w Anglii po

knajpach i w ogóle nie trzeźwiałem, aż pewnego dnia obudziłem się żonaty z czymś, co miało na imię Enida. Nogi jak u żyrafy, cyc jak Mont Blanc, ale nie znosi latania.. Po prostu nie toleruje.

Chciała, bym i ja zrezygnował. Zyg, zyg, zyg... Pan Bóg wie co z nią teraz.

- Wielki Boże - Skull nie był w stanie przełknąć tej wiadomości. - Ja mam kuzynkę imieniem Enida. Gra znakomicie na organach.

- Nie umywa się do mojej Enidy - Barton ponownie napełnił ich kieliszki, a ponieważ kończyła się butelka, uspokajał ich. - Mam jeszcze w zapasie.

- To nie jest mądre by zabijać swoją żonę - stwierdził Skull.

- Co z nią nie w porządku? Brzydka? - zainteresował się Barton.

- Jest tak piękna, że ściska w dołku - odpowiedział Pit. Wyprostował się teraz i zaczął płakać, nie zwracając najmniejszej uwagi na to, że na niego patrzają.

- A więc o co chodzi?

- Facet, którego nazywamy Dumbo Silk... - Pit wysiakał głośno nos. - Lataliśmy razem i popijali razem. Zestrzelił Me 109, który mi siedział na ogonie, o czym nie wiedziałem. Najlepszy pilot, jakiego kiedykolwiek widziałem.

- Dumbo Silk - zastanawiał się Fanny. - Tak, spotkałem go w barze „U Tommiego” i to kilka razy. Buźka, jak z chłopięcego chóru kościelnego. Opowiadał mi najpiquantniejsze kawały, jakie w życiu słyszałem. Przeszedł do Beaufightersów, czy nie?

Pit potakiwał głową. Przestał płakać, choć na policzkach

pozostały ślady po łzach.

- Pewnego dnia wróciłem do domu, a ona mi powiedziała, że telefonowano. Załatwili Dumbo. Byłem całkowicie rozbity. Nigdy nie przychodziło mi do głowy, że mogą go dostać. Był na to... za dobry.

Fanny milczał. Słyszał już podobne wypowiedzi. Bywał przy tym, gdy przychodziły tego rodzaju wieści, które wydawały się nieprawdopodobne, niewiarygodne i widział, jak młodzi chłopcy w ciągu kilku minut przeobrażali się w starców. Raz i jego samego to spotkało. Dawno, przed laty.

- To niemiłe przeżycie - powiedział natomiast Skull. - Może nie tok straszne jak picie tego plugastwa, niemniej... - Popłukał sobie usta rumem i przełknął go. - I co dalej?

- Byłem nie do życia. - W głosie Pita odezwała się gorycz. - Nie mogłem się utrzymać na nogach. Usiadłem na dywanie - płakałem jak dziecko.

- Wielu by tak postąpiło - stwierdził Skull. - To całkiem normalne.

- Jej się to nie spodobało. Poszła się wykąpać, a kiedy wróciła, ja leżałem w łóżku, całkiem rozbity i półprzytomny. A tej się właśnie wtedy zachciało miłości. Mnie to nie było w głowie. A ta powiedziała, że bardziej kochałem Dumbo niż ją. - Z oczu ponownie popłynęły mu łzy. - I na Boga, ona miała rację.

Geraldo wsadził łeb do wozu.

- Spieprzaj - warknął Fanny i cisnął w koguta pustą butelką, ale nie trafił. - Spieprzaj i zryj własne gówno.

- No i czym to się skończyło? - Chciał się dowiedzieć Skull.

- Awanturą i draką - Pit pokazał bliznę na policzku. - To ślad po jej pierścionku. Uwiodła jakiegoś kapitana z

intendentury, a ja wyrzuciłem przez okno jej rzeczy. Teraz opowiada, że jest w ciąży i domaga się pieniędzy.

- Z intendentury? - Skull zrobił zbolaną minę - Mój Boże!

- Cóż to za ulga znaleźć się z powrotem wśród swoich na froncie, gdzie człowiek czuje się jak w domu - dodał Fanny.

- Tak jest, tak jest. - Pit nalał sobie rumu.

- A mówiąc o froncie - zaczął Skull - to nasz jeniec... Tak dziękuję, jeszcze kapeczkę, by nie przemarznąć... A więc nasz Hauptmann Winkler zapewniał mnie, że Wehrmacht wcale nie przejmuje się twoimi atakami. A w rzeczywistości, im częściej uderzasz, tym mniej wyrządzasz szkód.

- I oczekiwałeś że właśnie coś takiego ci opowie, czyż nie? - w głosie Fanny'ego wyczuwało się zdenerwowanie.

- Dlaczego?

- A on kłamie. I wiesz dlaczego? Gdyż chce byśmy przestali. Billy i ja zdziesiątkowaliśmy batalion piechoty. Zaskoczyliśmy ich w czasie parady i zrobiliśmy masakrę. Nie mów mi więc...

- Zapytałem o to Hauptmanna.

- No i co on na to?

- Zakazano parad na pustyni. Już ich tak nigdy nie zaskoczą. Ani ty, ani Billy.

- Billy już nikogo nie zaskoczy - wtrącił się Pit. - Biedny chłopak.

- A ja wierzę Winklerowi - powiedział Skull. - Sądzę, że mówi prawdę. I powiem ci dlaczego. Gdyby chciał nas oszukać, to by mówił, że ataki przynoszą im ogromne straty i podkopują niemieckie morale. To by zachęciło do

kontynuowania tej taktyki.

- Nie potrzebuję zachęty Winklera - warknął Fanny.
- A tego by właśnie chcieli - Fanny zakończył myśl.
- Bzdury.

Skull wzruszył ramionami.

- Przechytryłem ich - powiedział ostro Fanny. - Tak ich dopadłem, że nie odróżniają czarnego od białego.

Skull dolał sobie rumu i powiedział:

- Uważałem, że ten gnój, to plugastwo - wypił. - Teraz jednak wywąchałem, że coś się w tym jednak kryje. Nie tylko prymitywne grubiaństwo.

Pitowi to zaimponowało.

- Mój Boże, jakbym chciał i ja móc się tak wyrażać.
- Nauczyli cię tego w Cambridge? - prychnął Fanny.
- Nie sądzę. W Cambridge nikt się jeszcze niczego nie nauczył.

- No, w każdym razie dopieprzyliśmy tym wypierdkom.
- Fanny powrócił do tematu. - Nie uważacie? - A ponieważ nikt nie potwierdził, zapytał ponownie. - Prawda?

- Tak - powiedział Skull, a gdy Fanny chrząknął z zadowoleniem, dodał: - I nie.

- Nie wysyłają stałych patroli - dodał Pit.

- Będą od jutra - Fanny wyciągnął rękę tak gwałtownie, że rozlał rum. - Jeden dobry kopniak w dupę i zobaczycie. - Dłonią oczyszczał stół schlapując rum na podłogę.

- Szkoda, że Dalglish nie może być tutaj, by z tobą podyskutować. - Skull wstał i dopił rum, jaki jeszcze miał w kieliszku.

- Poleciał na ochotnika. Wcale nie musiał lecieć.

- Co? Nie pozostawiłeś mu wyboru.

- Kłamstwo.- Czyżby? Sidi Zamzam to śmiertelna

pułapka. Wiedziałaś o tym. Wszyscy wiedzieliśmy. Pinky przed startem dał Wujowi testament. Trafił go flak, ale zabiłeś go ty.

Cios mógłby złamać szczękę oficera wywiadu, ale Fanny, gdy się zamachnął, poślizgnął się na rozlanym rumie i poleciał na Pita. Ten zaklął i stracił równowagę. Geraldo zagdakał w panice i usiłował wzbić się w powietrze, ale w efekcie wpadł na obu leżących i gramolących się z podłogi. Fanny klnąc usiłował uderzyć koguta, ale trafił w lampę, która zleciała ze stołu i zgasła. Zapanowały ciemności rzeczywiście egipskie, a Skull uznał, że czas, by się wynosić.

Nie mógł znaleźć swego namiotu. Nie był w stanie iść prosto. Pustynia wydawała się morzem czarnego atramentu. Jedyne gwiazdy błyszczały wspaniale. Wreszcie gdy dotoczył się do namiotu stwierdził, że czeka tam na niego Hick. Powiedział mu dobranoc i chciał się rzucić na łóżko, ale tamten był uparty.

- Muszę ci coś powiedzieć. Nie powiedziałem składając raport.

- Powiesz mi jutro, stary.

- To coś poważnego.

- I tak nie zapamiętam. Miałem męczący dzień.

- Ostrzelałem ambulans.

- Ich czy nasz?

- Ich.

- Mogło być gorzej. Zaczynajmy od początku, jak mawiał król. - Wydawało mu się, że Hick chce wiedzieć, który król, a więc machnął ręką i powiedział: - Zresztą wszystko jedno. Opowiadaj.

- Byłem bocznym Tiny Lusha - opowiadał Hick, a

wydarzenia, o których mówił, miały taki oto przebieg:

Atak na Sidi Zamzam prowadzili Dalglish i Stewart. Ich bocznymi byli Lush i Hooper, na samym końcu leciał Hooper, o dwie do trzech długości z tyłu na prawo od Lusha. Wiedzieli, że nie zaskoczą przeciwnika. Już z daleka zobaczyli czerwoną rakietę ostrzegawczą.

Pod koniec nawigacja nie była w ogóle potrzebna. Wszystkie ślady prowadziły prosto do Sidi Zamzam. Cel wyskoczył zza horyzontu i sprawiał wrażenie paki, które wyleciały z jadącej ciężarówki. Wkrótce paki przybrały kształty baraków.

Ciągle jeszcze flak milczał Hooper zastanawiał się, czy niektóre z baraków nie były po prostu makietami. Wszystkie pokrywała siatka kamuflażowa. Co wybrać na cel? Zresztą wszystko jedno. Jakie to ma znaczenie. Hak nadal się nie odzywał. Żartują, czy jak? Jeszcze dziesięć sekund i... Ten przeklęty flak nadal milczy. I nagle...

Pocisk trafił w osłonę kabiny Dalglisha, wdarł się do środka i wybuchł. Samolot rozleciał się na tysiące kawałków. Pilot nie zdążył nawet zorientować się, co się dzieje. Nawet jeśli oko zarejestrowało błysk wybuchu, to sygnał z tym obrazem nie dotarł już do mózgu. Resztki maszyny, w tym niezniszczony przód, zaryły w piaski pustyni wznosząc ogromną chmurę pyłu.

W tym momencie Bill Stewart również już nie żył. Dopadła go seria z ciężkiego karabinu maszynowego rozbijając wszystko w kabinie pilota, łącznie z kolumną sterowniczą. Niepilotowana maszyna obniżyła lot, trzasnęła w ziemię i niemal natychmiast zapaliła się.

Gdy maszyna Dalglisha eksplodowała w powietrzu, a Stewarda spadła i stanęła w płomieniach, Tiny Lush leciał

jeszcze nietknięty. Kierował się prosto w ogień zaporowy flaku. Pomyślał, by skrócić, ale rozumiał, że jest za późno i podniósł maszynę, by przeskoczyć nad zaporą. Ogień flaku jakby zaczął go ścigać i złapał. Pocisk obciął mu prawą część tylnego usterzenia, a Tomahawk, już całkiem niesterowny, wpadł w korkociąg o ciasnych zwojach. Podmuch i siła odśrodkowa, a może odłamek zerwały pokrywę kabiny. Pilot nie miał najmniejszych szans.

Najbardziej bezpieczny był Hooper. Leciał ostatni, za Lushem i miał dość czasu i miejsca, by uciec przed flakiem. Udało mu się. Obniżył lot i leciał bez mała dotykając ziemi, ale nie dosięgnęli go. Czuł się chory i słaby. Nogi trzęsły mu się tak, że właściwie nie był w stanie prowadzić maszyny. Coś niedobrego stało się z jego ustami. Nie był w stanie ich zamknąć i nie mógł normalnie oddychać. Chciał przełknąć ślinę, ale nie miał śliny. Obawiał się, że zaraz wyrznie w ziemię. Nienawidził tej wojny, a ona nienawidziła jego.

Minęło kilka minut zanim przyszedł do siebie. Wyskoczył na sto pięćdziesiąt metrów. Serce przestało mu łomotać. W ustach ponownie poczuł ślinę. Był jednak nadal przestraszony. Pozostał sam, był rozbity, roztrzęsiony. Nie pozostawało mu nic innego, jak spróbować wracać do bazy. Zaczął wyliczać kurs do lotniska, gdy tuż wokół niego zaczęły wybuchać pociski flaku. Słyszał uderzenia odłamków o kadłub maszyny. Natychmiast wykonał gwałtowny zwrot w lewo. Pustynia stanęła na głowie i zaczęła się przesuwac w prawo. Tomahawk spływał w dół w locie nurkowym. Już nie był rozbity i przerażony. Był wściekły. Zabili jego przyjaciół i teraz usiłowali zrobić to samo z nim. Trzeba w nich uderzyć.

Jasne i proste. Zaczął się rozglądać za celem. Zleciał na pułap dziewięćdziesięciu metrów i wyrównał. Leciał i szukał. Nie widział żadnego celu. Nie było też flaku. Nie było w ogóle nic. Pustynia. Leciał przez chwilę beczynn timer, właściwie nie interweniując w lot maszyny, aż wreszcie coś dostrzegł. Pióropusz kurzu świadczący, że coś tam na pustyni poruszało się. Jakiś cel.

Kurz wzbijał za sobą niewielki konwój, pięć czy sześć niemieckich ciężarówek pokrytych brezentem i pomalowanych farbą tak, by nikły na powierzchni piasku.

Chciał rozwalić je jak najszybciej, by poszukać jakiegoś większego celu. Leciał im naprzeciw, zanurkował więc i przypuścił czołowy atak. Ostrzelał kolejne wozy, a ostatnim okazał się być ambulans. Na dachu i na bokach miał wymalowane czerwone krzyże. Trafił w samochód, który natychmiast stanął w płomieniach, a w chwilę potem wybuchnął i to tak potężnie, że Hooper odczuł falę uderzeniową i falę gorąca. Tomahawk zachwiał się i pilot musiał wyprostować jego lot.

- Zawróciłem, by przyjrzeć się temu ambulansowi - opowiadał - ale już go nie zobaczyłem.

Skull westchnął ciężko.

- Stary - mówił ojcowiskim tonem - naprawdę nie musisz atakować ambulansów, nawet jeśli przeciwnik przewozi w nich amunicję. To jest w złym stylu i tego się w RAF-ie nie praktykuje. A teraz umawiamy się. Ty nic nie mówiłeś, ja niczego nie słyshałem.

- Ale ja potem rozwaliłem jeszcze cztery inne ambulanse niemieckie - wyznał Hick, a w jego głosie nie wyczuwało się cienia żalu.

Skull wyszukał w kieszeni chusteczkę i wydmuchał nos.

Stwierdził, że jak zawsze przy okazji wyczyścił nos z mnóstwa pustynnego kurzu.

- Cztery, mówisz - pokiwał głową. - Rozwaliłeś cztery niemieckie ambulanse. - Tą samą chusteczką otarł czoło zroszone potem. - To był fatalny dzień. Miałem nadzieję, że się już skończył, że już nic złego mnie nie może spotkać. A więc rozwaliłeś cztery niemieckie ambulanse?

- Dwa eksplodowały - wyjaśnił Hick. - Jestem przekonany, że mieli w nich amunicję. Wybuch był jak diabli.

- A dwa pozostałe?

- Być może właśnie wyładowali amunicję. - Hick wzruszył ramionami.

- A może były pełne rannych.

- Czy mam ich teraz przepraszać? Nie zrobię tego. My zabijamy ich, oni zabijają nas. Jutro zrobię to samo. Podoba mi się to polowanie na ambulanse. Jestem w tym dobry i to ma sens.

- Boże zlituj się nad moją duszą, bo zaczynam myśleć, że on ma rację - westchnął Skull. - Być może zaczynam wariować, jak wy wszyscy.

Rozdział V

Zig Zag

Schramm zerknął na lugera, przyklęknął na jedno kolano, wycelował i oddał trzy strzały. Przy każdym historycznie mrugał. Sierżant wyjął mu pistolet z rąk i powiedział:

- Czy nie powinien pan zacząć od praktyki z bronią nie nabitą.

- To mi niezbyt odpowiada. Ten pistolet - dodał wyjaśniająco. - Nie leży mi w ręce. Potrzebuję czegoś takiego, jak pistolet maszynowy. Coś, co trzyma się obiema rękami. Jak schmeisser czy coś podobnego.

- Oficerowie wywiadu nie chodzą ze schmeisserami, Paul - wtrącił się Hoffmann.

- No więc zasugeruj coś. Na razie dziękuję, sierzancie.

Gdy pozostali sami Hoffmann powiedział:

- Nie jesteś stworzony do broni palnej. Raczej przydałaby ci się maczuga. Zresztą wiemy jak rozprawiłeś się z tym brytyjskim żołnierzem. Jak w epoce kamiennej.

Schramm wyraźnie speszony chrząknął i zmienił temat.

- Mówiłem ci, że patrol Lamparda opuścił Kair?

- Mówiłeś już wiele razy.

- Inne patrole muszą się ukrywać w Dżebel. Poprosiłem o dodatkowe oddziały do pilnowania lotnisk. Generał Schaefer jest na konferencji w Trypolisie, a tam nie może podejmować decyzji. Nie mam pojęcia dlaczego.

- Przed tygodniem mówiłeś, że najlepszą ochroną będą druty wokół lotniska.

Przez chwilę szli w milczeniu w kierunku baraku administracji. Nad ich głowami przeleciała para Me 109 i gładko, delikatnie, z wdziękiem usiadła na ziemi podnosząc natychmiast warkocze kurzu.

- I jak z tymi drutami? - Hoffmann powrócił do tematu. - Do czego mają służyć? - Do obrony lotniska, oczywiście.

- A co nas obchodzi lotnisko. Nas obchodzą samoloty. A dlaczego by nie ustawić zapory z drutów dookoła samolotów, a w każdej kabinie, strażnik przez całą noc.

Schramm natychmiast pojął sens pomysłu.

- Oczywiście - powiedział. - Można nawet ustawić jakieś sygnały by alarmowały strażników w kabinach.

- Dwanaście samolotów, dwunastu wartowników. To wszystko, czego nam potrzeba.

- Powinienem być o tym pomyśleć. - Usprawiedliwił się Schramm. - Chodź, zasłużyłeś na drinka.

Okazało się, że nie mieli czasu na drinka. Zadzwoił telefon i Hoffmanna wezwano do jego biura. W kantine nad piwem siedział jednak lekarz Max i Schramm przysiadł się do niego.

- A więc zakochałeś się w swojej lekarce? - zapytał Max bez wstępów i ogródek.

Pytanie zaskoczyło i speszyło Schramma. Zaczął gwałtownie pokaszliwać, co jednak nawet dla niego samego zabrzmiało fałszywie.

- A powinienem był? - odpowiedział wreszcie pytaniem na pytanie.

- Każdemu to się szybciej czy później zdarza.

- Tobie też?

Max uśmiechnął się i nic nie powiedział, a ponieważ cisza przeciągała się nadmiernie Schramm bąknął: - Jak na kobietę to znakomity lekarz.

- Nie najgorszy - przytaknął Max. - Doskonały chirurg, patolog, psychiatra. Chyba o tym wszystkim wie znacznie więcej, niż ja.

Schramm poczuł nagle swędzenie blizn i siłą powstrzymał się od podrapania.

- Tak, dobrze, że ją tu mamy. - Nagle, przypominając sobie, co mu powiedziała Maria, zapytał: - Co ona właściwie robi tu w Benghazi?

- Jest na zesłaniu. Przyjechała tu znacznie przed początkiem wojny. Kobiecie takiej jak ona nie można zakazać myśleć. Rzecz w tym, że ona na dodatek głośno wyrażała swoje poglądy.

- To zauważyłem.

- Tak samo jak i rząd II Duce. Doktor Grandinetti nie kryła swoich uczuć wobec faszyzmu. Kazali jej się zamknąć, czego nie zrobiła, a więc wsadzili ją, potem wpakowali na statek i w 36 czy 37 roku i przywieźli tutaj. Prowadziła mały gabinecik dla jakiejś włoskiej kolonii, a więc dla kolonistów, którzy uznani zostali za nazbyt głupich, by pozwolić im żyć w swoim własnym kraju.

- Słyszałem o tych zsyłkach, ale to pierwszy wypadek, z jakim się stykam. - Schramm z niedowierzaniem kręcił głową.

- Och, takich jest tu bardzo wielu - powiedział Max. - I nie tylko tu. We Włoszech, jeśli chcesz być operowany tanio przez najlepszego specjalistę, wyjeżdżasz do małej wioski gdzieś w górach. Tam znajdziesz zesłanych lekarzy najwyższej klasy.

- I coś takiego zrobiono z Marią?

- Dokładnie. Robiła tu wszystko, truła tasiemce, przyjmowała porody, składała połamane nogi. Dopiero kiedy Mussolini postanowił obalić brytyjskie imperium ściągnięto ją do Benghazy, by reperowała kwiat włoskiej młodzieży nieco uszkodzony na froncie.

- Niebawale.

- Wcale nie. Normalka. - Max dokończył piwo. - Nie daj, by ci złamała serce. Nie jest tego warta. Żadna kobieta nie jest.

- Czy jesteś również doktorem psychiatrą?

Max patrzył przez chwilę w przestrzeń, wreszcie odrzekł - To szczególna forma szaleństwa. Myślę o miłości. Wydaje mi się, że w armii określa się to mianem samookaleczenia. - I odszedł, zanim Schramm znalazł odpowiedź.

Gdy pozostał sam, zaczął rozważać, czy tamten nie miał przypadkiem racji. Rozważania te przerwało pojawienie się Hoffmanna.

- Nic z tego nie jestem w stanie pojąć - powiedział i pokazał Schrammowi kilka powiększeń zdjęć dokonanych przez samolot rekonesansowy. Płachty były jeszcze wilgotne od wywoływaczy. Na zdjęciach pewne rejonory zaznaczono kolorowymi kredkami. W tych objętych kółkami rejonach widoczne były malusienieczkie kropki. Mniejsze od główek szpilki.

- Dlaczego z tak dużej wysokości? - pytał Schramm.

- Kazałem lecieć na jak najwyższym pułapie. Jeśli Jakowski był na tropie wroga, to nie chciałem spłoszyć Brytyjczyków. Zdjęcia wykonano rano, a więc cienie są jeszcze wyraźne. Eksperci twierdzą, że te kropki, to siły Jakowskiego. Rzecz w tym, że dwadzieścia wozów brakuje. Gdzie się zapodziały.

Schramm uważnie obejrzał zdjęcia.

- Ciężarówka nie mogły zginąć na pustyni - powiedział. - Nawet spalone czy zniszczone, to i tak ich wraki byłyby widoczne... Może są w Dżalo? Pod palmami.

- Dlaczego w Dżalo?

- Nie mam pojęcia. Wiem, że Jakowski chciał tam walczyć z patrolami SAS.

- Nie podoba mi się to - stwierdził Hoffmann. - Czuję tutaj... nawet nie wiem, co czuję, ale coś śmierdzącego.

- Zapytaj przez radio, czy wszystko w porządku.
- Być może tak zrobię. - Hoffmann jednak nie ruszył się z miejsca.

- Czy to Morze Piasków? - zapytał Schramm pokazując linię ciągnącą się po jednej stronie zdjęcia, wyraźnie kontrastującą z obrazem pustyni.

- Tak, ale tam nikt nie posłałby dwudziestu ciężarówek, Paul, tym bardziej, że tam nikogo nie ma i nic nie można znaleźć.

- Tak, to prawda - potwierdził Schramm. - Niemniej dwadzieścia ciężarówek nie mogło zagać bez śladu.

- Poczekam do jutra - zdecydował Hoffmann. - Nie wierzę... - Wzruszył ramionami.

- Wiesz, co ci proponuję? Skonsultuję się z kapitanem di Marco. On zna Saharę od podszewki. Może na coś wpadnie.

- Weź ze sobą zdjęcia - poradził Hoffmann.

* * *

Następnego dnia rano Skull powiedział dowódcy o tym, co zrobił Hooper.

- Boże, miej mnie w opiece! - zdumiał się Barton - Mister Hooper ostro poczyna sobie z tymi Niemiaszkami. A pomyśleć, że przyjechał tu tylko dla zdobywania doświadczeń.

- Jeśli będziemy strzelać do ich ambulansów...

- Wiem, oni będą strzelać do naszych. I czyje będzie górą? A ich to bym pieprzył. Mordują nas bez litości.

Skull się nie odezwał. Miał kaca. Łeb go zasuwał, a oczy piekły. W ogóle zamiast głowy miał metalowy kociołek.

- Przyjdiesz na odprawę? - zapytał Fanny - Mógłbyś

tam powiedzieć o ambulansach.

- A po co odprawa. Pozostało ci jedynie czterech pilotów. Możesz stanąć w jakimkolwiek miejscu na lotnisku i krzyknąć.

- To nie najgorszy pomysł - Fanny objął Skulla ramieniem - Ty jesteś lepszym mówcą. Powiedz, co miałbym w ogóle powiedzieć.

Ostatecznie Skull uczestniczył w odprawie, na której słowem nie wspomniano o ambulansach. Piątka pilotów była zadowolona z tego, co usłyszała. Czekają ich jedynie loty patrolowe na pułapie sześciu tysięcy metrów.

Gdy wystartowali Skull poszedł do kantyny, gdzie zastał adiutanta w rozmowie z Hauptmannem Winklerem.

- Jak się czujesz, lepiej? - zapytał.

- Lepiej niż co? - zdumiał się Kellaway.

- Niż nic. Tak mi się jakoś powiedziało. - Jeśli Kellaway nie pamiętał niczego, nie było powodów do tego, by mu przypominać.

Wkroczył długimi krokami Geraldo, przypatrzył się Skullovi i wycofał się.

- To Geraldo - wyjaśniał Skull. - Niektórzy twierdzą, że zna grecki. Próbowałem sprawdzić recytując Sokratesa, ale wyniki nie były zachęcające.

- Czy wiesz, że nasz gość przeczytał wszystkie książki z Sherlockiem Holmesem? - informował Kellaway. - To budzi szacunek.

Winkler odchrząknął i odezwał się:

- Chciałem wyrazić żal w związku ze śmiercią młodego oficera, który mnie... On... - potrzęsnał głową nie mogąc znaleźć odpowiedniego wyrażenia.

- Rzeźnik Bailey? - Kellaway wzruszył ramionami. - To

był swój chłop. Może pan wziąć udział w jego pogrzebie.

Cóż za pieprzenie, pomyślał Skull, a głośno powiedział:

- Jużeśmy go pochowali, Wujku. Wczoraj po południu. Musieliśmy. Nie można było czekać.

Kellaway niczego sobie nie potrafił przypomnieć i usprawiedliwiał się wobec Winklera:

- Ostatnio licho się czułem i wtedy właśnie wszedł lekarz z jakimiś papierami w rękę.

- Jak się wymawia słowo palankin?

- Normalnie - pospieszył z odpowiedzią Kellaway. - Wiem doskonale, bo mieliśmy mnóstwo palankinów w Indiach. Szczególnie w lecie. Niektórzy faceci w ogóle nie mogli wychodzić na słońce, bo zaraz dostawali kota. Widać to było zaraz po ich oczach. Niby nic, wszystko w porządku, a tu szmergiel. Tak na przykład Skull zaczyna mi się nie podobać. Coś mu pan powinien przepisać, doktorze. Może na przeczyszczenie... No, ale na mnie czas. Papierki czekają. Ustawicznie upominam się w Grupie o zastępstwa, na miejsce tych, co odeszli, a ci sodomiści milczą. - Wziął swój kubek z herbatą i wszedł.

- Czy musi się pan z niego nabijać? - spytał Skull lekarza.

- Muszę, drażnienie się z wariatami to jedyna przyjemność w moim zawodzie.

* * *

Na wysokości sześciu tysięcy metrów niebo było zimne i ciemnognatowe. Piloci oddychali tlenem, a maszyny w rozrzedzonym powietrzu zachowywały się jak jachty na martwej fali. Silniki pracowały niepewnie, a najgrubszy zwrot powodował, że leciało się pół kilometra w dół i

potem przez pięć minut goniło eskadrę.

Barton patrzył w dół i szukał patroli Me 109. Inni rozglądali się po niebie. Sześć tysięcy metrów nie było dla przeciwnika zawrotną wysokością. Me 109 mogły wzbić się o dwa kilometry ponad nimi. Lecieli i nie działo się nic szczególnego, a Sahara rozciągająca się od horyzontu po horyzont wyglądała jak stary, wytarty dywan.

Po trzydziestu minutach Barton stracił cierpliwość i sprowadził ich na dwa, a potem na tysiąc pięćset metrów. Wróg nie dawał się sprowokować. Słońce podnosiło się coraz wyżej, a zawirowania ciepłego powietrza utrudniały lot w zwartej formacji.

- Katarek - powiedział Barton. - To takie samo dobre miejsce, jak każde inne.

Polak odsunął osłonę kabiny i wyrzucił kije golfowe, które należały do Tiny Lusha i Micka O'Hary. Gdy dołączył do klucza, zapytał:

- Czy w coś trafiłem?

- Dwa Blenheimy i w Liberatora - powiedział Patterson.

Polecieli do domu. Gdy wylądowali na końcu lotniska zauważyli transportowy Bristol. Jego masywny, pękaty kadłub sprawiał wrażenie, że został zbity ze skrzyń. Była to maszyna powolna, pakowna i niezawodna.

Barton podprowadził swoją maszynę na jej zwykłe miejsce, wyskoczył i ruszył w kierunku swego wozu. Już z daleka widział, że na schodkach siedzi komandor Bletchley i rozmawia z adiutantem. Barton poczuł, że robi mu się słabo i z trudnością przełknął ślinę. Jeśli tu wysłali Bristol z komandorem, to mogło to oznaczać tylko jedno - wylewano go. Piloci polecą na Takoradi, a Dywizjon

„Szerszeń” przestaje istnieć.

Podszedł i zaszalutował, Bletchley wstał i jak to on, uśmiechnął się tym swoim dyskretnym półuśmiechem.

- Już znikam, sir - powiedział adiutant - Rozumiem, że spotkamy się na obiedzie.

Weszli do wozu dowódcy a Barton rzucił na łóżko cały swój majdan: szalik, sweter, okulary, hełm, mapę. Połowa z tego poleciała natychmiast na podłogę.

- Mrożoną kawę? - zaproponował komandor. - Prosto z Kairu. - Odkorkował ogromny termos.

Barton znalazł dwa kubki, wydmuchał z nich pustynny pył, a Bletchley napełnił je. Wypili. Smak był niebiański, a rozkoszny chłód wędrował z łatwością do żołądka.

- Whisky? - zaproponował Barton, a Bletchley skinął przyzwalająco głową.

Barton wypił, natychmiast sobie dolał i poprawił.

- Nie przywiózł pan następnych pilotów, sir? - zapytał.

- Nie.

- Nie szkodzi i tak nie mamy maszyn, na których mogliby latać.

- No cóż, Tomahawki dożywają swoich dni, czyż nie?

I ja też dożywam swoich dni, pomyślał Barton, a głośno powiedział:

- Tak jest. Z całą pewnością.

- Nikt do ciebie nie ma pretensji za to, że próbowałeś, Fanny. Nikt nie ma pretensji o to, że się nie udało. - Komandor na chwilę zamilkł, jakby szukał odpowiednich słów i kontynuował: - Tak właśnie na to patrzę. Nie może być mowy o klęsce. To był dobry, ten twój pomysł i w innych warunkach mógłby się opłacić. Doskonale.

Barton popatrzył w okno i przyszło mu do głowy, że na

takim zakazanym lotnisku nic, nigdy nie mogło być doskonałe. Tu nawet trupy grzebało się w latrynie.

Bletchley mówił coś dalej, ale Barton nie słuchał. Poczul nagle, że chciałby, by ta rozmowa już się skończyła. Już wolałby wyjeżdżać. Bez żadnych ceremonii, żadnych przemówień, okrzyków na cześć, uścisków rąk. Wysłuchał już dość przemówień i napatrzył się pożegnaniom. Dość tego. Chciałby odlecieć Bristolem, a Wujek wysprząta po nim i wszystko zamknie.

- Jeśli ktoś tu zawinił - mówił tymczasem komandor - to Luftwaffe. Ma za sobą swoje wielkie chwile. Teraz to tylko oracje nad jej grobem. I coś jeszcze chciałem dodać... Aha, załatwię odznaczenie dla Dalgleisha.

Wtedy Barton zrozumiał, że to koniec. Spędził muchę, która usiadła mu na rękę i powiedział:

- Lepiej, żeby pan to omówił z Wujem, sir. Dla mnie im szybciej wyjadę, tym lepiej.

- Oczywiście, że nie - Bletchley był zaskoczony i zdumiony. - Nie sądzisz chyba, że trudiłem się tu z Kairu po to, by ciebie zabierać?

- Myślałem... - Barton był nazbyt zdziwiony, by wiedzieć, co ma myśleć.

- Na miłość boską, Fanny, chcesz być dowódcą dywizjonu, czy nie? Najpierw walczysz kłami i pazurami o tę pozycję, a potem wygłaszasz takie kwestie, jakbyś chciał pilotów wysłać na Takoradi, a sam iść do domu starców.

- Kiedy pan zaczął mówić o braku sukcesów, wydawało mi się...

- Chryste, w Siłach Powietrznych Pustyni dowódcy dywizjonów zmieniają się każdego dnia i nikt z takimi informacjami nie wysyła mnie i Bristola, by facetów

przywieźć do Kairu.

- Rozumiem, sir. A więc po co pan tutaj przyleciał?

- Czy nie domyślasz się? Chyba nie. Chcemy was przenieść na lotnisko LG 250. Bristol przerzuci paliwo, amunicję i niewielką załogę naziemną, a wy polecicie za nimi w pięciu na Hawkerach, które są dostosowane do bombardowania z niewielkiej wysokości. Waszym zadaniem będzie bombardowanie niemieckich lotnisk. Udowodniłeś, że Me 109 nie staną do walki, co mnie nie dziwi, a więc dobierzemy się do nich na ziemi.

- LG 250? Gdzie to jest? - zapytał Barton.

- Głęboko poza liniami wroga.

Barton wyszedł z wozu i zdjął koszulę. Pozwolił, by słońce wysuszało pot na jego plecach.

- Czy mam prawo wyboru? - zapytał.

- Nie. Albo to przyjmujesz, albo nie. - Barton milczał, więc komandor dodał: - Fanny, nie męcz ojca. Wiesz przecież, że to zrobisz.

- To mordercze zadanie.

- Mam przynajmniej nadzieję, że tak.

- Nie to miałem na myśli. Jak nas Niemcy odnajdą, nie mamy żadnych szans. Zmiotą nas z powierzchni ziemi.

- Tam was nie będą szukać.

Barton wrócił do wozu.

- Zaczynam być za stary na taką zabawę.

- Wykonasz zadanie i masz otwartą drogę do tego, by objąć dowództwo skrzydła i do najwyższych odznaczeń - tłumaczył Bletchley. - Nikt nie będzie bardziej zadowolony ode mnie. - Komandor dołał jeszcze kawy mrożonej do obu kubków.

- Pan wie, że to gówniana robota, sir?

- No cóż, trudno. To droga do tego, by stać się bohaterem. Moja robota jest o wiele bardziej główniana.

Atmosfera stała się przyjemniejsza.

- Nigdy jeszcze nie widziałem bohatera. Spotykałem morderców, samobójców i biednych idiotów, którzy nigdy nie powinni byli zostać pilotami. Nigdy bohaterów - odezwał się Barton.

- Jesteś twardym facetem, Fanny - powiedział Bletchley, być może z ironią, a być może bez. Barton nie wiedział tego.

Komandor zrobił potem rundę po lotnisku, rozmawiał z żołnierzami, odwiedził rannych, powiedział kilka słów na pogrzebie rannego, który zmarł w nocy. Potem zaszedł do namiotowej kantyny, gdzie spotkał Hicka Hoopera.

- Przykro mi, że nie nabywa pan doświadczeń wojennych, ale to wina wyłącznie Luftwaffe - powiedział na powitanie.

- Czuję się tu znakomicie i jestem ogromnie zajęty. Poznałem nowych przyjaciół, sir.

- I kilku pan stracił, jak rozumiem - dodał, co Hooper pozostawił bez komentarza. - Powiadomi mnie pan, kiedy pan uzna, że nauka skończona.

- Chciałbym tu pozostać, sir.

- Pozostać? Myśli pan na stałe?

- Tak jest. Proszę o stały przydział do Dywizjonu „Szerszeń”.

Bletchley zastanawiał się przez chwilę, jakby wahał, wreszcie powiedział:

- Doskonale, rozwalajcie tu Niemców.

A potem była rozmowa ze Skullem. W cztery oczy.

- Fanny wygląda na nieco spiętego - powiedział

komandor. - To chyba nie ma nic wspólnego z tą historią z ambulansami?

- Z ambulansami? Nie. Z jakimi ambulansami? Oh, pan myśli tymi ambulansami. - Skull przetarł okulary. - A skąd pan wie, sir? Nie było tego w moich raportach.

- Nie, ale w niemieckich, a mamy swoje sposoby, by w nie zerknąć, o czym lepiej, by pan nie wiedział. - Bletchley wyglądał na zadowolonego z siebie. - A jaka jest pańska wersja wydarzeń?

- A więc, sir, Hooper opowiadał, że przez pomyłkę trafił raz w ambulans, a ten wybuchł, jak Krakatoa. To podsunęło mu myśl, by spróbować jeszcze kilka razy i połowa z nich wybuchała. Połowa nie.

- No cóż - Bletchley zacisnął wargi i głośno wypuścił powietrze nosem. - Oczywiście znamy jedynie wersję Hoopera.

- Tak, ale wygląda na całkowicie prawdziwą.

- Walka wyczynia różne dziwne rzeczy z naszym umysłem. Hooper na chwilę przedtem widział zagładę niemal całej swojej eskadry.

- Tak jest, ale...

- Czy nie powiedziałbyś, że był w stanie głębokiego szoku?

- Nie, kiedy składał mi swój raport... - Skull zauważył, że komandor podnosi brwi, i szybko dodał z szacunkiem. - Oczywiście, to wydarzyło się o wiele później.

- Był z całą pewnością w szoku. Miał zamęt w głowie. Opanowała go prymitywna wściekłość. - Na twarzy Bletchleya pokazał się smutny uśmiech. - Przypuszczam, że opanowała go żądza rewanżu na brutalnym przeciwniku. Nie sądzisz?

- Coś koło tego... - mruknął Skull.

- A więc nie musimy brać pod uwagę tego, co obecnie mówi. Zresztą ambulanse nie wybuchają. Wszyscy o tym wiedzą.

- Oczywiście - zgodził się skwapliwie Skull usuwając zza paznokci grudki pustynnego piachu. - Nie mamy więc do tego nic do dodania.

- Och, być może Niemcy podniosą krzyk, pokażą wraki rozwalonych ambulansów, posypią się oskarżenia o brutalność. Zwykły propagandowy szum. W rzeczywistości jednak wszyscy wiemy, co stało się z tymi ambulansami. Skręciły ze szlaku i wpadły na własne miny.

- To częste wypadki i wszyscy o tym wiedzą - przytakiwał Skull.

Kiedy jedli obiad nadleciały Hawkery. Barton poinformował pilotów o tym, że przechodzą na lotnisko LG 250. Leci z nimi tylko część załogi naziemnej, a więc wszyscy muszą pomagać w gotowaniu, tankowaniu, ładowaniu amunicji i w podobnych robotach. Przybyli potem piloci transportowi, którzy odtransportowali na tyły stare Tomahawki. Komandor odleciał do Kairu. Wybrani członkowie obsługi naziemnej Bristolem odlecieli na nowe lotnisko, a wkrótce za nimi piloci dywizjonu na swoich nowych maszynach. Gdy startowali słońce chyliło się ku zachodowi.

* * *

W nocy włoskie bombowce zbombardowały lotnisko LG 181 chybiając o niespełna dwa kilometry, co jak na pustynię i rok 1942, nie było wynikiem najgorszym.

Droga z Barce do Benghazi była zatłoczona w obu

kierunkach. Schramm jechał w strumieniu pustych pojazdów powracających z frontu i patrzył na załadowane konwoje ciągnące w przeciwnym kierunku. Oczywiście było, że Rommel przygotowuje się do ataku. Rozmyślał o tym aż do momentu, w którym dojechał do włoskich koszar.

Wszedł do środka i po dziesięciu minutach wyszedł. Kapitana di Marco nie było ani w koszarach, ani w Benghazi. Nikt nie wiedział, kiedy wróci i w ogóle nikt się nie zajął Schrammem.

Pojechał do szpitala. Przed drzwiami Marii powitał go ten sam łysiejący ordynans, z tym, że czytał inną gazetę. Nie czekając na zapytanie poinformował:

- Ona operuje.

Korytarz bloku operacyjnego był przepelniony, a Schramm był jedynym, który tu czekał. Oparł się o mur i starał się nie patrzeć na rannych przewożonych lub kuśtykających obok. Nogi mu zdrętwiały, więc usiadł na parapecie okiennym. Nie miał pojęcia, ile czekał. Nagle z otwartych drzwi sali operacyjnej wyszła Ona. Była w białym kitlu. Na jego widok potrząsnęła głową.

- Och nie! Nie ty! Nie dzisiaj. Nie teraz.

Zeskoczył z parapetu.

- Nie mam nic ważnego. Przyjdę innym razem.

- Och, nie bądź głuptasem. Oczywiście, że to ważne. Odprowadź mnie do gabinetu. - Wzięła go pod ramię - Dlaczego kłamiesz? - W jej głosie wyczuwało się nie podenerwowanie, a zmęczenie.

Szli w kierunku gabinetu. Po drodze jej ręka poszukała jego dłoni i uściśnęła ją, co sprawiło mu ogromną przyjemność. Gdy znaleźli się przed jej drzwiami poleciała

ordynansowi:

- Butelkę dobrego, białego wina. Dobrego! - A do Schramma powiedziała: - Daj mu pieniądze.

Weszli do środka, a ona zaczęła przerzucać papiery i meldunki na biurku.

- Po południu nie ma operacji. Pacjenci byli tak mili, że nie dotrzymali. Mieli wycucie czasu i wiedzieli, kiedy odejść.

Odsunęła papierki, odwróciła się, podeszła do niego i objęła. Pocałowała go mocno, gorąco. Potem wzięła za uszy i popatrzyła mu w oczy.

- Czy jesteśmy przyjaciółmi? - zapytał.

- Postanowiłam, że przez pięć minut będę się w tobie kochać. A co dalej, zobaczymy. - Pocałowała go lekko i odwróciła. - Śmierzę - powiedziała - Środki opatrunkowe, pot. Idę pod prysznic.

Zanim wyszła z łazienki otworzył wino. Miała na sobie biały płaszczyk kąpielowy, a z tego, jak przylegał domyślał się, że nic więcej pod spodem.

- To właśnie zajęło ci pięć minut. Czy nadal mnie kochasz? - pytał.

- Nie jestem pewna. A sądzisz, że powinnam wiedzieć? - Była już ponownie sobą. Opanowana, nieco spięta, nieprzewidywalna.

Podał jej szklanekę wina. Piła powoli i długo. Przychyliła głowę do tyłu i patrzyła w sufit. Gdy skończyła, zaczęła mówić:

- Jak to dobrze znać ludzką anatomię. Czuję, jak to doskonałe wino wędruje moim gardłem, przewodem pokarmowym do systemu trawiennego. Jak rozlewa się po żołądku, pobudza do pracy odpowiednie gruczoły i

wątrobę. Wiem, że potem wpłynie do jelita cienkiego, a potem...

- Schramm przeszedł przez pokój i podszedł do okna, przez które zaczął wyglądać.

- Czy to ciebie obraża?

- Obraża? Nie, nudzi.

- Czyżbyś nie kochał moich nerek? - potrząsnęła głową.

- Nie, ty ich specjalnie nie lubisz. Przynajmniej mówisz o tym szczerze.

- Słuchaj, jeśli nie chcesz mnie kochać, nie masz takiego obowiązku - powiedział stanowczo. - Żyłem bez ciebie przez ponad czterdzieści lat i przeżyję nadal. - Usiadł na parapecie, w miejscu, w którym zazwyczaj ona siadała. - Tylko nie częstuj mnie takimi banialukami... i na miłość boską, zakryj piersi!

- Jeśli chodzi o banialuki, to mogę negocjować - powiedziała - ale nie po to brałam prysznic, by teraz mieć spoconą pierś jedynie dla zaspokojenia twojej pruskiej pruderii. *Gesundheit*. - Upiła łyk wina.

- Nie jestem Prusakiem, a to wcale nie jest *Gesundheit* - denerwował się Schramm.

- Nie jest? No to *Donner und Blitzkrieg!*

Chrząknął i powiedział:

- I o tym teraz też mniej się słyszy.

- Nieco cierpliwości. Wojna wkrótce się skończy.

- Daj Panie Boże.

Podeszła do niego i wzięła za rękę. Nie opierał się.

- Posłuchaj. - Głową pokazała w kierunku okna. Z ulicy dobiegały dźwięki walca wygrywanego na harmonii. Popatrzył. Pod murem stał jakiś mężczyzna i grał.

- Gra tu każdego dnia - powiedziała. Delikatnie skłoniła

go do tego, by wstał i zaczęli tańczyć.

Muzyka jednak ucichła, a oni pozostali na środku pokoju czekając na ciąg dalszy, który nie nadchodził.

- *Completo* - powiedziała i na chwilę przytuliła się do niego. - Teraz czas na obchód.

W trzy minuty potem była ubrana, a w pięć minut potem wkraczali na oddział. Jedna z pielęgniarek podała mu biały płaszcz. Czyżby myślała, że jest lekarzem? Ubrał kitel i szedł za doktor Grandinetti ćwicząc się w lekarskim sposobie chodzenia, z rękami założonymi na plecy.

Maria zakończyła obchód, co go zdecydowanie ucieszyło. Gdy tylko znaleźli się sami, powiedział:

- Chętnie wziąłbym prysznic

- Mam lepszy pomysł - odpowiedziała. - Chodź, pojedziemy i popływamy w morzu.

Wyjechali dość daleko za Benghazi. Pokazywała mu drogę. W jakimś miejscu zjechali z głównej trasy jadąc teraz po prostu po łące. Na jakimś kamieniu zauważył ogromną jaszczurkę, ale zniknęła, zanim dojechali.

- Mam nadzieję, że wiesz dokąd prowadzisz? - zapytał nieco niepewnym głosem.

- Miej nieco więcej zaufania. Wiary we mnie.

Wyjechali prosto na rozległą, całkiem pustą plażę schodzącą łagodnie do morza. Woda była tak czysta, że widzieli odbicia promieni słonecznych na dnie.

- Tu nikt nigdy nie przyjeżdża. Tu straszy - wyjaśniła,

- Kto straszy?

- Tego nikt nie wie i nikt nie chce się przekonać.

Kapali się całkiem nago. Jak na kobietę w średnim wieku zachowywała doskonałą figurę, a Schramm patrzył

na nią z przyjemnością. Nie czuł jednak podniecenia. Nie czas i nie miejsce na to. A potem zapomniał o wszystkim pływając się w cieplej, morskiej wodzie, a woda była jedynym miejscem, gdzie nie odczuwał swego kalectwa.

Po kąpeli wyciągnęli się na słońcu i przysypali piaskiem. A potem pobiegli do wody, by splukać ten piasek. Śmiali się i chlapani.

- Całkiem jak dzieciaki - powiedział wreszcie.

- Chociaż raz dziennie usiłuję być dziecinna.

Chodzili po piasku i wtedy stwierdzili, że ktoś się tu jednak pojawił. Był to chłopak pasący stadko kóz, które dzwoniły małymi dzwoneczkami zawieszonymi u szyi. Chłopak przysiadł na skale i obserwował ich.

- Może myślisz, że jesteśmy duchami? - zastanawiała się wcale nie skrępowana tym nieoczekiwanym świadkiem.

- Jeśli wkrótce czegoś nie zjemy, będzie miał rację. - Robiło się późne popołudnie, a pływanie zaostrzyło im apetyty.

- Chyba masz do mnie zaufanie?

- Zaufaniem się nie najem. A od cywilizacji dzieli nas co najmniej dwadzieścia kilometrów. Jeść mi się chce, jak małemu chłopcu, który rośnie, a ja usiłuję wyhodować nową, lewą nogę.

- Podobasz mi się taki, jaki jesteś. Nie chcę, byś się zmieniał.

Ubrali się i poszli do wozu. Chłopak trzymał się daleko, ale kiedy mu pomachali i on zamachał ręką. I ponownie jechali przez łąkę, a przy pierwszym z domów, jakie się pokazały Maria kazała mu stanąć.

- Tu zjemy. - powiedziała.

- Czy znasz tych ludzi?

- Oni znają mnie, co jest o wiele ważniejsze.

Z domu wyszła muskularna baba z kosą w ręce. Ubrana była na czarno. Rozmawiały po włosku, z czego nic nie był w stanie zrozumieć, tym bardziej, że odnosiło się wrażenie, jakby w ogóle nie kończyły zdań. W kilka minut potem siedział jednak - kuchni przy stole, na którym stał dzban czerwonego wina i misa oliwek.

- Operowałam jej szwagra. Woreczek żółciowy - wyjaśniła. - Teraz jestem jakby członkiem rodziny.

Potrawy były niewyszukane, lecz znakomite: spaghetti, sałata, owoce. Po obiedzie Schramm czuł się sfrustrowany, gdyż nie wiedział, jak podziękować. Maria domyśliła się i ostrzegła go:

- Tylko nie proponuj pieniędzy. Po prostu powiem w twoim imieniu, że ci smakowało.

Gdy dojechali do głównej szosy zatrzymał samochód i wyłączył silnik.

- A więc podobało mi się wszystko - zaczął. - Pływanie, spacer, obiad. Ale... dlaczego ty... - zaciął się, zająknął. - Dlaczego zaczęłaś na korytarzu od stwierdzenia, że nie chcesz mnie widzieć.

Wyciągnęła rękę i lekko dotknęła jego ramienia.

- Już byłem gotowy do odejścia - mówił dalej. - Zresztą... nie mam przecież żadnych praw... - Znowu się zająknął. - Mówiłaś, że nie chcesz mnie widzieć, a w kilka minut potem piliśmy wino i., no i tak dalej.

- I obejmowaliśmy się. - Patrzyła uważnie na jego twarz. - Objejmowaliśmy się - powtórzyła.

- Tak.

- To dlaczego tego nie powiesz.

- A co to ma do rzeczy. Powiedziałaś, że mnie kochasz na pięć minut. To był taki żart?

- Nie, to prawda. - Do wozu wpadł motylek, potrzepotał się i wyleciał na zewnątrz. - To pełna prawda na pięć minut.- Przez pięć minut brałaś prysznic.

- Też mogłeś brać - Uśmiechnęła się tak jakoś, że poczuł wściekłość sam na siebie. Utracił szansę.- To niczego nie wyjaśnia - kontynuował. - Nie wyznaję się w tym emocjonalnym miszmasz. Jestem ponurym, poważnym Niemcem i muszę wiedzieć, na czym stoję. Będziesz robiła takie dowcipy, to cię uduszę - ostrzegł.

- Wyjdźmy z wozu. Przyklejam się do siedzenia.

Wyszli i stanęli w cieniu oliwkowych drzewek.

- Jesteś ustawicznie wściekły - powiedziała. - Nie masz humoru od momentu, w którym wyszłam z sali operacyjnej. Jesteś jak facet, który ma trąbkę i potrafi na niej wygrywać tylko jedną nutę. Spróbuj na Boga. Jest wiele innych nut.

- Ty też byłaś wściekła. Bardziej niż ja.

- Nie rozumiesz? Operowałam przez szereg godzin, grzebałam się we wnętrznościach twojego ziomka, by przywrócić je do porządku. Czy mogłam wtedy marzyć o tobie i twoich problemach? Oczywiście, że nie. A powiedz, jak ty właściwie się czułeś w momencie, w którym mnie zobaczyłeś i usłyszałeś?

Schramm poczuł się nagle zmęczony.

- Zdradzony - powiedział cicho.

Pocałowała go w usta, odsunęła się i powiedziała:

- Nie pytaj mnie, czy ciebie kocham. Jeśli będziesz pytać, wyślę cię na rosyjski front.

Wrócili do wozu.

- Co powinienem robić, by się nie czuć zdradzonym? - zapytał, ale nie otrzymał odpowiedzi.

Podrzucił ją do szpitala, a sam pojechał do włoskich koszar. Kapitan di Marco był u siebie. Obejrzał pokazane mu zdjęcia lotnicze i powiedział, że nie widzi sensu w tym, co tam robi Jakowski i nie ma pojęcia, gdzie się mogło podziać dwadzieścia brakujących wozów. Jeśli ich nie ma na zdjęciu, to muszą być w innym miejscu. Trzeba zebrać informacje - powiedział, że on nakazałby przerwanie ciszy radiowej.

- To ludzie generała Schaefera, a generał w Tripolisie - informował Schramm.

- Wyślijcie mu depeszę.

- Mamy zadepeszować, że się martwimy?

- Mogę panu powiedzieć tylko jedno. - Di Marco był sam wyraźnie zatroskany. - Najmniejszy błąd Jakowskiego pustynia pomnoży natychmiast przez dziesięć.

Schramm wrócił do Barce i odnalazł Benno Hoffmanna, który nadzorował zabezpieczanie drutami poszczególnych Messerschmittów na lotnisku.

- Di Marco przypuszcza, że Jakowski jest w poważnych tarapatach - relacjonował Schramm. - Dał to bardzo wyraźnie do zrozumienia.

- A więc dlaczego Jakowski nie da sygnału, że jest w kłopotach? Na Boga, odpowiada za stu pięćdziesięciu ludzi.

Przez chwilę przypatrywali się w milczeniu, jak żołnierze ustawiają zapory z czarnego, niewidocznego w nocy drutu.

- Może jutro pożyczę jakiś samolot - powiedział Hoffmann - i polecę na poszukiwanie. Jeśli teren pozwoli,

wyląduję obok Jakowskiego. Polecisz ze mną?

- Dziękuję, nie - brzmiała odpowiedź. - Już tam niemal nie postradałem życia.

Po całym dniu powolnej jazdy na niskich biegach i kilkakrotnej konieczności wykopywania samochodów, które zaryły się w miękkich piaskach, patrol Lamparda wyłonił się z Morza Piasków. Przed nim leżała równa, pokryta żwirem pustynia. Było późne popołudnie.

- Doskonale, czas na niewielką rozrywkę - oświadczył Lampard. To wygląda jak tor wyścigowy, a więc organizujemy wyścigi.

Wszyscy byli zmęczeni, brudni, pokryci kurzem i solą. Od ostatniego posiłku minęło sporo czasu. Decyzja Lamparda była jednak słuszna. Ta powolna jazda była ogromnie frustrująca.

Na początku zmierzyły się ze sobą jeepy i zwycięzcą został kapral Pocock. Potem jeepy ścigały się po kolistym torze i jadąc w przeciwnych kierunkach. Zwycięzcą był ten, kto zmusił przeciwnika do zjechania na tor zewnętrzny. Tę konkurencję wygrał kapitan Dunn. Z kolei był wyścig pojazdów jadących do tyłu po krętym torze. Tu najlepszy okazał się sierżant Davis.

Wszyscy byli przejęci, rozkrzyczani, rozemocjonowani.

- To był doskonały pomysł - zawyrokował Dunn.

- I doskonały trening - dodał Lampard.

Siedzieli na jeepie, przyglądali się zachodowi słońca i czuli zapach smażonej szynki.

- W zależności od tego, dokąd idziemy i co tam zastaniemy, być może podejmę decyzję o tym, by tam pozostać - mówił Lampard. - W takim wypadku ty poprowadziłbyś patrol z powrotem do domu.

- O czym ty mówisz? - zdumiał się Dunn. - Chcesz pozostać? Gdzie?

- Zapewne w Dżebel. Zaszyję się gdzieś z plecakiem pełnym bomb i będę prowadził sabotaż.

Dunn uznał, że jest to nazbyt dziwaczny pomysł, by z nim w ogóle polemizować.

- Rozumiem - rzekł, choć w rzeczywistości nie rozumiał.

- To pomysł, który omawialiśmy z pułkownikiem przy whisky. - wyjaśniał Lampard. - Tylko on i ja. Taka luźna możliwość. Nic konkretnego. Zależy od okoliczności... - zamilkł, gdyż tamten złapał go za ramię.

- Czuję zapach palącego się zapalnika. Uciekajmy!

Zeskoczyli z jeepa, a Lampard zapytał:

- Czy bomby są w ładunkach?

- Oczywiście, cała kupa bomb.

Używali zapalników działających na kwas. Rozlany z pojemniczka kwas przepalał druty, co powodowało płomień i wybuch. Jeśli poczuło się zapach kwasu i spalenizny, znaczyło to, że zapalnik został uruchomiony już dość dawno, a więc należało oczekiwać szybkiego wybuchu spłonki. Tymczasem Dunn ze zdumieniem zobaczył, że Lampard wraca do jeepa.

- Gdzie są zapalniki?

- Wydaje mi się, że w pudle po lewej. Zostaw to Jack. Jeśli jeden wybuchnie, wybuchną wszystkie.

- Być może. Czy to to? - Lampard podniósł jakieś pudło.

Dunn stojący już w bezpiecznej odległości od jeepa nie był w stanie zrobić kroku.

Jeśli zapalniki wybuchną i zdetonują tylko jedną bombę, maszyna rozleci się na kawałki. Lampard jednak stał w tyle jeepa i spokojnie, choć szybko badał poszczególne

zapalniki.

- O, tu jest ten mały łotr! - powiedział w końcu. Odstawił pudło, a jeden zapalnik wyrzucił na pustynię. W kilka sekund potem usłyszeli huk detonacji.

Dunn wrócił do jeepa.

- Miałeś rację zwiewając. Nie było potrzeby, by nas obu załatwiło. Ciekawe, jak to się stało?

- Sądzę, że w czasie wyścigów. Coś się tam przesunęło, coś upadło i jeden z zapalników stłukł się.

Lampard przytaknął ruchem głowy, a Dunn dodał:

- Wiesz, że to mógł być koniec patrolu. Nie wolno nam stracić tego jeepa i ładunku.

- Tak, nie wolno nam stracić bomb. Każda bomba to musi być jeden Messerschmitt. Myślę o tych bombach jak o własnych dzieciach.

- Nigdy w życiu nie słyszałem takiej gadaniny - zaśmiał się Dunn, a Lampard przyłączył się do niego.

* * *

Pomiędzy Wielkim Kopcem a Kufra nie ma nic, jedynie wielka, równa płaszczyna wysypana żwirem. Tu Lampard zatrzymał patrol i oznajmił, że odbędzie marsz.

- Długi marsz - wyjaśnił - jakieś pięć, a być może dziesięć, a jeszcze lepiej dwadzieścia kilometrów. Zależy od warunków.

- Czy idziemy do jakiegoś określonego punktu, sir? - zapytał sierżant Davis.

- Nie, idziemy w kierunku Kufry. W pojazdach pozostają kierowcy i Corky. Wszyscy inni idą ze mną. Zabieramy broń, nieco wody, plecaki z bombami. A ty Corky nie spiesz się. Jedź przed siebie. My już ciebie

znajdziemy.

Przez następne cztery godziny Lampard prowadził ludzi po trasie równoległej do trasy pojazdów. Szli długim, miarowym krokiem. Musieli wyciągać nogi, by nadążyć za dowódcą. Bomby były ciężkie. Pocili się, a pot zalewał im oczy i rozmoczył mundury. W ustach im wysychało, a języki sztywniały.

Po pierwszej godzinie Lampard zatrzymał się i przez pięć minut wypoczywali. Nikt nie usiadł. Jeśli się siadało, trudno było wstawać do dalszego marszu.

- Na każdym patrolu problemem jest to, że ma się zbyt mało czasu na ćwiczenia - mówił Lampard. - Siedzenie w jeepie nikomu jeszcze na zdrowie nie wyszło. A pomyślcie, co by się stało, gdybyście stracili jeepa? Co wtedy? Czekalibyście na autobus?

Nikt się nie odezwał i szybko minęło tych pięć minut.

- Uważać - zapowiedział Lampard, kiedy ruszyli - jak zagwiżdżę, wszyscy padają na ziemię.

Maszerowali przez następnych trzydzieści pięć minut, gdy Lampard gwizdnął. Wszyscy rzucili się na ziemię, jedynie Peck się spóźnił.

- Już by cię zabito - powiedział Lampard. - Biegiem przez dwieście metrów.

Wszyscy wstali, a Peck puścił się biegiem.

- Pamiętajcie, że nigdy nie wolno się wam czuć bezpiecznie. Ani na jedną minutę - pouczał ich dowódca.

Ruszyli, a Lampard w pewnym momencie rzucił petardę i ciszę pustyni rozdarł nieoczekiwany huk. Wszyscy zajęli stanowiska obronne i z bronią gotową do strzału rozglądali się dookoła.

Po przemaszerowaniu kilkunastu kilometrów, po kilku alarmach gwizdkiem i kilku rzuconych petardach Lampard poprowadził ich na spotkanie z wozami. Dunn, gdy zdjął plecak, miał wrażenie, że pływa. Nogi go paliły, ubranie było mokre od potu. Wypił łyk wody, jaką zaoszczędził. Miał ochotę na wypicie więcej.

- A teraz kierowcy - zdecydował Lampard i w kilka minut potem prowadził ich w pustynię. Kiedy późnym popołudniem wrócili, on nadal szedł długim, rzeźkim krokiem.

- Już chyba pozostaniemy tutaj - powiedział i nikt się nie sprzeciwiał.

Na kolację były ozorki, szynka i parówki z puszki, resztki kartofli i kapusty, jakie kupili wyjeżdżając z Kairu, owoce z puszki, mleko z puszki, nieco chleba i ser.

Podano herbatę bez rumu. Kucharz wprawdzie wyjął butelkę, ale Lampard odstawił ją. Nie zrobiono nic takiego, co by uzasadniało nagrodę.

Słońce chyliło się ku zachodowi, a chłodny powiew spowodował, że powyjmowali swetry lub koce.

- Wciągnij to powietrze do płuc - powiedział Lampard do Sandimana. - Czyste powietrze pustyni. Nie znajdziesz takiego nigdzie. Jak daleko do Kairu, Corky?

- Jakichś osiemset kilometrów.

- A jakie jest inne najbliższe miasto?

- Myślę, że Benghazi.

- A co jest na południe?

- Nic, Sahara ciągnąca się bez granic. Ze dwa tysiące kilometrów.

- A na zachód?

- Nic, do samego Algieru. A po co pytasz? Chcesz skoczyć po wieczorną gazetę?

- Nie, podoba mi się tutaj. Lubię to powietrze. Bóg miał dobry dzień, gdy stworzył pustynię.

- Cieszy mnie, że ci się tu podoba - mruknął Davis.

- Najbardziej lubię tu tę swobodę - odpowiedział Lampard.

Mieli za sobą ciężki dzień. Nikt nie miał ochoty na podejmowanie z dowódcą dyskusji na temat swobód. Wysłuchali natomiast dziennika BBC. Ani słowa o walkach na pustyni. Na Pacyfiku Japończycy ponownie coś tam zajęli. RAF bombardował zakłady „Skoda” w Czechosłowacji. Armia Czerwona prowadziła ciężkie boje pod Charkowem. Wszystko to odbywało się gdzieś straszliwie daleko.

* * *

Kufra wcale nie przypominała oaz, jakie pokazywano na filmach kręconych w Hollywood. Była to oaza wielka, bezkształtna, z tysiącami zakurzonych palm daktylowych i dwoma słonymi jeziorami o przeczystej wodzie. W miasteczku stały dwa rodzaje domów: zrujnowane, w których żyli krajowcy i utrzymane względnie dobrze, które pozostawili po sobie Włosi. W głównych budynkach miasta znajdowały się: szpital, szkoła, zbombardowane kino i meczet.

Gdy patrol Lamparda wjeżdżał i podążał do centrum osady, połowa miasteczka szła za nim. Wkrótce pojawił się oddział czarnych, afrykańskich żołnierzy i dowódca Kufry. A był nim major Tickenham, starszy oficer w szortach, o złamanym nosie. Zanim skierowano go do Kufry szkolili

rekrutów w Chartumie.

Lampard zasalutował.

- Przywieźliśmy panu coś do czytania, sir. - Podał mu paczkę z wszelkiego rodzaju książkami.

- Chwała Bogu. Wie pan, co miałem do tej pory? Regulamin armii, który znam na pamięć i podręcznik do nauki walijskiego, w którym brakuje połowy kartek. A co tu mamy... A, Zane Grey. Doskonale... Chodźcie, zakwateruję was w wydezynfekowanym burdelu po włoskiej armii.

Budynek nosił ślady po pociskach, ale był w nie najgorszym stanie.

- Wstawiliśmy nowe łóżka i wszystko pomylił się - wyjaśniał Tickenham. - Zostawiłem jednak napisy propagandowe. Nie są pozbawione wdzięku.

I rzeczywiście, na każdej ścianie wypisany był jakiś propagandowy slogan. Tickenham pokazał na jeden: *Il Duce ha sempre ragione*.

- Niech pan sobie wyobrazi w angielskich koszarach napis „Churchill ma zawsze rację”.

Przeszli do drugiego pokoju, gdzie na ścianie było wypisane: *Credere, Ubbidire, Combattere*. Lampard przeczytał głośno po angielsku:

- „Wierz, słuchaj, walcz”. Mój Boże, cóż za bzdura. - Dotknął materaca na łóżku. - Ale luksusy. Jestem panu ogromnie wdzięczny.

- Wydaje mi się, że naliczyłem trzech oficerów. Czterech z panem. Oczekuję panów na kolacji. O szóstej?

Resztę dnia Lampard wypoczywał. Wziął jeepa i razem z Dunnem, Gibbonem i Sandimanem pojechali się wykąpać. Woda była słona i gęsta, tak że można było na niej leżeć.

Leżeli więc bez ruchu i dali się znosić lekkiej bryzie.

Gdy zapadł zmrok pojechali do kwatery Tickenhama. Gospodarz spotkał ich przy wejściu.

- Dla was, świeżo przybyłych z Kairu jest w ogóle nie zrozumiałe, co to za frajda mieć gości. Wchodźcie. Inni już czekają...

Weszli do obszernego pokoju, w którym jedynymi meblami było kilka trzcinowych foteli. Na ścianach wisiały kilimy. Sudański żołnierz, czarny, jak wysmarowany pastą, serwował drinki. Jakiś wysoki brodacz w chałacie przypominającym sutannę księdza przerwał rozmowę z niższym od niego facetem i zwrócił się w ich stronę. Tym niższym był Henry Lester.

Lampard był w pierwszej chwili zaskoczony. Przez moment wydawało mu się, że jest w całkiem innym miejscu i czasie. Całkiem nagi stoi pośrodku pokoju pani Joan d'Armitage. Odczucie, że naprawdę jest nagi, było do lego stopnia realne, że poczuł gwałtowny skurcz genitaliów. Był prawie w panice.

Tymczasem Tickenham przedstawił Lestera, który z bezczelną miną oświadczył:

- My się znamy, ale nie sędzę, by pamiętał pan mojego przyjaciela Malplacketa.

Wymienili uściski dłoni, Lampard wybąkał kilka grzecznościowych słów, a Lester przyglądał mu się uważnie.

Zaczęli rozmawiać. Oczywiście gospodarz wypytywał o wszelkie możliwe plotki z Kairu. Dunn zauważył, że Lampard był jakiś nieobecny i roztargniony. Gdy przechodzili do jadalnego na kolację, szepnął mu do ucha:

- Jack, obudź się. Co się dzieje?

- Co? Och, nic szczególnego. Myślałem byłem w „Czarnym Kocie”.

- A to dlaczego?

- Dla niczego. Tak mi coś przyszło na myśl.

Na kolację podano potrawkę z jagnięcia, owoce, małe, gotowane na twardo jajka, ser i zsiadłe owoce mleko zaprawiane sokiem cytrynowym i ziołami. Lampard poczuł się lepiej i odzyskał apetyt. Pod koniec kolacji zapytał Lestera, czy mieli przyjemną podróż do Kufry.

- Przylecieliśmy - odpowiedział Amerykanin. - Łącznie zajęło nam to cztery godziny i trzydzieści pięć minut. Akuratnie dość czasu, by przeczytać kairskie gazety, zjeść kanapkę i przedzemać się. To najlepszy sposób poruszania się.

- Tak, dla nielicznych uprzywilejowanych.

- Raczej dla szczęśliwców - wtrącił się Malplacket. - Lester ma jakiegoś amerykańskiego przyjaciela w Kolumnie Transportowej. On nam to zaaranżował

- Były wolne miejsca - dorzucił Lester. - Nie podważaliśmy wysiłków na rzecz zwycięstwa.

- A co jest powodem przyjazdu panów?

- Ścisłe tajne. Powiemy później.

- Później mnie już tu nie będzie.

- Znajdziemy czas. Wstajemy bardzo wcześnie, by zobaczyć wschód słońca. Nie dołączyłby pan do nas?

- Dlaczego nie. - Wzruszył ramionami, a Lester uśmiechnął się serdecznie. Major Tickenham był wyraźnie zadowolony. Lubił, gdy jego goście się przyjaźnili.

* * *

Rano Lester był zbyt otumaniony, by się ubrać. Zrzucił

na siebie dzellabach, luźny płaszcz arabski, jaki kupił na rynku w Kairze i uprzedził Malplacketa.

- Ja będę rozmawiał - co tamten skwitował niezrozumiałym mruknięciem i skinieniem głowy.

Lampard czekał już w jeepie. Wyjechali na skraj oazy, stanęli i patrzyli na wschód słońca. Wreszcie Lester przerwał przeciągające się milczenie:

- Chciałeś wiedzieć, co robimy w Kufrze. O.K. Ja jestem korespondentem wojennym dla „Chicago News”. Mogę pokazać moje papiery. Wydaje mi się, że SAS to jedyna formacja, która rzeczywiście prowadzi tu wojnę. Chcemy jechać z wami na patrol i popatrzeć, jak wojujecie. Po prostu tylko to. Jasne i proste.

- To wcale nie jest ani jasne ani proste - zaprzeczył Lampard. - Dlaczego nie wystaraliście się o zezwolenia na podróż odpowiednią drogą w Kairze?

- Z dwóch powodów. Gdybyśmy starali się drogą urzędową, to dostalibyśmy figę. A nawet, jeśli jakimś cudem by nam zezwolono, to wszystko, co napisałbym, byłoby dokładnie ocenzurowane.

- I to mi się podoba - mruknął Lampard. - Nie będziemy informowali wroga.

- Informowali o czym? Czy on nie wie o waszych patrolach? Jeśli my wiemy, to zakładam się, że Rommel wie o wiele lepiej.

- To jeszcze nie powód, by odkrywać wszystkie karty i ujawniać zasady gry.

- Jakiej gry? Zanim moje relacje ukażą się w druku zasady gry całkowicie się zmienią. Będzie już po kolejnej bitwie. Front przesunie się w tę lub w tamtą stronę. A na razie wasze operacje to najlepszy temat z całej wojny na

pustyni Zrobię z pana kolejnego Lawrence z Arabii, czy pan rozumie? Powinien mi pan dziękować.

Lampard pomyślał przez chwilę, po czym zapytał Malplacketa:

- A jaka ma być w tym pańska rola?

- Hmm - mruknął niepewnie Malplacket, który nawet uważnie nie słuchał, jako że słyszał to już wszystko wielokrotnie. - Moja rola? A taka jak Lestera.

Lamparci wyjął z pochwy pistolet i zaczął się nim bawić.

- Och, nie. Nie jest pan aż tak głupi. - Z całym spokojem odrzekł Lester.

Lampard sprawdził magazynek.

- Jak na kogoś, kto jest bardzo daleko od domu, to jesteś ogromnie pewny siebie - powiedział wreszcie.

- Niech ci nawet takie myśli nie przychodzą do głowy - perorował Lester, a Malplacket zapytał:

- Co ma mu nie przychodzić do głowy?

- To, że może nas zabić, jak australijskiego oficera. - Lester zeskoczył z jeepa, obszedł wóz dookoła i kopnął w koła. Nie z gniewu, ale by w ogóle coś zrobić. - Być może Malplacket na to nie wygląda, ale jego ojciec jest członkiem rządu brytyjskiego. Przyjaciół Churchilla. A i ja jestem człowiekiem ostrożnym. Nie latam nieubezpieczony. Przed wyjazdem z Kairu opisałem mord, jakiego pan dokonał, a jak mi się wydaje, nie było to wcale w obronie własnej. Jeśli nie wrócę w ciągu miesiąca oświadczenie zostanie przekazane do prokuratury wojsk brytyjskich.

Lampard przechylił głowę i patrzył w niebo.

- Głupi donos od zaginionego Amerykanina. Prokurator

wsadzi w akta i zapomni o tym.

- Mój adwokat wcale nie był tego pewien. Spisał moje oświadczenie pod przysięgą.

Lampard milczał, a Malplacket dodał:

- W takiej sytuacji nikt nie może być zwycięzcą, choć być może czegoś nie dostrzegam.

Lampard schował rewolwer do pochwy:

- Nie wezmę was na patrol. To zbyt niebezpieczne i trzeba być do tego specjalnie przygotowanym, a żaden z was nie jest. Nie mielibyście szans, by z tego wyjść bez szwanku i bylibyście dodatkowym ciężarem dla moich ludzi, na co nie mogę się zgodzić. Jednak po moim powrocie dam wam informacje.

Uruchomił silnik jeepa.

- Nie pożałuje pan tego - powiedział Lester.

- Przypuszczam, że mógłbym przekonać Blanchtowera by polecił nakręcić film na temat walk waszego patrolu. David Niven, Cary Grant.

- Tylko nie Cary Grant - oświadczył stanowczo Lampard.

- Nie to nie, ale Errol Flynn jako Rommel? To śmiały pomysł, nie sądzisz?

Po śniadaniu Lampard zebrał ludzi i powiadomił, że jadą - nimi dwaj obserwatorzy, obaj cywile. Nikt nie był zaskoczony. Przypuszczano, że Lester i Malplacket, to szpiedzy, którzy pozostaną w Dżebel. Takich pasażerów mieli już w przeszłości.

Lampard zwolnił żołnierzy. Pozostali oficerowie.

- Jeszcze jutro zostajemy tutaj. Wyczyścić broń. Następnego dnia ruszamy.

- Depesza do ciebie - powiedział Sandiman - Oczywiście

musiałem rozszyfrować.

Coś było w jego głosie, że Dunn i Gibbon zaczęli mu się przyglądać.

- To oczywiście - Lampard wziął podawaną mu kartkę papieru, przeczytał i na chwilę zwiesił głowę.

- Zmiana planu - oznajmił. - Ruszamy jutro.

- Kair czeka na odpowiedź, sir - przypomniał Sandiman.

- Nie trzeba odpowiedzi. Nawet nie potwierdzaj. Nie wysyłaj niczego do kogokolwiek, aż zezwolę. Zrozumiane

- Lampard odszedł długimi krokami nachmurzony, jak generał. Prawą dłoń miał zaciśniętą w pięść.

- Powiedz, co tam było - poprosił Gibbon Sandimana.

- Nie mogę.

- Słuchaj, gdyby z Jackiem coś się stało, Mike obejmuje dowództwo.

- Przykro mi, ale nie mogę powiedzieć. Tajemnica wojskowa.

- Czy to był rozkaz, by ruszać jutro?

- Nie zadawaj takich pytań. To nieuczciwe. - Sandiman się oddalił.

Patrzyli za nim, a Dunn powiedział:

- A więc to nie był rozkaz wymarszu. Jack jednak wyrusza szybciej i nie chce, by o tym wiadano.

- To wygląda podejrzanie - powiedział Gibbon ponuro, ale Gibbon był w ogóle ponurakiem.

* * *

Pociski smugowe unosiły się znad pustyni i powoli pięły w górę, osiągały pułap, na jakim znajdował się cel i wybuchwały.

„Zaraz nas zatłuką” pomyślał Schramm. „A to wszystko

przez to, że Maria Grandinetti nie podniosła słuchawki”.

Pociski wybuchwały jednak w odległości jakichś stu metrów.

- Okropne - powiedział Benno Hoffmann - Jeśli podejdziemy bliżej, trafią nas, jeśli nie podejdziemy, nie rozpoznają.

- A dlaczego nie posłużymy się radiem? - pytał Schramm.

- Lampy katodowe wysiadły.

Hoffmann siedział za sterami Lysandera, który był własnością RAF-u i został zdobyty w Benghazi, po ostatnim wycofaniu się Brytyjczyków. Lysander to górnopłat z podwoziem w osłonach, doskonały do rekonesansu na niskich pułapach, większy i zdaniem Hoffmanna o wiele lepszy od używanego przez Luftwaffe Storcha.

Rzecz jedynie w tym, że w niczym nie przypominał Storcha i to był powód, dla którego kolumna Jakowskiego usiłowała ich zestrzelić.

Hoffmann odnalazł Lysandera zaledwie wczoraj wieczorem. Był zamelinowany w hangarze lotniska myśliwców w Beda Fomm, na południe od Benghazi. Piloci trzymali go w ukryciu, gdyż zdobyli go całkiem nieoficjalnie. Pomalowali go na żółto, wymalowali na bokach swastyki i używali do przewożenia urlopowiczów do Trypolisu. Dowódcą lotniska w Beda Fomm był stary przyjaciel Hoffmanna i on właśnie zgodził się wypożyczyć Lysandera za dwie skrzynki szkockiej whisky. Rano ktoś wytłumaczył Hoffmannowi działanie mechanizmów pilotażu i układ zegarów, siedząc za nim Hoffmann odbył rundkę dookoła lotniska, po czym już samodzielnie poleciał

do Barce.

- Fantastyczna maszyna - Hoffmann był rozentuzjzmowany - Nie polecisz z nami? Czekam tylko na di Marco.

- Znowu zajmujesz się swoimi zabawkami - burknął Schramm. - Kiedyż ty wreszcie spowaźniejesz? - I poszedł zatelefonować do szpitala.

Nie odpowiadała. Nadśłuchiwał, ale w słuchawce panowało milczenie. Po jakimś czasie rozbolało go ucho i przełożył słuchawkę na drugą stronę głowy.

- No, no, szybciej - pomrukiwał, ale na centrali stracono cierpliwość i rozłączono go. Odwiesił słuchawkę z taką siłą, że przyciął sobie palce Usiłował połączyć się jeszcze raz, ale skutek był ten sam. A przecież chciał jedynie usłyszeć jej głos. Wrócił na lotnisko.

Silnik Lysandera był już zapuszczony, a Hoffmann rozmawiał z kapitanem di Marco. Dołączył do nich. - Lecę z wami.

- Doskonałe, a więc w drogę. - Ucieszył się Hoffmann.

Dotankowali do pełna w Dżalo. Rolę nawigatora przejął di Marco i posługując się zdjęciami samolotów rekonesansowych dość szybko znalazł kolumnę samochodów. Patrząc przez lornetkę Schramm dostrzegł znaki Afrika Korps. Patrzył z góry i pod słońce.

- Zrzućcie im jakiś sygnał - sugerował di Marco.

- W pięć minut później lądowali niedaleko kolumny. Podeszli do nich kapitan Lessing i porucznik Fleischmann.

- A gdzie Jakowski? - zapytał Hoffman.

- Nie ma go tutaj - wyjaśniał Lessing. - Wziął dwadzieścia wozów i ruszył by przechwycić wroga w Calanscio. To było cztery dni temu.

Przeszli do ustawionego naprędcy namiotu, by znaleźć się w cieniu. Po miłym chłodzie kabiny Lysandera upał pustynny był nic do wytrzymania. Schrammowi pot zalewał oczy i czuł słony smak w ustach. Rozłożył na stole zdjęcia, a Lessing streścił wydarzenia, jakie zaszły od momentu, w którym opuścili Dżebel al Akhdar.

- Ogromnie wiele kłopotów sprawia nam nawigacja. To, być może, wyjaśnia nieobecność majora. Może jednak walczy z wrogiem.

- Wszystko jest możliwe - mruknął Hoffmann i spojrzał na di Marco.

- Czy mogę porozmawiać z nawigatorem? - zapytał di Marco.

Sierżant Voss przyniósł swoje mapy, którymi jednak di Marco się nie zainteresował.

- A wasz kompas? - Voss powiedział, że ma w wozie, a Lessing kazał mu go przynieść.

- Pan pozwoli, że pójdziemy razem - powiedział di Marco i wszyscy ruszyli do wozu sierżanta. Gdy stanęli przy wozie, Voss pokazał kompas umieszczony nad stolikiem z mapami.

- Standardowe gówny - oświadczył Lessing.

- Niech pan zapaści silnik - poprosił di Marco Vossa.

Silnik zawył, a igła kompasu zaczęła drżeć. Di Marco usiadł za kierownicą i wykręcił wozem tak, że stał dokładnie na osi północ-południe.

- Zaznaczmy teraz obie strony świata w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów od wozu - poprosił Włoch.

Przyniesiono dwie łopaty i wbito w ziemię tak, jak kapitan prosił. Teraz di Marco zmienił pozycję wozu. Sprawdził kompas.

- Północ przesunęła się nam jakieś piętnaście stopni na zachód. Możemy to też zaznaczyć?

Popatrzyli na kompas. Nie pokazywał tak, jak ustawiono pierwotnie znaki, a północ przesunęła się bardziej na prawo.

- No, no - bąknął Schramm, a był to jedyny komentarz, na jaki sobie pozwolił.

Ustawiono nowe oznakowanie północy, a di Marco ponownie zmienił położenie samochodu, i północ znowu przesunęła się w inną stronę.

- Za każdym razem, jak zmienia się położenie wozu, zmieniają się wskazania kompasu - powiedział di Marco. - Macie tu jakieś żelastwo? Powiedzmy sobie kilka karabinów maszynowych?

Przyniesiono broń i złożono koło wozu. Wskazówka natychmiast zmieniła położenie.

- Widzicie, północ przesunęła się na zachód - stwierdził Schramm.

- Tak, metale i wyładowania elektryczne zmieniają odczyt - powiedział Hoffmann. - To samo zjawisko obserwujemy w samolotach.

- Nie wszystkie metale - zaprzeczył di Marco - aluminium nie. Żelazo i stal.

- Tak, szczególnie silnik w samochodzie - przyznał sierżant Voss i zgasił silnik swego wozu.

Igła kompasu natychmiast zmieniła nieznacznie pozycję.

- Tak, widzicie, nawet obroty silnika dają odmienne wskazania na kompasie - wyjaśniał di Marco. - Wystarczy też, by inny samochód przejechał obok albo by jechał przed nami.

- A więc kompas jest dobry? - pytał porucznik

Fleischmann.

- Kompas jest doskonały - wyjaśniał di Marco. - Oczywiście tu jest bezużyteczny, ale poza tym w ogóle pierwszorzędny.

Wrócili w cień namiotu. Schramm z upału kulał bardziej niż normalnie, a koszula Hoffmanna przesiąknęła potem. Di Marco był natomiast w doskonałej formie, co Schramm odnotował z zazdrością. Gospodarze poczęstowali gości wodą z sokiem cytrynowym i daktylami z puszki.

- To wyjaśnia, dlaczego podróżowaliśmy po pustyni zygzakami - stwierdził Lessing, i dodał: - Po tej przeklętej pustyni.

- A jak to robią Anglicy? - zdumiał się Schramm. - Oni jeżdżą po pustyni, jakby jeździli taksówkami po Londynie. Skąd się to bierze?

- Kompas wskazuje dokładnie, ale nie w samochodach - sugerował porucznik Fleischmann. - Trzeba zatrzymać kolumnę - odejść jakichś dwadzieścia, trzydzieści metrów. Dopiero wtedy...

- Stop i jazda, stop i jazda. Już sobie wyobrażam te patrole SAS wyskakujące co pięć minut z samochodów.

Wszyscy przez kilka minut słuchali z uwagą, kapitana di Marco, który wyjaśniał im zasady działania kompasu słonecznego, który jest niezależny od zjawisk magnetycznych.

Nadszedł już czas, w którym musieli się zbierać do odlotu. Hoffmann nie był zwierzchnikiem Lessinga, ale doradzał mu, by jak najszybciej wracali do domu. Jakowski z całą pewnością się zagubił i nie był w stanie trafić na wyznaczone miejsce spotkania. Już spóźnił się dwa dni, a jego stacja radiowa milczała. Wysłanie kogokolwiek na

poszukiwania do Morza Piasków byłoby misją samobójczą. Lessingowi nie pozostawało nic innego, jak pędzić najkrótszą drogą do domu, zanim skończą mu się zapasy wody.

Lessing wysłuchał rad w milczeniu, pomyślał i odpowiedział, że jednak jeszcze trochę poczeka. Rozkazy majora Jakowskiego były wyraźne, a major mógł się w każdej chwili pokazać, mógł być gdzieś za horyzontem, być może potrzebował pomocy, wody, wsparcia ogniowego. Jeszcze nie może odjeżdżać. Nie zaraz.

- Jeśli pan uważa za słuszne, odbędziemy lot rekonesansowy. Dolecimy do brzegów Calanscio i pokażemy nad miejscem, gdzie mogliby być. Jeśli major Jakowski i jego ludzie opuścili Calanscio, to musimy ich spotkać.

Lessing wyraził zgodę na tę propozycję.

- Nie wiem, jakie jest zużycie paliwa tej maszyny - powiedział Hoffmann - a wolałbym nie ryzykować. Jeśli więc niczego nie zauważymy, nie wracamy.

Żółty Lysander wystartował. Weszli na tysiąc pięćset metrów i krążyli niczego szczególnego nie dostrzegając. Kapitan di Marco podał Hoffmanowi kurs do domu. Byli jeszcze kawał drogi od Dżalo, gdy zobaczyli dwa pojazdy. Mogły to być te wozy, które Jakowski wysłał na spotkanie z cysterną wiozącą wodę. Mogły to też być i inne. Na pustyni wałało się mnóstwo wraków porzuconych samochodów. Hoffmann zszedł w dół i krążył chwilę. Nikt się jednak nie pokazał i nikt do nich nie machał. Schramm miał wrażenie, że widzi jakieś ciało leżące w cieniu wozu, ale milczał. Grunt był nierówny i o lądowaniu mowy być nie mogło.

Po dotarciu do Barce mieli tylko jedno życzenie - napić się zimnego piwa. Poszli do kantyny i pili, przegryzając słonymi orzeszkami.

- On wziął z sobą przewoźną piekarnię - powiedział di Marco. - Czy wy rozumiecie? Przewoźna piekarnia na Saharze!

- W czasie ostatniej wojny Francuzi mieli przewoźne burdele - zauważył Hoffmann. - Tak w każdym razie opowiadał mój ojciec.

- Anglicy mają objazdowe kina - bąknął Schramm. - Wstąp do armii, zobaczysz Charlie Chaplina.

- Jeszcze panu nie podziękowałem za pomoc - powiedział Hoffmann do Włocha.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odpowiedział ten szarmancko.

- A prawdę mówiąc, to panu się tu na pustyni podoba.

- Sahara jest wspaniała, oczywiście.

- To odbytnica Afryki - mruknął Schramm.

- Pan Bóg stworzył również i odbytnicę. Bez niej nie mógłby pan żyć.

Zadrzały okna kantyny, Któryś z pilotów Me 109 wypróbował obroty silnika.

- Pan wie o wiele lepiej od nas co znaczy Sahara - powiedział Hoffmann. - Jak pan ocenia szanse Jakowskiego?

- Jakowski już nie żyje. To trup.

- Pan nie może tego wiedzieć.

- Spotkałem go. Jest dzielny i odważny jak lew. W ogóle nie dopuszcza myśli o klęsce. A na pustyni tak nie można, tam odwaga nie wystarcza. Na pustyni nie ma lwów.

- Lessing sądzi, że Jakowski wróci.

- No cóż. - Di Marco nieco się spieszył Patrzył przez okno jak wystartował Me 109 i skierował się nad morze. - Oczywiście, mnie łatwo mówić. Nie odpowiadam za tę operację. Mogę wyłącznie wyrażać swoje prywatne opinie.

- No więc niech pan powie, co pan o tym myśli - ponaglał go Hoffmann.

- A więc tak: Lessing, to dobry żołnierz. Chce wykonać rozkaz, choć wie doskonale, że Jakowski poprowadził ludzi w głąb Morza Piasków bez odpowiednich zapasów wody, nieprzygotowany, z błędnie pracującym nawigatorem. Gdybym był optymistą, powiedziałbym, że Jakowski ma szanse jeden do dziesięciu tysięcy. A szanse kapitana Lessinga? Lepsze. Pięćdziesiąt na pięćdziesiąt.

Schramm pożegnał się z nimi i wrócił do swego pokoju. Usiadł za biurkiem i zaczął przeglądać papiery. Nagie ogarnęła go pewność, że Jakowski nie żyje. Poczuł, że serce bije mu szybciej i że nie może przełknąć śliny. Śmierć w czasie bitwy była czymś normalnym i zrozumiałym, ta jednak wydała się bezsensowna, trudna do zaakceptowania.

Podniósł słuchawkę i zadzwonił do szpitala. Odezwała się zaraz po pierwszym dzwonku.

- Właśnie myślałam o tobie - powiedziała.

- Mam pewien problem.

- Niestety, ja też. Aż trzy problemy. Są ogolone i oczekują na operację.

- Kłapa. Nie mam szans by z nimi konkurować - usłyszał, jak się zaśmiała.

- Nie, nie masz szans. Cześć - i odwiesiła słuchawkę.

Rozdział VI

Doskoki i odskoki

Na końcu pasa startowego LG 250 leżał stary wrak Hurricana ze złamanym grzbietem. Popękane śmigło poniewierało się obok, w skrzydłach widoczne były dziury, a miejsca po wymontowanych karabinach maszynowych sprawiały wrażenie pustych oczodołów.

Pierwszy próbował Ostaniszewski. Odpadł od formacji i pikując nabierał szybkości. Na wysokości piętnastu metrów wyprowadził maszynę do lotu poziomego, ale zszedł jeszcze do sześciu metrów i w momencie, który uznał za stosowny zwolnił uchwyt bomb. Równocześnie podskoczył w górę i na prawo tak, jakby bomba ważyła tonę. W rzeczywistości była to makieta o wadze stu pięćdziesięciu kilogramów.

Adiutant i doktor przyglądali się temu z bezpiecznej odległości. Makieta podskoczyła i przeleciała obszernym łukiem nad Hurricanem.

- Katarek spieprzył nabożeństwo - ocenił Skull, który właśnie dołączył do dwójki widzów. Wujek zanotował wynik.

Z kolei próbował Kit Carson. Nadleciał jeszcze szybciej i zrzucił bombę nieco wcześniej. Też pudło. Makieta-bomba odbiła się od powierzchni lądowiska i poleciała daleko w pustynię.

Pit Patterson krążący razem z Hooperem i dowódcą śledził niepowodzenie obu kolegów. On dla odmiany podchodził na bardzo niewielkiej wysokości i zwolnił bombę możliwie najpóźniej, dopiero, kiedy wrak zniknął mu z oczu. Niestety, Hurricane miał długą komorę silnikową, która zasłaniała widok od przodu. Jego bomba uderzyła w

ziemię przed celem, odbiła się i razem z maszyną przeleciała nad wrakiem.

- Boże Wszechmocny - denerwował się Kellaway, a Skull skomentował rzeczowo:

- Kolejne pudło.

Najostrzej w doi schodził Hick Hooper. Bombę zwolnił zanim wyszedł z lotu nurkowego i nie trafił. Makieta upadła jeszcze dalej.

- Oczywiście jest, że cel leży w złym miejscu - skonkludował lekarz.

Całkiem odmiennie zabrał się do rzeczy Fanny Barton. W obszernym wirażu przemknął nad lądowiskiem LG, a dolatując do celu przypikował, by jak najdłużej widzieć miejsce, w które celował. Bombę zwolnił w możliwie ostatnim momencie. I chybił.

- Niewiele brakowało, a zrujnowałby mi moją kuchnię, przekłety chuligan - skarżył się Skull.

- Przenieś kuchnię do tego wraka, Skull - proponował lekarz. - Tam będzie najbezpieczniejsza.

Kiedy piloci spotkali się przy maszynie Bartona nie mieli ochoty na śmiech. Bombardowanie z myśliwca było dla nich czymś całkowicie nowym. Hurricany przystosowano do przenoszenia bomb, co jednak wcale nie czyniło z nich bombowców. Gdy nalatywali na cel, tracili go z oczu. Skrzydła Hurricana znajdowały się pod samą kabiną i w tej sytuacji bombardowanie przeobrażało się w zgadywanke. Jeśli nachodzili na niewielkiej wysokości, widzieli cel przed sobą niemal do ostatniego momentu, niestety bomba leciała z szybkością samolotu i zwalniała w momencie, w którym cel znikał pod skrzydłami, leciała jakiś czas i spadała za celem. Nalatywanie - niewielką

szybkością podnosiło szanse trafienia, ale kto mógł latać powoli nad lotniskiem nieprzyjaciela.

Do pilotów dołączył Skull.

- No, jak to widziałeś? - zapytał Barton. W rzeczywistości nie był nadmiernie zainteresowany odpowiedzią. W ogóle niechętnie patrzył na Skulla, ale komandor życzył sobie obiektywnych i niezależnych informacji i upierał się, by oficer wywiadu leciał z nimi. Barton musiał się zgodzić i Skull do swoich normalnych obowiązków miał zleconą opiekę nad kuchnią. Lekarz zajmował się latryną. Wujek otrzymał zadanie zorganizowania obrony lotniska. Oczywiście, nie było obrony lotniska, ale samo zadanie przypadło adiutantowi do gustu.

- Nie wyglądało to zachęcająco - odparł Skull.

- Dziękujemy i zegnaj.

- Musi być jakiś sposób - zastanawiał się Kit Carson. - Inaczej nie przystosowywaliby Hurricana do przenoszenia bomb.

- Myślisz o bombardowaniu z lotu nurkowego? - zapytał Skull.

- Nie możesz bombardować tą maszyną z lotu nurkowego - wtrącił się Hick. - Do tego przystosowano P-40. Armia Amerykańska skonstruowała go specjalnie z tym przeznaczeniem.

- Czy rzeczywiście nie można nachodzić na cel lotem nurkowym? - Skull wykonał ręką ruch imitujący nurkujący samolot. - Jak to robią Stukasy?

- Bądź poważny - zdenerwował się Pit - Jesteś w lotnictwie wystarczająco długo, by wiedzieć, że do takiego lotu maszyna musi być odpowiednio skonstruowana.

Stukas ma hamulce powietrzne, a my nie mamy, ta maszyna waży cztery tony, na miłość boską!

Skull czyścił jakąś plamkę krwi na swojej niezbyt czystej bluzie, i nie przerywając tej pracy, powiedział:

- Słyszałem o pewnym australijskim pilocie, który z powodzeniem zrzucił bomby nachodząc na cel lotem nurkowym. Podobno, kiedy wiesz jak to robić, to kaszka z mleczkiem.

- To jak on to robił?

- Niestety, nie mam pojęcia.

Barton wytrząsnął piasek i nasadził hełm na głowę.

- Jak zgubię skrzydła Pit, ty obejmujesz dowództwo.

Silnik jeszcze ciepły, zaskoczył natychmiast. W dziesięć minut potem jego Hurricane był na wysokości czterystu pięćdziesięciu metrów.

- Zapomniałem o pewnym drobiazgu - powiedział Skull do Wujka. - Podobno przy locie nurkowym pod pewnym kątem zwolniona bomba uderza w śmigło. Nie wiem, czy nie przypomniałem sobie za późno.

Wujek milczał.

Lecąc w górę Barton zastanawiał się nad problemem lotu nurkowego. Celując maszyną nakierowywało się jednocześnie bombę, to oczywiste. Hurricane był jednak bardzo szybki. Jeśli się podlatywało blisko, by mieć pewność trafienia, mogło zabraknąć czasu na wyprowadzenie maszyny. Jeśli się wyprowadzało wystarczająco wysoko, nie było pewności, czy bomba osiągnie cel. Skomplikowany manewr.

Spróbował raz, lecz nie potrafił utrzymać maszyny na właściwym kursie. Znosiło go w lewo, a wyjście z lotu nurkowego wcale nie było manewrem łatwym. Spróbował

jeszcze dwa razy i za każdym razem to samo. Jak wyliczał jego bomby padały by co najmniej o trzydzieści metrów od celu. Co robić? Nalatują na niewielkiej wysokości, i pudłują, z lotu nurkowego, pudłują.

Podjął próbę nurkowania pod różnymi kątami. Przy locie pod kątem czterdziestu pięciu stopni panował doskonale nad maszyną. Przy pięćdziesięciu pięciu stopniach maszyna miała tendencję do wykonania beczki. Powyżej siedemdziesięciu stopni właściwie nie można było nad maszyną zapanować. Tak więc najwyższy kąt, pod jakim można było nurkować, było to sześćdziesiąt stopni. Co widziało się przy takim locie?

Barton wyszedł na sześćset metrów i zanurkował właśnie pod kątem sześćdziesiąt stopni. Miał przed sobą doskonałą - idealną wręcz panoramę wraka Hurricana. Tak więc ten kąt lotu był zbliżony do ideału. Nie pozwalał maszynie przewrócić się na grzbiet, nie tracił z oczu celu i teoretycznie pozwalał na zrzucenie bomby w odległości stu pięćdziesięciu metrów od miejsca, gdzie miała upaść.

- Kaszka z mleczkiem - powiedział po wylądowaniu.

A potem był lunch wykonany pod nadzorem Skulla. Gulasz i suchary.

Przez całe popołudnie dywizjon ćwiczył bombardowanie z lotu pod kątem sześćdziesięciu stopni. Pod koniec ćwiczeń wrak Hurricana był całkowicie unicestwiony. Barton tchnął radością.

- Jutro wstajemy przed świtem i wypróbujemy nasze umiejętności na lotnisku warsztatowym Luftwaffe w Benina. Czy będą zaskoczeni?

Skull nie odpowiedział, tylko poszedł do siebie, wyjął mapy i zagłębił się w nie. Potem wrócił do Bartona i kiedy

znaleźli się sami, powiedział:

- Nie sądzę, by byli zaskoczeni. Benina leży między Benghazi a Džebel al Akhdar. Tam wszędzie pełno ich jednostek. Trudno sobie wyobrazić cel bardziej niebezpieczny.

- No cóż, zobaczymy. Co na obiad?

- Gulasz z Geraldo. No więc, powiesz mi, co o tym myślisz?

- Oczywiście. Opowiem ci wszystko, kiedy wrócimy.

- Możecie nie wrócić.

- Jezus! Skull, co z tobą! Ustawicznie martwisz się, że nas pozabijają. Na Boga, oczywiście, że pozabijają. Nie można być pilotem myśliwca i nigdy nie zostać zabitym. Prędzej czy później muszą ci dopaść. Cóż za różnica, kiedy. Żadna. Teraz ci ulżyło?

Skull nie znosił, kiedy się do niego mówiło takim tonem i w ten sposób.

- Jeśli tak, to nie ma sprawy. Życie i śmierć się nie liczą, nie ma się o co troszczyć. Demokracja, wyzwalenie Europy, kto się tym martwi?

- W każdym razie, ja nie - przytaknął Barton. - Mam w dupie - demokrację i Europę. - Ziewnął przeciągle. - Wskaż mi jakiś dobry cel, a mogą mnie nad nim wydymać - uśmiechnął się przy tym niewinnie.

I ten uśmiech zmartwił Skulla. Opowiedział o tym lekarzowi, ale nie otrzymał zadowolającej odpowiedzi. Lekarz mówił:

- Jeśli sądzisz, że potrafisz zrozumieć pilotów myśliwskich, to się mylisz. Lepiej sam weź dwie aspirynki, połóż się i prześpij.

Zmęczony Skull poszedł do swojego namiotu i nastawił

jedną ze swoich płyt.

* * *

Paul Schramm nie mógł zasnąć. Wstał o czwartej i łąził po lotnisku z dyżurnym podoficerem odpowiedzialnym za warty. Wreszcie nogi go rozbolewały i pokuśtykał do działu łączności, by się dowiedzieć, czy nie było sygnałów od kapitana Lessinga. Nie było. Poszedł więc do operacyjnego i przypatrywał się ogólnej sytuacji w powietrzu, naznaczanej na bieżąco na ogromnej mapie. A nie działało się zbyt wiele. Na lotnisku w Bernie, za Benghazi, wylądował jakiś samolot transportowy. Mapa kończyła się na południowych stokach Dżebel, tam, gdzie zaczynała się Sahara.

- A co, jeśli ktoś musi lecieć na południe? - zapytał dyżurnego oficera. Ten wzruszył ramionami i odpowiedział:

- To droga prosto do piekła.

- Latałem tam wczoraj.

- No i jak?

- Jak w piekle.

- No właśnie - i na tym rozmowa się urwała, a dyżurny oficer wrócił do rozwiązywanej krzyżówki.

W kuchni zaczął się ruch. Schramm wziął dużą menażkę kawy i podreptał do kwatery dowódcy lotniska. Hoffmann nie lubił być budzony o tej porze.

- Na miłość boską - warczał rozwścieczony. - Wynoś się i daj mi jeszcze kilka minut tej błogiej rozkoszy.

Schramm był zaskoczony. Tego nie oczekiwał.

- Ogromnie przepraszam - powiedział zimno. - Nie powinienem był przeszkadzać w takich drobiazgach, jak

sprawy życia i śmierci.

- Życia i śmierci. A więc nic nadzwyczajnego. Nalej mi nieco kawy. Kto nie żyje... Poza mną, oczywiście.

- Wkrótce nie będą żyli ludzie Lessinga, jeśli czegoś nie zrobimy.

Hoffmann warknął ponownie.

- Myśmy już zrobili. - Przymknął oczy, rozlał nieco kawy i natychmiast otworzył oczy. - Czego chcesz, żebym się pomodlił? Mogę, bardzo proszę.

- Zatelefonuj do generała Schaefera i nakłoń go, by kazał Lessingowi wracać.

- To twój pomysł i ty zadzwoń - Hoffmann podniósł słuchawkę i kazał się połączyć z generałem Schaeferem w Tripolisie. - A teraz czuj się jak u siebie - powiedział do Schramma, a sam podreptał do łazienki, skąd wkrótce rozległ się szum prysznicu i głośne śpiewanie.

Ciągle jeszcze śpiewał, gdy rozdzwonił się telefon, a jakiś dyżurny zapowiedział, że łączy z generałem Schaeferem. Schramm wiedział, co miał do powiedzenia i przedstawił sprawę jasno i krótko.

- To bardzo interesujące. - Usłyszał głos generała. - A teraz rozważmy fakty. Jakowski wziął wody i żywności na trzy tygodnie. Nie ma go od tygodnia. Mówicie, że się zagubił, ale to jedynie domysły. Oznacza to jedynie to, że nie możecie

go odnaleźć. A może jemu o to właśnie chodzi, by go nie można było odnaleźć. Doskonale się zakamuflował. Zachowuje ciszę radiową, jak uzgodniono. Wiemy, że tam w okolicy są brytyjskie patrole. Dlatego właśnie Jakowski tam się znalazł. Rozkazy, jakie wydał kapitanowi Lessingowi, są jasne. Jeśli go wycofam, opuszczę

Jakowskiego. Ja wierzę moim dowódcom, majorze. Wierzę Jakowskiemu. Wierzę Lessingowi. Dziękuję wam za waszą troskę i na razie proszę do innie nie dzwonić. Do zobaczenia.

Hoffmann stojąc w drzwiach wycierał włosy i uspokajał Schramma:

- To tylko głupia wojna światowa. Nie bierz sobie tego tak do serca.

Schramm zjadł w kantynie śniadanie i sprawdził w swoim pokoju meldunki. Aktywność SAS była umiarkowana. Niemiecki konwój pod Cyrenajką wpadł na miny, a w Bir Semander wysadzono skład amunicji. Zadzwoił do kolegów z wywiadu Luftwaffe na lotniskach Slonta, Derna, Soluch i Berka, ale wszędzie tam było cicho. Ponieważ nie miał niczego do roboty pojechał do Benghazi do fryzjera. Zanim jednak dojechał do miasta poczuł przykry ból w prawej nodze, a więc zrezygnował z fryzjera i skręcił prosto do szpitala.

* * *

Pięć Hawkerów wystartowało jeszcze w całkowitej ciemności. Wystrzelona flara pozwalała im dostrzec horyzont i koniec pasa, choć i tak wszyscy piloci lecieli na wyczucie.

Weszli na sześć tysięcy metrów i skierowali się na północ. Przez godzinę widzieli jedynie gwiazdy i błyski iskier wylatujących z rur wydechowych maszyn kolegów. Patterson jeszcze nigdy nie znajdował się tak głęboko na tyłach terytorium wroga i zdumiewał się tą ogromną pustką wkoło. Lotnisko LG 250 było położone około dwustu kilometrów za linią frontu, choć między Bogiem a prawdą,

linii takiej nie było w ogóle. Znajdowało się daleko od Morza, niemal na północnej krawędzi Morza Piasków Calanscio. W koło było rzeczywiście pusto.

Lecieli za Bartonem. Kiedy on schodził w dół, schodzili za nim. A zejście było długie, powolne. Schodzili pełną formacją, jak na paradzie. Silniki pracowały prawie na wolnych obrotach.

Było tak cicho i spokojnie, że Hick Hooper zaczął przypuszczać, że doleczą nad cel niezauważeni. A cel zaczął się właśnie wyłaniać przed nimi. Jedyne brzeżek słońca wysunął się nad horyzont dając jednak dość światła, by rozróżniać szczegóły na ziemi. I właśnie w tej poświacie zobaczyli pasy startowe, na których jednak coś się poruszała Hick wytrzeszczył oczy, starając się wysilić wzrok. Messerschmitt 110 zaczynał drapać się ostro w górę. Musiał być tuż po starcie. Oczywiście oni musieli być jego powodem. Już ich namierzono. Zapaliły się reflektory, a niebo rozjarzyły wybuchy flaku.

- Życzę szczęścia i przyjemności - powiedział Barton, a to były jego pierwsze słowa od momentu startu. Formacja się rozluźniła i przeszli w lot nurkowy. Nurkowali pod kątem sześćdziesięciu stopni.

Benina stanowiła jedną z największych baz Luftwaffe w Libii, a pasy startowe pełne były samolotów, będących doskonałym celem dla Hawkerów.

Kit Carson wybrał cel i zaczął głośno odliczać sekundy do momentu, w którym zwolnił dwie stukilowe bomby. Maszyna natychmiast stała się lżejsza i podskoczyła do góry. Wychodząc z lotu nurkowego przez chwilę nie miał świadomości. Poddając się sile odśrodkowej krew odpłynęła mu od mózgu. Obraz, na jaki patrzył, stał się

zamazany. Wydawało mu się, że wieża kontrolna upada prosto na niego, ale pozostała gdzieś z boku. Przez moment leciał równolegle do powierzchni ziemi i wtedy właśnie odzyskał wzrok. Zobaczył trzy inne myśliwce, a na prawo, coś silnie eksplodowało wyrzucając w górę żółte płomienie, czemu towarzyszyły elektryczne wyładowania. Cztery Hawkery zaczynały się już pięć w górę.

Eksplozję, której odbłask zobaczył, wywołała maszyna Katarka, która wbiła się w rząd niemieckich maszyn stojących na pasie. Katarek, jak inni zanurkował pod kątem sześćdziesięciu stopni, a maszyna posłusznie leciała prosto w wyznaczony cel. W pewnym momencie tor lotu nurkowego przeciął się z torem pocisku flaku, który wybuchł dosłownie pod stopami polskiego pilota. Kawałek szrapnela

przeciął kabel łączący drążek sterowniczy ze sterami. Drążek stał się natychmiast przedmiotem bezużytecznym. Pilot wyciągnął ręce jakby zastanawiając się nad czymś. Do ostatniej chwili, zanim maszyna nie zaryła się w dwa Me 110 stojące na pasie Ostaniszewski miał szeroko otwarte oczy. Zapłacił za bilet i miał prawo do tego, by obserwować przedstawienie do samego końca.

Jeśli była jakaś pogoń, to wystartowała za późno i ruszyła w złym kierunku. Me 110 zniknęły, odpędzone przez własną artylerię. Barton prowadził swoich zygzakami. Wyszli nad Dżebel i dopiero stąd skręcili w pustynię. Nad LG 250 nadlecieli w luźnej formacji.

Skull zebrał ich raporty. W końcu podsumował wyniki:

- Dziesięć prawdopodobnie zniszczonych - zabrzmiało to, jakby nauczyciel ogłaszał złe wyniki egzaminu.

- Prawdopodobnie? - Hick Hooper był rozwścieczony. -

Dostali prosto między oczy. Przelecieliśmy bez mała osiemset kilometrów, a ty twierdzisz, że „prawdopodobnie”?

- Nikt nie widział dokładnie rezultatów. Wszyscy wychodzili z lotu nurkowego i zasuwali do przodu, byle dalej. Nie mogę tego uznać jako pewne.

- Ja widziałem jak wybuchalo - powiedział Pit. - Mówiłem ci o tym.

Stali wokół Skulla i patrzyli na niego z nienawiścią. Ten jednak był nieustępliwy.

* * *

Arabowie nie przerywali wędrówki, a Grek George nie miał pojęcia dlaczego. Nigdy na jednym miejscu nie pozostawali dłużej, jak dwie noce. Podróż była uciążliwa, wracał jednak do sił. Jeździł wielbłądem, ale zaczynał już chodzić. Na popasach starał się być pomocny. W szczególności zbierał susz na ogień i wyspecjalizował się w parzeniu herbaty.

Pewnego ranka, gdy siedzieli na zboczu niewielkiego pagórka, nad ich głowami przeleciała formacja Hawkerów. George zerwał się, machał i krzyczał. Samoloty szybko znikły. Arabowie cieszyli się razem z nim.

Od tego momentu zaczął myśleć o powrocie do dywizjonu. Był teraz ciemny, jak Arab, a podeszwy tak mu stwardniały, że mógł chodzić bez butów. Być może dojdzie do dywizjonu. Innym się to już udawało. Trzeba było to poważnie rozważyć.

* * *

Nie było jej w szpitalu. Siedziała w niewielkiej włoskiej kawiarence zaraz za rogiem. W momencie, w którym ukazał się w drzwiach, zamówiła jeszcze jedną kawę. Przy stolikach obok rozmawiało kilku cywilów. Odezwała się do nich, a ci zaśmiali się i większość wyszła.

- O co chodzi? - zapytał.

- Powiedziałam, że jesteś najbardziej wymagającym kochankiem, jakiego spotkałam i jeśli twoje żądze nie są zaspokajane co najmniej trzy razy dziennie wpadasz w szał i strzelasz do brytyjskich jeńców.

- Nigdy nie wpadam w szał. Nie wiem co to w ogóle znaczy.

Usiadł naprzeciwko niej i patrzyli na siebie, a ona równocześnie jadła.

- Wyglądasz na zmęczonego, to znaczy, jakbyś kochał tej nocy siedemnaście razy, a żaden stosunek nie sprawił ci przyjemności.

- Nie miałem dobrej nocy, ale z innych powodów.

Podano kawę i dwa kieliszki brandy.

- A ty jesteś z siebie zadowolona? - zapytał.

- Dwie amputacje przed śniadaniem. Popatrz, co znalazłam w czyichś nerkach. - Wsadziła rękę do kieszeni i wyjęła z niej mały odłamek granatu, który położyła na stole. - A to dopiero początek dnia.

Wziął odłamek do ręki i uważnie obejrzał. Wydawało mu się, że jest to najwstrętniejsza rzecz, jaką mu się udało w życiu zobaczyć.

- Co było powodem amputacji? Gangrena? - Tak naprawdę nic go to nie obchodziło. Pytał dla podtrzymania konwersacji.

- Nie, nie gangrena. Wybuchy. Benina została nad

ranem zaatakowana przez bombowce nurkujące. Nie słyszałeś o tym? Oczywiście, że nie. Wywiad Luftwaffe nie wie o niczym.

- Bombowce nurkujące? Nieprzyjaciel nie ma nurkujących bombowców. W każdym razie nie ma takich, w zasięgu których byłaby Benina.

- Ja się na tym nie znam. Moja sprawa to ranni, ambulanse, operacje. Masz jakieś problemy? Zauważyłam, że jak wchodziłeś twoje nogi...

- Nic się nie dzieje z moimi nogami - przerwał jej natychmiast. Ciągłe jeszcze myślał o tym nalocie na Beninę. - Jestem w doskonałej kondycji. Czy chcesz zatańczyć? - Zdawał sobie sprawę z głupoty pytania. - Teraz, przy śniadaniu?

Ona tymczasem powiedziała coś po włosku do właściciela - w chwilę potem ktoś zaczął grać na harmonii. Grał walczyka. Wstali od stolika i przez chwilę tańczyli.

Gdy wyszli na ulicę wzięła go pod rękę.

- Co powiedziała byś na wspólną kolację wieczorem? Powinniśmy wykorzystać Garibaldiego. - A w duchu pomyślał, że mógłby ją przy tej okazji poprosić o rękę. Sam pomysł wydawał mu się dziwaczny, ale zaczynał się do niego przyzwyczajać. - Czy mogłabyś zamówić stolik?

- Dziś nie. Dziś wraca generał Schaefer.

- Dziś? - Był zaskoczony.

- Czy wy w wywiadzie rzeczywiście niczego nie wiecie? Nic dziwnego, że przegrywacie wojnę.

- A przegrywamy?

- Nikt ci o tym nie powiedział?

W milczeniu doszli do bram szpitala.

- Któregoś dnia ktoś to miejsce zbombarduje i będzie po

naszych kłopotach. - Spojrzała na zegarek. - Jeśli chcesz się rozerwać, chodź ze mną na obchód. Dziś jest wiele ciekawego do zobaczenia.

Zawahał się. Źle spał tej nocy i naprawdę nie miał ochoty na oglądanie okaleczonych ciał.

- Nie sądzę - powiedział - Gdybym jeszcze raz miał oglądać tego biednego gefreitera z Barce, mógłbym się podać do dymisji.

- Nie martw się, jego już nie ma.

- Ach tak. - Zawstydził się uczucia ulgi i by to czymś pokryć, powiedział: - To dopiero chłopak. Jaka szkoda... Na co zmarł?

Popatrzyła na niego poważnie.

- Jeśli cię to tak interesuje, to powinieneś wiedzieć, że to ja go zabiłam.

Nie potrafił zrozumieć, co mówi.

- Popełniłaś jakiś błąd?

- Nie, to nie był błąd. Jego organizm już nie mógł żyć, ale nie mógł też umrzeć. Życie już utraciło dla niego wartość, a więc pomogłam mu odejść.

- Utraciło wartość? - Poczul przyspieszone bicie serca. - Skąd wiesz o tym? Kto powiedział, że nie ma wartości?

- Ja wiem. Wyczytałam to w jego oczach. Jego życie było już jedynie przeciągającą się agonią - mówiła z całym spokojem. - Wilka o przeżycie stawała się beznadziejna. Wczoraj wieczorem, o dziesiątej trzydzięci zabiłam go zastrzykiem... Zgasł jak świeca.

- Robiłaś to już przedtem?

- Oczywiście. Nie sądzisz, że to był jedyny beznadziejny przypadek w tym szpitalu...

- Ilu?

- Dwudziestu, trzydziestu. A co to ma za znaczenie?

- Chryste, oczywiście żadnego. Jesteś jedynie lekarzem i jedynie zabijasz pacjentów. Dlaczego to miałyby mieć znaczenie. O Jezu...

Jego gniew i sarkastycznie uwagi nie wydawały się nią wstrząsać.

- Przykro mi, że zepsułam ci dzień - powiedziała - Teraz przynajmniej wiesz, czego należy nienawidzić.

- Czy ty wiesz, co ty robisz? Bawisz się w Pana Boga.

- No cóż, ktoś to musi robić. - I zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć pocałowała go w policzek i zniknęła za drzwiami szpitala.

Pozostałą część poranka spędził na spacerze po Benghazi. Skręcił w jakieś boczne uliczki, gdzie nie musiał salutować, a więc mógł włożyć ręce do kieszeni. Zszedł w dół, w kierunku portu, usiadł na fragmencie muru, który odpadł od zbombardowanego domu i napawał się świeżą bryzą wiejącą od morza. Przyglądał się jak spieszenie rozładowywano jakieś dwa statki. Chodziło oczywiście o to, by uprzedzić bombowce przeciwnika

Około południa zajechał przed Hotel „Garibaldi”. Powiedziano mu, że generał Schaefer jest na konferencji. A potem ma następną konferencję. A po tej drugiej konferencji wyjeżdża na inspekcję. Ma kalendarz całkowicie wypełniony. Major Schramm może czekać, jeśli sobie życzy, ale...

I Schramm czekał. Po godzinie poczęstowano go herbatą.

Po następnej godzinie przyszedł siwy pułkownik, przedstawił się jako von Mansdorf, współpracownik generała.

- Bardzo nam przykro, że pan czeka - powiedział. - Pan jest tym majorem Schrammem, który dzwonił do generała tak rano?

- Tak, to ja.

- Gratuluję odwagi, majorze, ale operacja Jakowskiego to naprawdę nie pański interes. Czy w tej sprawie chciał pan mówić z generałem?

- Nie.

- W takim razie sugeruję, by pan powiedział mnie, o co chodzi, a ja przekażę generałowi. Inaczej mógłby pan czekać tygodniami.

- Anglicy przy pomocy patroli SAS, a teraz jak słyszę i bombowców nurkowych, niszczą nasze lotnictwo myśliwskie. Mam pomysł na zniszczenie ich lotnictwa. Plan polega na zaatakowaniu Szlaku Takoradi.

- Chodźmy do pokoju map - zaproponował von Mansdorf.

Gdy się tam znaleźli pułkownik wyjął wielką mapę Afryki Północno-Zachodniej, rozwinął na stole i boki przycisnął popielniczkami.

- Może mi pan przypomnieć, w czym rzecz?

- Port Takoradi jest poza mapą - mówił Schramm. - To w Nigerii. Tam składa się Hurricany. Potem lecą ponad całą Afryką do Chartumu. Stąd nad Nilem do Kairu. Podbrzusze trasy to odcinek między Kano a Chartumem. Hurricany lądują, by zatankować w Maiduguri, w Fort Lamy, w Geneina i w El Fasher. To wszystko lądowiska niebronione. Wątpię, by miały jakąkolwiek poważniejszą załogę.

- Oczywiście, są tam Hurricany.

- Nieuzbrojone. W Takoradi nie montuje się uzbrojenia,

by maszyny były jak najłżejsze. Robi się to w Kairze.

- Tak, oczywiście.

- Gdybyśmy przecięli szlak Takoradi...

- Pana obsypałyby deszcz orderów - mruknął von Mansdorf. - A teraz proszę powiedzieć, jak można by to zrobić?- Dokładnie tak, jak swoje operacje wykonuje SAS. Ich patrole idą na północ, nasz poszedłby na południe.

Von Mansdorf popatrzył na mapę.

- Zaletą pańskiej propozycji, jest jej prostota - powiedział. - Z Benghazi do szlaku Takoradi jest jakieś dwa tysiące kilometrów i to w linii prostej. To jak z Paryża do Moskwy i to w terenie bez dróg, bez żadnego zaopatrzenia. Nic, tylko piaski, upał i muchy.

- Jest tu włoski oficer, di Marco, który już przed wojną prowadził ekspedycje poprzez Saharę...

- Pan z nim konsultował ten pomysł?

- Jeszcze nie.

- Proszę chwileczkę zaczekać.

Von Mansdorf wrócił po kilkunastu minutach i oznajmił:

- Właśnie rozmawiałem z kapitanem di Marco. On twierdzi, że to jest niewykonalne.

Schramm był zaskoczony.

- Tak od ręki odrzuca?

- To trasa trzy razy dłuższa od tych, jakie mają do pokonania patrole SAS, a na południe od Kufry teren jest niesłychanie trudny. Trzeba by wysłać ogromną kolumnę z zaopatrzeniem. Nie dałoby się tego ukryć. Szlak Takoradi biegnie przez francuski Czad, a więc Francuzi byliby wrogami takiej wyprawy.

Pułkownik von Mansdorf odprowadził Schramma do wozu.

- Niech pan będzie bardziej ostrożny - poradził - i nie nachodzi generała Schaeffera. Znajdzie się pan na froncie rosyjskim. Po co to panu.

Schramm wrócił do Barce. Na swoim biurku znalazł informację od agenta, którego Włosi pozostawili w Kufrze. Z informacji wynikało, że patrol Lamparda pojawił się w oazie i wyjechał

* * *

Gdy patrol zatrzymał się na południowy posiłek Lampard otworzył zalakowaną kopertę. Przeczytał dwa razy i wezwał oficerów: Dunna, Gibbona i Sandimana.

- Naszym celem jest Beda Fomm - powiadomił ich.

Gibbon natychmiast zerknął do mapy.

- Dziewięćdziesiąt kilometrów na południe od Benghazi. Na zachód od nadbrzeżnej szosy.

Beda Fomm to ogromne lotnisko, pełne znakomitych celów - mówił Lampard.

- Niemieckie czy włoskie? - pytał Dunn.

- Niemieckie. Dwa dywizjony Me 109. Nic nie mówcie ludziom, a w szczególności naszym szanownym pasażerom.

Lester i Malplacket byli w zasadzie zadowoleni. Udało im się zwiać z Kufry, przed nimi otwierały się perspektywy wielkiej przygody, a jak na razie mieli wakacje. O wszystkim zdecydowano za nich. Jedzenie było nie najgorsze i w dowolnych ilościach. Warunki podróżowania nie były najlepsze, a żołnierze raczej nieufni.

Pod koniec dnia patrol przedarł się przez wąską odnogę Calanscio. Pokonaliby większą odległość, gdyby nie awaria jednego z wozów. Na kolację podano resztki produktów

zabranych z Kufry: kartofle, marchewka i ananasy. Wieczór na pustyni był jak zawsze prześliczny. Lester leżał na swoim kocu i obserwował gwiazdy. Potem przymknął oczy i wydawało mu się, że zaczyna pisać reportaż: Przemierzamy Saharę. Dziką, bezlitosną pustynię... Wkrótce zasnął.

* * *

- Czy omawiałeś to z di Marco? Już po jego rozmowie z von Jakmutam?

- Nie.

- To genialne. Wyznaczasz di Marco na szefa swojej fantastycznej ekspedycji, a nawet go o tym nie informujesz.

- Teraz to już nieaktualne. On to utracił.

Hoffmann chrząknął i strząsnął popiół z cygara. Spacerowali po lotnisku w całkowitej ciemności, a paląc cygaro Hoffmann łamał regulamin, który osobiście podpisywał, uważał jednak, że nie ma takiego brytyjskiego pilota, który z wysokości dwóch kilometrów mógłby dostrzec jego rozżarzone cygaro.

- Schaefer nie ma wyobraźni - mówił Schramm. - Takoradi to pięta achillesowa lotnictwa brytyjskiego w Afryce.

- Oddalona od nas o dwa tysiące kilometrów.

- A słyszałeś kiedyś o składach paliwa po drodze?

- Nie wydzieraj się. Gdzie? Na bezdrożach Afryki?

Zbliżali się do rzędu Me 109 niewidocznych w ciemności. Wiedzieli jednak, gdzie są maszyny strzeżone zresztą przez strażników. Gdy wyczuli, że stoją przy samych drutach, Hoffmann zawołał:

- Nie strzelać, dowódca lotniska!

Ktoś oświetlił ich latarką. Nie padło ani jedno słowo. Zawrócili do baraków. Już w drodze powrotnej Schramm powiedział:

- Sam nie wiem, dlaczego to sugerowałem. To było nieco lekkomyślne.

- Widzisz, co się dzieje z człowiekiem, kiedy zdarzy się mu zakochać? Fatalnie, stary, fatalnie.

Schramm nie miał ochoty dyskutować na temat miłości.

- A co właściwie stało się w Benina?

- Po prostu pech. Nieustające kłopoty z radarem. Przez całą noc włączał się samoczynnie, aż wreszcie przestano zwracać na niego uwagę. A wtedy właśnie nadleciało pięć bombowców nurkujących. Zniszczyły pięć czy sześć maszyn na lotnisku. Dziesięciu zabitych, dwudziestu rannych. Flak zestrzelił jednego z nich.

- Co za maszyny?

- Nie rozpoznano, a ten co spadł, wybuchł. Artylerzyści przysięgają, że to P-40 albo Hurricany.

- Niemożliwe, nie mają takiego zasięgu.

- Powiedz to w Benina. Będą ucieszeni.

* * *

LG 250 leżało całkowicie na uboczu. Kilka namiotów, kupa skrzyń z częściami zapasowymi i narzędziami, daszek z celty, pod którym jedli, latryna i to było całe lotnisko.

Właśnie z latryny wyszedł adiutant i z niesmakiem rozejrzał się po lotnisku. Chciał iść do kancelarii i nie był w stanie jej znaleźć. Wyglądało, jakby ją gdzieś przeniesiono. Minał go właśnie kapral od amunicji. Był w szortach i w butach z cholewami, a na szyi zwieszały mu się taśmy z nabojami. To zastanowiło Kellawaya.

- Dziś nie środa? - zapytał kaprala.
- Niech mnie pan zabije, sir, nie mam pojęcia, i kogo to obchodzi, jaki dzień?
- Kapralu, w tym dywizjonie środa, to dzień sportów, a wy nie jesteście odpowiednio ubrani.
- Sir - wyjąkał kapral rozglądając się za kimś, kto mógłby mu pomóc.
- Tak na dobrą sprawę powinienem podać was do raportu - indyczył się Kellaway. - A gdzie jest wartownia? Też przenieśli?
- Wydaje mi się, że doktor pana szukał, sir.
- Doktor? - Rozglądał się, ale doktora nie było nigdzie w pobliżu. - A co znowu stało się z naszym biednym doktorem? - Pokiwał głową. Ledwie człowiek spuści kogoś na pięć minut z oka, a już musi się coś wydarzyć.
- Kapral zobaczył nadchodzącego Skulla i zamachał do niego.
- Przypuszczam, że pan Skelton doskonale wie, o co chodzi.
- I lepiej, żeby wiedział. Nie będę czegoś podobnego tolerował.
- Skull szedł pod otwartym parasolem. - Jakieś kłopoty, Wujaszku?
- Och nie, nic poważnego. - W głosie adiutanta zabrzmiały tony sarkazmu. - Nie rozumiem tylko, gdzie się podział nasz maszt sztandarowy?
- Maszt? - zdumiał się Skull. - A kiedy widziałeś ten maszt po raz ostatni? - Skinieniem głowy dał znak kapralowi, by szedł w swoją stronę.
- Jak to kiedy. Zawsze tu stał, przed budynkiem administracji, obok mojej kancelarii. A gdzie wartownia? I

gdzie nasze kino? A kuchnia? Wszystko gdzieś poznikało.

- Kuchnia jest. Może nie taka, jak przedtem, ale jest.

- Nonsens. Kuchnia powinna być tam, koło klubu oficerskiego. Dalej powinien być sklep, sekcja transportowa, magazyny. Teraz nie mamy nawet masztu. Cały dywizjon zszedł na psy.

Doktor nadbiegł pędem, zapewne zaalarmowany przez kaprala.

- A nie mówiłem mu, by unikał słońca? - skarżył się.

- Jemu się wydaje, że jest w Kingsmere, tam, gdzie dywizjon stacjonował przed wojną. W Essex.

- Czy jedziesz na urlop? - Chciał wiedzieć Kellaway.

- Nie Wujku, nie jadę na urlop - smutnym głosem odpowiedział Skull.

- A więc dlaczego nie masz na sobie munduru? Po cywilnemu możesz być jedynie na urlopie, poza koszarami, a i to powinienesz być w ciemnym garniturze i w krawacie.

- A tu jestem w bluzie.

- Ale dzisiaj jest środa. - W głosie adiutanta wyczuwało się dezaprobatę. - A środa, to dzień zawodów sportowych.

- Chodź ze mną, Wujaszku - lekarz wziął go pod rękę.

- Wszystko musi być zgodne z regulaminem. Ten facet ma na nogach sandały. Oficer nie pokazuje się publicznie w sandałach. Na miłość boską, tak nie wypada...

* * *

W pół godziny później Barton zrobił odprawę dla trzech pilotów. Skull przysłuchiwał się. Tym razem celem było lądowisko Luftwaffe na wschodnim cyplu Dżebel. Miejsce nosiło nazwę Bir Dagnish. Nadleca na dużej wysokości, zbombardują i zwiewają. Barton podał długości fal

radiowych i współrzędne dla kompasu, gdyby się ktoś zagubił, a gdy kończył rozległ się głos adiutanta. Awanturował się. Odwrócili głowy i zobaczyli, że zaatakował właśnie doktora i usiłował go uderzyć składanym krzesłem. Doktor odskoczył, ale krzesło trafiło go jednak w żołądek. To widocznie zadowoliło adiutanta, gdyż skierował się do grupy pilotów.

- Trzeba go będzie jednak odstawić - szepnął Barton.

- Nie, jest tylko podniecony. To mu przejdzie - sprzeciwił się Skull.

Kellaway podszedł tymczasem do nich. Przypominał starego psa, który ma podwinięty ogon, a jednocześnie jest w stanie pogryźć.

- Ten głupi doktor chciał, bym wypił rum - powiedział - Mówiłem mu, że oficer nie częstuje oficera alkoholem w klubie. To sprzeczne z regulaminem. A on nie chciał słuchać. Upierał się. Takiego faceta nie sposób tolerować. Co wy na to?

- Wiesz przecież, że to Irlandczyk - tłumaczył Skull.

- Tak? Oni w Irlandii piją tyle rumu? Zresztą wszystko jedno... Nie o to chodzi, chodzi o Takoradi. Wiem chłopcy, że gromicie Niemców przekonani, że unikiecie dzięki temu wysłania na Takoradi. Nie w tym rzecz, Takoradi już wam nie grozi.

- Tak? Kto to powiedział? - zapytał Barton

- Baggy Bletchley. On powiedział mi, że nie potrzebują już pilotów do transportu szlakiem Takoradi. Znaleźli już dostateczną ich liczbę. Nie ma już żadnych obaw.

- Nie chciałbym ci, Wujaszku, przerywać - powiedział Pit Patterson - ale czeka na nas lotnisko, które mamy zbombardować.

- A właśnie - ucieszył się Wujek. - Właśnie o to chodzi, o te naloty, ataki, bombardowania. Fanny się na tym poślizgnie.

- A gówno. - Barton był wyraźnie zniecierpliwiony.

- Co to znaczy poślizgnie? - zapytał Skull. - Wyleją go, przeniosą?

- Pewnie by chcieli, ale Fanny ich przechytrzy. - Patrzył na dowódcę, a w jego twarzy odczytać można było uczucia lojalności i przyjaźni. - My wiemy, Fanny, że bez ciebie nie byłoby dywizjonu. A jednak jesteśmy.

- Bardzo już nas niewielu - mruknął Skull. - Grupka szczęśliwców.

- Oczywiście - przytaknął Kit, znudzony tym gędzeniem.

- Muszę wam to powiedzieć, bo Fanny jest za skromny, by sam miał zrobić - kontynuował Kellaway.

- Na rany Chryste, zatkaj się, Wuju - wybuchnął Barton.

- Przechytrzysz ich, przechytrzysz - Kellaway nie dawał za wygraną. A ponieważ doktor zbliżył się do nich trzymając się za brzuch, adiutant zwrócił się do niego. - Jak ty jesteś ubrany. Mamy środek, a ty co? Jak możesz być w sandałach, kiedy jesteśmy na froncie w obliczu wroga? - i nagle cisnął krzesłem w lekarza trafiając go tym razem w kostkę.

Doktor wrzasnął z bólu i znieacka wyrznął adiutanta w podbródek tak, że ten upadł.

- Zbieraj się i wynoś do swojego namiotu - darł się lekarz.

Kellaway podniósł się z trudnością i odszedł. - Czy to było konieczne? Biedny facet nie wie, co mówi. - Stanął w obronie adiutanta Skull.

- Ma pecha. Nie wiem, jak postępować z wariatami. Być może nie chodziłem na odpowiednie wykłady. - Masował sobie kostkę. - Może byłem w knajpie, a może grałem w piłkę. A przy okazji informuję, że rozbił naszą ostatnią flaszkę rumu.

- Dostaniesz flaszkę rumu ode mnie - obiecał Barton, a doktor kulejąc odszedł.

- A więc słuchajcie - Skull powrócił do przerwanej wątku. - W odległości pięciu minut lotu macie dwa inne lotniska, Abiar bu Seia na zachodzie i Mechili na południu. W promieniu pięćdziesięciu kilometrów na północ jest co najmniej dziesięć innych lotnisk.

- Wiemy. - Uciął Barton i dał znak do startu. Trzej piloci ruszyli ku swoim maszynom.

- Widzisz, coś zrobił z naszym dywizjonem - rzekł z wyrzutem Skull. - Z taką siłą nie wygrasz wojny.

- Wojny? Jakiej wojny? - Barton rozejrzał się dookoła. - Nie widzę tu żadnej wojny. Nie wiem, o czym mówisz i niewiele mnie to interesuje. Robię to, co jest moim obowiązkiem, a wszystko inne pieprzę. Rozumiesz?

Rozległ się odgłos zapuszczanych silników. - To wcale nie jest takie proste - odparł Skull.

- To ogromnie proste, ale ty tego nie rozumiesz. Wywiad nigdy niczego nie rozumie. Przygotuj nam dobry obiad, Skull.

Zobaczyli Dżebel z wysokości czterech i pół tysiąca metrów. Hick Hooper leciał i wypoczywał. Rozglądał się co chwilę po niebie w poszukiwaniu kogoś, kto mógłby go zaskoczyć. I opłacało się. Wysoko, nad nimi, dostrzegł srebrne sylwetki. Wrzasnął do mikrofonu:

- Dowódca Szerszeni. Bandyci na godzinie piątej.

Barton podniósł rękę i Hick zrozumiał, że tamten już od jakiegoś czasu musiał widzieć niebezpieczeństwo.

Hawkery leciały w formacji zapożyczony przez RAF od Luftwaffe, a zwanej „cztery palce”. Nazwa pochodziła od tego, że samoloty zajmowały pozycje jakby na końcu palców wyprostowanej dłoni. Hick nie mógł oderwać wzroku od przeciwnika. Srebrne sylwetki rosły w oczach. Poczul, że dzieje się z nim coś dziwnego. Czul mrowienie w rękach, skóra na czaszce i na karku jakby zrobiła się za mała. Był przerażony. Po raz pierwszy znalazł się w sytuacji, kiedy pięć czy sześć samolotów spadało z nieba z myślą o tym, by go zabić. Lewą ręką wymierzył sam sobie policzek. Ból przywrócił mu równowagę i odpędził strach.

Kit Carson mruzczał sam do siebie: Las, pole, las, pole. Znajdował się w sytuacji, którą ćwiczyli wielokrotnie. Me 109 spadały z nieba, atakowały, i natychmiast uchodziły przygotowując się do ponownego ataku.

- Las, pole, las, pole. - Pierwsza litera pierwszego słowa - oznaczała, że odskakują w lewo. Drugie słowo oznaczało odskok w prawo. Trzeba było uważnie słuchać i wykonywać - polecenie. W przeciwnym wypadku można było się nadziać na kolegę.

Barton obejrzał się. Me 109 nurkowały jak skoczkowie spadający z trampoliny. Widział już dokładnie kolory w jakich pomalowane były maszyny wroga. Trzeba wytrzymać. Byle wytrzymać do odpowiedniego momentu. Byle nie za szybko! Teraz! Krzyknął:

- Pole! Pole!

Cała formacja wykonała ostry wiraż w prawo.

Pit wykonał manewr razem z innymi, ale obciążony

bombami Hawker stał się niemrawy. Nieco odpadł, a siła odśrodkowa zahamowała na moment dopływ krwi do mózgu, co spowodowało, że przez chwilę nie widział niczego, oprócz czerwonawej mgły. Ręce podświadomie wykonały odpowiedni manewr wyprostowując maszynę.

Zrobili prawie półkole, a pociski Me 109 poleciały daleko przed nimi. Teraz Me były już jedynie małymi punkcikami nad horyzontem.

Wiedzieli, że tamci zaraz wrócą, a więc, że trzeba się było spieszyć. I rzeczywiście sytuacja powtórzyła się. I ponownie rozkaz Bartona, tym razem:

- Las! Las!

Wykonali ciasny wiraż w lewo, a pociski Me 109 poleciały ponownie przed nimi.

Nastąpił trzeci atak. Tym razem Me 109 nurkowały po bardziej stromym torze, a ich pociski poleciały niepokojąco blisko.

- Schodzimy w dół! Za mną! - usłyszeli głos Bartona.

Teraz oni sami schodzili na cel. Me 109 gdzieś zniknęły. Nie miały szans dogonić Hawkerów w locie nurkowym. Byli już bardzo blisko celu, gdy Pit Patterson zrozumiał, że coś jest nie w porządku. Tam na dole było za cicho. Nie odzywa się flak. Nie ma żadnego ruchu na lotnisku. Pusto i głucho.

- Nie zrzucać bomb! - usłyszał rozkaz Bartona. - Nie zrzucać bomb! Lecieć za mną. Coś wywąchamy.

Lecieli na wysokości stu metrów nad szczytami wzgórz, kierując się na północ. Widzieli dokładnie drzewa i krzaki, stada kóz i pasterzy. Hickowi wydawało się nawet, że widzi ptaki.

Barton jednym okiem patrzył na mapę. Najbliższe

lotniska Luftwaffe znajdowały się nad wybrzeżem. Apollonia, Cirene, El Qubba, Derna i kilka innych. Barton nie chciał jednak się do nich zbliżać. Me 109 musiały ich już zaalarmować i baterie flaku tylko na nich czekały. Ale Barton nie miał zamiaru powracać do bazy z bombami.

Problem rozwiązał się sam. Pod nimi pokazała się szosa zatłoczona pojazdami. Barton natychmiast zorientował się w położeniu. Była to Przełęcz Martuba. Przelecieli nad nią - Barton zatoczył koło.

Cel był łatwy i doskonale widoczny. Lecący jako ostatni Kit Carson widział eksplodujące na szosie samochody. Ciężarówki wpadały do rowu i wywracały się kołami do góry. Inne stawały w płomieniach. Wóz wpadał na wóz. Kit również umieścił swoje bomby w samym środku szosy i natychmiast poszedł w górę, by uciec przed falą podmuchu.

Barton nie miał wątpliwości, że na wszystkich okolicznych lotniskach ogłoszono stan alarmowy. Włączono wszystkie radary w okolicy, ale wyśledzenie samolotów, lecących nisko nad Džebel, musiało być trudne. Szczyty pagórków dawały odbicia. Barton zgadywał, że zdaniem przeciwnika ich droga ucieczki pójdzie na Północ, nad morze, gdzie nie ma flaku. Tam, po zatoczeniu wielkiego łuku, przedostaliby się za linię frontu. Postanowił przechytrzyć wroga i polecieć na południe. Wracać tą samą drogą, którą przylecieli.

Domysły Bartona były jednak fałszywe. Mylił się.

Zostali zaatakowani w momencie, w którym znaleźli się nad pustynią. Cztery Me 109 nadleciały z lewej flanki otwierając ogień z tak znacznej odległości, że Patterson domyślił się natychmiast z kim mieli do czynienia - z mało doświadczonymi pilotami. Ich pociski świetlne

przelatywały daleko i nikomu nie zagrażały. Barton zawrócił razem ze swoją gromadką tak, że znaleźli się twarzą w twarz z przeciwnikiem. Hickowi przez cały czas chodziło po głowie, że tak właśnie należało stawiać czoła niebezpieczeństwu. Nie przygotowano go jednak, że starcia będą się odbywały przy tak ogromnej szybkości. Me 109 przemknął tuż obok niego, podczas gdy on nawet nie zdążył złożyć się do strzału. Zapamiętał jedynie sylwetkę tamtego i osłonę jego kabiny.

- Szerszeń Dwa, trzymaj się mnie! - usłyszał w słuchawkach polecenie Bartona. To przynajmniej było proste i zrozumiałe.

Na razie obie formacje okręzały się nawzajem wspinając na wysokość prawie tysiąca pięciuset metrów. Barton wiedział, że Me 109 chciały znaleźć się jak najwyżej, by jak zawsze zaatakować z lotu nurkowego i odskakiwać. I on też chciał znaleźć się możliwie wysoko, gdyż w nurkowaniu ich maszyny były lepsze, mogły się oderwać od przeciwnika i gnać na swoje lotnisko. Me 109 przez chwilę leciałyby za nimi, ale piloci nie mieliby odwagi zapuścić się głębiej w pustynię.

Nagle w słuchawkach rozległo się wołanie. Był to głos Kita Carsona:

- Kłopoty, Fanny! Silnik mi się przegrzewa. Wskaźnik oleju wlaźł na czerwone. Chryste, czuję spaleniznę!

- Zamknij gaz, zamknij gaz! - polecił Barton, ale Kit już to zrobił i natychmiast zaczął pozostawać z tyłu. Me 109 to zauważyły i skierowały się na niego.

- Czy możesz lądować? - pytał Barton.

- A oni mi dadzą? - brzmiała odpowiedź zakończona gorzkim śmiechem. Głupie pytanie. Za samolotem Kita

wlokła się teraz czarna smuga dymu.

- Usiłuj lądować, my ich odgonimy.

Przeciwnik jednak nie miał zamiaru stracić okazji i zaatakował. Przez chwilę wokół bezbronnej i opadającej maszyny rozpętało się istne piekło. Jednak niemal wszystkie Me 109 chybiły. Ostatnia salwa zmiażdżyła ogon samolotu Kita. Maszyna chwiała się i zataczała jak pijany facet.

- To koniec! Wyskakuję! - wrzasnął Kit.

- Pozostań jak najbliżej samolotu. Wrócimy i zabierzemy ciebie.

Kit nigdy jeszcze nie skakał z lecącej maszyny. Teraz chciał to zrobić jak najszybciej, zanim Me 109 wróca i zabiją go. Odsunął zasłonę kabiny, które odleciała do tyłu zaczepiając o rozbite stery. Hurricane zachwiał się jakby chciał zrobić beczkę i Kit wpadł w panikę. Maszyna jednak wyrównała, a on zaczął pospiesznie wykonywać odpowiednie czynności. Rozłączył kabel radiowy, przewód tlenowy, rozpiął pasy kabinowe i zaczął nerwowo poprawiać pasy spadochronowe. Czuł, że ręce mu drżą i w panice nie potrafił odnaleźć zawlecзки. I w tym momencie samolot wywrócił się na grzbiet, a on po prostu wyleciał z kabiny. Chyba w tym momencie pociągnął zawleczkę, ale nie był tego pewny. Spadochron zaczął się z trzaskiem otwierać, a on zawisnął pod jego czaszą.

Od powierzchni pustyni dzieliło go ponad tysiąc metrów, a opadanie trwało co najmniej dwadzieścia minut. Wreszcie leżał na rozgrzanym piasku. Szczątki Hurricane'a paliły się w odległości około pięciu kilometrów od niego. O sto osiemdziesiąt kilometrów dalej Barton, Patterson i Hooper lądowali właśnie na lotnisku.

Barton opowiedział Skullowi, co zaszło.

- W każdym razie zmusiliśmy Luftwaffe do wyjścia z nory.

- Oczywiście powiadomię o tym Skrzydło, Skrzydło powiadomi Grupę, Grupa Naczelne Dowództwo, a ci, nie wiem już kogo i tak o wszystkim spokojnie się zapomni. Prawda?

- To miał być dowcip? - zapytał Patterson. Na twarzy, wokół oczu miał ślady pozostawione przez gogle.

- Lubilem Kita. To był swój chłop - powiedział Skull.

- Bez wątplenia. Co masz na kolację? - interesował się Barton.

Na kolację był gulasz wołowy, a potem Skull poszedł do swojego namiotu i nastawił sobie płytę.

* * *

Drugi dzień po opuszczeniu Kufry minął bez wydarzeń. Rano niektóre z pojazdów zaryły się w piachu i wszyscy pracowali przy ich odkopywaniu i wyciąganiu. Lester i Malplacket nie mieli nic do roboty i niewiele do oglądania. Corky Gibbon objaśnił im zasady działania kompasu słonecznego. Było to nawet interesujące, ale Lester wiedział, że nie są to informacje, jakich od niego oczekiwała redakcja.

W czasie wyciągania jednego z wozów Mike Dunn znalazł się nieco na uboczu i wtedy podszedł do niego Sandiman.

- Sądzę, że powinieneś wiedzieć, co było w depeszy z Kairu.

Dunn przytaknął skinięciem głowy.

- Mówiąc prawdę jestem nieco zaniepokojony -

stwierdził cicho Sandiman. - Wiesz, oni odwoływali kapitana Lamparda do Kairu. To był wyraźny rozkaz.

Popatrzyli na pozostałych. Lampard śmiał się z tego, co mówił sierżant Davis. Wyglądał na całkiem odprężonego i pewnego siebie.

- Od kogo to był rozkaz?

- Z Dowództwa.

- Może oznaczać wszystko. Awans, przeniesienie... - Dunn wiedział jednak, że musiało chodzić o coś innego, coś znacznie bardziej poważnego, że zdecydowano się na odwołanie dowódcy patrolu w trakcie wykonywania zadania.

- Wydaje mi się, że wiem z jakiej komórki wyszła ta depesza. Przypuszczam, że to biuro żandarmerii.

Dunn ze zdumieniem potrząsnął głową.

- Tu nie może przecież chodzić o „Czarnego Kota”. Gdyby tak, to odwołaliby cały patrol. Zresztą takimi bzdetami, jak ta awantura, nikt tam sobie głowy nie zawraca.

- Sądziłem, że powinieneś być o tym wiedzieć.

Dunn pomyślał, że jednak byłoby mu lżej, gdyby o tym nie wiedział.

Następnie złapali dwie gumy i kiedy je naprawiali Malplacket zapytał Dunna, co by się stało, gdyby w takim momencie zauważyły ich samoloty wroga. Dunn odpowiedział, że jego zdaniem zostaliby zabici. Malplacket z niepokojem obserwował niebo.

Trzeciego dnia wyjechali na równinę pokrytą żwirem i patrol posuwał się szybciej. W południe, kiedy słońce nie rzucało cienia i kompas Gibbona nie działał, zatrzymali się na obiad. Suchary, kiełbaski i ser z puszki oraz puszkowane

owoce. Siedzący obok Dunna Lester powiedział:

- Tu jeszcze bardziej płasko niż w Kansas. Nie przypuszczałem, że to możliwe.

- A jednak...

- Czuję się jak robak na środku kortu tenisowego. Ile jeszcze tej pustyni?

- Jeszcze kawałek. Co najmniej trzysta kilometrów.

- To jak z Nowego Jorku do Bostonu - skonstatował Lester. - Czy może się w drodze jeszcze coś wydarzyć?

- Nie sądzę. - Dunn przeżuwał suchary. - Oczywiście interesująco może być w Benghazi. Może nie interesująco, ale inaczej... Benghazi jest inne.

- Poczekaj, przecież w Benghazi są Niemcy.

- Oczywiście, co jednak nie powstrzymało Churchilla i Macleana przed spędzeniem tam doskonałego weekendu.

- Coś słyszałem na ten temat - mruknął Lester. - Powiedz, jak to było.

Dunn opowiedział. Syn premiera Randolph Churchill i pewien były dyplomata Fitzroy Maclean wyruszyli z patrolem SAS i wjechali do Benghazi. Ich zadaniem było podłożenie min w porcie. Plan się nie udał, ale jeździli i chodzili po ulicach i nikt ich nie zaczepiał.

- A co mieli na sobie? - zainteresował się Lester.

- Brytyjskie mundury. Takie jak nasze. Nikt się za nimi nie oglądał.

- Zdumiewające.

- A w drodze powrotnej wpakowali się do rowu i wylądowali ostatecznie w szpitalu - zaśmiał się Dunn.

Kiedy wszystko naprawiono i co należy popakowano Lester odciągnął Malplacketa na bok.

- Czy słyszałeś o tym, jak Randolph Churchill

spacerował po Benghazi w brytyjskim mundurze?

- Wydaje mi się, że Blanchtower coś na ten temat wspominał. A bo co?

- Pytasz co? Syn brytyjskiego premiera paraduje ulicami Benghazi, a Niemcy i makaroniarze mu salutują. A ty pytasz co?

- Sądzę, że to w doskonałym stylu. Blanchtower opowiadał, że rząd był zdumiony, gdy się o tym dowiedziano.

- To fantastyczna historia. Fantastyczna!

W tym samym czasie Dunn podszedł do Lamparda.

- No więc powiedziałem mu - oznajmił. - I miałem wrażenie, że częstuję konia cukrem. Dlaczego chciałeś, by mu to opowiedzieć?

- To nie ma znaczenia - Lampard wzruszył ramionami.

- Wiem, ale po prostu jestem ciekawy, dlaczego ty sam mu tego nie powiedziałeś.

- Zainteresowało go, mówisz?

- Zafascynowało.

- Tak właśnie przypuszczałem... W każdym razie dziękuję ci, Mike. No, a teraz w drogę!

Przez całe popołudnie jechali wysypaną żwirem równiną na północny zachód. Nic się nie zmieniało, z wyjątkiem tego, że słońce zniżało się nad horyzontem i rzucało coraz dłuższe cienie. Silniki pracowały na tej samej, niezmiennej nucie, a olbrzymia, pusta pokrywa niebios zdawała się przyciskać wszystko do ziemi. Lester i Malplacket mieli tego już wyżej uszu i obaj się zdrzemnęli.

Około czwartej kolumna stanęła, ale nikt nie wysiadał, co było niezwykle. Wszyscy patrzyli w przód, przed siebie, gdzie w górę wznosił się słup czarnego dymu.

Lampard wysłał Dunna i Pecka jeepem na rekonesans.

Gibbon przyglądał się mapie, po czym poszedł szukać Lamparda i znalazł go zajętego czyszczeniem pistoletu maszynowego.

- Mam coś interesującego, co chciałbym ci pokazać - powiedział Gibbon.

Ruszyli razem w kierunku wozu Gibbona, a kiedy znaleźli się sami, ten powiedział:

- Nie mam nic ciekawego, do pokazania, ale wolałem pomówić - tobą na osobności. - Głos miał bardzo poważny.

- Chodzi ci o tę depezę do Kufry?

- Nie wiem, Jack. Może tak. Powiem ci, o co chodzi, a jeśli nie będziesz chciał odpowiadać, to możesz mnie odesłać do wszystkich diabłów. - Palcami gmerał w swojej, już wcale długiej brodzie. - Nie wiem od czego zacząć.

- Radziłbym od początku - Lampard był całkowicie odprężony.

- OK, a więc zacznę od Harrisa. Jak zginął i kiedy. Potem Waterman. Jak zginął i kiedy. Od tych wszystkich szczegółów.

- Rozmawiałeś z kapitanem Kerrem?

- To on rozmawiał ze mną - poprawił Gibbon ostro.

- Oczywiście. Przepraszam. - Lampard uśmiechnął się po sztubacku - Powinienem być się domyśleć. A więc Kerr pytał ciebie o szczegóły działań naszego patrolu? No cóż... ma do tego prawo. Tam rozpatrują sprawę odznaczenia. Coś jeszcze?

Gibbon patrzył w horyzont, ale nie znajdował tam natchnienia. Miał ochotę skończyć rozmowę, ale równocześnie czuł, że to i owo pozostaje do wyjaśnienia.

- Z tego, co mówił adiutant wynika, że oficjalna wersja

śmierci Harrisa i Watermana jest daleka od...

Chciał powiedzieć „od prawdy”, ale zreflektował się i powiedział:

- ... od rzeczywistości.

- Niebawem - bąknął Lampard i przekrzywił głowę.

- Z meldunków ma wynikać, że Harris został zabity przez wartownika, a Waterman zginął w czasie nalotu Stukasów.

- Nieprawda.

- Chcesz powiedzieć, że tego nie było w twoim raporcie?

- Oczywiście, że nie. A tak ci powiedział adiutant?

- Nie powiedział... Raczej się domyślałem.

- Corky, wybacz - Lampard wyglądał na znudzonego. - Jakaś dupa w Kairze wszystko pokręciła. Zapewne maszynistka pomyliła dwa różne raporty dwóch patroli. No, ale to już historia. Dla nas ważne to, co teraz. Zgadzasz się?

Gibbon zawahał się. Był nawigatorem i nic innego nie powinno go obchodzić.

- A ta depesza do Kufry? - zapytał jednak.

- A, to już moja tajemnica. - Lampard zamrugnął przy tym szelmowsko. - Nie musisz wierzyć we wszystko, co słyszysz. Prawda bywa odmienna od tego, co się widzi.

Peck prowadził jeepa ostrożnie. Często stawali i razem z Dunnem lustrowali horyzont przez lornetki. Po przejechaniu niespełna dwudziestu kilometrów stwierdzili, że dym wydobywał się z beczki w której zapalono olej, co było dziwne i skłaniało do ostrożności. Peck jako pierwszy zauważył jakieś błyski na zachód od płonącej beczki, co pozwalało przypuszczać, że ktoś się tam kryje. Ruszyli

dalej na piechotę i szli z godzinę. Byli teraz wystarczająco blisko, by zobaczyć ślady wozów, a w chwilę potem i same wozy.

* * *

Kapitan Lessing zdawał sobie sprawę z tego, że ustawienie dymnego sygnału dla Jakowskiego pociąga za sobą wiele niebezpieczeństw. Wszystko, co mógł zauważyć Jakowski, mogli zauważyć i inni. Uznał jednak, że nie ma innego wyjścia. Kapitan di Marco wyraźnie stwierdził, że grupa Jakowskiego kierowała się błędnymi wskazaniem nawigacyjnymi. Lessing nie potrafił wymyśleć niczego innego, by pomóc dowódcy w odnalezieniu miejsca spotkania.

Na wszelki wypadek kazał się swoim ludziom okopać i wprowadził permanentną obserwację. Po każdej stronie obozowiska ustawił obserwatora, który się zmieniał co dwie godziny. A po zapadnięciu zmroku, co godzinę.

Plany taktyczne przedyskutował z porucznikiem Fleischmannem:

- Co robimy na wypadek brytyjskiego ataku? - zapytał.

- W ciągu dnia? Oczekamy, by podeszli w zasięg naszych moździerzy.

- A może i oni będą mieli moździerze?

- Być może. Wtedy rozproszymy się po pustyni.

- A jeśli zaatakują w nocy?

Fleischmann zwiesił głowę i rozważał.

- To zależy - powiedział - Zależy od tego jakimi dysponują siłami.

- Oni nie wiedzą, jakimi my dysponujemy.

Patrzyli przez chwilę na siebie i obaj wybuchnęli

śmiechem. Potem wzięli się do pracy i porozstawiali ciężkie karabiny maszynowe.

* * *

Pałaca się beczka z olejem pozostawała niewyjaśnioną tajemnicą, a samochodów nie byli w stanie zidentyfikować. Lampard zastanawiał się przez dziesięć minut i podjął decyzję o zaatakowaniu przeciwnika. Decyzję przyjęto w milczeniu.

- Nikt nie wyraża zadowolenia? - zdumiał się Lampard.

- Po prostu nie rozumiem sensu - odpowiedział Gibbon.

- Znamy swoje położenie i możemy ich w nocy spokojnie obejść. Nawet, gdyby nas usłyszeli, nic nam nie zrobią. Nie w nocy.

- W okolicach nie ma żadnego innego patrolu SAS, ale to jeszcze wcale nie znaczy, że mamy przed sobą Niemców - mówił Sandiman. - Jeśli to rzeczywiście Niemcy i mają radio, to rano mamy na głowach Stukasy. Mógłbym się założyć.

Lampard targał się za lewe ucho i patrzył na Dunna.

- Ty jesteś wodzem - powiedział.

- A więc i ty jesteś przeciwny?

- Naszym celem jest Beda Fomm.

- Jeszcze dobierzemy się do Beda Fomm, ale nie chcę mieć niemieckiej zasadzki za plecami. - Lampard rozumiał, że ten argument ich nie przekonywał. - Zresztą czas, by chłopcy się nieco rozruszali.

Gibbon popatrzył na Sandimana, ale Lampard się tym nie zainteresował. Kazał wezwać żołnierzy i zrobił odprawę.

Lessing, Fleischmann i starszy sierżant na zmianę przez całą noc sprawdzali warty. O czwartej nad ranem Fleischmann rozprowadził nowych wartowników i zwolnił dotychczasowych. Panował całkowity spokój. Księżyc zaszedł i obejmowały ich nieprzeniknione ciemności.

Nowym wartownikiem po północnej stronie obozowiska był dwudziestojednoletni berlińczyk Manfred. Usiadł przy lekkim karabinie maszynowym i pomny przykazań Fleischmanna przez jakieś dziesięć minut uważnie wpatrywał się w ciemność. Potem wyobraźnia podsunęła mu obraz jego dziewczyny Tani. Wydawało mu się, że widzi, jak dziewczyna wślizguje mu się do łóżka i od tego momentu obowiązki wartownika przegrywały z wyobraźnią. Usiadł wygodniej na piasku, przytulił się do karabinu maszynowego i wspominał wszystkie miejsca, w których się kochali. Patrzył w gwiazdy i marzył, co nie przeszkodziło mu w tym, że odnotował jakiś szmer. Powstrzymał oddech i nasłuchiwał. I w tym momencie lewa ręka kaprała Pockocka zakryła mu usta, a prawa z precyzją podcięła gardło tak, że Manfred w ciągu kilku sekund wyzionął ducha.

Strażnik po zachodniej stronie leżał nieruchomo pod kocem i wreszcie ucisk pęcherza stał się trudny do zniesienia. Odrzucił koc na karabin maszynowy, wstał i odszedł kilka kroków. Dunn, który podkraść się do wartownika, już miał zamiar dźgnąć nożem w koc, gdy usłyszał szmer sikania i westchnienie ulgi. Znieruchomiał. Strażnik wrócił, wyjął z kieszeni kilka daktyli i zaczął żuć. Kierując się słuchem Dunn zaszedł go od tyłu i uderzeniem

pałki roztrzaskał mu głowę. Pochwycił jeszcze lecące na ziemię ciało.

Pocock nasłuchiwał i dzięki temu trafił na ciało śpiącego. Ostrożnie podniósł rąbek koca. Zakrył śpiącemu twarz ręką i w tym samym momencie zadał cios nożem. A był to długi nóż z ostrzami po obu stronach, które bez trudu przecięły aortę dochodzącą do serca.

Dunn kierując się zapachem ropy doszedł do samochodu ciężarowego. Na wozie ktoś śpiąc chrapał. Dunn usiłował wleźć na wóz, ale zabrzączał łańcuch. Teraz słyszał oddechy dwóch ludzi. To było zbyt niebezpieczne i zrezygnował z ataku. Jeden ze śpiących obudził się, usiadł i coś zagadał po niemiecku.

- Hmm... - burknął Dunn i rozplynął się w ciemnościach. Przywarł do ziemi i odczekał chwilę, by serce przestało mu bić jak szalone. Oddalił się od wozu, ale szczęście wyraźnie go opuściło. Ktoś miał zjawy senne. Porucznik Fleischmann

wiedział kto. Ten sam żołnierz miał zjawy każdej nocy mniej więcej w tym samym czasie. A więc Fleischmann nie był zaskoczony. Zapalił reflektor, by obudzić lunatyka i nieoczekiwanie w świetle reflektora ukazała się dziwna postać. Twarz czarna, a w ręce błyszczący nóż.

Dunn złapany w promień światła uskoczył w bok, a Fleischmann ścigał budząc jednocześnie śpiącego obok Lugera. Przez chwilę udało mu się utrzymać Dunna w snopie światła, ale Dunn kluczył jak królik i zniknął. Fleischmann wystrzelił w powietrze. W tym momencie kapral Pocock znalazł się tuż obok wozu Fleischmanna i oddał tylko jeden strzał. Kula utkwiała w głowie porucznika.

Od strony pustyni otwarto ogień z broni maszynowej.

Strzelano od południa z pięciu czy z sześciu miejsc jednocześnie.

Kapitan Lessing rzucił się do organizowania obrony. Kazał zapalić reflektory i powstrzymać ogień karabinów i pistoletów, gdyż wróg był poza ich zasięgiem. Zaczął natomiast zbierać załogę moździerzy. W obozie zapanował jednak kompletny chaos, do czego w znacznym stopniu przyczyniał się ogień nieprzyjaciela. Załoga jednego z ciężkich karabinów maszynowych wstrzymała ogień. Broń się rozgrzała i zacięła. Klnąc usiłowano usunąć przyczynę awarii. Kapral Pocock znalazł się właśnie za plecami tej załogi i gdy tamci tylko ponownie otworzyli ogień, zastrzelił obu wystrzałami w plecy. W pierwszej chwili nikt tego incydentu nie zauważył. Minęła co najmniej minuta, zanim do leżących podskoczyli dwaj żołnierze. Pocock przez moment zastanawiał się, czy by i ich także nie zastrzelić, ale doszedł do wniosku, że to nie byłoby mądre.

Kapitan Lessing nie mógł się opędzić od straszliwej myśli:

- A co, jeśli mamy przed sobą Jakowskiego? - podzielił się swoją wątpliwością ze starszym sierżantem. Leżeli w płytkim wykopie przytuleni do ziemi.

- Dlaczego major miałby nas atakować?

- Pan Bóg jeden wie. A po co atakowaliby nas Anglicy? Przecież mogli nas spokojnie ominąć nie szukając kłopotów.

- Major Jakowski stale ściągał na nas kłopoty - mruknął sierżant.

Nowe salwy od strony pustyni. Dunn przyplaszczony do ziemi w świetle pocisków smugowych zobaczył kilka metrów przed sobą kogoś przy karabiniemaszynowym.

Wyciągnął pistolet i strzelił. Trafił najpierw celowniczego, a potem ładującego.

- Co to jest, u diabła! Co za maniak strzela z pistoletu - denerwował się Lessing. - Zanim sierżant zdążył odpowiedzieć, rozległ się huk. Załoga moździerza oddała pierwszy strzał

- Sprawdź na jaką odległość strzelają - polecił Lessing sierżantowi.

Ten zerwał się i schylony pognął.

Załoga moździerza ładowała broń. Nie było to łatwe, tym bardziej że nigdy nie ćwiczyli tego w ciemnościach. Jeden zapalił latarkę. Gdy ładowniczy wprowadził pocisk w lufę kapral Pocock zastrzelił go. Sierżant zauważył błysk wystrzału i ze swojego schmeisera wypuścił w tym kierunku serię. Jedna z kul trafiła Pococka w kolano, co spowodowało, że upadł. Sierżant podbiegł bliżej i strzelał. Tym razem Pocock oberwał w szyję i w nogę. Sierżant nie przestawał strzelać. Chciał mieć absolutną pewność.

Lessing usłyszał schmeisera i nie mógł zrozumieć, o co chodzi. Rzucił się w kierunku wozu radiowego. Operator siedział już na miejscu i czekał na rozkazy.

- Spróbuj złapać Jakowskiego. Może to właśnie Jakowski. Próbuj.

Operator włączył aparaturę i zaczął wybierać długość fal. Światło palące się w wozie ułatwiło Dunnowi robotę. Podkradł się, zastrzelił Lessinga i operatora, zniszczył aparaturę i rozplynął się w ciemnościach. Zatoczył obszerne półkole i wyszedł na tyłach grupy Lamparda.

- Już ich tam niewielu pozostało - zameldował.

I rzeczywiście, przeżył jedynie sierżant i trzech żołnierzy, z czego jeden był ranny. W tej sytuacji sierżant

poddał się.

Niemcy pogrzebali swoich, a SAS - Poccocka. Ciała pochowano w okopach, jakie przedtem wykopano na polecenie Lessinga. - potem zjedzono śniadanie. Lesterowi i Malplacketowi pozwolono obejrzeć pole walki.

- Słyszałem strzelaninę - mówił Lester. - Co się właściwie tutaj działo?

- Zaskoczyliśmy przeciwnika od tyłu i daliśmy mu wycisk - odpowiedział Lampard.

- Po prostu oni patrzyli nie w tym kierunku, w którym należało - dorzucił Dunn.

- No, wreszcie zobaczyliście nieco akcji. Przyda się wam do czegoś? - interesował się Lampard.

Malplacket zawahał się.

- Jeśli mam być szczerzy, to oczekiwałem więcej szumu i bieganiny.

- Gdybyśmy kręcili sceny do filmu, to byłoby więcej bieganiny. A tak nasi podkradli się i poprzecinali im gardła.

- Co oni robili tu na pustyni? - interesował się Lester.

- Przyszli tak jak i my, by zrobić jakieś świętowanie - wyjaśniał Lampard. - Różnica tylko w tym, że my jesteśmy lepsi.

* * *

Wielu ludzi wiedziało o Greku George. Wyczytywał to w oczach spotykanych Arabów. A spotkań tych było wiele. Wzgórza Dżebel wydawały się puste, ale w rzeczywistości były domem dla wielu arabskich rodzin i wszystkie te rodziny znajdowały się w stanie nieustannego ruchu. Ustawicznie się spotykano i wymieniano informacje. Tak więc obecność Greka George nie była tajemnicą dla

Arabów z Dżebel.

To go nie martwiło. Arabowie okazali mu wiele serca. Wiedzieli, że chciałby się przedostać za linię frontu. Dali mu sandały przystosowane do chodzenia po pustyni. I manierkę.

Czasami w okolicy pokazywały się niemieckie patrole. Samochodowe lub na piesze. George zachowywał się dokładnie tak samo jak inni, stał i obserwował. Im częściej się to wydarzało, tym czuł się pewniejszy. Był po prostu jeszcze jednym Arabem.

* * *

Obawy Schramma o losy Lessinga nie poszły jednak całkowicie na marne. Skłoniły one generała Schaefera do wydania polecenia, zgodnie z którym Lessing miał się dwa razy dziennie meldować przez radio. Raz o szóstej rano, a drugi raz o szóstej po południu. Tak więc polecenia Jakowskiego w sprawie całkowitej ciszy radiowej zostały złamane.

Gdy kolejna audycja o szóstej rano nie doszła do skutku pułkownik von Mansdorf zatelefonował do Oberstleutnanta Hoffmanna i poprosił go, by odbył jeszcze jeden lot rekonesansowy Lysanderem, a Hoffmann z kolei poprosił Schramma, by ten poleciał z nim jako nawigator.

- Dobrze, ale ty przekażesz Schaefferowi, że ma teraz nasiusiać do własnego kapelusza.

- Na Boga - zniecierpliwę się Hoffmann - Jesteś w ustawicznym stresie. Dziewczyna?

- Jeszcze gorzej. Świadomość, że marnuję na nią masę czasu.

Później, kiedy już siedzieli w kabinie samolotu i zapinali

pasy, Hoffmann powiedział:

- Być może to strata czasu, ale na pewno to nie jest głupia geś.

- Mnie jest wszystko jedno. Rozumiesz, wszystko jedno - powtórzył z uporem.

- Im bardziej mnie przekonujesz, tym mniej ci wierzę. Zresztą, to twój problem. Lecimy.

Lot przebiegał bez zakłóceń. W pewnym momencie Schramm znalazł przez lornetkę grupę pojazdów.

- Połowa gdzieś zniknęła - powiedział.

Hoffmann zatoczył koło nad parkingiem.

- Tam chyba nikogo nie ma - stwierdził Schramm, o czym zresztą wiedział już i Hoffmann.

Wylądowali. Widok nie należał do przyjemnych. Porozrzucana, porozbijana i zniszczona broń. Jakieś paki, popalone pojazdy.

- No cóż, malutki rozdziałik historii tej wojny - stwierdził Hoffmann.

- To wcale nie rozdział - zaproponował Schramm. - To nawet nie paragraf, nawet nie linijka. To malutki błąd gramatyczny, którego nikt nie dostrzeże.

Wylądowali w Benina i zatankowali. Hoffmann poszedł do telefonu, by powiadomić von Mansdorfa, a Schramm oglądał zniszczenia po ostatnim bombardowaniu.

Większość lei po bombach już zasypano, ale jeden pozostał nadal odkryty. Nad brzegiem stał młodziutki pilot Luftwaffe i przyglądał się jak na dnie krateru odkopywano samolot.

- Czy to ten zestrzelony? - zapytał Schramm.

- Tak jest, panie kapitanie.

- Taki jest koniec większości z nas. I ja pochowałem w

podobny sposób kilku przyjaciół. Byłem pilotem. - A ponieważ zobaczył błysk zdumienia w oczach tamtego, dodał. - W innej wojnie. Ciekawe, dlaczego tak się przyglądasz temu odkopywaniu.

- Nie mam nic lepszego do roboty.

Podjechał żuraw i założono grubą linę pod silnik rozbitej maszyny.

- Na czym latacie? - zapytał Schramm.

- Me 109 G. Właśnie czekam na kolejną zmianę, która nas zastąpi.

Wyglądał na szesnaście lat, a z całą pewnością nie miał więcej jak dwadzieścia.

- Jakież zestrzelenia?

- Pięć pewnych. Dwa Hurricany, jeden Blenheim i dwa MC 200.

- Przecież MC 200 to maszyny włoskie. - zdumiał się Schramm.

Młody pilot przytaknął głową.

- Ich eskadra zrobiła nam przykrość. Zaatakowali nas, ostrzelali i porobili nam dziury w maszynach. Potem przepraszali, że zła widzialność, że nie rozpoznali maszyn. Wzięli je za Spitfirery. To myśmy na nich naskoczyli następnego dnia. Dwa strącone i nie ma sprawy.

Żuraw zaczął wyciągać silnik. Schramm przeprosił rozmówcę i obszedł krater dookoła. Przyglądał się maszynie i doszedł do wniosku, że musiało to być P-40.

* * *

Adiutant poszedł do namiotu Kita Carsona i zebrał jego rzeczy. Nie zajęło mu to wiele czasu. Rzucił wszystko na łóżko - zawinął w koc Wyjął jedynie niewielki notesik.

Usiadł na łóżku obok zawiniątka, otworzył i czytał:

Dowódca, kiedy był chłopcem, uciekł z domu. Tak w każdym razie opowiada Mick O'Hara. Ten wie od Wujka. Mick też uciekł z domu. Tiny Lush i Bill Steward zostali wyrzuceni ze szkoły. Tak jak i ja, tyle, że mnie wyrzucali dwukrotnie. Pinky był sierotą, a w każdym razie tak opowiada, ale nie można wierzyć wszystkiemu, co mówi Pinky. Katarek i Grek George, to uchodźcy. A więc większość z nas, z dywizjonu, nie ma dokąd iść. To daje do myślenia. Nie wiem co, ale daje.

Kellaway przewrócił kilka kartek i czytał:

Ale kawał. Rzeźnik miał przymusowe lądowanie na pustyni, a jego Tomahawk przyciągnęły na lotnisko wielbłądy. Okazało się, że wcale nie musiał lądować. Zapomniał przełączyć na bak zapasowy i sądził, że nie ma już paliwa. Rzeźnik myślał, że dostanie nagrodę, a Fanny zatrzymał mu żołd na dwa tygodnie. Rzeźnik opowiada, że Arabowie zażądali jego miesięcznego żołdu za holowanie go wielbłądami, a on domagał się od nich zwrotu pieniędzy.

Ponownie odwrócił kilka kartek.

Billy Steward siedzi przed swoim namiotem i obserwuje muchy. Dlaczego?

I znowu kilka kartek dalej:

Wujek miał ponownie atak. Być może to czeka każdego, jak się postarzeje. Mam nadzieję, że mnie nie.

I to była ostatnia z notatek. Kellaway odkrył ze zdumieniem, że z oczu ciekną mu łzy. Wcale nie odczuwał żalu po Kicie, ale jego oczy sądziły inaczej. Otarł policzki, wziął tobołek i ruszył na poszukiwanie doktora. Kiedy go odnalazł, powiedział:

- Jak mnie znowu złapie, wpuść mi kopa.
- Oczywiście, ale nie przejmuj się, to pustynia.
- Wiem.
- Jeśli po dłuższym pobycie na pustyni nie masz świra, to coś z tobą nie w porządku.

Adiutant zastanowił się nad tym i powiedział:

- Billy Steward każdą wolną chwilę spędzał na obserwacji much.

- Faktycznie, chodź do kantyny, mamy jeszcze trochę piwa.

Na kolację były jajka i ziemniaki.

- Dlaczego Billy patrzył na te muchy? - zastanawiał się na głos adiutant.

- Wyrabiał sobie mięśnie oczu - odpowiedział Barton. - Uważał, że jak sobie wyrobi wzrok będzie dostrzegał Me 109 z odległości ośmiu kilometrów.

- Billy miał doskonały wzrok - stwierdził Pit.

- To był fajny facet.

- I Kit też - mruknął Pit. - Czy jest jeszcze trochę tego piwa?

Barton rzucił mu puszkę.

- A co z Kitem? - pytał adiutant.

- Widziałem jak skakał. Bardzo niemrawo. Spadochron się otworzył, a on jeszcze nie wypadł z kabiny. Nie wiedział, jak to zrobić.

Zapadła cisza i piloci kontemplowali technikę opuszczania kabiny. Wykonywanie tego najprostszego w świecie manewru w spadającym samolocie jednak nie jest takie proste. Ręce trzęsą się ze zdenerwowania.

- Wujku - powiedział doktor - Mam nadzieję, że nie będziesz nam dziś odgrywać tych swoich pieprzonych

westernowych piosenek.

- To hymny narodowe Ameryki. Co wam przeszkadzają?

- To je sobie grajcie w Ameryce, a nie tu, na pustyni - oburzył się doktor.

* * *

Grupa Lessinga miała kilka dobrych samochodów i Jack Lampard wybrał dwa mercedesy i fiata, wszystkie w doskonałym stanie. Załadował na nie niemieckie zapasy paliwa, wody oraz prowiant. Widząc to Lester podszedł do niego i zapytał:

- Czy to nie jest zbyt ryzykowne? Nasze lotnictwo może nas zaatakować.

- Jeśli nas zaatakują z góry, my ich ostrzelamy z dołu, a pan będzie miał doskonały temat. Czyż nie?

Malplacket nie był wobec Lestera szczery w sprawie wizyty złożonej w Benghazi przez Randolpha Churchilla. Przed wyjazdem z Anglii Blanchtower dał synowi wyraźnie do zrozumienia, że oczekuje od niego podobnych wyczynów.

- To część naszej rycerskiej tradycji - powiedział. - Oczekuję, że nie będziesz gorszy od Randolpha.

- Spróbuję, ale to bardzo ryzykowne przygody - odpowiedział ojcu, na co usłyszał:

- Oczywiście. Nie ma róż bez kolców. Musisz podejmować ryzyko. Nie myśl o mnie. Kraj jest w wojnie i jestem gotowy do ponoszenia ofiar.

Malplacket zgodził się z tym, ale tak naprawdę był przekonany, że nigdy nie będzie musiał naśladować Randolpha Churchilla. Tymczasem Lester w ogóle nie

przestawał o tym mówić. Myśl o przechadzce po Benghazi nie opuszczała go. Rozmawiał o tym z Dunne, a potem ponownie z Malplacketem, który w zasadzie nie sprzeciwiał się, ale wskazywał na wszelkiego rodzaju trudności. Problemem nie do rozwiązania wydawał się być transport. Lampard z całą pewnością nie da im jeepa na taką wyprawę.

- Możemy iść na piechotę - proponował Lester buńczucznie.

- Drogi przyjacielu, możemy się wziąć za ręce i maszerować śpiewając angielskie piosenki ludowe. Pamiętaj jednak, że trzeba by przejść co najmniej czterdzieści kilometrów w jedną stronę. Kiedy ostatni raz zrobiłeś spacer na osiemdziesiąt kilometrów?

Lester niechętnie przyznał rację, że wyprawa na piechotę była wykluczona. Z samego projektu jednak nie zrezygnował. Przed wyruszeniem w dalszą podróż odciągnął na bok Malplacketa i powiedział, z nutą triumfu w głosie:

- Czy wiesz, że Lampard bierze wozy Niemców? Czy rozumiesz, co to oznacza?

Malplacket przymierzał właśnie różne niemieckie nakrycia głowy.

- Nie, nie wiem. A co to oznacza? - Znalazł okulary przeciwsłoneczne, które należały do Lessinga i wsadził je na nos.

- W pierwszym rzędzie to, że jak nas dopadnie RAF, to nigdy nie zostaniesz lordem Blanchtowerem Drugim.

- Piątym - poprawił Amerykanina.

- Obojętne, ale oznacza to również to, że możemy dostać samochód by dotrzeć... już wiesz dokąd. Możemy też postarać się o jakieś niemieckie ciuchy.

Malplacket nałożył na głowę czapkę Lessinga.

- Mówiłeś o tym z Lampardem?

- Właśnie się do niego wybieram. Chodź ze mną.

I w taki właśnie sposób Malplacket w zasadzie zgodził się na zwariowaną wyprawę do Bengahazi. Odnaleźli Lamparda i Malplacket wysłuchał, jak Lester przedstawił swój plan.

- Jak rozumiem - mówił Amerykanin - wasz patrol idzie do Dżebel. Gdy wy będziecie załatwiali swoje interesy, my możemy wybrać się do Bengahazi. Gdyby nas zabito lub złapano, pan nie ponosi za to żadnej odpowiedzialności. Wybrałem już na tę wyprawę tego zielonego fiata.

- To cholernie niebezpieczny plan. - Twarz Lamparda była bez wyrazu. - Muszę to przemyśleć - dodał.

Myślał przez pięć minut.

- Zgoda. Bierzcie ten samochód. Muszę jednak coś w zamian dostać. Nie mam zamiaru narażać swojej kariery dlatego, że wam zachciało się odgrywać bohaterów w Bengahazi. Musi mi pan dać list do swojego adwokata, a w tym liście poleci mu pan, by w mojej obecności spalił tamto. Wie pan, co mam na myśli.

- Już piszę.

- Potem pan napisze. Teraz ruszamy. - Lampard wskoczył do swojego jeepa i oznajmił. - Startujemy!

Jeńców wsadzili do jednego ze zdobycznych wozów. Patrol jechał teraz w bardzo luźnej formacji na wypadek, gdyby z północy nadleciały Stukasy. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Gibbon przeprowadził ich bez problemów przed Dżalo Gape, a po południu minęli Tariq el Abd. Lampard był zadowolony. Odnaleźli znany im wawóz na samym skraju Dżebel i tam ukryli wozy ciężarowe. Ostatnie trzysta

kilometrów pokonali bez najmniejszej przeszkody nawet nie łapiąc gumi. Zatarli teraz ostatnie kilkaset metrów śladów samochodowych i zjedli kolację, do której był rum i sok z cytryn.

- Już czuję Niemców - powiedział Lampard i rzeczywiście odnosił wrażenie, że wyczuwa ich każdym nerwem.

- A jak oni pachną? - zainteresował się Malplacket.

- Serem - odpowiedział Lampard bez zastanowienia. Była to pierwsza myśl, jaka mu przyszła do głowy.

* * *

Schramm spał długo i obudził się z bólem głowy. Natychmiast odczuł głód. Wziął prysznic i ogolił się.

Po śniadaniu w kantine zabrał się do pracy. Grzebał w papierkach, wypełniał jakieś kwestionariusze, telefonował i w pewnym momencie usłyszał pukanie do drzwi. Wszedł kapral i przekazał zaproszenie dowódcy lotniska: Czy pan major nie byłby łaskaw wpaść na kilka minut?

Było to dziwne. Zazwyczaj Benno po prostu dzwonił lub sam wpadał do niego do pokoju. Schramm poczuł, że strach ściska go za gardło. Każdej nocy bombardowano Benghazi, czyżby jakaś bomba trafiła tam, gdzie nie należało? Szybko zapiął bluzę.

Na szczęście nie chodziło o bombardowania. To przyjechał pułkownik von Mansdorf. Popijał kawę i wyglądał jakby się nieco przykurczył i go nie odprasowano.

- Wpadłem by pana przeprosić, majorze - powiedział. - Z polecenia generała, ale i we własnym imieniu. Pan miał rację. Przykro mi.

Schramm kiwnął głową. Miał zamiar się uśmiechnąć, ale doszedł do przekonania, że to byłoby niestosowne.

- No cóż, do widzenia, panie Jakowski - westchnął Hoffmann.

- Kilku z jego ludzi odnaleziono w Dżalo - informował von Mansdorf. - To ci, co mieli szczęście. Innym go zabrakło i pozostali na Saharze. Mieli rzeczywiście problemy z kompasem. Afryka wygrała raz jeszcze.

- To nie Afryka ich zabiła - mruknął Schramm.

- Major Schramm jest na tropie zbliżającego się patrolu - szybko wtrącił Hoffmann.

- Mam agentów w Kairze i w Kufrze - wyjaśnił Schramm. - Wiem gdzie i kiedy był patrol. Wynika z tego, że to oni właśnie zaatakowali Lessinga.

- Tam w okolicy musi być niejeden patrol brytyjski - przerwał mu von Mansdorf. - Sądzę, że jest ich tam pięć albo i sześć. Niektóre idą w naszym kierunku, inne odchodzą, jeszcze inne po prostu węższą.

- Ten jeden jednak nas szczególnie interesuje - wyjaśnił Hoffmann. - To ten sam, który uderzył na Barce. Prowadzi go oficer nazwiskiem Lambord.

- Lampard - poprawił Schramm. - Wrócił do Dżebel. Jestem pewien.

- To tak, jakby powiedzieć, że jest gdzieś w Belgii. Dżebel jest wielkie.

- Ale on idzie tu. Raz wystawiłem go na dudka i chce wyrównać rachunek.

- A może chce pan zobaczyć nasz nowy system obrony lotniska - zapraszał Hoffmann. Zadzwoił szybko w dwa miejsca i zeszli do samochodu. Pojechali na lotnisko, gdzie pokazali dywizjon Me 109 otoczony drutami podłączonymi

do ładunków wybuchowych.

Wyszli z samochodu i von Mansdorf ruszył w kierunku drutów.

- Nie ma wartowników i psów? - pytał.
- Nie są potrzebni - odpowiedział Schramm.
- Ciekawe.

Pułkownik znajdował się o dwadzieścia pięć metrów od najbliższego samolotu, gdy zagdał karabin maszynowy, a nad ich głowami przeleciała smuga pocisków świetlnych. Zaskoczony von Mansdorf odskoczył do tyłu. Karabin umilkł.

- Niech pan zrobi krok do przodu - powiedział Hoffmann.

Von Mansdorf ostrożnie wykonał, o co go proszono. Karabin zagdał ponownie. Dał krok do tyłu, strzelanina ucichła.

- Zaczynam rozumieć. Promienie podczerwone. Mądra pułapka.

- Tak, nasi technicy zainstalowali to wokół rzędu samolotów. To połączono z karabinami maszynowymi, które strzelają torem na wysokości metra nad ziemią.

- Teraz, dla celów demonstracyjnych podnieśliśmy nieco lufy - dorzucił Hoffmann.

- Fantastyczne. Jestem naprawdę pod wrażeniem. Gratuluję.

Wrócili do biura Hoffmanna. Czekali tu przez chwilę na samochód pułkownika, który w pewnym momencie powiedział:

- Wczoraj wieczorem spotkałem waszą dobrą znajomą, doktor Grandinetti. Byliśmy na jakimś przyjęciu.

Schramm nie zareagował, natomiast von Mansdorf,

dodał: - Jak mi mówiono, doskonały chirurg.

- Tak, owszem, ma dobre wyniki - zgodził się Schramm.

- Zdecydowanie dobre wyniki.

Potem pułkownik odjechał, a kiedy pozostali sami Hoffmann zaproponował.

- Wskocz na urlop, Paul. Załatwię, ci miejsce w samolocie, i już jutro możesz jeździć na nartach w Austrii. Wyjedź.

- Nie teraz. Tu mam za wiele do zrobienia.

- Wrócisz za trzy tygodnie. Przez ten czas nic się nie zmieni.

Ale Schramm pokręcił głową i powtórzył:

- Mam tu za wiele do zrobienia.

* * *

Lampard spał przez cztery godziny i wstał o północy. Dowództwo pozostawił Dunnowi a sam z sierżantem Davisem odjechał jednym ze zdobytych wozów. Gdyby nie powrócili do południa Dunn obejmował patrol i miał wykonać rozkazy.

Corky Gibbon i Dunn patrzyli jak tamci odjeżdżają.

- Porozmawiajmy - zaproponował Corky.

Weszli do jednej z furgonetek i zamknęli drzwi.

- Sandiman powiedział mi co było w depeszy z Kairu - zaczął Gibbon.

- I mnie też.

- Zapytałem o to Jacka.

- I co powiedział?

- Nic Śmiał się. To mnie niepokoi, Mike. Nie moja sprawa, ale... Adiutant...

- Pytał o Harrisa i Watermana. I mnie też.

- Jack napisał nieprawdziwy raport - mówił Gibbon. - Obaj wiemy, jak zginął Harris i biedny Waterman...

- Nie mam pojęcia, co sobie Jack wyobrażał - mruknął Dunn.

- Tak, nakłamał.

Dunn milczał. Przypomniawszy sobie, jak Lampard na lotnisku w Barce zbierał niewykorzystane jeszcze zapalniki, zamiast jak najszybciej wracać z nimi do Dżebel.

W Dżalo było właściwie to samo i tam zapłacił za to Waterman.

- No cóż - powiedział w końcu. - Adiutant coś zwąchał. Mądry facet. - Poczuli się nagle zmęczeni. Takie sytuacje zawsze go męczyły.

- Sądzę, że facet zachowuje się jak narkoman - mówił Gibbon.

- Stale musi chodzić w glorii. Nie może się pogodzić z porażką. Sknocił z Harrisem i dlatego właśnie poprowadził nas do ataku w Dżalo, w pogoni za tym Storchem. To był idiotyzm.

- Ale mogło się powieść. - W głosie Dunna nie wyczuwało się jednak wiary w to, co mówił.

- Mieliśmy dwie wpadki, chciał je ukryć, skłamał i co gorsze wpadł. A więc trzy wpadki. Jak myślisz, co teraz zrobi?

- Uderzy na Beda Fomm - odpowiedział Dunn. - Zgodnie z rozkazem. Co jeszcze mógłby zrobić? - Gibbon potrząsnął głową.

- On jest dowódcą, Corky. Musimy robić, co każe.

- Sądzę, że wysiadły mu hamulce - stwierdził Gibbon - Nie potrafi już się zatrzymać.

* * *

Do Beda Fomm mieli co najmniej pięćdziesiąt kilometrów, z czego pierwszych dwadzieścia to wąskie, kręte dróżki, co powodowało, że Lampard jechał z zapalonymi światłami. Znał okolice Dżebel wcale dobrze. Nie można było wykluczyć, że w pobliżu kręciły się jakieś patrole wroga, a więc starali się jechać możliwie szybko, co przypominało ucieczkę przed burzą, by nie dać się złapać pojedynczym kroplom deszczu. Być może nie było to logiczne, ale cóż innego mogli zrobić?

Dojechali do skraju Dżebel nie spotykając nikogo z wyjątkiem kilku stadek kóz.

Równina ciągnąca się na południe od Benghazi była w zasadzie pusta. Jedyne czasami spotykało się tu wozy rolników lub karawany wielbłądów. Davis prowadził, a Lampard starał się wyszukać najlepszą drogę do Beda Fomm. Dwa razy omal nie wpadli na obóz wojskowy - pierwszy, sądząc z rzędu namiotów, należał do jakiejś jednostki piechoty, drugi do dywizjonu pancernego, gdyż widzieli nieruchome sylwetki czołgów. Godzina takiej powolnej jazdy wyczerpała cierpliwość Lamparda. Z daleka usłyszeli szum silników i ruszyli w tym kierunku. Dojechali do głównej szosy, którą kierowała się na południe kolumna samochodów i gdy ta ich minęła, dali gazu i dołączyli do jej końca.

Kolumna posuwała się szybko. Jechali z sześć czy siedem minut, gdy Davis pokazał na prawą stronę szosy. Mijali jakieś lotnisko i w słabym świetle widać było Me 110. Nocny myśliwiec lub samolot w remoncie. Wokół maszyny kręciły się jakieś postacie. Wyglądało na to, że przygotowują ją do lotu.

- To musi być Al Maghrun - domyślał się Lampard. -

Beda Fomm jest jakieś dziesięć kilometrów w lewo.

W tym jednak momencie kolumna zaczęła zwalniać, aż wreszcie stanęła. Punkt kontroli.

Gdzieś od czoła kolumny widać było światło latarek. David zaczął cofać do tyłu, ale Lampard wyskoczył z wozu.

- Poczekaj, poczekaj - zawołał. Na tyle jadącej przed nimi ciężarówki wisiała czerwona latarnia. Lampard zdjął ją i przewiesił na tył ich wozu.

- To powoduje, że oficjalnie stajemy się częścią kolumny - powiedział do Davisa. - Zaraz zobaczymy czy sprawdzają każdy wóz, czy jedynie prowadzącego.

Kolumna ruszyła i zaczęła nabierać prędkości, a ostatni samochód wkrótce przejechał przez punkt kontroli. Lampard nawet kiwnął do wartownika, który liczył samochody.

Potem Davis skręcił z szosy. Beda Fomm powinna była być przed nimi. Przejechali kilkaset metrów, stanęli, a Davis zgasił silnik. Lampard pociągnął nosem. Czuł wilgotny smak morza.

Okolica była piaszczysta, porośnięta przez sosny i kaktusy o ostrych kolcach. Ruszyli na piechotę. Lampard był przekonany, że idą w dobrym kierunku, ale po czterdziestu minutach marszu otaczały ich nadal wyłącznie kaktusy i sosny.

- Stajemy - zdecydował i wyjął tabliczkę czekolady. Ułamał kawałek i podzielił się z Davisem. Stali i jedli, gdy nagle zapaliły się przed nimi żółte światła. Było to oświetlenie pasa startowego Beda Fomm. Stali o kilkanaście kroków od skraju lotniska. Po chwili wylądował trzysilnikowy Junkers. Światła przy pasach

startowych zgaszono, ale pilot Junkersa zapalił przednie reflektory i dzięki nim zobaczyli porozstawiane Me 109.

W drodze powrotnej zdobywczy samochód nawalił i Lampard z Davisem pozostawili go. Końcówkę drogi pokonali na piechotę. Około jedenastej wkroczyli spoceni do obozu.

- Beda Fomm przed nami - powiedział Lampard do Dunna. - Odprawa o szóstej trzydzieści, potem kolacja i startujemy - rozejrzał się po obozie - A gdzie jeńcy? - zapytał.

- Odeszli. Sandy złapał kontakt z innym patrolem, który wracał do domu, i zgodził się na zabranie jeńców w zamian za kilka puszek morel. A więc ubiliśmy interes.

* * *

Fanny Barton zaskoczył Skulla prosząc go o to, by wybrał im lotnisko nieprzyjaciela jako cel kolejnego ataku.

- Dlaczego? - zapytał. - Zawsze sam wybieralesz cele. Co się stało?

- Uznałem, że powinieneś zarobić na swój żołd.

- Rozumiem - patrzył uważnie w oczy dowódcy, ale nie potrafił z nich niczego wyczytać. - Nie znajduję celów dla trzech Hawkerów, chyba, że interesuje cię lotnisko Berka, które jest, poza Benghazi, najlepszym cmentarzyskiem samolotów RAF.

- Już coś tam znajdziesz. Jeśli nie masz dobrego celu, to podaj jakiś zły.

Skull poszedł do swojego namiotu i zatopił się w mapach. Przeczytał ostatnie raporty wywiadu. Luftwaffe miała wiele lotnisk i wszystkie posiadały doskonałą obronę przeciwlotniczą. Atak równał się samobójstwu. Wiedział

jednak, że Pit Patterson i Hooper bez wahania polecą za Bartonem. Byli świadomi niebezpieczeństwa. Widział strach czający się w ich oczach. Wykonają jednak wszystko, czego będzie chciał dowódca.

W wejściu do namiotu pokazał się doktor.

- Dam ci pięćdziesiąt funtów za tę twoją płytę z sentymentalnymi, kowbojskimi piosenkami. Nie żartuję.

Skull wziął do ręki płytę.

- Za tę? - zapytał.

- Tak. Nie mogę jej ścierpieć. Idiotyczna.

- A ja ją lubię. Prosta, melodyjna.

- Ohydna szmira.

- Piloci ją lubią. Zapytaj Fanny'ego.

Doktor wyrwał mu płytę z ręki i rozbił o kolano.

- Dawno już to powinienem zrobić - powiedział z wyraźną złością, odwrócił się i wyszedł.

* * *

Greka George'a najbardziej przekonywała jego własna twarz. Pewnego dnia mała, poważna dziewczynka przyniosła mu lusterko. Było to lusterko wsteczne z kabiny samolotu. Nie jego samolotu, jakiegoś innego. Po raz pierwszy od dnia kraksy spojrzął na siebie. Wyglądał na Araba. Był opalony, a czarne włosy stały się długie i zmierzwione. Zapadnięte policzki spowodowały, że kości policzkowe były wyraźnie widoczne. Zdumiewał go własny arabski wygląd i uznał, że już nadszedł czas.

Kiedy jego gospodarze zrozumieli, że zamierza odejść, nie byli zadowoleni. Prowadzili między sobą długą, zażartą dyskusję. Wreszcie przywódca wrócił i posługując się możliwie prostymi słowami i symbolami wyrysowanymi

na piasku wytłumaczył, że jeszcze nie teraz. Zbyt wiele niemieckich patroli w okolicy. Zbyt ryzykowne. Należy poczekać. Nigdy nie należy się spieszyć. Będzie jeszcze czas na wszystko.

* * *

- Jak to jest z tym twoim oświadczeniem u adwokata?
- Dałem mu w tej sprawie list.
- Wiem... A adwokat był Anglikiem czy Egipcjaninem?
- A co to za różnica?
- Angielskie sądy nie uznają egipskich dokumentów.
- Mój adwokat to brytyjski Egipcjanin. Muhammed Kelly. Bardzo sprytny facet. Zadowolony?

Po drugiej stronie obozu kucharz zaczął śpiewać jakiś szlagier.

- Nigdy nie składałeś żadnych oświadczeń, prawda?
- Nie wrzeszcz tak. Dla nas lepiej, by Lampard o tym nie wiedział.
- Po prostu pytam, stary. Po prostu pytam.

* * *

Paul Schramm był człowiekiem prawym. Dawał innym takie same szanse, jak sobie samemu, to znaczy jedną, jedyną szansę. Albo wygrywałeś, albo przegrywałeś. Jeśli ktoś go zawiódł, spisywał go na straty. I tak właśnie postąpił wobec doktor Marii Grandinetti. Zawiodła go i odwrócił się od niej. Starał się zabić w sobie wszelkie uczucia, jakie dla niej żywił. Powiedziała mu z rozbrajającą szczerością, że zakończyła życie Kurta Debratza i wielu innych ofiar wojny. Był wściekły, przekonany, że może od

niej odejść, oderwać się.

Na razie, dzięki Bogu, miał wiele roboty.

Czytał właśnie raport na temat zagłuszania przez aliantów połączeń radiowych Luftwaffe, gdy nagle przyszedł mu na myśl Szlak Takoradi. Dlaczego jechać? Dlatego, że patrole SAS jeździły? Czy trzeba było je naśladować?

Przyjrzał się wielkiej mapie tej części Afryki i zatelefonował do kapitana di Marco.

- Założmy, że Heinkla 111 wyposażymy w dodatkowy bak, czy Szlak Takoradi znajdzie się w jego zasięgu?

- To zależy z jakiego miejsca, do jakiego.

- Powiedzmy z lotniska pod Benghazi do... Fort Lamy w Czadzie.

Di Marco się zastanawiał, a Schramm słyszał świst wentylatora kręcącego się u sufitu.

- Być może tak - odpowiedział di Marco. - Z całą pewnością tak. Oczywiście mowy by być nie mogło o bombardowaniu Fort Lamy.

- Dlaczego?

- Bo gdybyś do ciężaru paliwa dodał jeszcze ciężar bomb, maszyna nie mogłaby wystartować.

- Aha - Schramm poczuł się głupio. - O tym nie pomyślałem.

- Oczywiście jest wyjście. W drodze można lądować, chociażby w Defa. Tam Heinkel może nabrać paliwa. To zmniejszy wagę ładunku.

- Oczywiście ja nie mogę podejmować decyzji, ale gdyby było zezwolenie, to poleciałby pan jako nawigator?

- Być może.

- To byłaby dobra operacja.

- Mogę pomówić w tej sprawie z pułkownikiem von Mansdorfem - zaproponował di Marco, a gdy Schramm się z tym zgodził, dodał: - Oczywiście decyzja nie zależy ani ode mnie, ani od niego, a generał Schaefer może nie mieć ochoty na podejmowanie takiego ryzyka. Ostatnim razem, jak zaryzykował, nie opłaciło się.

Schramm odłożył słuchawkę i usiłował skupić uwagę na raporcie o zagłuszaniu. Nie był ekspertem od spraw radia, ale jako oficer wywiadu musiał mieć chociażby ogólne pojęcie o wojnie w eterze. Desperacko zmuszał się do uważnego czytania, co mu jednak nie wychodziło. Poszedł do łazienki i przemył twarz. Wrócił, usiadł za biurkiem i już nie miał sił by ponownie czytać raport. Myśli ustawicznie biegły do szpitala. Już chciał wstać, gdy dobiegł go czyjś śmiech. Powstrzymał oddech. Głos dochodził z głębi budynku i należał niewątpliwie do doktor Grandinetti.

Śmiech się nie powtórzył. Schramm poczuł nagle duszność. Był podniecony, zastraszone, zły i uradowany jednocześnie. Sam nie wiedział, które z tych uczuć góruje nad pozostałymi. Byłoby idiotyzmem siedzenie w pokoju i gapienie się w sufit. Wyszedł więc na korytarz i nadśluchiwał. Nic! Pobiegł na drugi koniec korytarza i słuchał. Gdzieś dzwonił telefon. Ktoś podniósł słuchawkę i coś mówił. Nic szczególnego. Zwykłe odgłosy dnia.

Nagle otworzyły się jakieś drzwi i pokazał się Max.

- Halo! Szukaliśmy ciebie, ale nie byłeś w swoim pokoju. - Podeszedł bliżej. - W Bremie jest bar, w którym serwują drinki o nazwie Łzawy Skurczybyk, a ty wyglądasz dokładnie tak, jakby to od ciebie pochodziła ta nazwa.

- Co się dzieje? Co ona tu robi?

- Przyjechała się pożegnać. Zabierają ją do Włoch. Będzie w Mediolanie prowadzić nowy szpital. Jeśli się pośpieszysz...

Schramm się pośpieszył. Biegł jak tylko mu na to pozwalała jego kulawa noga. Nie znalazł jej przed budynkiem. Była za rogiem. Rozmawiała z Hoffmannem. Stała koło swojego wozu, małego kabrioletu alfa. Podszedł i wszedł do samochodu.

Tymczasem Benno pocałował ją jak bracia całują siostry, a ona wsiadła też i już siedziała obok niego.

Zaryzykował i popatrzył jej w oczy. Ta sama Maria. Jeśli odlatywała do Mediolanu być może widzieli się po raz ostatni. Oczywiście tu nie mógł jej uściskać. Nie w miejscu publicznym, nie w mundurze. Miał jeszcze jedną szansę, by jej powiedzieć, że spotkania z nią były najbardziej zdumiewającym doświadczeniem jego życia. Chciał jej o tym wszystkim powiedzieć i ku własnemu zdumieniu usłyszał własny głos.

- Zabiłaś dzisiaj kogoś?

- A ty?

- Nie twój interes.

- I twój też nie.

- Słuchaj... - Był właściwie zaszokowany tą wymianą zdań. - Nie mam do ciebie pretensji.

- Oczywiście, że nie. - Pochyliła się w jego kierunku i pogłaskała go po twarzy. - Nie chmurz się. Wyglądasz jak mors. Dlaczego tak łatwo się podniecasz, Paul?

Poczuł jak uchodzi z niego powietrze.

- Nie mam pojęcia - odparł zły. - Bawiłaś się ostatnio w Pana Boga. Może to...

- Jesteś wściekły, bo wiesz, że nie masz racji. Mało wściekły. Rozwścieczony. Ogarnia cię furia. A wiesz dlaczego? Ponieważ ja zrobiłam to, na co sam miałeś ochotę.

- Na zabijanie bezsilnych pacjentów? O nie, pani doktor.

- Chciałeś się uwolnić od Kurta Debratza. Czytałam to w twoich oczach. Szokował cię. Śmierdział, rozkładał się, był jednym wielkim bólem, a nie umierał dość szybko. Miałeś ochotę go zabić. Czyż to nie prawda?

- Ja za niego nie odpowiadałem - mruknął Schramm.

- Nie, ale wyprowadzał cię z równowagi. Ja zakończyłam jego życie, bo mu współczułam. Zrobiłam to z miłości do człowieka. Rozumiesz to, ale nie chcesz się do tego przyznać. Sam siebie nienawidzisz, za to, co czułeś, ale o wiele ci łatwiej skierować tę nienawiść na mnie. Proste.

Schramm miał uczucie, jakby dostał pięścią między oczy.

- Już o tym była mowa - bąknął.

- Była.

- Czy ja naprawdę znajduję przyjemność w zabijaniu? Kocham śmierć?

- Dlaczego mnie pytasz, zapytaj sam siebie. Masz szczęście, że jest wojna i nikt nie będzie cię wieszał za popełnienie morderstwa.

Uruchomiła silnik.

- To cię będzie kosztowało pięćdziesiąt tysięcy lirów. Postawisz mi obiad, a potem pojedziemy się wykąpać.

* * *

Malplacket poszukał kawałka cienia, usiadł i zaczął

pisać testament.

Niewiele po nim pozostawało. Nieduży dom w Londynie, naruszony przez bomby, kilka obrazów złożonych do depozytu u kuzynki Anglesey, a więc zapewne już zapleśniałych, mały samochód w garażu w Devon, gdzie ugrzązł z braku paliwa. Zresztą i tak żona odziedziczy wszystko.

- Co robisz? - zainteresował się Lester.

- Spisuję ostatnią wolę. Bądź tak miły i podpisz jako świadek.

Lester podszedł i złożył podpis.

- Może ja powinienem zmienić mój testament? - zastanawiał się na głos. - Kogo to jednak obchodzi. I tak żona zabierze wszystko.

Nie zaproszono ich na odprawę zwołaną o czwartej trzydzieści przez Lamparda.

- Bada Fomm - informował Lampard swój patrol - to wielkie lotnisko operacyjne. Nie ma tam lotów treningowych, transportu, napraw. Wyłącznie operacje. Widzieliśmy z sierżantem Davisem co najmniej jeden dywizjon Me 109. Wiemy, jak tam dojść i jak zwiać. Są tam dwa dojazdy. Jeden od strony lądu, bardzo trudny do pokonania nocą. My pojedziemy drogą wzdłuż wybrzeża. - Gibbon rozłożył mapę, a Lampard pokazywał trasę, jaką mieli do przebycia.

- Zapamiętajcie ją. Każdy z was może się znaleźć w sytuacji, że obejmie dowództwo. W tej operacji wszystko zależy od szybkości. W dwadzieścia minut musimy załatwić wszystko. Zapalniki macie nastawione na sześćdziesiąt minut. Kiedy zaczną wybuchać, my będziemy już w Dżebel. Bierzymy pięć samochodów. Trzy

jeepy, mercedesa i forda. Ochlapcie je błotem. Tu po szosach jeździ mnóstwo zdobywczych fordów. Takie jest założenie ogólne, a teraz szczegóły.

Mówił przez dziesięć minut. Padło kilka pytań. Odbyli już wiele podobnych odpraw.

- A teraz kolacja. Nikt z nas nie wie, kiedy będzie następna okazja.

* * *

Malplacket zapakował swój testament w puszkę po konserwie i usiadł koło Lestera.

- Czy jesteśmy całkowicie przekonani, że chcemy wykonać ten plan? - zapytał. - Czy to ma rzeczywiście sens?

- Ja jestem przekonany. To najprostsza droga do Pulitzera. „Chodziłem po pustynnej twierdzy Hitlera”, czyż to nie fantastyczna czołówka? Magazyn „Life” obsypie mnie złotem. - Opędzał się od uprzykrzonych much.

- Z drugiej jednak strony, czy ma sens podejmowanie takiego ryzyka? - Pokazał na niemiecki pistolet, jaki tkwił za pasem Lestera. - Mam nadzieję, że to dekoracja.

- Nie martw się. Strzelać będę jedynie z kamery. - Zjadł nieco gotowanej fasolki. - A być może natrafimy na Rommla.

- Blanchtower będzie wniebowzięty, to oczywiste - mruknął Malplacket.

W obozie pozostali Corky Gibbon, Sandiman, lekarz i dwóch mechaników.

Dwunastu ludzi z Lampardem odjechało pięcioma samochodami. W ich ślad ruszyli Malplacket i Lester. Ten ostatni pogwizdywał jakiś amerykański szlagier, w związku

z czym Malplacket go ostrzegł:

- Tylko nie podśpiewuj tego w Benghazi.

* * *

Skull pokazał Bartonowi listę wszystkich lotnisk Luftwaffe w zasięgu LG 250. Było ich łącznie pięćdziesiąt cztery. Za najbardziej odpowiedni cel uznał lądowisko Gadd el Ahmar. Leżało o sześćdziesiąt kilometrów za linią Gazalai o sześćdziesiąt kilometrów na południe od morza. Było to lotnisko zapasowe, a więc prawie bez artylerii przeciwlotniczej, a urządzenia radarowe zostały przed miesiącem wysadzone przez SAS i nic nie wskazywało na to, by zostały zastąpione nowymi.

Czasami jednak na Gadd panuje znaczny ruch. Tam tankują samoloty rekonesansowe latające nad Egiptem. Tam też lądują samoloty mające awarie.

- Biorąc wszystko razem uważasz, że Gadd el Ahmar to najbardziej odpowiedni cel - podsumował Barton.

- Tak uważam.

- I dlatego właśnie tam nie polecimy - Barton podał raport Skulla i cisnął papierki na ziemię.

- Co masz jeszcze na liście? - zapytał.

- Beda Fomm - brzmiała odpowiedź.

- Doskonale. To coś dla nas.

- Zwariowałeś. To najlepiej bronione lotnisko. Masz fisia.

- Ani trochę. Tam się nas najmniej spodziewają.

Trzy maszyny wystartowały późnym popołudniem. Skull, Wujek i doktor stali patrząc na odlatujących. Kiedy samoloty oddaliły się od lotniska i ucichł ryk silników, doktor powiedział:

- Przepraszam za to, że zbiłem tę płytę. To nie było ładne.

- Daj spokój. Zapomnij o tym.

- Rozbiłeś kowbojskie piosenki? To ulubiona płyta Fanny'ego - wtrącił się Kellaway.

- Przestańcie. Mam drugą taką samą - uspokajał ich Skull.

- Mama miała rację mówiąc, że nie powinienem był wyjeżdżać z Irlandii - skomentował to doktor.

Wybór Beda Fomm był dziełem przypadku, ale Barton dokładnie przemyślał wszelkie aspekty wypadu. Dolatywali do celu w momencie, w którym słońce zaczynało zachodzić. Na ziemi zaczynał się już mrok, ale na wysokości trzech tysięcy metrów jeszcze świecił rąbek tarczy słonecznej.

Hawkery leciały na północny zachód i parły w górę wchodząc na pułap sześciu tysięcy metrów. O tej porze samoloty Luftwaffe wracały do baz. Me 109 nie były łatwymi maszynami do lądowania w ciemnościach. Krążyli przez prawie godzinę. Znajdowali się nad Dżebel i czekali na zachód słońca. Wreszcie Barton dał sygnał, że schodzą.

Beda Fomm było wyraźnie widoczne. Jego pasy startowe odcinały się od szarego tła pustyni. Ostatnie promienie słońca oświetlały panoramę przed nimi, ale wkrótce słońce skryło się za horyzontem. Lecieli w dół pod coraz ostrzejszym kątem nabierając szybkości. Barton czuł spokój. Nie był w stanie niczego zmienić, a więc nie miał powodu do zmartwień. Patterson jeszcze się nie wystraszył, choć wiedział, że wkrótce będzie to musiało nastąpić i z góry był na siebie wściekły. Hooper leciał odprężony. Miał poczucie, jakby celował z jakiejś ogromnej broni. Bomby

pod skrzydłami samolotu, to naboje. Wyceluje je jak należy, odpali i zwieje.

Przed nimi rozpełtała się burza artyleryjska. Dym przysłaniał chwilami widok lotniska. Momentami lecieli na wycucie. Barton przedarł się przez zasłonę z dymu i gdy znalazł się nad samym celem spuścił bomby. Zwolniony od ciężaru samolot podskoczył tak, że wgniotło mu żołądek.

Nikt z nich nie uszedł bez strat.

Do domu wracali lecąc możliwie najniżej. Dwadzieścia metrów nad pustynią. Chcieli uciec przed radarem, który zostanie zakłócony odbiciami wydm. Barton wiedział, jak trudno namierzyć nisko lecące samoloty w dzień, a tym bardziej w nocy. Dopadły ich jednak dwa Me 110 i ostrzelały. Hawkery rzucały się jak szalone w lewo i w prawo i Me 110 zgubiły ich niemal natychmiast. Patterson zaliczył kilka dziur w maszynie. Doleciał jednak do LG 250. Zobaczyli flary nad lotniskiem i Barton zdecydował:

- Pit, ty lądujesz pierwszy.
- Zrobię, co się da.

Załoga naziemna czekała uzbrojona w gaśnice, worki z piaskiem i łopaty. Patterson nachodził na pas wyraźnie z kłopotami. Zbyt szybko, ze zbyt zadartym nosem. Wiedział o tym, ale niewiele mógł poradzić. Nie zorientował się jednak, że opuścił tylko jedno koło. Drugie było zablokowane. Dano mu odpowiedni sygnał z ziemi, ale nie dostrzegł tego.

Maszyna dotknęła ziemi i rozpadła się. Odpadły skrzydła - odleciał ogon, a to, co pozostało toczyło się po piasku pustyni z malejącą szybkością. Obsłudze naziemnej udało się wyciągnąć Pattersona z pogiętej kabiny jeszcze zanim wybuchł pożar. Odnieśli go na bok i nadbiegł

doktor. Ukląkł nad nim i w tym momencie ogień zaczął trawić resztki maszyny.

- Zostawcie, niech się pali. Potrzebuję światła - przykazał.

Pożar pomógł wylądować Bartonowi i Hooperowi. Obaj znaleźli się bezpiecznie na ziemi.

- Gorący wieczór. - powiedział lekarz nawet nie podnosząc głowy.

- To jakiś Me 110 tak go załatwił.

- Jeśli maszyna oberwała tak, jak pilot, to cud, że wylądowała.

Podbiegli Skull i Kellaway. Otoczyli klęczącego lekarza.

- Jak nam poszło? - zapytał Patterson zachrypłym głosem.

- Ty się zatkaj i myśl o łóżku!

- Chciałbym...

- Leż cicho i zachowuj się jak należy.

- Chciałbym posłuchać tych kowbojskich piosenek - wystękał Patterson szukając oczami Skulla.

- Na rany Chryste. Zatkaj się - denerwował się lekarz wykonując właśnie zastrzyk w ramię rannego.

- Puść tę płytę - powiedział Barton do Skulla. Położono rannego na nosze.

- Gdzie oberwał? - zapytał Hick Hooper.

- Zmiażdżona prawa noga, stracił kilka palców lewej ręki. Być może stracił też prawe oko. Lewa noga złamana. Myślę, że głównie porozbijał się w czasie lądowania. Nie wiem czy to wszystko, ale przekonamy się dopiero przy dokładniejszym badaniu.

Zapanowało dłuższe milczenie.

- Pójdę nastawię płytę - oświadczył Skull i ruszył w

kierunku swego namiotu.

- Dajcie jakiegoś rumu - polecił Barton i adiutant przyniósł butelkę.

- Co właściwie trafiliśmy? Niczego nie widziałem - powiedział Hick.

Barton napił się rumu.

- Nie mam pojęcia - odparł. - Odniosłem wrażenie, jakby nie wszystkie bomby wybuchły.

Od strony namiotu Skulla dobiegły dźwięki melodii.

Rozdział VII

Uderzenie

Lampard dostrzegł patrol niemieckiej piechoty. Dziesięciu czy dwunastu facetów siedziało na poboczu wokół ogniska. Na widok nadjeżdżających samochodów wstali. Lampard ustawił kolumnę tak, że otwierał ją zdobyczny mercedes, a zamykał fiat z Malplacketem za kierownicą. To, co jechało w środku zasłaniały tumany kurzu.

Lampard pomachał Niemcom, a ci odpowiedzieli tak samo. Pomachał również Lester i był dumny ze swojej odwagi.

Niedługo potem napotkali drugi patrol.

- Naciśnij na klakson - polecił Lampard kierowcy. Ten wykonał polecenie, a Niemcy w odpowiedzi pomachali rękami.

Zatrzymali się o zmroku w miejscu, od którego odchodziła droga w kierunku wybrzeża. Lampard przeszedł

na tył kolumny.

- Tu się rozstajemy - powiedział do Lestera i Malplacketa. - Wy skręćcie na prawo i macie dwadzieścia kilometrów do Benghazi. My czekamy na was w obozie czterdzieści osiem godzin i ani minuty dłużej. Gdyby was ktoś zatrzymywał powiedzcie, że jesteście oficerami sztabowymi. Najlepiej krzyczcie. To podobno daje najlepsze efekty. Powodzenia.

Wymienili uściski rąk i fiat zniknął w ciemnościach. Teraz trzy jeepy ukryli w jakichś zaroślach, a cały patrol wpakował się do mercedesa i forda. Na tyle ostatniego samochodu zawieszono czerwoną latarnię. Stanęli przy szosie i czekali.

Mijały minuty i nic. Przejechało kilka pojazdów, ale wszystkie jechały na północ. Nic na południe. Panowała cisza i spokój.

Lampard wyskoczył z samochodu i podszedł do forda, w którym siedział Dunn.

- Wczoraj był taki ruch, że nie mogłem przejść na drugą stronę szosy. Ciekawe, co dziś się stało?

- Zwyczajny przypadek, to zdarza się i na wojnie.

Czekali. W powietrzu unosił się zapach ziół. Ktoś kichnął, ktoś inny go uciszał. Wreszcie ukazały się światła na szosie. Nadjeżdżał wielki konwój i przemieszczał się szybko. Wydawało się, że nie ma końca. Wreszcie ostatni pojazd.

- Odjazd! - krzyknął Lampard do kierowcy i wóz skoczył do przodu. Ujechali kilkanaście metrów i Lampard krzyknął ponownie. - Stop!

Kierowca zahamował tak, że Lampard wyrznął głowę w przednią szybę. Nawet się pokrwawił. W oknie wozu

pokazała się głowa Dunna.

- Ostatni pojazd ciągnął flak - wyjaśnił Lampard. - Nie mogę jechać, kiedy niemiecka armata wycelowana jest prosto we mnie.

- Rozumiem ciebie.

Zjechali i czekali ponownie, a Lampard zatamował krwawienie z czoła. Minęło dziesięć minut i zwołał odprawę.

- To zaczyna być beznadziejne - stwierdził. - Możemy tu czekać przez całą noc. Musimy pojechać sami, a gdyby na punkcie kontroli coś się wydarzyło, zastrzelimy ich i pchamy się do przodu. Nie używać granatów, bo poszarpią nam koła.

Jechali na południe nie zapalając świateł. Lampard orientował się gdzie mniej więcej znajduje się punkt kontrolny. Jechali wolno, a on zastanawiał się co zrobić, by uniknąć strzelaniny. Po prawej pokazało się lotnisko Al Maghrun. Pewne było tylko to, że nie mówił wystarczająco płynnie po niemiecku, by zabijać wartowników.

- Jedź wolno, to gdzieś przed nami. - Wlekli się teraz koło za kotem i w pewnym momencie zobaczyli czerwone światełko nad środkiem szosy. Dojechali.

- Zjedź na bok i wyłącz silnik - polecił.

Przez chwilę siedzieli w ciemności i obserwowali.

- Tak, to tu - zdecydował Lampard. Wyskoczył i poszedł do forda. - Weź dwa ładunki i umieść tak blisko punktu kontroli, jak się tylko uda. Mamy zapalniki z krótkim okresem działania? Doskonale. Masz zaraz wracać tak, byśmy ruszyli i dojeżdżali w momencie, w którym nastąpi wybuch - polecił sierżantowi Davisowi.

Davis schował ładunki za pazuchę, wziął zapalniki i

zniknął w ciemnościach. Wrócił w sześć minut później. Ciężko dyszał, ale był zadowolony.

- Wybuch za dwie minuty. Jeszcze chwilę zaczekajmy.

- Zjedz kawałek czekolady - Dunn podsunął Davisowi tabliczkę.

Wsiadli do wozów.

- Siedzą w budce i słuchają radia. Znowu tej Marleny - opowiadał.

Lampard patrzył na świecąca wskazówkę zegarka i powiedział.

- Teraz. Powoli, ostrożnie.

Zbliżali się do punktu kontroli. Z budki wyszedł strażnik niosąc w ręce zapaloną lampę. Za nim wyszło jeszcze dwóch. Wszyscy mieli broń. Jeden trzymał w ręce jakieś papiery i podszedł do mercedesa. Zapytał o coś. Lampard udawał, że szuka dokumentów. Wartownik ponownie o coś zapytał, a Lampard zrobił ruch jakby chciał mu coś podać. Ponieważ trwało to długo, wartownik zniecierpliwiony stuknął dłonią w drzwi samochodu. W tym momencie wybuchną pierwszy z ładunków. Wóz aż podskoczył, a wartownik poleciał do tyłu. Huk był taki, że Lampard na chwilę ogłuchł. Z budyneczku wybiegło kilku strażników. Otworzono ogień z broni maszynowej, ale zagłuszył go drugi wybuch.

- Odjeżdżaj! Odjeżdżaj! - Lampard usłyszał własny głos i mercedes skoczył do przodu. Rampa zamykająca szosę pękła.

Zapanował chaos, wartownicy przestali się nimi zajmować. Punkt kontroli został zaatakowany i wozy niemieckie usiłowały znaleźć się od tego miejsca jak najdalej. Ford gnał za mercedesem, a Dunn w lusterku

wstecznym widział błyski wystrzałów. Nie były skierowane w ich stronę.

A potem przejechali zjazd na Beda Fomm.

Lampard zorientował się w tym w momencie, w którym koła samochodów zadudniły po metalowym moście. Pomiędzy punktem kontroli a skrzyżowaniem na lotnisko nie było mostu.

- Przejechaliśmy - uznał, a kierowca zawrócił. Ponownie przejechali most.

Lampard był zdumiony: Jak mógł popełnić taki błąd? Musiał się zamyślić.

- Jedź powoli - polecił.

Dojechali do bocznej, polnej drogi i skręcili. Coś mu się jednak nie podobało. Stanęli, a Lampard wziął sierżanta Davisa i ruszyli na rozpoznanie. Pozostali siedzieli w wozach i czekali.

W kilka minut potem minęła ich niewielka ciężarówka ciągnąca za sobą armatkę. W chwilę potem, ambulans. Najwyraźniej wartownicy zatelefonowali po pomoc. Potem mijały ich jeszcze inne wozy. Wreszcie jeden z nich zahamował gwałtownie, cofnął się i stanął przy mercedesie.

Z wozu wysiadł niemiecki oficer. Wielki, zwałisty facet. Większy od każdego z członków patrolu. Oświetlił ich latarką i zaczął coś wykrzykiwać, a robił to głosem człowieka przywykłego do wydawania rozkazów.

Dunn wysiadł z wozu i jak umiał udawał Włocha.

- *Buona sera, signore* - bąkał, salutując przy tym niezdarne - *Italiano militari. Benghazi regimento.* - Ponownie zsalutował. Na tym skończyła się jego znajomość włoskiego. Teraz mógł jedynie czekać na to, co zrobi Niemiec.

Tamten podniósł dłoń z latarką i w kręgu światła ujrzał zarośniętą i brudną twarz. Powiedział coś, co zabrzmiało nie jak pytanie, lecz jak komentarz, w odpowiedzi na co Dunn usiłował się uśmiechnąć i zasalutował raz jeszcze. Potem oficer zaczął się przyglądać ubraniu Dunna, a ten zobaczył, że Niemiec wyciąga rewolwer.

- Spaghetti - powiedział, gdyż nic innego nie przyszło mu do głowy.

Oficer wyraźnie stał się podejrzliwy, a Dunn czuł, że zaczyna się pocić.

Niemiec wycelował w niego rewolwer i ruchem ręki kazał mu iść w kierunku wozu. Gdy doszli Niemiec zajrzał do środka. I w tym właśnie momencie szeregowiec Smedley zaszedł go z tyłu i złapał za gardło. Oficer szarpał się bezgłośnie, ale po chwili zawisł bezwładnie. Dunn pospieszył z pomocą i razem położyli ciało Niemca. Potem odnalazł rewolwer i zgasił latarkę.

- Mogłeś go załatwić nożem - powiedział. - Byłoby również cicho.

- Nie widziałem go dokładnie w ciemności i bałem się, by nie trafić na pana.

Wrócili Lampard z Davisem. Obejrzelili ciało.

- Pułkownik - rozpoznał Lampard. - Mam nadzieję, że to go nauczy.

- Czego? - zdumiał się Davis.

- A tego, że prawdziwy pułkownik nie bawi się w policjanta. Wysyła w takich sprawach swoich ludzi. No, ale to nie tędy droga.

Podjechali jeszcze kawałek i znaleźli właściwą drogę. Wjechali w las i ukryli wozy. Tu zrobili ostatnią odprawę. Davis sprawdził, czy każdy ma plecak z

bombami, zapalniki, naładowaną broń i manierkę z wodą. Zrobił to już raz w Dżebel, ale był pedantycznym sierżantem.

Zapowiadała się przepiękna noc. Szli lasem sosnowym i kaktusowym. Lampard na czele. Prawie nie słyszał za sobą szmeru, a sprawił to doskonały trening i gumowe zelówki. Stanął i obejrzał się. Nie zauważył za sobą nikogo i tak powinno być.

Znajdowali się o jakieś dziesięć minut drogi od lotniska, gdy zaczęli się orientować, że coś nie jest w porządku. Usłyszeli hałas, ale nie były to odgłosy silników samolotowych. Pracował jakiś potężny diesel, a więc ciężki sprzęt. W chwilę potem Lampard zauważył lunę na niebie. Gdy doszli do skraju lotniska całe Beda Fomm było oświetlone. Może nie tyle całe lotnisko, co miejsca, w których pracowano: hangary i samoloty. Słychać było jakiś psychacz, generatory, dźwig. Wszędzie kręcili się ludzie.

- O mój Boże - szepnął Lampard. - Tu coś budują.

Sierżant Davis miał zeissowską lornetkę znaną w rzeczach kapitana Lessinga. Patrząc przez nią zobaczył rozwalony hangar. Jeszcze widać było dym. W nim stało kilka rozbitych samolotów. Potem spojrzął Lampard i stwierdził, że robotnicy pracują nad niewielkim kraterem.

- Wyciągają niewypał - domyślał się.

- Wypieprzono nas - szepnął szeregowiec Peck. - Wypieprzył nas RAF.

- Nie ulega wątpliwości - skonstatował Smedley.

- Nie zrobiłeś dla nas rezerwacji - powiedział Dunn do Lamparda.

- Rzeczywiście, sprawa wygląda beznadziejnie - przyznał dowódca.

Wrócili do pozostawionych wśród drzew samochodów. Wszyscy czuli się zmęczeni i sfrustrowani. Dochodziła północ. Taki kawał drogi, tyle wysiłku, na marne. Plecaki zaczęły im nagle ciążyć. Od północy dobiegły odgłosy wybuchów. Być może artyleria okrętowa, może bomby, a może po prostu grzmoty. Nikt się tym nie zainteresował. Lampard i Dunn usiedli na ziemi i zjedli po kawałku czekolady.

- Jaki jest cel zapasowy? - zapytał Dunn.

- Mersa Brega. Znasz to miejsce?

- Nie.

- I ja też nie. To około stu kilometrów na południe. Za daleko. Musimy wracać do wąwozu, poczekać do jutra i ponownie wieczorem jechać.

- Kolejnych sto kilometrów?

- Nie szosą. Tam są punkty kontroli co pięć minut.

Dunn zastanawiał się nad tym, co robić, ale nie znajdował rozwiązania. Lampard nie podejmie operacji bez uprzedniego rozpoznania celu. Bada Fomm okazała się niedostępna. Mersa Brega była poza ich zasięgiem.

- A co myślisz o Al Maghrun? - zapytał. - To blisko. Można co najmniej zobaczyć jak tam jest.

- Tak, możemy - zgodził się Lampard. - Nie mamy nic do stracenia - powiedział to, ale siedział, nie ruszając się. - Maghrun. Nie brzmi obiecująco... ale cóż, nie mamy nic do stracenia.

Sierżantowi Davisowi nie przypadła do gustu myśl powrotu szosą i przedzieranie się siłą przez punkt kontrolny.

- Oni musieli zapamiętać wozy i na pewno teraz czuwają. Jak nas tylko zobaczą, będzie zabawa.

Lampard milczał.

- A wy wszyscy doskonale wiecie, co to oznacza. *Auf Wiedersehen*.

Smedley chciał coś powiedzieć, ale Dunn trącił go pod zebro i Smedley się zamknął.

- To racja - odezwał się wreszcie Lampard. - Ale jedyna inna droga, to szlak dla wielbłądów.

- Pojedziemy nim tylko kawałek. By tamtych objechać. Jestem pewny, że znajdę drogę.

- Rozumiem - Lampard usiłował spojrzeć w twarz Davisa, ale było zbyt ciemno. - Dobrze. Weź z sobą Blake'a, ładujcie się do wozu sztabowego i jedźcie. Macie godzinę czasu.

Wynieśli trupa pułkownika, który zaczął już sztywnieć i zanieśli go do forda. Wóz sztabowy odjechał, a pozostali czekali. Każdy coś tam przegryzał. Lekki wiaterek szeleścił liśćmi i mogli cicho rozmawiać.

- Nie wiedziałem, że masz tak silne ręce - odezwał się Dunn do szeregowca Smedley'a.

- Tak. Wyrobiłem sobie palce - odpowiedział ten. - Mogę rozedrzeć na połowę książkę telefoniczną. Kiedyś podarłem komplet Encyklopedii Britannica. Trzeba ćwiczyć. Jak się chce w czymś być dobrym, trzeba ustawicznie ćwiczyć.

- Tak, Rzymu nie zbudowano w ciągu jednego dnia - zauważył Peck.

- Kapral Harris opowiadał mi, że jako chłopak zabił dorosłą owcę.

- Gołymi rękami? - zdumiał się Smedley.

- Nie, nożem.

- Ale co jak się nie ma noża?

- Harris zawsze miał nóż - oznajmił Lampard. - W czasie naszego ostatniego patrolu zabił dwóch wartowników, a może i więcej. Niestety jeden z nich pchnął go nożem w brzuch, a on nic nie mówił, bo nie chciał wstrzymywać marszu. Fantastyczny żołnierz. Teraz ma grób na pustyni.

Zamilkli, nikt nie oponował, ale zapanowała kłopotliwa cisza.

- Jeszcze mam kawałek ozorka. Szkoda zmarnować. Peck, zjedz ten kawałek - powiedział Dunn i napięcie rozładowało się.

Dwadzieścia po dwunastej wrócił wóz sztabowy.

- Mamy drogę - raportował Davis.

Lampard pozwolił mu prowadzić. Istotnie Davis znalazł objazd od strony morza? Był wąski, czasami się urywał i trzeba było jechać bardzo powoli. Tak posuwali się około godziny, po czym Davis skręcił w prawo i dojechali do granic lotniska Al Maghrun. Tu było ciemno i cicho. Jedyne od strony szosy nadmorskiej słyszeli szum samochodów.

Lampard wysłał Dunna i Pecka na rozpoznanie. Myszkowali przez trzydzieści pięć minut i stwierdzili, że lotnisko jest puste. Ani jednego samolotu. Kolejne rozczarowanie. Cała wyprawa miała pecha. Lampard prawidłowo wyczuł nastroje i zareagował jak typowy Brytyjczyk.

- Czas na herbatę - zarządził.

W takich sytuacjach nic nie mogło człowiekowi bardziej poprawić nastroju niż kubek mocnej, gorącej herbaty. Wszystko co trzeba mieli ze sobą. Mały piecyk na olej, menażki, herbatę, mleko w puszkach. Piecyk ustawili

między samochodami i czekali. Nikt nic nie mówił. Tej nocy szczęście miał przeciwnik.

Woda się zagotowała. Zasypano herbatę.

- Sądzę, że powinniśmy wracać do obozu i jutro w nocy próbować ponownie.

- Mierzi mnie ta myśl - burknął Lampard.

Nawalają mu hamulce. Nie potrafi się zatrzymać - pomyślał Dunn.

Posłodzona i ze skondensowanym mlekiem herbata była mocna, słodka i doskonała.

- Za cztery godziny świta. Nie ma czasu na to, by gdzieś uderzać, a potem wycofywać się do Dżebel - powiedział Dunn.

- Jest takie miejsce, gdzie moglibyśmy to zrobić. I byliśmy już tam przedtem - mówił Lampard.

- Barce? - zapytał Davis.

Dopijali herbatę w milczeniu. Decyzja w takich sprawach musiała należeć do dowódcy i nikt nie chciał się wypowiadać.

- Co myślisz o tym, Mike - Lampard zapytał Dunna. Ten nie odpowiedział.

- Hej, nie słyszałeś?

- Słyszałem, ale co myślę, nie liczy się.

- Jeśli nic nie mówisz, to skąd mam wiedzieć?

- Dobrze - Dunn napił się jeszcze łyk herbaty. - Sądzę, że powinniśmy wracać do obozu i próbować jutro nocą. Jeżeli chodzi o Barce, to trzeba zrobić rozpoznanie, bo z całą pewnością od ostatniego razu zmienili system ochrony. Już dziś nie starcza nam czasu, by uderzać na Barce.

- I coś jeszcze?

- Sądzę, że niepotrzebnie tracimy czas, bo ty i tak już

postanowiłeś. - Ktoś parsknął śmiechem, ale większość milczała. Ton głosu Dunna był zaskakująco ostry.

- Zacznę od tego, że i tak nie jesteśmy bezpieczni. Po tym incydencie na punkcie kontrolnym wiedzą, gdzie jesteśmy i że nie ma pułkownika. A jeśli chodzi o Barce, to idealny cel, bo tam się nas najmniej spodziewają.

- To domysły - zaproponował Dunn.

- Stary, jeśli chciałeś pracować na pewniaka, bez domysłów, to nie trzeba było wstępować do SAS. - Ktoś zachichotał. - Jeśli ponownie uderzymy na Barce, Niemcy posrają się w majtki.

Ponownie kilka parsknięć.

- Jak daleko do Barce? - zapytał Lampard Dunna.

- Kilka godzin jazdy.

- Odjazd!

Rozeszli się, by wykonać polecenie.

- Ty, co z Dunnem? - zapytał Peck nachylając się do Blake'a.

- Zamknij się.

- Nie bądź taki ważniak.

- To nie zadawaj głupich pytań.

Davis prowadził ich wokół lotniska Al Maghrun, aż dotarli do szosy nadmorskiej. Wtedy przewodnictwo objął Lampard. Jechał jako pierwszy w wozie sztabowym, w którym, obok niego, znajdował się trup pułkownika. W czapce na głowie, ze złożonymi przed sobą rękami wyglądał jak żywy.

Davis zauważył na tylnym siedzeniu jakieś trójkątne proporceyki. Wybrał dwa i zawiesił nad przednimi błotnikami. W tym czasie Dunn znalazł teczkę i otworzył ją. W środku schowano jakieś papiery i znaczną ilość

pieniędzy. Teczkę wziął Lampard.

- Nigdy nie wiemy, czy się nam nie przyda.

Oceniał, że do jeepów, pozostawionych w ukryciu, mają jakieś piętnaście kilometrów. Miał nadzieję, że pokonają ten odcinek nie napotykaając na punkt kontroli. Wkrótce jednak zobaczyli pośrodku drogi małe, czerwone światelko. Dunn poczuł strach i podniecenie. Punkt kontroli musiano tu ustawić po alarmie, jaki wywołał ich pierwszy atak. Ciekawe, czy wartownicy będą bardzo czujni. Byli, lecz jednocześnie pełni szacunku dla poradczyków.

Sierżant podszedł do zbliżających się samochodów i zsalutował. Lampard odpowiedział ruchem ręki raczej ojcowskim, niż wojskowym. Słuchał przez moment tego, co mówił sierżant, niewątpliwie dowódca wartowników, położył palec na ustach i wydał dźwięk:

- Pssst. - Palcem pokazał za siebie, na tylne siedzenie.

Sierżant pochylił się, zajrzał do środka i coś szeptał. Lampard ponownie zasyczał i rzekł cichutko:

- Oberst... Max... von... Rommel.

Oczy sierżanta stały się wielkie jak spodki, a Lampard skinął głową. Widział w oczach sierżanta, że ten się nad czymś zastanawia. Zapewne nigdy nie słyszał, by Rommel miał syna, a może siostrzeńca, może kuzyna. Zresztą wszystko jedno. W każdym razie miał do czynienia z Rommlem. Należało być, oczywiście, ostrożnym.

Lampard spojrzał wymownie na zegarek, zmarszczył się i posunął wóz o kilka centymetrów do przodu. Sierżant jednak podniósł trzymane w ręce papiery i wyraźnie chciał uzyskać jakieś informacje. Szeptem zadał pytanie. W odpowiedzi Lampard wyjął ze znalezionej teczki jakieś dokumenty, dołączył do tego garść banknotów i wręczył

wartownikowi. Wyszeptał „Heil Hitler” i palcem pokazał na barierę zamykającą przejazd. Sierżant coś szeptał. Zorientował się, że ma w ręce co najmniej sześciomiesięczny żołd. Posłuszeństwo i dyscyplina walczyły w nim z chytrą. Posłuszeństwo przegrało. Bariera została podniesiona. Samochody ruszyły i wkrótce zniknęły w ciemnościach.

O drugiej dwadzieścia dojechali do jeepów. Przerzucili do nich plecaki, ukryli zdobyczne samochody i ruszyli w kierunku Barce.

Lampard jednak zabrał ze sobą trupa pułkownika. Po prostu jako maskotkę.

O trzeciej nad ranem znaleźli się w znanej im okolicy, w zachodniej części wzgórz Dżebel. Lampard planował dotarcie do Barce o czwartej, co było niemożliwe. Jechali jednak najszybciej jak się dało z zapalonymi reflektorami. Lampard w którymś momencie nie zdążył wyprowadzić jeepa po zboczu i o mało co, samochód stoczyłby się. Tym razem jednak skończyło się na strachu.

Potem złapali gumę. Lampard zmusił się do tego, by usiąść obok i nie przeszkadzać w naprawie. Gdy tylko założono zapasowe koło, ruszyli do przodu. Była trzecia pięćdziesiąt. Mike Dunn sprawdzał ustawicznie czas. Milczał od Al Maghrun. Podążali za Lampardem bez słowa, a więc uznał, że on ich przekonał. Był dowódcą. On wiedział lepiej i być może to on miał rację.

Przez krótki czas wszystko szło jak należy. Jechali szybko i bez przygód. Jak na ćwiczeniach.

Dwa razy jednak im się nie powiodło. Wpadli na Arabów. Po raz pierwszy na niewielki obóz, który zdążyli wcześniej zobaczyć. Wycofali się i objechali ten teren

budząc jedynie psy i dzieci. Za drugim razem było gorzej. Wjechali w stado owiec. Zwierzęta wpadły w panikę, a Arabowie biegali dookoła spędzając stado do gromady. Patrol stał przez trzy minuty czekając, by się ta burza uspokoiła. Potem sierżant Davis dał staremu Arabowi dwa funty cukru i paczkę herbaty. Uścisnęli sobie ręce i rozeszli się. Arabowie byli zadowoleni.

Jechali dalej. Czasami gubili szlak, czasami nie byli pewni czy wybrali właściwy. W miejscu, z którego wychodziło aż pięć odgałęzień, stanęli. Lampard zastanawiał się, którą drogę wybrać, a Dunn zameldował, że jego jeep ma koło do wymiany. Podczas naprawy Lampard ruszył, by zbadać drogę skręcającą w prawo. Ślady wprowadziły go do wąwozu, z którego nie było wyjazdu. Już zawrócił, gdy usłyszał wystrzały. Już wiedział, że szczęście ich opuściło. Nie można było jeździć po Dżebel, by wcześniej czy później nie wpaść na niemiecki patrol.

Wracał ze zgaszonymi światłami. Strzelanina nasilała się. Wyjechał zza jakiejś skały i zobaczył świetlne pociski. Strzelał jedynie przeciwnik. I tak powinno być. Niech pomyślą, że zwyciężyli i niech się wycofają.

Na razie Lampard niewiele mógł zrobić. Była czwarta dwadzieścia. Siedział w jeepie i czekał. Z mroków wyłonił się Dunn.

- Sądzę, że jakieś pięć karabinów maszynowych i kilkanaście pistoletów. Jeepy ustawiliśmy za skałami.

- Nie próbowali nas okrążyć? - W głosie Lamparda wyczuwało się zniecierpliwienie.

- Próbowali. Zaczęliśmy strzelać i się wycofali, ogląda, że to nowicjusze.

- Niemcy?
- Chyba tak.
- Doskonale. To my ich otoczmy.
- Nie mamy dość sił.

- Oni o tym nie wiedzą. Wybierz czterech i postaw po dwóch po każdej stronie. Niech wezmą steny i granaty. Ja w tym czasie podsunę się do przodu. Oni zaczną się przegrupowywać, a my się wycofamy.

- O. K. - Ale Dunn nie odchodził. - Jeszcze tylko jedno, Jack. Nie możemy tu zostawić jeepów.

- I nie mam takiego zamiaru.

Dunn wrócił do patrolu i wyjaśnił plan Lamparda. Zaczął wybierać ludzi:

- Walters i Connors... oraz Smedley i...
- Ja pójdę - zgłosił się Peck.

Dunn zawahał się. Tak, Peck będzie bardzo dobry.

Wzięli dodatkowe granaty i ruszyli w ciemność. Gdy rozległy się wystrzały i huk granatów Lampard zwolnił hamulec wozu. Wóz toczył się po zboczu w dół. Potem włączył silnik i prowadząc na stojąco jechał wymijając skały i większe kamienie. Ktoś strzelał w jego kierunku, ale kule jedynie uderzały w karoserię. Tak dojechał do końca wąwozu. Stał pod skalistą ścianą. Jakiś karabin maszynowy usiłował go odnaleźć, ale kule uderzały jedynie w skalną ścianę. Lampard był bezpieczny.

Walters wrócił spocony, ale zadowolony. Potem pojawił się Connors z wybitym palcem, a bez stena. Zgubił broń gdzieś na zboczu. Smedley miał pokrwawioną twarz. Odłamek kamienia rozorał mu policzek. Sierżant Davis nastawił palec Connorsa i podtrzymał go, gdy ten zemdłał. Peck się nie pojawił.

Czekali przez trzy minuty. Lampard wyciągnął z jeepa ciało pułkownika i posadził je na ziemi u wejścia do wąwozu. Wkoło porozrzuczał pieniądze, jakie znaleźli w teczce.

- Będą mieli zdrowy orzech do zgryzienia zastanawiając się nad tym, co tu się stało - powiedział.

Nadal nie było Pecka. Natomiast przeciwnik się wycofał i tylko z oddali czasami ktoś strzelał w ich kierunku.

- Czwartą czterdzieści - przypomniał Dunn. - Nie możemy zapomnieć o Pecku.

- Co z nim? - Lampard zapytał Smedleya.

- Nie wiem, sir - mówił z pewną trudnością z uwagi na ranę na policzku. - Rozeszliśmy się. Strzelał i stale zmieniał miejsce, by myśleli, że nas jest dużo. - Wzruszył ramionami. - Naprawdę, nie wiem.

Otwartą obecnie drogą posunęli się jakieś pół kilometra do przodu.

- Nie ma wątpliwości, że ich patrol podniósł alarm - powiedział Dunn. - A my ciągle jeszcze mamy czas, by dotrzeć w nocy do obozu. - Miał wrażenie, że ta noc trwa już przez cały tydzień.

- Naprawdę? - mruknął Lampard. - Sierżant Davis! Jakie straty?

- Jeden ranny w nogę. Kilka drobnych zadrapań odłamkami skał. O policzku Smedleya już pan wie. To wszystko. Jeepy w porządku. Straciliśmy nieco paliwa. Czuje się to w powietrzu.

- A więc dobrze. - Lampard patrzył w ciemność, w dół, na południe. - Tam jest Barce. Można zobaczyć drogę z Benghazi.

Dunn niczego nie dostrzegł.

- Nawet jeśli dojedziemy, zanim podłożymy ładunki, będzie już jasno - stwierdził - Barce, to ogromne lotnisko. Pamiętasz? - A ponieważ Lampard milczał, dodał: - Już czwarta czterdzieści. Nie mamy czasu.

- Mamy mnóstwo czasu i zaskoczmy ich.

Lampard poprowadził patrol w najprostszy sposób. Zjechali z góry, a jak długo zjeżdżali, mieli pewność, że posuwają się na północ lub północny zachód, w kierunku drogi Barce - Benghazi. Czasami trafiali na przeszkody, które trzeba było omijać, ale pchali się cierpliwie do przodu.

To wariactwo - powtarzał sobie w myśli Dunn i robił to tyle razy, że samo słowo straciło znaczenie.

Na równinę wyjechali o piątej pięć. Nie zatrzymywali się. Lampard poprowadził ich przez pola i o piątej piętnaście wjeżdżali na drogę. Tu zarządził krótki postój.

- Nie podkładamy ładunków - wyjaśniał. - Na to nie mamy czasu. Po prostu ostrzelamy ich z karabinów maszynowych. Dojeżdżając ładunki pozostawiamy przy drodze. Zapalniki na trzydzieści minut. Zachować kilka na bramę wjazdową. Wpadniemy, damy im wycisk i zwijamy się tą samą drogą. - Podał jeszcze kilka szczegółów, określił położenie jeepów w czasie ataku i zadania każdego członka patrolu.

- Wszyscy zrozumieli? A więc do roboty! Jedziemy!

* * *

Żołnierz obudził Paula Schramma o czwartej czterdzieści pięć i wręczył mu kartkę papieru. Była zerwana z dalekopisu. Przedstawiała informację od dowództwa regimentu piechoty stacjonującego o dwanaście

kilometrów za Barce. Meldowano, że ich patrol w Dżebel natknął się na wroga. Każdy potrafiłby to zrozumieć w ciągu kilku sekund, ale była czwarta czterdzieści pięć, a Schramm nie był „każdym”. Oczy miał otwarte, ale jego mózg nie rejestrował jeszcze sygnałów z zewnątrz.

Przemył twarz i ponownie przeczytał dalekopis. Potem założył okulary i wreszcie dotarło do niego. Która godzina. Szukał zegarka. Za godzinę świt. O tej porze SAS już nigdy nie uderzało. Nie mieliby drogi odwrotu. Zatelefonował do dyżurnego sierżanta i polecił mu ostrzec wszystkie posterunki. Sierżant nie był zaskoczony. Już wiedział o wszystkim. Z kolei zadzwonił do dowództwa regimentu piechoty.

- Coś nowego? - zapytał

- Już po strzelaninie. Tamci się wycofali. Nasi szukają ciał.

- Oczywiście. - Schramm wyobraził sobie to poszukiwanie w ciemnościach czegoś, czego w ogóle mogło nie być. - A słuchajcie... Nie chcę nikogo obrazić, ale skąd ta pewność, że naprawdę natknęli się na Anglików?

- Byli doskonale uzbrojeni, mieli samochody. Któż jeszcze mógłby to być? Arabscy partyzanci? Dezerterzy? Jeńcy wojenni, którzy uciekli z obozu? Wątpliwe. Tamci byli zbyt dobrze zorganizowani. Mamy straty.

- A nie był to przypadkiem inny patrol niemiecki nadchodzący z przeciwnego kierunku? - Dyżurny oficer nie odpowiadał, więc Schramm zapytał: - Dlaczego pan milczy? Czyżby wątpliwości?

- Nie, jem parówki. Oczywiście, że to się już zdarzało, ale zapewniam, że tym razem mamy w Dżebel tylko jeden

patrol.

Schramm się ubrał. Czuł niesmak w ustach, a więc umył zęby. Potem zgasił światło i otworzył okno. Nic jeszcze nie zapowiadało dnia. No cóż, samoloty były bezpieczne, a to najważniejsze. W duchu życzył sobie, by patrol SAS znalazł się na lotnisku i próbował podejść do samolotów. W ten sposób wypróbowałiby system. Zadzwoił telefon.

- Nie wiem, jak to panu powiedzieć - mówił głos dyżurnego z regimentu.

- Po prostu. Przyjmę wszystko ze spokojem.

- A więc tak. Nasz patrol w Dżebel właśnie znalazł ciało. Nasz niemiecki pułkownik w mundurze z rewolwerem w ręce. Nie zastrzelono go, a on nie wystrzelił jednego naboju. Zapewne chciałby pan wiedzieć, jak umarł.

- Ogromnie.

- Zaduszono go. A wkoło leżały porozrzucane pieniądze.

- Zaduszony? - Schramm zastanawiał się. Czyżby ponury dowcip SAS? Co chcieli osiągnąć? Nic nie przychodziło mu do głowy. A może nie należało we wszystkim dopatrywać się ręki SAS? - Może to jakaś transakcja czarnorynkowa? - odezwał się wreszcie. - Może ten nasz oficer próbował jakichś interesów z Włochami? Natknęli się na nasz patrol, pomyśleli, że to zasadzka, zabili Niemca i sami zwiali. Na to właśnie wygląda.

- I zadusili? - zdumiewał się dyżurny oficer. - Cóż za dziwny sposób zabijania niemieckiego pułkownika w momencie, w którym wybucha strzelanina.

- Zapewne mafia. Duszenie to jej stary, tradycyjny zwyczaj. Ma jakieś symboliczne znaczenie.

- Może - bąknął tamten w słuchawkę i w tym momencie budynkiem, w którym znajdował się Schramm wstrząsnęła

eksplozja.

- Halo - zaniepokoił się dyżurny. - Potrzebujecie pomocy?

- Nie sądzę - Schramm posłyszał teraz salwę z ciężkiej broni maszynowej i natychmiast zmienił zdanie. - Tak - powiedział - potrzebujemy. - Rzucił słuchawkę na widełki.

* * *

Wartownik był bezdennie znudzony. Nocna warta była nudna i wyczerpująca. Czas włókł się nieznośnie. Serce biło wolniej, oczy pracowały leniwie, a myśli grzęzły w mózgu. Ci, co nigdy nie pełnili wart podkreślali ich znaczenie. Nigdy nie byli na nogach o piątej rano, a więc skąd mogli wiedzieć, o czym mówią?

Obaj wartownicy przy bramie wjazdowej na lotnisko Barce byli na służbie od drugiej rano. Bolały ich nogi i wszystkie mięśnie. Karabiny ciążyły na plecach. Przed dwudziestoma minutami pokazał się sierżant, polecił by byli czujni i zniknął. Teraz żłób na pewno wylegiwał się w dyżurce.

Od drugiej w nocy przejechało tędy tylko jedno auto. Wartownicy czekali na szóstą, kiedy nastąpić miała zmiana. Lepiej jednak o tym teraz nie rozmyślać. Trzeba było przyjmować rzeczywistość taką, jaką była. Inaczej nie przetrwa się tej wojny. I dlatego też obaj wartownicy nie byli podekscytowani tym, że zbliżał się jakiś samochód. Jechał powoli, bez pośpiechu. Jeden z wartowników ziewnął, drugi przetarł oczy.

Samochód podjechał, zawrócił i zatrzymał się. Wyglądało, że ma zamiar wracać tam, skąd przybył. Kierowca wychylił się i zapytał:

- *Schramm? Herr Major Paul Schramm?*

- *Ja, ja* - powiedział jeden z wartowników.

Lampard podał mu plecak i powiedział:

- *Heil Hitler!* - zaszalutował i odjechał. Całość zajęła mu nie więcej jak siedem sekund.

Pokazał się sierżant. Wartownik podał mu przesyłkę dla majora Schramma. Sierżant podszedł i usiłował zajrzeć do plecaka. Ten był jednak silnie zawiązany. Ładunki znajdujące się wewnątrz miały detonator nastawiony na jedną minutę. Wybuch nastąpił, kiedy sierżant mocował się jeszcze ze sznurkami.

Gdy tylko rozległ się wybuch Lampard zawrócił ponownie. Drewniany domek wartowników zniknął, a jego kawałki jeszcze sypały się z nieba. Gdy przejeżdżali przez bramę ostrzelali inny mały budynek znajdujący się za domkiem strażników. I tam mogli być wartownicy. Lepiej było się zabezpieczyć.

Lampard znał drogę. Był tu już przedtem. Trzy jeepy jechały teraz po gładkiej, betonowej nawierzchni i rozpędziły się do prędkości prawie stu kilometrów na godzinę. Lampard zobaczył światła pojazdu nadjeżdżającego z przeciwnej strony i zdążył krzyknąć:

- Nie zwalniam!

Teraz widział, że to był samochód straży pożarnej, dziesięć razy większy od jeepa. Kierowca też to spostrzegł i zareagował błyskawicznie. Jeep uskoczył w prawo i wypadł na wysypane żwirem pole. Lampard obejrzał się. Oba jadące za nim jeepy też uniknęły zderzenia. Jechali coraz szybciej. Już byli na rzeczywistym lotnisku. Gdzieś z tyłu, za nimi, rozległ się dźwięk syreny. Jeepy jechały teraz jeden obok drugiego z zapalonymi reflektorami. Szukali

samolotów. W świetle rzucanym przez jeepy migały jakieś skrzynie, beczki po paliwie, połamane szybowce, ale nie znajdowali samolotów.

Zmienił kierunek jazdy i reflektory oświetlały teraz inną część lotniska. Lampard usiłował przypomnieć sobie układ zabudowań Barce. Ponownie zmienili kierunek jazdy i ponownie nic. To było cholernie duże lotnisko. A może samoloty zostały przerzucone gdzieś w zupełnie inne miejsce. Kolejny wiraż i nadal pusto. Sierżant Davis wystrzelił pocisk świetlny i teraz dopiero zobaczyli rząd Me 109. Lampard wrzasnął z radości. Do tego czasu jednak obudziła się obrona lotniska. Otwarto do nich ogień z karabinów maszynowych. Początkowo z jednego, w chwilę potem z dwóch. Kierowcy jeepów zgasił światła. Znali już cel - niepotrzebne im było oświetlenie.

Paul Schramm stał na małym balkoniku przed swoim pokojem i patrzył na rozgrywający się dramat. Słyszał silniki jeepów, widział ich reflektory, pocisk świetlny. Czuł się jak widz w teatrze. Mógł jedynie stać i patrzeć.

W chwilę potem pojawił się przy nim Benno Hoffmann.

- Jak im się udało dostać na lotnisko? - zapytał.

- Przez bramę główną. Użyli materiałów wybuchowych. Wezwałem pomoc. Piechota w drodze.

- Nie możemy ich ostrzelać z moździerzy?

- Już za późno, Benno. Trafimy we własne samoloty.

- Oczywiście. - Siadając wygodnie na stojącym obok krześle Hoffmann zapytał: - Mogę stąd przyglądać się?

Lampard obliczył czas, odległość i dał sygnał klaksonem. Zapaliły się reflektory jeepów i przez chwilę mógł podziwiać długie rzędy lśniących Messerschmittów 109. Teraz jeepy zmieniły formację. Nie jechały już jeden

obok drugiego, a rzędem, w szeregu. Obsługa karabinów maszynowych wycelowała i rozpoczęła pracę.

Efekt przeszedł wszelkie oczekiwania. Nawet Lampard był zaskoczony tym dziełem zniszczenia. Na każdym jeepie było zamontowane cztery karabiny maszynowe typu vickers K, strzelające z szybkością tysiąca pocisków na minutę. Trzy jeepy jadące wzdłuż rzędu samolotów wypuszczały w ciągu minuty dwanaście tysięcy pocisków. Niektóre z maszyn natychmiast stawały w płomieniach, a więc reflektory nie były już potrzebne. Powstał niesamowity huk. Noc przeobraziła się w istne piekło. Niektóre z pocisków druzgotały podwozia i maszyny osiadały na brzuchach. Rykały i wybuchały baki z paliwem pryskając płomieniami na inne samoloty. Gdy jeepy dojechały do końca szeregu maszyn, ich pierwszy rząd leżał w gruzach i stał w płomieniach. Samochody zawróciły, a strzelcy zajęli się drugim rzędem. Lecące wokół odłamki i części wybuchających samolotów uruchomiły system promieni podczerwonych, a te system karabinów maszynowych. Wycelowane w pustkę lufy zaczęły wypluwać pociski powiększając jazgot, zamieszanie, huk. Dunn patrzył na tę scenę zniszczenia z bezgranicznym zdumieniem i podziwem.

Sierżant Davis strzelał z vickersa z przymrużonymi oczami, gdyż blask płomieni raził i oślepiał. Strzelał w miejsca, gdzie płomienie, były najwyższe.

Cały atak trwał cztery minuty. Jeepy zawróciły i gnały teraz w kierunku przeciwległego krańca lotniska. Była piąta czterdzieści.

Regiment piechoty dokonał cudu. W ciągu siedmiu minut załadowano wojskiem dwie ciężarówki i wysłano je

do Barce. Gdy byli w połowie drogi dowódca zobaczył wybuchy bomb. Był przekonany, że to nalot lotniczy, a bomby zrzucają się ze zdumiewającą dokładnością. Stanęli i czekali na zakończenie nalotu. Ich śmierć nie przyniosłaby Barce najmniejszej korzyści..

W pokoju Schramma zadzwonił telefon.

- Prosił pan, by go informować o wydarzeniach - mówił oficer dyżurny z regimentu. - Nasz patrol znalazł jeszcze jedno ciało. Z całą pewnością jest to brytyjski żołnierz. Najprawdopodobniej z SAS. Mamy potwierdzenie. Co im się udało?

- Udało się... - zawahał się przez chwilę. - Udało im się zniszczyć dwadzieścia cztery Me 109, a sami uciekli bez strat.

- Ach, rozumiem.

- Ale wstaje dzień. Do tej pory oni mieli zabawę, teraz na nas kolej.

* * *

Gdy jeepy zaczynały się wspinać po zboczach Dżebel był już jasny dzień. Pokonywali najbardziej zieloną część Dżebel, gdzie pada najwięcej deszczów. Północne zbocza porastają najgęstsze lasy. Tyle bujnej zieleni patrol nie widział od dnia opuszczenia Kairu.

Jechali i przepełniała ich radość. Fatalna noc zakończyła się jednak triumfem. Dzień zaczynał się wspaniale. Machali do mijanych arabskich dzieci, a jednocześnie uważnie patrzyli w niebo. Radość skończyła się o szóstej trzydziści, gdy od zachodu pokazały się samoloty.

Nad Dżebel, na wysokości stu pięćdziesięciu metrów krążyło sześć włoskich dwupłatowców CR 42. Oczywiście

szukały przeciwnika. Jeepy natychmiast wjechały pod drzewa i stanęły.

- Sądziłem, że wyślą Me 109 - dziwił się sierżant Davis.

- Tych nie lubię, są straszliwie powolne.

- Me 109 mają armatki. Te nie - oponował Dunn.

- Ale Me 109 nie mogą lecieć wolno, a piloci nie mają dobrej widoczności, patrząc w dół.

Samoloty pokrzyżyły nad nimi i odleciały.

- Wróć - zapewnił Dunn. - Nie będziemy mieli dobrego dnia.

Nie był tym jednak zmartwiony i nadal czuł się pijany odniesionym sukcesem. Nie ujechali nawet kilometra, gdy samoloty pokazały się ponownie. Leciały teraz dwójkami, jeszcze niżej i szukały uważniej. Jeepy znowu wjechały pod drzewa. Siedzieli tu dość długo. Dunn czuł, jak poczucie radości więdnie i opada. Był zmęczony i nieco otepiały. Przestał myśleć o patrolu i nie myślał też o tym, co może ich czekać. A wiedział, że przed nimi długa i trudna droga do obozu.

* * *

Nie było czasu na śniadanie. Schramm zjadł jedynie jakąś kanapkę w samolocie, w czasie lotu Lysanderem do Barka Główna, największej bazy Luftwaffe w rejonie Benghazi. Hoffmann kołował nad małą ciężarówką, która z tyłu nosiła napis „Za mną”. Tak dojechali do Heinkla 111, którego silniki już pracowały. Schramm wysiadł i tak szybko, jak tylko potrafił dobiegł do bombowca. Ktoś pomógł mu wgramolić się do środka. W kabinie powitał go kapitan di Marco. Posadził go na foteliku.

- Zapnij pasy! - wrzasnął mu do ucha.

Musiał krzyczeć, bo ryk silników zagłuszał wszystko.

Schramm posłuchał go i czekał, aż wystartują. Wyszli na pułap lotu i pilot nieco zmniejszył obroty. Dopiero teraz można było rozmawiać.

- Kiedy podjęto decyzję?

- Około szóstej. Kiedy von Mansdorf zameldował generałowi o ataku na Barce. Dopiero wtedy generał uznał, że czas na uderzenie odwetowe.

Schramm popatrzył na zegarek. Dochodziła siódma.

- To wszystko poszło błyskawicznie.

- Ponieważ to pański pomysł i uznałem, że wypada pana zaprosić w podróż razem z nami.

- Serdeczne dzięki - Schramm patrzył na przesuwającą się pod nimi pustynię. Potem przyglądał się surowemu, funkcjonalnemu wnętrzu samolotu.

- I co dalej? - zapytał.

- Najpierw lądujemy w Defa. Ja prowadzę nawigację - podał Schrammowi gazetę.

- Jestem przekonany, że nie ma pan kawy?

Di Marco wyjął wielki termos. Schramm uściskał mu rękę. Nagle poczuł, że chciałby, by mogła go teraz zobaczyć doktor Grandinetti.

* * *

CR 42 nie odnalazły jeepów. Gdy odleciały Lampard dał sygnał do odjazdu i zaryzykowali jazdę odkrytym terenem.

Tymczasem dwupłaty wylądowały w Barce. Zatankowano maszyny i tam też piloci dowiedzieli się, że odkryto ślady patrolu. Nikt nie wiedział czy były to ślady przyjeżdżających, czy odjeżdżających. Ten rejon Dżebel należało jednak dokładnie spenetrować.

Zlokalizowano jeepy na samym szczycie, daleko od linii lasu. Włoscy piloci krążyli nad samochodami i ostrzelali je z karabinów maszynowych. Oczywiście niełatwo trafić z powietrza w jadący wążykiem jeep. Najbliższy wąwóz był głęboki i szeroki. Dawał doskonale schronienie. Jeep sierżanta Davisa dopadł tu jako pierwszy. Zaraz za nim pędzący zygzakami wóz Lamparda. Mike Dunn miał najdłuższą przestrzeń do przebycia i przegrał wyścig. Pilot CR 42 domyślił się dokąd zmierza samochód i przynurkował. Strumień pocisków wpadł między jeepa a wąwóz i rozpędzony samochód trafił prosto pod strumień pocisków. Ranny kierowca nie potrafił opanować maszyny. Jeep skręcił gwałtownie w lewo i przeokoziółkował. Kolejny CR 42 ostrzelał wrak. Maszyna stanęła w płomieniach.

* * *

Baggy Bletchley przyleciał samolotem transportowym. Przywiózł zaopatrzenie i poprosił Bartona, by ten zwołał odprawę całej załogi lotniska.

- Przyjemność się skończyła, Fanny. Ogłaszam natychmiastową ewakuację LG 250 - oznajmił.

- Hawkery nie będą do popołudnia gotowe do lotu, sir. Wczoraj wieczorem nieco oberwały.

- Tak. - Przyglądał się wrakowi maszyny Pita odciąganemu właśnie poza pas startowy. - No, powiedzmy półnatychmiastową ewakuację.

Załoga zebrała się i ustawiła półkolem. Barton przedstawił komandora.

- Przyleciałem, by powiadomić was, że wasza misja skończona - mówił komandor. - Może sami tego tak nie oceniacie, ale uważamy, że dokonaliście wielkich

wyczynów. Anglia jest z was dumna. Zrobiliście ważny krok na drodze do ostatecznego zwycięstwa.

Gdy ładowano Pattersona do samolotu transportowego Skull szepnął do Bletchleya:

- Podobała mi się ta fraza o kroku do zwycięstwa.
- Naprawdę?
- Tak, to dodało rangi całemu spotkaniu.
- Tak myślisz. Wiele rzeczy można powiedzieć przy takich okazjach. Tak wiele... - Bletchley uśmiechnął się i przyjął podany mu kubek z herbatą.

Transportowiec odleciał zabierając Bletchleya, Kellowaya, lekarza i część załogi.

- Dlaczego zostałeś? - zapytał Skulla Prescott.
- Z uwagi na dzieci, oczywiście.

Prescott patrzył na niego ze zdumieniem. Bletchley przywiózł nowe płyty i Skull nastawił jakiś szlagier. Barton posłuchał i powiedział:

- Wyrzuć to i nastaw piosenki kowbojskie.

* * *

Oaza Defa pojawiła się na horyzoncie dokładnie w miejscu i w czasie przewidzianym przez di Marco. Pilot w ogóle nie musiał korygować kursu. Obniżył lot i wykonał mistrzowskie, trzypunktowe lądowanie na pasie.

Cała oaza była jedynie kępą palm, pod którymi pasło się stadko wielbłądów. Te przed chwilą widziały lądowanie trzymotorowego transportowego Junkersa, a więc nie zainteresowały się Heinklem 111.

Załoga wysiadła by rozprostować nogi.

- Doskonała nawigacja - pochwalił Schramm.
- To najłatwiejsza część drogi - wtrącił się pilot. - Coś

jak jazda tramwajem przez Hamburg.

Tankowano Heinkla i w powietrzu rozszedł się zapach paliwa. By nie wdychać oparów Schramm odszedł nieco na bok i usiadł pod skrzydłem jakiegoś Junkersa. Tu mógł się spokojnie pocić w cieniu. Muchy szybko to wywąchały i masowo zleciały się, by spróbować nowego smaku. Wkrótce przysiedli się do niego pilot i di Marco.

- Nie wygląda na wielki - powiedział Schramm patrząc na Heinkla, który swoim kształtem przypominał obłe cygaro.

- Niech się pan nie martwi. Powiększyliśmy go w środku.

- Jak się to Heinklowi udało zrobić?

- To nie on to zrobił, to my. Wyrzuciliśmy ze środka wszystko, co niepotrzebne. Broń, amunicję, płyty pancerne, butelki z tlenem, podgrzewacze.

- Nawet spadochrony - dodał di Marco.

- Wyrzuciliście spadochrony?

- Oczywiście - potwierdził pilot. - Czy ma pan pojęcia, ile taki spadochron waży? Dziesięć kilo. Wywaliliśmy niemal wszystko, nawet skrzynki higieniczne, a więc lepiej niech się pan załatwi przed odlotem.

- Zdumiewające - mruknął Schramm. - I jak daleko to teraz zaleci?

- Pan Bóg jeden wie. Zwykle może zabrać ładunek dwunastu ton. Z pełnymi bakami przekraczamy ten limit. Będzie tego jakieś czternaście ton, w tym dwie tony bomb.

- A czy to w ogóle polecą? - wątpił Schramm.

- Zobaczymy - powiedział pilot i pomógł Schrammowi wstać. Właśnie kończono tankowanie.

- Zdumiewam się, że mnie bierzecie. Zbędna waga.

- Generał upierał się, by wziąć obserwatora, a pan niewiele waży i był pan ostatnio u fryzjera.

Podeszli do maszyny, pilot stanął przy kole i rozpiął zamek błyskawiczny kombinezону.

- To może tylko pomóc. - powiedział i zaczął siusiać na koło. Za jego przykładem poszli inni członkowie załogi.

Kołowali do końca pasa startowego, obrócili się i pilot długo rozgrzewał silniki. Maszyna ruszyła wyraźnie niechętnie. Dopiero na połowie pasa ogon podniósł się do góry. Z rur wydechowych leciał dym a maszyna drżała na wysokich obrotach.

Nie był to najdłuższy i najwygodniejszy pas startowy w Libii i pilot zaciskał zęby. Znajdowali się już dobrze w drugiej połowie pasa, gdy pilot ściągnął stary. Być może Pan Bóg zmienił na chwilę prawo ciężenia, gdyż maszyna jednak poderwała się i zaczęła wznosić, jak ciężarna kaczka. Minęło jednak z trzydzieści minut zanim pilot uspokoił się i przestał zaciskać szczęki.

* * *

Dwa jeepy wtuliły się w cień rzucany przez ściany wąwozu. Warkot silników włoskich dwupłatowców przetaczał się nad nimi. Ci, co siedzieli w samochodach, gryźli daktylę, czyścili broń, napełnili baki i opatrywali rannych. Jeden oberwał w nogę, jeden w rękę, a jeden w brzuch. Ta ostatnia rana nie wyglądała dobrze.

Lampard i sierżant Davis podeszli do wejścia wąwozu trzymając się cienistej strony. Płonący jeep leżał niedaleko, na boku, doskonale widoczny. Dymił. Doliczyli się trzech ciał. Leżały bez ruchu. Davisowi wydawało się, że widzi nogę jeszcze jednego żołnierza, wystającą spod jeepa, ale

kiedy jeep brał wiraż, Davis uderzył głową w vickersa. Teraz patrząc na coś zbyt intensywnie, widział podwójnie.

- Ktoś mógł przeżyć - powiedział Lampard. - Nie chciałbym ich tak zostawić.

- Nawet jeśli któryś przeżył, to jest jedną nogą na tamtym świecie. Lepiej, żeby zajęli się nimi niemieccy lekarze. Nie mogą być zbyt daleko.

Wrócili do jeepów. Sytuacja była jasna. Nie mogli się ruszyć, bo mieli włoskie samoloty nad głowami. Nie mogli czekać, bo każda minuta zbliżała do nich piechotę przeciwnika, dla której sygnalizację stanowił dym z jeepa Mike'a Dunna.

* * *

- Interesujące - powiedział Skull - niezwykle interesujące. - Czytał dalej.

W oddali zakaszłał silnik Hawkera i zamilkł.

- Tak, rzeczywiście interesujące. - Odwrócił stronę. - I takie prawdziwe.

- Niektórzy usiłują zasnąć - mruknął Prescott.

- A to co? - zainteresował się Hooper.

- To? Nic specjalnego... Dzienniczek Pinky'ego Dagleisha. Zabrałem go Wujkowi, gdy miał jeden z tych swoich ataków. Wydaje mi się, że ten pamiętnik go podniecał. I teraz zacznym rozumieć dlaczego. - Powrócił do czytania.

Silnik ponownie zakaszłał, by umilknąć.

- A dlaczego? - zainteresował się tym razem Barton. Skull doczytał do kropki i niechętnie podniósł głowę.

- Oh, to ciebie nie zaciekawi.

- Przeciwnie. Jestem przekonany, że tak - oświadczył

Barton. Skull przewrócił kartkę.

- Zobaczymy... Na przykład - zaczął czytać. - ...*Fanny dzięki stalowej woli i wytrwałości stał się doskonałym dowódcą pilotów myśliwskich.*

Niektórzy unieśli głowy.

- I to wszystko? - chciał się dowiedzieć Prescott.

- Ależ skąd. Słuchaj dalej: *Jemu wszystko jedno kogo zabija. Jeśli nie może znaleźć prawdziwego wroga, musi go sobie wymyśleć. Niby walczy w obronie prawdy i wolności, a w rzeczywistości stał się zimnym skurwysynem. Jestem pewien, że gdyby nie latał z nami, mógłby z powodzeniem latać w Luftwaffe.*

- Idiotyzm - oburzył się Barton.

- Pinky zawsze miał dziwaczne pomysły. Doskonale pamiętam - stwierdził Prescott.

- Całkowity idiotyzm - powtórzył Barton. - Bełkot, gówno i idiotyzm.

- Oczywiście, to jego prywatne opinie - przyznał Skull. - Gdybyś zapytał innych z dywizjonu... - Potrząsnął głową - mruknął: - Co ja właściwie mówię?

- Mógł pisać wszystko, na co miał ochotę - warczał Barton.

- Nie zmienia to faktu, że wypisywał kretynizmy.

- Czy jest tam coś o mnie? - Chciał się dowiedzieć Hooper.

- Tak, widziałem jakąś wzmiankę. Skull przewracał strony. - O, jest jedna linijka: *Hooper to typowy Amerykanin. Wierzy, że Pan Bóg stworzył armaty i przeciwnie.*

- Bóg stworzył armaty - potwierdził Hooper - Ameryka, to kraj Boga, a armaty, to boża broń. Tak stoi w Biblii.

- Idiotyzyzm - burknął Barton. Wstał i patrzył w kierunku samolotów. - Co z tym silnikiem. Chodź Hick, zobaczymy.

- Odeszli w kierunku lotniska.

- Pozwól, że rzucę okiem - poprosił Prescott.

- To ogromnie nudne. Nie warto się wysilać.

- Wcale mi się nie wydawało nudne.

- Ale to tajemnica. Muszę gdzieś zamknąć ten pamiętnik.

Ostatecznym argumentem Prescottta w każdej dyskusji była jego wielka i silna sylwetka. Odebrał więc Skullowi dzienniczek i zaczął wertować.

- A gdzie ten fragment o Fanny'm? - zapytał po chwili.

- Nigdzie. To ja wymyśliłem. I ten fragment o Hicku, też. Dobrze, co?

Prescott odrzucił dzienniczek:

- Lubię i szanuję Fanny'ego. Ten dowcip mi się nie podobał.

- To wcale nie dowcip. Każde słowo wypowiadałem rozmyślnie.

Prescott był zaskoczony.

- Ty naprawdę sądzisz, że Fanny mógłby latać dla Luftwaffe? To wariactwo.

- Oczywiście, że tak. Fanny od dawna zapomniał, po czyjej jest stronie. On wcale nie chce wygrywać. On chciałby latać i walczyć. Zawsze. Ta wojna to raj dla takich jak on.

- Nie była rajem dla Pinky'ego Dalgleisha. - Prescott nadal czuł złość.

- Niestety, tacy jak Fanny Barton nie mogą istnieć bez Pinky'ego Dalgleisha. Nie mów mu o tym, bo cię rąbnie.

* * *

Arabowie nauczyli się słowa jeep. Wymawiali je *jip* i byli z tego ogromnie dumni. Rozczarowywało ich to, że Grek George nie podzielał tego entuzjazmu. Jeden z nich narysował na piasku pudełko z kółkami i powiedział:

- *Jip.*

- Aha, jeep - poprawił George, a Arab potakiwał głową i pokazał trzy palce, mówiąc:

- *Jip, jip, jip.*

George zrozumiał. Gdzieś w Dżebel znajdują się trzy jeepy. One mogłyby go zabrać do domu, do przyjaciół. Na razie jednak musiał zachowywać cierpliwość. Powrót pieszo nie wchodził w grę. Zbyt wielu Niemców się tu kręciło. Spotykał niemieckie patrole niemal każdego dnia. Kiedyś nawet jednemu z nich sprzedał jajka. Potraktowali go jak Araba. Próbował wypowiadać do nich kilka znanych mu arabskich słów, ale oni wzruszali ramionami. Żołnierz, który za jajka dał mu kilogram cukru, powiedział do niego „*Ims-hi!*”. Dosłownie oznacza to „szybko”, ale żołnierze używali tego słowa w znaczeniu „odpieprz się”. W każdym razie żołnierze alianccy i George omal nie parsknął śmiechem słysząc to z ust niemieckiego żołnierza.

Było już późne popołudnie, gdy do obozu wjechała niemiecka ciężarówka. Nie spieszyła się, a żołnierze wyskakiwali z niej ospale. Zbierano Arabów przed namiotami, ale bez pośpiechu. Żołnierze byli bardzo grzeczni. Nie używali siły i pokazywali jedynie, że chcą, by wszyscy stanęli przed wielkim namiotem. Potem weszli do środka i usiedli w półkolu twarzą do drzwi. W wejściu ukazał się młody niemiecki oficer. Miał nie więcej, jak dwadzieścia trzy lata. George zauważył, że tamten ma piegi, a nie widział nikogo z piegami od czasu, kiedy

opuścił Grecję.

Oficer ten najwyraźniej na coś czekał. Stał, patrzył i czekał

W namiocie zrobiło się gorąco. Dla Arabów nie był to większy problem. Nigdy nie pozwalali na to, by gorąco im dokuczało. Po prostu akceptowali upał pasywnie, godzili się z nim. I George nauczył się tego samego. Siedział i pozwolił, by czas upływał. Jeśli mogły to znieść muchy, to i on potrafi. Oficer stał i patrzył. Czasami przestępował z nogi na nogę.

Minęło dziesięć minut, a może dwadzieścia, a może trzydzieści. Muchy siadały na ustach, nogach, rękach. Ładowały na powiekach, na uszach, na nosach. Właziły w każdą możliwą fałdę skóry. Nigdy nie rezygnowały. George stał się senny, ale wiedział, że nie wolno mu zasnąć. To byłoby zbyt niebezpieczne. Pamięć zaczęła mu płatać figle. Nagle zobaczył Billy'ego Stewarda na LG 181, jak siedzi nieruchomo i wpatruje się w muchy. Billy potrafił siedzieć nieruchomo, patrzeć i nagle... klap! Nigdy nie chybiał. George spędził muchę, która usiłowała mu wleźć do ust.

Oficer wyprostował się i krzyknął:

- Mamy go!

Ktoś chwycił go pod ramiona i podniósł. George nie czuł zeszywniałych nóg i chwiejąc się pozwalał by go wyprowadzono.

- Jesteś angielskim szpiegiem - powiedział oficer po angielsku.

George udawał, że nie rozumie.

- Nie jesteś Arabem - mówił oficer - Arab nigdy by tego nie zrobił. Muchy cię wydały.

Gdy wsadzali go na wóz zobaczył małą, arabską dziewczynkę stojącą pod namiotem. Nikt poza nią nie wyszedł. Podniósł rękę i pomachał w jej kierunku. Ta skinęła głową.

Zabrano go do Benghazi i przez tydzień przesłuchiowano, czasami brutalnie, czasami nie. Niewiele miał do powiedzenia, a już nic na temat szpiegostwa i sabotażu. Pod koniec tygodnia rozstrzelano go. Przedtem postawiono przed sądem i uznano winnym. Wszystko odbyło się legalnie, całkowicie zgodnie z prawem.

* * *

Lampard zdecydował się na marsz. Patrol liczył obecnie siedem osób, z czego trzy były ranne. Zanim zakomunikował swoją decyzję. CR 42 odleciały. Szum silników oddalił się i ucichł.

- Nie wytrzymali. Odlecieli na obiad. - Ktoś skomentował.

Lampard jechał pierwszym jeepem. Nie spieszył się. Badał każdy zakręt wąwozu, który stał się wąski i ukazywał im jedynie wąski wycinek nieba. I dlatego zapewne nie usłyszeli nadlatujących Stukasów, aż do momentu, w którym poleciały bomby. A upadły dość daleko przed nimi wznosząc w górę fontanny kurzu. Lampard zatrzymał się. Widział teraz Stukasy wykonujące nad ich głowami akrobacje.

- I co te skurwysyny znowu robią? - Sierżant Davis też obserwował wyczyny samolotów.

Słyszeli wyraźnie wycie pikującego Stukasa, a w chwilę potem wybuch bomb.

- Bombardują wyjście z wąwozu - domyślił się

Lampard. - Chcą nas zakorkować. Nie widzą nas, ale wiedzą, że tutaj jesteśmy. Stukasy z jednej strony, piechota z drugiej.

- Chyba tak - zgodził się sierżant.

- Jeśli bombardują przed nami, to znaczy, że tam nie ma piechoty - stwierdził Lampard. - Znaczy to również, że powietrze pełne jest kurzu. Trzeba próbować.

Jechali wytrwale do przodu i zobaczyli wyjazd właśnie w momencie, w którym jeden ze Stukasów nurkował. Widzieli bombę znikającą w tumanie kurzu. Kolejny wybuch i obsypały ich odłamki skał. Lampard odczekał chwilę i wjechał w chmurę pyłu.

Wyjazd nie był zablokowany. Ściany wąwozu nie zawaliły się jeszcze. Bomby zrobiły jedynie szereg kraterów. Davis natychmiast stracił kontakt z jeepem Lamparda. Jechał na oślep w gęstej zawieszynie kurzu, wyminął jakąś skałę i maszyna stoczyła się na dno krateru. Ściana była stroma, ale zaatakował ją. Jeep podjechał do połowy i koła zaczęły buksować w miejscu.

- Wysiadać i pchać! - krzyknął sierżant.

Wtoczyli wóz na górę. Gdy ruszyli, otworzył się przed nimi kolejny krater. Objechali go dookoła. Maszyna podskakiwała na kamieniach i odłamkach skał. Znowu krater. Jeep z trudnością mieścił się między skałą a otworem. Davis miał kłopoty ze wzrokiem.

Widział podwójnie. Nie potrafił ocenić odległości i niewiele brakowało, by maszyna ponownie stoczyła się w krater.

- Ty prowadź! - krzyknął do siedzącego obok żołnierza, a sam zeskoczył i dołączył do pchających.

I nagle znaleźli się poza wąwozem. Biegli teraz obok

skaczącego po kamieniach jeepa. Z góry rozległ się znajomy świst.

- Pod skały! - krzyknął.

Bomba wybuchła za ich plecami i jakby popędziła jeepa do przodu.

Lampard czekał na nich pod drzewem akacji. Dzięki ci Boże, że stworzyłeś akacje.. Były dość wysokie, by skryć pod nimi jeepa. Jechali tak od akacji do akacji i wydawało się, że ci ze Stukasów ich nie zauważyli.

Rozjechali się, by minąć ciągnącą się przez ponad milę płaszczyznę, i spotkali u wjazdu do kolejnego wąwozu. Droga była ciężka, wyboista. Ranny w brzuch nie przetrzymał jej.

* * *

- Skull nigdy nie latał - powiedział Barton. - Skull to pieprzony pingwin. Co on rozumie?

Był nadal wściekły. Miał w ręku karabin i strzelał do wraku Hurricana. Jedna z kul uderzyła w śmigło, które odpadło na ziemię. Hick Hooper siedział na skrzynkach po amunicji i patrzył. Hurricany jeszcze nie były gotowe do lotu i mechanicy pracowali przy nich.

- To bardzo dziwnie, z tym problemem narodowości - mówił Hooper. - Churchill to pół Amerykanin. Hitler nie jest Niemcem, lecz Austriakiem. Król Anglii pochodzi z niemieckiej rodziny.

- Idiotyzm. Kto ci to naopowiadał? - Barton posłał dwie kolejne kule w kierunku wraku.

- Skull. Mówił, że rodzina królewska wywodzi się od Sax-Coburgów.

- Co on opowiada. - W głosie Bartona odezwało się

sztyderstwo. - To rodzina Windsorów. Nawet ja to wiem.

- Mówił, że do 1917 byli to Sax-Coburgowie. Dopiero potem zmienili...

Barton oddał ponownie strzał i zaczął ładować.

- Zresztą kogo to obchodzi - mruknął Hooper. - Ja sam jestem pół-Niemcem. Mama pochodzi z Kolonii. Mieliśmy tam wracać w latach kryzysu. Miałem trzynaście lat. No i co. Mógłbym teraz latać w Luftwaffe.

- Teraz ty! - Barton rzucił mu karabin. Rozmowa zaczynała go peszyć. Patrzył jak Hooper celuje i strzela.

- To oni zaczęli. Nie uznają zasad gry. Nie żałowałbym Niemców, nawet gdyby im wszystkim poobrywało głowy.

- Ty w każdym razie robisz, co możesz w tym względzie - powiedział Hooper.

- Nie ma innej drogi powrotu do normalnego, cywilizowanego życia - stwierdził Barton. - Trzeba z nich wyłuc te ich mordercze instynkty. Faceci tacy jak Skull tego nie rozumieją. Są na to nazbyt intelektualni, nazbyt zakopani w swoich książkach.

Hooper wpakował trzy kule we wrak samolotu.

* * *

Sahara była niegdyś dnem morza. Ciągle jeszcze setki kilometrów od wybrzeża można wykopać szkielety ryb. I dlatego tak ogromne połacie Libii i Egiptu stanowią całkowitą równinę. Lotnisko Defa leżało trzysta pięćdziesiąt kilometrów od Morza Śródziemnego, ale na wysokości zaledwie dziewięćdziesięciu metrów nad poziomem morza. Heinkel 111 przeleciał jeszcze setki kilometrów na południe zanim zaczął się wznosić w górę. Panorama była jednostajna i nużąca, a Schramm poczuł się

śpiący.

Przez jakiś czas leżał twarzą w dół na miejscu bombardiera. Zdrzemnął się i obudził, kiedy słońce zaczęło dopiekać. Przecisnął się koto pilota i korytarzykiem w kadłubie przedostał się na miejsce tylnego strzelca.

Siedział i usiłował się zastanowić nad swoją sytuacją. Był zbędnym pasażerem podstarzałego, dwusilnikowego bombowca zaprojektowanego do bombardowania celów odległych o kilkaset kilometrów, który usiłował osiągnąć cel leżący o dwa tysiące kilometrów od bazy. Lecieli nad potwornie jednostajną, monotonna pustynią. Dotarło do niego, że wsłuchuje się w dźwięk silników i wydaje mu się, że mają czkawkę, przerywają. Oczywiście absurd. Cała wyprawa była bezsensowna. Usiłował ponownie czytać przeczytaną już gazetę i zasnął. Obudził go di Marco.

- Mijamy granicę między Libią a Czadem.

Schramm wyjrzał oknem. Szaro-brudna pustynia ciągnęła się od horyzontu po horyzont.

- Co za różnica?

- Proszę popatrzeć w przeciwnym kierunku.

Schramm odwrócił głowę. Zobaczył łańcuch gór, które wydawały się być podejrzanie blisko. Szczyty wznosiły się znacznie ponad pułap, na jakim lecieli. Odnosiło się wrażenie, że lada chwila samolot wryje się w zbocza. Dopiero po chwili zrozumiał, że góry były o wiele kilometrów w bok, od nich.

Di Marco zaproponował Schrammowi, by ten usiadł obok pilota. Rozpościerał się stamtąd o wiele lepszy widok. Schramm spojrział na mapę i wyczytał z niej, że lecą obok łańcucha Gór Tibesti. Wyrastały z równinnej pustyni.

- Zdrętwiały mi plecy. Niech pan weźmie na chwilę stery. To bardzo łatwe do prowadzenia. Proszę po prostu siedzieć i trzymać kurs jeden-dziewięć-pięć i nie dotykać żadnego z tych guzików - poprosił pilot.

* * *

Rannym w brzuch był Walters. Pochowali go w wąwozie. Grunt był twardy, a więc wygrzebali niewielką jamkę i nakryli ciało kupą kamieni.

- Spoczywaj w spokoju - powiedział Lampard i to była cała ceremonia. Nikt nie był w nastroju na pogrzeb. Z daleka dobiegał ich szum silników niemieckich pojazdów. Od czasu do czasu wybuchał pocisk z moździerza. Padał jednak daleko i nie był groźny. Obliczali, że od obozu dzieli ich około stu kilometrów. Lampardowi nie podobał się ten wąwóz. Był wąski, a czasami bardzo płytki tak, że nie dawał schronienia. Na dodatek jeep Davisa złapał gumę. Wszystkie koła zapasowe były już przedziurawione. Nie było innego wyjścia, trzeba było naprawiać.

- Czas na małą przekąskę - zasugerował Davis, a Lampard wyraził zgodę. Jedli suchary, popijali wodą. Mechanicy sprawdzali maszyny i usuwali drobne uszkodzenia spowodowane jazdą po kamieniach lub atakami CR 42. Jeep Davisa gubił oliwę. Naprawa była możliwa, ale wymagała czasu.

- Jeśli tego jeszcze nie powiedziałem - oświadczył Lampard. - To, czego dokonaliśmy nad ranem było majstersztykiem.

Nikt nie skomentował pochwały. Jedni jedli, inni byli zajęci. Lampard zaczął czyścić swoją broń. Wreszcie Davis

ogłosił, że są gotowi do drogi.

- To doskonale, bo muchy już mnie niemal zżarły - odetchnął z ulgą Lampard.

Samochody ruszyły. Ujechali kilkadziesiąt metrów i na niebie pokazał się samolot. Ponownie schowali się pod drzewa. Tym razem był to Storch, powolny jak motocykl. Stali nieruchomo w cieniu, a on krążył.

- Wynoś się już stąd - warknął Lampard, ale Storch nie usłuchał - On tam coś musiał znaleźć.

Davis poszedł na ochotnika sprawdzić. W tym czasie Storch odleciał Davis wrócił po trzydziestu minutach.

- Tam jest niemiecki wóz radiowy - meldował. - Z wielkim masztem.

Lampard wybrał się na rekonesans.

- Możemy go zniszczyć w dziesięć sekund, ale wtedy Niemcy zjawią się tu i zniszczą nas w dziesięć minut.

Czekali przez dwie godziny, zanim Niemcy schowali antenę i odjechali.

- Mój Boże, ta wojna bywa chwilami potwornie nudna - warczał rozwścieczony Lampard.

* * *

Silnik w maszynie Bartona zakaszłał i zgasł. Brudne paliwo. Przemyto gaźnik i połączenia z bakiem, ale i to nie pomogło.

Barton znudzony strzelaniem do Hurricana poszedł na pustynię w poszukiwaniu skorpionów. Żadnego nie znalazł i zrezygnował. Zauważył motyla, jedyny rodzaj motyli jakie widzieli na pustyni» o delikatnych, czerwonych skrzydłach. Być może przelatywały przez całą Saharę. Barton usiłował strzelać, ale nie trafił i dał spokój. Motyl

spokojnie odleciał na południe. Miał do pokonania tysiące kilometrów.

- Co się z nim dzieje? - zapytał Prescott. - Też dostał świra? - Siedział ze Skull'em rozparty w cieniu namiotu kantyny.

- Nic mu nie jest i nic ci nie zrobi, jak długo się do niego nie zbliżysz. Przepraszam - Skull wstał i podszedł do Bartona, który właśnie zaczął czyścić karabin.

- Czy wystąpiłeś o odznaczenia?

- Odpieprz się. Nie twoja sprawa.

Skull otworzył parasol i niespieszony mówił:

- Najdzielniejsi piloci, jakich widziałem powinni dostać odznaczenia. Być może nawet Krzyż Wiktorii. A tymczasem gówno, bo ich dowódca zginął, zanim wystąpił o odznaczenia.

- Nie mam zamiaru ginać.

- Pitowi należy się coś.

Barton przymknął jedno oko i zaglądał w lufę.

- Zrób listę - burknął.

- Nie gadaj głupstw Fanny. Mnie tam nie było. Ty byłeś.

- To prawda, byłem. - Naoliwił zamek. - Nie pamiętam jednak bym widział coś specjalnego. Strzelali, ale to normalne.

- Był cholernie odważny.

- Odważny, bo go trafili? Nie gadaj głupstw. Nie miał szczęścia, to wszystko.

- Dywizjon nie miał szczęścia, bo go właściwie już nie ma.

- Trafiłeś w dziesiątkę, Skull. - Podrzucił karabin w powietrze i złapał - Połowa wojny to szczęście, druga połowa, to pech. Nikt nie wie, na jaki trafia dzień,

szczęśliwy czy pechowy.

- Czy w sprawie odznaczeń też liczysz na szczęście lub pecha?

- Wystąpiłem o wszystkich. Zadowolony? - Odszedł, zanim Skull zdążył cokolwiek powiedzieć.

* * *

Schrammowi spodobało się to pilotowanie. Samolot był stabilny i czuły na każdy ruch steru. Schramm nie musiał dotykać manetki gazu. Trzymał jedynie maszynę na właściwym kursie.

Z wysokości dwóch tysięcy metrów, najdogodniejszej dla oszczędnego lotu, pustynia wyglądała jak szara, jednostajna równina. Zbocza Gór Tibesti były rdzawe. Po godzinie lotu kolor szary zmienił się w żółty. Wydawało się, że pustynia zdeptana jest przez olbrzymie stado, które pozostawiło ślady kopyt. Domyślał się, że to tysiące wydm. A on proponował podróż samochodem. Jak dobrze, że di Marco się sprzeciwił.

Dwie godziny po Tibesti, w pięć po Defa oraz w sześć i pół po Berka pilot powrócił na swoje miejsce.

- Dziękuję - powiedział.

- Proszę. To doskonała maszyna.

- To najłatwiejsza część drogi.

Schramm stanął za plecami di Marco, który był zatopiony - swoich mapach, notatkach, przyrządach.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał.

Di Marco pokazał na mapie.

- Wkrótce Jezioro Czad. Wielkości Luksemburga. Przelatujemy nad wschodnim wybrzeżem i wchodzimy nad rzekę Chari, która wpada do jeziora. Lecimy w górę rzeki.

Nad Chari mamy Fort Lamy. Lotnisko po lewej stronie - mówił jakby wyjaśniał komuś, jak trafić do biblioteki miejskiej.

Wydmy przeszły w sawannę porośniętą akacjami. Potem akacje ustąpiły miejsca palmom. Schramm poczuł głód, ale nie był to czas na posiłek. Zaczęli schodzić w dół. Ziemia pod nimi wyglądała teraz jak park, w którym pasło się bydło.

Jezioro Czad ukazało się dokładnie w momencie wyliczonym przez di Marco. Było błękitne, pokryte setkami zielonych wysepek. Widzieli ogromne stada wodnego ptactwa. Po monotonnej pustyni był to fascynujący widok i w kabinie zapanowało milczenie. Rzeka Chari okazała się dwa razy szersza od przeciętnej autostrady.

Wkrótce zobaczyli Fort Lamy. Di Marco odłożył mapy i przeszedł na stanowisko bombardiera. Na miejscu nawigatora usiadł Schramm.

- Dokładnie o czasie. Gratuluję - powiedział.
- To najłatwiejsza część drogi.

* * *

Wracając do jeepów Lampard i Davis omawiali plan działania. Davis proponował, by zaczekać do wieczora i wtedy pokonać ostatnie sto kilometrów. Mogłoby to zająć im całą noc, ale czasu mieliby pod dostatkiem. Poruszałiby się powoli, ostrożnie, bez obaw o to, że zostaną zobaczeni z samolotu.

Lampard był za tym, by wyruszyć od razu. W nocy musieliby jechać bez świateł. Zbyt wiele niemieckich patroli kręciło się w okolicy. Droga byłaby trudna, mogliby

się zgubić. Davis zapewniał, że potrafiłby ich doprowadzić po ciemku do obozu. Lampard uważał, że po ciemku najłatwiej jest wpaść w zasadzkę.

Przez jakiś czas szli w milczeniu.

Potem Lampard zrobił odprawę.

- Dobrą wiadomością jest to, że Niemcy wyłazą ze skóry z powodu naszej akcji w Barce - powiedział. - Złą, że Dżebel pełne jest patroli wroga. Niemniej za dobrą wiadomość należy policzyć fakt, że Dżebel jest ogromne, ma dziesięć tysięcy wąwozów, a Niemcy nie są w stanie przeszukać nawet jednego procenta. Możemy czekać do nocy i potem pełzać po ciemku do obozu, ale możemy też ruszyć zaraz i mieć oczy otwarte. Podjąłem decyzję, że jedziemy.

- Złą wiadomością jest to, że złapałem syfa. Dobrą, że możesz go sobie wziąć jak mnie utłuką - powiedział Connors, gdy szli do wozów.

- Fantastyczne. Cholernie fantastyczne - ucieszył się Blake.

Lampard prowadził. Biorąc pod uwagę sytuację i stan pojazdów jechali zdumiewająco szybko. Chociaż równocześnie ostrożnie. Gdy dojeżdżali do zakrętów stawali, a Lampard wysyłał kogoś, by zbadał sytuację. Davis uważał to za bardzo uzasadnione.

Jechali na południe, ale zygzakami. Czasami natrafiali na ślady pojazdów, co świadczyło, że niedawno był tu przeciwnik. Dwa razy w oddali zobaczyli patrole piechoty. Szybko kryli się za skałami i liczyli, że tamci niczego nie zauważą. W ciągu godziny przejechali połowę drogi. Minęli szczyty Dżebel i zjeżdżali już w dół. Ani śladu samolotów.

Zaczynali poznawać okolicę. Lampard był przekonany, że są zaledwie kilka kilometrów od obozu. Wjechali w znany im wąwóz, gładki, szeroki, zapraszający do szybkiej jazdy. Żadnych śladów nieprzyjaciela. Lampard przyspieszył. Byli w połowie wąwozu i właśnie brali zakręt, gdy z przeciwnej strony wyjechał niemiecki patrol. Omal co nie wpadli na siebie. Lampard nie zdołał otworzyć ust, gdy zaczęła się strzelanina.

Nie było czasu na jakiegokolwiek manewry. Wszystko zależało od tego, kto wystrzeli pierwszy. Dwa vickersy z drugiego jeepa zmiotły pierwszy z niemieckich wozów, który uderzył o skały i stanął w płomieniach. W tym momencie karabin maszynowy z drugiego niemieckiego wozu ostrzelał jeepa. Samochód nie miał żadnej ochrony. Sierżant Davis, strzelec Connors i mechanik Blake zginęli na miejscu. Wszystko to trwało kilka sekund.

Lampard usiłował się cofnąć. Wrzucił zły bieg i wpadł na skały. Niemcy strzelali z karabinu maszynowego, ale trafiali za wysoko. W tym momencie odezwały się vickersy z jeepa wypływając dwieście pocisków w ciągu pięciu sekund. Zmiotło to drugi wóz niemiecki z powierzchni ziemi. Cała walka skończyła się w mgnieniu oka. Oba niemieckie wozy stały w płomieniach, a ich baki z paliwem eksplodowały.

Z trzech ludzi jadących wozem Lamparda, jeden, strzelec Sharp, był umierający. Oberwał w pierś. Drugi, Manzies, miał zmiądzoną szczękę. Oberwał rykoszetem. Bolało go jak diabli. Wypluwał zęby i fragmenty kości, by się nimi nie zadławić. Strzelec Smedley nie dostał, jedynie rana, jaką miał już uprzednio na policzku, zaczęła krwawić. Lampard siedząc za kierownicą, był zakryty przez innych.

Oberwał w lewe ucho i krwawił. Jeep stanął i nie dawał się uruchomić.

Manzies i Smedley wynieśli ciało Sharpa, a Lampard pobiegł zobaczyć, co z drugim jeepem. Trzy trupy leżały w powykęcanych, nieprawdopodobnych pozycjach.

Wziął ich numerki identyfikacyjne. Nie było to przyjemne. Ręce miał po łokcie we krwi. Rozpoczął się już festyn much. W ich historii zapowiadał się wspaniały dzień. Lampard zakrył twarze poległych kawałkami ubrań. Ich jeep również nie dawał się uruchomić.

Manzies i Smedley klęczeli przy Sharpie. Klatkę piersiową miał otwartą. Oczy półprzymknięte. Lampard klęknął i wziął go za rękę. Z otwartych ust leżącego wydobywały się krwawe bańki, coraz mniejsze i mniejsze, aż wreszcie przestały. Umarł. Lampard zabrał jego numerek identyfikacyjny.

- Spoczywaj w spokoju - powiedział. - Musimy iść. Bierzemy wodę i broń.

* * *

Fort Lamy sprawiał wrażenie ładnego miasta. Ulice były długie, szerokie, wysadzone drzewami. Schramm widział plac z fontanną pośrodku. Przed jakąś restauracją wystawiono krzeselka. Jedzenie w Fort Lamy musiało być lepsze niż w Bengahazi. Można było ufać, że Francuzi eksportowali do kolonii najlepsze elementy swojej kultury.

- Jeśli mają choć jednego myśliwca gotowego do walki, nie wróci pan już do Barce - powiedział pilot.

- Spokojnie. Broń na Hurriganach montują dopiero w Egipcie.

- Jeśli pan tak mówi. - W głosie pilota wyczuwało się

zdenerwowanie. Nigdy jeszcze nie podchodził do celu w dzień i na tak niskiej wysokości. Widzieli ludzi patrzących na nich. Jeśli na lotnisku jest chociażby jedno działko przeciwlotnicze, nie mieli najmniejszych szans.

- W lewo - komenderował di Marco, który już widział lotnisko.

Pilot wziął poprawkę.

Schramm zauważył rzędy Hurricanów. Stały jeden obok drugiego, jak na paradzie.

- Jeszcze w lewo, w lewo, mocniej... źle, nie jesteśmy nad celem. Jeszcze jedno podejście.

Przelecieli nad lotniskiem. Nikt nie strzelał, nikt nie startował. Kilku facetów gapiło się na nich. Ktoś uciekał.

Drugie podejście było lepsze. Poczuli szarpnięcie maszyny, kiedy pierwsze bomby poszły w dół. Di Marco wycelował precyzyjnie. Wybuchły w samym środku rzędu Hurricanów. Schramm widział lecące w powietrze fragmenty maszyn, skrzydła, śmigła. Powstały płomienie wybuchów i języki ognia.

- Doskonale. W sam środek - pochwalił

- Jeszcze raz nalatujemy - polecił di Marco.

Na lotnisku stał teraz cały tłum. Schrammowi wydawało się, że niektórzy mają karabiny, które jednak nie mogły im zagrażać. Oblecieli lotnisko dookoła.

- Jeszcze jakieś maszyny stoją w hangarach - powiedział pilot.

- To nas nie interesuje - sprzeciwił się di Marco. - Po północno-wschodniej stronie lotniska są składy paliwa. To musimy zbombardować.

Nadlecieli. Schramm zobaczył wielkie cysterny.

- Dobrze... dobrze... trochę w lewo... dobrze... dobrze.

Bomby poszły. - Słyszeli głos di Marco - ponownie poczuli, jak maszyna podskoczyła do góry.

Bomby sięgnęły celu. Nastąpiła seria wybuchów, każdy kolejny mocniejszy. Słup czarnego dymu wspiął się w niebo. Po kilku minutach był dwukrotnie wyższy, niż pułap, na którym leciał bombowiec. Milczeli i patrzyli na swoje dzieło. Pilot zatoczył jeszcze jedno koło, a di Marco wykonał zdjęcia. Przelecieli nad lotniskiem, a zebrany tam tłum zaczął uciekać. Teraz Heinkel zaczął się piąć w górę.

- Kurs zero dwa zero - informował di Marco.

- Wiem - powiedział pilot.

- Tak, to było udane - skomentował Schramm.

- To było łatwiejsze niż wejść do baru i zamówić kufel piwa - stwierdził pilot.

- Jak z paliwem?

- Nie wystarczy. Wiedzieliśmy o tym przed startem, czyż nie? - zapytał pilot.

* * *

Pierwsze sygnały dotarły do Kairu, zanim obsługa lotniska zagasiła pożar Hurricanów. Ogień w składzie paliwa w ogóle był nie do opanowania. Rozchodził się taki żar, że o podejściu do ognia mowy być nie mogło. Płonęło pół miliona litrów benzyny.

Informacje na ten temat wywołały w dowództwie w Kairze panikę, jaką może wywołać lis w kurniku. Wyżsi rangą oficerowie biegali po korytarzu. Niektórzy nie chcieli uwierzyć. Fort Lamy bombardowany? Jakiemuś operatorowi radiowemu odbiło!

Sygnały radiowe leciały w jedną i w drugą stronę. Informacje zostały potwierdzone, rozszerzone, wyjaśnione.

Jeden jedyny Heinkel zniszczył dwadzieścia trzy Hurricany i zapalił zapasy paliwa obliczone na trzy miesiące.

Na zwołanej nagle odprawie dowódców podjęto decyzję. Natychmiast wysłano depesze do dowódców lotnisk Maiduguri, Geneina i El Fasher z poleceniem zatrzymania wszelkich startów. Samoloty należało rozproszyć na lotnisku. To samo należało zrobić z zapasami paliwa. Znalezione jakiegoś specjalistę od Heinkli 111, który stwierdził, że bombowiec musiał po drodze tankować.

- Będą wracali najbardziej ekonomiczną szybkością, jakieś trzysta kilometrów na godzinę - mówił ekspert.

Zaczęto się zastanawiać. Domyślano się, że samolot powraca do Libii. Gdzie mógł być w tej chwili? Gdzieś na południe od Gór Tibesti. Pierwsza bardziej optymistyczna wiadomość.

Ten skurwysyn ma jeszcze do pokonania tysiąc dwieście kilometrów. Leci trzysta na godzinę. Był czas by go odnaleźć. Niewiele to już pomoże Fort Lamy, ale da nauczkę Luftwaffe.

* * *

Dym z płonących wozów musiał zwracać uwagę. Lampard pociągnął więc Manzies i Smedleya za sobą i poszli szybko. Takie marsze odbywali wielokrotnie w czasie treningów, nigdy dotąd nikt nie maszerował ze zmiażdżoną szczęką. Manzies odczuwał tak silny ból, że odchodził od zmysłów. W pewnym momencie zemdłał. Upadł na twarz i pokaleczył się jeszcze bardziej. Odwrócili go na plecy i posadzili. Lampard trzymał go za głowę, a Smedley otarł mu nieco brudu z twarzy. Wyjął mu też palcami jeden ząb,

który tkwił luźno i Manzies mógł się nim udławić. To spowodowało jednak krwotok. Manzies nie odzyskał przytomności. Lampard podniósł go ostrożnie, zarzucił sobie na plecy i zaczął nieść. Krew przemoczyła mu koszulę.

Wyszli z wąwozu i szli pokonując jakieś dwa kilometry. Droga usłana była głazami, co opóźniało marsz.

Smedley powiedział, że Manzies nadal ogromnie krwawi. Lampard wszedł pod jakieś krzaki i ułożył rannego na ziemi. Manzies oczy miał zamknięte i wyglądał jakby umarł. Smedley jednak wyczuł puls.

Postanowili nieść go razem i tak też zrobili. Smedley niósł przy tym trzy sztuki broni i butelki z wodą. Otaczała ich chmura much przyciąganych zapachem potu i krwi. W pewnym momencie usłyszeli warkot samolotu, ale gdzieś daleko za nimi. Doszedł do ich uszu też szum silnika ciężarówki, ale i ten głos wkrótce zgubił się w oddali. Spotkali Araba ze stadkiem kóz, ten pokazał na północ i powiedział „Tedeshi”, co znaczyło Niemcy. Popatrzył smutno na skrwawioną głowę Manziesa i zamruczał słowa muzułmańskiej modlitwy.

W równo dwadzieścia cztery godziny od opuszczenia obozu Lampard wkroczył do wąwozu, gdzie mieli na nich oczekiwać ci, co pozostali na miejscu. Dotarli jednak do pustego obozowiska.

Położyli rannego na ziemi. Lampard czuł, że nie jest w stanie rozprostować rąk. W chwilę potem zobaczyli jednego z mechaników biegnącego wąwozem. Dowiedzieli się, że Gibbon i Sandiman przenieśli bazę, gdyż ta tutaj zaczęła przyciągać ciekawych Arabów. Nadjechał wozem lekarz i zajął się Manziesem. Dojechali do nowego miejsca

obozowiska. Corky Gibbon czekał na nich z gotową herbatą.

- Tylko was dwóch? - zapytał dolewając do herbaty rumu.

- Tylko dwóch - odpowiedział Lampard. - I Manzies, ale ten nie pije.

Gibbon był zaskoczony, ale wiedział, że lepiej nie zadawać pytań. Na razie pozostawała herbata. Porucznik Sandiman miał dla Lamparda pilne depesze, ale postanowił nie poruszać tego tematu dopóki się nie napiją. Dzień jeszcze nie dobiegł końca.

Rozdział VIII

Niezwykłe pilne

Rozkaz nadszedł od dowództwa Sił Powietrznych Pustyni i spadając w dół nabierał mocy urzędowej, aż wylądował na lotnisku LG 250. Prescott rozszyfrował go w ciągu dwóch minut, a Barton odczytał głośno:

- „Cofam rozkaz wycofania. Możliwa nowa operacja. Szczegóły poda Bletchley” - Barton był podniecony i rozradowany. - Widzisz Skull? Gra nigdy się nie kończy.

- Zapamiętam to sobie - odpowiedział Skull.

W pół godziny potem przyleciał Bletchley.

- Masz Fanny wyjątkowe szczęście - oznajmił. - Znalazłeś się we właściwym miejscu w najbardziej właściwym czasie.

- Szczęście, to ogromnie ważny element - zgodził się Barton. - Jedni go mają, inni nie. Pan pozwoli, że poniosę

te mapy.

Poszli do namiotowej kantyny. Hooper, Prescott i Skull już tam byli.

- Sądziłem, że już wyjechałeś - zdziwił się Bletchley na widok tego ostatniego.

- Pracuję tu jako kucharz i moja kuchnia jest chwalona.

Bletchley jednak nie słuchał. Rozwinął mapę.

- Przed kilkoma godzinami wydarzyło się coś nadzwyczajnego. Bombowiec Heinkel 111 doleciał do Fort Lamy i po prostu przeciął szlak Takoradi. Nie tylko, że skurwysyn porozbijał kupę nowych Hurricanów, ale jeszcze podpalił składy z paliwem. Bardzo odważny i udany wypad i nie można dopuścić do tego, by z niego wyszli cało. Wy jesteście najbliżej. Macie z nim skończyć.

- A gdzie go odnajdziemy, sir? - pytał Barton.

- Wiemy jaką leci trasą. A raczej domyślamy się. Chce dolecieć do Defa. - Bletchley pokazał na mapie. - To takie małe lądowisko Luftwaffe. Tu może zatankować.

- Defa? - Barton przyglądał się mapie - Pięćset kilometrów od nas.

- Mamy podstawy by przypuszczać, że nigdy nie doleci do Defa. Co najmniej z dwóch powodów. Po pierwsze zabraknie mu paliwa. Heinkel ma maksymalny zasięg do trzech tysięcy kilometrów. Z Defa do Fort Lamy i z powrotem ma trzy tysiące pięćset. Jeśli by dodali mu dodatkowe paliwo, byłby tak ciężki, że nie mógłby wystartować.

- Szczególnie z bombami.

- No właśnie.

- A powód drugi, sir?

- A tym powodem jest silny, czołowy wiatr, pod jaki

teraz leci. Wiatr z północy, ponad pięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

- A założmy, że pilot i Luftwaffe wiedzą o tym wszystkim.

- Musimy i to założyć.

- A więc mogli zaplanować, że wyląduje na pustyni, a oni po niego polecą.

- Nie, jeśli wy go pierwsi dopadniecie. Nasza łączność nasłuchuje. Jak go tylko namierzą, podadzą wam i będziecie u niego pierwsi.

Prescott poszedł do swojej aparatury radiowej, a Barton - Hooper rozmawiali z obsługą naziemną. Obie maszyny były już w porządku. Problemy paliwa zostały rozwiązane. Amunicja załadowana, okna kabin pilotów pomyte.

- Jaki jest zasięg tych Hawkerów? - zapytał Bletchley.

- W zasadzie trzy tysiące kilometrów przy szybkości pięćset na godzinę. Jak polecimy wolniej, zalecimy dalej.

- Musicie zalecieć tak daleko, jak się tylko da - polecił Bletchley. - Macie załatwić tego Heinkla. Nie wolno dopuścić do tego, by Luftwaffe zasmakowała w wypadach na szlak Takoradi. To zagrażałoby całej wojnie na pustyni.

Prescott ciągle jeszcze siedział w swoim namiocie. Bletchley przywiózł nieco świeżego chleba, co było luksusem na pustyni. Jedli chleb z dżemem i czekali, by cienie się nieco wydłużyły.

- Tak sobie myślę, sir - odezwał się Hooper - że informacje z Heinkla odnoszą się do map Luftwaffe. A być może oni mają nieco odmienne współrzędne niż my.

- Przywiozłem mapy Luftwaffe - wyjaśnił Bletchley.

- To dobrze.

Skull przyszedł z dzbankiem herbaty. Barton czuł

pragnienie, ale bał się pić przed oczekującym go długim lotem. Hooper pił, co zaniepokoiło Bartona. I w tym momencie przypomniał sobie, że Hawkery zaopatrzone były w urządzenia, dzięki którym piloci mogli się załatwiać w locie. Jankesi myśleli o ludzkich wygodach. Nalał sobie herbaty do kubka i wypił.

- Wygląda na to, że nasz wywiad radiowy złamał kody Luftwaffe, sir - powiedział Skull.

- Nie zastanawiam się nad tym - odpowiedział Bletchley.

- Naprawdę? Ogromnie wiele pan traci - Skull wziął pusty dzbanek po herbacie i wyszedł.

- Przekłęty skurwysyn - mruknął Barton.

- Tak, ale parzy doskonałą herbatę. Co robi, że nie ma w niej piasku?

- Pewnie zakrywa naczynia swoimi skarpetkami.

Bletchley pił herbatę.

- Doskonała. Oho, mamy coś nowego.

Pokazał się Prescott z kartką papieru w ręce. Miał tam wypisane współrzędne. Barton zaczął szukać na mapie i po chwili jego palec wylądował w jakimś punkcie na południe od Defa.

- Startujemy! - krzyknął. Hooper gnał już do swojej maszyny. Usłyszeli strzały uruchamianego silnika.

- Przykro mi, ale nic z tego - zatrzymał ich Bletchley.

- Barton stanął i patrzył zdumiony.

- Nie startujecie, Banny - powtórzył Bletchley. - Jest o co najmniej piętnaście minut za późno. Zanim byście dolecieli, słońce by już zaszło, a w ciemności nigdy ich nie znajdziecie. Zastanów się nad tym.

- Ale można spróbować.

- Nie ma sensu. Spróbujecie rano.

Wyłączono silniki. Obsługa naziemna nakryła Hawkery.

Skull otwierał puszkę z gulaszem.* * *

Lampard siedział na skrzynce, a lekarz zszywał mu ucho. Zobaczył zbliżającego się Sandimana i zapytał:

- Coś nadeszło? Jakieś depesze?

- Tak.

- To powiedz, co w nich.

- Nadeszło już przed kilkoma godzinami. Sygnowane jako „Ważne”. - Sandiman zawahał się - Nic jednak nie możemy zrobić, zanim...

- Powiedz, co tam piszą.

- To rozkaz. Podają współrzędne na pustyni i każą natychmiast jechać w to miejsce. Znajdziemy tam bombowiec Heinkel. Mamy wziąć w niewolę załogę, a jeśli się nie uda, zabić.

Lampard poruszył się i uszkodził sobie zszywane ucho. Przeprosił doktora i kazał zawołać Gibbona.

- Jak długo zajmie nam podróż? - zapytał.

- To cholernie daleko, Jack. Połowa drogi do Kufry, a potem skręcamy na zachód. Jeśli ruszymy zaraz i nic nas nie zatrzyma, dojedziemy jutro rano. Zakładając, że nie napotkamy na Stukasy.

Lekarz zakładał ostatnie szwy i zabandażował. Lampard popatrzył na słońce, które wisało już po zachodniej stronie nieba. Za godzinę zniknie za horyzontem.

- Jeśli ruszymy od razu miniemy Dżalo Gap około północy?

Gibbon wzruszył ramionami, ale nie zaprzeczył

- A potem mamy gładką pustynię i możemy jechać

szybko. Naprawdę szybko. Być może odnajdziemy tego Heinkla przed świtem.

- Być może. Można próbować. Po co jednak ten cały pośpiech?

- Corky, jeśli dla nas ta załoga jest taka ważna, to łatwo się domyśleć, że dla Luftwaffe również.

- Chyba tak - Gibbon, jak zwykle podrapał się po brodzie - Ale ty masz za sobą dwie ciężkie noce i jeszcze cięższy dzień. Jesteś przekonany, że podołasz?

Lampard wstał. Głowa mu się lekko trzęsła, a jedna ręka wyraźnie drżała.

- Nie przypuszczałem, że tak to pójdzie, Corky - powiedział. - Sądziłem raczej, że to ja zginę pierwszy.

Gibbon wzruszył ramionami.

Obie ciężarówki załadowano. Lampard wlaźł na tył wozu, w którym leżał Manzies. Smedley wsiadł do drugiego wozu. Sandiman usiadł obok niego.

- Jak do tego wszystkiego doszło? - zapytał cicho.

- Wołałbym o tym nie mówić, sir.

Ruszyli.

* * *

Pilot ze zdumieniem zobaczył, że z kanapek odkrojona została skórka od chleba. W środku była szynka, ser, jajka w majonezie. Do tego jabłka i mrożona herbata. W kabinie panowała atmosfera radości z doskonale wykonanego zadania.

- Kiedy się pan nauczył pracy bombardiera? - zapytał Schramm.

- Wczoraj - odpowiedział di Marco. - Chciałem stanąć na poziomie powierzanego mi przez generała Schaefera

zadania.

- Zrobił pan to bardzo profesjonalnie.

- Kiedy się leci tak nisko, nie ma wiatru i flaku, to żadna sztuka.

- A na temat pilotażu nic nie macie do powiedzenia? - upewniał się pilot.

- To też było bardzo profesjonalne - zgodził się Schramm.

- W każdym razie nie wpadliśmy na góry. Na kursie pilotażu zaczynają od tego i pouczają, by uważać na góry.

- Lepiej niech pan nadal uważa. Właśnie się zbliżają - zauważył Schramm.

Tak naprawdę do łańcucha Tibesti mieli jeszcze dwie godziny lotu. Pilot powiedział, że musi teraz wypocząć i Schramm usiadł za sterami. Dalekie góry wyglądały imponująco - prześlizgiwały się pod lewym skrzydłem samolotu.

- Dobrze się łązi po tych górach - powiedział di Marco. - Spotyka się gazele.

W ciągu następnej godziny podał Schrammowi kilka poprawek kursu.

- Wiatr od czoła. Spycha nas na wschód.

- Więcej spalamy.

- Tak, ale maszyna jest lżejsza.

Wskaźnik paliwa był jednak nieubłagany i na długo przed powrotem pilota Schramm wiedział, że nie mają szans, by dolecieć do Defa. W jakiś czas potem podsłuchał rozmowę pilota z di Marco.

- Jak daleko jeszcze? - pytał pilot.

- Co najmniej dwadzieścia minut lotu.

- Teraz wyjdę nieco wyżej, by nadać sygnały, potem

lądujemy.

I tak się też stało. Heinkel podniósł się nieco, krążył, potem lecąc spiralą zszedł w dół i wylądował. Kołowali przez chwilę, podskakując, potem stanęli.

- To było łatwe - skomentował pilot.

Wysiedli i chodzili wokół maszyny. Ruch sprawiał im przyjemności. W oddali widzieli wysokie wydmy, ale poza tym Sahara była całkiem płaska. Po całodziennym szumie silników otaczająca ich cisza wydawała się zdumiewająca. Była wręcz bolesna. Podświadomie mówili przyciszonym głosem.

- No i co dalej? - spytał Schramm di Marco.

- Powinni się tu zjawić i nas zabrać.

- Samolotem?

- Sądzę, że samochodem. Ale już nie dzisiaj. - Pokazał na zachodzące słońce.

- Zobaczymy, czy nas ci dowcipnisie znajdą. - Zastanawiał się pilot. - Zazwyczaj nie potrafią znaleźć drogi na lotnisko.

* * *

Barton wstał na dwie godziny przed wschodem słońca, co okazało się całkiem zbyteczne, gdyż silnik w jego maszynie nie chciał zaskoczyć. Przez czterdzieści minut siedział nad kubkiem herbaty w namiocie i słuchał jak silnik kaszlał i milkł.

Pojawił się Skull.

- Piasek. Piasek w cylindrze.

- A skąd ty się na tym znasz?

- Po prostu się domyślałam.

- To się nie domyślaj i zamknij.

Skull nalał sobie herbaty i dodał do niej skondensowanego mleka. Barton przyglądał się temu ponuro. Przyszedł Prescott.

- Dzień dobry - powiedział, a Barton skinął głową. Silnik w jego maszynie nadal nie poddawał się próbom uruchomienia.

- Krasnoludki - stwierdził Prescott.

- To nie wygląda mi na krasnoludki - warknął Barton.

- Przepraszam. Tak mi się powiedziało.

- Wypchaj się z tym gównem.

- Tak jest, sir. - Prescott nalał sobie herbaty i zaszył się w kącie namiotowej kantyny. Wszyscy, milczeli do czasu, kiedy pokazał się Bletchley z kartonem w rękach.

- Całkiem zapomniałem. Prawdziwe jajka i bekon. - Oddał karton Skullowi, a sam usiadł naprzeciwko Bartona - Co z twoją maszyną, Fanny? Krasnoludki?

Barton potrząsnął głową.

- Pan Bóg jeden wie.

- Mam informacje, sir, że to nie krasnoludki - wtrącił się Skull.

- Idź, zrób jajecznicę - przerwał mu Barton.

Wreszcie silnik zaskoczył i grał bez przerwy, a do namiotu wszedł Hooper, który asystował mechanikom.

- Co to było? - zapytał Prescott.

- Elektryka. Jakieś zwarcie.

- A gówno - warknął Barton. - Nie mają pojęcia, co to było. Teraz dorabiają filozofię.

Skull wniósł sadzone jajka na boczku. W Bartona wstąpił wigor.

- Karzełki. To były karzełki, krasnoludki, nie sądzisz ty pieprzony inteligencie z Cambridge? Co Skull? - Zaczął

sobie nakładać jajka.

- Krasnoludki nie studiują w Cambridge - wyjaśnił spokojnie Skull - choć wydaje mi się, że uczą o tym w Oxfordzie.

Barton i Hooper jedli z apetytem. Potem poszli do maszyn, a Bletchley im towarzyszył.

- Ten pilot Heinkla może być najbardziej niebezpiecznym człowiekiem w Luftwaffe - mówił. - Jeśli wróci do Benghazi, pokaże im jak to robić i zaczną bombardować szlak Takoradi siedem razy w tygodniu.

- Tam będą i inni. Jak mam odróżnić pilota? - zaniepokoił się Hooper.

- Nie możemy ryzykować. Trzeba zabić wszystkich.

- Tak jest, sir. - Hooper poczuł się lepiej. Lubił prostotę.

W walkach powietrznych nie ma czasu na wybieranie i odróżnianie.

Mechanicy stali na skrzydłach maszyn i do ostatniej minuty pompowali paliwo. Rakieta rozświetliła lotnisko. Barton i Hooker wystartowali natychmiast. Płomienie wylatujące z rur wydechowych zniknęły niemal natychmiast. Jeszcze przez chwilę słyszeli oddalający się szum silników.

- Czy to prawda, co mówiłeś o Oxfordzie? - zainteresował się Bletchley.

- Być może nieprawda - krótko odpowiedział Skull.

* * *

Hałas i wstrząsy nie budziły Lamparda. Cisza i spokój, tak. Otworzył oczy i ze zdumieniem patrzył na człowieka z obandażowaną twarzą leżącego obok. Przez chwilę nie zdawał sobie sprawy z tego, gdzie się znajduje. Usiadł i

ujrzał kolory wschodniej strony nieba, która iskrzyła się czerwienią, zielenią, żółcią. Świtało.

Wyskoczył z wozu i podbiegł do szoferki. Oba wozy stały. Daleko przed nimi na pustyni widniał samotny Heinkel 111. Był o trzy kilometry od nich.

- Co się dzieje? - spytał

- Nic - Gibbon przez lornetkę przypatrywał się bombowcowi. - Po prostu Heinkel ma kilkanaście karabinów maszynowych wymierzonych we wszystkie kierunki. Podjedziemy i mogą nas zmieść w ciągu sekundy.

Lampard wziął lornetkę.

- Nie widzę tych karabinów - powiedział - Podjedźmy bliżej.

Podjechali jeszcze pół kilometra i jeszcze ze sto metrów.

Nikt nie siedział za karabinami maszynowymi. Było chłodno, przyjemnie.

- Poczekajcie - polecił Lampard. Wziął pistolet maszynowy i ruszył na piechotę. Czuł się doskonale i siły mu wróciły.

Drzwi do kadłuba były otwarte. Zajrzał do środka. Na podłodze spało trzech ludzi. Lampard poczuł się głupio. Zazwyczaj, kiedy stawał wobec wroga, nawet śpiącego, zabijał. Teraz powinien był wziąć jeńców. By tego dokonać, trzeba ich było obudzić. Jak to zrobić? Krzyknąć „*Hande hoch!*”? Zakrawa na kino. Powiedzieć „Jesteście moimi jeńcami”? Nazbyt formalnie. Czy znają angielski? Kiedy tak rozważał, jeden ze śpiących podniósł głowę. To był Paul Schramm. Zaskoczenie.

- Jack Lampard? - zapytał tamten, co obudziło dwóch pozostałych. - Nie sądzę, abyś był sam.

- Oczywiście, że nie jestem sam. - Lampard usiłował

dostosować się do sytuacji.

- Z wami nigdy nic nie wiadomo. - Schramm podniósł się. - Prowadzicie taki nieregularny tryb życia. Dostaniemy śniadanie?

- Jak na jeńca wojennego, to ma pan doskonałe samopoczucie. - Obaj zaśmiali się.

- Pan mnie już zna. Staram się wyciągnąć z wojny to, co najlepsze.

- I słusznie. Zresztą cóż innego panu pozostaje.

Schramm ubrał buty i coś powiedział do tamtych. Potem przeszedł na angielski:

- On jest ogromnie nerwowy. Może zastrzelić was, by się uspokoić.

Podjechały ciężarówki. Jeńców obszukano, po czym sprawdzono bombowiec. Nie znaleziono broni.

- Śniadanie - zdecydował Lampard.

- Tu dobrze karmią - powiedział Schramm do di Marco po angielsku. - Tylko herbata ohydna. Radzę nie pić.

- Wygląda na to, że z tym wysokim oficerem jest pan w doskonałych stosunkach towarzyskich - zauważył di Marco.

- Mamy wiele wspólnego. On zniszczył nasze najlepsze samoloty. Ja zabiłem jego najlepszego człowieka. - Schramm poczuł falę wstydu. Zabijaniem nie należało się chełpić. - Potem panu opowiem - mruknął. - Obawiam się, że będziemy mieli wiele czasu na rozmowy.

Szybko przygotowano śniadanie. Bekon, parówki, kartofle, jarzyny. Jedli na stojąco. Zagryzano sucharami. W kilka minut zjedzono śniadanie.

Lampard wyjął worek z ładunkami.

- Zapalniki pięciominutowe - polecił.

Ładunki porozmieszczano równomiernie po całej maszynie. W kabinie, na skrzydłach, na ogonie.

- Oby zawsze szło tak łatwo - mruknął Lampard.

- Oby - powtórzył za nim bez wyrazu Smedley.

- Wiem, co masz na myśli. Dlaczego myśmy wyszli, a tamci nie?

Smedley to właśnie miał na myśli, ale nic nie powiedział

- Nie ma w tym twojej winy i ty nie musisz czuć się za cokolwiek odpowiedzialny.

Smedley nie miał poczucia winy.

- Tak to już jest na wojnie - mówił Lampard. - Jeśli chcesz im dołożyć, musisz podejść blisko i zawsze ryzykujesz. Rozumiesz?

- I rzeczywiście oni nam dołożyli. Jezu, i to jak? - wyrwało się Smedleyowi.

Wozy odjechały na bezpieczną odległość i wszyscy patrzyli, z wyjątkiem pilota. Pierwsze wybuchały ładunki na skrzydłach. Te odpadły. Załamało się również podwozie i maszyna usiadła na brzuchu. Wyleciał w powietrze przód, w chwilę potem ogon. Kiedy pilot zdecydował się popatrzeć nie widać już było niczego, z wyjątkiem tumanów kurzu.

- A teraz Kufra - powiedział Lampard do Gibbona. - Tylko szybciotko, proszę.

Gibbon prowadził. Lampard siedział za kierownicą drugiego wozu. Poprosił Schramma, by usiadł koło niego.

- Co pan robił od naszego ostatniego spotkania? - zapytał.

- Och... pracowałem. Przerzucałem papierki... Tak to mówicie? - Lampard potwierdził, że tak - Normalka. Głównie śledziłem wasze ruchy.

Lampard poczuł przyływ zadowolenia.

- No cóż, to niełatwe zadanie. Trudno przewidzieć, co zrobimy.

- To fakt - przyznał Schramm. - I już mi to zbrzydło, a więc zorganizowałem wyprawę na Fort Lamy.

- Fort Lamy? - Lampardowi wydawało się, że się przesłyszał. - To w Czadzie. Czyż nie?

- To, co jeszcze pozostało z Fort Lamy, jest faktycznie w Czadzie. - Starał się by zabrzmiało to ironicznie, ale Schramm był dumny z tego co mówił i sprawiało mu to ogromną satysfakcję.

- Bombardowaliście Fort Lamy?

- Tak. Rozbiliśmy dwadzieścia kilka nowiutkich Hurricanów.

Lampard przez chwilę trawił w milczeniu, wreszcie wybąkał:

- Polecieliście do Czadu i z powrotem. To ogromnie daleko - Schramm się uśmiechnął, więc dodał. - Nie wierzę. Ile to.

- O jakieś trzysta kilometrów za daleko. Niestety. - Schramm pokiwał głową.

Przez kilka minut jechali w milczeniu.

- A przy okazji... pani d'Armitage przeniosła się do Aleksandrii - powiedział cicho Schramm.

- Co? To cios niżej pasa - oburzył i zdumiał się Lampard.

- Chyba tak. Sądziłem jednak, że to pana zainteresuje. Nie będzie pan rozczarowany po powrocie do Kairu.

- Dlaczego do Aleksandrii? - zapytał wreszcie Lampard.

- Dokuczała jej żandarmeria.

- Aha.

- Ale już po wszystkim. Australijczyka już pochowano.
- Dziękuję.
- Z ostatnich informacji wynika, że pani Challis jest wolna i...

- Zatkaj się. Ja się nie interesuję pańskim życiem prywatnym, niech pan się nie wtrąca w moje.

Schramm zastanawiał się chwilę nad czymś.

- Dziwne, ale to dzięki panu w moim życiu wydarzyło się coś ważnego. Poraniłem sobie nogi uciekając od was i musiałem iść do lekarza. Ona była lekarzem.

- Nic nie chcę słyszeć o tym - mruknął Lampard.

- Wojna nas połączyła, a teraz rozdzieliła - mówił jednak Schramm.

- Nic mnie to nie obchodzi - powtórzył Lampard. - Nic mnie nie obchodzi Joan d'Armitage czy Elizabeth Challis, czy pańska pani doktor. Interesuje mnie jedynie mój patrol.

- Jaki patrol? Gdzie on jest? - zapytał Schramm.

- Zamknij się, bo cię zastrzelę - Lampard nadepnął tak mocno na gaz, że Schrammowi głowa poleciała do tyłu.

* * *

Barton miał całą noc by zastanowić się nad tym, jak wykonać robotę. Jeśli Heinkel był tam, gdzie podawano, znaczyło to, że znajdował się na granicy zasięgu Hawkera. Oczywiście Barton nie wierzył, by dane były dokładne. Różnica mogła wynosić dwadzieścia, trzydzieści, nawet pięćdziesiąt kilometrów. Stacje namiarowe Luftwaffe pracowały tak samo nędznie jak stacje RAF-u.

Barton postanowił wylecieć jak najszybciej i lecieć wolniej, by oszczędzić paliwo. Taki miał plan i dlatego wstali dwie godziny przed wschodem słońca. A potem

wdały się te krasnoludki.

Kiedy wreszcie wystartowali wdrapali się na wysokość trzech tysięcy metrów i lecieli trzysta na godzinę. Przy tej szybkości dolatywali na miejsce i z pomocą bożą powinni byli wrócić. Bletchley obiecał wszystkim świętym, że zniszczą tego przekłętą Heinkla i jego załogę, by ratować szlak Takoradi i wygrać wojnę. A więc trzeba była za wszelką cenę wykonać zadanie.

Hawker wydawał się wisieć nieruchomo pod wygwieżdżonym niebem, a Barton zaczął myśleć o swoim dywizjonie. Wujek powiedział kiedyś, że dywizjon nigdy nie umiera. Mój Boże, święte słowa. Zaczął sobie przypominać Greka George'a, jak nie pozwalał zarzącać koguta. Rzeźnika Bailey'a, Micke'a O'Hara. Któregoś wieczoru Pit Patterson powiedział: „Muszę zamordować żonę”. Czy mówił poważnie? Pit zawsze był poważny.

Było już całkiem jasno, gdy dolecieli do zaznaczonego na mapie miejsca. Namiary były precyzyjne. Wrak Heinkla leżał zaledwie o dziewięć kilometrów od zaznaczonego punktu.

Zeszli w dół i okrążyli. Hooper dostrzegł ślady opon.

- Prowadzą na wschód - powiedział - A więc Niemcy nas uprzedzili.

Polecieli za bardzo wyraźnymi śladami. Wkrótce też zobaczyli wozy na horyzoncie. Wyglądały jak małe kropki. Zaraz potem zobaczyli pióropusz kurzu, a potem inne szczegóły. Brezentowe pokrycia, zielone paki, koła. I tamci musieli ich dostrzec, bo wozy nagle się rozjechały. Manewr ten był jednak spóźniony. Barton zajął się jednym, Hooper drugim wozem.

Przeprowadzono klasyczny atak z powietrza i już po

pierwszym przelocie oba wozy stały w płomieniach. Hawkery zawróciły i zajęły się tymi, którzy usiłowali uciec na piechotę. Niektórzy byli zapewne członkami załogi bombowca. Hooper nie starał się ich rozróżniać. W każdym skrzydle miał trzy karabiny maszynowe, a ich ogień był dla tamtych zabójczy. Barton robił dokładnie to samo. Strzelali z dwunastu karabinów maszynowych i zawracali kilkakrotnie. Wreszcie jeden z wozów wybuchnął. Hooper nie był zaskoczony. Widział o wiele efektowniej wybuchające ambulanse.

Rozdział IX

Faceci przychodzą i odchodzą

Zaciemnienie Benghazi było dalekie od doskonałości. Malplacket już z daleka zobaczył światła. Zjechał na pobocze, zatrzymał fiata i oświadczył:

- Muszę się wysiusiać.

- Znowu?

- Masz coś przeciwko temu?

- Na Boga, nic. Ulżyj sobie. Nie stanę na drodze do twego szczęścia.

W chwilę potem wsiadł do wozu.

- Musimy mieć jakiś plan. Na pewno będzie jakaś kontrola. Co powiemy? Kogo mamy odgrywać?

- A na kogo wyglądamy?

- Na dwóch niemieckich oficerów w średnim wieku i w brudnych mundurach.

- I nimi jesteśmy. Ich właśnie odgrywamy. Taki mamy

plan. Masz lepszy? - Lester pochylił się i przekręcił kluczyk w stacyjce.

Po raz pierwszy od lat czuł się całkowicie wolny. Życie stawało się wielką przygodą, o jakiej marzył

Malplacket ruszył. Prowadził nie dlatego, że był doskonałym kierowcą, ale ponieważ był przekonany, że Lester byłby jeszcze gorszym. Przednie reflektory przykryte były metalowymi przysłonami, które rzucały małe snopki światła na beton. Obawiał się, że na coś wpadnie, na jakiś zaparkowany bez świateł samochód, na maszerującą kolumnę żołnierzy. Prowadził ostrożnie, niemal bojaźliwie i w efekcie nieomal na coś wjechali. Gwałtownie ominęli jakiś ogromny wóz. Malplacket przyspieszył i uniknęli zderzenia. Lester obejrzał się.

- To jakaś ogromna ciężarówka. Wielka jak dom.

Malplacket milczał, ale ręce mu się nieco trzęsły i raz nawet zjechał na pobocze.- Hej, hej, uważaj - ostrzegał Lester drżącym od podskoków samochodu głosem.

- Nie widzę go. Czy jest jeszcze za nami? - Malplacket wpatrywał się w lusterko wsteczne.

- Zwolnij, niech nas wyprzedzi, na Boga. Lester jeszcze uważniej wpatrywał się teraz w drogę przed nimi i nagle zobaczył małe czerwone światełko szybko się powiększające.

- Światła tylne! - wrzasnęła i gwałtownie zaciągnął hamulec ręczny. Malplacketa rzuciło do przodu i uderzył twarzą w kierownicę. Fiat z piskiem zahamował pozostawiając ślady gumy na betonie.

- Ohhh! Ohhh! - jęczał Malplacket czując piekący ból nosa.

Lester zapalił znaną latarkę i oświetlił twarz

towarzysza.

Z rozciętej wargi i z nosa ciekła mu krew.

- Twój nos stał się nieoczekiwanie o kilka numerów większy - stwierdził Lester.

- Przestałem się interesować Benghazi. - Malplacket przechylił głowę daleko do tyłu i oddychał ustami. - To miasto nie jest warte tych cierpień. Zdecydowanie niewarte.

- Po prostu rąbnąłeś się w nos i to wszystko. - uspokajał go Lester.

- To wszystko? Zaraz przyłożę w twój i zobaczysz co znaczy „to wszystko”.

- Przestań się na mnie wydzierać. To ty prowadziłeś jak wariat, a ja nas uratowałem.

- Brednie. Typowe amerykańskie brednie - pieklił się Malplacket.

- Genialne. Wykorzystam to. W drodze do Zakazanego Miasta Malplacket z typową brytyjską flegmą stwarza śmiertelne zagrożenie i określa je mianem bzdury. Czytelnikowi się to spodoba.

- Daj spokój z tą brytyjską flegmą. Ja krwawię.

- O Boże, on krwawi z nosa. Przyłóż chusteczkę i przestaniesz krwawić.

Minęło jednak nieco czasu zanim krwawienie ustało i Malplacket mógł usiąść prosto.

- Nie mogę prowadzić - oświadczył. - Głowę mam jak dynię.

- To wojna i musimy być gotowi do poświęceń dla ukochanej Ojczyzny. Prowadzenie wozu jest twoim obowiązkiem. Jestem kapitanem, a ty jedynie wszawym porucznikiem.

Malplacket przyjrzał się swojej twarzy w lusterku i z powątpiewaniem pokręcił głową.

- Czy mamy tu stać przez całą noc?

Malplacket znowu ujął kierownicę. Wóz szedł doskonale. Była pełnia księżyca i widoczność znakomita. Jechali więc bez zakłóceń. Mijali domki włoskich kolonistów. Ruch na drodze stał się większy i wolniejszy. Przed sobą zobaczyli wybudowaną nad drogą bramę triumfalną w wyraźnie faszystowskim stylu. Przed bramą znajdował się punkt kontroli.

- A więc mamy początek końca - oświadczył Malplacket. - Tu nas wysadzą i rozstrzelają. - Czuł ponownie pieczenie nosa, Kichnął i natychmiast zaczął krwawić.

- Zamknij się - warknął Lester - Pamiętaj, że jesteś jedynie wszawym porucznikiem.

Wozy przed nimi ruszyły. Podszedł do nich jakiś włoski kapral i o coś zapytał. Lester go zignorował, a Malplacket wpatrywał się w drogę przed nimi. Kapral powtórzył pytanie, a Lester nagle wybuchnął:

- A ty myślisz, że kim ty jesteś, dupku? - Ton zaskoczył kaprala.

Powiedział coś, co zabrzmiało jak przeprosiny.

Lester złapał Malplacketa za głowę i skierował jego twarz w kierunku Włocha:

- Widzisz, dupku, że on krwawi. Podnoś to świństwo. - Pokazał palcem na barierę dając ruchem ręki do zrozumienia o co mu chodzi.

I bariera rzeczywiście poszła w górę. Wjechali do miasta.

* * *

Jechali przez jakieś pół godziny i poczuli się całkowicie zagubieni. Miasto było zaciemnione. Raz po raz napotykali na rozwalone bombami domy, co utrudniało ruch. Mieli wrażenie, że jeżdżą stale w kółko. Po raz drugi mijali katedrę.

- Stań, w ten sposób nigdzie nie dojedziemy - powiedział Lester.

- A dokąd chcesz dojechać?

- Mówiłem ci, tam gdzie się coś dzieje. Poszukaj portu. Może tam znajdziemy coś godnego uwagi.

Malplacket usiłował, ale nie potrafił się wyplątać z gmatwaniny uliczek i w dziesięć minut później ponownie znaleźli się przed katedrą.

- A gówno - denerwował się Lester. - Usiłujmy znaleźć jakiś bar.

- Oczywiście. Jak wyglądają bary w Benghazi?

- Ty prowadź, a ja będę patrzył.

- Lester wypatrzył miejsce, które mogło być barem. Przed lokalem jacyś faceci w mundurach bili się zapamiętale. Pojawiła się żandarmeria i Malplacket przezornie odjechał. Skręcili w jakieś boczne uliczki i po chwili znaleźli się na przedmieściach, a potem w ogóle wśród gospodarstw rolnych i domków farmerskich.

- No więc Benghazi się skończyło - powiedział Malplacket i stanął.

- Dlaczego stajesz? Co tu specjalnego?

- Przed nami na drodze punkt kontroli. - O kilometr dalej widać było czerwone światelko nad środkiem drogi. - A poza tym jestem już zmęczony i śpiący. - oparł głowę na kierownicy.

- O nie! Tu nie będziemy spali. - Pokazał jakiś dom,

którego zarysy wyłoniły się przed nimi. - Tam jedźmy. Może coś znajdziemy.

Zajechali na podwórzu. Stanęli, a Lester nacisnął na klakson.

- Ja miałbym spać w wozie? Jestem kapitanem. Waffen SS. Mam prawo dokonywania rekwizycji.

Wysiedli i podeszli do drzwi. Lester stukał i wykrzykiwał:

- Afrika Korps. Rommel Panzer Luftwaffen Blitzkrieg Gesundheit! Nie słyszycie, dupki przeklęte. Ściągać dupy z łóżek!

Drzwi otworzyła Włoszka. Była w średnim wieku i sama. Lester zasalutował i stuknął obcasami. Wcale nie wyglądała na przestraszoną czy zaskoczoną. Natychmiast wzięła się do gotowania.

- Widzisz, to ton naszego głosu to sprawia. - Pouczał Lester kolegę. - Ludzie nawykli do przyjmowania rozkazów. Wrzańiesz, a pół świata zrywa się na równe nogi.

Lester rozparł się na krześle, założył nogę na nogę. Wyglądał rzeczywiście na oficera Trzeciej Rzeszy. Potem jedli spaghetti i popijali winem. Gdzieś daleko rozległy się syreny alarmowe. Kobieta, która zmywała naczynia, przeżegnała się.

- Wreszcie coś się dzieje. - Ucieszył się Lester. - Muszę to zobaczyć. - Dojadł szybko spaghetti, złapał czapkę, kluczyki do wozu, i pobiegł.

Reflektory przeciwlotnicze szukały nadlatujących bombowców. Lester starał się wyłowić szum silników, ale musiały lecieć zbyt wysoko. Odezwał się flak. Lester wskoczył do wozu i ruszył w kierunku śródmieścia.

Pierwsze bomby spadły w rejonie portu. Lester miał teraz widok niemal na całe miasto. Stał i zaczął robić notatki.

Reflektory odnalazły jeden bombowiec. Potem wkoło maszyny zaczęły wybuchać pociski artyleryjskie. W pewnym momencie samolot zaczął płonąć. Spadał jak kometa. Nie leciał w dół. Przecinał czarne niebo na ukos. Potem wszystko ucichło. Flak przestał strzelać, a reflektory zgasły. Benghazi stało się ponownie cichym miastem, tylko z daleka dobiegały sygnały karetek sanitarnych. Lester szybko uzupełniał notatki.

* * *

Malplacketa obudził aromatyczny zapach kawy. Spał doskonale, nos przestał go boleć i nikt nie dybał na jego życie. Wbrew wszystkiemu zaczęło mu się to podobać. Zrobili interesującą turę po mieście i fotografując Lestera stojącego pod wielką nazistowską flagą Malplacket poczuł się jak chłopak, który dostał swój pierwszy rower.

Potem wstawili fiata na podwórze jakiejś wpół zburzonej willi, która wydała się niezamieszkała. Lester zdjął i schował do kieszeni kopułkę iskrownika i ruszyli do miasta. Z przeciwnej strony szło trzech niemieckich żołnierzy, którzy, gdy się zbliżyli, zaszalutowali. Lester odpowiedział tak dziarsko, że omal nie spadła mu czapka. Malplacket zauważył, że żołnierze uśmiechnęli się ironicznie.

- Nie salutuj w ten sposób, stary. Tak się nie robi.
- Tak salutują w kinie.
- Tu nie Hollywood. Robisz wrażenie, jakby ci odbiło.

Malplacket czuł się coraz pewniej. Całkiem jakby on

teraz objął dowództwo.

Chodzili po śródmieściu, mieszały się z tłumem innych żołnierzy. Lester naliczył dwanaście różnego rodzaju mundurów. Widział włoskich żandarmów, żołnierzy z Luftwaffe, kogoś w czarnych mundurach. Oddawał ukłony z taką nonszalancją, jakby robił to przez całe życie. Wyszli na plac - zobaczyli wrak myśliwca. Maszyna nosiła znaki RAF-u.

- Chciałbym mieć zdjęcie tego - powiedział łakomie Lester. Pokazał Malplacketowi jak obchodzić się z jego aparatem - stanął przed wrakiem. Nie był zresztą sam. Inni żołnierze robili sobie zdjęcia obok.

- To warte co najmniej tysiąc zielonych - cieszył się.

- Mój Boże, ty wszystko przeliczasz na pieniądze.

Potem Malplacket robił zdjęcia Lestera, jak ten pije kawę otoczony przez innych oficerów niemieckich. Potem zdjęcie przed działkiem przeciwlotniczym kaliber 88. Potem w porcie.

Już zużyli połowę filmu, gdy doszli do budynku, w którym musiało się znajdować jakieś wysokie dowództwo. Oficerowie wchodzili i wychodzili. Inni stali na schodach i rozmawiali. Z okien zwisały się flagi ze swastykami. Przy głównym wejściu stali wartownicy i rozstawiono karabiny maszynowe.

Stanęli i obserwowali budynek z daleka.

- Nie, nie rzucajmy wyzwania naszemu szczęściu - zaczął Lester.

- Wystarczy, byś przeszedł przed tym budynkiem, a ja z tego miejsca zrobię zdjęcie. Nikt nie zauważy.

- Zaczynasz być bardziej zwariowany niż ja - zaśmiał się Lester.

Malplacket oddał mu aparat.

- No to ja pójdę, a ty zrób zdjęcie.

Lester był wyraźnie zdenerwowany.

- Odpieprz się - powiedział i odszedł

Malplacket zaczekał i gdy tamten przechodził na drugą stronę ulicy pstryknął ujęcie na tle karabinów maszynowych przy głównym wejściu. Przesunął film, odpędził jakiegoś Araba, który zakrywał pespektywę i zrobił kolejne zdjęcie.

Lester podszedł, minął go i szedł szybko przed siebie, niemal biegł. Malplacket dogonił go i zapytał:

- Jakież problemy?

- Sądzę, że powinienem być komuś zaszutować. Być może jakiemuś generałowi. Coś na mnie krzyczano.

Malplacket obejrzał się, ale nic się nie zmieniło. Na stopniach stała grupka niemieckich oficerów i śmiała się. Lester skręcił w pierwszą przecznicę i Malplacket pospieszył za nim. Wziął go pod rękę.

- Nikt nas nie ściga. Nikt się nami nie interesuje. Zapewniam. - Malplacket był zdumiony tą trwożliwością kolegi. - Weź się w kupę, stary - powiedział - Jeśli będziesz wyglądał na takiego zastraszonego, natychmiast się do nas ktoś przypieprzy. Zawsze sądziłem, że wy Amerykanie jesteście twardsi. Jak się wam udało podbić Zachód, kiedy na widok każdego pierwszego lepszego Niemca robicie w pory. Brak wam brytyjskiej flegmy, w tym wasza słabość.

Wrócili na główną ulicę. Teraz Malplacket przeszedł przed frontem budynku komendy. Zaszutował starszym oficerom, którzy rozmawiali na schodkach, a ci odpowiedzieli na pozdrowienie.

Gdy wrócił na drugą stronę ulicy, nie zobaczył Lestera.

Doszedł do rogu ulicy tam go ujrzał. Był o dwadzieścia metrów od niego. Przed nim stało dwóch oficerów marynarki i coś do niego mówili. Byli to bardzo młodzi oficerowie i wyglądali zdecydowanie przyjaźnie. Malplacket zrobił kilka kroków w ich kierunku i zawołał:

- Wilhelm! Wilhelm!

Tamci odwrócili się w jego stronę, a on demonstracyjnie pokazał zegarek i popukał w jego tarczę. Lester wycofał się i podszedł do niego. Malplacket wziął go pod rękę i zniknęli za rogiem. W chwilę potem zgubili się w tłumie.

- Czego oni chcieli? - zapytał Malplacket.

- Zabij, nie wiem. Może wzięli mnie za kogoś innego. Cały czas kaszlałem i kiwałem głową. Stary, ja mam tego dość. Ściska mnie w żołądku.

- Zrobiłeś mi zdjęcie?

- Tak, zrobiłem ci to cholerne zdjęcie. - Głos Lestera stracił swoją zwykłą pewność siebie. - Wracamy do wozu.

A był to kawał drogi, tym trudniejszy, że zrobiło się gorąco. Dwa razy stawali, by wypocząć. Wreszcie kiedy doszli do na wpół zwałonej willi i zobaczyli swój samochód, Lester odetchnął z ulgą.

- No to robimy odpoczynek - powiedział Malplacket. Zabrzmiało to śmiesznie i wybuchnęli śmiechem. Lester śmiał się tak, że się zataczał.

- Mam dla ciebie wiadomość. Tam na górze ktoś jest.

Malplacket wziął to za kawał, ale Lester sięgnął po rewolwer.

Szedł teraz za nim patrząc do góry. Połowa sufitu odleciała i widzieli dokładnie wyższe piętro. Tuż obok dziury wywalonej przez jakiś pocisk, czy podmuch, widział teraz kawałek wojskowego buta.

- Ktokolwiek by to nie był, nam niczym nie zagraża - powiedział Malplacket. Czuł lekkie mdłości. Zbyt wielkie napięcie, zbyt gorąco. - Dlaczego nie pozostawić go w spokoju?

- On się ukrywa. To pewnie dezterter. Może być niebezpieczny. Może być uzbrojony. - Lester najwyraźniej zachrypnął.

- Wybacz stary, ale nie jestem gotowy na nowe stresy przed obiadem. Przygotuj wóz i odjeżdżamy.

- Oczywiście. - Lester dał krok w kierunku zrujnowanej willi, a but się cofnął. Poleciało nieco gruzu. Lester stanął. Ponowny ruch na górze i znowu poleciał gruz i kurz.

- Na miłość boską, kto to może być - Lester powiedział niemal płaczliwie. Rewolwer bezużytecznie zwisał mu z palca.

Ktoś kryjący się na górze podpełznął teraz do dziury i patrzył na nich. Był to młody chłopak. Miał na sobie jedynie szorty i wojskowe buty.

- Chłopcze, nigdy nas nie widziałeś, a my nie widzieliśmy ciebie. Schowaj się z powrotem w swojej dziurze - proponował Lester.

Tamten podniósł się i pokazał w całej okazałości. Teraz widzieli, że był to wysoki, wychudzony, młody człowiek. Tamten podniósł jedną rękę do góry w geście poddania się. Druga ręka zwisała bezsilnie złamana, czy wybita z barku. Młodzieniec jęczał z bólu. Lester nie widział nikogo tak wybiedzonego od czasów podróży do Chin. Największe wrażenie jednak robił jego głos. Łkał i wyrzucał z siebie jakieś niemieckie frazy, które zdawały się powtarzać. Sprawiał wrażenie umyślowo chorego.

Lester drżącymi rękami usiłował założyć kopułkę

iskrownika.

- Spróbuj ruszyć! - zawołał do Malplacketa.

Silnik warknął, strzelił, ale nie zaskoczył

- A ty skurwysynu - mruknął Lester i coś tam poprawił.

Silnik nagle ożył i zaczął pracować normalnie.

Wleźli do środka, a Lester, nim zatrzasnął drzwiczki, wyciągnął garść papierowych pieniędzy i rzucił w stronę bełkoczącego Niemca.

- Odjeżdżaj! - krzyknął i ruszyli.

* * *

Malplacket ostrożnie prowadził wóz przez centrum miasta.

- Chyba już masz dość materiałów? Możemy się zmywać?

Lester skinął potakująco głową.

Teraz wiedzieli jak się poruszać. Drogę wyjazdu odnaleźli bez trudu i nikt ich nie zatrzymywał. Bez kłopotów minęli punkt kontroli przy bramie triumfalnej i również bez kłopotów dojechali do miejsca, w którym rozstali się z patrolem Lamparda. Wjechali w Dżebel i zatrzymali się pod jakimś drzewem. Tu zjedli obiad, suchary i zimny gulasz. Pojawił się jakiś arabski chłopak, od którego kupili świeżego koziego mleka.

- O Jezu, jaki jestem zmęczony. - Lester wyciągnął się w cieniu. - Ale się udało. Nie wierzę. Niebywałe.

- Zrobiłeś mi zdjęcie, kiedy salutowałem? - niepokoił się Malplacket.

- Oczywiście.

- Gdybyś tego nie zrobił, nigdy bym ci tego nie wybaczył.

Gibbon objaśnił ich jak mają dojechać do miejsca spotkania. Jechali więc przez Dżebel do szlaku karawan prowadzącego na południe. Szlak przecinał Tariq el Abd w miejscu zaznaczonym przez trzy szkielety wielbłądów i świeży grób niemiecki. Od tego miejsca ustawili kompas na sto osiemdziesiąt stopni i jechali w głąb Sahary przez pięćdziesiąt kilometrów. Wyznaczone miejsce osiągnęli wczesnym popołudniem. Niczym nie odróżniało się od reszty pustyni i nikogo tam nie było.

- Jesteśmy albo za wcześnie, albo za późno - stwierdził Lester.

Mieli karton konserw i dwie manierki z wodą. To im powinno wystarczyć.

* * *

Pod wieczór Malplacket rozpałił maleńkie ognisko sposobem, jakie nauczył się od patrolu - napełnił pustą puszkę piaskiem i wlał do tego nieco benzyny. Na tym ogniu podgrzał gulasz. W tym czasie Lester zakończył pisanie pierwszej relacji. Układał ją sobie w głowie od momentu wyjazdu z Benghazi, a więc szło mu łatwo. Malplacket przeczytał tekst w czasie kolacji.

- Doskonałe. Moje gratulacje.
- Naprawdę ci się podobała?
- Oczywiście. Czytelnicy w Chicago będą olśnieni.
- Prawda, że porywa?
- Najbardziej podobał mi się ten odcień ironii.
Doskonały.

- Tak mówisz? - Ponownie ślizgał się oczami po zapisanych kartkach. - To oczywiście jedynie konspekt. Trzeba jeszcze nad tym popracować.

- Tylko nie zgub tego tonu ironii - doradza ł Malplacket.
- Doskonały.

Mieli tylko po jednym kocu, co nie wystarczało. Zbudzili się znacznie przed świtem przemarznięci, zasypani piaskiem. Zagotowali herbatę, wleźli do fiata i przysłuchiwali się pojękiwaniom wiatru. Potem wzeszło słońce. I zerwał się wiatr.

- Cóż za cholerna pogoda - powiedział Lester. - Mam nadzieję, że ci od Lamparda okażą się dobrymi nawigatorami.

- Gibbon jest doskonały.

- A może go ranili? Może wzięli do niewoli?

- W Anglii sianie paniki jest karalne, a to jest właśnie to, co ty teraz robisz.

- Mam pełno piachu w rozporku - skarżył się Lester.

- Na pustyni masz piach w każdym rozporku - uspokajał go Malplacket. - W jednych więcej, w innych mniej.

Lester tego nie skomentował. Wlazł do fiata i zabrał się do pisania swojej relacji od początku. Znowu zjedli gulasz. Potem Malplacket położył się w cieniu wozu i zasnął.

Obudziło go południowe słońce. Czuł się odrętwiały i zeszywniały. Poszedł się przejść. To był błąd. Pustynia wydawała się jeszcze większa i jeszcze straszniejsza. Gdy wrócił Lester odczytał mu kolejny tekst relacji.

- Dobry. O wiele lepszy.

- Wyczyściłem to z tych akcentów ironii. Zauważyłeś?

- Tak. Bardzo rozsądnie.

Na godzinę przed zachodem słońca Malplacket podgrzał posiłek.

- Przykro mi, ale to znowu gulasz - usprawiedliwił się.

- Dodałem jednak kilka śliwek.

Lester wdrapał się na dach fiata i patrzył na północ.

- Już powinni tu być - oświadczył i zszedł z dachu. - Wiesz co, tak się zastanawiam, że gdyby nie ten twój krwawiący nos nigdy nie dostalibyśmy się do Benghazi. To było rzeczywiście szczęście.

- Dziękuję. A to, co pokazałeś w tym domku u Włoszki było niebywałe.

- I mnie się też tak wydaje. Zawsze chciałem wejść do jakiegoś domu waląc rewolwerem w drzwi.

Lester obszedł samochód i kopał w koła.

- Stary, nie chciałbym ciebie martwić i alarmować, ale to zaczyna wyglądać niedobrze. Nie sądzisz?

- Trafnie powiedziane.

Noc była ponownie zimna, lecz za to wschód słońca wspaniały. Podkreślał jedynie pustkę pustyni.

- Jeśli teraz nie wrócimy do Dżebel, jutro zabraknie nam wody - powiedział Malplacket.

Silnik fiata nie chciał dać się uruchomić. Skrzeczał, piszczał. Wyczyścili każdą część, która dawała się wyczyścić, ale nie to nie pomogło. Słońce prażyło niemiłosiernie i schowali się do wnętrza wozu.

- Powiedz mi szczerze - odezwał się Lester. - Czy naprawdę w moim pierwszym tekście wyczuwało się ironię?

- Nie.

- A w drugim?

- Pewne elementy satyry.

Lester patrzył na drżącą linię horyzontu.

- Ale sobie wybrałem czas na satyrę - mruknął

- Tak ci wyszło.

- Tu mnóstwo satyry dookoła, nie sądzisz?

Lester próbował wziąć się do poprawiania swojego tekstu, ale mu nie wychodziło, i zrezygnował.

- Napiszę trzeci wariant tekstu. Bardziej kolorowy.

- Nie przejmowałbym się tym, stary. To, co napisałeś, jest dobre. Gdy wstał księżyc ruszyli na północ Lester niósł manierkę,

w której mieli jeszcze kilka łyków wody. Malplacket przypuszczał, że będą musieli przejść co najmniej sto kilometrów, zakładając, że będą się poruszali w linii prostej. Marsz nocny był utrudniony.

- Nie potrafisz kierować się gwiazdami? - zapytał Lester.

- To dziwne, ale w Eaton nie nauczyli mnie tego.

Wlekli się po ciemku, a przy każdym kroku chlupało w manierce ta resztką wody, jaka im pozostała.

* * *

Zabrało to wiele czasu, ale poprzez sztab SAS i Międzynarodowy Czerwony Krzyż ustalono losy członków patrolu Lamparda. Kapitan Kerr mógł powiadomić rodziny. Oczywiście pułkownik von Mansdorf i pułkownik Benno Hoffmann otrzymali odpowiednie informacje o wiele wcześniej. Niemiecki oddział ratowników odnalazł wrak bombowca, który jeszcze dymił, potem rozbite samochody. Przywieziono ciała do Benghazi. Benno Hoffmann towarzyszył doktor Grandinetti na pogrzebie Schramma. Był zaskoczony tym, że się popłakała, ale tylko przez chwilę.

- Biedny Paul - szepnęła. - Wszyscy jesteśmy biedni.

Po pogrzebie poszli na drinka do klubu oficerskiego. Potem wrócili każde do swojej pracy, a ona w dwa dni

potem wyjechała do Mediolanu.

Nie było więcej nalotów na szlak Takoradi. Fanny Barton został dowódcą skrzydła, ale nie dostał odznaczenia. Przeniesiono go do Rodezji, gdzie był dowódcą Szkoły Pilotażu. Hick Hooper wrócił do armii amerykańskiej. Pit Patterson przeżył. Skull dostał przydział do dywizjonu bombowców w Egipcie.

Dywizjon „Szerszeń” zreorganizowano i przyszli do niego nowi piloci. Adiutantem był nadal Kellaway, który wyzdrowiał. I nadal zwykł był mówić:

- Faceci przychodzą i odchodzą, ale dywizjon trwa.

Był maj 1942 r. W miesiąc potem Rommel wdarł się głęboko do Egiptu i został zatrzymany dopiero pod El Alamein. W listopadzie 194 r. armia niemiecka została pokonana i zaczęła odwrót na dystansie dwóch tysięcy kilometrów przez Egipt, Libię i Tunis. W maju 1943 r. ostatni żołnierze niemieccy w Afryce Północnej złożyli broń. 4 września 1943 r. armie alianckie dokonały inwazji na Włochy. Siły Powietrzne Pustyni walczyły teraz na kontynencie europejskim. Tak samo jak SAS. Walczyły do dnia 7 maja 1945 r., a więc do dnia, w którym wojna została ostatecznie zakończona.